

Selekcja

Kellerman Jonathan



calibre 0.9.43

Jonathan Kellerman

Selekcja

Niech żyje Hollywood!

Wmurowane w chodnik mosiężne gwiazdy lśniły znanymi nazwiskami ludzi kina, lecz prawdziwymi gwiazdami tej nocy byli handlarze narkotyków, specjaliści od stosowania przemocy i piętnastoletni uciekinierzy z domów, które z przybytków rodzinnych wartości zamieniły się w piekło.

Przygarniała ich wszystkich całodobowa kafejka „Go-Ji”. Stała przy północnym krańcu Hollywood Boulevard, na wschód od Vine, między salonem tatuażu a barem dla trash-metalowców.

O trzeciej nad ranem, kiedy młody Meksykanin zamiatał chodnik, przed „Go-Ji” zajeżdżał radiowozem Nolan Dahl. Meksykanin nie miał wymaganych dokumentów, ale widok policjanta w najmniejszym stopniu nie zakłócił rytmu jego pracy. Gliniarzom nie w głowie byli imigranci. Z tego, co chłopak zdążył zaobserwować w ciągu miesięcznego pobytu w Los Angeles, tu nikogo nic nie obchodziło.

Nolan Dahl zamknął czarno-biały radiowóz i wszedł do kafejki tak pewnie, jak mógł to tylko zrobić ważący ponad sto kilogramów młody, umięśniony policjant wyposażony w pałkę, pas, radiostację, latarkę i dziewięciomilimetrowy pistolet w kaburze. W środku cuchnęło, a rozciągnięty między oklejonymi pomarańczową taśmą boksami ciemnoczerwony chodnik gęsto pokryty był plamami. Dahl znalazł miejsce daleko w kącie i usiadł tak, by widzieć Filipinkę stojącą przy kasie.

Boks obok zajmował dwudziestotrzyletni alfons z Compton o nazwisku Terrell Cochrane i jedna z jego podopiecznych, Germadine Batts, pulchna szesnastoletnia matka dwójki dzieci pochodząca z Checkpoint w Oklahomie. Kwadrans wcześniej oboje siedzieli w zaparkowanym na rogu białym lexusie terrella, gdzie Germadine podwinęła nogawkę niebieskich cekinowanych legginsów i wstrzyknęła sobie w ledwie widoczną żyłę na kostce działkę heroiny za piętnaście dolarów. Teraz mile oszołomiona siedziała nad drugim wielkim kubkiem coli rozcieńczonej wodą z roztopionego lodu i bawiła się plastikową słomką.

Terrell zaaplikował sobie mieszankę heroiny i kokainy. Czuł się doskonale, a wyczuciem równowagi mógłby konkurować z linoskoczkiem. Rozparł się wygodnie, dziobał widelcem cheeseburgera i ułożył pięć olimpijskich kółek z krążków cebuli. Cały czas starał się nie patrzeć na wielkiego jasnowłosego policjanta.

Nolan Dahl miał gdzieś alfonsa i jego podopieczną, podobnie jak pięć innych „rzeczy”, które krzątały się po jasno oświetlonej sali. Z głośników sączyła się cicha, spokojna muzyka. Smukła, śliczna kelnerka o skórze koloru melasy przebiegła między stolikami i z uśmiechem na ustach zatrzymała się przy boksie Nolana. Nolan odwzajemnił uśmiech, podziękował za menu i zamówił ciastko z kremem kokosowym i kawę.

– Pierwszy raz na nocnej służbie? – zapytała kelnerka. Pięć lat temu przyjechała do Stanów z Etiopii i mówiła po angielsku wyśmienicie, z przyjemnym dla ucha akcentem.

Nolan ponownie się uśmiechnął i pokręcił głową. Patrolował Hollywood nocą już od trzech miesięcy, ale nigdy jeszcze nie zaglądał do „Go-Ji”. Apetyt na słodkości zaspokajał w barze „Dunkin Donuts” przy Highland, poleconym mu przez Wesa Barkera. Gliniarze i pączki. To ci dopiero ubaw.

– Pierwszy raz pana tu widzę, oficerze... Dahl.

– No cóż, życie jest pełne niespodzianek – odparł.

Kelnerka roześmiała się.

– Hmm, no tak.

Odeszła w stronę lady ze słodyczami, a Nolan patrzył za nią niebieskimi oczami. W końcu odwrócił wzrok i napotkał spojrzenie Terrella Cochrane’a.

Obrzydliwa rzecz.

Nolan Dahl miał dwadzieścia siedem lat i w dużej mierze wychował się na telewizji. Nim wstąpił do policji, wyobrażał sobie alfonsów jako gości w czerwonych garniturach z aksamitu i wielkich kapeluszach z piórami. Szybko nauczył się, że wyobrażenia rozmijają się z rzeczywistością.

Rzeczywistość.

Zlustrował wzrokiem Terrella i dziwkę, najprawdopodobniej nieletnią. W tym miesiącu alfons Cochrane ubierał się w niechlujne, za duże koszule w kratę narzucone na czarne podkoszulki. Nad wygolonymi skroniami zwisały mu krótkie dredy. W zeszłym miesiącu gustował w czarnej skórze, a jeszcze wcześniej stylizował się na afrykańskiego księcia.

Spojrzenie gliniarza budziło w Terrellu niepokój. Licząc na to, że policjant przygląda się komuś innemu, alfons obejrzał się w stronę trzech transwestytów chichoczących i szepczących nad talerzem frytek po drugiej stronie sali.

Odwrócił się z powrotem w stronę gliniarza.

Ten uśmiechał się do niego jakoś dziwnie... prawie smutno. Co to, u licha, ma znaczyć?

Terrell zajął się swoim cheeseburgerem, ale poczuł się trochę nieswojo.

Etiopska kelnerka wróciła z zamówieniem Nolana i przyglądała się, jak nabiera kawałek ciasta na wideleczyk.

– Świetne – powiedział Nolan po przełknięciu pierwszego kęsa, choć ciastko smakowało jak kiepsko przyrządzona pina-colada, a krem był gumowaty. Ale Dahl miał ogromne doświadczenie w prawieniu nieszczerych kulinarnych pochlebstw. W dzieciństwie musiał jeść wstrętne potrawy przygotowywane przez matkę i mówić wraz z Heleną i ojcem, że są wyśmienite.

– Czy życzy sobie pan jeszcze czegoś, oficerze Dahl?

– Na razie nie, dziękuję.

Nie macie dla mnie nic, pomyślał.

– Dobrze. W razie czego proszę mnie zawołać.

Nolan uśmiechnął się i kelnerka odeszła.

Ten uśmieszek... cholerny zadowolony sukinsyn. Normalny gliniarz nie ma się z czego cieszyć, chyba że przed chwilą załatwił jakiegoś Murzyna i nikt go przy tym nie nagrywał na wideo, rozmyślał Terrell.

Nolan zjadł jeszcze kawałek ciastka i uśmiechnął się do Terrella. Wreszcie wzruszył ramionami.

Alfons zerknął na Germadine, która prawie odpłynęła nad swoją colą. Spojrzenie to oznaczało: „Jeszcze parę minut, dziwko, i wracasz na ulicę”.

Policjant zjadł ciastko do końca, dopił kawę i wodę mineralną, a kelnerka już stała przy nim gotowa dolać mu kawy.

Suka. Jemu i Germadine przyniosła zamówione jedzenie, po czym zaczęła traktować ich jak powietrze.

Terrell podniósł cheeseburgera do ust i patrzył, jak kelnerka mówi coś do policjanta. Ten uśmiechał się tylko i kręcił głową. Suka dała gliniarzowi rachunek, a gdy zapłacił, ona zaczęła rozpląwać się w uśmiechach.

Dwadzieścia dolarów napiwku – oto powód.

Cholerni gliniarze zawsze dawali sute napiwki, ale żeby aż tyle? Te wszystkie uśmiechy... pewnie coś świętuje.

Policjant spojrział w pustą filiżankę.

Nagle spod stolika Dahla coś się wynurzyło.

Policyjny pistolet.

Nolan znów uśmiechał się do Terrella. Pokazywał mu swój pistolet!

Policjant wyprostował rękę.

Terrell poczuł, jak wszystko przewraca mu się w żołądku, i dał nura pod stół. Nie zdążył nawet przyciągnąć w dół głowy Germadine, choć akurat ten gest miał dobrze przećwiczony.

Pozostali goście zauważyli, jak Terrell kryje się pod stolikiem. Transwestyci, pijany kierowca ciężarówki siedzący za nimi i bezzębny sklerotyczny dziewięćdziesięciolatek w pierwszym boksie –

wszyscy rzucili się pod stoliki.

Tylko kelnerka z Etiopii rozmawiająca z filipińską kasjerką stała zbyt przerażona, żeby się poruszyć, i patrzyła na policjanta.

Nolan Dahl skinął głową w jej stronę. Uśmiechnął się.

Smutny uśmiech, ciekawe, co go gryzie? – pomyślała.

Nolan przymknął oczy, jakby się modlił. Kiedy je otworzył, wsunął do ust lufę broni o kalibrze dziewięciu milimetrów i ssąc ją jak dziecko, utkwiał wzrok w twarzy ślicznej kelnerki.

Wciąż nie była w stanie się poruszyć. Zauważył jej przerażenie i starał się łagodnym spojrzeniem dać do zrozumienia, że tak jest dobrze, że to jedyne wyjście.

Piękny czarny obraz na sam koniec. Boże, jak w tej norze śmierdzi.

Pociągnął za spust.

Helena Dahl opowiedziała mi wszystko tak, jak czuła to pogrążona w żałobie rodzina. Reszty dowiedziałem się z raportów i od Mila.

Sprawa samobójstwa młodego policjanta zajęła w gazecie raptem pięć centymetrów w jednej szpalcie, bez żadnego przelotu. Jednak niecodziennosc tego wydarzenia gdzieś we mnie utkwiła i kiedy po kilku tygodniach Milo poprosił, bym przyjął Helenę, od razu wiedziałem o kogo chodzi.

– Ach, to o nią chodzi. Wiecie już, dlaczego to zrobił?

– Nie. Prawdopodobnie ona właśnie o tym będzie chciała porozmawiać. Rick kazał ci przekazać, żebyś się nie czuł zobowiązany, Alex. To taka półprywatna prośba. Ona jest pielęgniarką w szpitalu Cedars. Pracowała z nim na OIOM-ie i teraz nie chce, żeby maglowali ją tamci psychiatrzy. Ale to żadna bliska przyjaciółka.

– Czy wydział prowadził własne dochodzenie?

– Pewnie tak.

– O niczym nie słyszałeś?

– O takich sprawach nie mówi się głośno, a ja nie należę do paczki wtajemniczonych. Facet był spokojny, zamknięty w sobie, czytał książki.

– Książki – powtórzyłem. – No to chyba mamy motyw.

Milo wybuchnął śmiechem.

– Introspekcja jest według ciebie bardziej zabójcza niż magnum?

Ja również się roześmiałem. Zacząłem się jednak zastanawiać nad tym, co powiedział Milo.

Helena Dahl zadzwoniła do mnie jeszcze tego samego wieczoru. Umówiłem się z nią na wizytę następnego dnia rano w moim domowym gabinecie. Zjawiała się punktualnie. Wysoka przystojna kobieta około trzydziestki o bardzo krótkich blond włosach i silnych ramionach uwydatniających się w granatowej bluzce bez rękawów. Dół bluzki wpuściła w spodnie, a na gołe stopy włożyła tenisówki. Twarz miała owalną, równomiernie pokrytą opalenizną, na której tle odznaczały się jasnoniebieskie oczy i wyjątkowo szerokie usta. Nie nosiła biżuterii. Nie zauważyłem też ślubnej obrączki. Uścisnęła mi mocno rękę, próbowała się uśmiechnąć. Podziękowała za to, że ją przyjąłem, i w końcu ruszyła za mną.

Nowy dom budowałem z myślą o prowadzeniu prywatnej praktyki. Pacjentów wprowadzam bocznymi drzwiami, potem idziemy przez japoński ogród z oczkiem wodnym, przy którym zwykle przystają na chwilę, by popatrzeć albo przynajmniej wyrazić o nim swoje zdanie. Helena Dahl milczała.

W gabinecie usiadła wyprostowana, ręce położyła na kolanach. Zajmuję się głównie dziećmi, które dostały się w tryby sądowej maszyny, więc część gabinetu urządzona jest jak pokój do zabaw. Helena nawet nie spojrzała na zabawki.

– Robię to po raz pierwszy w życiu – odezwała się cichym, niskim, pewnym siebie głosem. Jako pielęgniarka z OIOM-u na pewno umiała się nim doskonale posługiwać. – Nawet po rozwodzie z nikim nie rozmawiałam – dodała. – Naprawdę nie wiem, czego mogę oczekiwać.

– Może tego, że uda się pani to wszystko zrozumieć – zasugerowałem delikatnie.

– Sądzi pan, że to możliwe?

– Być może będzie pani mogła więcej się dowiedzieć. Część pytań na zawsze pozostaje bez odpowiedzi.

– Przynajmniej stawia pan sprawę uczciwie. Zaczniemy od razu?

– Jeśli jest pani gotowa...

– Tego nie wiem, ale po co marnować czas? To... zna pan z grubsza całą sprawę?

Skinąłem głową.

– To się stało niespodziewanie, doktorze Delaware. On był takim...

Nagle wybuchnęła płaczem.

I wyrzuciła z siebie wszystko.

– Nolan był mądry – mówiła – naprawdę mądry, błyskotliwy. Wszystkiego można się było spodziewać, ale nie tego, że wstąpi do policji – oczywiście nie chcę obrażać znajomego Ricka, lecz policjant jakoś nie kojarzy się z obrazem intelektualisty, prawda?

Milo miał magisterium z literatury.

– A więc Nolan był intelektualistą? – spytałem.

– Z całą pewnością.

– Jakie miał wykształcenie?

– Dwa lata studiów. Uniwersytet stanowy w Northridge. Wydział psychologii.

– Ale go nie skończył.

– Miał kłopoty... z doprowadzaniem spraw do końca. Może to był bunt... nasi rodzice przykładali

dużą wagę do wykształcenia. Może po prostu uczelnia mu się znudziła. Nie wiem. Jestem od niego o trzy lata starsza. Kiedy rzucił szkołę, ja już pracowałam. Nikt się nie spodziewał, że zostanie policjantem. Może stał się skrajnym konserwatystą, prawo i porządek i takie tam rzeczy... To właściwie jedyne wyjaśnienie, jakie mi się nasuwa. Jednak mimo wszystko... Musi pan też wiedzieć, że Nolan zawsze lubił... obrzydlistwa.

– Obrzydlistwa?

– Strachy, mroczne rzeczy. Jako dziecko uwielbiał horrory, takie naprawdę straszne, najstraszniejsze. W ostatniej klasie liceum przeszedł przez fazę fascynacji muzyką heavy metalową. Zapuścił długie włosy, uszy przekłuł w pięciu miejscach. Rodzice byli przekonani, że zadaje się z satanistami albo z jeszcze gorszą sektą.

– A zadawał się?

– Kto to może wiedzieć. Wie pan, jacy są rodzice.

– Starali się wybić mu to z głowy?

– Nie, to nie było w ich stylu. Po prostu przeszli nad tym do porządku dziennego.

– Tolerancyjni?

– Raczej nieasertywni. Nolan zawsze robił to, na co miał ochotę... – urwała w pół słowa.

– Gdzie się wychowaliście? – zapytałem.

– W Valley, w Woodland Hills. Ojciec był inżynierem u Lockheeda. Zmarł pięć lat temu. Matka była opiekunką społeczną, ale nigdy nie pracowała. Ona też już nie żyje. Dostała wylewu rok po śmierci taty. Chorowała na nadciśnienie, lecz nigdy się nie leczyła. Skończyła dopiero sześćdziesiąt lat. Choć z drugiej strony, może miała szczęście – przynajmniej nie wie, co zrobił Nolan.

Zacisnęła ręce w pięści.

– Ma pani jeszcze jakąś rodzinę? – zapytałem.

– Nie, zostaliśmy sami, Nolan i ja. On się nie ożenił, a ja się rozwiodłam. Nie mam dzieci. Mój były mąż jest lekarzem. – Uśmiechnęła się. – Można się tego było spodziewać, prawda? Gary jest pulmonologiem i w gruncie rzeczy przyzwoitym facetem. Postanowił jednak zostać rolnikiem i przeniósł się do Karoliny Północnej.

– A pani nie chciała być żoną rolnika?

– Nie za bardzo. Zresztą, może nawet bym chciała, ale Gary nie prosił, żebym z nim wyjechała. – Wbiła wzrok w podłogę.

– A więc znosi pani to wszystko samotnie – stwierdziłem.

– Ano tak. O czym to ja... a, o tych satanistycznych bzdurach. Nic wielkiego się nie stało. Ten etap w jego życiu nie trwał długo i później wszystko wróciło do normy: Nolan zaczął się interesować szkołą, sportem, dziewczynami i swoim samochodem.

– Czy wciąż lubił te mroczne rzeczy?

– Chyba nie... właściwie nie wiem, dlaczego panu o tym powiedziałam. A co pan sądzi o sposobie, w jaki Nolan to zrobił?

– Chodzi pani o wykorzystanie służbowej broni? Skrzywiła się.

– Nie, że zrobił to publicznie, na oczach tych wszystkich ludzi. Tak jakby chciał powiedzieć całemu światu, że ma go gdzieś.

– Może właśnie o to mu chodziło.

– Mnie się to wydaje strasznie teatralne – powiedziała, jakby mnie nie słyszała.

– Czy pani brat lubił sztuczki aktorskie?

– Trudno powiedzieć. Był bardzo przystojny, postawny, robił wrażenie – jeden z tych facetów, których nie sposób nie zauważyć, gdy wchodzi do pokoju. Czy to wykorzystywał? Może trochę, kiedy był jeszcze mały. Ale jako dorosły? Prawda jest taka, doktorze Delaware, że straciłam kontakt z Nolanem. Nigdy nie byliśmy sobie bliscy. A teraz...

Kolejne łzy.

– Jako dziecko uwielbiał być w centrum zainteresowania, choć bywały też chwile, że nie chciał mieć z nikim do czynienia. Zaszywał się w kącie.

– Miewał zmienne nastroje?

– To u nas rodzinne. – Potarła kolana rękami i spojrzała gdzieś ponad moim ramieniem. – Kiedy byliśmy w podstawówce, tata przechodził terapię wstrząsową z powodu depresji. Nie powiedziano nam, co się dzieje, tylko tyle, że idzie na kilka dni do szpitala. Dopiero po jego śmierci mama nam wszystko opowiedziała.

– Ile razy go leczono?

– Nie wiem, trzy, może cztery. Kiedy wracał do domu, wyglądał jak po praniu mózgu, miał kłopoty z pamięcią, zupełnie jak pacjenci z urazami głowy. Mówią, że terapia elektrowstrząsowa działa teraz lepiej, ale jestem pewna, że to właśnie zniszczyło jego mózg. W średnim wieku zaczął gasnąć, przeszedł na wcześniejszą emeryturę, siedział, czytał i słuchał Mozarta.

– Musiał być naprawdę mocno przygnębiony, skoro zaaplikowano mu terapię elektrowstrząsową – zauważyłam.

– Zapewne tak, lecz ja tego nie zauważyłam. Był cichy, słodki, nieśmiały.

– Jak wyglądały jego stosunki z Nolanem?

– Trudno mówić o jakichkolwiek stosunkach. Wprawdzie Nolan był niezwykle inteligentny, ale

pociągały go raczej typowe męskie rozrywki: sport, surfing, samochody. Tata wypoczywał inaczej...

– uśmiechnęła się – czytając i słuchając Mozarta.

– Kłócili się?

– Tata nigdy się z nikim nie kłócił.

– Jak Nolan zareagował na śmierć ojca?

– Na pogrzebie płakał. Potem przez jakiś czas oboje próbowaliśmy pocieszać mamę. Wreszcie Nolan znów się oddalił.

Przygryzła dolną wargę.

– Nie chciałam, żeby Nolanowi wyprawili uroczysty policyjny pogrzeb z salwami honorowymi i podobnymi głupstwami. Nikt z wydziału sienie sprzeciwiał. Tak jakby się cieszyli, że nie będą musieli się tym zajmować. Kazałam ciało poddać kremacji. Zostawił testament, w którym wszystko zapisał mnie, również rzeczy po mamie i tacie. Z całej rodziny tylko ja przeżyłam.

Za duży ból. Wycofałam się.

– Jaka była pani matka?

– Bardziej otwarta niż tata. Nie miewała humorów, zawsze pogodna, pełna optymizmu. Prawdopodobnie dlatego dostała wylewu, bo wszystko dusiła w sobie. – Helena znów potarła kolano. – Nie chcę, żeby pan pomyślał, że byliśmy rodziną dziwaków. Wcale nie. Nolan był normalnym chłopakiem. Chodził na prywatki, uganiał się za dziewczętami. Był tylko inteligentniejszy od innych. Dostawał same piątki, choć wcale nie przykładał się do nauki.

– Co robił po tym, jak przerwał studia?

– Kręcił się to tu, to tam, kilka razy zmieniał pracę. Nagle ni z tego, ni z owego zadzwonił do mnie i obwieścił, że właśnie ukończył akademię policyjną. A nie odzywał się od śmierci mamy.

– Kiedy to było?

– Mniej więcej półtora roku temu. Powiedział, że akademia to dla niego kaszka z mleczkiem. Zdał z najlepszym wynikiem w grupie. Zadzwonił, żeby mi o tym powiedzieć, tak na wszelki wypadek. Żebym nie zdziwiła się, gdybym go kiedyś zobaczyła w radiowozie.

– Czy od razu skierowano go do Hollywood?

– Nie. Najpierw do zachodniego Los Angeles. Dlatego pomyślał, że mogłabym go spotkać w pobliżu Cedars. Mógł na przykład trafić do izby przyjęć z podejrzanym albo ofiarą.

To, co opisywała Helena Dahl, nie przypominało więzów rodzinnych, lecz raczej grupę dobranych przypadkowo ludzi. Ból na twarzy Heleny kazał mi się nieco zmitygować.

– Gdzie pracował, zanim wstąpił do policji?

– Na budowach, w warsztatach samochodowych, na kutrze rybackim łowiącym w pobliżu Santa Barbara. To akurat pamiętam, bo mama pokazywała mi kiedyś rybę, którą dla niej przywiózł. Halibuta. Mama uwielbiała wędzone ryby, a Nolan kazał go uwędzić specjalnie dla niej.

– Jakie były jego związki z kobietami?

– W szkole średniej miał kilka dziewczyn, ale co było potem – nie wiem... Czy nie będzie panu przeszkadzać, jeśli zacznę chodzić?

– Ależ skądże.

Wstała i zaczęła przemierzać pokój małymi energicznymi krokami.

– Nolanowi wszystko przychodziło bez trudu. Może po prostu wybrał najłatwiejsze rozwiązanie. Może właśnie o to chodziło. Nie był przygotowany na to, że nie zawsze będzie mu szło jak po maśle.

– Czy orientuje się pani, jakie konkretnie problemy miał pani brat?

– Nie, nie, o niczym nie wiem – po prostu wróciłam myślami do szkoły. Pamiętam, że zawsze ślęczałam nad zadaniami z algebry, a wystarczyło, że Nolan wpadł do mojego pokoju, zerknął mi przez ramię do zeszytu i od razu podawał rozwiązanie równania. Był ode mnie o trzy lata młodszy – musiał mieć około jedenastu lat – ale potrafił błyskawicznie rozwiązywać te zadania.

Zatrzymała się przed półką z książkami.

– Kiedy Rick Silverman podał mi pańskie nazwisko, opowiedział też o znajomym z policji. Zaczęliśmy rozmawiać na temat policji. Zdaniem Ricka to organizacja paramilitarna. Nolan nigdy nie lubił kryć się w drugim szeregu. Co się stało, że wybrał tak konformistyczne rozwiązanie?

– Może zmęczyła go ta ciągła obecność na pierwszym planie – zasugerowałem.

Stała tak przez chwilę, po czym znów usiadła.

– Może robię to wszystko dlatego, że czuję się winna, iż nie przebywałam z nim bliżej. Ale nie sprawiał wrażenia człowieka, który potrzebuje bliskości.

– Nawet gdybyście byli sobie bliscy, nie zdołałaby pani temu zapobiec.

– A więc twierdzi pan, że odwodzenie kogoś od samobójczych myśli jest stratą czasu?

– Pomoc jest zawsze ważna. Wiele osób, które targnęły się na własne życie, więcej już tego nie próbowało. Chyba że ktoś się bardzo uprze, wtedy prędzej czy później mu się uda.

– Nie wiem, czy Nolan był aż tak zdesperowany. Nie znałam go!

Wybuchnęła głośnym szlochem. Kiedy się uspokoiła, podałam jej chusteczkę. Chwyliła ją i przyłożyła do oczu.

– Nie wytrzymuję tego. Nie wiem, czy uda mi się dłużej to znosić.

Nie odezwałam się.

Zerkając w bok, powiedziała:

– Jestem wykonawczynią jego testamentu. Po śmierci mamy prawnik zajmujący się majątkiem rodziców poradził nam, byśmy oboje spisali testamenty. – Roześmiała się. – Majątek... Ten dom to kupka nieszczęścia. Wynajęliśmy go i podzieliliśmy się pieniędzmi. Potem, po moim rozwodzie, spytałam Nolana, czy mogę w nim zamieszkać w zamian za pokrycie połowy czynszu. Nie chciał przyjąć tych pieniędzy. Nie potrzebował ich. Niczego nie potrzebował. Czy to był znak ostrzegawczy?

Nim zdążyłam odpowiedzieć, Helena Dahl znów wstała.

– Ile czasu nam zostało?

– Dwadzieścia minut.

– Nie pogniewa się pan, jeśli dziś wyjdę wcześniej?

Zaparkowała brązowego mustanga poza terenem posesji, na ulicy, która wiała się zygzakiem od Beverly Glen. Poranne powietrze było gorące i suche. Pobliskie sosny wydawały przeszywający na wskroś, orzeźwiający zapach.

– Dziękuję – powiedziała otwierając samochód.

– Czy chce się pani umówić na kolejną wizytę?

Wsiadła do auta i opuściła szybę. Samochód był nienagannie czysty i pusty, jeśli nie liczyć dwóch białych pielęgniarskich fartuchów.

– Mogę do pana zadzwonić? Muszę sprawdzić swój grafik dyżurów.

W ten sposób pacjenci dawali do zrozumienia: proszę nie dzwonić, sam się odezwę.

– Oczywiście.

– Jeszcze raz dziękuję, doktorze Delaware. Będziemy w kontakcie.

Odjechała, a ja wróciłem do domu, rozmyślając o tej powierzchownej opowieści, jaką mnie uraczyła.

Nolan był za bystry jak na gliniarza. Ale przecież mnóstwo policjantów miało głowę na karku. Reszta opisu – sportowiec, macho, dominujący, zainteresowany mroczną stroną życia – pasowała do stereotypu policjanta. Przez kilka lat błąkał się to tu, to tam, by osiąść na stałe z zagwarantowaną przez władze miasta posadą i emeryturą. Prawicowe poglądy polityczne – szkoda, że nie dowiedziałem się więcej na ten temat.

Helena Dahl opisała też częściowo poważne zaburzenia emocjonalne w rodzinie. Policjant uważany przez kolegów za „odmiennego”.

To mogło pogłębić alienację wywołaną samą naturą pracy w policji.

Wyglądało na to, że życie Nolana było pełne alienacji.

A zatem na razie żadnych niespodzianek, choć siostra wyglądała – co zrozumiałe – na mocno zszokowaną.

Do tej pory jednak nic nie wyjaśniało, dlaczego Nolan w barze „Go-Ji” włożył sobie do ust lufę pistoletu.

I zapewne już tego nie wyjaśnię, bo sądząc po tym, jak się pożegnała, Helena Dahl więcej się ze mną nie spotka.

W moim zawodzie trzeba się pogodzić z tym, że wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi.

Dwa dni później o ósmej rano zadzwonił do mnie Milo.

– Właśnie dostałem kolejną beznadziejną sprawę, Alex. Nie jestem pewien, czy będę mógł ci zapłacić, ale poprzednio zarobiliśmy parę punktów, więc może...

Poprzednio chodziło o morderstwo profesora psychologii, którego napadnięto i dźgnięto nożem kilka kroków od jego domu w Westwood. Po kilku miesiącach bezowocnego śledztwa przełożeni Mila uznali, że sprawy nie da się rozwiązać i przydzielili mu ją za karę, gdyż jako jedyny policjant w Los Angeles manifestował swoje skłonności homoseksualne. Wspólnie z Milem poznaliśmy kilka sekretów ofiary i zdołaliśmy rozwiązać zagadkę.

– No, nie wiem – odpowiedziałem. – Dlaczego, u licha, miałbym wyświadczać ci przysługę?

Roześmiał się.

– Może dlatego, że jestem takim miłym facetem?

Wydałem z siebie odgłos przypominający brzęczyk w teleturnieju, kiedy uczestnik poda złą odpowiedź.

– Spróbuj jeszcze raz.

– Może dlatego, że jesteś psychiatrą i uwielbiasz, żeby wszyscy cię lubili?

– Nigdy w życiu nie zgłaszaj się do „Va Banque”! Co to za sprawa?

W słuchawce usłyszałem westchnienie.

– Dziecko, Alex. Piętnaście lat.

– Chryste.

– Wiem co czujesz, ale to bardzo ważna sprawa. Jeśli masz choć źdźbko czasu, byłbym ci wdzięczny, gdybyś rzucił na to okiem.

– Jasne – odparłem – możesz przyjechać choćby zaraz.

Pojawił się z pudłem pełnym akt pod pachą. Miał na sobie turkusową koszulkę polo, która uwydatniała jego brzuch, wygniecione brązowe dzinsy i pokiereszowane beżowe pionierki.

Milo ważył około stu dziesięciu kilogramów, z czego większość umiejscowiła się mniej więcej w połowie jego sylwetki mierzącej metr osiemdziesiąt wzrostu. Włosy miał niedawno przystrzyżone w charakterystycznym dla niego stylu (choć mówienie o jakimkolwiek stylu u Mila było po prostu

przestępstwem) – krótkie z boków i z tyłu, potargane na czubku z baczkami sięgającymi płatków uszu. Siwizna powoli wygrywała zmagania z czernią, tak że baczki Mila zrobiły się prawie całkiem białe. Milo jest ode mnie starszy o dziewięć miesięcy i czasami, kiedy patrzę na niego, mam świadomość upływającego czasu.

Postawił pudło na stole w kuchni. Dziobata twarz przybrała kredowobiały odcień, a oczy pozbawione były błysku. Jedna albo nawet kilka nie przespanych nocy. Patrząc na lodówkę, zmarszczył brwi.

– No co, mam to powiedzieć na głos?

– Coś do jedzenia czy do picia? – zapytałem.

– I jedno, i drugie. W końcu ty jesteś lekarzem. – Wyciągnął się i usiadł ciężko, aż usłyszałem skrzypnięcie krzesła.

Zrobiłem mu kanapkę z zimnym rostbefem i podałem ze szklanką mleka. Szybko zjadł i wypił, po czym głośno wypuścił powietrze.

Pudło aż kipiało od papierów.

– Widzę, że masz sporo danych – zauważyłem.

– Nie myl ilości z jakością. – Odsunął talerz i zaczął wyjmować z pudła oprawione teczki i przewiązane gumką pliki dokumentów, po czym układał je równo na stole. – Ofiarą jest dziewczynka, Irit Carmeli. Miała piętnaście lat, była nieco opóźniona w rozwoju. Trzydzieści tygodni temu podczas szkolnej wycieczki w góry Santa Monica ktoś ją porwał i zabił. Dzieciaki wybrały się do jakiegoś rezerwatu należącego do miasta. Szkoła co roku organizuje tam wycieczki, żeby pokazać dzieciom trochę piękna.

– Wszystkie dzieci są opóźnione?

– Każde ma jakiś problem. To szkoła specjalna. Przetarł ręką twarz, jakgdyby chciał się umyć bez wody.

– Historia wygląda mniej więcej tak: dzieciaki zawieziono wynajętym autobusem i wysadzono przy wejściu do rezerwatu. Potem przewędrowały pieszo niecały kilometr w głąb parku. Prawie od razu robi się tam gęsto od drzew i chaszczy, ale dla początkujących są wyraźnie oznaczone ścieżki. Dzieciaki biegały mniej więcej przez godzinę, coś przegryzły, zrobiły w lesie kupkę i siusiu, po czym wróciły do autobusu. W sumie minęły prawie dwie godziny. Zwołano zbiórkę i okazało się, że nie ma Irit. Zaczęto jej szukać, lecz nie znaleziono. Ktoś zadzwonił na komendę w Westside. Stamtąd wysłano kilka radiowozów z policjantami, ale i oni nie trafili na ślad dziewczynki. Zadzwonili po oddział specjalny. Pół godziny czekali na psy, drugie pół godziny upłynęło, zanim psy wywęszyły ciało. Zwłoki leżały ponad kilometr dalej w sosnowym zagajniku. Nie znaleziono żadnych śladów przemocy, żadnych pręg od uduszenia, żadnych krwiałków pod skórą, żadnej opuchlizny ani śladu krwi. Gdyby nie pozycja, w jakiej leżały zwłoki, pewnie uznano by, że dziecko dostało jakiegoś

ataku albo coś w tym rodzaju.

– Ta pozycja miała związek z seksem?

– Nie. Za chwilę pokażę ci, o co chodzi. Koroner znalazł obrażenia mięśni gnykowych, mostkowo-gnykowych i krtaniowych. Brak śladów gwałtu.

– Uduszenie – powiedziałem. – Ale dlaczego nie wystąpiły ślady zewnętrzne?

– Koroner mówił, że coś takiego jest możliwe, kiedy siła duszenia zostanie rozłożona na jak największej powierzchni. Wystarczy użyć czegoś miękkiego, jak zwinięty ręcznik czy ramię w ubraniu. Fachowcy nazywają to łagodnym uduszeniem.

Skrzywił się, wziął teczkę leżącą na wierzchu i otworzył na stronach ze zdjęciami przymocowanymi plastikowymi kawałkami taśmy.

Część z nich przedstawiała las w miejscu zbrodni. Na pozostałych widać było chudą dziewczynkę z jasnymi włosami. Nosila białą koszulkę z krótkimi rękawami, wykończoną koronkową lamówką wokół kołnierzyka i rękawów, niebieskie dżinsy, białe skarpetki i różowe buty z plastiku. Była bardzo chuda. Ręce i nogi miała cienkie jak patyki. Wyraźnie odznaczały się łokcie, jakby właśnie powiększały się dzięki nagłemu zastrzykowi hormonu wzrostu w okresie dojrzewania. Na oko mogła mieć dwanaście, a nie piętnaście lat. Leżała na plecach na tle brązowej ziemi z rękami ułożonymi wzdłuż tułowia i stopami ściągniętymi razem. Jak na upadek wyglądało to zbyt symetrycznie. Jak gdyby ktoś ją ułożył.

Wpatrywałem się w zbliżenie twarzy. Oczy zamknięte, usta lekko rozwarte, długie, kręcone ciemnoblond włosy rozsypane na ziemi.

Znów ktoś to ułożył.

Sprawca sienie spieszył... bawił się.

Wróciłem do ujęcia całego ciała. Ręce ułożone wzdłuż ud, otwarte dłonie zwrócone wewnętrzną stroną do góry, jakby pytała – dlaczego?

Ponure szarooliwkowe cienie układające się na bladej twarzy niczym pociągnięcia pędzla.

Światło przebijające się przez korony drzew.

Poczułem ucisk w klatce piersiowej i zacząłem zamykać teczkę, kiedy moją uwagę przykuł mały, różowy przedmiot koło prawego ucha dziewczynki.

– Co to?

– Aparat słuchowy. Była także głucha. Częściowo na jedno ucho i całkowicie na drugie.

– Chryste. – Odłożyłem teczkę. – Irit Carmeli. Czy to włoskie nazwisko?

– Izraelskie. Jej ojciec jest wielką szycią w izraelskim konsulacie. I dlatego niezbyt dobrze wygląda, że przez trzy miesiące policja nie potrafiła wpaść na żaden trop.

– Trzy miesiące – powtórzyłem. – Nie przypominam sobie, żebym czytał o tym w prasie.

– Nie pisali o tym w prasie. Zasłona dyplomatyczna.

– Wygląda na to, że sprawa jest z gatunku beznadziejnych.

– Można wpaść w depresję już na samą myśl, że przydzielą ci coś takiego. Masz jakieś przecucia?

– Sprawca się nie spieszył – zacząłem. – To znaczy, że najprawdopodobniej porwał ją wkrótce po przyjeździe. Kiedy widziano ją po raz ostatni?

– Tego nikt nie jest pewien. Gdy dzieciaki wypuszczono z autobusu, zaczęły biegać po całym lesie i zrobił się ogromny harmider. Zresztą po to zorganizowano tę wycieczkę. Szkoła już wcześniej przywoziła dzieci w to miejsce i uznano, że mogą tam bezpiecznie pohasać.

– Jak morderca mógł dotrzeć niepostrzeżenie?

– Pewnie skorzystał z którejś z bocznych dróg. Pełno ich tam. Dochodzą do lasu z trzech stron: od Valley, od Santa Monica i od Bulwaru Zachodzącego Słońca. Miejsce, gdzie biegały dzieci, jest oddzielone od najbliższej drogi pasem gęstego lasu. Żeby na nie trafić, trzeba dobrze znać teren, co znaczy, że to ścierwo go znało. Przyjechał na piechotę albo przyjechał samochodem. Jeśli samochodem, to zaparkował daleko, bo na najbliższych okolicznych drogach nie znaleziono nic, żadnych śladów.

– Parkuje, przedziera się między drzewami, znajduje miejsce, skąd widzi dzieciaki, i obserwuje – mówiłem. – Znaleźli jakieś ślady na dalszych drogach?

– Nic, co dałoby się jednoznacznie zidentyfikować, po prostu tam jest za duży ruch. Nie mogę ci też przysiąc, że od razu sprawdzili każdy centymetr kwadratowy parku, bo na początku nie uznano tego za morderstwo, tylko za zaginięcie jednego z dzieci. Oprócz jednostki specjalnej, nauczycieli i strażników z parku na miejscu zjawił się też ojciec dziewczynki z całym zastępem pracowników konsulatu i bałagan zrobił się jeszcze większy.

– A co z oględzinami miejsca zbrodni?

– Nie znaleziono niczego, jeśli nie liczyć kilku słomek, które według facetów z laboratorium pochodzą z miotły. Zdaje się, że ten sukinsyn pozamiatał cały teren wokół niej.

– Czyścioszek – stwierdziłem. – Typ obsesyjny. To dlatego tak dokładnie ułożył ciało.

Zmusiłem się, by spojrzeć jeszcze raz na zdjęcia, i wyobraziłem sobie pochyloną nad dziewczynką twarz okrutnego monstrum. Ale to nie tak. Zawsze okazywało się, że sprawcą jest człowiek, a nie potwór.

Układanie. Manipulacja.

Zamiatanie.

– Uduszenie i układanie zwłok niemal zawsze mają tło seksualne – powiedziałem. – Na pewno nie zauważono śladów gwałtu?

– Nie. Była dziewicą. Zresztą wiesz, jak gwałciciele zazwyczaj układają ciało: rozsuwają nogi, żeby było widać genitalia. A tu odwrotnie, Alex. Kiedy pierwszy raz spojrzałem na te zdjęcia, miałem wrażenie, że to nie dziewczynka, lecz lalka.

– Zabawa lalkami – odezwałem się niskim, szorstkim głosem.

– Przepraszam, że zawracam ci tym głowę – usprawiedliwił się Milo.

– Jak bardzo opóźniona w rozwoju była ta dziewczynka?

– Zgodnie z tym, co piszą w aktach, „nieco opóźniona”.

– Porwana po cichu i zaciągnięta ponad kilometr dalej. Ile ważyła?

– Trzydzieści pięć kilo.

– A więc mamy do czynienia z kimś silnym – stwierdziłem. – Braliście pod uwagę możliwość, że po prostu zboczyła ze ścieżki i miała pecha?

– Między innymi. Jest też druga teoria, że facet z jakiegoś powodu wybrał właśnie ją. To, że niczego nie słyszano, da się łatwo wyjaśnić – wystarczy, że zakrył jej usta dłonią i odciągnął z dala od dzieciaków. Ale jeśli rzeczywiście to zrobił, działał bardzo delikatnie – nigdzie nie znaleźliśmy żadnych śladów palców, żadnych siniaków.

– A zatem nie ma dowodów, że się broniła?

Milo pokręcił głową.

– Czy była tylko głucha, czy głuchoniema?

– Mówiła, lecz niewyraźnie, a jej językiem ojczystym był hebrajski.

– Ale krzyczeć mogła?

– Tak mi się wydaje. – Milo dopił mleko i ścisnął kartonik.

– Obserwował, aż wypatrzył ofiarę – mówiłem. – Osaczył stado i wybrał najślabszą sztukę. Ile dzieci było w grupie?

– Czterdzieści dwoje. Plus czwórka nauczycieli i dwie osoby do pomocy. Część dzieci porusza się

na wózkach i wymaga szczególnej opieki. Między innymi dlatego te dzieci, które mogły biegać, miały dużo swobody.

– Nie do wiary, tylu ludzi i nikt niczego nie zauważył?

Milo znów pokręcił głową i wskazał akta.

– Z każdym rozmawiano po dwa, trzy razy. Nauczyciele, kierowca autobusu, dzieciaki – o ile tylko mogły mówić.

– Jak często odbywają się wycieczki do tego parku?

– Raz do roku, od pięciu lat.

– Czy wycieczkę uzgodniono z władzami parku?

Skinął głową.

– Wiele szkół tam przyjeżdża.

– A więc ktoś, kto zna ten park, mógł wiedzieć, że przyjadą tam dzieci niepełnosprawne. Łatwe ofiary.

– Gorobich i Ramos, ci dwaj, którzy rozpoczęli tę sprawę, przesłuchali cały personel szkoły i parku, nie wyłączając też byłych pracowników. Jedyne zapis w aktach policyjnych, na jaki natrafili, pochodził sprzed lat i dotyczył dwóch ogrodników, których zatrzymano kiedyś za jazdę po pijanemu. Na ten dzień mieli jednak alibi.

– Wygląda na to, że chłopcy przyłożyli się do pracy.

– Obaj byli bardzo kompetentni, a fakt, że zamordowano dziecko, i to dziecko dyplomaty, nadał sprawie szczególnej wagi. Ale nie znaleźli dosłownie nic i w zeszłym tygodniu oddelegowano ich do pracy przy sprawach kradzieży samochodów. Naciski z góry.

– Zamienili dwóch detektywów na jednego? – zapytałem. – Nie przeczę, że jesteś dobry, ale...

– Tak, tak, ja też ich o to zapytałem. Porucznik tylko wzruszył ramionami i powiedział: „Co, Sturgis, chcecie powiedzieć, że nie jesteście geniuszem?” Jedyne wyjaśnienie, jakie mi przychodzi do głowy, to takie, że Izraelczycy uznali, że udzielili nam już wszelkiej możliwej pomocy i chcą, żebyśmy sami dalej nad tym główkowali, lecz bez rozgłosu, żeby nie dowiedzieli się o tym arabscy terroryści i nie zaczęli porywać innych dzieciaków z konsulatu. A dlaczego właśnie ja? – Wzruszył ramionami. – Może słyszeli o rozwiązaniu sprawy Devane’a.

– A zatem masz wszystko załatwić szybko i po cichu – stwierdziłem. – Sytuacja nie do pozazdroszczenia.

– Ta sprawa już na pierwszy rzut oka wygląda beznadziejnie, Alex. Z tego co wiem, ktoś po prostu

chce mnie wygryźć z wydziału. Porucznik miał gębę uśmiechniętą od ucha do ucha, kiedy mi powierzał to zadanie. – Milo postukał palcami w pudełko.

Wziąłem do ręki drugą teczkę. Strona po stronie spisane przesłuchania członków rodziny, nauczycieli. Mnóstwo nużącej policyjnej paplaniny. Trzeba nie lada hartu ducha, żeby się przez to przedrzeć, ale brak tu rewelacji. Odłożyłem teczkę.

– No i co? – zapytał Milo. – Coś jeszcze?

– Wszystko planuje z góry, podkrada się. Być może lubi przebywać na świeżym powietrzu. Silny. Niewykluczone, że już molestował dzieci. Podglądacz albo ekshibicjonista. Dość inteligentny, by zacząć się i zaczekać na właściwy moment do ataku. Być może pedantyczny także w życiu codziennym. Nie zgwałcił jej, więc zapewne wystarczyło mu samo podniecenie wywołane pogonią. Osaczenie i porwanie.

Wybrał najsłabszą sztukę ze stada...

– Jeśli przyjmiemy, że wybrał Irit specjalnie, to dlaczego właśnie ją? Przebywało tam mnóstwo innych dzieci, więc dlaczego upatrzył sobie właśnie ją?

– Dobre pytanie.

– Nie sądzisz, że ma to związek ze stanowiskiem jej ojca?

– Ojciec twierdzi, że nie, a ja z kolei sądzę, że gdyby to była sprawa polityczna, Izraelczycy sami by się nią zajęli.

– Córka dyplomaty – powiedziałem. – Czy przeszła w związku z tym jakieś specjalne szkolenie? Czy była w jakiś szczególny sposób bezbronna z powodu swej niesprawności?

– Gorobich mówił, że pytał o to ojca, ale facet go spławił, upierając się, że Irit stała się przypadkową ofiarą, że Los Angeles jest pełne niebezpiecznych psychopatów i nikt tu nie jest bezpieczny.

– A ponieważ jest ważną osobistością, nikt na niego naciskał.

– To raz, a po drugie Gorobich i Ramos przyznali mu rację. Nic nie wskazywało na to, by dziewczynka w jakikolwiek sposób sprowokowała to, co się stało. Po prostu jakiś porąbaniec zaczął się na nią, porwał ją, a potem posprzątał. Tak jak powiedziałeś – bawił się. Dla niego to była jakaś pieprzona gra. O Boże, nie znoszę, kiedy spotyka to dzieci.

Wstał i przeszedł kilka kroków, otworzył lodówkę, zajrzał do środka i zamknął drzwiczki. Potem wyrzwał przez okno w kuchni.

– Rozmawiałeś już z rodzicami? – zapytałem.

– Dziś poprosiłem o spotkanie i czekam na wyznaczenie terminu.

– Trzy miesiące bez żadnych postępów – rzekłem. – Do tej pory żal mógł się już zmienić w gniew. Teraz może być jeszcze trudniej do nich dotrzeć.

– Tak – odparł Milo. – Tym zajmę się później. Ale drzewa nie są tak wrażliwe, więc może rzucimy okiem na miejsce zbrodni?

Dojazd zajął nam niecałe pół godziny. Należało skręcić z Bulwaru Zachodzącego Słońca w prawo i w Brentwood minąć skrzyżowanie z Pacific Palisades. Żadnych znaków. Czasami ludzie, którzy kochają naturę, uważają, że inni nie powinni zakłócać jej harmonii.

Typowa szeroka przedmiejska ulica obudowana po obu stronach drewnianymi domkami średnich rozmiarów zmieniała się w jednopasmową zwężającą się coraz bardziej drogę porośniętą po obu stronach krzewami. W tym miejscu szkolny autobus na pewno ocierał się o gałęzie.

Metalowa brama wjazdowa do parku pomalowana była na kolor dający się umiejscowić gdzieś między musztardowym a żółtym. Zamknięto ją tylko na skobel, nie na kłódkę. Natknęliśmy się na pierwszy znak – pomarańczową tablicę postawioną przez władze miasta z informacją, w jakich godzinach park jest czynny. Do otwarcia została jeszcze godzina. Wsiadłem, odemknąłem skobel i wróciłem do nie oznakowanego wozu policyjnego, którym przyjechaliśmy. Wjechaliśmy do parku po asfaltowej drodze gęsto obrosniętej ro ślinnością. Dalej asfalt zmienił się w ubitą ziemię, a krzewy w sosny, cedry, cyprysy i sykomory. Drzewa rosły tak blisko siebie, że tworzyły grube zielone ściany, przechodzące niemal w czerń. Trudno było wręcz dostrzec gałęzie i liście. Tu mógł się ukryć ktokolwiek lub cokolwiek.

Droga kończyła się na eliptycznej polanie. Wyblakłe białe linie wyznaczały dziesięć miejsc do parkowania. Stanęliśmy na jednym z nich. Za parkingiem ciągnął się trzymetrowej szerokości pas suchego, przyciętego trawnika, na którym stały trzy koślawe stoły piknikowe, kosiarka do trawy i kilka wypchanych i zawiązanych czarnych worków ze skoszoną trawą.

Za trawnikiem znów zaczynał się las.

Poszedłem za Milem przez trawnik do dwóch znaków umieszczonych jeden nad drugim. Tu zaczynała się ścieżka, prowadząca między drzewa. Górny znak głosił: SZLAK TURYSTYCZNY. NIE ZBACZAĆ ZE ŚCIEŻKI. I strzałka skierowana w lewo. Niżej, pod niezbyt przezroczystym plastikiem kryła się tabliczka, na której wymalowano piktogramy liści, jagód, żołądź, wiewiórek, zajęcy, sójki, węża. Pod rysunkiem grzechotnika znajdowało się ostrzeżenie, że podczas długich upalnych dni węże wypełzają na łowy.

Zaczęliśmy schodzić ścieżką w dół. Spadek był lekki, a szlak miejscami poprowadzono tarasami. Wkrótce od głównego szlaku zaczęły odchodzić inne ścieżki, bardziej strome, węższe. Drzewa wokół rosły tak gęsto, że słońce tylko gdzieś tam przebijało się przez ich korony.

Szliśmy szybko, w milczeniu. Dałem upust wyobraźni, snułem różne teorie, a jeden rzut oka na twarz Mila powiedział mi, że on robił to samo. Dziesięć minut później mój towarzysz zszedł ze ścieżki i zagłębił się między drzewa. Woń sosen była tu znacznie silniejsza – sprawiała wrażenie niemal sztucznej, niczym odświeżacz powietrza. Pod naszymi stopami pojawiło się igliwie i szyszki.

Szliśmy długo, aż w końcu Milo zatrzymał się na małej, niczym nie wyróżniającej się polance.

Właściwie trudno to było nawet nazwać polanką, po prostu nieco więcej przestrzeni między pniami ogromnych starych sosen porośniętymi zmarszczkami szarej kory. Pnie wznosiły się dookoła niczym greckie kolumny. To miejsce wydawało się odgrodzone, jak pokój w środku lasu.

Albo krypta.

Ktoś w ten sposób wyobrażał sobie grobowiec... Powiedziałem to głośno, lecz Milo nie odpowiedział.

Rozejrzałem się dookoła, nasłuchiwałem. Z oddali dochodził śpiew ptaków. W powietrzu brzęczały owady. Wokół nie było widać niczego poza drzewami. Żadnych ścieżek. Zapytałem o to Mila.

Wskazał palcem za siebie.

– Las kończy się około trzystu metrów w tamtą stronę, choć stąd tego nie widać. Wychodzi na otwarte pole, za którym przebiega droga, dalej są góry i znów drogi. Część z nich w końcu dochodzi do autostrad, ale większość prowadzi donikąd. Wczoraj przez cały dzień włóczyłem się po okolicy – samo chodem i pieszo. Spotkałem tylko wiewiórki i dwa wielkie jastrzębie. Krążyły w górze, więc zatrzymałem się, żeby sprawdzić, czy w okolicy nie ma przypadkiem jakichś innych zwłok. Niczego nie znalazłem, żadnych innych drapieżników.

Popatrzyłem w kierunku, który wskazał Milo. Żadnego prześwitu, najmniejszej choćby nadziei na wyjście.

– Co się stało ze zwłokami? – zapytałem.

– Pochowano ją w Izraelu. Rodzina wyjechała, posiedzieli tam około tygodnia i wrócili.

– Żydowskie obrzędy pogrzebowe trwają tydzień.

Milo uniósł brwi.

– Pracowałem na wydziale onkologicznym – wyjaśniłem.

Milo obszedł polankę. Wyglądał potężnie w tej ciemnej studni między drzewami.

– Odosobnione miejsce – odezwałem się. – Tylko nieco ponad kilometr od autobusu, ale odosobnione. To musiał być ktoś, kto naprawdę dobrze zna tę okolicę.

– Kłopot w tym, że to spostrzeżenie wcale nie zawęży nam listy podejrzanych. To miejsce ogólnodostępne. Wciąż pełno tu turystów.

– Szkoda, że tamtego dnia nie było w pobliżu nikogo.

Milo przystanął.

– Co masz na myśli?

– Sprawę wyciszono. Skąd ewentualny świadek miał wiedzieć, że powinien się zgłosić?

Milo zamyślił się.

– Muszę porozmawiać z rodzicami. Choć teraz pewnie i tak jest już za późno.

– Może uda ci się nakłonić ich do pójścia na kompromis, Milo. Powiadom o morderstwie, nie wymieniając nazwiska Irit. Co prawda muszę się z tobą zgodzić, że po tak długim czasie trudno liczyć na jakiś sukces.

Kopnął mocno w drzewo, pomamrotał i znów zaczął chodzić, rozglądając się na wszystkie strony.

– Coś jeszcze? – zapytał.

Pokręciłem głową i wróciliśmy na parking.

Tym razem kosiarka już pracowała. Śniady mężczyzna w kombinezonie koloru khaki i kasku jeździł w tę i z powrotem po trawniku. Na chwilę odwrócił się w naszą stronę, po czym wrócił do koszenia. Twarz osłaniał mu brzeg kasku.

– I co, strata czasu? – zapytał Milo uruchamiając silnik policyjnego wozu i cofając go z parkingu.

– Nigdy nie wiadomo.

– Będziesz miał czas, żeby przeczytać akta?

Myśląc o twarzy Irit Carmeli, odparłem:

– Mnóstwo czasu.

Obserwator

Nie zwrócili na niego uwagi, był tego pewien.

Po odjeździe nie oznakowanego samochodu policyjnego odczekał dwadzieścia minut, zsiadł z kosiarki, zawiązał ostatni czarny worek, wsiadł z powrotem na kosiarkę i ruszył w stronę wyjścia z parku. Zatrzymał się w pewnej odległości od żółtej bramy i zepchnął kosiarkę na pobocze. Pracownicy parku nigdy jej nie szukali. Swobodnie interpretowany regulamin.

Bardzo swobodnie. Na nieszczęście dziewczynki.

Ta kosiarka to doskonałe znalezisko. Dobry dodatek do kombinezonu.

Jak zwykle kombinezon okazał się bardzo przydatny: robotnik pracujący na zlecenie jakiejś oficjalnej instytucji nie rzuca się w oczy.

Samochód – szarą toyotę cressidę na fałszywych numerach – zaparkował trzy przecznice dalej. W schowku w desce rozdzielczej leżała legitymacja inwalidzka, a w pudełku pod siedzeniem kierowcy – półautomatyczny pistolet kalibru dziewięć milimetrów.

Mężczyzna był szczupły i lekki. Szedł szybko. Trzy metry od samochodu wyłączył alarm za pomocą pilota, rozejrzał się wokół, po czym błyskawicznie wsiadł do toyoty i popędził w stronę Bulwaru Zachodzącego Słońca. Kiedy już tam dotarł, skręcił na wschód.

W tym samym kierunku, w którym pojechali ci dwaj.

Detektyw i psycholog, a żaden z nich nawet na niego nie spojrział.

Detektyw był tęgawy, o masywnych rękach i nogach, obwisłych ramionach. Wyglądał jak byk. Miał workowatą, kostropatą twarz byka – nie, nosorożca.

Nosorożec w depresji. Już wyglądał na zniechęconego.

Jak pogodzić taki pesymizm z jego reputacją? A może wszystko się zgadzało. Facet był zawodowcem, musiał więc wiedzieć, że istnieje bardzo nikła szansa na poznanie prawdy.

Czy będzie przez to rozsądny?

Psycholog był zupełnie inny. Czujny aż do przesady, oczy lustrujące wszystko dookoła.

Skupiony.

Szybszy i mniejszy od detektywa – mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. To i tak ponad

siedem centymetrów więcej niż mierzył śniady mężczyzna. Nie stał w miejscu. Poruszał się z pewną gracją. Jak kot.

Wysiadł z samochodu, nim detektyw zdążył wyłączyć silnik.

Pełen zapału, żądny sukcesu?

W przeciwieństwie do detektywa psycholog dbał o siebie. Był dobrze zbudowany, miał kręcone ciemne włosy. Nieco długie, ale równo przycięte. Gładka jasna skóra, kwadratowa szczęka. Błede szeroko otwarte oczy.

Bardzo ruchliwe oczy.

Jeśli tak się zachowywał wobec pacjentów, to jak udawało mu się ich uspokoić?

A może nie przyjmował zbyt wielu pacjentów?

Uważał się za detektywa.

W niebieskiej sportowej kurtce, białej koszuli, wyprasowanych spodniach koloru khaki wyglądał jak jeden z tych profesorków, którzy pozwali na luz.

Często luz okazał się fałszywy. Udawali, że wszyscy są równi, ale wyraźnie dawali innym odczuć wyższość wynikającą z hierarchii i pozycji społecznej.

Śniady mężczyzna zastanawiał się, czy psycholog należał właśnie do takich ludzi.

Jadąc w stronę Brentwood, znów przypomniał sobie szybki energiczny krok psychologa.

Było w nim mnóstwo energii.

Do tej pory nikt nawet nie zbliżył się do wyjaśnienia, co stało się Irit.

Psycholog natomiast parł do przodu – może był optymistą.

Albo po prostu amatorem, zbyt naiwnym, by wiedzieć, co go czeka.

Milo podwiózł mnie i wrócił na komendę policji w zachodnim Los Angeles. Kiedy wchodziłem po frontowych schodach, dobiegło mnie z podwórza zawodzenie krajzugi Robin. Zawróciłem i poszedłem do jej pracowni w ogrodzie. Przy wejściu wylegiwał się Spike, nasz mały buldog francuski. Czarna kupka sierści i mięśni wyglądała jak mata przed drzwiami. Spike przestał chrapać tylko na chwilę, by podnieść głowę i spojrzeć, kto idzie. Poglaskałem go po karku i przeszedłem nad jego cielskiem.

Podobnie jak dom, pracownię w ogrodzie pokryto białą sztukaterią. Był to niewielki, kryty dachówką budynek z mnóstwem okien. Stał w cieniu gałęzi sykomory. Czyste, przestronne wnętrza zalewały promienie słońca wpadającego ukośnie przez okna. W całej pracowni poustawiano gitary w różnych stadiach wykończenia. Powietrze przesiąknięte było ostrym zapachem żywicy ze świeżo ciętego drzewa. Robin przesuwiała właśnie po stole krajzugi kawał klonu. Poczekałem, aż skończy i wyłączy maszynę, i dopiero wtedy podszedłem. Kasztanowe loki Robin upięła w kok. Fartuch miała cały w drzewnym pyłe, koszulkę pod spodem mokrą od potu, podobnie jak twarz.

Wytarła ręce i uśmiechnęła się. Objąłem ją ramieniem i pocałowałem w policzek. Odwróciła twarz i podała mi usta, po czym odsunęła się i otarła czoło.

– Dowiedziałeś się czegoś?

– Nie. – Opowiedziałem jej o parku i o leśnej krypcie między drzewami.

Otworzyła szeroko oczy i wzdrygnęła się.

– To brzmi jak koszmar. I co dalej?

– Milo poprosił mnie, żebym przejrzał akta.

– Już dawno nie angażowałeś się w takie sprawy, Alex.

– To prawda. Powinienem szybko zabrać się do pracy. – Pocałowałem ją w czoło i wyszedłem.

Patrzyła, jak odchodzę.

Po trzech godzinach ustaliłem, co następuje:

Zev Carmeli i jego żona mieszkali w wynajętym domu przy dobrej ulicy w Beverlywood, teraz już tylko z jedynym dzieckiem, jakie im zostało, siedmioletnim chłopcem o imieniu Oded. Zev Carmeli miał trzydzieści osiem lat, urodził się w Tel Awiwie i zrobił karierę w służbie dyplomatycznej. Jego żona Liora była od niego o cztery lata młodsza, urodziła się w Maroku, ale dorastała w Izraelu. Pracowała jako nauczycielka hebrajskiego w żydowskiej szkole w West Side.

Cała rodzina przybyła do Los Angeles cztery lata temu z Kopenhagi, gdzie Carmeli pracował przez

trzy lata jako attache w ambasadzie Izraela. Dwa lata przed Kopenhagą oddelegowano go do ambasady w Londynie. Wtedy też otrzymał magisterium ze stosunków międzynarodowych na uniwersytecie londyńskim. Zev Carmeli, jego żona i syn Oded mówili płynnie po angielsku. Irit mówiła „bardzo dobrze, zważywszy na okoliczności” – twierdził jej ojciec.

Wszystkie cytaty w aktach pochodziły z ust ojca.

Kłopoty dziewczynki ze zdrowiem zaczęły się od przypominającej grypę choroby, jaką przeszła w wieku sześciu miesięcy. Carmeli mówił, że jego córka była „trochę niedojrzała, ale zawsze dobrze się zachowywała”. Określenie „niedorozwinięta” nie pojawiło się w aktach ani razu, ale w opinii dostarczonej przez szkołę Irit, Ośrodek na rzecz Rozwoju, wymieniano „różnorakie problemy w nauce, obustronne uszkodzenie słuchu, całkowitą głuchotę w prawym uchu oraz niewielkie lub średnie opóźnienie w rozwoju”.

Tak jak powiedział Milo, Carmeli upierał się, że nie ma wrogów w Los Angeles, i zdawkowymi odpowiedziami zbywał wszelkie pytania na temat pracy i sytuacji politycznej na Bliskim Wschodzie.

Detektyw E.J. Gorobich napisał: Ojciec ofiary oświadczył, że w konsulacie zajmuje się „koordynacją wydarzeń”. Kiedy poprosiłem go o przykład, powiedział, że wiosną organizował paradę z okazji Dnia Niepodległości Izraela. Gdy spytałem o inne wydarzenia, które koordynował, odparł, że było ich wiele, ale parada była głównym osiągnięciem. Po pytaniu o możliwe powiązania między tym, co przydarzyło się Irit, a jego stanowiskiem i sytuacją polityczną, stał się wyraźnie podenerwowany i oświadczył: „To nie miało nic wspólnego z polityką, to był jakiś szaleniec! Przecież w tej waszej Ameryce roi się od szaleńców!”

Ośrodek na rzecz Rozwoju okazał się małą prywatną szkołą w Santa Monica, specjalizującą się w uczeniu dzieci z wadami w rozwoju psychicznym i fizycznym. Czesne było tu wysokie, a na każdego nauczyciela przypadało zaledwie kilku uczniów.

Szkolny autobus zabierał Irit każdego ranka o ósmej i odwoził o trzeciej po południu. Pani Carmeli uczyła tylko rano i zawsze była w domu, by otworzyć drzwi, kiedy córka wracała ze szkoły. Młodszy brat Oded uczęszczał do szkoły, w której uczyła matka i miał lekcje do czwartej po południu. Przed morderstwem Irit przywozili go rodzice kolegów albo pracownik konsulatu. Po tragedii, jaka spotkała Irit, pan albo pani Carmeli odbierali syna ze szkoły osobiście.

Informacje na temat postępów Irit w nauce były skąpe. Żadnych stopni, żadnych testów sprawdzających, tylko ocena jej nauczycielki Kathy Brennan, że Irit „czyni ogromne postępy”.

Panią Brennan przesłuchiwał partner Gorobicha, detektyw Harold Ramos.

Świadek oznajmiła, że czuje się „cała rozbita” i „winna” tego, co się przydarzyło ofierze, choć wracając myślami do wydarzeń tamtego dnia, nie znajduje niczego, co mogłaby zrobić inaczej. Może tylko tyle, że nie spuszczałaby ofiary z oka, co byłoby niemożliwe, gdyż w parku przebywało czterdzieści dwoje dzieci, z czego kilka wymagało dodatkowej opieki (poruszały się na wózkach i temu podobne). Pani Brennan stwierdziła także, że szkoła od lat regularnie organizuje wyjazdy do

parku i zawsze uważano go za bezpieczne miejsce, gdzie „dzieci mogą przez chwilę pobiegać samopas i być po prostu dziećmi”. Świadek oświadczyła, że nie widziała nic podejrzanego, choć „od myślenia omal jej się mózg nie *przegrzał*”. Świadek powiedziała następnie, że denatka była „naprawdę miłym dzieckiem, takim słodkim, w ogóle nie sprawiającym kłopotów. Dlaczego zawsze muszą cierpieć najmilszi?” Po tych słowach pani Brennan załamała się i zaczęła płakać. Zapytana czy wiadomo jej o innych przypadkach cierpienia najmilszych, powiedziała: „Nie, nie. Wiecie, o co mi chodzi. Wszystkie dzieci są miłe, wszystkie mają kłopoty. To po prostu niesprawiedliwe, że ktoś robi coś takiego dziecku!”

Potem miały miejsce rozmowy w cztery oczy ze wszystkimi nauczycielami i wolontariuszami, którzy brali udział w wycieczce, oraz z nauczycielami, którzy zostali w szkole, z dyrektorem Ośrodka na rzecz Rozwoju, doktorem Rothsteinem, kierowcą autobusu Alonzo Burnsem i kilkoma uczniami z klasy Irit. Nie załączono transkrypcji rozmów z dziećmi. Zamiast tego Gorobich i Ramos przedstawili czterdzieści dwa identyczne streszczenia:

Świadek Salazar Rudy, lat dziewięć, niewidoma, przesłuchana w obecności rodziców, twierdzi, że nic nie wie.

Świadek Blackwell Amanda, lat sześć, niesprawność kończyn dolnych, nie opóźniona w rozwoju, przesłuchana w obecności rodziców, twierdzi, że nic nie wie.

Świadek Shoup Todd, lat jedenaście, opóźniony w rozwoju, porusza się na wózku inwalidzkim, przesłuchany w obecności matki, twierdzi, że nic nie wie.

Koniec tej teczki.

Grubsza teczka zawierała przesłuchania pracowników parku i wyniki obchodu wszystkich domów w okolicy. Dwudziestu ośmiu pracowników parku i blisko setka osób mieszkających w sąsiedztwie. Gorobich i Ramos ponownie kontaktowali się z nimi telefonicznie dwa tygodnie później. Niestety, z tym samym rezultatem: nikt nie widział ani nie słyszał niczego niezwykłego w parku ani w okolicy.

Jeszcze raz przeczytałem sprawozdanie koronera, krzywiąc się na widok określenia „delikatne uduszenie”. Potem wzięłem się za opasły plik kartek zadrukowanych przez komputerową drukarkę. Pierwsza strona nosiła pieczęć stanowego Departamentu Sprawiedliwości z siedzibą w Sacramento. Wydruk przygotowała sieć informacji o groźnych przestępstwach.

Dalej znalazłem pięć oddzielnych spisów nazwisk, każdy starannie ułożony, opatrzony odpowiednim akronimem i podtytułem – OBSZAR UJĘCIA. We wszystkich pięciu zestawieniach obok kodu pocztowego rejonu, gdzie znajdował się park, i kodów trzech sąsiadujących rejonów wpisano następujące skróty:

1.SAR (Rejestr przestępstw na tle seksualnym).

2.SHOP (Spis notorycznych przestępców seksualnych).

3.ACAS (Rejestr przypadków molestowania dzieci).

4.ISU (Spis szczególnie groźnych przestępstw).

5.SRF (Lista osób na zwolnieniu warunkowym lub pod kuratelą).

Pięć baz danych pełnych informacji na temat gwałcicieli. Naliczyłem dwieście osiemdziesiąt trzy nazwiska. Powtarzające się zakreślono czerwonym długopisem. Dziewięćdziesięciu siedmiu, z czego czterech powtarzało się na różnych listach, zatrzymano i przebywali w areszcie. Dwa turkusowe zakreślenia oznaczały morderców dzieci przebywających na zwolnieniu warunkowym. Jeden mieszkał niespełna pięć kilometrów od parku, drugi w Bell Gardens.

Gorobich i Ramos natychmiast przesłuchali obu zabójców i sprawdzili ich mocne alibi na dzień, w którym popełniono morderstwo. Detektywi skorzystali następnie z pomocy trzech innych oficerów śledczych, dwóch urzędników cywilnych i trzech policjantów ochotników, by zlokalizować stu osiemdziesięciu sześciu innych przestępców znajdujących się na wolności. Jednak żadne z nazwisk podanych przez Departament Sprawiedliwości nie przypominało nazwisk pracowników parku, sąsiadów, nauczycieli, dyrektora czy kierowcy.

Trzydziestu jeden mężczyźni naruszyło zasady zwolnienia warunkowego i poszukiwano ich. Odręczna notatka w aktach informowała, że jedenastu już ujęto. Z innymi nawiązano kontakt – wszyscy przedstawili alibi o różnym stopniu wiarygodności. W raporcie Ramos nie wymieniał żadnych podejrzanych, bowiem „żadna z poznanych już metod działania tych morderców nie pasuje do rozpatrywanego zabójstwa. Zważywszy na brak gwałtu czy innych wyraźnych oznak, nie jest nawet pewne, czy było to w ogóle przestępstwo na tle seksualnym”.

Przeczytałem uważnie informacje dotyczące metod działania ujętych morderców.

Z wyjątkiem kilku ekshibicjonistów, ci molestujący dzieci bili swoje ofiary, gwałcili je, mieli z nimi fizyczny kontakt. Większość z nich znała wcześniej ofiary: córki, synów, siostrzenice, bratanków, wnuki, pasierbów, dzieci narzeczonych, kumpli od kieliszka, sąsiadów.

Obaj mordercy, którzy dostarczyli alibi, zabili znane sobie dzieci. Jeden okładał pięściami dwuletnią córeczkę swojej narzeczonej dotąd, aż ją zabił. Drugi, a właściwie druga – bo była to kobieta – z premedytacją utopiła własnego syna w wannie.

Blisko dwieście drapieżników biegających na wolności na stosunkowo niewielkim obszarze...

Dlaczego podano spisy tylko z czterech rejonów pocztowych?

Bo detektywi nie mogli być wszędzie i gdzieś trzeba było poprowadzić granicę.

Czy podwojenie, potrojenie, a nawet czterokrotne powiększenie sił policyjnych przyniosłoby jakieś efekty?

Los Angeles to rozpostarty szeroko moloch, w którym króluje samochód. Daj złoczyńcy trochę pieniędzy na benzynę i kawę, a może pojechać dokądkolwiek, być wszędzie.

Wystarczy wskoczyć na autostradę, zostawić za sobą koszmary i można jeszcze zdążyć na wieczorny dziennik. A potem, objadając się chipsami, onanizować się z oczami wlepionymi w czołówki wiadomości, w nadziei na sławę.

Jeżdżenie bez celu było jedną z charakterystycznych cech sadystycznych gwałcicieli.

Ale Irit nie torturowano.

A może jednak mieliśmy do czynienia z podróżnikiem, kimś kto lubi boczne drogi. Być może zabójca był już na Alasce i łowił łososie, albo przechadzał się promenadą w Atlantic City lub objadał się zupą gumbo we francuskiej dzielnicy Nowego Orleanu.

Obserwując...

Mimo cyfrowej dokładności wydruki wydały mi się prymitywne. Odłożyłem je i wziąłem do ręki cienką czarną teczkę.

Wciąż rozmyślałem o dwustu drapieżnikach na obszarze zaledwie czterech stref pocztowych. Co to za społeczeństwo, które wypuszcza na wolność gwałcicieli i zabójców dzieci?

„Już dawno nie angażowałeś się w takie sprawy”.

W czarnej tezcze znajdowały się lotnicze zdjęcia miejsca zabójstwa – gęste ciemnozielone korony drzew. Sztuczne i odległe niczym szkic architektoniczny.

Ciemne wstążki przy górnej krawędzi zdjęcia to drogi. Naczynia krwionośne karmiące góry, wąwozy i leżące za nimi miasto. Z fotografiami sąsiedował śnieżnobiały list na papierze firmowym FBI. Korespondencja z nagłówkiem „Szanowny Detektywie Gorobich” pochodziła od agentki specjalnej Gail Gorman z regionalnego biura Wydziału Nauk Behawioralnych FBI w San Diego.

Gorman potwierdzała przyjęcie fotografii lotniczych, danych dotyczących miejsca zbrodni i wypełnionego kwestionariusza, ale z żalem stwierdzała, że informacji jest za mało, by można było określić dokładny portret zabójcy. Dodawała jednak, że najprawdopodobniej złoczyńca jest białym mężczyzną po trzydziestce, o średnim lub nieco większym ilorazie inteligencji, typ niemaniakalny, prawdopodobnie obsesyjny perfekcjonista, o nienagannym, schludnym i niczym nie wyróżniającym się wyglądem. Teraz prawdopodobnie pracujący, ale w przeszłości zwalniany z wielu posad.

Co do odpowiedzi na pytanie o seksualne podłoże zabójstwa, agentka Gorman znów posłużyła się oficjalną wymówką, iż ma zbyt mało danych, po czym napisała, że „mimo oczywistej premedytacji, z jaką popełniono zbrodnię, brak elementów sadystycznych czy brutalnych oraz brak jakichkolwiek śladów gwałtu skłania raczej ku stwierdzeniu, że nie było to zabójstwo na tle seksualnym. Gdyby jednak pojawiły się kolejne zabójstwa o podobnym charakterze, byłibyśmy wdzięczni za nadesłanie o nich informacji”.

List kończył się sugestią, że „należy dokładniej przeanalizować charakterystykę ofiary: wiek, grupę etniczną, szczególne wady rozwoju. Być może to zabójstwo popełnił ktoś obcy – z premedytacją lub bez. Nie można jednak wykluczyć możliwości, że ofiara знаła zabójcę. Właśnie tę ewentualność należy zbadać, choć – jak powtarzam – to tylko propozycja, a nie konkretny wniosek. Argument przeciwko znajomości między ofiarą a zabójcą, to porzucenie ciała w łatwo dostępnym miejscu, gdzie prędzej czy później ktoś musiał je znaleźć. Argumenty przemawiające za taką znajomością to duszenie przy użyciu siły rozproszonej (delikatnej), dbałość o to, by zwłoki nie zostały uszkodzone”.

„Średni lub nieco większy iloraz inteligencji. Zorganizowany, obsesyjny, perfekcjonista”.

To pokrywało się z moim pierwszym wrażeniem.

Działa według planu – to ktoś, kto czerpie dumę z wymyślania łamigłówek i patrzenia, jak jej elementy wskakują na swoje miejsca.

Nie spieszy się – odciągnął Irit tylko ponad kilometr od autobusu właśnie dlatego, by mieć dużo czasu.

To dowodziło pewnej swobody – pewności siebie? Arogancji?

To był ktoś, kto wierzył, że jest inteligentny.

Czy dlatego, że już wcześniej coś takiego uszło mu na sucho?

Żaden z opisów znanych zbrodni zamieszczonych w aktach policji stanowej nie pasował do tego, co spotkało Irit.

Czy umknął wykrycia, bo ukrywał inne zwłoki?

A teraz postanowił dać światu znać o sobie?

Poczuł się bardziej pewny siebie?

Mój umysł analizował dane na wszystkie możliwe sposoby.

Czy to ktoś, kto chciał wszystko kontrolować, bo jako dziecko sam był kontrolowany, być może brutalnie?

A może wciąż znajdował się pod czyjś wpływem? Uciskany pracownik, a może nieśmiały małżonek?

A jeśli on tylko udaje pewność siebie?

Potrzebował wyzwolenia.

„Pracujący, ale w przeszłości zwalniany z wielu posad...”

Agentka Gorman uciekała się do żelaznej logiki psychologicznej, osiągnięcia psychopatów bowiem prawie nigdy nie nadążały za ich nadętym mniemaniem o sobie.

To prowadziło do rozdźwięku. Rodziło napięcie.

Potrzeba wyzwolenia, władzy absolutnej.

Przypomniał mi się zabójca, którego poznałem na studiach. Jak się okazało, był to dusiciel, zamknięty na jednym z oddziałów szpitala ogólnego. Czekał, aż system sądowniczy oceni jego poczytalność. Profesor, który dorabiał w sądzie jako biegły, zabrał nas do izolatki mordercy.

Na pryczy leżał dusiciel – chudy, niemal szkieletowały mężczyzna około trzydziestki, z zapadniętymi policzkami, o rzadkich siwych włosach. Do łóżka przypięty był szerokimi skórzanymi pasami.

Jeden z moich kolegów zapytał go, co czuł, kiedy zabijał. Chudy mężczyzna z początku zignorował pytanie. Potem jednak powoli rozszerzył usta w uśmiechu. Jego ofiarą była prostytutka, której nie chciał zapłacić. Nawet nie wiedział, jak się nazywała.

„Co czułem? – powiedział w końcu niepokojąco miłym głosem. – Nic nie czułem. Zabić to, kurwa, nic wielkiego, ty dupku. Zresztą nie chodzi o samo zabijanie, liczy się to, że jesteś do tego zdolny, dupku”.

Władza...

Z premedytacją lub bez niej.

Czy zabójca Irit wiedział wcześniej o corocznej szkolnej wycieczce do lasu, czy też po prostu wiedział, że do parku często przyjeżdżają dzieci?

Czy państwo Carmeli mieli rację, że tragedia, jaka spotkała Irit, była wyłącznie dziełem przypadku?

Drapieżnik czai się, kiedy dzieci wysiadają z autobusu.

Czuje słodkie zadowolenie, jak lis na widok grzebiących w ziemi kur.

Koszmar każdego z rodziców.

Wybiera najsłabszą sztukę ze stada, ale dlaczego właśnie Irit?

Agentka specjalna Gorman sugeruje, że ma to coś wspólnego z niedołęstwem dziewczynki, lecz problemy Irit dla postronnego obserwatora nie są widoczne na pierwszy rzut oka. Wprost przeciwnie, Irit była atrakcyjną dziewczynką. Zresztą na miejscu nie brakowało dzieci z widocznym kalectwem.

Czym się kierował? Czy wybrał ją dlatego, że wyglądała normalnie?

Wtedy przypomniałem sobie o aparacie słuchowym, który leżał na ziemi przy zwłokach dziewczynki.

Mimo całego wysiłku, jaki włożył w ułożenie ciała.

To nie przypadek. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej byłem tego pewien.

Zostawił różowy krążek specjalnie – czyżby wiadomość?

Co chciał w ten sposób przekazać?

Znów chwyciłem teczkę z opisami zbrodni. Szukałem przestępstw popełnionych na głuchych. Nie znalazłem ani jednego.

Czy aparat słuchowy Irit przekonał go, że dziewczynka jest najłatwiejszym celem, bo nie usłyszy go, dopóki nie stanie za jej plecami, i dlatego nie będzie krzyczała?

Nie była niema, ale może zabójca uważał, że nie potrafi mówić.

Delikatne uduszenie.

To sformułowanie napawało mnie odrazą...

Poświęcił sporo wysiłku i czasu, by nie uszkodzić ciała... Na miejscu zbrodni nie stwierdzono żadnych śladów czynności seksualnych, ale może odszedł kawałek dalej, żeby sobie ulżyć, masturbować się wspominając, jak to często czynią zabójcy z zaburzeniami seksualnymi.

Lecz tacy mordercy najczęściej przywołują wspomnienia używając fetyszy: kawałków ubrań, biżuterii. Lubią też kolekcjonować w tym celu części ciała, zwłaszcza piersi.

Ciało Irit pozostawiono nietknięte. Nic nie zniknęło. Zostało wręcz przyzwoicie upozowane. Najwyraźniej aseksualnie.

Jak gdyby zabójca chciał dać wszystkim do zrozumienia, że jej nie tknął.

Że jest inny?

A może jednak zabrał coś, co nie rzuca się w oczy, na przykład pasemko włosów?

A może pamiątkami były same obrazy?

Fotografie zrobione na miejscu zbrodni i odłożone na później.

Wyobraziłem go sobie, bez twarzy, jak stoi nad nią, upojony władzą i układa jej ciało w pozy. Pstryk, pstryk.

Robi zdjęcia do jakiegoś straszliwego tableau.

Zdjęcia polaroidem. A może ma własną ciemnię, gdzie dopieszcza fotograficzne niuanse.

Samorodny artysta?

Odciągnął Irit na tyle daleko od ścieżki, by nikt nie usłyszał trzasku migawki, nie zobaczył błysku lampy.

Posprzątał po sobie... typ obsesyjny, ale nie maniakalny.

„Przecież w tej waszej Ameryce roi się od szaleńców!”

Przeczytałem jeszcze raz list agentki specjalnej Gorman i pozostałe materiały z pudełka.

Mimo setek stron dokumentów, czegoś jeszcze brakowało.

Nie przesłuchano znajomych i sąsiadów rodziny Carmeli. Nie przesłuchano też żony Carmelego, a jego samego przepytano tylko dwa razy, i to pobieżnie.

Szacunek dla pogrążonych w żałobie, czy taryfa ulgowa dla dyplomaty?

Teraz, po kilku miesiącach śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Bolała mnie głowa, w płucach czułem żar. Siedziałem nad tym blisko trzy godziny.

Kiedy wstałem, by przygotować sobie kawę, zadzwonił telefon.

Telefonistka powiadomiła mnie:

– Doktorze, mam na linii niejaką panią Dahl.

– Odbiorę, dziękuję.

– Doktor Delaware? Mówi Helena. Właśnie dostałam plan dyżurów na ten tydzień, więc pomyślałam, że może spróbuję umówić się na wizytę. Czy znajdzie się wolny termin za dwa dni? Najlepiej około dziesiątej rano.

Zerknąłem do kalendarza. Miałem dostarczyć dla sądu kilka raportów.

– Może o jedenastej?

– Doskonale, o jedenastej. Dziękuję.

– Jak się czujesz, Heleno?

– Och... tak jak można się było spodziewać... Zdaje się, że teraz zaczynam naprawdę za nim tęsknić. Bardziej niż bezpośrednio po tym, co się stało... Dziękuję, że zgodziłeś się mnie przyjąć. Do widzenia.

– Do widzenia.

Zapisałem wizytę Heleny Dahl. Oto ile warte są moje przeczucia dotyczące pacjentów. Jaką mogłem mieć pewność, że powiecie mi się w sprawie zamordowanej dziewczynki?

Ile udało ci się przeczytać? – zapytał Milo następnego ranka. Była dziewiąta i piliśmy sok pomarańczowy w moim gabinecie.

– Wszystko. – Podniosłem wydruk komputerowy. – Nowy system?

– Ufundowany przez władze stanowe w odpowiedzi na postulaty ruchu na rzecz praw ofiar. Doskonały pomysł, ale informacje spływają nieregularnie, a wiele miast – w tym Los Angeles – nie ma jeszcze dostępu do tych danych. Poza tym większość gliniarzy boi się komputera jak diabeł święconej wody, więc najlepsze informacje uzyskuje się wciąż za pomocą tam-tamu i teleksu. Co sądzisz na temat listu z FBI?

– Nie ma w nim niczego, z czym bym się nie zgadzał, ale agentka Gorman bardzo się pilnowała, żeby nie powiedzieć za dużo.

– To już wiem. Masz coś nowego?

Powiedziałem mu o swojej koncepcji zabójstwa Irit. O tym, że być może morderca robił zdjęcia.

– Polaroidem czy zwykłym? – zapytał. – Zawodowy fotograf?

– Albo dobry amator. Ktoś z artystycznymi pretensjami – w samej zbrodni jest coś pretensjonalnego, prawda, Milo? Ułożenie ciała, sprzątanie. Psychopata, który chce wierzyć, że jest kimś innym. Ale wszystko trzyma się kupy tylko wtedy, gdy założymy, że było to zabójstwo na tle seksualnym.

– A twoim zdaniem nie było?

– Być może Gorman ma rację twierdząc, że Irit raczej nie była przypadkową ofiarą, lecz wybraną ze względu na swoje pochodzenie. Gorobich i Ramos solidnie przyłożyli się do pracy, lecz czegoś mi w tym raportach brakuje. Dokładnie przepytali wszystkich mieszkających w okolicy parku, ale nikogo z Beverlywood. Z ojcem Irit rozmawiali dwukrotnie, z matką ani razu.

Milo otarł twarz.

– Myślisz, że to sprawa rodzinna?

– Większość dzieci ginie z rąk krewnych.

– Zauważyłeś coś podejrzanego w zachowaniu rodziców?

– Podejrzanе jest tylko to, jak mało poświęcono im uwagi i jak niewiele informacji udzielili.

– Jeśli w lesie ukrywało się któreś z rodziców, musiał to być ojciec, bo matka nie miałaby dość siły, by przenieść Irit tak daleko. A wiem na pewno, że nie mógł to być ojciec, bo kiedy zadzwoniono

z wieścią, że dziewczynka zaginęła, był w konsulacie na jakimś spotkaniu.

– W porządku – odparłem. – Czy miała innych krewnych oprócz młodszego brata?

– Nie wiem. – Milo przyłożył swoje wielkie łapska do ścianki pudełka z wydrukami i zakołysał nim. – Zresztą, to za bardzo niedorzeczne, Alex. Sam wiesz, że kiedy dzieci giną z rąk krewnych, dzieje się to najczęściej w domu albo podczas jakiego rodzinnego wyjazdu. Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś tak dybał na życie własnego dziecka. Zdaję sobie sprawę, że Gorobich i Ramos nie zrobili wszystkiego, co powinni, ale twierdzą, że w zachowaniu Carmelich nie było niczego podejrzanego. Wyglądali po prostu jak rodzice przygnieceni najgorszą z możliwych tragedii. Pamiętaj, że Gorobich i Ramos mieli do czynienia z ważną osobistością. Sam rozumiesz, dlaczego za bardzo na niego nie naciskali.

– To wyjaśnienie trzyma się kupy – przyznałem mu rację. – Czy Carmeli oddzwonił do ciebie?

– Nie. A ja nie mogę się już doczekać rozmowy z nim. Wyobraź sobie tylko, *moi* na dyplomatycznych salonach.

Uśmiechnąłem się, wyobrażając sobie ten widok.

– O co chodzi? – zdziwił się Milo. – O ten krawat?

Mianem krawata Milo określał wąski, pozbawiony jakiegokolwiek kształtu skrawek niebiesko-zielonego sztucznego jedwabiu, zbyt krótkiego, by sięgnąć mu do pasa. Poza tym miał zagięty do góry koniuszek i doskonale kom pono wał się z beżową koszulą w czarne paski oraz wypłowiałą sportową kurtką w kolorze oliwkowym.

Do niedawna sądziłem, że Milo ubiera się tak, bo jest pozbawiony gustu. Ale kiedy miesiąc temu wybraliśmy się z nim i Robin do muzeum sztuki, zauważyłem, że Milo patrzył na obrazy jak ktoś, kto rozumie sztukę, mówił, jak bardzo lubi szkołę Ashcan i jak nie znosi fowizmu z powodu wulgarnej palety. Więc po wielu latach zacząłem podejrzewać, że Milo ubiera się tak specjalnie, by wszystkich zmylić i sprawić, żeby uważali go za niedorajdę.

– Ten krawat mógłby wywołać międzynarodowy skandal – odparłem. – A co, zamierzasz wpaść z wizytą do konsulatu?

– Wiesz przecież, jaki bywam spontaniczny.

– Kiedy?

– Jak najszybciej. Chcesz pójść ze mną? Ty na pewno masz odpowiednią dyplomatyczną muszkę. Apropos – możesz jakąś pożyczyć? I skoro już wstałeś, dolej mi jeszcze soku pomarańczowego.

Pożyczyłem mu stonowaną, dobrze dobraną kolorystycznie apaszkę i wsiedliśmy do nie oznakowanego wozu.

Izraelski konsulnat mieścił się przy Wilshire, w pobliżu Crescent Heights, na ostatnim piętrze szesnastopiętrowego wieżowca. Pierwsze trzy kondygnacje zajmował parking. Milo wjechał do środka, zignorował tabliczkę PROSZĘ CZEKAĆ NA OBSŁUGĘ i zaparkował przy windzie. Włożył kluczyki do kieszeni, dał banknot zaskoczonemu chłopakowi z obsługi, machnął mu przed nosem policyjną odznaką i krzyknął:

– Miłego dnia!

Pojechaliśmy windą na górę i wyszliśmy na wąski, biały, pozbawiony jakichkolwiek ozdób korytarz. Nad naszymi głowami ciągnął się niski, szary dźwiękochłonny sufit, na którym tu i ówdzie widać było zacieki wody. Podłogę pokrywała miętowozielona wykładzina w delikatne kropki. Zarówno ścianom, jak i wykładzinie od dawna należało się czyszczenie. Gdzieś, w miejscach połączeń, tapeta zaczynała się odklejać. Wzdłuż korytarza – mnóstwo drzwi, większość pomalowanych na biało, nie oznaczonych żadnymi tabliczkami.

Na końcu korytarza umieszczono kamerę wycelowaną w ostatnie drzwi. Brązowa tabliczka z plastiku oznajmiała, że mieści się za nimi konsulnat i izraelskie biuro podróży. Niżej podano godziny przyjęć w sprawie wniosków wizowych. Na prawo – kolejna tabliczka z niebiesko-białą flagą Izraela. Poniżej szyba z przyciemnianego szkła i metalowa obrotowa taca, jak w kasie. Obok przycisk dzwonnka i głośnik.

W okienku siedział młody mężczyzna w niebieskim blezerze, białej koszuli i krawacie. Miał ostre rysy twarzy i gęste czarne włosy przycięte krótko przy skórze. Czytał jakieś czasopismo i nie zwracał na nas uwagi, dopóki Milo nie zadzwonił.

– Słucham?

– Do pana Carmelego.

– Panowie są umówieni? – zapytał z bliskowschodnim akcentem.

Milo znów wyjął odznakę.

– Proszę położyć to na tacy.

Odznaka uderzyła ze stukiem w metalową tacę i zniknęła za szybą. Zatrzasnęły się metalowe drzwiczki za otworem w szybie. Strażnik obejrzał odznakę, popatrzył na Mila, podniósł palec, wstał i odszedł. Na ladzie zostawił czasopismo „Sports Illustrated”.

Za budką strażnika widać było kilka białych boksów. Przy komputerach pracowały dwie kobiety i jeden mężczyzna. Na ścianach wisiało kilka turystycznych plakatów reklamowych. Wszystko wyglądało jakoś dziwnie, jak za mgłą. Zupełnie jakbym oglądał świat przez kilkucentymetrowej grubości szybę.

Strażnik wrócił po chwili.

– Teraz ma spotkanie...

– Przyszliśmy w sprawie...

Wartownik uśmiechnął się i podniósł palec.

– Ale wkrótce będzie wolny – dokończył.

Usiadł na swoim krześle i wrócił do wiadomości z piłkarskiego świata.

– Robi nam wielką łaskę – mruknął pod nosem Milo.

Nad naszymi głowami rozległ się niski jęczący dźwięk. Kamera obróciła się i jej obiektyw spoglądał teraz prosto na nas.

Milo jeszcze raz wcisnął guzik dzwonka. Strażnik podniósł głowę.

– A moja odznaka?

– Jest u pana Carmelego.

Staliśmy w korytarzu, wartownik czytał magazyn sportowy. Zza rogu wyszła tęga Murzynka w niebieskim blezerze i szarych spodniach. Szła korytarzem oglądając wszystkie drzwi. Zobaczyła nas i odwróciła się na pięcie.

Minęły trzy minuty, cztery, pięć. Strażnik podniósł słuchawkę telefonu, czegoś wysłuchał i odłożył ją na widełki.

Po kolejnych pięciu minutach otworzyły się białe drzwi i na korytarz wyszedł wysoki blady mężczyzna, przygarbiony, z obwisłymi ramionami. Miał trzydzieści osiem lat, ale wyglądał dziesięć lat starzej. Ubrany był w szary dwurzędowy garnitur, błękitną koszulę i bordowy krawat. Kołnierzyk koszuli był za duży, a garnitur zwisał na nim jak worek. Na jastrzębiej twarzy uwagę zwracały wystające kości i zapadnięte policzki. Elegancko przycięte falujące brązowe włosy rzedły mu na czubku głowy. Nosił grube dwuogniskowe okulary w czarnych oprawkach.

– Zev Carmeli.

Wymieniliśmy szybkie uściski dłoni. Miał długie i bardzo zimne palce.

Milo zaczął mówić, Carmeli mu przerwał oddając odznakę i wskazując koniec korytarza. Podprowadził nas do kolejnych białych drzwi, otworzył je kluczem i zaprosił do pokoju bez okien. W środku stała brązowa sofa, stolik do kawy z drewna tekowego, na którym leżała mosiężna popielnica, oraz dwa fotele z chromowanej stali i brązowego tweedu.

Podłogę pokrywała niebieska wykładzina. Na ścianach pusto, podobnie jak na korytarzu. Za sofą widać było kolejne białe drzwi zamknięte na dwa zamki.

Milo i ja usiedliśmy w fotelach, a Carmeli zaryglował drzwi. Sięgnął do kieszeni marynarki i położył na stole kartonową paczkę dunhilli i zapalki, na których widniał napis: NAUCZ SIĘ

Carmeli usiadł na sofie i zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko, wpatrując się w fakturę blatu stolika. Wykonywał niespieszne, pewne ruchy, jakby wszystko wymagało dokładnego planowania. Cały czas palił. W końcu spojrzał na nas. Oczy miał czarne jak oprawki okularów, wzrok spokojny, nie zdradzający żadnych emocji. Pokój wypełnił się dymem. Nagle włączyła się klimatyzacja i dym zaczął się unosić ku sufitowi.

Carmeli podciągnął spodnie, odsłaniając czarne skarpetki. Opuszki palców miał bursztynowe od nikotyny.

– A więc to pan jest tym nowym detektywem – zwrócił się do Mila. Mówił z mniej wyraźnym akcentem niż strażnik. Bliskowschodnia wymowa wygładzona podczas pobytu wśród londyńskiej śmietanki.

– Nazywam się Milo Sturgis. Miło mi pana poznać.

Carmeli zerknął na mnie.

– To jest doktor Delaware – przedstawił mnie Milo. – Nasz konsultant w dziedzinie psychologii.

Spodziewałem się jakiejś reakcji, ale Carmeli nie zareagował. W końcu podniósł wzrok i zaczął się we mnie wpatrywać czarnymi oczami bez wyrazu. Zaciągnął się dymem z papierosa.

– Witam, doktorze.

Wszystko robił z opóźnieniem. Z wysiłkiem. Widziałem już wiele rodzin, które straciły dzieci, więc mnie to nie zdziwiło.

– Będzie pan analizował psychikę mordercy, doktorze?

Skinąłem głową.

– I wszystko inne w razie potrzeby – dorzucił Milo.

Carmeli nic nie powiedział.

– Bardzo nam przykro z powodu tego, co państwa spotkało.

– Dowiedzieliście się czegoś?

– Na razie nie, proszę pana. Dopiero przekazano mi akta. Pomyślałem, że zacznę, jak to mówią, od pierwszej bazy...

– Od pierwszej bazy – powtórzył cicho Carmeli. – Gramy w baseball... Pańscy poprzednicy również zaczynali ze mną od pierwszej bazy. Ale, niestety, nie trafili w piłkę.

Milo nie odpowiedział.

Carmeli zdusił wypalonego do połowy papierosa. Obie stopy – wąskie i długie, obute w świeżo wypolerowane czarne półbuty numer dziewięć – trzymał płasko na podłodze. Teraz przysunął je bliżej sofy. Przez materiał spodni wyraźnie widać było kościste kolana. Kołnierzyk koszuli za duży co najmniej o jeden numer. Wielkie jabłko Adama miało niezwykle ostry kształt, wyglądało niczym ostrze, które za chwilę przebije mu od spodu skórę na gardle. Chudy mężczyzna, który nagle stracił mnóstwo kilogramów.

Kolejny papieros. Pod oczami Carmelego zauważyłem ciemne smugi. Ścisnął papierosa tak mocno, że niemal wygiął się w literę L. Druga ręka spoczywała na sofie zaciśnięta w pięść.

– Na razie bez punktów – odezwał się. – A więc... zaczynamy od pierwszej bazy. Co chciałby pan wiedzieć, panie Sturgis?

– Po pierwsze, czy jest coś, co pan chce mi powiedzieć?

Carmeli popatrzył na niego.

– Cokolwiek, co zdarzyło się od czasu pańskiej rozmowy z detektywami Gorobichem i Ramosem – wyjaśnił Milo.

Nie odrywając wzroku od Mila, Carmeli wyprostował papierosa, zapalił go i pokręcił głową.

– Nie – powiedział niemal bezgłośnie przez zaciśnięte wargi. – Nic.

– W takim razie zadam panu kilka pytań. Proszę zrozumieć, że część z nich może być powtórzeniem...

Carmeli przerwał mu, machając papierosem. Dym zaczął więc się w kształcie wstążek.

– Niech pan pyta, niech pan pyta, panie Sturgis.

– Chodzi o pana pracę. O sytuację na Bliskim Wschodzie. Zapewne od czasu do czasu otrzymuje pan groźby...

Carmeli zaśmiał się, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Nie jestem Jamesem Bondem, panie detektywie. Pełnię funkcję wicekonsula do spraw kontaktów ze społecznością. Czy pańscy poprzednicy nie wyjaśnili panu co to znaczy?

– Mówili coś o organizacji różnych imprez. O paradzie z okazji Dnia Niepodległości Izraela.

– Parady, obiady, spotkania w synagogach, pogadanki u kobiet z Hadassah. Wie pan co to jest Hadassah? [Hadassah – Amerykańska Syjonistyczna Organizacja Kobiet. Założona w 1912 roku przez Henriettę Szold stawia sobie za cel wzmocnienie kontaktów z Izraelem i rozwój żydowskiej diaspory w Ameryce; zajmuje się m.in. edukacją i profilaktyką zdrowotną]

Milo skinął głową.

– Wspaniałe kobiety – rzekł Carmeli. – Urocze panie, które sadzą drzewka w Izraelu. Kiedy bogaci sponsorzy chcą zjeść obiad z konsulem generalnym, ja to organizuję. Kiedy przyjeżdża do nas premier i chce się spotkać z najbogatszymi sponsorami, ja organizuję mu rozkład jazdy. Agent zero zero osiem. Z licencją na dożywianie. – Wolną ręką przygładził rzednące włosy.

– Zatem mówi pan, że nigdy nie spotkał się...

– Mówię, że w mojej pracy nie ma nic kontrowersyjnego ani niebezpiecznego, panie Sturgis. Mówię, że to, co spotkało moją córkę, nie ma nic wspólnego z moją pracą ani z pracą żony, ani też z moją rodziną. Nie rozumiem, dlaczego policja nie może po prostu się z tym pogodzić.

Podniósł głos, lecz wciąż mówił cicho. Przekrzywił głowę w prawo, jakby chciał rozluźnić zdrętwiałą szyję. Czarne oczy nadal nie wyrażały żadnych emocji. Bardziej łapczywie zaciągnął się dymem.

– Ale muszę powiedzieć – odezwał się – że w czasie pełnienia swoich obowiązków miałem do czynienia z pańskim wydziałem.

– Doprawdy?

Zamiast powiedzieć coś więcej, Carmeli mocno zaciągnął się dymem.

– Żeby wykonać porządnie swoją pracę, czasami jesteśmy nieprzyjemni – powiedział Milo.

– Czyżby?

– Tak. Musimy zadawać wciąż te same pytania – ciągnął Milo.

– Niech pan pyta, o co chce, lecz jeśli będzie pan wciąż wracał do kwestii mojej pracy, będę udzielał cały czas tej samej odpowiedzi: jestem urzędnikiem. Nie noszę strzelających długopisów.

– Mimo to jako obywatel Izraela ma pan wrogów...

– Dwieście milionów wrogów. Ale przecież mamy teraz proces pokojowy, prawda? – Carmeli się uśmiechnął.

– W takim razie skąd pan może mieć pewność, że nie chodziło o politykę? Mimo zakresu pańskich obowiązków, jest pan w końcu przedstawicielem rządu Izraela.

Carmeli przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Patrzył na swoje buty, potarł czubek lewego.

– Morderstwa polityczne biorą się z nienawiści, a Arabowie nas nienawidzą. W tym mieście mieszkają tysiące Arabów, wielu z nich ma radykalne poglądy polityczne. Jednak celem nawet najbrutalniejszego zamachu terrorystycznego jest przesłanie komunikatu w taki sposób, by zwrócono nań uwagę. Nie jedno martwe dziecko, panie Sturgis. Autobus martwych dzieci. Krew lejąca się

strumieniami, pourywane kończyny, kamery telewizyjne rejestrujące każdy krzyk bólu. Bomby robią wielkie bum. Dosłownie i w przenośni. Kilkanaście lat temu, kiedy Palestyńczycy ze Strefy Gazy i z Zachodniego Brzegu odkryli, że gdy rzucają kamieniami w naszych żołnierzy, są uważani za międzynarodowych bohaterów, zaczęli dzwonić do agencji informacyjnych, by informować dziennikarzy o zbliżających się zamieszkach. Kiedy pojawiały się ekipy telewizyjne... – Klasnął w dłonie i popiół z papierosa spadł na stół, na spodnie i na podłogę. – Pańscy poprzednicy, detektywie, poinformowali mnie, że ta... zbrodnia jest niezwykła ze względu na brak przemocy. Czy pan się z tym zgadza?

Milo skinął głową.

– Już samo to przekonuje mnie, że ta sprawa nie ma nic wspólnego z polityką.

– Samo to? – powtórzył Milo. – Czy jest coś jeszcze, co pana przekonuje?

– Łapie mnie pan za słówka, panie Sturgis? Zdaje się, że psychologiem jest ten pan. A właściwie, czy ma pan już jakąś teorię, doktorze?

– Jeszcze nie – odparłem.

– Mamy do czynienia z szaleńcem?

Zerknąłem na Mila. Skinął głową.

– Zewnętrznie zabójca wygląda prawdopodobnie zupełnie normalnie.

– A wewnętrznie?

– Ma nierówno pod sufitem. Ale z klinicznego punktu widzenia nie jest wariatem, panie Carmeli. Nazwałbym go raczej psychopatą – to osoba z poważnymi zaburzeniami osobowości. Egoista, brak u niego normalnych reakcji emocjonalnych, brak mu współczucia, niewłaściwie ukształtowane sumienie.

– Niewłaściwie? To on ma w ogóle sumienie?

– Potrafi odróżniać dobro od zła, ale ignoruje zasady moralne, kiedy jest mu tak wygodniej.

Carmeli znów potarł czubki butów i wyprostował się. Zmrużył czarne oczy.

– Pan opisuje zło wcielone... i chce mi pan powiedzieć, że to może być pierwszy lepszy człowiek z ulicy?

Przytaknąłem.

– Dlaczego zabija, doktorze? Co on z tego ma?

– W ten sposób zmniejsza napięcie – wyjaśniłem.

Izraelczyk wzdrygnął się i znów zaciągnął papierosem.

– Każdy żyje w napięciu.

– Jego napięcie może być wyjątkowo silne, a psychika dużo słabsza. To tylko przypuszczenia, panie Carmeli. Tak naprawdę nikt nie rozumie, co prowadzi...

– Skąd się bierze to rzekome napięcie?

Pociąg seksualny – ale nie powiedziałem tego głośno.

– Być może rozdźwięk między tym, za kogo siebie uważa, a jak żyje. Może szczyci się tym, że jest geniuszem, uważa, że ma prawo do majątku i sławy. Choć najprawdopodobniej jest nieudacznikiem.

– Więc mówi pan, że on zabija, by czuć się kompetentny?

– To możliwe, panie Carmeli. Ale...

– Zabicie dziecka sprawia, że czuje się kompetentny?

– Zabijanie wywołuje u niego poczucie mocy. Podobnie jak unikanie pogoni.

– Ale dlaczego dziecko?

– W głębi duszy jest tchórzem, więc poluje na słabszych.

Carmeli odrzucił głowę do tyłu, jakby ktoś go uderzył. Papieros zadrżał. Carmeli wcisnął go sobie do ust i paląc, bawił się guzikiem u mankietu. Po chwili znów na mnie spojrzał.

– Tak jak pan mówił, to tylko przypuszczenia.

– Tak.

– Ale jeśli jest w nich odrobina prawdy, to on będzie dalej zabijał, prawda? Bo napięcie nie zniknie przecież ot tak sobie.

– To możliwe.

– Być może mordował już wcześniej – ciągnął Carmeli i zwrócił się do Milo. – A jeśli tak, to dlaczego policja nie trafiła na podobne zbrodnie?

Podniósł głos. Słowa zaczęły wylewać się z niego jak rzeka. Zdusił drugiego papierosa i palcem zaczął układać popiół na blacie w cienką szarą linię.

– Możliwe, że to początek. Pierwsze morderstwo – rzekł Milo.

– Zabójca zaczął od mojej Irit?

– To możliwe.

– Dlaczego? – zapytał nagle zbolalym głosem. – Dlaczego Irit?

– Jeszcze tego nie wiemy. Między innymi dlatego tu przyszliśmy, żeby...

– W jakim zakresie szukaliście innych podobnych zabójstw, panie Sturgis?

– W bardzo dużym, ale wciąż trwa proces...

– Proces, proces, proces... Pańscy poprzednicy mówili, że w Kaliforni nie ma centralnego banku danych. Nie bardzo mogłem w to uwierzyć, więc sprawdziłem. I potwierdziłem tę informację. – Carmeli pokręcił głową. – To jakiś absurd. Pański wydział uważa się za... W Izraelu mieszka pięć milionów osób i mamy znacznie mniejsze kłopoty z przestępczością niż wy, ale wszystkie dane trzymamy w centralnym komputerze. Nie licząc incydentów politycznych, mamy niespełna sto morderstw rocznie. To mniej więcej tyle, ile ma miejsce w Los Angeles w ciągu weekendu, prawda?

Milo uśmiechnął się.

– Niezupełnie.

– No dobrze, w takim razie w ciągu kiepskiego miesiąca. Według danych z magistratu, w Los Angeles popełniono w zeszłym roku tysiąc cztery morderstwa. Winnych amerykańskich miastach jest jeszcze gorzej. Tysiące zabójstw w tym ogromnym kraju. Jak możecie dotrzeć do niezbędnych informacji bez centralnej bazy danych?

– Nie jest nam łatwo. Mamy część centralnych...

– Wiem, wiem, FBI – przerwał mu Carmeli. – NCIC, rozmaite spisy stanowe, wiem. Ale procedury składania raportów szwankują i nie są do końca sprecyzowane, więc dane różnią się ogromnie w zależności od miasta.

Milo nie odpowiedział.

– To się nazywa chaos, prawda, detektywie? Tak naprawdę nie wiecie, czy podobne zbrodnie miały już miejsce, i prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiecie.

– Jest jeden sposób, aby spróbować to zmienić. Można by tę sprawę nagłośnić. Rozumiem pana niechęć, ale...

– Znów – rzekł Carmeli, zaciskając szczęki – znów wracamy do mnie. Do nas. Co – poza narażeniem mojej rodziny na ból i narażeniem na niebezpieczeństwo dzieci moich kolegów – spodziewacie się uzyskać, nagłaśniając sprawę?

– Narażeniem na niebezpieczeństwo? W jaki sposób, panie Carmeli?

– Podpowiadając mordercy, by zabił kolejne izraelskie dziecko albo podając komuś innemu

pomysł – bić syjonistów. W ten sposób zaczęlibyśmy podsycać fantazje terrorystów. – Znów pokręcił głową. – Nie, to nie ma sensu, panie Sturgis. Zresztą, jeśli ten zabójca już gdzieś wcześniej uderzył, to pewnie nie w Los Angeles, prawda?

– Skąd pan ma tę pewność, panie Carmeli?

– Bo nawet przy waszej kiepskiej organizacji w końcu by się pan o tym dowiedział, prawda? Przecież zabójstwa dzieci nie są czymś powszednim nawet w Los Angeles.

– Żadne morderstwo nie jest dla mnie sprawą powszednią.

– A zatem wiedziałby pan, gdyby były jeszcze jakieś inne, czyż nie?

– O ile przestępstwo zostało zgłoszone.

Carmeli zaskoczony zmrużył oczy.

– A dlaczego miałyby być nie zgłoszone?

– Wiele przestępstw nie jest zgłaszanych. Często tak się dzieje z morderstwami, które wyglądają na nieszczęśliwe wypadki.

– Ale tu chodzi o śmierć dziecka! – zachnął się Carmeli. – Chce mi pan powiedzieć, że w tym mieście są dzielnice, w których rodzice nie zgłosiliby na policji śmierci własnego dziecka?

– Owszem – rzekł Milo. – Bo wiele morderstw dzieci dokonują sami rodzice.

Carmeli pobladł.

Milo zaczął pocierać ręką twarz, ale w porę się powstrzymał.

– Chcę tylko powiedzieć, że na tym etapie nie możemy przyjmować żadnych założeń, a nagłośnienie sprawy mogłoby kogoś skłonić do odświeżenia pamięci. Mogłoby wypłynąć jakieś podobne przestępstwo, które wydarzyło się wiele lat temu. Nawet w zupełnie innym mieście. Gdybyśmy dobrze przedstawili sprawę mediom, udałoby nam się dotrzeć również do innych miast. Rozumiem jednak pańskie obawy. I mówiąc szczerze, nie mogę panu obiecać, że nagłośnienie sprawy nie przyniosłoby żadnych niepożądanych skutków.

Carmeli odetchnął szybko kilka razy i położył dłonie na sofie.

– Pańska szczerłość jest... godna pochwały. Teraz ja będę z panem szczery: nie ma mowy. Za duże ryzyko. Nie chcę mieć na sumieniu śmierci kolejnego dziecka. Jakimi innymi tropami zamierza pan podążać?

– Będę zadawał mnóstwo pytań. Mogę zadać jeszcze kilka?

– Tak – powiedział Carmeli słabym głosem. Sięgnął po trzeciego papierosa i wziął do ręki

zapałki, lecz nie zapalił od razu. – Ale jeśli chce pan pytać o nasze życie rodzinne, to odpowiem panu po prostu, tak jak mówię innym: jesteśmy szczęśliwi. Jesteśmy szczęśliwą rodziną. Nie zdawaliśmy sobie dotąd sprawy z tego, jak bardzo byliśmy szczęśliwi.

Zamknął czarne oczy i po chwili znów je otworzył. Już nie były pozbawione emocji. Wewnątrz niego coś wrzało.

– Wróćmy na chwilę do kwestii politycznych – rzekł Milo. – Konsulat na pewno dostaje listy z pogrózkami. Czy je przechowujecie?

– Zapewne tak, lecz to nie moja dziedzina.

– Czy mielibyście coś przeciwko udostępnieniu nam kopii?

– Mogę zapytać.

– Gdyby powiedział mi pan, czyja to dziedzina, sam z chęcią zapytam.

– Nie, ja to zrobię. – Carmelemu zaczęły drżeć ręce. – Pańska uwaga... ta o rodzicach zabijających własne dzieci. Jeśli sugerował pan, że...

– Niczego nie sugerowałem. Oczywiście, że nie. Proszę mi wybaczyć, jeśli pana obraziłem. Starałem się po prostu wyjaśnić, dlaczego niektóre przestępstwa nie są zgłaszane.

Czarne oczy Izraelczyka zwilgotniały. Carmeli zdjął okulary i otarł oczy wierzchem dłoni.

– Moja córka była... bardzo szczególną dziewczynką. Wychowywanie jej nastęrczało trochę trudności i myślę, że z tego powodu jeszcze bardziej ją kochaliśmy. Nigdy nie skrzywdziliśmy Irit. Nigdy nie pogroziłem jej nawet palcem. Można nam zarzucić tylko to, że za bardzo ją rozpieszczaliśmy. Dzięki Bogu, rozpieszczaliśmy ją!

Włożył z powrotem okulary i położył ręce na sofie.

– O co chciał pan jeszcze zapytać? – odezwał się już bardziej oschle.

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o Irit, panie Carmeli.

– Co pana interesuje?

– Jakim była dzieckiem, jaką miała osobowość. Co lubiła, a czego nie.

– Lubiła wszystko. To było złote dziecko. Miła, szczęśliwa, zawsze uśmiechnięta, zawsze chętna do pomocy. Zdaje się, że ma pan raport Gorobicha?

– Tak.

– W takim razie nie muszę się rozwodzić nad szczegółami jej... stanu zdrowia. W dzieciństwie

przeszła gorączkę, która zniszczyła jej organizm.

Carmeli sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął duży portfel z cielejącej skóry. W pierwszej z przegródek przeznaczonych na karty kredytowe wetknięto zdjęcie. Carmeli wyjął fotografię i pokazał nam.

Małe zdjęcie uśmiechniętej buzi ładnego dziecka w białej sukience z bufiastymi rękawami. Na szyi łańcuszek z gwiazdą Dawida. Te same jasne, kręcone włosy i gładka skóra, ta sama twarz... dojrzała twarz, bez śladu jakiegokolwiek opóźnienia. Na policyjnym zdjęciu wyglądała młodziej. Na tym, przepelniona radością życia, mogła mieć równie dobrze dwanaście, jak i siedemnaście lat.

– Taka była Irit, detektywie. Nie taka, jak w waszych policyjnych aktach.

– Kiedy zrobiono to zdjęcie? – zapytał Milo.

– W tym roku. W szkole.

– Czy mógłbym dostać odbitkę?

– Jeśli znajdę. – Carmeli zabrał fotografię i pieczołowicie włożył ją z powrotem do portfela.

– Czy miała przyjaciół?

– Oczywiście. W szkole. Dzieci w jej wieku były... za szybkie dla niej.

– A co z przyjaciółmi z sąsiedztwa?

– Raczej ich nie miała.

– Czy jakieś starsze dzieci prześladowały ją albo jej dokuczały?

– Dlaczego? Bo była inna?

– To się zdarza.

– Nie – uciał Carmeli. – Irit była słodka. Potrafiła żyć w zgodzie z każdym. A my ją chroniliśmy.

Mrugnął i zapalił papierosa.

– Czy miała dużą wadę słuchu?

– W ogóle nie słyszała na prawe ucho, w lewym zdolność słyszenia wynosiła około trzydziestu pięciu procent.

– Z aparatem słuchowym czy bez?

– Z aparatem. Bez aparatu prawie w ogóle nie słyszała. Jednak rzadko z niego korzystała.

– Dlaczego?

– Nie lubiła tego urządzenia. Narzekała, że jest za głośne, że boli ją od niego głowa. Kilka razy dostosowywaliśmy aparat, ale i tak go nie lubiła. Tak naprawdę ja...

Ukrył twarz w dłoniach.

Milo odchylił się do tyłu. Zaczął pocierać twarz dłonią.

Po chwili Carmeli wyprostował się. Zaciągnął się trzecim papierosem i zaczął mówić, wypuszczając dym:

– Próbowaliśmy nas oszukiwać z tym aparatem. Zakładała go wychodząc z domu i zdejmowała, kiedy wsiadała do szkolnego autobusu albo w klasie. Nawet gubiła go. Kilka razy musieliśmy kupować jej nowy. Prosiłiśmy nauczycieli, by dopilnowali, żeby nosiła aparat. Wtedy zawieszała go przy uchu i wyłączała. Czasami pamiętała, żeby włączyć go przed powrotem do domu, choć najczęściej zapominała – stąd wiedzieliśmy. Była słodkim niewinnym dzieckiem, panie Sturgis. Nie umiała oszukiwać. Ale miała silną wolę. Próbowaliśmy przemawiać jej do rozsądku, przekupywaliśmy ją. Nic nie skutkowało. W końcu doszliśmy do wniosku, że ona woli nie słyszeć. Woli odciąć się od naszego świata, stworzyć własny. Czy to ma sens, doktorze?

– Tak, spotykałem się już z podobnymi przypadkami – odparłem.

– Moja żona też. Jest nauczycielką. W Londynie pracowała w szkole specjalnej. Mówiła, że wiele dzieci, które mają kłopoty, tworzy własne światy. Mimo to chcieliśmy, żeby Irit wiedziała, co się wokół niej dzieje. Wciąż przypominaliśmy jej o noszeniu aparatu.

– A więc tamtego dnia, mimo że miała aparat, nie ma pewności, czy był włączony – rzekł Milo.

– Moim zdaniem był wyłączony.

Milo zamyślił się i znów potarł twarz ręką.

– Trzydzieści procent w jednym uchu w najlepszym wypadku. A więc można przyjąć, że nawet z aparatem nie słyszała, co się wokół niej dzieje.

– Raczej nie. – Carmeli palił papierosa. Wyprostował się.

– Czy Irit była ufnym dzieckiem? – zapytałem.

Carmeli wziął głęboki oddech.

– Musi pan zrozumieć, doktorze, że wychowała się w Izraelu i w Europie, gdzie żyje się bezpieczniej i dzieci mają więcej swobody.

– Bezpieczniej, w Izraelu? – zdziwił się Milo.

– Znacznie bezpieczniej, panie Sturgis. Wasze media wyolbrzymiają każdy incydent, jaki się u nas zdarza, ale poza aktami terroru politycznego jest u nas niewiele przemocy. W Kopenhadze i Londynie, gdzie później mieszkaliśmy, również miała sporo swobody.

– Mimo że była dzieckiem dyplomaty? – zapytałem.

– Tak. Mieszkaliśmy w dobrych dzielnicach. Tu w Los Angeles dobra dzielnica jest nic nie znaczącym określeniem. Nie byliśmy przygotowani do życia w takim mieście. Oczywiście, Irit lubiła ludzi, ufała im. Ostrzegaliśmy ją jednak przed nieznajomymi, wpajaliśmy przekonanie, że powinna bardzo uważać. Mówiła, że rozumie. Ale... na swój sposób była bardzo bystra, lecz także bardzo niedojrzała jak na swój wiek. Jej siedmioletni brat w pewnym sensie pełnił rolę starszego dziecka. Bardziej... wyrafinowanego. To bardzo utalentowany chłopiec... Czy Irit poszłaby gdzieś z nieznajomym? Chciałbym wierzyć, że nie. Ale czy mogę być tego pewny? – Pokręcił głową.

– Chcę porozmawiać z pańską żoną – odezwał się Milo. – Będziemy też rozmawiać z pańskimi sąsiadami. Usiłujemy się dowiedzieć, czy nikt nie zauważył niczego podejrzanego na ulicy.

– Nikt – odparł Carmeli. – Pytałem ich. Ale proszę bardzo, niech pan sam popyta. Jeśli chodzi o moją żonę, to nalegam, byśmy ustalili pewne zasady: W żadnym razie nie może pan sugerować, że mogłaby ponosić za to odpowiedzialność, tak jak zrobił pan to w moim przypadku.

– Panie Carmeli...

– Czy wyrażam się jasno, detektywie?

Znów mówił głośno. Jego wąski tułów stężał, ramiona uniosły się, jakby przygotowywał się do uderzenia.

– Panie Carmeli – odezwał się Milo – nie mam zamiaru powiększać stresu pańskiej żony i przepraszam, jeśli pana obraziłem...

– Nie wspomni pan o tym ani słowem – ciągnął Carmeli. – W przeciwnym wypadku nie pozwolę panu z nią rozmawiać. Już dość się nacierpiała w życiu. Rozumie pan?

– Tak.

– Będę uczestniczył w tej rozmowie. I nie może pan rozmawiać z moim synem. Jest za młody, nie miał do czynienia z policją.

Milo nie odpowiedział.

– Nie podoba się to panu – rzekł Carmeli. – Uważa pan, że stwarzam przeszkody. Ale to moja rodzina, nie pańska.

Wstał i wyprostował się. Popatrzył na drzwi. Dygnitarz na nudnym, ale ważnym spotkaniu.

My również wstaliśmy z foteli.

– Kiedy możemy porozmawiać z panią Carmeli? – zapytał Milo.

– Zadzwoń do was. – Carmeli podszedł do drzwi i otworzył je na oścież. – Niech pan będzie zupełnie szczery, panie Sturgis. Czy w ogóle macie nadzieję na schwytanie tego potwora?

– Zrobię co w mojej mocy, panie Carmeli, lecz moja praca ma więcej wspólnego z faktami niż z nadzieją.

– Rozumiem... Nie jestem religijny, w synagodze bywam tylko przy oficjalnych okazjach. Ale jeśli jest życie po śmierci, to wiem prawie na pewno, że pójdę do nieba. A wie pan dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo w piekle już byłem.

Widziałeś ten pokój, w którym nas przyjął? Ciekawe czy Gorobich i Ramos dostąpili zaszczytu ujrzenia jego prywatnego gabinetu – powiedział Milo, kiedy zjeżdżaliśmy windą.

– Może chce zachować dystans między morderstwem a pracą?

– I zachowanie tego dystansu przychodzi mu dość łatwo, prawda?

– Czy można go za to winić? – odparłem. – Strata dziecka jest wystarczającą tragedią, nawet jeśli nie obwiniasz za to siebie i swojej pracy. Na pewno od samego początku rozważał możliwość morderstwa na tle politycznym. Cały konsulat to rozważał i widocznie uznali, że chodziło o coś innego. Tak jak mówiłeś, gdyby sądzili, że chodzi o terroryzm, sami by się tym zajęli. Pasuje do tego, co Carmeli mówił o terroryzmie. To samo dotyczy działań antyterrorystycznych: trzeba przesłać komunikat. Ktoś czyha na twoje dzieci – zareaguj twardo, szybko i tak nagłośnij sprawę, by złoczyńca się zawahał. Jest coś jeszcze: Carmeli wcale nie zachowuje się jak człowiek, który chce się zamknąć przed światem. On cierpi, Milo. Aż do bólu łaknie odpowiedzi.

Milo zmarszczył brwi.

– A my ich mu nie udzieliliśmy. Może to kolejny powód, dla którego nie lubi policji.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Pamiętasz tę uwagę, że miał już okazję pracować z nami? Ktoś od nas pewnie schrzanił coś przy paradzie albo innej imprezie. Wracając do baseballowych analogii, zaczynam ze stratą dwóch punktów.

Dał parkingowemu kolejny napiwek, wycofał wóz i ruszył w stronę wyjazdu. Na Wilshire panował spory ruch, a my musieliśmy czekać, by pojechać w lewo.

– Ten pokój – odezwał się Milo. – Widziałeś, jak dym szedł do sufitu? Może Carmeli nie jest Jamesem Bondem, ale moje wyobrażenia na temat Mossadu biorą górę i wciąż mam przed oczami jakieś sekretne przejścia i inne szpiegowskie głupoty.

– Licencja na dożywianie – przytoczyłem żart Carmelego.

– A mnie, staremu cynikowi, wydaje się, że za bardzo przeciw wszystkiemu protestowałem... masz jakieś inne przemyślenia na jego temat?

– Nie, tylko to, co już mówiłem: przepelnięty bólem.

– Żadnych przeczuć?

– Nie, a czemu pytasz?

Milo wzruszył ramionami.

– Rozumiem, że chce zachować dystans między tym morderstwem a pracą, ale nie sądzisz, że mógłby być bardziej pomocny? Sam powinien zaoferować nam wgląd w listy z pogrózkami dla konsulatu... raczej go za to nie winie. Z jego punktu widzenia jesteśmy błaznami, które jeszcze nikogo nie zdołały rozśmieszyć.

Skręcił.

– A zmieniając temat: ten aparat słuchowy – rzekłem. – Wciąż mi się wydaje, że został tam specjalnie porzucony. Może morderca mówi nam, że właśnie dlatego ją wybrał.

– Mówi nam? To jakaś gra?

– Jest w tym coś z gry, Milo. Koszmarnej gry. A to, co Carmeli mówił o wyłączaniu aparatu przez Irit, zamykaniu się we własnym świecie, czyni z niej doskonały cel. U dzieci te prywatne światy często wiążą się z autostymulacją: dzieci fantazjują, mówią same do siebie, wykonują dziwne ruchy. Zabójca mógł ją obserwować i wszystko zauważył: najpierw aparat, później to, że Irit oddala się od innych, zajmuje się sama sobą, gubi się w świecie fantazji. Wyciągnął ją z jej scenariusza i wprowadził do swojego.

– Oddaliła się – powtórzył Milo. – A więc może naprawdę miała ogromnego pecha.

– I pecha, i odpowiednie dla ofiary cechy.

Po chwili uderzyło mnie coś jeszcze.

– Jest jeszcze zupełnie inna możliwość – rzekłem. – To mógł być ktoś, kto ją znał. Wiedział, że najczęściej nosiła wyłączony aparat i dlatego łatwo ją podejść.

Milo jechał powoli, z zaciśniętymi szczękami. Marszczył czoło bardziej niż od ostrego słońca. Przejechaliśmy trzy przecznice, nim się odezwał.

– Zatem wracamy do listy znajomych. Nauczyciele, kierowca autobusu. I sąsiedzi, niezależnie od tego, co mówi Carmeli. Widziałem już zbyt dużo dziewczynek zgwałconych przez rzekomych przyjaciół i znajomych. Albo dobre dzieciaki z tej samej ulicy, które odzierały ze skóry psy i koty, kiedy nikt nie widział.

– To dlatego pytałeś, czy nikt z sąsiedztwa jej nie dokuczał?

– Zapytałem, bo w tamtej chwili nie wiedziałem, o co zapytać. Ale owszem, przeszła mi przez głowę myśl, że ktoś mógł się na nią uwziąć. Opóźniona, głucha, Żydówka. Powody do wyboru, do koloru.

– Ktoś się na nią uwziął, lecz starał się nie naruszyć ciała?

– Ma nierówno pod sufitem. Zresztą to ty jesteś specjalistą od głowy.

Mówił szorstko, z irytacją.

– W tych listach przestępstw, które dostałem od ciebie, uwzględniono tylko wiek i płeć ofiar. Gdybyś zdołał zdobyć dla mnie informacje na temat morderstw popełnionych na głuchych. Albo w ogóle na niepełnosprawnych.

– A jak zdefiniujesz niepełnosprawność, Alex? Wiele przestępców i ich ofiar ma iloraz inteligencji poniżej wszelkich kryteriów. A czy narkomana, który przedawkuje i zapadnie w śpiączkę, też nazwiesz niepełnosprawnym?

– Może ograniczmy się do głuchych, niewidomych i niesprawnych ruchowo, a także tych z udokumentowanym opóźnieniem w rozwoju, jeśli nie zrobi się z tego jakaś ogromna lista. Ofiary najwyżej osiemnastoletnie, które zginęły od uduszenia.

Milo dodał gazu.

– Takie informacje da się uzyskać. Teoretycznie. Pod warunkiem że ma się dużo czasu, dobre buty i gliniarzy z innych okręgów obdarzonych dobrą pamięcią, którzy przygotowują dobre raporty. I dotyczy to tylko okręgu Los Angeles. Jeśli zabójca przybył tu niedawno, a wcześniej zrobił coś takiego trzy tysiące kilometrów stąd, nasze szanse maleją. Z listu agentki Gorman wiemy, że komputery w FBI nie uznały tego morderstwa za interesujące. To znaczy, że w ogólnokrajowej bazie danych najgroźniejszych przestępców nie pojawiło się nic podobnego. Zresztą, nawet gdybyśmy tam znaleźli inną sprawę, to i tak byłaby nie rozwiązana. A jeśli ten drań posprzątał wtedy równie porządnie jak tutaj, to laboratorium kryminalistyczne i tak nie miało co robić.

– Pesymizm źle wpływa na duszę – zauważyłem.

– Ja swoją duszę sprzedałem wiele lat temu.

– Komu?

– Wrednej bogini sukcesu. Ale ta wymknęła się po cichu, nie płacąc rachunku. – Pokręcił głową i roześmiał się.

– Co się stało?

– Ten Carmeli bierze dane statystyczne prosto z gabinetu burmistrza. Widzisz w tej sytuacji jakąś szansę na mój awans?

– Mówiąc szczerze, nie.

Milo zaśmiał się jeszcze głośniej.

– Twoja szczerota jest godna pochwały, doktorze.

Przy Robertson zatrzymał się na czerwonym świetle i dotknął ucha.

– Jej własny mały świat – powiedział. – Biedne dziecko.

A w chwilę później:

– Nie słyszała zła.

Tej nocy niewiele spałem. Robin słyszała, jak przewracam się na łóżku, i spytała, co mi jest.

– Za dużo kofeiny.

Obserwator

Okolica wyglądała gorzej, niż pamiętał.

Przyjemne domy na ulicy jego przyjaciela. Wielkie, jak na jego gust, a większość z nich wciąż porządnie utrzymana, przynajmniej tak to wyglądało po ciemku. Żeby tu się dostać, musiał przejechać przez bulwary, przy których stały lombardy, sklepy monopolowe i bary. Były tam i inne firmy, ale o tej porze wszystkie zamknięte na głucho. Ulica należała do dziewcząt w skąpych ubraniach i facetów pijących z papierowych toreb.

Dźwięki nocy: muzyka, silniki samochodów, od czasu do czasu wybuch śmiechu – rzadko kiedy szczęśliwego śmiechu.

Ludzie stojący na rogach ulic albo poukrywani w cieniu. Ciemnoskórzy ludzie nie mający nic do roboty.

Cieszył się, że toyota jest mała i nie rzuca się w oczy. Mimo to od czasu do czasu ktoś podnosił wzrok i patrzył na niego.

Obserwowali go zgarbieni, z rękami w kieszeniach.

Półnagie dziewczyny paradowały tam i z powrotem albo po prostu stały przy krawężniku. Ich alfonsi byli poza zasięgiem wzroku, lecz bez wątplenia gdzieś na nie czekali.

Wiedział wszystko o tym świecie, znał wszystkie gierki.

Jego przyjaciel ostrzegł go, by nie był zaskoczony. Przyjechał odpowiednio wyposażony. Ze skrzynki pod siedzeniem wyjął dziewięćmilimetrowy pistolet i wetknął sobie za pasek po lewej stronie, by w razie czego móc szybko sięgnąć po niego ręką od broni.

Ręka od broni... niezłe określenie.

A więc raczej przygotował się na niespodzianki, choć przede wszystkim należało nie dać się zaskoczyć.

Nagle jego myśli zagłuszyła muzyka z przejeżdżającego samochodu. Wielki sedan, tak nisko zawieszony, że niemal szorował podwoziem po asfalcie. Dzieciaki z ogolonymi głowami podskakiwały w górę i w dół. Dudniący bas. Nie muzyka. Słowa. Mruczenie i krzyczenie do elektrycznych bębnow.

Ohydny, gniewny krzyk, który uchodził za poezję.

Ktoś krzyknął. Mężczyzna rozejrzał się i spojrzął w lusterko wsteczne.

W oddali jęknęła syrena. Głos się nasilił.

Wielkie niebezpieczeństwo.

Zatrzymał się przy krawężniku i odczekał, aż minie go karetka i ucichnie dźwięk syreny.

Cisza była światem Irit.

Czy przenosiła się w jakiś wewnętrzny kosmos, czy czuła bicie serca?

Myślał o niej cały dzień i noc, snuł wyobrażenia, rozważania, odgrywał po raz kolejny tamtą scenę. Ale kiedy zaczął jechać do domu przyjaciela, musiał przerwać te rozmyślenia. Należało skupić się na teraźniejszości.

Mimo to po drodze było tyle absorbujących rzeczy. To miasto... ta dzielnica, wszystkie te zmiany.

Nie bądź zaskoczony.

Zjechał w ciemną jak atrament boczną uliczkę, potem w następną i jeszcze jedną. W końcu znalazł się w zupełnie innym świecie: spokojnym, cichym, w którym dominowały domy wyglądające jak surowi biurokraci.

Dom jego przyjaciela wyglądał tak samo, tyle że stała przed nim tabliczka SPRZEDANY.

Dobrze, że udało mu się w porę z nim skontaktować.

Niespodzianka!

Staął na podjeździe, tuż za ciemną furgonetką.

Dotknął pistoletu, jeszcze raz się rozejrzał i wysiadł. Włączył alarm w samochodzie i ruszył obsadzoną kwiatami ścieżką w stronę drzwi wejściowych.

Zadzwoił i w odpowiedzi na „Kto tam?” wypowiedział swoje imię.

Drzwi otworzyły się, a na twarz przyjeźdnego wyjaśnił uśmiech.

– Hej!

Wszedł do środka i uścisnął się z przyjacielem. Po lewej stronie pod ścianą stał mały stolik, a na nim duża szara koperta.

– Tak, mam.

– Dziękuję. Jestem ci niezmiernie wdzięczny.

– Nie ma sprawy. Masz chwilę? Może kawy?

– Jasne. Za kawę też ci dziękuję.

Przyjaciół roześmiał się i poszli do kuchni wielkiego domu.

Czuł w ręku sztywną, suchą kopertę.

Przyjacielowi się udało, choć ryzykował.

Ale czy coś pożytecznego kiedykolwiek przychodziło łatwo?

Usiadł i patrzył, jak przyjaciel nalewa kawę.

– Jak się jechało?

– Bez kłopotów.

– Świetnie. Mówiłem ci, że trochę się tu pogorszyło.

– Wszystko się zmienia.

– Tak, ale rzadko na lepsze. A więc wróciłeś do gry... Z tego co widzę, mamy sporo do obgadania.

– To prawda.

Ręka przyjaciela zamarła w bezruchu.

– Bez śmietanki, prawda?

– Masz doskonałą pamięć.

– Nie tak dobrą jak kiedyś. – Ręka znów się zatrzymała. – Zresztą, może to i lepiej.

To się odbija na mojej pracy – mówiła Helena. – Widzę, jak do izby przyjęć wwożą niedoszonego samobójcę, i mam ochotę krzyknąć: „Ty idioto!” Patrzę, jak chirurg otwiera ranę postrzałową, i zaczynam myśleć o sekcji zwłok Nolana... Był taki zdrowy.

– Czytała pani raport?

– Wydzwaniałam do koronera tak długo, aż ktoś ze mną porozmawiał. Chyba liczyłam na to, że coś znajdą – raka, jakąś rzadką chorobę, cokolwiek, co by uzasadniało ten czyn. Ale był zdrow jak ryba, doktorze Delaware... mógł żyć jeszcze bardzo długo.

Zaczęła płakać. Wyjęła chusteczkę z torebki, zanim zdążyłam sięgnąć do pudełka.

– Najgorsze jest to – powiedziała łapiąc oddech – że w ciągu ostatnich kilku tygodni myślałam o nim więcej, niż w ciągu całego dotychczasowego życia.

Przyjechała prosto ze szpitala, wciąż miała na sobie biały pielęgniarski fartuch dopasowany do szczupłej figury. Na piersi widniała przypięta plakietka z nazwiskiem.

– Czuję się winna, do cholery. Dlaczego czuję się winna? Nigdy go nie zawiodłam, bo nigdy mnie nie potrzebował. Nie byliśmy od siebie zależni. Oboje wiedzieliśmy, jak o siebie zadbać. Albo przynajmniej tak nam się wydawało.

– Niezależni.

– Zawsze. Nawet w dzieciństwie chodziliśmy osobnymi ścieżkami. Mieliśmy różne zainteresowania. Nie kłóciliśmy się, po prostu nie zwracaliśmy na siebie uwagi. Czy to nienormalne?

Pomyślałam o tych wszystkich spokrewnionych ze sobą genetycznie, lecz obcych sobie ludziach, którzy przewinęli się przez mój gabinet.

– Rodzeństwo to kwestia przypadku. W takim związku możliwe jest wszystko, od miłości po nienawiść.

– Nolan i ja kochaliśmy się – przynajmniej ja kochałam jego. Ale był to raczej... nie chcę powiedzieć, że rodzinny obowiązek. Raczej... więzy. Ich poczucie. No i uwielbiałam go za jego zalety.

Zmieniła chusteczkę. Kiedy przyszła do mnie, najpierw podała formularze ubezpieczeniowe. Potem mówiła o odszkodowaniu, o swojej ciężkiej pracy... Mówiła o wszystkim, byle nie o Nolanie.

– Zalety – powtórzyłam.

– Energię. On naprawdę... – roześmiała się – chciałam powiedzieć, że kochał życie. Podziwiałam jego energię, inteligencję. Kiedy miał osiem czy dziewięć lat, w szkole poddano go testom, bo

wybijał się zdolnościami na tle klasy. Okazało się, że jest niezwykle utalentowany, należy do bardzo wąskiej grupy geniuszy, stanowiącej jakieś pół procentu całej populacji. Zaczynał się jednak marnować, bo w klasie się nudził. Nie jestem głupia, choć daleko mi do poziomu, który reprezentował co Nolan... ale może to właśnie ja mam szczęście.

– Talent był dla niego brzemieniem?

– Myślałam o tym. Nolan nie odznaczał się zbyt wielką cierpliwością i sędzę, że wiązało się to z jego inteligencją.

– Nie miał cierpliwości do ludzi?

– Do ludzi, rzeczy, wydarzeń, które postępowały zbyt wolno. Taki był jako nastolatek. Może z wiekiem stał się bardziej wyrozumiały. Pamiętam, że zawsze na coś narzekał. Mama mówiła mu: „Nie możesz liczyć na to, że świat będzie się kręcił w twoim tempie”. Może dlatego został policjantem? Żeby szybko naprawiać świat?

– Gdyby tak było, to miałby kłopot. W policji rzadko zdarzają się przypadki szybkiego naprawiania świata. Wręcz przeciwnie, policjanci najczęściej spotykają się ze sprawami, które na zawsze pozostają nie rozwiązane. Ostatnio wspomniała pani o konserwatywnych poglądach politycznych. To mogło go skłonić do pracy w policji.

– Być może. Choć znów muszę zaznaczyć, że to był ostatni etap, z jakim się u niego spotkałam. Od tamtego czasu mogło go zaabsorbować zupełnie co innego.

– Często zmieniał filozofie życiowe?

– Cały czas. Kiedyś liberalizmem przewyższał mamę i tatę. Był radykałem, prawie komunistą. A potem odbiło mu w drugą stronę.

– Czy to wszystko miało miejsce w liceum?

– Zdaje się, że to nastąpiło po tym etapie satanistycznym, w ostatniej klasie liceum albo na pierwszym roku studiów. Pamiętam jak czytał „Czerwoną Książeczkę” Mao. Przy stole cytował jej fragmenty. Wmawiał mamie i tacie, że im tylko się wydaje, że są postępowi, bo w rzeczywistości są kontrrewolucjonistami. Potem na jakiś czas zajął się Sartre’em, Camusem i wszystkim co pachniało egzystencjalizmem, bezsensem życia. Kiedyś próbował to udowodnić, nie kąpiąc się i nie zmieniając ubrań. – Uśmiechnęła się. – Skończyło się, kiedy doszedł do wniosku, że wciąż lubi dziewczęta. Następny etap to... Zdaje się, że to był Ayn Rand. Przeczytał „Atlas się poruszył” i całkowicie pochłonął go indywidualizm. Potem była anarchia, następnie libertynizm. Ostatnio słyszałam, że uznał Ronalda Reagana za boga, ale od lat nie rozmawialiśmy o polityce, więc nie wiem, do czego doszedł.

– To mi wygląda na młodzięcze poszukiwania.

– Zdaje się, że tak, lecz ja tego nigdy nie przechodziłam. Zawsze trzymałam się środka drogi. Byłam nudnym dzieckiem.

– A jak rodzice reagowali na zmiany u Nolana?

– Wyjątkowo spokojnie. Tolerowali je. Nie sędzę, by go rozumieli, ale nigdy nie starali się go temperować. – Uśmiechnęła się. – Czasami to było zabawne. Ta pasja, z jaką wkraczał w kolejną fazę. Jednak nigdy się z niego nie śmieliśmy.

Skrzyżowała nogi.

– Być może ja dlatego nie przechodziłam przez nic takiego, bo Nolan był tak nieprzewidywalny, że wydawało mi się, iż jestem winna mamie i tacie trochę spokoju. Czasami wydawało mi się, że rodzina dzieli się na dwie części: naszą trójkę i Nolana. Zawsze byłam blisko związana z rodzicami.

Wytarła oko chusteczką.

– Kiedy studiowałam, chodziłam z nimi w różne miejsca, na kolacje. Nawet po tym jak wyszłam za mąż.

– A Nolan nie uczestniczył w życiu rodzinnym?

– Nolan przestał chodzić z nami gdziekolwiek, gdy miał dwanaście lat. Zawsze wolał samotność, wolał robić wszystko po swoim. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że strzegł własnej prywatności.

– Był wyalienowany?

– Chyba tak. A może z powodu inteligencji wybierał własne towarzystwo. I dlatego dziwne wydaje mi się to, że wstąpił do policji. Przecież policja to zbrojne ramię władzy.

– Policjanci jako grupa też potrafią być wyobcowani – odparłam. – Wciąż żyją wśród przemocy, borykają się z podziałem oni – my.

– U lekarzy i pielęgniarek też występuje myślenie typu my – oni, ale mimo to wciąż czuję się częścią społeczeństwa.

– A Nolan pani zdaniem czuł coś innego?

– Kto go tam wie, co czuł? Ale życie musiało być dla niego strasznie puste, skoro zrobił to, co zrobił.

Głos miała spięty i suchy jak draska od zapalek.

– Jak on mógł, doktorze Delaware? Jak on mógł doprowadzić się do takiego stanu, w którym już nie czuł, że warto czekać na kolejny dzień?

Pokręciłam głową.

– Depresje ojca – powiedziała. – Może to kwestia genów. Może wszyscy jesteśmy więźniami własnej struktury biologicznej.

– Biologia ma silny wpływ, ale zawsze ma się jakiś wybór.

– Żeby dokonać takiego wyboru, Nolan musiał być w bardzo głębokiej depresji, niech pan sam powie?

– Mężczyźni czasami robią coś takiego, kiedy są źli. Policjanci czasami robią coś takiego, kiedy są źli.

– Źli na co? Na pracę? Próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej o jego pracy, żeby sprawdzić, czy miał jakieś trudności. Zadzwołam do wydziału policji, żeby udostępni mi jego teczkę, a ci odesłali mnie do jego pierwszego instruktora, niejakiego sierżanta Bakera. Teraz jest w Centrum Parkera. Zachował się dość miło, powiedział, że Nolan był jednym z jego najlepszych podopiecznych, w jego pracy nie było nic niezwykłego. Sierżant Parker również nie potrafił pojąć, dlaczego Nolan to zrobił. Sprawdziłam także jego kartę zdrowia, dzwoniłam do osoby odpowiedzialnej w wydziale policji za ubezpieczenia. Dzięki moim medycznym kontaktom udało mi się wydobyć sporo informacji. Liczyłam, że może na coś chorował. Nie leczył się, ale przez dwa miesiące przed śmiercią chodził do psychologa. Ostatnią wizytę miał tydzień przed tym, jak się zabił. A więc coś było nie tak. Chodził do doktora Lehmana. Zna go pan?

– A jak ma na imię?

– Roone Lehmann.

Pokręciłem głową.

– Ma gabinet w centrum. Zostawiłam mu kilka wiadomości, lecz jeszcze nie oddzwonił. Czy nie sprawiłoby panu kłopotu, gdyby pan do niego zadzwonił?

– Nie, ale może nie będzie chciał się ze mną podzielić informacjami na temat pacjenta. Są poufne.

– Te, które dotyczą martwego pacjenta, też są poufne?

– To otwarta kwestia, lecz większość terapeutów nie ujawnia tych informacji nawet po śmierci pacjenta.

– Tak przeczuwałam. Wiem też, że lekarze lubią rozmawiać między sobą. Może Lehmann coś panu powie.

– Z przyjemnością spróbuję coś z niego wydobyć.

– Dziękuję panu. – Podała mi numer Lehmana.

– Mam do pani jedno pytanie. Dlaczego Nolan przeniósł się z zachodniego Los Angeles do Hollywood? Czy sierżant Baker mówił coś na ten temat?

– Nie. Nie pytałam go o to. A dlaczego? Co w tym dziwnego?

– Większość policjantów uważa służbę w zachodnim Los Angeles za wielkie szczęście. A Nolan na dodatek przeniósł się na nocną zmianę. Może lubił dreszczyk emocji i pragnął służby, podczas której coś będzie się działo.

– Być może. Lubiał, gdy coś się działo. Szybkobieżne kolejki w wesołych miasteczkach, motocykle... Dlaczego, dlaczego, dlaczego, cały czas nie wiem dlaczego. To głupie wciąż zadawać pytania, na które nie ma odpowiedzi, prawda?

– Nie, to normalne – odparłem myśląc o Zevie Carmelim.

Roześmiała się dźwięcznie.

– Kiedyś widziałam w gazecie taki komiks. O tym wikingu, Hagarze Straszliwym. Tak się chyba nazywał? Stał na szczycie góry. Wokół deszcz, pioruny. Hagar wznosił ręce ku niebu i pyta: „Dlaczego ja?” A z nieba dochodzi odpowiedź: „A dlaczego nie?” Może to właśnie jest ostateczna odpowiedź, doktorze Delaware? Niby dlaczego mielibyśmy oczekiwać gładkiego przejścia przez życie?

– Ma pani prawo zadawać pytania.

– Cóż, może powinnam zrobić coś więcej. Zostały mi rzeczy Nolana do przejrzenia. Odkładałam to, ale powinnam się wreszcie za to zabrać.

– Proszę to zrobić, kiedy będzie pani gotowa.

– Już jestem gotowa. W końcu teraz to wszystko należy do mnie. Zostawił mi wszystko.

Umówiła się ze mną na następny tydzień i wyszła. Zadzwoiłem do doktora Roone’a Lehmana i podałem w recepcji swoje nazwisko. Poprosiłem też o adres gabinetu.

– Siódma Ulica – odparła recepcjonistka i podała numer posesji w pobliżu Flower, serca finansowej dzielnicy w centrum Los Angeles. Dość niecodzienne miejsce jak na gabinet psychologiczny, ale jeśli dostaje dużo klientów od policji i agencji rządowych, to chyba wcale nie taki głupi pomysł.

Kiedy tylko odłożyłem słuchawkę, zadzwonił Milo. Jego głos przepełniała energia.

– Mam drugi przypadek. Niedorozwinięta dziewczynka, uduszona.

– Szybki jesteś.

– Nie z archiwów, Alex. To świeża sprawa, jeszcze ciepła. Kilka minut temu odebrałem wezwanie i właśnie jadę na południowy zachód, Western w okolicach Dwudziestej Ósmej. Jeśli zaraz tu przyjedziesz, będziesz mógł obejrzeć zwłoki, nim zabierze je koroner. To szkoła.

Podstawówka imienia Bookera T. Washingtona.

Szkoła imienia Bookera T. Washingtona była oddalona ode mnie o prawie trzydzieści kilometrów i o całe lata świetlne od parku, gdzie zamordowano Irit Carmeli. Pojechałem Bulwarem Zachodzącego Słońca do La Cienega, potem San Vincente na południe i na wschód od La Brea wjechałem na autostradę do Santa Monica. Zjechałem przy Western i stosunkowo szybko pokonałem kilka przecznic podmiejskiego getta. Po ulicach jeździło niewiele samochodów. Mijałem domy z pozamykanymi okiennicami i wypalone budynki. Od czasu zamieszek prawie niczego tu nie odbudowano i tak już chyba zostanie. Niebo miało bladoszary, niemal biały odcień.

Podstawówka imienia Washingtona była stara i miała bure ściany pokryte niemal całkowicie graffiti. Szkoła stała przy ogromnym dziurawym boisku. Całą posesję otaczała wysoka na ponad trzy metry siatka, lecz to nie przeszkadzało wandalom, którzy uważali się za artystów.

Zaparkowałem na Dwudziestej Ósmej, w pobliżu głównego wejścia. Było otwarte, ale strzegł go umundurowany policjant. Na południowym krańcu boiska, między huśtawkami a drabinkami stały już radiowozy, furgonetki ekip technicznych i kombi koronera. Żółta taśma policyjna podzieliła boisko na dwie części. Po północnej biegały dzieci pod okiem nauczycieli i wolontariuszy. Większość dorosłych z oddali obserwowała pracę policji. Dzieci raczej się tym nie interesowały. Na boisku słychać było śmiech i krzyki – normalny dziecięcy świat.

Nie pojawili się jeszcze dziennikarze. A może uznali po prostu, że morderstwo w tej okolicy to żaden news.

Dłuższą chwilę zajęło mi przekonanie policjanta przy bramie, ale w końcu przepuszczono mnie do Mila.

Rozmawiał z siwowłosym mężczyzną w oliwkowym garniturze i zapisywał coś w notesie. Siwowłosy mężczyzna miał na szyi stetoskop. Mówił spokojnie, bez emocji. Dwaj Murzyni z plakietkami detektywów na sportowych kurtkach stali kilka metrów dalej i przyglądali się postaci leżącej na ziemi. Policyjny fotograf pstrykał zdjęcia, a ekipa techniczna przeczesywała teren wokół zwłok za pomocą ręcznych odkurzaczy i peset. Wokół tłoczyli się mundurowi, ale chyba nie mieli czym się zająć. Między nimi stał niski brodaty Latynos około pięćdziesiątki, ubrany w szary roboczy kombinezon.

Kiedy podszedłem bliżej, dwaj czarni detektywi przestali rozmawiać i zaczęli mnie obserwować. Jeden – pulchny facet około czterdziestki – miał metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, łysą głowę z policzkami a la buldog i minę człowieka cierpiącego naniestrawność. Nosił beżową kurtkę, czarne spodnie i czarny krawat w karmazynowe orchidee. Jego towarzysz był o dziesięć lat młodszy, wysoki, szczupły. Miał gęste wąsy i bujną czuprynę. Ubrany był w granatowy blezer, kremowe spodnie i niebieski krawat. Obaj spoglądali taksujący wzrokiem.

Milo zauważył mnie i podniósł palec.

Czarni detektywi wrócili do rozmowy.

Zerknąłem na martwą dziewczynkę leżącą na boisku.

Niewiele większa od Irit, leżała ułożona w ten sam sposób: ręce po bokach, dłońmi do góry, stopy prosto. Miała jednak inną twarz: opuchniętą czerwonawą. Z lewej części ust wystawał koniuszek języka. Wokół szyi biegła czerwona, wyraźnie odciśnięta pręga.

Trudno było określić, ile miała lat, ale wyglądała na nastolatkę. Czarne falujące włosy, szerokie rysy twarzy, ciemne oczy, lekki trądzik na policzkach. Mulatka albo Latynoska. Miała na sobie granatowe spodnie od dresu i białe tenisówki, krótką dżinsową kurtkę, a pod spodem czarną bluzkę odsłaniającą pępek.

Brudne paznokcie.

Oczy otwarte, wpatrzone w mleczone niebo.

Opuchnięty język przybrał szarolawendowy kolor.

Ze stojącej za zwłokami huštawki zwiślało trzydzieści centymetrów równo odciętej liny. Powietrze nie poruszało się, lina również.

Koroner już sobie poszedł i Milo skierował się w stronę czarnych detektywów, dając mi znak, żebym również poszedł. Przedstawił mi pulchnego jako Willisa Hooksa, a jego partnera jako Roya McLarena.

– Miło mi pana poznać – powiedział Hooks. Jego ręka wyglądała jak opieczona skóra.

McLaren skinął głową. Miał gładką, niemal czarną jak węgiel skórę i regularne rysy twarzy. Odwrócił się w stronę martwej dziewczynki i zacisnął szczęki.

– Tak ją znaleziono, czy odcięto od huštawki? – zapytałem.

– Odcięto – wyjaśnił Milo. – A czemu pytasz?

– W pierwszej chwili pomyślałem, że wygląda zupełnie jak Irit. Leży w takiej samej pozycji.

Odwrócił się w stronę zwłok i uniósł nieco brwi.

– Ty się zajmujesz sprawą Irit? – zapytał Hooks.

Milo przytaknął.

– Leżała właśnie tak jak ona.

– No, o ile woźny nie okaże się zabójcą, to nie widzę w tym nic podejrzanego.

– Woźny ją odciął? – upewniłem się.

– Aha – potwierdził Hooks, wyciągając notatnik. – Woźny ze szkoły, chwileczkę... Guillermo Montez, to ten starszy Meksykanin w szarym kombinezonie. Przyszedł do pracy o siódmej rano, najpierw pozamiatał w budynku, póź niej wyszedł pozbierać śmieci z boiska i znalazł dziewczynkę. Popędził po nóż, a potem ją odciął. Już nie żyła. Od kilku godzin. Woźny mówi, że lina była gruba, sporo musiał się namęczyć, żeby ją przeciąć.

– Doktor Cohen powiedział, że dziewczynka nie żyła już co najmniej od trzech, czterech godzin, może nawet dłużej – wtrącił Milo.

– Cohen zwykle się nie myli – dodał McLaren.

– A więc zamordowano ją w nocy – powiedziałam. – Ale przecież słońce wzeszło o szóstej. Nikt z przechodzących czy przejeżdżających ludzi jej nie zauważył?

– Najwyraźniej nie – powiedział Hooks. – A może i zauważył. – Odwrócił się do Mila. – Opowiedz mi więcej o swojej sprawie.

Milo opowiedział o Irit.

Hooks słuchał z palcem przytkniętym do ust.

– Poza opóźnieniem umysłowym nie widzę tutaj szczególnych podobieństw. – Spojrzał na swojego partnera.

– Nie nazwałbym tego delikatnym uduszeniem – stwierdził McLaren.

– Nasza dziewczynka nie była zgwałcona – dorzucił Milo. Cohen mówił, że u tej również na pierwszy rzut oka nie widać śladów gwałtu.

– Na razie – powiedział McLaren. – Kto wie, co się jeszcze okaże. Woźny mówi, że miała na sobie majtki, ale może zabójca ją ubrał. Zajmie się tym koroner i wtedy będziemy mieli pewność.

– To uduszenie... – zaczął Milo. – Po rozmiarach tej pręgi widać, że najprawdopodobniej zadusiła ją lina. Można chyba wykluczyć, że najpierw została zabita, a następnie powieszona.

– Być może – rzekł Hooks. – Trudno powiesić kogoś, kto się broni, nawet małą dziewczynkę. Chyba że była na odlocie, wtedy to możliwe. Z tego co wiemy, szprycowała się krakiem.

– Co o niej wiecie? – zapytałem.

– Tutejsza, nazywała się Latvinia Shaver – odparł Hooks. – Policjantka z patrolu zidentyfikowała ją, zanim się zjawiliśmy, ale sam ją znam jeszcze z czasów, gdy parę lat temu pracowałem tu w obyczajówce.

– prostytutka? – zapytał Milo.

– Zamykaliśmy ją za nierząd, lecz nie nazwałbym jej prostytutką. Po prostu panienska z ulicy, która

tutaj miała pusto. – Postukał się palcem w łysą głowę. – Całymi dniami nie miała co robić, więc wpakowała się w kłopoty. Może od czasu do czasu zrobiła jakiś numerek za działkę albo za jakieś drobniaki.

– A ten krak to coś poważnego?

– Miejscowa policjantka mówi, że raczej nie, że panowała nad sobą, ale mimo to szprycowała się. Zresztą niech sama wam opowie.

Podszedł do grupki mundurowych i wyprowadził z niej niską szczupłą kobietę.

– To jest oficer Rinaldo – przedstawił ją. – Proszę, oto detektyw Sturgis i doktor Delaware, doradca w dziedzinie psychologii. Oficer Rinaldo znała Latvinie.

– Tylko trochę – wyjaśniła kobieta przyciszonym głosem. – Z sąsiedztwa. – Rinaldo wyglądała na dwadzieścia pięć lat. Barwione chną włosy miała związane w koński ogon i twarz o zbolałym wyrazie, która szybko zaczynała się starzeć.

– Co o niej wiadomo poza tym, że brała prochy? – zapytał Hooks.

– Nie była złym dzieckiem – odparła policjantka. – Raczej nie. Ale była opóźniona.

– Jak bardzo? – spytał Milo.

– Zdaje się, że miała osiemnaście lub dziewiętnaście lat, a zachowywała się jak dwunastolatka albo jeszcze młodsze dziecko. Właściwie nie miała rodziny. Mieszkała z babką, a może starą ciotką, na Trzydziestej Dziewiątej. Przez ten dom wciąż przewijali się jacyś ludzie.

– Sprzedawali prochy?

– Tego nie wiem na pewno, lecz wcale by mnie to nie zdziwiło. Jej brat siedzi w San Quentin. Kiedyś był szychą w gangu Tray-One Crips.

– Jak się nazywa?

– Tego też nie wiem, przykro mi. Zapamiętałam tylko to, co mówiła mi jej babka. Cieszyła się, że go wsadzili za kratki, bo dzięki temu nie mógł mieć złego wpływu na Latvinie. – Zmarszczyła brwi. – Zdaje się, że ta kobieta się starała.

Hooks coś sobie zanotował.

– Chodziła z jakimiś członkami gangów, znała ich? – zapytał McLaren.

Rinaldo wzruszyła ramionami.

– Z tego co wiem z nikim konkretnie nie chodziła. To znaczy z nikim z gangów. Raczej z każdym, kto się nawinał pod rękę... Nie była wybredna, jeśli chodzi o partnerów. I piła. Złapałam ją kilka

razy z butelkami whisky i dżinu.

– Przymknęła ją pani za to?

Rinaldo oblała się rumieńcem.

– Nie, po prostu zabrałam jej alkohol i wylałam. Wie pan, jak to jest.

– Tak, wiem – odparł Hooks. – Przeskrobała coś jeszcze?

– Pewnie tak, ale nie miała chyba na koncie nic złego... O ile wiem, nie wstrzykiwała sobie heroiny.

– Miała jakieś dzieci?

– Nie słyszałam o tym. Choć niewykluczone. Była łatwa, rozumiecie panowie? Łatwo było ją oszukać. Dziecko w ciele dojrzałej kobiety. A więc kto wie.

– Byłoby ciekawie, gdyby okazało się, że była w ciąży – stwierdził Hooks. – Nie mogę się doczekać sekcji zwłok. – Zerknął na ciało. – Chociaż niczego nie widać na pierwszy rzut oka. Drobną kobietką.

– Drobną – przyznał McLaren. – Cohen ocenił, że ma niecałe metr pięćdziesiąt pięć wzrostu i waży jakieś czterdzieści kilo.

– Tak, drobna – powtórzyła Rinaldo. – Każdy mógł ją skrzywdzić.

– Ma pani jakiś pomysł, kto to mógł zrobić?

– Żadnego.

– Zatem nie miała znanych wrogów?

– Nie słyszałam o tym. Generalnie to miłe dziecko, które każdy mógł oszukać. Tak jak mówiłam, była opóźniona.

– Wciąż nie mogę sobie wyobrazić jak bardzo – powiedział Hooks.

– Tego dokładnie nie wiem. Potrafiła mówić i na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie normalnego dziecka, nie wyglądała dziwnie. Dopiero gdy zaczynało się z nią rozmawiać, miało się świadomość, że jest niedojrzała.

– Jak dwunastolatka.

– Może nawet młodsze dziecko. Dziesięć, jedenaście lat. Mimo wszystko, co robiła, była na swój sposób... niewinna. – Kolejny rumieniec na twarzy Rinaldo. – Nie należała do hardych, rozumiecie panowie?

– Chodziła na jakieś zajęcia? – zapytał McLaren. – Do szkoły specjalnej czy podobnej instytucji?

– Moim zdaniem w ogóle nie chodziła do szkoły. Widywałam ją tylko, jak wystawała na ulicach. Czasami przeganiałam ją do domu. – Skrzywiła się. – Kłopot w tym, że nieraz wkładała na siebie za mało ciuchów. Nie nosiła bielizny, stanika, a niekiedy wkładała cienkie, przezroczyste ubrania albo nie zapinała koszuli. Kiedy pytałam ją, co, u licha, wyrabia, wybuchała śmiechem i zapinała się.

– Żywa reklama zawodu? – odezwał się McLaren.

– Zawsze wydawało mi się, że się po prostu wygłupia – odparła Rinaldo.

– Tak czy inaczej dzięki takiemu zachowaniu zaczęła uprawiać tę profesję – stwierdził Hooks.

– To nie ulega wątpliwości – potwierdziła Rinaldo.

– Nie miała chłopaka – powiedział McLaren.

– O ile wiem – nie.

– W ogóle nie spotykała się z członkami gangów?

– Według moich informacji tylko z bratem. Lecz o to trzeba zapytać jej babkę.

– Zrobimy to – obiecał Hooks. – Jaki to adres?

– Nie znam dokładnego numeru posesji, ale to gdzieś na Trzydziestej Dziewiątej, kilka przecznic stąd na wschód. Stary zielony budynek. Jeden z tych wielkich drewnianych domów przerobionych na kamienice. Od frontu ogrodzony łańcuchem. Zamiast trawnika cement. Znam ten dom, bo kiedyś ją tam odwiozłam, gdy włożyła krótką sukienkę bez majtek. Wiał wiatr i podwiewał sukienkę do góry. Chciałam zaprowadzić ją do domu. – Mrugnęła. – Babka mieszka na drugim piętrze.

– Była pani przy tym, jak zamykano Latwinie? – zapytał Hooks.

– Tak, razem z moim partnerem Kretzerem. Dwa razy zwijaliśmy ją za zebranie. W obu przypadkach było już późno, a Latwinia, blokując ruch, wałęsała się po Hoover przy wjeździe na autostradę.

– To był wjazd na pas zachodni czy wschodni?

– Zachodni.

– Pewnie chciała podłapać jakiegoś bubka z Beverly Hills – stwierdził McLaren.

Rinaldo wzruszyła ramionami.

– Kiedy to miało miejsce? – zapytał Hooks.

– W zeszłym roku. Chyba w grudniu. Było zimno, a ona miała na sobie pikowaną kurtkę, ale nic pod spodem.

Hooks zanotował to.

– A zatem dane na jej temat znajdę w waszych aktach?

– Raczej nie. Była wtedy jeszcze młodociana, niespełna osiemnaście lat. Powiedziałam jej, że ma szczęście. Jeśli chodzi panu o adres domowy, mogę tam pana zaprowadzić.

– To byłby dobry punkt wyjścia – rzekł Hooks. Spojrzał na McLarena. – Pójdiesz?

– Jasne – odparł młodszy detektyw.

Odszedł z Rinaldo, wsiadł do czarno-białego radiowozu i odjechał w stronę południowej bramy.

– I co, widać jakieś uderzające podobieństwa? – zagadnął Hooks Milo.

– Raczej nie.

– Twoja była dzieckiem dyplomaty?

– Izraelskiego dyplomaty.

– I nic się nie pojawiło w prasie ani w telewizji?

– Wyciszyli sprawę. – Milo przedstawił argumenty Carmelego.

– Cóż, może ma rację, choć sam nie wiem. Wygląda na to, że czeka cię niezła zabawa.

– Właśnie. A ty co zamierzasz, Willis?

– Jak zwykle. Jeśli będziemy mieli szczęście, okaże się, że to jakiś drań z sąsiedztwa. Jeśli nie – kto wie? Nie wiodła najbezpieczniejszego życia.

Milo spojrzał na drugą stronę boiska.

– Dzieciaki gapią się na zwłoki.

– Byłoby jeszcze gorzej, gdyby nie zjawił się woźny i zobaczyły ją, jak dynda.

– Interesująca reakcja, to, że ją odciął.

Cztery równoległe linie na czole Hooksa pogłębiły się.

– Obywatelski odruch. Myślę, że nasz woźny słucha przemówień burmistrza. Chwileczkę. – Podszedł kilka kroków w stronę umundurowanych, wyłowił wzrokiem mężczyznę w szarym kombinezonie i polecił mu gestem, by podszedł.

Woźny zbliżył się oblizując wargi.

– Poproszę pana jeszcze na sekundę – powiedział Hooks. – Oto pan Montez.

Woźny skinął głową. Kiedy stanął blisko, oceniłem, że ma około sześćdziesiątki, zniszczoną twarz boksera i nieregularną szarą brodę. Mierzył prawie metr siedemdziesiąt, miał szerokie barki, grube dłonie i wielkie stopy.

– Detektyw Sturgis – przedstawił się Milo, wyciągając rękę. Montez uścisnął ją. Patrzył przekrwionymi oczami.

– Wiem, co pan zrobił – rzekł Milo – ale jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym to usłyszeć jeszcze raz.

Montez spojrzał na niego i włożył ręce do kieszeni.

– Przychodzę do roboty na siódmą – powiedział poprawnie, chociaż z akcentem, po angielsku. – Sprzątam w głównym budynku i w bungalowie B, a potem zamiatam na boisku. Zamiatam wcześniej, bo ludzie rozrzucają tu sporo gów... rzeczy i nie chcę, żeby dzieci to widziały.

– Jakie to rzeczy?

– Butelki po alkoholu, ampułki po narkotykach. Czasami zużyte prezerwatywy, igły. Nawet zużyty papier toaletowy. Rozumiecie, panowie.

– A zatem w nocy ludzie wchodzą na szkolne boisko.

– Cały czas. – Montez podniósł głos. – Wchodzą tu, urządzają imprezy, szprycują się, strzelają. Trzy miesiące temu zastrzelono tu trzech chłopaków. W zeszłym roku dwóch. Dla dzieci to okropne.

– Kogo zastrzelono? – zapytał Milo.

– Chyba gangsterów, nie wiem.

– Sprawa Wallace'a i SanGiorgio. Strzelano przez płot, z samochodu – wyjaśnił Hooks. Odwrócił się do Monteza: – Jak się tu dostają? Przepiłowują kłódkę?

– Łańcuch. Albo przeskakują przez siatkę. Cały czas.

– Wie pan, kiedy ostatnio przepiłowano łańcuch? – zainteresował się Milo.

– A kto to może wiedzieć – odparł Montez. – Kiedyś za każdym razem zmienialiśmy kłódkę. Teraz... szkoła nie ma pieniędzy nawet na książki. Moje wnuki tutaj chodzą.

– Mieszka pan w pobliżu?

– Nie, w Willowbrook. Moja córka mieszka z mężem tu, przy Trzydziestej Czwartej. Jej mąż

pracuje przy stadionie. Mają trójkę dzieci. Dwoje chodzi tutaj do szkoły, trzecie jest jeszcze za małe.

Milo skinął głową.

– A więc wyszedł pan na boisko, zaczął zamiatać i zobaczył pan dziewczynkę.

– Od razu ją zauważyłem – potwierdził Montez. – Tam wisiała. – Pokręcił głową i skrzywił twarz z bólu. – Język... – Znow zaczął kręcić głową.

– Od razu się pan zorientował, że nie żyje? – zapytał Milo.

– Przez ten język? Pewnie.

– I odciął pan linę.

– Jasne, dlaczego nie? Pomyślałem, że może...

– Może co?

Montez patrzył na Mila. Znow oblizał wargi.

– Może to głupie, sam nie wiem, pomyślałem, że jej pomogę... Nie wiem sam, chyba przez to... przez to jak wisiała. Nie chciałem, żeby zobaczyły ją inne dzieci. Moje wnuki. Ona była miłym dzieckiem, chciałem, żeby wyglądała przyzwoicie.

– Znał pan ją? – dopytywał się Hooks.

– Latwinie? Pewnie. Wszyscy ją znali. Była trochę nie tego.

– Często tu przychodziła?

– Tutaj nie wchodziła, łąziła po ulicy. – Postukał się palcem w skroń. – Mieszka przy Trzydziestej Dziewiątej, kilka przecznic od mojej córki. Wszyscy ją widzieli, jak łąziła bez ubrań. Była trochę tego... szurnięta.

– W ogóle bez ubrań? – zdziwił się Hooks. Widząc zaskoczoną minę Monteza, dodał: – Chodziła po ulicy zupełnie nago?

– Nie, nie – zaprzeczył woźny. – Miała na sobie trochę ubrań, ale za mało, rozumie pan? – Znow postukał się w skroń. – Była szurnięta. Ale cały czas szczęśliwa.

– Szczęśliwa?

– Tak, śmiała się. – Montez zmrużył oczy. – Zrobiłem coś złego, kiedy ją odciąłem?

– Nie...

– Wychodzę, patrzę jak dynda i myślę: nie mogę pozwolić, żeby dzieci to zobaczyły. Poleciałem

po nóż do szafki z narzędziami.

Zamachnął się w powietrzu.

– Od jak dawna pan tu pracuje? – zapytał Milo.

– Dziewięć lat. Przedtem przez dwanaście lat byłem woźnym w liceum Dorsey. Kiedyś to była dobra szkoła, a teraz te same kłopoty co tutaj.

Milo wskazał kciukiem zwłoki.

– Kiedy zobaczył pan Latvinie, jak wisiała, była ubrana tak jak teraz?

– O co panu chodzi?

– Czy kiedy wisiała, miała na sobie majtki?

– Tak... A co, myślicie, że ja...

– Nie, po prostu chcemy się dowiedzieć, jak wyglądała, kiedy ją pan zobaczył.

– Tak samo – odparł Montez ze złością. – Dokładnie tak samo i dokładnie tak samo miała na sobie majtki. Przyniosłem nóż, odciąłem ją i położyłem na ziemi. Liczyłem, że może stał się cud i jeszcze żyje. Ale była martwa. No to zadzwoniłem na policję.

– A dlaczego tak ją pan ułożył? – zainteresował się Milo.

Montez spojrzał na niego, nie rozumiejąc o co chodzi.

– Z rękami po bokach – wyjaśnił Hooks. – Jakby pan chciał, żeby wyglądała przyzwoicie.

– Pewnie – odparł Montez. – A dlaczego nie? Dlaczego nie miałyby wyglądać przyzwoicie?

Hooks pozwolił mu odejść. Wszyscy trzej patrzyliśmy, jak woźny idzie w stronę budynku szkoły.

– I co sądzicie? – odezwał się Milo.

– Mamy jakiś powód, żeby wątpić w jego opowieść?

– Raczej nie, ale sprawdzę go i jeśli dziewczynkę zgwałcono, każę pobrać od niego próbki. – Hooks uśmiechnął się. – Dobry samarytanin, co? W tym zawodzie widziało się już niejednego drania w tej roli, nie? Pytanie tylko – o ile on jest zabójcą – dlaczego miałby ją załatwić właśnie tutaj, gdzie pracuje. W ten sposób skupia na sobie uwagę.

– Przekrwione oczy – zauważył Milo. – Może nie spał do późna.

– Tak – rzekł Hooks. – Lecz w oddechu nie czuć alkoholu. Poza tym powiedział, że pracuje

w dwóch miejscach. W dzień tutaj, a nocą na pół etatu w sklepie monopolowym przy Vermont. Mówił, że tej nocy był w sklepie. To się chyba da sprawdzić. Wydał się wam podejrzany? Jeśli rzeczywiście ma coś na sumieniu, to za tę rolę niewinnego powinien dostać Oscara.

Popatrzył przez siatkę na Dwudziestą Ósmą ulicę, potem spojrzął na samochody sunące po Western.

– Ktoś, kto przechodził lub przejeżdżał, również mógł zauważyć zwłoki, ale sami słyszeliście, co woźny mówił o śmieciach na boisku. W przeciwieństwie do pana Monteza, tutejsi ludzie nie lubią się w nic angażować.

– Jeśli zrobił to jakiś męt z sąsiedztwa, po co zadawałby sobie tyle trudu, żeby przynieść ją tu i powiesić? – zastanawiał się Milo.

– Kto wie? – rzekł Hooks. – Może spotkali się na rogu, umówili na randkę i przyszli tutaj, żeby skonsumować ten przelotny związek. Sami słyszeliście, że Montez znajduje tutaj także zużyte prezerwatywy.

– Techniczni wiedzą, kiedy przepiłowano łańcuch?

– Wiedzą tylko tyle, że stało się to jakiś czas temu, co by się zgadzało z opowieścią Monteza.

– Szkoła nie naprawia łańcucha, bo kiedy tylko powieszą nowy, zaraz zostaje przepiłowany.

– Tak – powiedział Hooks. – Dla nastolatków nie ma żadnych zabezpieczeń nie do pokonania. – Znowu spojrzął na zwłoki. – Może przyniesienie jej tutaj coś znaczy? Może morderca chciał coś przez to wyrazić.

– Co na przykład?

– Nienawidzę szkoły. – Hooks uśmiechnął się. – To by znacznie zawężyło krąg podejrzanych, co? Wystarczyłoby zebrać uczniów z kiepskimi ocenami.

Milo zaśmiał się krótko, Hooks mu zawtórował. Pulchne policzki zatrzęśły się, cztery zmarszczki na czole stały się gładsze.

– Łapy do góry, śmieciu – żartował, mierząc z palca, jak z pistoletu. – Pokazuj cenzurkę. Dwie tróje i dwójka? Pod ścianę. – Zachichotał jeszcze raz i wypuścił powietrze. – Ale poza uduszeniem i tym, że obie dziewczynki były opóźnione w rozwoju, nic nie łączy tych dwóch spraw.

– Uduszenie, niedorozwój i brak gwałtu – uzupełnił Milo.

– Jeszcze nie wiemy na pewno, czy nie było gwałtu – przypomniał Hooks.

– Ale jeśli nie było gwałtu, jest to interesujące, prawda, Willis? Ilu maniaków seksualnych zostawia ciało nietknięte?

– Może i tak. Chociaż kto wie, co się dzieje we łbach tych popaprańców? Może wystarczyło mu, że ją powiesił, patrzył, jak dynda na sznurze, spuścił się, poszedł do domu i miał słodkie sny. Pamiętam kilka lat temu taki przypadek, że gość bawił się stopami ofiar. Zabijał je, sadzał na łóżku i bawił się stopami. To mu wystarczyło, żeby się podniecić. Co pan na to, doktorze?

– Każdy ma swojego bzika – odparłem.

– Ten facet, ten od stóp, nawet nie musiał trzepać kapucyna. Wystarczyło mu, że bawił się palcami stóp.

– Ja też spotkałem się z wielbicielem stóp – powiedział Milo. – Nie zabijał, tylko wiązał ofiary i bawił się.

– Pewnie by zabijał, gdybyście mu pozwolili dalej działać.

– Pewnie tak.

– Gdybyśmy chwilę posiedzieli, najpewniej wygrzebałbyś niejedną taką perwersyjną historyjkę. – Hooks zeszywniał i spojrzał zakłopotany na Mila. Ten zachował kamienną twarz. – Tak czy tak, jeśli tylko z McLarenem na coś trafimy, damy wam znać.

– My również, Willis.

– W porządku.

Podbiegł do nas biały policjant.

– Przepraszam, detektywie – zwrócił się do Hooksa – kierowca koronera dopytuje się, czy możemy już odwieźć ciało ofiary.

– Chcesz coś jeszcze zrobić, Milo?

– Nie.

– No to jedźcie – polecił Hooks. Policjant popędził z powrotem, przekazał polecenie i dwaj asystenci koronera zbliżyli się do zwłok z noszami i czarnym workiem.

Na północnej części boiska zauważyłem ruch. Kilku nauczycieli podeszło bliżej do żółtej taśmy i obserwowali scenkę, popijając kawę.

– Przypominają mi się stare dzieje – odezwał się Hooks. – Urodziłem się na Trzydziestej Drugiej. Przeprowadziliśmy się do Long Beach, gdy miałem trzy lata. Gdyby nie to, pewnie chodziłbym tu do szkoły.

Asystenci koronera włożyli ciało do worka i położyli je na noszach. Kiedy odeszli, biały policjant zaczął wpatrywać się w ziemię, po czym zawołał innego mundurowego, wysokiego Murzyna, jeszcze ciemniejszego niż McLaren. Po chwili policjant podbiegł do nas.

– Detektywie, to pewnie nic ważnego, ale może zechce pan rzucić na to okiem.

– Na co? – zapytał Hooks ruszając.

– Coś leżało pod ciałem.

Poszliśmy za nimi. Czarny policjant stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Wzrok miał wbity w kawałek białej kartki o powierzchni zaledwie kilku centymetrów kwadratowych.

– To pewnie nic ważnego – powtórzył biały policjant – ale leżało pod spodem i jest tam coś napisane.

Zobaczyłem litery.

Hooks przykucnął.

– D-V-L-L. Mówi to coś komuś?

Policjanci spojrzeli po sobie.

– Nie – powiedział pierwszy.

– Może chodzi o diabła? – odezwał się drugi.

– Jakiś gang używa takiego skrótu?

Wszyscy zaczęli wzruszać ramionami.

– A poza tym, od kiedy członkowie gangów potrafią pisać – mruknął Hooks. – Dobra, ty, sokole oko... Bradbury, wyświadczyć mi przysługę: przeleć się wokół budynków i sprawdź, czy na ścianach nikt nie namazał czegoś podobnego.

– Tak jest. – Kiedy Bradbury zbliżył się do żółtej taśmy, nauczyciele cofnęli się i zaczęli obserwować, jak oglądał graffiti.

– DVLL – powtórzył Hooks. – Rozumiesz coś z tego, Milo?

– Nie.

– Ja też nie. Ten papier pewnie już wcześniej leżał na betonie, zanim woźny ją tu położył. Może to kawałek jakiejś szkolnej notatki albo coś takiego.

Papierek leżał nieruchomo na ziemi.

– Zawołać technicznych, czy dać im spokój? – zapytał czarny policjant.

– Zawołaj ich. Niech to zabezpieczą i sfotografują – odparł Hooks. – Nie chcemy przecież, żeby jakiś prawniczyna zarzucił nam potem fuszerkę, prawda?

Milo wyjechał na ulicę i zaparkował za moim cadillakiem Seville.

– Aha – rzekł, patrząc we wsteczne lusterko. – Już zaczynają się igrzyska.

Za nami zatrzymała się furgonetka lokalnej stacji telewizyjnej. Wysypała się z niej obładowana sprzętem ekipa, która popędziła do bramy wejściowej. Umundurowany policjant przy bramie konsultował się z Hooksem, gdy tymczasem od krawężnika ruszył mały szary samochód. Kiedy nas mijal, zauważyłem za kierownicą Latynosa, w podobnym szarym kombinezonie, jaki miał Montez. Kierowca popatrzył na nas przez ułamek sekundy i pojechał w stronę Western.

– Dziecko dyplomaty w West Side, a tutaj narkomanka – podsumował Milo. – Co o tym sądzisz?

– Jest jakieś fizyczne podobieństwo między Irit a Latvinia. Obie były opóźnione, zginęły od uduszenia. Irit nie została zgwałcona, Latvinia – o ile nam w tej chwili wiadomo – również nie. No i ułożenie ciała. Tyle że Latwinie uduszono znacznie brutalniej, no i ułożył ją woźny.

– Woźny.

– Podoba ci się?

– Jasne. Dlatego, że tam był. I dlatego, że dotykał ciała.

– Chciał oszczędzić tego widoku wnukom – powiedziałem. – Woźni sprzątają. Miotła jest ich narzędziem pracy.

– Chodzi mi o coś innego, Alex. Odciął ją, przyzwoicie ułożył, ale nie wepchnął do środka języka. Hooks zapytał go o to, lecz woźny powiedział, że kiedy zorientował się, że dziecko naprawdę nie żyje, nie chciał już niczego dotykać. Czy to się według ciebie trzyma kupy?

– Większość ludzi, widząc wisielca, popędziłaby pewnie do najbliższego telefonu. Ale jeśli Montez jest człowiekiem czynu, ojcem rodziny, silnie związanym ze szkołą, to jego reakcja jest zupełnie racjonalna. Choć równie prawdopodobny jest i inny scenariusz: Montez umawia się z Latvinia – sam przyznał, że ją znał. Spotykają się na boisku, bo to jego teren. Zabija ją, wiesz, potem uświadamia sobie, że lada chwila mogą pojawić się uczniowie. Może nie ma już czasu na pozbycie się zwłok, więc zamiast tego odgrywa bohatera.

– Albo jeszcze inaczej: może miał dość czasu, by pozbyć się zwłok, lecz zostawił je, bo podnieciło go, że zagrał nam na nosie. Wydaje mu się, że grając bohatera jest sprytny, potrafi nas zwieść jak kameleon. To tak jak z tymi strażakami, którzy podpalają i pędzą do pożaru, by potrzymać węża.

– Jest jeszcze coś – powiedziałem. – Montez nosi rodzaj uniformy, szary kombinezon. Ten pracownik, którego widzieliśmy w parku na kosiarce, miał kombinezon beżowy, ale nie każdy musi od razu zauważyć różnicę.

– Irit – rzekł Milo mrużąc oczy.

– Mogła go wziąć za przedstawiciela władz. Kogoś, kto reprezentuje określone instytucje i komu można zaufać. Większość ludzi tak reaguje na uniformy.

– Montez... – zamyślił się Milo. – Cóż, jeśli jest coś, czego powinniśmy się o nim dowiedzieć, to Hooks wykona tę pracę równie dobrze jak kto inny.

– Jest jeszcze ten kawałek papieru – przypomniałem. – DVLL.

– Czy to ci coś mówi?

– Nie. Pewnie to nic takiego, tak jak powiedział Hooks: jakaś szkolna notatka.

Milo odwrócił się do mnie.

– O co chodzi, Alex?

– To wszystko aż za dobrze do siebie pasuje. Poruszamy ciało i proszę bardzo. Przy Irit niczego takiego nie znaleziono. Tak przynajmniej przeczytałem w aktach.

– To znaczy?

– Czasami drobiazgi uchodzą naszej uwadze – odparłem.

Zmarszczył brwi.

– Sądzisz, że Montez lub ktokolwiek inny, kto zabił Latvinie, zostawił jakąś wiadomość?

– Karteczka mogła być w jej kieszeni i wypadła, kiedy dziewczynę wieszano albo kiedy Montez ją odcinał.

Milo potarł twarz.

– Pojadę do kostnicy i sam przejrzę woreczki z dowodami rzeczowymi. O ile oczywiście rzeczy nie zostały już zwrócone rodzinie. A właśnie, skoro już mówimy o rodzinie. Rano zadzwonił do mnie Carmeli i powiedział, że ma kopie listów z pogrózkami do konsulatu. Powinienem tam pojechać i je odebrać. Zrobię to około piątej, ale najpierw podzwonię i popytam, czy ktoś miał do czynienia ze sprawami, w których chodziło o głuche albo opóźnione w rozwoju ofiary. Jeśli podrzuciłbym ci listy wieczorem, mógłbyś rzucić na nie okiem i je ocenić?

– Z największą przyjemnością, o ile tylko będę potrafił. Carmeli szybko zadziałał. Czyżby zmiana frontu?

– Może zrobiłem na nim wrażenie, przyprowadzając psychologa.

– Jasne, to go ujęło – powiedziałem. – Psycholog i muszka.

Do domu wróciłem o wpół do trzeciej. Robin i Spike wyszli na spacer. Wypiłem piwo i przejrzałem pocztę, obejrzałem wiadomości. Helena Dahl dzwoniła półtorej godziny wcześniej, tuż po naszym spotkaniu. Zostawiła numer do pracy. Oddzwonił też doktor Roone Lehmann.

Recepcjonistka z wydziału kardiologicznego powiedziała mi, że Helena asystuje właśnie przy operacji i nie może podejść do telefonu. Podałem swoje nazwisko i zadzwoniłem do Lehmana.

Tym razem nie odebrała recepcjonistka. W słuchawce usłyszałem nagrany na taśmie niski, suchy głos mężczyzny. Kiedy się przedstawiłem, usłyszałem ten sam głos, ale na żywo:

– Mówi doktor Lehmann.

– Dziękuję, że pan oddzwonił, doktorze.

– Nie ma za co. Siostra oficera Dahla również do mnie dzwoniła, lecz pomyślałem, że najpierw porozmawiam z panem. O co konkretnie jej chodzi?

– Chce zrozumieć, dlaczego brat popełnił samobójstwo.

– Współczuję – rzekł Lehmann. – Oczywiście. Ale czy w ogóle jesteśmy w stanie to zrozumieć?

– To prawda – odparłem. – Czy Nolan zdradzał jakieś objawy?

– Czy stracił nadzieję, pograżył się w głębokiej depresji, zdradzał samobójcze skłonności albo wysyłał zakamuflowane wezwania o pomoc? Nie wtedy, gdy go widziałem, doktorze Delaware, ale... chwileczkę.

Zamilkł na pół minuty, po czym wrócił zdyszany.

– Przepraszam, coś się wydarzyło i nie mogę teraz długo rozmawiać. Zresztą i tak bym nie mógł. Choć pacjent nie żyje, a sądy zwalniają z odpowiedzialności za ujawnienie poufnych danych, jestem jednym z tych staromodnych facetów, którzy poważnie traktują składane przysięgi.

– Czy może mi pan powiedzieć cokolwiek, co mogłoby jej pomóc? – zapytałem.

– Cokolwiek – powtórzył, przeciągając to słowo. – Hmm... Niech się zastanowię... Czy bywa pan w centrum? Mógłbym poświęcić panu kilka chwil. Wolałbym nie rozmawiać o tych sprawach przez telefon. To sprawa związana z policją i w ogóle. A jeszcze ta dzisiejsza atmosfera. Nikt nie wie, gdzie może czaić się prasa.

– Często ma pan do czynienia z policyjnymi sprawami?

– Wystarczająco często, żeby zachować ostrożność. Oczywiście, jeśli nie chce się panu jechać taki kawał...

– Nie ma sprawy – pospieszyłem z odpowiedzią. – Kiedy?

– Chwileczkę, spojrzę w kalendarz... Podkreślam, że nie mogę niczego obiecać, dopóki nie zapoznam się z zawartością teczek. I wolałbym nie mówić tego bezpośrednio siostrze oficera Dahla. Proszę jej przekazać, że rozmawialiśmy.

– Oczywiście. Miał pan już kłopoty przy podobnych sprawach?

– Nie... zazwyczaj nie. Po prostu dmucham na zimne... Panu też radzę coś rozważyć, doktorze. Radzę panu jako lekarzowi jego siostry. Nie ma nic dziwnego w poszukiwaniu wyjaśnień, ale nie przy każdej sprawie warto grzebać się w przeszłości.

– Pana zdaniem w tym przypadku nie warto?

– Chcę tylko... Powiedzmy, że oficer Dahl był... interesującym człowiekiem. Zresztą, na razie nie będę się nad tym rozwodził. Będziemy w kontakcie.

Interesujący człowiek.

Czyżby Lehmann mnie ostrzegał?

Jakieś ciemne sprawy, o których Helena nie powinna wiedzieć?

Zacząłem myśleć nad tym, czego dowiedziałem się o Nolandzie.

Zmiany nastrojów, poszukiwanie wrażeń, nagłe radykalne zmiany światopoglądu.

Czy podczas policyjnej pracy przekroczył granice prawa? Zrobił coś, czego lepiej teraz nie rozgrzebywać?

Coś politycznego... radykalnego?

„To sprawa związana z policją i w ogóle. A jeszcze ta dzisiejsza atmosfera”.

Wideokasety z nagraniem biciem podejrzanych, policjanci siedzący spokojnie i patrzący jak tłum podpala miasto, ukrywanie dowodów w głośnych sprawach, niezliczone przypadki złych policjantów przyłapanych na gorącym uczynku. Policja z Los Angeles była równie lubiana jak zwolennik aborcji w Watykanie.

„Nikt nie wie, gdzie może czaić się prasa”.

Czy Lehmann jest wplątany w jakieś inne policyjne sprawy i ma przystawioną lufę do skroni?

Jakikolwiek był tego powód, starał się odwieść mnie od pomysłu przeprowadzenia psychologicznej sekcji Nolana.

Wydział nie oponował, kiedy Helena nie zgodziła się na pogrzeb z pełnymi honorami.

Może Nolan chciał coś zdziałać?

Był bystry, inny – bo czytał książki.

Wyalienowany.

Przeniesienie z zachodniego Los Angeles do Hollywood.

Bo lubił, gdy coś się działo?

Coś niezgodnego z prawem?

Czy wpłatał się w coś, z czego jedynym wyjściem było samobójstwo?

Kiedy tak rozmyślałem, zadzwoniła Helena. Była zdyszana.

– Zaganiana? – zagadnąłem.

– Mam pełne ręce roboty. Właśnie w trakcie operacji udrażniania tętnic omal nie straciliśmy pacjenta. Zatkana była jedna z dużych tętnic, o czym kardiolog nie wiedział, czyszcząc właśnie drugą. Teraz już jest lepiej – i z pacjentem, i w ogóle. Dzwonię z innego powodu. Zaraz po naszym spotkaniu poszłam do mieszkania Nolana ze szczerym zamiarem przejrzenia jego rzeczy. Wydawało mi się, że może coś znajdę. – Przerwała. Słyszałem, jak bierze głęboki oddech i wypuszcza powietrze. – Najpierw weszłam do garażu i tam wszystko było w porządku, lecz ktoś włamał się do mieszkania Nolana, doktorze Delaware. Kompletny bałagan. Zabrali sprzęt muzyczny, telewizor, kuchenkę mikrofalową, serwisy, sztuce, kilka lamp, obrazy ze ścian. Trochę ubrań też pewnie zginęło. Ktoś musiał podjechać ciężarówką, żeby to wszystko zabrać.

– O Boże, tak mi przykro – powiedziałem.

– Dranie – mówiła drżącym głosem – sukinsyny.

– Nikt niczego nie widział?

– To się musiało stać w nocy. Tam są tylko dwa mieszkania – Nolana i właścicielki domu, dentystki, która wyjechała na jakąś konferencję. Dzwoniłam na policję, powiedzieli, że przyjadą najwcześniej za godzinę. Musiałam iść na trzecią do pracy, więc podałam im swój telefon i wyszłam. Zresztą, co mogą teraz zrobić? Napiszą raport i odłożą do akt. Szkodę już wyrządzono. Nawet jeśli ten drań wróci, to nie ma tam już nic do zabrania oprócz... samochodu Nolana... O Boże, dlaczego o tym nie pomyślałam! Jego pontiac fiero. Stoi w garażu. Albo go nie zauważyli, albo nie mieli czasu i wrócą po niego... O Boże, muszę tam pojechać z kimś i zabrać fiero do mnie... Mam teraz tyle spraw do załatwienia. Dzwonił właśnie mój prawnik z informacjami o ostatnich dokumentach... Rabunek w domu policjanta. Co za przekłete miasto... Czynsz jest opłacony do końca miesiąca, ale i tak zamierzam wszystko posprzątać i... muszę tam wrócić...

– Chce pani, żebym tam pojechał?

– Zrobiłby pan to dla mnie?

– Oczywiście.

– To bardzo miłe z pana strony, ale nie, nie mogę o to prosić.

– Nic nie szkodzi, to naprawdę drobiazg.

– Ja po prostu... Mówi pan poważnie?

– Gdzie jest to mieszkanie?

– Mid-Wilshire. Sycamore, niedaleko Beverly. Teraz nie mogę wyjść, za dużo mam cierpiących pacjentów. Może po nocnej zmianie, jeśli będzie dość osób. Gdy do tego czasu ukradną ten cholerny samochód, to proszę bardzo, niech go mają.

– W takim razie do wieczoru.

– Nie mogę prosić, żeby włączył się pan po nocy, doktorze Delaware...

– Naprawdę nie ma sprawy. Jestem nocnym markiem.

– Nie jestem pewna, o której będę mogła zejść z dyżuru.

– Proszę do mnie zadzwonić, kiedy będzie pani wolna. Jeśli będę mógł, spotkamy się w mieszkaniu Nolana. Jeśli nie, będzie pani zdana na siebie. W porządku?

Roześmiała się cicho.

– W porządku. Bardzo dziękuję. Naprawdę nie chciałam tam jechać sama.

– Ma pani jeszcze minutkę? – zapytałem.

– O ile nie wydarzy się coś nagłego.

– Rozmawiałem z doktorem Lehmannem.

– I co powiedział?

– Tak jak się spodziewaliśmy – nic. Zasłaniał się tajemnicą lekarską. Ale zgodził się przeczytać jeszcze raz teczkę Nolana i jeśli znajdzie coś, o czym będzie mógł swobodnie porozmawiać, spotka się ze mną.

Cisza.

– Oczywiście, jeśli pani tego chce, Heleno.

– Jasne – odparła. – Jasne, że chcę. Skoro się powiedziało A, trzeba też powiedzieć B.

Milo żuł wygasłe cygaro, a w ręku trzymał białą kopertę wypchaną listami zawierającymi pogróżki dla konsulatu.

– To plon tylko jednego roku – wyjaśnił, stojąc wciąż na tarasie.

– Co robią ze starymi?

– Nie wiem. Tyle dostałem od Carmelego. A raczej od jego sekretarki. Znów nie udało mi się wejść nawet do przedpokoju. Dzięki, Alex. Wracam do swoich telefonów.

– Na razie bez rezultatu?

– Sporo osób ma do mnie oddzwonić. Hooks zaczął rozpracowywać Monteza. Na razie facet jest czysty. Całkowicie. Na wszelki wypadek sam sprawdziłem spis przestępców. Nic. To na razie.

Poklepał mnie po ramieniu i odwrócił się.

– Milo, czy słyszałeś, żeby w policji działo się coś podejrzanego? Zwłaszcza w zachodnim Los Angeles i w Hollywood.

Zatrzymał się w pół kroku.

– Nie, a czemu pytasz?

– Nie mogę powiedzieć.

– Aha – rzekł. – Chodzi o tego dzieciaka Dahla. Ktoś go obmawiał? A może coś wiesz?

Pokręciłem głową.

– Pewnie trochę przesadzam, ale jego lekarz dał mi do zrozumienia, że nie powinienem zadawać zbyt wielu pytań.

– A dlaczego?

– Tajne łamane przez poufne.

– Hmm. Nie, nic mi się nie obilo o uszy. A chociaż nie należę do czołówki najpopularniejszych pracowników wydziału, to coś bym jednak wiedział, gdyby chodziło o kogoś ważnego.

– W porządku.

– Tak... Miłego analizowania.

Wyłożyłem zawartość koperty na biurko. Do każdego listu przypięta była niebieska karteczka z napisem Los Angeles i datą otrzymania.

Pięćdziesiąt cztery listy. Ostatni sprzed trzech tygodni, najstarszy sprzed jedenastu miesięcy.

Większość krótkich, pisanych bez ogródek.

Wszystkie anonimowe. Przewijały się w nich trzy główne tematy:

1. Izraelczycy to Żydzi, a zatem wrogowie; wszyscy Żydzi należą do spisku kapitalistycznych bankierów i masonów, którzy dążą do panowania nad światem.

2. Izraelczycy to Żydzi, a zatem wrogowie; wszyscy Żydzi należą do spisku komunistów, bolszewików i kosmopolitów, którzy dążą do panowania nad światem.

3. Izraelczycy to wrogowie, bo są kolonialnymi uzurpatorami, którzy ukradli ziemię Arabom i wciąż represjonują Palestyńczyków.

Już dawno nie widziałem tylu błędów ortograficznych i tak nierównego pisma.

W trzeciej grupie – Izrael kontra świat arabski – znalazłem najwięcej błędów gramatycznych i niepoprawnych sformułowań. Doszedłem do wniosku, że ich autorami byli obcokrajowcy.

Pięć listów z trzeciej grupy zawierało wzmianki o zabitych palestyńskich dzieciach, więc odłożyłem je na bok.

Nie znalazłem jednak bezpośrednich ostrzeżeń o zemście na dzieciach pracowników konsulatu ani na innych Izraelczykach. Nie znalazłem również nic, co odnosiłoby się do tajemniczego skrótu DVLL.

Zająłem się kopertami i zacząłem oglądać znaczki. Wszystkie z Kalifornii. Dwadzieścia dziewięć nadano w obrębie hrabstwa Los Angeles, osiemnaście w hrabstwie Orange, sześć w Ventura, a jeden w Santa Barbara.

Wśród pięciu listów, które wspominały o dzieciach, cztery nadano w Los Angeles, jeden w hrabstwie Orange.

Przeczytałem je wszystkie jeszcze raz. Mieszanka rasistowskiego jadu. W żaden sposób nie dawało się tego połączyć ze śmiercią Irit.

Drzwi gabinetu otworzyły się i stanęła w nich Robin ze Spikiem. Gdy pogłaskałem ją po karku, opuściła wzrok i spojrzała na listy.

– Poczta od wielbicieli – rzekłem.

Przeczytała jedno zdanie i odwróciła się.

– Okropne. Czy to do ojca tej dziewczynki?

– Nie, do konsulatu. – Zacząłem zbierać listy.

– Nie przerywaj z mojego powodu – powiedziała.

– Nie, już skończyłem. Może zjemy kolację?

– Właśnie miałam cię poprosić.

– Mogę przygotować.

– Naprawdę?

– Z chęcią, pod warunkiem że nie masz nic przeciwko czemuś szybkiemu i prostemu. Może baranina? Mamy trochę w zamrażarce. Ugotuję też kukurydzę. Sałatka, wino, lody – same specjały.

– Wino i inne specjały. Serce zaczyna mi bić coraz mocniej.

Odprężyłem się, skupiając całą uwagę na grillu. Zjedliśmy na dworze. Kolacja przebiegała w ciszy i trwała długo. Godzinę później trafiliśmy do łóżka. O wpół do ósmej Robin wskoczyła do wanny, a ja leżałem na łóżku.

Dziesięć minut później zadzwoniła Helena:

– Mogę już wyjść, ale naprawdę nie musi pan ze mną iść.

Poszedłem do łazienki i powiedziałem Robin, że chcę wyjść.

– Cóż, w domu spełniłeś już dzisiaj dobre uczynki, więc idź.

Sycamore okazała się miłą, ocienioną ulicą, nieco na zachód od parku Hancocka. Stało przy niej mnóstwo eleganckich piętrowych domów jeszcze z lat dwudziestych. Budynek Nolana Dahla pamiętał mniej więcej tamte czasy, lecz był znacznie mniej elegancki. Biała sztukateria, żadnych architektonicznych ozdób, wąskie okna, kilka juk rosnących od frontu, kwadratowy trawnik. Widać było, że właściciel ostatnio musiał liczyć się z groszem.

Przyjechałem dwie minuty przed Heleną.

– Przepraszam, musiałam wypełnić jeszcze formularze potrzebne do wypisania pacjentów ze szpitala. Mam nadzieję, że nie czeka pan długo?

– Dopiero co przyjechałem.

Machając kluczem, powiedziała:

– Nolan mieszkał na parterze.

Podeszliśmy do drzwi wejściowych. Między drzwiami a futryną tkwiła wizytówka. Helena wyciągnęła ją.

– Detektyw Duchossoir – przeczytała. – Miło, że się pan pojawił... Nawet nie zadzwonili do mnie, żebym złożyła zeznania. Niezły żart.

Otworzyła drzwi i włączyła światło. Weszliśmy do pomieszczenia zaciemnionego przez ciężkie złote story z aksamitu, które liczyły sobie chyba tyle lat, ile sam budynek. Spory salon miał belkowany sufit i niegdyś białe ściany. Wyczuwało się w nim zapach kurzu i potu. Wyglądał jak pole bitwy. Włamywa cze zostawili poprzewracane, połamane meble: rozkładane drewniane krzesła o powyłamywanych nogach, brązową sofę ze sztruksowym obiciem przewróconą do góry nogami. Spodnią płytę oderwano, odsłaniając sprężyny i wypychający ją materiał. Tania ceramiczna lampa leżała rozbita na wytartym zielonym dywanie. Ściany były puste – z ciemnymi prostokątami po wiszących na nich obrazach.

W jadalni rzucono o ścianę małym karcianym stolikiem – w tym miejscu pękł tynk. Kolejne składane krzesła. W małej kuchni zobaczyłem powyciągane szuflady. Większość opróżniono tak, że widać było żółte spody. Skromna kolekcja szklanek i kubków Nolana leżała rozrzucona na linoleum pokrywającym podłogę. Tak jak mówiła Helena – zniknęły wszelkie sztuce i zastawa.

Stara biała lodówka marki Admiral, prawdopodobnie kupiona gdzieś na wyprzedaży, nie wypełniała sporego kąta, jaki na nią przeznaczono. Zajrzałem do środka. Pusto.

Nolan żył jak typowy kawaler. Sam tak kiedyś mieszkałem. Dawno temu.

– Weszli tędy, przez kuchenne drzwi – powiedziała Helena, wskazując wyjście na maleńką werandę obok pustego śmietnika.

Szybę w tylnych drzwiach wybito. Kawałki rozbitego szkła wciąż tkwiły w ramie. Przez otwór bez trudu można było otworzyć zamek od środka.

Prosta zasuwka.

– Niezbyt wyrafinowane zabezpieczenie – zauważyłem.

– Nolan był dumny z tego, że sam potrafi o siebie zadbać. Pewnie wydawało mu się, że nie potrzeba mu zabezpieczeń.

Podniosła stłuczoną filiżankę. Odstawiła ją z powrotem. Wyglądała na przygnębioną.

Patrzyła na ten bałagan i uświadamiała sobie, jak mieszkał brat.

Ruszyliśmy wąskim niskim korytarzem. Minęliśmy małą łazienkę wyłożoną zielonymi kafelkami. Szafka łazienkowa była pusta. Na podłodze leżała szczoteczka do zębów, pasta i zwinięte w rulon ręczniki.

– Zdaje się, że lekarstwa z szafki też ukradli – powiedziałem.

– O ile cokolwiek tam było. Nolan nigdy nie chorował. Nie brał nawet aspiryny. Przynajmniej wtedy, kiedy mieszkał w domu.

Dwie sypialnie. Pierwsza zupełnie pusta, z zaciągniętymi zasłonami. Helena przez dłuższy czas zaglądała z progu do wnętrza. W drugim pokoju, w którym sypiał Nolan, na skrzyni na pościel leżał ogromny materac, zajmujący większą część podłogi. Komodę ze sklejki – znów chyba ze sklepu ze starzyzną – odsunięto od ściany, a szuflady wyciągnięto i rozrzucano po podłodze. Wszędzie walały się skarpetki, bielizna i koszule. Aluminiowy stojak na telewizor zostawiono u stóp łóżka, lecz sam telewizor zabrano. W kącie stała pokojowa antena. Ściągnięta z łóżka czarna narzuta odsłaniała białą pościel poplamioną potem. Materac do połowy zsunięto ze skrzyni. O ścianę stały oparte dwie zmięte poduszki.

Kolisty ślad na ścianie nad łóżkiem oznaczał, że kiedyś w tym miejscu wisiał zegar.

I to wszystko.

– Nie rozumiem tylko jednego – odezwała się Helena. – Gdzie się podziały wszystkie książki? Zawsze miał ich bez liku. Uwielbiał czytać. Sądzi pan, że mogli je zabrać włamywacze?

– Kryminaliści bibliofile – rzekłem. – Niewykluczone. Czy w tych zbiorach były jakieś cenne egzemplarze?

– Bibliofilskie? Nie mam pojęcia. Po prostu pamiętam pokój Nolana w domu u rodziców. Książki walały się wszędzie.

– A więc tutaj nigdy pani u niego nie była?

– Nie – odparła, jakby się spowiadała. – Kiedyś mieszkał w Valley i tam byłam kilka razy. Ale po wstąpieniu do policji przeniósł się na drugą stronę gór... – Wzruszyła ramionami i dotknęła pościeli.

– Czy jest możliwe, że oddał komuś książki?

– Po co miałyby to robić?

– Czasami przyszli samobójcy rozdają rzeczy, które uważają za ważne. W ten sposób żegnają się ze światem.

– Och. – Oczy zaszyły jej mgłą i odwróciła się. Wiedziałem, o czym myśli: Dlaczego nie dał ich mnie.

– Może być jeszcze inne wyjaśnienie. Sama pani mówiła, że Nolan dość szybko zmieniał światopogląd. Jeśli książki dotyczyły polityki, czegoś, w co przestał wierzyć, mógł się ich po prostu pozbyć.

– Nieważne. Chodźmy stąd i sprawdźmy, czy samochód jeszcze stoi w garażu.

Ogród z tyłu domu okazał się lepiej utrzymany niż ten od frontu. Z drzew unosił się zapach moreli, brzoskwiń i innych owoców. W garażu było miejsce na dwa samochody. Helena podniosła drzwi z lewej strony. Jarzeniówka z prawej oświetlała wąskie pomieszczenie z warsztatem pod ścianą.

Jasnoczerwony pontiac fiero pokrywała spora warstwa kurzu. W oponach brakowało powietrza. Samochodem dawno nikt nie jeździł.

Spojrzałem na drzwi od strony kierowcy. Przy zamku zauważyłem głębokie rysy. Szyba była pęknięta, ale nie stłuczona.

– Chyba próbowali, lecz wpadli w panikę albo zabrakło im czasu.

Westchnęła i podeszła bliżej.

– Jeszcze dzisiaj każę go odholować.

Resztę miejsca w garażu zajmował warsztat z drewnianym blatem, metalowe półki z puszkami farby i zaschniętymi pędzlami, rower z jednym kołem, sflaczała piłka do koszykówki, kilka kartonowych pudeł, na których leżał zmięty strój pletwonurka. Tablica z wieszakami na narzędzia wisząca nad warsztatem była pusta.

– Zniknęły jego narzędzia – powiedziała Helena. – Miał je od liceum. Kiedyś chciał rzeźbić w drewnie, więc rodzice kupili mu cały kosztowny zestaw narzędzi. Niedługo potem poniechał kariery artysty... Może w tych kartonach są książki?

Podeszła do pudeł i odsunęła piankowy kombinezon. Pięć kartonów. Ten, który leżał na wierzchu, był otwarty.

– Pusto – oznajmiła. – To strata... chwileczkę, proszę spojrzeć na to.

Podniosła drugie pudełko. Chyba ciężkie, bo napięła mięśnie ramion.

– Jeszcze zaklejone. – Kluczem próbowała rozerwać taśmę, lecz próba nie powiodła się. Wyjąłem scyzoryk i przeciąłem taśmę.

Westchnęła.

W środku leżało kilka albumów oprawionych w imitację skóry w różnych kolorach. Ten na wierzchu był czarny. Złotymi literami wypisano na nim FOTOGRAFIE. Helena otworzyła go i ukazały się nam kolorowe zdjęcia pod przezroczystymi plastikowymi osłonkami.

Przewracała kartki szybko, prawie gorączkowo.

To samo ujęcie w najrozmaitszych wariantach: tęga matka, chudy ojciec i dwójka ładnych jasnowłosych dzieci. W tle drzewa, ocean, diabelski młyn albo po prostu błękitne niebo. Na wszystkich zdjęciach Helena miała nie więcej niż dwanaście lat. Czy wtedy życie rodzinne zamarło?

– Nasze rodzinne albumy – powiedziała. – Trzymała je mama. Szukałam ich, po jej śmierci nie miałam pojęcia, że on je wziął.

Przewróciła kolejną kartę.

– Tata i mama... wyglądali tak młodo. To takie... – Zamknęła album. – Później je obejrzę.

Podniosła pudło i zaniósła je do swojego samochodu. Położyła na siedzeniu obok kierowcy i zamknęła drzwi.

– Przynajmniej coś znalazłam. Dziękuję, doktorze Delaware.

– Nie ma za co.

– Jutro każe odholować samochód. – Położyła rękę na piersi. Drżały jej palce. – Nolan zabrał albumy z domu mamy i nie powiedział ani słowa. Dlaczego mi nie powiedział? Dlaczego nic mi nie powiedział?

Następnego ranka o dziesiątej zadzwonił do mnie doktor Roone Lehmann.

– Przejrzałem akta Nolana. Jak się czuje jego siostra?

– Jakoś się trzyma, choć nie jest jej łatwo – odparłem.

– Tak. Cóż... był bardzo skomplikowanym młodym człowiekiem.

– Skomplikowanym i inteligentnym.

– Doprawdy?

– Helena powiedziała mi, że doskonale wypadła w testach.

– Rozumiem... to interesujące. Czy ona też jest utalentowana?

– To inteligentna kobieta.

– Nie wątpię... No dobrze, jeśli pan chce, proszę wpaść do mojego gabinetu około południa. Będę mógł poświęcić panu dwadzieścia minut. Ale proszę się nie spodziewać rewelacji.

– Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić swój czas.

– Taka to już praca, prawda?

Kilka minut później zadzwonił Milo.

– Koroner twierdzi, że Latvini nie zgwałcono. Hooks mówi, że ten woźny, Montez, ma alibi na czas morderstwa.

– Dobre alibi?

– Niezbyt doskonale, ale czasami tylko przestępcy mają doskonałe alibi. Pracował w monopolowym od siódmej do wpół do jedenastej. Potwierdza to właściciel sklepu. Jego zdaniem Montez ma w pracy nieposzlakowaną opinię. Potem wrócił do domu, do żony i dzieci – dwóch starszych córek. Obie jeszcze nie spały. Cała trójka przysięga, że poszedł spać tuż po północy. Żona jest pewna, że nie wychodził z domu. O trzeciej nad ranem wstała, żeby pójść do łazienki i widziała go w łóżku. O piątej nad ranem znów się przebudziła z powodu jego chrapania.

– Żona – powiedziałem.

– Tak, ale Montez jest pod tym względem solidny: żonaty od trzydziestu pięciu lat, służył w Wietnamie, nie karany – nawet mandatem. Dyrektor szkoły mówi, że dobrze żyje ze wszystkimi,

zawsze chętny do pracy, naprawdę troszczy się o szkołę i uczniów. Dyrektor powiedział Hooksowi, że odcięcie ciała z huśtawki idealnie pasuje do Monteza. Kilka lat temu jedno z dzieci zakrzusło się czymś, a Montez natychmiast udzielił mu pierwszej pomocy i tylko dzięki temu dzieciak przeżył.

– Bohater bez skazy.

– To nie koniec: Hooks odnalazł kumpla Monteza z wojska, sąsiada z tej samej ulicy. Zdaje się, że w Wietnamie Montez sam pokonał hordę żołnierzy Wietkongu i uratował sześciu naszych. Dostał kilka medali. Teraz przypominam sobie, że Wietnamczycy wieszali naszych żołnierzy – cały czas trzeba było odcinać ciała. To mógł być kolejny powód, dla którego tak się zachował. Co do Latwinii, Hooks i McLaren rozmawiali z jej babką, która powiedziała, że dziewczyna była niepoprawna. Wychodziła z domu, kiedy chciała, nie słuchała nikogo. Nie miała stałego chłopaka, nie zadawała się z żadnym gangiem. Niezbyt bystra, lekkomyślna, łatwowierna i czasami po prostu dziwna – tańczyła, śpiewała, podciągała bluzkę do góry. Zdaniem sąsiadów Latwinia należała do dziewczyny, które łatwo namówić na cokolwiek.

– Znalezione w organizmie ślady narkotyków?

– Jeszcze nie ma wyników. Koroner mówi, że na ciele nie było śladów po nakłuciach igłą. Jednak nabłonek komór nosowych miała wyraźnie uszkodzony, zauważono też zmiany w sercu, a więc na pewno w grę wchodziła kokaina. Nadal szukam w innych wydziałach morderstw na głuchych dziewczynkach i sprawdzam to DVLL z karteczki. Na razie bez rezultatów. To pewnie jakaś przypadkowa notatka.

– A co z rzeczami Irit?

– W worku z dowodami rzeczowymi nie było żadnych przedmiotów osobistych. Wszystko zwrócono rodzicom, a na liście dowodów nie wymieniono niczego, co mogłaby mieć w kieszeniach.

– Czy zwyczajowo zwraca się ciało ofiary w ubraniu, które miała na sobie?

– Nie, ale rozumiem, dlaczego tak się stało: nie znaleziono śladów nasienia ani żadnych innych płynów, a Carmeli jest wielką szychą. – Chwila przerwy. – No tak, daliśmy ciała. Teraz to już musztarda po obiedzie. Prawnik przestępca będzie się cieszył z tego jak dziecko.

– Poprosisz Carmelich, żeby dali nam obejrzeć to ubranie?

– Myślisz, że warto?

– Pewnie nie, ale po co ryzykować kolejne przeoczenie?

– No tak. Zapytam o to, kiedy będę rozmawiał z matką. Zostawiłem Carmelemu wiadomość, w której proszę uprzejmie i tak dalej, i tak dalej, ale jeszcze się nie odezwał. Z tego, co wiem, ubranie pewnie już spalono. Nie wiesz czy Żydzi palą ubrania?

– Nie wiem.

– Nieważne. W porządku, zadzwonię, jeśli wydarzy się coś interesującego. Dzięki, że mnie wysłuchałeś, przyślij mi rachunek.

Ruszyłem do centrum. Żeby ominąć autostradę, pojechałem Bulwarem Zachodzącego Słońca. Chciałem poczuć miasto od Bel Air do Skid Row. Po wjechaniu na teren Hospital Row zacząłem sobie przypominać czasy, kiedy pracowałem w Zachodnim Szpitalu Pediatrycznym. To tam wszedłem w świat, w którym dominowało cierpienie, a od czasu do czasu pojawiało się odkupienie, i heroizm. Pomyślałem o Guillermo Montezie. Uratował w Azji tylu żołnierzy, dostał tyle medali, a teraz pracował jako woźny i dorabiał na drugim etacie.

W okolicach Echo Park Los Angeles nabierało charakteru latynoskiego. Wreszcie za ułożonymi w koniczynę ślimakami autostrady ukazały się budynki centrum. Wieżowce z błękitnej stali, białego betonu i szczerzłotych lustrzanych szyb wcinały się w mlecznobure niebo.

Gabinet Lehmana przy Siódmej Ulicy mieścił się w uroczym pięciopiętrowym budynku z piaskowca, jednym ze starszych w okolicy. W tej części dzielnicy dominowały prążkowane garnitury i eleganckie wizytówki. Ze świecą trzeba by za to szukać bezdomnych czy chorych.

Zostawiłem samochód na pobliskim parkingu i ostatni kawałek drogi przeszedłem piechotą. Cały parter budynku z piaskowca zajmowało towarzystwo ubezpieczeniowe, które miało własne wejście. Po prawej znajdowało się osobne foyer dla innych firm. Było obszerne i chłodne – czarny granit ze złożony mi ozdobami, przeszklone zewnętrzne windy, woń tytoniu i wody po goleniu, rzeźbiona w orzechu lada recepcji. Pusta.

Zgodnie z planem na pierwszym i drugim piętrze mieścił się prywatny bank o nazwie American Trust, a na trzecim instytucja o nazwie City Club. Dojazd tylko prywatną windą ze specjalnym kluczem zatrzymującym ją na tej kondygnacji. Resztę najemców stanowiły firmy inwestycyjne, kancelarie prawne, firmy księgowo i – na najwyższym piętrze – doktor medycyny Roone Lehmann, który w spisie figurował jako „konsultant”.

To było dość niezwykle miejsce na prowadzenie praktyki i Lehmann nie ogłaszał się jako psycholog.

Czy powodu policjantów i innych opornych pacjentów obawiających się „lekarza od czubków”?

Przyjechała jedna z wind. Pojechałem na piąte piętro. Korytarze były wysokie, sufit biały, ozdobiony girlandami sztukaterii. Ściany wyłożono dębowymi panelami, a na podłodze położono bordową wełnianą wykładziną w drobne białe gwiazdki. Z dębu wykonano również drzwi do poszczególnych pokoi, zaopatrując każde w srebrną tabliczkę. Z niewidzialnych głośników sączyła się cicha, nie absorbująca muzyka. Na ścianach powieszono obrazy przedstawiające sceny z polowania, co sześć metrów ustawiono stoliki Pembroke’a, a na nich szklane wazy pełne świeżych kwiatów. Zupełnie nie przypominało to prostego wystroju w izraelskim konsulacie.

Gabinet Lehmana mieścił się w rogu. Sąsiadowały z nim kancelarie prawnicze. Na srebrnej tabliczce znalazłem tylko jego nazwisko i tytuł – znów bez specjalizacji.

Nacisnąłem na klamkę. Zamknięte. Podświetlany przycisk po prawej jarzył się bursztynowo na tle drewnianego panelu.

Nacisnąłem go i natychmiast z brzęczeniem otworzyły się drzwi do maleńkiego przedpokoju o brązowych ścianach. Stały tu dwa niebieskie krzesła i sztywno obita ciemnozielona sofa z okresu królowej Anny. Na szklanym blacie stolika do kawy leżały egzemplarze „The Wall Street Journal”, „Los Angeles Times” i „USA Today”. Ściany bez obrazów. Mdłe światło dochodziło z dwóch reflektorków schowanych w suficie. Przy drzwiach kolejny guzik i napis PROSZĘ DZWONIĆ.

Nim zdążyłem podejść, drzwi się otworzyły.

– Doktor Delaware? Jestem doktor Lehmann – przedstawił się suchym, chociaż miłym dla ucha głosem, jeszcze bardziej przyciszonym niż przez telefon, prawie smutnym.

Ucisnąłem jego miękką rękę i przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Miał około pięćdziesiątki, był wysoki, o barczystych ramionach i łagodnym wyglądzie. Zmierzwione białe włosy, twarz szeroka, nieco spłaszczona, krzaczaste brwi opadające na zmęczone powieki. Przez dwie szparki patrzyły na mnie brązowe oczy.

Lehmann nosił dwurzędowy granatowy blezer ze złotymi guzikami, szare flanelowe spodnie, białą koszulę, luźno zawiązany różowy krawat. W butonierce niedbale wetknięta tkwiła biała chusteczka.

Lehmann sprawiał wrażenie wymiętego, choć ubranie było doskonale wyprasowane i wyglądało na drogie. Kaszmirowy blezer. Obrębek guzików na mankietach i brzeg kołnierzyka koszuli dowodziły, że sztyto ją na miarę. Ubioru dopełniał krawat z delikatnego jedwabiu.

Doktor zaprosił mnie ruchem ręki. Gabinet składał się z małej łazienki wykładanej orzechowym drewnem i wielkiego pokoju o jasnożółtych ścianach i wysokim suficie ozdobionym sztukaterią. Na podłodze leżała miejscami wybrzuszona dębowa klepka. Na skos położono sfatygowany perski dywan, który niejedno już przeszedł. Dwa niebieskie krzesła i srebrny zdobiony stolik tworzyły kącik do rozmowy. Między tym miejscem a biurkiem rozciągał się dywan. Bliżej masywnego biurka z drewna czereśniowego stały jeszcze dwa fotele obite czarnym tweedem.

Dwie wiktoriańskie szafy aż pękały od książek, lecz nie mogłem dojrzeć tytułów, gdyż w szklanych drzwiach szaf odbijało się wpadające przez okna słońce. Same okna były wąskie i wysokie, od góry zasłonięte storami z rubinowego aksamitu.

Z okien roztaczał się piękny widok na miasto. W nowym budynku byłaby zapewne cała ściana ze szkła. Kiedy budowano ten biurowiec, na horyzoncie widać było pewnie jeszcze zagony fasoli i kominy.

Żółte ściany obito jedwabiem. Nie wisały na nich żadne dyplomy, żadne certyfikaty. Nic, co pozwoliłoby zidentyfikować, do czego służył gabinet.

Lehmann usiadł za biurkiem i wskazał mi jeden z czarnych foteli. Błat pokryty był zieloną skórą ze złożonymi narożnikami. Na blacie leżał notatnik oprawny w cielęcą skórę, srebrny kałamarz, nóż do

papieru, stojak na długopisy i dziwnie wyglądające srebrne urządzenie z fantazyjnie wygrawerowaną płytką na wierzchu. Z przegródek wystawały koperty. Zapewne służyło to do segregowania i przechowywania wiadomości.

Lehmann powiódł palcem po brzegu tajemniczego urządzenia.

– Intrygujące – odezwałem się.

– Stojak na dokumenty – wyjaśnił. – Z epoki króla Jerzego. Dwieście lat temu stał sobie w brytyjskim parlamencie. Skarbiec historii. Od spodu ma dziurkę – dzięki niej przykręcano go do biurka urzędnika. Takie zabezpieczenie przed kradzieżą.

Obiema rękami podniósł stojak, żebym mógł obejrzeć tę dziurkę.

– Ale i tak ktoś to w końcu wywiózł za ocean – zauważyłem.

– Pamiątka rodzinna – odparł krótko, jakby uważał, że to wszystko wyjaśnia. Położył ręce płasko na notatniku i spojrzał na cienki złoty zegarek. – Oficer Dahl. Bardzo by mi pomogło, gdyby pan powiedział, czego zdołał się o nim dowiedzieć.

– Z tego, co mi mówiono, był inteligentny i bardzo żywy – odparłem. – Nie pasował do stereotypu policjanta.

– Policjanci nie mogą być inteligentni?

– Mogą i są. Z opowiadań Heleny – jego siostry – wyłania się człowiek, który czytał Sartre’a i Camusa. Może myślę stereotypami, ale to mi nie wyglą da na normalną lekturę policjanta z Los Angeles. Choć oczywiście pan może wie lepiej, bo sporo pan współpracuje z policją.

Uniósł ręce do góry, po czym bezgłośnie złączył dłonie.

– Z każdym rokiem praktyka przynosi mi coraz mniej niespodzianek, doktorze Delaware. Czy panu też coraz trudniej przychodzi rezygnować z wizyt pacjentów?

– Czasami – odparłem. – Czy to wydział policji skierował tutaj Nolana?

Kolejna przerwa. Skinienie głowy.

– A mogę zapytać dlaczego?

– To co zwykle. Problemy z przystosowaniem. Ta praca jest niezwykle stresująca.

– Jakie kłopoty z pracą miał Nolan?

Lehmann oblizał usta. Na czoło opadł mu kosmyk białych włosów. Poprawił go i zaczął bawić się krawatem – raz za razem trącał kciukiem koniuszek różowego jedwabiu.

– Nolan miał zarówno kłopoty osobiste, jak i te związane z pracą – odezwał się wreszcie. – To był skomplikowany młody człowiek. Przykro mi, ale nic konkretniejszego nie mogę powiedzieć.

Tylko po to jechałem na drugi koniec miasta?

Lehmann rozejrzył się po wielkim, bogato ozdobionym pokoju.

– Bardzo żywy. To pańskie określenie czy Heleny?

Uśmiechnąłem się.

– Ja mam pod opieką żywego pacjenta, doktorze Lehmann. Muszę zachować tajemnicę lekarską.

Odwzajemnił uśmiech.

– Naturalnie. Próbowałem tylko... Ujmijmy to tak, doktorze Delaware: jeśli używa pan określenia „żywy” jako eufemizmu dla syndromu nadpobudliwości emocjonalnej, to doskonale pana rozumiem. Doskonale.

Niczego nie mówiąc, dał mi do zrozumienia, że Nolan cierpiał na zmiany nastrojów. Chodziło tylko o napady depresji? Czy depresyjno-maniakalne?

– Obawiam się, że nadużyję pańskiej uprzejmości pytając, czy mówimy o sytuacji jedno – czy dwubiegunowej?

– A czy to ma jakieś znaczenie? Pańska pacjentka nie oczekuje szczegółowej diagnozy.

– To prawda – przyznałem mu rację. – Czy przychodzą panu do głowy jakieś inne eufemizmy?

Zostawił w spokoju krawat i wyprostował się.

– Doktorze Delaware, rozumiem pańską sytuację. Rozumiem sytuację siostry Nolana. To oczywiste, że ona szuka odpowiedzi, ale i pan, i ja doskonale wiemy, że nie znajdzie tego, o co naprawdę jej chodzi.

– To znaczy?

– Rozgrzeszenia. Tego, czego zawsze szukają ci, którzy przeżyją. Tak jak powiedziałem, to zrozumiałe, lecz kiedy się miało do czynienia z wieloma podobnymi przypadkami, wiadomo, że kwestia rozgrzeszenia sprowadza ich z właściwej ścieżki. To nie oni zgrzeszyli, to samobójca. W pewnym sensie oczywiście. Jestem pewien, że Helena jest uroczą kobietą, która uwielbiała brata i teraz zadręcza się myślami, co mogła i co powinna zrobić. Przepraszam za wtrącanie się, ale moim zdaniem lepiej spożytkowałby pan spędzany z nią czas, starając się nakłonić ją do pozytywnego myślenia niż do zagłębiania się w zakamarki umysłu pełnego problemów.

– Czy tych problemów Nolan miał za dużo, by mógł pracować w policji?

– Prawdopodobnie tak, choć to nigdy nie było jasne. Nigdy. – Lehmann podniósł głos i na chwilę oblał się rumieńcem.

Nie zauważył znaku ostrzegawczego? Zabezpieczał własne tyły?

– To po prostu tragedia. Tak naprawdę nic więcej nie mogę powiedzieć. – Wstał.

– Doktorze Lehmann, nie sugerowałem...

– Ale ktoś inny mógłby sugerować, a tego nie chcę. Każdy normalny psycholog wie, że nie można nic zrobić, jeśli człowiek poważnie myśli o samounicestwieniu. Proszę sobie przypomnieć, ile samobójstw popełnianych jest na oddziałach psychiatrycznych z pełną opieką.

Pochylił się do mnie. Jedną ręką przyglądał kaszmirową klapę blezera.

– Proszę powiedzieć swojej pacjentce, że brat ją kochał, lecz problemy okazały się silniejsze od niego. I lepiej, żeby o nich nie wiedziała. Proszę mi wierzyć, naprawdę lepiej, żeby nie wiedziała.

Patrzył na mnie.

– Problemy seksualne? – zapytałem.

Machnął ręką.

– Proszę jej przekazać, że rozmawiał pan ze mną i powiedziałem, że był w depresji, którą praca w policji mogła pogłębiać, ale nie dlatego się zabił. Proszę powiedzieć, że temu samobójstwu nie można było zapobiec i ona nie ma z tym nic wspólnego. Proszę jej pomóc jakoś zakłajstrować emocjonalne rany. To nasza praca. Koić, naprawiać. Masować emocjonalnie. Wmawiać pacjentom, że są w porządku. Jesteśmy dostawcami dobrego samopoczucia.

W tym gniewie wyczułem coś znajomego. Smutek wywołany tym, że Lehmann za długo obcował z cudzą trucizną. Prędzej czy później boryka się z tym większość terapeutów. Czasami to mija, czasami zostaje jak chroniczna choroba.

– Tak, to chyba nasza rola – odparłem. – Jedna z wielu. Czasami nie jest to łatwe.

– Co nie jest łatwe?

– To masowanie.

– No cóż, skoro się wybrało taki zawód, trzeba go wykonywać. To istota profesjonalizmu. Nie ma co narzekać.

Kiedy robi się coraz trudniej, terapeuta staje się coraz twardszy. Zastanawiałem się, czy wobec Nolana też stosował tę taktykę pocieszania. Spodobałaby się wydziałowi policji.

Uśmiechnął się.

– Po tych wszystkich latach wiem, że praca mnie wzbogaca.

– Ile to już lat?

– Szesnaście. Ale wciąż znajduję coś nowego. Być może dlatego, że wcześniej pracowałem w biznesie, gdzie obowiązywała zupełnie inna filozofia: nie wystarczy odnieść sukces. Przeciwnik musi upaść.

– To brutalne – powiedziałem.

– Dosyć. W porównaniu z tym praca z policjantami to fraszka.

Odprowadził mnie do drzwi. Kiedy przechodziłem obok pękatych szaf, zerknąłem na tytuły książek. Struktura organizacyjna, behawioryzm grupy, strategie zarządzania, testy psychometryczne.

Już w poczekalni Lehmann powiedział:

– Żałuję, że nie mogłem panu powiedzieć więcej. Ta cała historia była... ponura. Niech siostra zachowa w pamięci własny obraz Nolana. Proszę mi wierzyć, tak będzie lepiej.

– Czy ta nie określona przez pana patologia, którą dało się u niego zaobserwować, miała bezpośredni związek z samobójstwem?

– Najprawdopodobniej tak.

– Czuł się winny z jakiegoś powodu?

Lehmann zapiął blezer.

– Nie jestem księdzem, doktorze Delaware. A pańska klientka pragnie iluzji, a nie faktów. Proszę mi wierzyć.

Kiedy wsiadłem do windy, miałem wrażenie, jakby zaserwowano mi w błyskawicznym tempie niebotycznie drogi, lecz pozbawiony smaku posiłek. Teraz wszystko zaczęło się powtarzać.

Dlaczego Lehmann marnował mój czas?

Zamierzał powiedzieć więcej, ale się rozmyślił?

Może wiedział, że popełnił błąd w sztuce lekarskiej, bo w czasie terapii nie zauważył czegoś istotnego?

Może obawia się procesu, a Helena i ja stanowimy dla niego ogromne zagrożenie. Gdyby w ogóle nie chciał ze mną rozmawiać, wyglądałoby to na bezsensowny upór.

Ale jeśli coś ukrywał, po co w ogóle wspominał o problemach Nolana?

Czyżby chciał się dowiedzieć, co ja wiem?

Winda otworzyła się na czwartym piętrze, gdzie wsiadło trzech barczystych mężczyzn w szarych garniturach i okularach. Gdy tylko mnie zobaczyli, ich jowialna pogawędka urwała się jak nożem uciał. Odwrócili się do mnie plecami, a najwyższy włożył klucz do zamka z oznaczeniem City Club. Po ich wyjściu winda przez chwilę tkwiła w miejscu. Mogłem podziwiać podłogę z czarno-białego marmuru ułożonego w szachownicę, wypolerowane ściany wyłożone drewnem, łagodnie oświetlone olejne obrazy, bajecznie kolorowe kwiaty w wazonach z ciemnego szkła.

Uśmiechnięty gospodarz sali w smokingu poprosił pasażerów windy dalej. Weszli do klubu, znów śmiejąc się i rozmawiając. Za nimi uwijali się czarni kelnerzy w czerwonych kurtkach, obwieszeni srebrnymi sztuczkami i obładowani tacami pełnymi potraw. Kiedy winda wypełniła się już zapachem pieczonego mięsa i bogato przyprawionego sosu, zdobione drzwi cicho się zamknęły.

Jechałem na zachód, tym razem autostradą. Wciąż myślałem o Lehmannie.

Dziwny z niego ptaszek. Zachowywał się z elegancją przeniesioną żywcem ze starego świata. Brytyjska wymowa. Mówił do rzeczy, lecz nie przypominał żadnego z terapeutów, których poznałem do tej pory.

Jak gdyby powtarzał wszystko dla mnie.

Analizował mnie?

Niektórzy kiepscy psychologowie i psychiatrzy traktują to jako grę.

„Proszę mi uwierzyć, lepiej będzie dla niej, jeśli nie będzie wiedziała”.

Dziwny ptaszek w dziwnym gniazdku.

Konsultant.

I te wszystkie książki na temat zarządzania i testów psychologicznych. Nic na temat terapii.

Czyżby prowadził praktykę, do której nie ma uprawnień?

Czyżby dlatego był taki spięty?

Jeśli tak, to jak wszedł we współpracę z policją z Los Angeles?

To akurat nie było wielką zagadką. Jak zwykle ogromną rolę odgrywała polityka i znajomości.

Szyte na zamówienie drogie ubrania, wystudiowana niedbałość i zabytkowe meble.

Konsultant z rodzinnymi układami. Kontakty w centrum mogły oznaczać wielkie pieniądze: stały dopływ zleceń z wydziału policji i innych agencji.

Potencjalna „rzeka” zleceń od policji, wydział w Los Angeles bowiem miał na etacie tylko kilku psychologów, którzy przez większość czasu badali kandydatów do pracy i negocjowali z porywaczami, czyli cierpieli na chroniczne przepracowanie.

Jest coś jeszcze: Milo powiedział mi kiedyś, że policjanci uważali etatowych psychologów za wtyczki dyrekcji, odnosili się do nich cynicznie i rzadko korzystali z ich pomocy.

Najczęściej wtedy, gdy chodziło o niezdolność do pracy wywołaną stresem. Coś, co policjanci z Los Angeles z upodobaniem wykorzystują od lat, a szczególnie ochoczo teraz, po zamieszkach.

Na zlecanych przez wydział badaniach można zarobić mnóstwo pieniędzy. Cicha umowa terapeuty z departamentem brzmiałaby wówczas: orzeknij, że są zdrowi.

To by wyjaśniało określenie Lehmana – „dostawcy dobrego samopoczucia”.

I dlaczego nie chciał zauważyć znaków ostrzegawczych u Nolana.

Czy odbyło się to w ten sposób, że ów młody policjant przyszedł do lekarza i opowiedział mu o zmianach nastroju, alienacji, ogromnej presji zawodowej, a w zamian otrzymał tylko twarde słowa otuchy?

„Skoro się wybrało zawód, trzeba go wykonywać. To istota profesjonalizmu”.

Teraz Lehmann chciał zdusić w zarodku wszelkie dociekania.

Zostawmy martwych w spokoju. I reputację doktora Lehmana.

Kiedy wróciłem do domu, sprawdziłem Lehmana w spisie Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologicznego. Nie ma takiego nazwiska. Nie wymieniono go w żadnym z lokalnych związków ani w żadnym okręgowym zespole opieki zdrowotnej. To dziwne, bo przecież gdzieś musiał pracować. Ale może zlecenia od policji mu wystarczały i nie musiał szukać zarobku gdzie indziej.

A może naprawdę był staromodnym dziwakiem i psychologię uprawiał jako drugi zawód po to, by osiągnąć własne zadowolenie, a nie dla pieniędzy. Oddech po latach spędzonych w bezdusznym świecie biznesu.

Wielki gabinet z obitym skórą biurkiem i książki – symbol statusu doktora – rekwizyty, którymi wypełniał czas, zanim zjeżdżał na kolację do klubu?

Zadzwoń do stanowej rady lekarskiej i uzyskałem potwierdzenie, że Roone Maekey Lehmann rzeczywiście od pięciu lat ma zezwolenie na prowadzenie praktyki psychologicznej w Kalifornii. Dyplom zrobił na New Dominion University, a praktykę kliniczną odbył w Pathfinder Foundation. Nie słyszałem o żadnej z tych instytucji.

Nie złożono przeciwko niemu żadnej skargi, papiery też nie budziły zastrzeżeń.

Zastanowiłem się nad tym jeszcze raz i uświadomiłem sobie, że nie mogę i nie powinienem nic

robić w tej sprawie. W sumie miał rację: jeśli Nolan koniecznie chciał opuścić ten świat, nikt nie mógł go powstrzymać.

Poważne problemy.

Moje pytanie o ich seksualną naturę wywołało znaczącą ciszę, a więc może o to chodziło.

Ponura sprawa.

Lepiej, żeby siostra o niczym nie wiedziała.

I tak doszedłem do podstawowego pytania: co mam powiedzieć Helenie?

Zadzwoiłem do Heleny do szpitala, ale nie było jej w pracy. W domu też nikt nie odbierał, więc zostawiłem wiadomość i zadzwoniłem na komendę do Mila.

– Nowe przemyślenia? – zapytał.

– Niestety, nie. Tak naprawdę dzwonię w sprawie Nolana Dahla.

– A co się stało?

– Jeśli jesteś zajęty...

– Chciałbym. Cały dzień wisiałem na telefonie, szukając podobnej sprawy, lecz trafiłem tylko na porwanie trzynastoletniego nieco opóźnionego chłopca w Newton. Ciała nie znaleziono. Zostały po nim tylko adidas. Nie sądzę, żeby coś z tego miało wyniknąć, ale przejadę się później na komendę w Newton, żeby zajrzeć do akt. A co z tym Dahlem?

– Właśnie wracam ze spotkania z jego terapeutą, niejakim doktorem Roone'em Lehmannem. Obiło ci się o uszy to nazwisko?

– Nie, a niby z jakiego powodu?

– Policja kieruje do niego pacjentów, więc pomyślałem, że może figuruje gdzieś w waszych spisach.

– Niewykluczone. Ale chyba nie z tego powodu o niego pytasz?

Opowiedziałem mu o swoich przemyśleniach.

– Więc uważasz, że schrzanił terapię Dahla i teraz próbuje ratować swój tyłek.

– Dał do zrozumienia, że Nolan miał swoje ciemne sekrety – poważne problemy, o których Helena nie powinna się dowiedzieć.

– Co znaczy, że sprawa mocno śmierdzi.

– Właśnie. Zresztą to dziwny facet, Milo. Pracuje w biurowcu, gdzie mieszczą się banki i kancelarie prawne, określa się jako konsultant, ale w spisie nie wymienia specjalizacji. Mimo to ma wszelkie papiery i czyste konto, więc może po prostu popadam w paranoję. Chciałbym wiedzieć, po co Nolan do niego chodził. Czy prowadzicie u siebie dokumentację takich wizyt?

– Jak mają coś wspólnego z pracą, to na pewno tak, ale nie ma szans, żeby coś takiego wydobyć. Zwłaszcza teraz, po samobójstwie. Jeśli zwrócił się z podaniem o dodatek za pracę w stresie albo coś podobnego, pewnie gdzieś to odnotowano, ale jak wiadomo różne dokumenty czasami giną, gdy pasuje to odpowiednim ludziom.

– To zupełnie inna sprawa – rzekłem. – Gdy chodziło o stres, to po co by prosił o przeniesienie z zachodniego Los Angeles do Hollywood?

– Racja... Może miał już dość sukinsynowatych gwiazdorów i ich maltretowanych żon?

– Pomyślałem, że tęsknił za akcją. Lubił ryzykować. – Opowiedziałem mu o włamaniu do mieszkania Nolana i o tanim zamku w kuchennych drzwiach.

– To mnie akurat nie dziwi – odparł Milo. – Gliniarze albo mają świra na punkcie własnego bezpieczeństwa, albo zupełnie to olewają. Gdyby społeczeństwo wiedziało, jak często popełniane są przestępstwa na policjantach, zupełnie by w nas zwątpiło. O ile to jeszcze możliwe.

– Ale jeśli Nolan pragnął ryzyka, po co się ubezpieczał?

– To twoja działka, nie moja – mruknął Milo. – Zdaje się, że obaj zabrnęliśmy w ślepią uliczkę. Mógłbym nawet popytać o te dokumenty dotyczące terapii Dahla, ale to strata czasu. Jediną osobą, która mogłaby nam cokolwiek powiedzieć, jest jego instruktor.

– Helena już z nim rozmawiała. Był zaskoczony wiadomością o samobójstwie.

– Jak się nazywa?

– Niejaki sierżant Baker.

– Wesley Baker?

– Nie wiem, jak ma na imię. Helena mówi, że jest teraz w Centrum Parkera.

– To Wes Baker – powiedział Milo innym, cichszym i ostrożniej szym głosem.

– Znasz go? – zapytałem.

– O tak... to interesujące.

– Co takiego?

– Wes Baker znów trenuje młodzież. Nie wiedziałem o tym, ale to dlatego, że niewiele mamy kontaktów z kolegami w mundurach... Posłuchaj, Alex, to nie najlepszy czas... ani miejsce... na taką rozmowę. Pojadę teraz do Newton, sprawdzę to porwanie sprzed roku i wpadnę do ciebie wieczorem. O ile będziesz w domu.

– Nie mamy żadnych planów na wieczór – odparłem i uświadomiłem sobie, że jestem w domu od blisko godziny i jeszcze nie poszedłem do Robin. – Jeśli będę gdzieś wychodził, zadzwonię do ciebie.

– Świetnie. Teraz jadę do East Side. *Sayonara*.

Kiedy wszedłem do pracowni, Robin zdejmowała właśnie okulary ochronne i sięgała po odkurzacza. Na widok plastikowego węża Spike zaczął głośno ujadać. Nie znosił ery industrialnej. Pies prostaczek. Gdy mnie ujrzał, przestał szczekać, przekrzywił głowę i zaczął dreptać w moją stronę. Zmienił jednak zdanie i znów zaatakował odkurzacza.

Robin roześmiała się i wydała mu polecenie:

– Spokój. – Rzuciła mu w kąt psie ciasteczko, a Spike pognał w tamtą stronę. – Później posprzątam, kiedy Spike pójdzie do domu.

– Szczęściara. Doskonała wymówka, żeby nie odkurzać – zażartowałem.

– No pewnie.

Pocałowaliśmy się.

– Jak ci minął dzień?

– Właściwie niczego nie dokonałem. A ty?

– A ja owszem, sporo dokonałam. – Poprawiła loki na głowie i uśmiechnęła się. – Ale jesteś na mnie zły.

– Dlaczego, za to, że jesteś piękna?

– Za to też. – Dotknęła mojego policzka. – Co poszło nie tak, Alex?

– Nic. Po prostu naszukałem się jak wariat i prawie nic nie znalazłem.

– W sprawie morderstwa tej dziewczynki?

– Tak, i jeszcze winnej. Chodzi o samobójstwo, które prawdopodobnie na zawsze pozostanie niewyjaśnione.

Wzięła mnie pod rękę i wyszliśmy z pracowni. Spike deptał nam po piętach i dyszał z podniecenia. Na sierści miał mnóstwo okruszków z psiego ciasteczka.

– Nie zazdrozczę ci – powiedziała Robin.

– Czego mi nie zazdrościsz?

– Tego polowania na wyjaśnienia.

Robin wzięła prysznic i przebrała się w czarno-szare spodnie. Włożyła diamentowe kolczyki i zapytała, czy nie wybralibyśmy się na wołowinę do argentyńskiej knajpki, w której byliśmy kilka miesięcy wcześniej.

– Pieczone mięso przyprawiane czosnkiem? To trochę ogranicza bezpośrednie kontakty – stwierdziłem.

– Chyba że oboje będziemy jeść ten czosnek.

– Jasne, ja mogę zjeść całą miskę. Potem zatańczymy tango, lambadę czy co tam nam zagrają i będziemy sobie chuchać prosto w twarz.

Nagle Robin rzuciła mi się w ramiona.

– Ach, Alessandro!

Robin przygotowała Spike'owi wodę i przekąski, a ja przebrałem się i zostawiłem wiadomość dla Mila na komendzie, w jego domu w zachodnim Hollywood i w firmie detektywistycznej Blue Investigations, gdzie kiedyś dorabiał po godzinach.

Pracę na drugiej zmianie rozpoczął siedem lat temu, kiedy zawieszono go za pobicie przełożonego, który naraził jego życie na niebezpieczeństwo. Zabroniono mu wtedy pojawiać się w ośrodku przetwarzania danych w Centrum Parkera. Liczono na to, że się zniechęci i w końcu sam odejdzie ze służby. Milo zdołał jednak odzyskać stanowisko detektywa i od pewnego czasu nie pracował już po godzinach, ale często odbierał tam wiadomości.

To chyba demonstracja niezależności albo niepewności, pomyślałem. Mimo ciągłego gadania o braku dyskryminacji przyszłość detektywa homoseksualisty wcale nie była taka pewna.

Czy na tym właśnie polegał problem Nolana?

Nie był żonaty. Ale miał dopiero dwadzieścia siedem lat.

Kiedyś utrzymywał jakieś związki z kobietami, lecz zdaniem Heleny ostatnio nie miał żadnych.

Zdaniem Heleny. Chyba nie było ono dalekie od prawdy.

Pomyślałem o mieszkaniu Nolana. Materac na podłodze, brak jedzenia w lodówce, rupieciowate meble. Nawet biorąc poprawkę na zniszczenia dokonane w czasie napadu, nie wyglądało to na garsonierę kawalera uganiającego się za kobietami.

Samotnik. Flirtował z najrozmaitszymi filozofiami, przerzucał się z jednego politycznego ekstremum na drugie.

Czy ostatnim światopoglądem była autodegradacja?

A może pozbawił się dóbr materialnych, bo już mu na niczym nie zależało?

Albo chciał się ukarać.

Lehmann użył słowa „grzech”, lecz kiedy zapytałem go o winę, stwierdził, że nie jest księdzem.

Czy kiedyś osądzał Nolana?

Czy Nolan sam się osądzał? Wydał na siebie wyrok i sam go wykonał?

Za co?

Wyobraziłem sobie młodego policjanta w barze „Go-Ji”, otoczonego przez mieszkańców nocy, których miał trzymać pod kontrolą.

Wyciąga służbowy pistolet, wkłada sobie lufę do ust.

Czy to był symboliczny gest, jak w przypadku wielu samobójstw?

Ostateczne fellatio?

Obnażenie się w obecności innych grzeszników?

Policjanci popełniali samobójstwa znacznie częściej niż cywile, ale rzadko robili to publicznie.

– Gotowy? – zawołała Robin od drzwi.

– Oczywiście – odparłem. – Chodźmy w tango.

Obserwator

Psycholog.

Jego obecność wszystko komplikowała: skupić uwagę na nim czy na Sturgisie?

Sturgis był zawodowcem, ale na razie wielki policjant potrafił jedynie przesiadywać całymi dniami w biurze.

Pewnie wisiął na telefonie.

Był przewidywalny.

Psycholog okazał się przedsiębiorczy. Dwukrotnie wybrał się w teren.

Być może da się to wykorzystać.

Po raz pierwszy wszedł do tego piętrowego budynku przy Sycamore, gdzie spotkał się z przystojną blondynką o spiętej twarzy.

To napięcie zastanawiało go – czyżby pacjentka? Jakiś rodzaj ulicznej terapii?

Oczywiście istniała też inna możliwość – przyjaciółka. Facet zdradzał kobietę o kasztanowych włosach, z którą mieszkał. Ślicznotka, chyba rzeźbiarka albo ktoś w tym rodzaju. Widział, jak nosiła klocki drewna z furgonetki gdzieś na tyły domu.

Obserwował rozmowę psychologa i nieszczęśliwej kobiety, a potem ich wejście do mieszkania. Skok w bok z blondynką w czasie gdy ruda rąbie drewno?

Blondynka była szczupła i przystojna, ale nawet nie umywała się do rzeźbiarki. No i kiedy dwukrotnie widział psychologa z rzeźbiarką, ich uczucie wyglądało na szczere, niewymuszone.

Ale zachowaniem człowieka rzadko kiedy rządziła logika.

Okropne przypadki nauczyły go wszystkiego o autodestrukcyjnej sile, która przecinała ludzką duszę niczym zatruty strumień.

Wyszli z domu po dwudziestu minutach i udali się do garażu. Psycholog chyba nie odnosił się do niej w romantyczny sposób, ale może akurat się pokłócili.

Nie, między nimi nie było wrogości. Mówiła, a on słuchał jej z uwagą, tak jakby go to naprawdę obchodziło.

Troskliwy, lecz zachowywał dystans.

Dystans zawodowy?

A więc prawdopodobnie jego pacjentka.

Albo siostra. To spotkanie z całą pewnością nie wyglądało romantycznie.

Mężczyzna spisał numer rejestracyjny mustanga, którym przyjechała blondynka. Odczekał, aż oboje odjadą, po czym w kombinezonie elektryka udał się na tyły domu i wszedł do środka, otwierając prostą zasuwkę w kuchennych drzwiach.

Zrozumiał, dlaczego kobieta wyglądała tak okropnie.

Włamanie.

Pogrzebał chwilę w porzucanych rzeczach i znalazł rachunki z elektrowni i gazowni wystawione na nazwisko Nolana Dahla. Dotyczyły tego mieszkania. Wieczorem, zjadłszy kolację złożoną z wody mineralnej i kanapki, włączył komputer, włamał się do stanowej bazy danych pojazdów mechanicznych i wprowadził numer spisany z tablic mustanga.

Helena Allison Dahl, lat trzydzieści, włosy blond, oczy niebieskie i adres w Woodland Hills.

Była żona Nolana, do którego mieszkania się włamano?

A gdzie się podziewał Nolan?

Może to on sam zdemolował mieszkanie – rozjuszony mąż, który chciał się odegrać na żonie.

Z tego powodu mogła zadzwonić po terapeutę.

Jedno wydawało się pewne – nie ma to nic wspólnego z morderstwem.

I to miało sens. Sturgis koncentrował się na sprawie Irit przez cały czas, ale psycholog miał przecież własne życie. Dla niego praca przy sprawie Irit to kolejna konsultacja.

Wstępne założenie: wyjście numer jeden nie miało nic wspólnego z jego obawami.

Drugie, o ile zdążył się zorientować, chyba też nie.

W centrum zrobił się okropny korek i śledzenie zielonego cadillaca psychologa, z zachowaniem przyzwoitego dystansu, wcale nie było łatwe. Kolejnym wyzwaniem stało się znalezienie miejsca do parkowania na tyle blisko, by ani na chwilę nie stracić z oczu falujących włosów lekarza.

Najłatwiejsze okazało się wejście do budynku z piaskowca.

Żadnej ochrony. Poza tym kombinezon elektryka nadawał mu oficjalny charakter.

Podobnie furgonetka.

Uniformy i furgonetki. Spędził w nich większą część życia.

Główny rekwizyt stanowiła dzisiaj mała skrzynka z narzędziami, w której znajdowało się coś więcej niż tylko rekwizyty. Niósł ją w zdrowej ręce, drugą trzymał w kieszeni, nie chcąc niepotrzebnie uwagi zwracać na siebie. Wszedł do holu w chwili, kiedy psycholog wszedł do windy. Mężczyzna patrzył, jak winda unosi się na ostatnie piętro.

Kilka chwil później on też się tam znalazł i oglądał tabliczki na drzwiach, próbując dociec, za którymi zniknął psycholog.

Kancelarie prawnicze, firmy księgowo, banki inwestycyjne i jeden lekarz medycyny.

Inny psycholog? Na tabliczce wypisano jedynie KONSULTANT.

Doktor medycyny Roone Lehmann.

Jeden konsultant z wizytą u drugiego.

Chyba że śledzony psycholog jest wielkim inwestorem i przyszedł sprawdzić stan posiadania.

Mało prawdopodobne. Facet żył dostatnio, ale nie wystawnie. Niemal na pewno przyszedł do konsultanta o nazwisku Lehmann.

Spisał nazwisko, by sprawdzić je później w bazie danych kierowców, po czym schował się za rogiem, skąd mógł obserwować drzwi do gabinetu Lehmann. Wyjął miernik elektryczny i odkręcił oprawkę lampy sufitowej. Jeśli otworzą się którekolwiek z drewnianych drzwi, będzie mógł natychmiast zacząć przy niej majstrować, coś mierzyć, a przede wszystkim – wyglądać oficjalnie.

Przez blisko pół godziny nic się nie wydarzyło. W końcu na korytarzu pojawił się psycholog.

Wszedł z gabinetu Lehmann. Sam Lehmann okazał się wielkim, tęgim siwowłosym mężczyzną z krzaczastymi brwiami. Patrzył obojętnym wzrokiem, jak Delaware odchodzi. Stał tak z nieszczęśliwą miną, dopóki psycholog nie wszedł do windy.

Delaware otaczał się nieszczęśliwymi ludźmi.

Choroba zawodowa?

W końcu Lehmann wrócił do gabinetu.

Spotkanie trwało dwadzieścia osiem minut.

Krótką konsultacją? Na temat czegoś, co dotyczyło właśnie jego?

Przykręcił oprawkę z powrotem i włożył miernik do skrzynki. Pod wierzchnią płytą z narzędziami

leżał automatyczny pistolet kalibru dziewięć milimetrów. Nie ten z samochodu, lecz taki sam model, naładowany, zawinięty w czarną flanelę. Zważywszy na to, ile żelastwa nosił przy sobie, mógł spokojnie przechodzić przez każdą bramkę do wykrywania metalu.

A tak mało budynków miało takie bramki.

Nawet w instytucjach rządowych.

W poprzednim tygodniu pracownik miejskiego zakładu konserwacji urządzeń elektronicznych przyszedł do pracy z karabinem maszynowym i skosił sześciu współpracowników.

To miasto aż kipiało od szaleństwa i przemocy, ale ludzie udawali, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Zbrodnia i obłuda.

Rozumiał to.

W domu bawił się w milczeniu.

Z bazy danych o kierowcach wynikało, że doktor Roone Lehmann, lat sześćdziesiąt pięć, wzrost sto osiemdziesiąt trzy centymetry, waga sto trzy i pół kilograma, mieszka w Santa Monica.

Wedle planu dom mieścił się w jednym z kanionów, które prowadziły do nadmorskiej autostrady.

Nie tak daleko od Irit.

Kolejny drobny przypadek, jakich wiele zdarza się w życiu.

Wybiła ósma wieczorem. Czas ruszać do akcji.

Zadzwoił na komendę w zachodnim Los Angeles i poprosił do telefonu Sturgisa. Po chwili wielki policjant odezwał się w słuchawce. Mężczyzna rozłączył się.

A więc Sturgis nie daje za wygraną.

Oddany służbie.

Może wrócić do psychologa? To pewnie nic nie da, ale od czasu zabójstwa dziewczynki na boisku nie zdarzyło się nic interesującego i mężczyzna zaczął się nudzić.

Ciągłe działanie było jego powołaniem i drugą naturą. Pomagało też radzić sobie z samotnością. Pojechał do Beverly Glen i zaparkował kawał drogi od wąskiego wjazdu, dochodzącego do czystego, białego, nowoczesnego domu, w którym mieszkali psycholog i rzeźbiarka.

Szczęście go nie opuszczało: osiemnaście minut później zielony cadillac wyjechał na ulicę

i popędził obok niego.

Mignęły mu dwie przystojne i uśmiechnięte twarze.

Dziesięć minut później mężczyzna stał przy drzwiach wejściowych i dłonią w rękawiczce naciskał guzik dzwonka.

Wewnątrz zaszczekał pies, chyba niewielki. Psy potrafiły być groźne, ale lubił je.

Kiedyś sam miał psa, którego kochał, miłego spanielka z czarną łatą nad okiem. Jakiś człowiek pobił zwierzę, a wtedy on zabił napastnika na oczach psa. Spaniel jakoś się wylizał, ale nie ufał już ludziom tak jak dawniej. Trzy lata później zdechł z powodu raka pęcherza moczowego.

Kolejna strata... Obejrzał zamek w drzwiach. Zasuwa. Dobrej marki, ale dość popularna i miał do niej wytrychy.

Pasował dopiero ósmy klucz. Wszedł do środka.

Wnętrze okazało się równie miłe jak to, co widział na zewnątrz. Wysoki sufit, białe ściany, trochę dzieł sztuki, dobre meble, perskie dywany dobrej jakości.

Rozległ się wysoki dźwięk syreny alarmowej i skądś wyskoczył pies.

Mały i śliczny. Ciemny, ze śmiesznymi uszami i płaskim pyskiem – nie sposób było się go bać. Chyba rodzaj jakiegoś buldoga. Miniaturka. Atakował spodnie mężczyzny, warcząc i ujadając, rozpryskując wokół ślinę. Szybkim ruchem podniósł go z ziemi. Piesek był cięższy, niż na to wyglądał – mężczyzna musiał użyć dwóch rąk, by go przytrzymać na długość ramion. Zaniósł psa do łazienki i zamknął drzwi. Piesek szturmował je raz za razem.

Alarm wciąż wył.

Klawiatura przy drzwiach migiała na czerwono.

Od kiedy włączył się alarm, minęła minuta, ale nie było się czym martwić. Policja w Los Angeles ociężała lub w ogóle nie reagowała na takie sytuacje. W odległych rejonach, takich jak ten, nie było się czego obawiać.

Doszło już do tego, że policja interweniowała tylko w przypadku rozlewu krwi, a nawet wtedy nie czyniła tego z entuzjazmem.

Obszedł dom szybko, lecz spokojnie, bezszelestnie. Czuł cytrynową woń pasty do podłóg, szukał celu.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że słusznie postąpił wybierając psychologa. Niezależnie od tego czy lekarz bezpośrednio zdziała coś dobrego, ma dostęp do Sturgisa, a zatem posłuży jako przewodnik.

Dwa ptaszki jednym strzałem.

Zmienił się dźwięk wydawany przez system alarmowy. Stał się bardzo głośny, ale mężczyzna się tym nie przejmował.

Za chwilę zadzwonią z firmy ochroniarskiej. Jeśli nikt nie odbierze telefonu, zawiadomią policję.

W tym przypadku komendę w zachodnim Los Angeles, lecz Sturgis zaszyty w swoim biurze detektywa nie będzie niczego świadom.

Telefon odbierze jakiś mundurowy, zapisze wszystkie informacje. W końcu kiedyś może ktoś się pofatyguje.

Zbrodnia i obłuda... Zresztą i tak to, co miał do zrobienia, nie zajmie mu zbyt wiele czasu.

Nie czuł się niewinnie – włamanie nie leżało w jego naturze. Liczyły się jednak priorytety.

Kiedy skończył, wypuścił psa z łazienki.

Nie zdążyliśmy zatańczyć.

Telefon zadzwonił, kiedy zastanawialiśmy się nad deserem. Odebrałem przy barze w restauracji.

– Doktorze Delaware, tu Nancy z recepcji. Przykro mi, że pana niepokoję, ale firma ochroniarska próbowała się dodzwonić do pana do domu, a potem wpadli na pomysł, żeby zadzwonić do nas.

– Alarm się włączył? – zapytałem spokojnie, choć ogarnęło mnie uczucie paniki. Miałem jeszcze w pamięci tanto najście, stary dom spalony do cna.

– Dokładnie godzinę temu. System zanotował to jako przerwanie obwodu przy drzwiach wejściowych. Zadzwonili na policję, ale może minąć trochę czasu, nim ktoś od nich się pofatyguje.

– Minęła godzina i policja jeszcze się nie pojawiła?

– Nie jestem pewna. Chce pan, żebym do nich zadzwoniła?

– Nie, w porządku, Nancy. Dziękuję, że mnie powiadomiłaś.

– To na pewno jakiś drobiazg, doktorze. Takie rzeczy zdarzają się bardzo często. Zazwyczaj to fałszywe alarmy.

Nim wróciłem do stolika, zadzwoniłem na komendę do Mila.

– Chcę cię poprosić o coś po starej przyjaźni – powiedziałem. – Nie podesłałbyś radiowozu do mojego domu?

– A po co? – zapytał zaniepokojony.

Opowiedziałem mu.

– Sam tam pojedę. Gdzie teraz jesteś?

– W restauracji na Melrose, w pobliżu Fairfax. Za chwilę wyjeżdżamy, spotkamy się w domu.

– Jesteście już po kolacji?

– Tak. Właśnie mieliśmy zamówić deser.

– No to spokojnie sobie zamawiajcie. To na pewno fałszywy alarm.

– Pewnie tak – odparłem. – Ale nawet gdybym mógł się przemóc i coś zjeść, to Robin na pewno odmówi. Tam jest Spike.

– Tak – przyznał Milo. – Tylko kto chciałby go ukraść?

Robin nie uspokoiła się, dopóki nie zatrzymaliśmy się przed wejściem do domu, gdzie zobaczyła Milo, który dawał nam znaki, że wszystko w porządku. Spike stał obok niego i Milo wyglądał jak człowiek, który wyszedł wieczorem na spacer z psem. Pomysł był tak absurdalny, że aż się uśmiechnąłem.

Drzwi wejściowe były otwarte, wewnątrz świeciło się światło.

Popędziliśmy po schodach. Spike zaczął się szarpać. Milo popuścił smycz i pies przywitał nas w połowie drogi.

– Nic ci się nie stało – mówiła Robin, głaszcząc i całując Spike’a. Odwzajemniał te pieszczoty, a mnie spojrzeniem dał do zrozumienia, kto tu jest superpsem.

Weszliśmy do domu.

– Kiedy przyjechałem, drzwi były zamknięte na zamek – wyjaśnił Milo. – Musiałem użyć swojego klucza. Nie wybito żadnego okna. Nie ma bałaganu, a sejf w garderobie nikt nawet nie tknął. Wygląda więc na fałszywy alarm. Skontaktujcie się jutro z firmą ochroniarską i każcie im sprawdzić instalację. A co się naprawdę zdarzyło, wie tylko ten tutaj.

Pogłaskałem Spike’a za uszami. Zamruczał, odwrócił się i wrócił do lizania szyi Robin.

– Walczycie o panią? – zapytał Milo. – I ty się na to zgadzasz?

Przeszliśmy do kuchni. Robin obrzuciła wzrokiem całe pomieszczenie.

– Zdaje się, że wszystko w porządku – stwierdziła. – Sprawdzę jeszcze biżuterię, którą trzymam luzem w szufladzie.

Wróciła po chwili.

– Nic nie zginęło. To musiał być fałszywy alarm.

– Doskonale – odetchnąłem. – Ale policja specjalnie się nie spieszyła.

– Ciesz się, że ci nie wystawiliśmy rachunku za fałszywy alarm.

– Zmieniście hasło na „bronią i zarabiają”?

– Liczy się wszystko, na czym można zarobić.

– Zjedzmy tutaj deser, co wy na to? Milo, masz ochotę na lody?

Milo poklepał się po brzuchu.

– O rany, nie powinienem... w każdym razie nie więcej niż trzy gałki i kwartę polewy czekoladowej.

Robin wybuchnęła śmiechem i poszła przygotować lody, a Spike podreptał za nią.

Milo pocierał jednym butem o drugi. Coś mnie podkusiło, by spytać, czego dowiedział się na policji we wschodnim Los Angeles.

– Ofiarą był chłopiec nazwiskiem Raymond Ortiz. Iloraz inteligencji siedemdziesiąt pięć, nadwaga, problemy z koordynacją, bardzo słaby wzrok, okulary jak denka od słoików. Odbywała się szkolna wycieczka do parku na wschodnim krańcu Newton. To niebezpieczne miejsce – gangi, prochy i inne rzeczy są tam na porządku dziennym. Przyjęto hipotezę, że oddalił się od grupy i ktoś go porwał. Nie znaleziono ciała, ale dwa miesiące później przy drzwiach wejściowych do komendy w Newton znaleziono jego adidasów wypełnione krwią. Stały na jakimś starym wycinku z gazety, w którym napisano o jego zaginięciu. Próbkę krwi Raymonda znajdowały się w szpitalu okręgowym, bo chłopiec był objęty programem badań nad przyczynami niesprawności. W ten sposób zidentyfikowano krew z butów.

– Jezu – szepnąłem. – Biedne, biedne dziecko... w pewnym sensie to przypomina sprawę Irit, ale w innym...

– W ogóle jej nie przypomina, wiem. W przypadku Irit – i Latvini – mieliśmy ciała bez kropli krwi. Tutaj jest krew, nie ma za to ciała. A krew oznacza, że doszło do czegoś innego niż uduszenie. Przynajmniej nie delikatne uduszenie.

– Nie znoszę tego określenia, Milo.

– Ja też nie. Patolodzy to takie bezduszne dranie, prawda?

Rozmyślałem nad tym, co mi powiedział.

– Mimo tych wszystkich różnic, mamy do czynienia z dwójką opóźnionych dzieci porwanych podczas wycieczki do parku.

– A znasz lepsze miejsce na porwanie, Alex? Parki i centra handlowe są wymarzonymi terenami działań kidnaperów. W przypadku Raymonda to nie był żaden rezerwat. Nie ma tam szlaków, gąszczu drzew. Po prostu kiepsko utrzymany park miejski, w którym na trawnikach wygrzewają się włóczędzy i narkomani.

– I zabrali tam dzieci na wycieczkę krajoznawczą?

– Nie krajoznawczą, tylko zwykłą wycieczkę. Akurat szkołę malowano i dyrekcja nie chciała, żeby dzieci wachały smród farby. Park znajduje się o kilka przecznic od szkoły. Chodzili do niego codziennie.

– Prowadzali tam całą szkołę?

– Po kilka klas naraz. Raymond był w grupie dzieci specjalnej troski, którą dołączono do pierwszo-
– i drugoklasistów.

– Czyli znajdowało się tam wiele młodszych dzieci, lecz zabójca wybrał właśnie Raymonda. Skoro nie ma tam gęstych drzew, to gdzie się schował?

– Za toaletami publicznymi rośnie kilka dużych drzew. Najbardziej logiczny scenariusz wyglądał pewnie tak, że Raymond poszedł do kibla i wpadł w pułapkę. Albo od razu go zabito, albo tylko obezwładniono. W toalecie nie znaleziono śladów krwi chłopca, ale zabójca mógł przeprowadzić całą rzecz czysto, a krwi do butów utoczyć później. Niezależnie od tego, co się wydarzyło, nikt niczego nie widział.

– Nie znaleziono krwi chłopca? Czy to znaczy, że była krew kogoś innego?

– Tak jak mówiłem, narkotyki są tam na porządku dziennym. Narkomani często szprycują się w tym kiblu. Plamki krwi były dosłownie wszędzie. W pierwszej chwili sądzili, że okaże się to jakimś tropem, lecz krew nie pasowała do próbek krwi Raymonda. Na wypadek gdyby kiedyś udało się złapać zabójcę, zachowano próbki tej krwi z łazienki. Tylko dlaczego zabójca miałby krwawić? Zdjęli także odciski palców. Część należała do miejscowej żulii, ale wszyscy obwiesie mieli mocne alibi i żadnego z nich nie notowano wcześniej za pedofilię ani za gwałty.

Pomyślałem o chłopcu schwytanym w śmierdzącej toalecie i poczułem ścisnięcie w dołku.

– A jak brzmi hipoteza na temat wyniesienia chłopca z parku?

– Niecałe sto metrów za toaletami jest parking, a między nimi urocza zielona zasłona z drzew. Jeśli ten drań miał w pobliżu samochód, mógł wynieść Raymonda, wrzucić go do środka i odjechać.

– W jakiej porze dnia to się stało?

– Przed południem. Między jedenastą a dwunastą.

– W biały dzień – powiedziałem. – Podobnie jak w przypadku Irit – co za tupet... Mówiłeś, że Raymond miał nadwagę. Ile ważył?

– Coś około pięćdziesięciu kilo. Ale był niski, metr trzydzieści osiem.

– Cięższy od Irit – powiedziałem. – Znów musiał to być ktoś silny. Na jakim etapie jest teraz śledztwo?

– Wciąż trwa, ale sprawa jest beznadziejna. Minął rok i nie natrafiono na żaden ślad. W Newton zajmuje się tym starszy facet nazwiskiem Alvarado, bardzo dobry detektyw, metodyczny. Zaczął w ten sam sposób, jak my w sprawie Irit: zgarnął i przesłuchał wszystkich, którzy mieli na sumieniu gwałt. Przyskrzynił też z miejsca wszystkich członków gangów, które przesiadywały w parku. Zarzekali się, że nie byliby w stanie skrzywdzić biednego dziecka – oczywiście to gówno prawda, cały czas strzelają z samochodów do biednych dzieci. Ale Raymond był dość znany w okolicy, bo jego starsi bracia należeli do gangu Vatos Locos, podobnie jak ich ojciec. Vatos Locos rządzą całą

okolicą i rodzinę Raymonda szanowano.

– A czy to właśnie nie mogło być motywem zabójstwa? – zapytałem. – Może chodziło o jakieś porachunki między gangami i Raymonda zabito, by postraszyć Vatos Locos? Może bracia albo ojciec nadepnęli komuś na odcisk? Byli zamieszani w handel narkotykami?

– Alvarado to sprawdzał. Ojciec siedział jakieś trzy lata temu, lecz teraz się uspokoił. Pracuje w centrum jako tapicer. Bracia to wyrzutki mniejszego kalibru, nawet niespecjalnie agresywni. Jasne, że się szprycują, tak jak wszyscy ich kumple, ale nie handlują. Na tyle, na ile mu się udało, Alvarado ustalił, że nikogo nie wkurzyli. Zresztą, gdyby to były porachunki między gangami, na pewno doszłoby do zemsty. Alvarado od początku miał podejrzenie, że to zbrodnia na tle seksualnym – park, toalety, buty podrzucone przed komendą. Według niego ten świr bawił się z policją, chcąc nam udowodnić swoją potęgę i inteligencję. Trzyma się to kupy?

– Jak najbardziej – odparłem, przypominając sobie, co po południu mówił doktor Lehmann na temat świata biznesu:

„Nie wystarczy odnieść sukces. Przeciwnik musi upaść”.

– Tak, tupetu mu nie brakowało – mówił dalej Milo. – Arogancki sukinsyn. Moim zdaniem zostawienie wycinka z prasy oznacza, że podnieca go również rozgłos, który robi się wokół niego. Liczył na rozrobienie sprawy przez media.

– Czy było głośno o tym porwaniu?

– Kilka małych artykułów w „Los Angeles Times”, kilka większych w „El Diario”. Więcej niż w przypadku Latvini Shaver. O niej ukazał się tylko trzydziestosekundowy materiał w wieczornych wiadomościach i tyle. Bez echa.

– I tu się rodzi pytanie – wtrąciłem. – Rozumiem, że zabijając Irit liczył na rozgłos. Ale po co w takim razie mordował Latvinię?

– No właśnie. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy łączyć te trzy oddzielne sprawy.

– A co z butami? – zapytałem. – Czy po ich znalezieniu zrobił się szum wokół sprawy?

– Nie. Alvarado nie udzielił prasie żadnych informacji.

– Dlaczego?

– Żeby mieć jakiegoś asa w rękawie, kiedy złapie tego drania. Idę o zakład, że dostał też polecenie z góry. Policja i tak już wyszła na kretynów. Zapytałem też Alvarado o DVLL, ale nic mu to nie mówi. Wynika z tego, że ten papierek jest po prostu zwykłym śmieciem.

– Trzy oddzielne sprawy – rzekłem w zamyśleniu.

– Masz odmienne zdanie?

– Nie – odparłem – przynajmniej na razie. Jednak są podobieństwa, które skłaniają do zastanowienia: we wszystkich przypadkach zabójca wybrał opóźnione w rozwoju nastolatki. W przypadku Raymonda i Irit wyłuskał te dzieciaki z tłumu, a w przypadku Latvini spośród wielu innych dziewczyn pracujących na ulicy. Do każdej z tych spraw pasuje mi ten sam profil zabójcy: pewny siebie, pedantyczny, na tyle bezczelny, by porwać ofiarę w biały dzień albo porzucić zwłoki w publicznym miejscu, takim jak szkolne boisko. Dwa razy zostawiono ciała w miejscu publicznym, a raz substytut zwłok – zakrwawione buty. Przebiegły, ale ekshibicjonista. Lubi się pokazać. Jest zajęty samym sobą. Co mnie wcale nie dziwi, bo każdy psychopata ma obsesję na własnym punkcie. Są jak spod jednej sztancy: chorobliwie wielkie pożądanie, ekstremalny narcyzm, ogromna potrzeba podniecenia i całkowity brak szacunku dla innych.

– Czyli jeden psychopata wart drugiego?

– Tak, jeśli chodzi o wewnętrzną motywację – odparłem. – Z punktu widzenia psychologa są banalni, nijacy, nudni. Przypomnij sobie wszystkich drani, których przymknąłeś. Znalazł się wśród nich ktoś o fascynującej duszy?

Milo zamyślił się.

– Raczej nie.

– To emocjonalne czarne dziury – mówiłem. – Nie tam, tutaj. Różnią się sposobami popełniania zbrodni tylko z powodu indywidualnych zbroczeń. I nawet nie chodzi tu o metodę zabijania, bo ten sam morderca może ją zmieniać, ale ze względów psychologicznych musi zostawiać jakiś znak firmowy.

– Tak, spotkałem się z tym. Gwałciciele, którzy grozili ofiarom raz pistoletem, raz nożem, ale zawsze przemawiali do nich w ten sam sposób. A w tych trzech przypadkach widzisz jakiś wspólny znak firmowy?

– Tylko taki, że dzieci były opóźnione, niepełnosprawne – odrzekłem. – Wydaje mi się, że to by mogło oznaczać jakiś chory pomysł na selekcję genetyczną, oczyszczanie stada z najsłabszych sztuk. Chociaż podstawowy motyw i tak będzie psychoseksualny. Daj mi kartkę papieru i długopis.

Usiadłem przy stole i narysowałem tabelkę. Milo zaglądał mi przez ramię.

– Gwiazdkami oznaczyłeś cechy wspólne? – domyślił się.

– Tak.

– A jaki związek widzisz w przypadku grup etnicznych?

– Wszyscy troje należeli do mniejszości narodowych – wyjaśniłem.

– Zabójca rasista? – zdziwił się Milo.

– To by pasowało do hipotezy o selekcji genetycznej. Podobnie jak to, że wszystkie trzy ofiary

były tylko nieznacznie opóźnione i dobrze sobie radziły w życiu. Nastolatki, czyli osobniki zdolne już do reprodukcji. Zabójca wmawia sobie, że oczyszcza ludzki bank genów, wcale nie morduje z powodu popędu seksualnego. I dlatego nie gwałci ofiar.

– Mówisz o jednym zabójcy? RAYMONDIRITLATVINIA WIEK131518

PŁEĆMK*K*

GRUPA

ETNICZNAŁatynosŻydówkaMurzynka

METODA? na miejscuuduszenie*uduszenie* nie znalezionoręcznieprzez powieszenie krwi, więc niewykluczone uduszenie

REJONNewtonzachodniepołudniowy zachód Los Angeles

MIEJSCEpark*park*boisko szkolne*

PORA DNIAranekpopołudnienoc

RODZAJopóźnienieopóźnienieopóźnienie

NIEPEŁNO-umysłowe*umysłowe*umysłowe* – SPRAWNOŚCI znacznaślepotanarkomania krótkowzornośćnagle ataki niezborność ruchowa

UŁOŻENIE? (demonstracyjnie na wznak, powieszono, CIAŁA porzucono tylko w miejscu w miejscu buty) publicznym publicznym (demonstracyjnie) (demonstracyjnie)

– Tylko hipotetycznie.

– Zwykle zabójstwa o podłożu seksualnym ograniczają się do jednej rasy.

– Kiedyś mówiło się „zawsze”, dopóki nie pojawili się seryjni mordercy, którzy zabijali bez względu na rasę. Od lat morderstwa i gwałty są częścią walk na tle rasowym i etnicznym.

Milo ponownie obejrzał tabelkę.

– Park i boisko szkolne.

– I jedno, i drugie to miejsca publiczne, gdzie zbierają się dzieci. Wciąż wydaje mi się, że Latwinie porzucono na boisku specjalnie. Może chodziło o zastraszenie dzieci nazajutrz rano, o wzmożenie przemocy.

– Oczyszczanie stada. – Milo pokręcił głową.

– Ja tylko poddaję pod dyskusję jedną z hipotez.

Wziął kartkę i przesunął palcem przez środek.

– Prawdę mówiąc, Alex, dostrzegam tu trochę zbieżności i sporo różnic. Właściwie niewiele się tu zgadza. Jeden zabójca grasujący w trzech okręgach?

– To doskonały sposób, żeby go nie zauważono – odparłem. – Szansę wykrycia maleją, bo w końcu jak często spotykają się detektywi pracujący w różnych komendach? To może być też jedno ze źródeł emocji: zabijając w całym mieście, powiększa swoją strefę wpływów. Można by nawet rzec, że rządzi miastem.

– Król Zabójców z Los Angeles. – Milo zmarszczył brwi. – No dobrze, przyjmijmy na razie, że mamy do czynienia z jednym zabójcą. Raymonda porwano dokładnie rok przed zabójstwem Irit, Latvinie miesiąc później. Mówiłeś, że jest pedantem. Ale tutaj trudno mówić o równych odstępach czasu.

– Jeśli założymy, że między Raymondem a Irit nie zamordował nikogo innego. A nawet gdy tego nie zrobił, w przypadku zbrodni o podłożu seksualnym tempo wzrasta wraz z przybywaniem ofiar. A może zabijał też poza Los Angeles? Przyjmijmy jednak, że działa tylko w Los Angeles i Raymond był jego pierwszą ofiarą. Nawet przy całej swojej beczelności musi być ostrożny. Wycofał się, żeby sprawdzić, czy śledztwo coś przyniesie. Kiedy okazało się, że nic, podrzucił buty. Kiedy i to nie wywołało szumu, uderzył ponownie. W bezpiecznym miejscu, w rezerwacie. I ten sukces dał mu taką pewność siebie, że następnym razem uderzył szybciej.

– Czyli kolejny raz może nastąpić jeszcze szybciej. – Milo włożył ręce do kieszeni i zaczął chodzić w tę i z powrotem.

– Jest coś jeszcze – powiedziałem. – Jeśli Raymond był jego pierwszą ofiarą, mógł zabrać ciało, żeby je wykorzystać. Trzymał je przez dwa miesiące, aż doszedł do wniosku, że więcej mu się nie przyda. Albo – i na tę myśl robi mi się słabo – gdy okazało się, że zwłok nie da się już wykorzystać, wtedy się ich pozbył, a buty i być może coś innego zostawił sobie na pamiątkę. Może wciąż zastanawiał się, czy z tym nie skończyć. Po jakimś czasie okazało się, że buty nie działają już na niego jako bodziec seksualny, więc podrzucił je na komendę w Newton razem z wycinkiem pasowym, żeby podniecić się własną siłą. Ale i to na długo nie wystarczyło, więc znów ruszył na polowanie. Jeździł po całym mieście, szukał kolejnego miejsca, które kojarzyłoby mu się z morderstwem Raymonda, lecz różniło się na tyle, by nie wzbudzić podejrzeń policji.

Milo przestał chodzić.

– Najpierw chłopiec, potem dziewczynki?

– Płeć nie ma dla niego znaczenia. Pamiętaj, że on nie gwałci ofiar. Podnieca go ich osaczenie i porywanie. Dlatego zabrał ciało Raymonda, a zostawił Irit i Latvinie. Działał spokojniej, wiedział już, co go naprawdę podnieca.

– Masz łeb na karku, doktorze.

– Przecież za to mi płacisz. O ile mi płacisz.

Milo zaczął uderzać stopą o podłogę i przyglądać się dywanowi.

– Sam nie wiem, Alex. To inteligentna hipoteza, tylko wciąż w niej za dużo różnic.

– Zapewne masz rację – odparłem – ale jest jeszcze jedna rzecz wspólna: cała trójka została zamordowana w miejscach publicznych. Może dlatego, że zabójcę – albo zabójców – to podnieca. A może nie ma żadnego miejsca, gdzie mógłby zabijać w obrębie czterech ścian.

– Bezdomny?

– Wątpię. Ma samochód i wciąż wydaje mi się, że to ktoś z klasy średniej, czysty, elegancki. Pomyślałem o czymś odwrotnym: normalny mężczyzna prowadzący na pozór spokojne, przeciętne życie. Może ma żonę albo narzeczoną, z którą mieszka. Może nawet własne dzieci. Miły przytulny domek, w którym nie ma miejsca, by przebywać sam na sam ze zwłokami.

– A co z furgonetką? – zapytał Milo. – Wiesz przecież, że większość tych świrów uwielbia furgonetki.

– Byłaby wygodna, lecz prędzej czy później musiałyby ją posprzątać. Jeśli mam rację i okazałoby się, że to ojciec rodziny, musiałyby to zrobić prędzej niż później.

– Ale raczej nie siedzi za biurkiem, bo grasuje też w środku dnia.

– Pewnie nie – potwierdziłem. – Pod tym względem jest elastyczny. Może uprawia wolny zawód albo pracuje na zlecenie. Trzeba też brać pod uwagę pracę na zmiany – raz w dzień, raz w nocy. Może to ktoś w uniformie. Jakiś mechanik, dozorca w parku albo ochroniarz. Na twoim miejscu sprawdziłbym listę pracowników rezerwatu, gdzie zginęła Irit, i parku, w którym porwano Raymonda. Jeśli znajdziesz kogoś, kto rzucił pracę we wschodnim Los Angeles i podjął ją w okolicach Palisades, zamęczaj go pytaniami.

Milo wyjął notes i zapisał to.

– I szukaj innych ofiar opóźnionych umysłowo. W innych rejonach...

Weszła Robin z trzema miseczkami lodów, które postawiła na stole. Milo złożył kartkę z narysowaną przeze mnie tabelą i włożył ją do notesu.

– Proszę bardzo, chłopcy. Dla ciebie, Milo, syrop czekoladowy, ale lody mieliśmy tylko o smaku waniliowym.

– Nie szkodzi – powiedział Milo. – Prostota ma swoje zalety.

O wpół do dziesiątej odprowadziłem Mila do nie oznakowanego samochodu policyjnego, którym do nas przyjechał. Szedł za mną z ociąganiem.

– Jedziesz do domu? – zapytałem.

– Nie, wracam na komendę. Obdzwonię wszystkich detektywów na nocnym dyżurze na każdej cholernej komendzie i sprawdzę, czy nie zetknęli się z choćby odrobinę podobną sprawą. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, to też będzie jakaś odpowiedź.

Otworzył drzwi samochodu.

– Dzięki za te wszystkie hipotezy. A teraz pozwól, że opowiem ci o sierżancie Wesleyu Bakerze. W akademii policyjnej byliśmy w jednej grupie. Dwaj najstarsi na roku. Zresztą to on był najstarszy. Może dlatego zaczęło mu się wydawać, że jesteśmy bratnimi duszami. Mogło to być również dlatego, że ja miałem tytuł magistra, a on uważał się za intelektualistę.

– A ty nie chciałeś się z nim bratać.

– Zaczynasz gadać jak psychiatra. W akademii nie chciałem się z nikim bratać. Wtedy jeszcze się nie ujawniłem, szczęki zaciskałem tak mocno, że omal mi nie pękły. Każdego dnia uczyłem się kolejnej części kodeksu karnego, trafiałem w same dziesiątki na strzelnicy, walczyłem wręcz i bawiłem się w twardziela. Po Wietnamie nie było to nic wielkiego, ale miałem wrażenie, że przeżywa to wszystko ktoś inny – czułem się jak oszust, wydawało mi się, że w końcu mnie znajdą i zlinczują. Trzymałem się więc na uboczu, unikałem spotkań po godzinach z innymi rekrutami. W ten sposób nie musiałem udawać, że uganiem się za spódniczkami, nie musiałem śmiać się z kawałów o pedałach. Do dziś nie wiem, dlaczego wtedy nie odszedłem z akademii. Może po wojnie nie widziałem dla siebie lepszej alternatywy.

Nagle Milo uśmiechnął się niepokojąco.

– Więcej grzechów nie pamiętam, ojciec... Wróćmy jednak do Wesa Bakera. On też trzymał się raczej na uboczu, ponieważ uważał się za lepszego, bardziej doświadczonego. Kiedyś zobaczył, jak czytam Vonneguta, i ubzdurał sobie, że możemy się zaprzyjaźnić, bo on też interesuje się książkami, filozofią, zen, jogą, polityką, psychologią. Zawsze chętny do dyskusji na temat sensu życia. Udawałem, że z nim rozmawiam, co nie było takie trudne, gdyż on lubił gadać, a ja umiem słuchać. Opowiedział mi całą historię swojego życia w kilku weekendowych odcinkach. Trochę się włóczył, podróżował, gdzie się tylko dało, był w Korpusie Pokoju, pracował na platformie wiertniczej i na statkach wycieczkowych, uczył w szkole w jakimś getcie, słowem robił w życiu wszystko i wszędzie. Bezustannie narzekał, że w całej akademii nie jest w stanie zebrać czwórki do brydża, że dla innych poker stanowi intelektualne wyzwanie. Wciąż chciał się kumplować, wszędzie mnie zapraszał. A ja wciąż uprzejmie odmawiałem. W końcu, gdzieś w połowie kursu, zaprosił mnie do siebie do domu na mecz Ramsów. Zgodziłem się, bo zacząłem się zastanawiać, czy on też jest gejem. Wieczór spędziliśmy w towarzystwie jego przyjaciółki, uroczej studentki z uniwersytetu kalifornijskiego i jej

znajomej – początkującej aktorki. Ta była przeznaczona dla mnie.

Znów się uśmiechnął, tym razem wspominając coś miłego.

– Miała na imię Noreen. Wspaniałe nogi, bezbarwny głos. Może w epoce filmu niemego miałyby większe szansę. Wes przygotował na ten wieczór specjalny menu kuchni indyjskiej. Curry, sos chutney, okra – dla mnie to gile z ziemi – kurczak w glinianej miseczce. Do tego podał jakieś egzotyczne piwo z Bombaju, które smakowało jak końskie siki. W telewizji leciał mecz, ale nie dane nam było go oglądać, bo Wes wciągnął nas w dyskusję o wyższości Wschodniego Wybrzeża nad Zachodnim i vice versa – gdzie tak naprawdę żyje się lepiej. Potem usiadł na podłodze i zademonstrował kilka ćwiczeń jogi. Próbował pokazać, jak je wykorzystać do poskramiania podejrzanych bez nadużywania siły. Wygłosił cały wykład na temat wschodnich sztuk walki i ich związków z azjatyckimi religiami. Jego dziewczyna uważała, że to fascynujące. Noreen zaczęła przysypiać.

– Z tego, co mówisz, musiał być niezły ubaw.

– Prawdziwy festiwal śmiechu. Po tamtym wieczorze odnosiłem się do niego przyjaźnie, lecz zdecydowanie na dystans. Facet był za bardzo nachalny, jak na mój gust, a ja i tak miałem na głowie za dużo kłopotów, żeby bawić się w te jego kosmiczne bzdury. On też to musiał wyczuć, bo trochę przyhamował i skończyło się na tym, że mówiliśmy sobie po prostu cześć na korytarzu, a w końcu zaczęliśmy się unikać. Mniej więcej tydzień przed zakończeniem kursu zdarzył mi się jeden z tych nielicznych wówczas wieczorów, kiedy zrobiłem wypad do miasta. Jadłem kolację w zachodnim Hollywood z jednym facetem, którego poznałem w barze. Starszy mężczyzna, księgowy, który również zmagał się z tym samym problemem co ja. W końcu rozwiódł się z żoną, miał rozległy zawał serca i wkrótce potem zmarł w wieku czterdziestu dwóch lat... Nieważne, no więc siedzieliśmy sobie w tej restauracji przy Santa Monica, a kiedy wyszliśmy, było akurat czerwone światło i na skrzyżowaniu zatrzymało się kilka samochodów. Ten księgowy próbował mnie objąć. Nie chciałem się z tym obnosić w miejscach publicznych, więc się odsunąłem. Mój towarzysz obrócił to w żart i stanęliśmy przy krawężniku, czekając na zielone światło dla pieszych. Wtedy poczułem na karku czyjeś świdrujące spojrzenie. Odwróciłem się i zobaczyłem Wesa Bakera w małym czerwonym sportowym wozie. Patrzył gdzieś w przestrzeń, jakbym był przezroczysty, a na twarzy malowała mi minę pod tytułem „no, teraz wszystko jasne”. Spojrzałem na niego, lecz udawał, że mnie nie widzi i kiedy tylko zapaliło się zielone światło, ruszył z piskiem opon. Tydzień później ktoś włamał się do mojej szafki i podrzucił mi górę gejowskich pornosów. Wielką górę, w tym naprawdę obrzydliwe pisemka z gatunku sado-maso. Nie mogłem Bakerowi niczego udowodnić, ale kto inny mógłby to zrobić? Kilka razy zauważyłem, jak mi się dziwnie przygląda, tak jakby badał pod mikroskopem jakiś niespotykany gatunek.

– Zastanawiałeś się nad jego preferencjami seksualnymi – przypomniałem Milo. – Może nie bez powodu jeździł po zachodnim Hollywood. Może to on się bał, że go zobaczyłeś.

– A tego włamania do szafki dokonał wedle zasady, że najlepszą obroną jest atak? Być może, ale moim zdaniem on ma po prostu awersję do homoseksualistów.

– Jak na intelektualistę nie grzeszy tolerancją.

– A od kiedy te dwie rzeczy są ze sobą związane? Zresztą jak dla mnie, to on jest pseudointelektualistą, Alex. Co tydzień unosi się na innej fali filozoficznej. Chociaż nie wiem, może rzeczywiście się z tym ukrywał. Z oczywistych powodów nie mogłem sobie pozwolić na sprawdzenie tej teorii, więc po prostu trzymałem się od niego z daleka. Przez długi czas go nie widziałem, aż tu nagle, jakieś pięć lat temu przeniesiono go do zachodniego Los Angeles jako oficera szkoleniowego. Pomyślałem: o cholera, będę miał kłopoty. Ale nic takiego się nie stało. Pogratulował mi awansu, przywitał się, zapytał jak leci. Po prostu Pan Jowialski. Nie mogłem jednak oprzeć się wrażeniu, że traktuje mnie z góry. Na szczęście mundurowi niewiele mają wspólnego z detektywami, więc nasze drogi więcej się nie spotkały. Kilka miesięcy temu dostał awans i przeszedł do Centrum Parkera. Teraz pracuje gdzieś w administracji.

– Skoro uważa się za intelektualistę, to jak się stało, że wciąż jest mundurowym i nie starał się zostać detektywem? – zapytałem.

– Może lubi pracę na ulicy – żeby obezwładniać przestępców chwydami jogi. A może chodzi mu o wygląd: dopasowany mundur, pistolet, pałka, stopień. Część mundurowych uważa, że detektywi to obiboki grzebiące się w papierach. W końcu, może lubi szkolić policyjny narybek i wypuszczać drapieżne szczupaki na szerokie wody.

– Do pewnego stopnia przypomina mi Nolana. Samouk próbujący różnych filozofii. Nie sądzę, żeby policja działała jak biuro matrymonialne, ale to, że spotkało się tam dwóch tak podobnych facetów, zakrawa niemal na cud.

– Wcale nie. Baker miał możliwość wyboru.

– Zastanawiałem się, czy to samobójstwo miało jakikolwiek związek z pracą Nolana, ale Baker powiedział Helenie, że nie zauważył niczego podejrzanego i jest po prostu zaskoczony.

– Ten Baker, jakiego ja znałem, miałby na ten temat jakieś zdanie. Ten Baker, jakiego ja znałem, miał zdanie na każdy temat.

Zacząłem się zastanawiać nad małomównością Lehmana i nad tym, kto jeszcze nie chciałby zbyt wiele mówić na ten temat.

– Może sam z nim porozmawiam?

– Zaczęło cię to wciągać, co? Kiedy Rick wysłał do ciebie siostrę Nolana, sądził, że raz-dwa i będzie po krzyku.

– Dlaczego?

– Mówił, że to babka z głową na karku. Opanowana. Że będzie chciała szybko załatwić sprawę i mieć ją z głowy.

Ja miałem takie samo zdanie na temat Heleny i dlatego zdziwiłem się, kiedy poprosiła o następne spotkanie. Ale dzisiaj nie oddzwoniła.

– Samobójstwo potrafi wiele zmienić – powiedziałem.

– To prawda. Dzwoniłem dziś do działu kadr. Dowiedziałem się, że Lehmann jest na naszej liście konsultantów w dziedzinie psychologii, razem z kilkoma innymi facetami, ale nic więcej na jego temat nie mogłem wyciągnąć.

– Nie marnuj na to czasu. I tak masz ręce pełne roboty.

– Wielkie ręce! – huknął i pokazał mi swój e wielkie łapska. – Wielki człowiek, wielkie zadanie. Moja iść teraz do jaskinia. Moja postarać się nie spieprzyć wielkie zadanie.

Wybuchnąłem śmiechem.

Milo wsiadł do samochodu i uruchomił silnik.

– Żeby nie zostawiać cię zupełnie przygnębionego, powiem ci, że tuż przed wyjazdem do Newton odebrałem telefon od Zeva Carmelego. Powiedział, że mogę jutro porozmawiać z jego żoną, u nich w domu. Zaproponowałem mu, że wezmę cię ze sobą. Zastanawiałem się, czy nie będzie się wściekał, że chcę poddać psychoanalizie jego żonę. Przyjął to jednak spokojnie. Ogólnie wydawał się bardziej chętny do współpracy. Jakby w końcu dotarło do niego, że jestem po jego stronie. Masz czas i chęć, żeby tam pojechać?

– Kiedy?

– Jutro o piątej.

– Spotkamy się na miejscu?

– Tak chyba będzie najlepiej, bo nie wiem, gdzie jutro będę. Mieszkają przy Bolton Drive. – Podał mi adres, wrzucił bieg i przejechał trzy metry, po czym się zatrzymał. – Kiedy będziesz rozmawiał z Wesem Bakerem, pamiętaj, że znajomość ze mną nie przysporzy ci u niego punktów.

– Jakoś to przeżyję.

– Co za kumpel.

Następnego dnia rano znów przeczytałem akta Irit i niczego nowego się nie dowiedziałem. Wszystkie hipotezy, które wysnułem poprzedniego dnia dla Mila, nie wydawały się niczym więcej jak tylko strzelaniem w ciemno.

W kwestii samobójstwa Nolana też nie posunąłem się naprzód. Występowały tu pewne elementy „typowych” dla policjanta problemów – alienacja, izolacja, dziedziczna depresja, być może stres w pracy, mroczne tajemnice, które skrywał Lehmann. Ale próba wytłumaczenia samodestrukcji na podstawie kilku symptomów, to tak jakby stwierdzić, że ludzie biednieją, bo tracą pieniądze.

Przez swoją małomówność Lehmann osiągnął dokładnie coś przeciwnego, niż zamierzał – tylko

rozniecił moją ciekawość.

To, co Milo powiedział mi o Bakerze, było intrygujące, ale przed rozmową z nim chciałem otrzymać zgodę Heleny, a ona na razie nie odpowiadała na moje telefony. Jeszcze raz zadzwoniłem do szpitala, gdzie powiedziano mi, że poprzedniego dnia zawiadomiła ich telefonicznie o chorobie. W domu nikt nie podnosił słuchawki.

Leży zagrzebana w pościeli, walcząc z jakimś złośliwym wirusem?

Czy w tej sytuacji powinienem zadzwonić do Bakera? Gdybym zadał mu pytania i nie wyjawiał niczego istotnego, nie ujawniłbym tajemnicy lekarskiej.

Żal jest w psychice tym, czym przyływy i odpływy w morzu. To ustępuje, to wzbiera wywoływany wspomnieniami. Niewykluczone, że „choroba” Heleny może mieć zupełnie inny charakter.

Emocjonalna ucieczka? Czas jest jedynym lekarstwem, choć i on nie zawsze działa.

Kiedy widziałem ją ostatnio, zabrała do domu albumy z rodzinnymi zdjęciami.

Zbyt dużo wspomnień?

Postanowiłem zadzwonić do Bakera. Pewnie i tak nie zechce ze mną rozmawiać.

W Centrum Parkera recepcjonista poinformował mnie, że sierżant Baker wziął wolne. Zostawiłem nazwisko i numer telefonu, na nic nie licząc. Ale niespełna godzinę później, kiedy pisałem sprawozdanie, zadzwoniła moja recepcjonistka i powiedziała, że ma na linii Bakera.

– Doktor Delaware? Tu Wesley Baker, odebrałem właśnie pańską wiadomość. Jakim pan jest lekarzem? – Mówił oschle, rzeczowo. Był starszy od Mila, lecz po głosie można by sądzić, że to trzydziestolatek, jakiś ambitny młody prawnik.

– Dziękuję, że pan do mnie oddzwonił, sierżancie. Jestem psychologiem i zajmuję się sprawą śmierci Nolana Dahla.

– W czym imieniu?

– Siostry oficera Dahla.

– Psychologiczna autopsja?

– Nie aż tak formalnie.

– Chce pan po prostu to wszystko pozbierać do kupy? – rzekł. – Nie dziwię się. Zadzwoniła do mnie kilka tygodni temu i próbowała uzyskać jakieś odpowiedzi. Biedna kobieta. Mnie samego ogromnie wzburzyła wiadomość o samobójstwie Nolana i żałowałem, że nie mogę jej wiele pomóc.

Dość dawno nie pracowałem już z Nolanem i nie chciałem udzielać jej informacji, które mogłyby się okazać nieważne. Wyglądała na przygnębioną. To dobrze, że ma fachową pomoc.

– Nieważne informacje? Dlaczego miałyby być nieważne?

Przerwa.

– Nie jestem fachowcem, więc nie byłem pewien, co może jej pomóc, a co zaszkodzić.

– Twierdzi pan, że Nolan miał jakieś problemy, które mogły ją zdenerwować.

– Nolan był... interesującym dzieciakiem. Skomplikowanym.

Tego samego określenia użył Lehmann.

– Co pan przez to rozumie?

– Hmm... proszę posłuchać, nie bardzo mam ochotę mówić o szczegółach, dopóki porządnie tego nie przemyślę. Dziś mam wolne. Zamierzałem trochę pożegłować, ale jeśli pozwoli mi pan przez chwilę zebrać myśli, może pan do mnie wpaść na łódkę. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– Jestem panu niezmiernie wdzięczny, sierzancie. Kiedy mógłbym przyjść?

– Może w południe? Gdy zgłodniejemy, skoczmy gdzieś na obiad. Może pan mi go nawet postawić.

– To uczciwa propozycja. Gdzie trzyma pan łódź?

– Przy Marina del Rey. Nazywa się „Satori”. Przycumowana w pobliżu Marina Shores Hotel. – Podał mi numer stanowiska. – Jeśli mnie tam nie będę dzie, to znaczy że jest flauta i musiałem zwinąć żagle, żeby skorzystać z silnika. Tak czy inaczej, będę na przystani.

Łódź miała dziewięć metrów długości. Zbudowana była z gładkiego białego włókna szklanego z szarym wykończeniem. Wysokie maszty, zwinięte żagle. Na kadłubie nazwa „Satori” wypisana czarnymi literami ze złotymi brzegami.

Na błękitnym niebie snuły się lekkie białe smużki. Wiatru prawie nie było. „Satori” i jej sąsiadki ledwo się poruszały na wodzie. Zastanawiałem się, czy Baker w ogóle wypłynął w morze. O kilka kroków dalej ścieżkę biegnącą wzdłuż przystani ocieniał taras Marina Shores Hotel. Kilka osób jadło wczesny obiad – popijali mrożone napoje i dziobali widelcami w sałatkach z owoców morza.

Teren hotelu oddzielała od przystani siatka, lecz bez trudu przeszedłem przez otwartą furtkę.

„Satori”. Wiedziałem, że nazwa ma coś wspólnego z filozofią zen i sprawdziłem to przed wyjściem.

Stan intuicyjnego oświecenia.

Może sierżant Wesley Baker zdoła mnie oświecić w kwestii śmierci Nolana.

Baker wyszedł spod pokładu, nim dotarłem do łodzi. Wycierał ręce białym ręcznikiem. Miał ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, krępy, ale nie otyły. Nosił białą koszulkę polo marki Lacoste, odprasowane czarne dzinsy i białe żeglarskie buty. Wyglądał na swoje pięćdziesiąt lat, lecz był to dobrze zakonserwowany pięćdziesięciolatek: głęboka opalenizna, krótkie brązowe włosy siwiejące na skroniach, szerokie kwadratowe barki i dobrze umięśnione, nieowłosione ręce. Głowa nieco za mała w stosunku do umięśnionego torsu, twarz okrągła, trochę dziecięca mimo zmarszczek i stanowczych rysów. Duże okulary w złotych oprawkach odbijały południowe słońce niczym lasery.

Ot, poważny biznesmen w dzień wolny od pracy.

Pomachał do mnie. Wspiąłem się na pokład i uścisnęliśmy sobie ręce.

– Doktor Delaware? Jestem Wes Baker. Co pan powie na obiad? Może w hotelu?

– Jasne.

– Zamknę tylko łódkę i możemy iść.

Zniknął na chwilę i wrócił z wielkim czarnym portfelem z cielecej skóry. Pugilares rozmiarami przypominał prawie damską torebkę i Baker niósł go w dłoni, a nie w kieszeni. Zeszliśmy z łodzi i skierowaliśmy się w stronę hotelu.

Szedł bardzo powoli, jakby obliczał każdy ruch. Niczym tancerz albo mim. Machał rękami, rozglądał się na boki. Na niezbyt wyraźnych szerokich ustach błąkał się uśmiezek.

Brązowe oczy za szklami okularów zdradzały ciekawość. Jeśli zamierzał coś ukrywać, wcale się z tego powodu nie denerwował.

– Cudowny dzień, nieprawdaż? – zagaił.

– Piękny.

– Mieszkam tutaj, choć trochę tu ciasno – wszystkiego trzydzieści pięć metrów kwadratowych – a w dzień na przystani tłok jak w mieście. Ale nocą, kiedy wszystko się uspokaja i widać stąd jak na dłoni ocean, złudzenie nieskończoności rekompensuje mi te wszystkie niedogodności.

– Satori? – zapytałem.

Roześmiał się.

– Satori to stan idealny, ale trzeba próbować. Żeglujecie pan?

– Niezbyt często.

– Sam to robię od niedawna. W młodości trochę pracowałem na statkach, lecz nie nauczyłem się wtedy sterować prawdziwym jachtem. Zająłem się tym sportem kilka lat temu. Uczyłem się na własnych błędach. Jak człowiek kilka razy dostanie po głowie, od razu zapamięta, że trzeba uważać na bom.

– Nolan też trochę pływał.

Skinął głową.

– Na kutrach w Santa Barbara. Nurkował też po małże. Ale nie traktował tych zajęć poważnie.

– Naprawdę?

– Nie lubił pracy fizycznej.

Weszliśmy po schodach na patio, gdzie mieściła się restauracja.

Staliśmy przy tabliczce z napisem PROSZĘ CZEKAĆ NA WSKAZANIE STOLIKA. Miejsce, gdzie powinien oczekiwać gospodarz sali, było puste. Na wyłożonym kostką tarasie ustawiono dwa tuziny stolików nakrytych granatowymi lnianymi obrusami. Przy trzech siedzieli goście. W promieniach słońca błyszczało kryształowe szkło i srebrne sztuce. Od wschodu wybudowano ścianę ze szkła, która oddzielała patio od pustej o tej porze sali restauracyjnej.

– Mówił też, że nie znosi zabijania ryb – powiedział Baker rozglądając się. – Nie znosi i kropka. Był łagodnym chłopakiem. Na rok przed wstąpieniem do akademii został wegetarianinem. Chyba jedyny gliniarz jarosz, jakiego znałem. Hej, Max!

Z wnętrza wyszedł właśnie gospodarz sali – Chińczyk w czarnym garniturze, czarnej koszuli

i czarnym krawacie. Na twarzy miał szeroki zawodowy uśmiech pełen bólu.

– Witam, panie Baker. Pański stolik jest już gotowy.

– Dzięki, Max.

Zaprowadzono nas do stolika z widokiem na morze. Mógł pomieścić cztery osoby, lecz leżały na nim tylko dwa nakrycia. W powietrzu czułem słoną wodę, ropę i zapach jedzenia.

– Łagodny, mówi pan. A jednak wybrał pracę w policji – zauważyłem.

Baker rozwinął granatową serwetkę i położył sobie na kolanach.

– Teoretycznie to nie powinno ze sobą kolidować. Zadaniem policjanta jest ograniczanie przemocy. Ale rzeczywistość jest oczywiście zupełnie inna.

Zdjął okulary, popatrzył przez nie, zdmuchnął jakiś paproszek, po czym włożył je z powrotem.

– W rzeczywistości praca w policji wymaga ciągłego nurzania się w przemoc. W przypadku osób wrażliwych, takich jak Nolan, może to doprowadzić do rozczarowania.

– Mówił, że jest rozczarowany?

– Niezbyt się nad tym rozwodził, lecz nie wyglądał na szczęśliwego. Wciąż chodził przybity.

– Depresja?

– Jak się teraz zastanawiam, myślę, że to możliwe, choć nie widać było objawów klinicznych. – Przerwał. – Przynajmniej ja jako laik ich nie zauważyłem. Wie pan, miał apetyt, przychodził do pracy, był zawsze gotowy. Tyle tylko, że nigdy się nie śmiał i nie wyglądał na szczęśliwego. Jak gdyby osłonił się jakąś warstwą ochronną, takim emocjonalnym lakierem.

– Żeby nikt go nie skrzywdził?

Baker wzruszył ramionami.

– To nie moja specjalność. Tak jak wszystkich, mnie również zaskoczyło to, co zrobił.

Młody kelner przyniósł francuskie pieczywo i zapytał, co chcemy do picia.

– Wódka z tonikiem – odparł Baker. – A pan, doktorze?

– Poproszę mrożoną herbatę.

– Może od razu zamówimy obiad. Jeśli lubi pan owoce morza, polecam sałatkę z kalmarów.

– Z przyjemnością – odparłem.

– W takim razie poproszę dwie i do tego jakieś dobre białe wino. – Spojrzał na kelnera. Młody człowiek miał niepewną minę. Najwyraźniej ostatnio niezbyt dobrze się spisał. – Macie jeszcze to sauvignon blanc z Bear Cave?

– Rocznik osiemdziesiąt osiem? Wydaje mi się, że tak.

– W takim razie poproszę o butelkę. A jeśli by nie było, czy moglibyśmy dostać coś podobnego?

– Mamy doskonałe sauvignon blanc z Blackridge.

– Proszę zatem wybrać coś dobrego w granicach rozsądku. Pan doktor płaci.

– Oczywiście, proszę pana. – Kelner oddalił się, a Baker powąchał swój palec. – Ma się ten wdech. Co my tu mamy... nutkę brzoskwini, stare liście i jakiś nikły ślad 7 Up.

Odłamał kawałek pieczywa i żuł je powoli.

– To, co zrobił Nolan, nie daje mi spokoju z dwóch powodów. Po pierwsze, chodzi o sam fakt samobójstwa. Taka strata. Ale czuję też niepokój, rzekłbym, narcystyczny. Dlaczego niczego nie zauważyłem?

– Jak długo pan z nim pracował?

– Trzy miesiące, dzień w dzień. Był najzdolniejszym praktykantem, jakiego miałem. Interesujący chłopak. Inny niż pozostali rekruci. Co pan wie o samobójstwach wśród policjantów?

– Wiem, że jest ich coraz więcej.

– Oczywiście. W ciągu ostatnich dwudziestu lat ich odsetek zwiększył się prawie dwukrotnie. A mówimy tu tylko o oficjalnie stwierdzonych przypadkach. Jeśli dorzucić do tego facetów podejmujących nadmierne ryzyko, podejrzane wypadki i inne „niewyjaśnione zgony”, ten współczynnik będzie dwa razy większy.

– Wypadki – powtórzyłem. – Czyli samobójstwa przez pracę?

– Owszem – odparł Baker. – Gliniarze lubią żegnać się ze światem w ten sposób, bo oszczędzają tym samym wstydu rodzinie. To samo dzieje się z ludźmi, którymi zajmuje się policja. Jakiś przygnębiony gość upija się albo szprycuje na umór, staje na ulicy i wymachuje bronią, a kiedy przyjeżdża radiowóz, zamiast rzucić pistolet, celuje w policjantów.

Pociągnął za wyimaginowany spust.

– Nazywamy to samobójstwem z rąk policjanta. Różnica polega na tym, że rodzina zastrzelonego wynajmuje prawnika, oskarża władze miasta o spowodowanie śmierci i dostaje odszkodowanie. Depresja i oskarżenia to doskonała mieszanka, doktorze Delaware.

– Czy policjanci też występują na drogę sądową? – zapytałem.

Zdjął okulary i popatrzył przez na wody zatoki.

– Tylko żywi, doktorze. Dostają dodatki za pracę w warunkach stresu i inne przywileje. Ostatnio wydział zaczął ograniczać te praktyki. A co, siostra Nolana chce oskarżyć policję?

Powiedział to ostrożnym głosem, patrząc w talerz.

– O ile wiem, raczej nie – odparłem. – Po prostu szuka odpowiedzi, a nie winnych.

– W końcu i tak okazuje się, że winny jest samobójca, prawda? Nikt nie włożył Nolanowi lufy do ust ani nie pociągnął za spust. Czy były jakieś inne symptomy poza tym, że nie wiódł szampańskiego życia? Ja ich nie dostrzegałem. Traktował wszystko poważnie, także swoją pracę. Uważałem to za pozytywny znak. Nie był obibokiem.

Kelner przyniósł drinki. Kiedy Baker smakował wódkę z tonikiem, zapytałem:

– Czy poza tym, że szybko się uczył, Nolan wyróżniał się czymś jeszcze spośród innych rekrutów?

– Powagą. Inteligencją. To był naprawdę błyskotliwy chłopak, doktorze. Wystarczyło, że mieliśmy choćby chwilę przerwy, a on zaraz wyciągał książkę i czytał.

– Jakie to były książki?

– Kodeks karny, polityka, beletrystyka, czasopisma. Zawsze coś przy sobie miał. Wcale mi to nie przeszkadzało. Ja też wolę sobie poczytać dobrą książkę, niż paplać o tym, o czym zwykle paplają gliniarze.

– A o czym zwykle gadają?

– O harleyach, corvettach, spluwach i amunicji.

– Nolan miał sportowy wóz. Małego czerwonego pontiaca fiero.

– Naprawdę? Nigdy o tym nie mówił. No właśnie. Kiedy byliśmy na patrolu, koncentrował się całkowicie na pracy. Nie gadał o byle czym. Był skupiony. Podobało mi się to.

– Wybrał pan Nolana z powodu jego inteligencji?

– Nie, to on wybrał mnie. Kiedy jeszcze studiował w akademii, miałem tam wykład na temat zasad areztowania. Po wykładzie podszedł do mnie i zapytał, czy mógłbym zostać jego oficerem szkoleniowym, kiedy skończy akademię. Powiedział, że szybko się uczy, więc powinno nam się dobrze razem pracować.

Baker uśmiechnął się, pokręcił głową i położył opalone dłonie na obrusie. Słońce mocno przypiekało. Czuję jego promienie na karku.

– Niezły tupet, prawda? – zaśmiał się Baker. – Domyśliłem się, że tak naprawdę chodzi mu

o pracę w zachodnim Los Angeles. Ale zaintrygował mnie, więc kazałem mu przyjść na komendę po służbie, żebyśmy mogli pogadać.

Potał czubek nosa.

– Następnego dnia pojawił się punktualnie jak w zegarku. Wcale się nie narzucał. Wręcz przeciwnie, zachowywał się z szacunkiem. Zapytałem go, dlaczego wybrał właśnie mnie. Odpowiedział, że mam dobrą reputację.

– Intelktualisty? – zapytałem.

– Oficera szkoleniowego, który potrafi pokazać prawdziwą służbę.

Wzruszył ramionami.

– Był inteligentny, ale nie wiedziałem, jak sobie poradzi na ulicy. Doszedłem jednak do wniosku, że to może być interesujące, więc powiedziałem mu, że zobaczę, co się da zrobić. W końcu postanowiłem go przyjąć, bo wydawał mi się najlepszy z całej grupy.

– To był kiepski rocznik?

– Przeciętny – odparł. – Akademia policyjna to nie Harvard. Te wszystkie preferencje dla mniejszości sprawiły, że poziom stał się... zróżnicowany. Nolan dobrze sobie radził. Pomagała mu sylwetka – ludzie raczej nie wchodzili mu w drogę, a on nikogo nie prześladował. Po prostu zachowywał się zgodnie z regulaminem.

– Rozmawiał kiedyś o polityce?

– Nie, a dlaczego pan pyta?

– Po prostu chcę mieć jak najpełniejszy jego obraz.

– No cóż, gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że miał konserwatywne poglądy. W policji nie ma zbyt wielu ultraliberałów. Czy miał skłonności rasistowskie? Nie.

Pytałem o poglądy polityczne, nie o rasizm.

– A więc żył w zgodzie z ludźmi, z którymi miał pan do czynienia?

– Tak jak każdy.

– A co z innymi policjantami? Kumplował się z nimi?

– Kilka razy zjedliśmy wspólnie kolację. Nie pamiętam, by spotykał się z kimś innym. Trzymał się raczej na uboczu.

– Czy można powiedzieć, że był wyalienowany spośród innych rekrutów?

– Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć. Chyba odpowiadał mu ten styl życia.

– Czy powiedział panu kiedykolwiek, dlaczego postanowił zostać policjantem?

Baker odstawił szklanę.

– Zanim przyjąłem go do siebie, zapytałem o to. Odparł, że nie chce mi wciskać kitu o pomaganiu ludziom i strzeżeniu porządku. Uważał po prostu, że może to być interesujące zajęcie. Podobała mi się ta szczerza odpowiedź i więcej do tego tematu nie wracaliśmy. Był raczej małomówny. Gotów do pracy, chętny do nauki. Moja metoda polega na tym, by jak najczęściej aresztować, więc przez większą część czasu jeździliśmy jak szaleni na wszelkie wezwania. Nie bawiliśmy się jednak w Johna Wayne’a. Zawsze trzymam się przepisów. To samo robił Nolan.

Odwrócił wzrok. Wciąż trzymał palce na stole, ale ich czubki pobieleły. Czyżby to był drażliwy temat?

– A więc nie widać było, żeby miał poważne problemy w pracy?

– Nie.

– Może nadużywał alkoholu albo narkotyków?

– Miał obsesję na punkcie zdrowia. Nie jadł mięsa, po pracy chodził do sali ćwiczeń w komendzie. Przed służbą biegał.

– Ale był samotny – powiedziałem.

Baker spojrzał w niebo.

– Sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Czy w jego życiu były jakieś kobiety?

– Wcale by mnie to nie zdziwiło, był przystojnym chłopakiem.

– Lecz o żadnej nie wspominał.

– Nie. To nie w stylu Nolana... Musi pan zrozumieć, doktorze, że środowisko policjantów to subkultura, która nie toleruje słabości. Aby szukać pomocy, trzeba być naprawdę w nielichych opałach. Ja miałem nauczyć go, jak być policjantem. Uczył się dobrze i dobrze funkcjonował w środowisku.

Kelner przyniósł obiad i wino. Baker odprawił rytuał smakowania wina i polecił:

– Proszę nalewać.

Kieliszki wypełniły się sauvignon blanc. Kiedy znów zostaliśmy sami, Baker odezwał się:

– Nie wiem, czy mamy za co wznosić toast, więc proponuję po prostu: na zdrowie.

Napiliśmy się wina. Baker odczekał, aż zaczęję jeść, i wtedy sam zabrał się za kalmara. Rozkrawał je na pół i uważnie oglądał każdy kawałek, zanim włożył go do ust. Co trzeci, czwarty kęs ocierał usta serwetką i bardzo powoli sączył wino.

– Ktoś wysłał go na terapię – powiedziałem. – A może sam się zgłosił.

– Kiedy się leczył?

– Nie wiem. Jego lekarz niechętnie mówi o szczegółach.

– Któryś z naszych policyjnych psychologów?

– Prywatny lekarz. Doktor Boone Lehmann.

– Nie znam go. – Znów odwrócił wzrok. Udawał, że patrzy na albatrosy krążące nad przystanią, ale przestał żuć i zmrużył oczy. – Leczył się... Nie wiedziałem o tym. – Znów zaczął przeżuwać.

– Nie wie pan, dlaczego przeniesiono go z zachodniego Los Angeles do Hollywood?

Odłożył widelec.

– Kiedy go przeniesiono, ja już pracowałem w Centrum Parkera. To taka marchewka, którą mnie kusili od dłuższego czasu – inspekcja programów szkoleniowych. Nie lubię specjalnie papierkowej pracy, ale prośbom położonych się nie odmawia.

– A więc nie wiedział pan o jego przeniesieniu?

– No właśnie.

– Po okresie szkoleniowym stracił pan kontakt z Nolanem.

Spojrzał na mnie.

– Nie nazwałbym tego utratą kontaktu, zerwaniem jakiejś wielkiej więzi synowsko-ojcowskiej. Szkolenie kiedyś się kończy. Nolan nauczył się tego, czego musiał się nauczyć, i sam ruszył w wielki zły świat. O jego samobójstwie dowiedziałem się następnego dnia. Policyjna poczta pantoflowa. W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć w te głupoty – jak ktoś tak inteligentny mógł okazać się tak głupi?

Rozkroił kalmara.

– A jego siostra, co ona robi?

– Jest pielęgniarką. Czy Nolan kiedykolwiek o niej mówił?

– Nigdy o niej nie wspominał. O jego rodzinie wiedziałem tylko tyle, że oboje rodzice nie żyją.

Baker odsunął talerz. Zjadł połowę kalmarów.

– Co pan sądzi o sposobie, w jaki tego dokonał? – zapytałem. – Tak publicznie.

– To dość dziwne – odrzekł. – A pan co o tym myśli?

– Może w ten sposób chciał coś przekazać?

– Na przykład co?

Wzruszyłem ramionami.

– Czy Nolan przejawiał tendencje do ekshibicjonizmu?

– Czy lubił się pokazywać? Nie na służbie. Poza tym bardzo dbał o swoje ciało – wciąż się pucował, dopasowywał mundur, ale tak samo robi większość młodych policjantów. Wciąż nie rozumiem, co miałyby w ten sposób przekazać.

– Wcześniej wspominał pan, że policjanci zawsze starają się zmniejszyć wstyd związany z samobójstwem. Jednak Nolan zrobił coś zupełnie odwrotnego. Zrobił z tego przedstawienie. Dokonał niemal publicznej samoegzekucji.

Przez chwilę Baker milczał. Podniósł kieliszek, wypił całą zawartość, dolał sobie wina i zaczął je sączyć.

– Uważa pan, że w ten sposób ukarał się za coś?

– To tylko hipoteza – odparłem. – Ale pan nie wie o niczym, co mogłoby wywołać w nim poczucie winy.

– Na pewno nie w pracy. Czy siostra coś panu powiedziała?

Pokręciłem głową.

– Nie – powiedział. – To po prostu nie ma sensu.

Podszedł do nas kelner.

– Ja już skończyłem.

Również podziękowałem za deser i podałem kelnerowi kartę kredytową. Baker wyjął ogromne cygaro i zwilżył koniec.

– Nie ma pan nic przeciwko temu?

– Nie.

– To wbrew obowiązującym tu przepisom – wyjaśnił – lecz znają mnie tutaj. Zresztą siedzę tak, by wiatr wywiewał dym.

Zaczął oglądać ścisły brązowy cylinder cygara. Ręcznie zwijane. Odgryzł koniec i wypluł go do serwetki, którą szybko zwinął. Wyjął z kieszeni złotą zapalniczkę, zapalił cygaro i wydmuchnął kłęb dymu. Gorzki, ale nie drażniący zapach wypełnił na chwilę przestrzeń między nami, po czym rozpląnął się w powietrzu.

Baker zerknął na jachty cumujące na przystani. Oparł się wygodniej i rozkoszował się słońcem.

Puf, puf. Zacząłem się zastanawiać, jak mógł podrzucić pornograficzne pisemka do szafki Mila.

– Ogromna strata – powtórzył. – Wciąż nie daje mi to spokoju.

Ale siedząc na tarasie, paląc cygaro i popijając wino, gładko ogolony, z opaloną twarzą, wyglądał jak uosobienie szczęścia.

Zostawiłem Bakera na tarasie z jego cygarem i resztą wina. Nim wszedłem na ścieżkę, która prowadziła na hotelowy parking, zatrzymałem się i patrzyłem, jak Baker śmiejąc się mówi coś do gospodarza sali.

Człowiek zrelaksowany. Nikt by nie zgadł, że przed chwilą rozmawiał o śmierci kolegi.

Czy niepokoiłbym się tym, gdyby Milo mnie przed nim nie ostrzegł? Mimo pozornej otwartości powiedział mi jeszcze mniej niż doktor Lehmann: Nolan był odizolowanym, nieprzeciętnie inteligentnym policjantem, który trzymał się regulaminu.

Nie wspomniał o żadnych poważnych problemach, które sugerował Lehmann. Z drugiej strony Baker był tylko oficerem szkoleniowym Nolana, a nie jego terapeutą.

Odbyłem już drugie spotkanie, które nic nie przyniosło.

Czyżby ci ludzie zabezpieczali się na wypadek procesu?

Ale co starali się ukryć?

Helena wciąż nie dzwoniła. Może doszła do wniosku, że tylko Nolan był w stanie zrozumieć, co zrobił. Jeśli postanowiła przerwać terapię, nie mogłem nic na to poradzić i nawet mnie to specjalnie nie martwiło. Bo Lehmann miał rację – do prawdziwych odpowiedzi często nie można było dotrzeć.

Po powrocie do domu zaaplikowałem sobie szybszy niż zwykle bieg po okolicy. Potem wziąłem prysznic, przebrałem się i kwadrans po czwartej wyruszyłem do Beverlywood. Do domu Carmelich dotarłem dziesięć minut przed wyznaczonym na piątą spotkaniem.

Parterowy dobrze utrzymany drewniany dom był jednym z wielu stojących przy tej ulicy. Mały trawnik schodził do sfatygowanego podjazdu wyłożonego kostką, na którym stały niebieski minivan plymouth voyager i czarna honda accord. Oba wozy na dyplomatycznych numerach. Na ulicy było pusto, jeśli nie liczyć parkujących nieco dalej przy krawężniku dwóch volvo kombi i chevroleta suburbana, a po drugiej stronie ulicy furgonetki z zakładu energetycznego. Na innych podjazdach dostrzegłem inne furgonetki i samochody kombi z fotelikami dziecięcymi.auta dla dzieci i do wożenia śmieci.

Położone na wschód od Hillcrest Country Club i na południe od Pico Beverlywood powstało w latach pięćdziesiątych jako dzielnica, w której osiedlali się z rodzinami młodzi kierownicy na drodze do wysokiego awansu i rezydencji w Brentwood, Hancock Park czy Beverly Hills. Niektórzy do tej pory zwali je Baja Beverly Hills. W Los Angeles zrezygnowano w zasadzie z opieki miasta nad ulicami, ale Beverlywood wyglądało jak z obrazka, gdyż stowarzyszenie tutejszych mieszkańców samo dbało o to, by okolica wyglądała schludnie, a drzewa były zawsze równo przycięte. Nocą teren patrolowała prywatna firma ochroniarska. Gwałtowny popyt na ziemię w latach siedemdziesiątych wywindował ceny tutejszych posiadłości do wysokości mniej więcej pół miliona dolarów,

a późniejsze załamanie rynku obniżyło je do poziomu, na który mogły sobie pozwolić rodziny na dorobku, a osiedlając się tutaj na stałe, uważały, że osiągnęły szczyt szczęścia.

Dwie minuty później zaparkował za mną Milo. Miał na sobie blezer w kolorze butelkowej zieleni, ciemne spodnie, białą koszulę i żółtooliwkowy krawat z grubego materiału. Zielony olbrzym o pochmurnej minie.

– W końcu udało mi się zlokalizować jeszcze sześciu drani z pierwotnej listy przestępców. Wszyscy przeprowadzili się do Riverside i San Berdoo i mają alibi na czas morderstw, a dodatkowo ręczą za nich kuratorzy i lekarze. W sprawie DVLL też niczego nie znalazłem. Gotów jestem uznać, że to po prostu śmieć.

Milo zapukał i drzwi otworzył Zev Carmeli. Ubrany był w ciemny garnitur, twarz miał ponurą.

– Proszę bardzo.

Nie było tu przedpokoju, więc od razu weszliśmy do niskiego, wąskiego i nieco ciemnego salonu. Ciemnozielony dywan odcieniem zbliżony był do marynarki Mila. Przez chwilę mój przyjaciel wyglądał jak element wyposażenia wnętrza. Brązowe sofy i szklane stoliki sprawiały wrażenie, jakby pochodziły z wypożyczalni. Na oknach wisiały niezbyt grube beżowe zasłony, lecz większość światła dawały dwie lampy stołowe.

Na największej sofie siedziała piękna smagłolica kobieta około trzydziestki o bardzo długich kręconych włosach i wilgotnych, głęboko osadzonych oczach. Usta miała pełne, ale spierzchnięte, a w oczach wyraz pustki. Kości policzkowe wystawały jej tak mocno, że wydawały się sztuczne. Nosila brązową, sięgającą za kolana sukienkę nieokreślonego kroju i płaskie brązowe buty. Nie miała biżuterii.

Carmeli przysunął się do niej, a ja pilnowałem się, by nie wpatrywać się w jego żonę.

Nawet nie z powodu jej urody. Widziałem fotografie zmarłej Irit, a teraz miałem przed sobą kobietę, na jaką zapewne by wyrosła.

– To detektyw Sturgis i doktor Delaware. Moja żona, Liora.

Liora Carmeli chciała wstać z sofy, ale mąż dotknięciem ramienia dał jej do zrozumienia, żeby pozostała na miejscu.

– Witam panów – powiedziała bardzo cicho, z wymuszonym uśmiechem.

Obaj uścisnęliśmy jej rękę o wiotkich palcach i miękkiej skórze. Wiedziałem, że znów podjęła pracę w szkole i w obecności uczniów nie mogła być aż tak przygnębiona. To znaczyło, że jej stan psychiczny pogorszyła nasza wizyta.

– No dobrze – rzekł Carmeli siadając obok żony i wskazując nam fotele po drugiej stronie szklanego stolika.

Usiedliśmy, a Milo wygłosił jedną z tych krótkich przemów pełnych współczucia i zrozumienia, których tak nie znosi wygłaszać, choć robi to doskonale. Carmeli patrzył na nas gniewnie, ale jego żona zaczęła słuchać z uwagą. Wyprostowała się, skupiła wzrok na Milu.

Widywałem już podobne sytuacje. Niektórzy ludzie, zwłaszcza kobiety, natychmiast reagują na słowa Mila. Mój przyjaciel wcale się z tego nie cieszy. Zawsze obawia się, że coś mu nie wyjdzie. Mimo to za każdym razem powtarza przemowę, bo nie ma innego wyjścia.

– Dobrze, dobrze, wszystko to rozumiemy. Zacznijmy wreszcie – niecierpliwił się Carmeli.

Żona spojrzała na niego i powiedziała coś, chyba po hebrajsku. Carmeli zmarszczył brwi i zaczął poprawiać krawat. Oboje wyglądali na porządnych ludzi zupełnie pozbawionych energii życiowej.

– Pani Carmeli, jeśli wie pani cokolwiek... – odezwał się Milo.

– Niczego nie wiemy – przerwał mu Carmeli i dotknął łokcia żony.

– Mąż ma rację. Wszystko już powiedzieliśmy policji. – Kiedy mówiła, poruszała tylko ustami. Brązowa sukienka luźno spowijała ciało i nie mogłem pod nią dostrzec sylwetki pani Carmeli.

– Nie wątpię, proszę pani – odparł Milo. – Zadałem to pytanie, czasami bowiem ludziom przypominają się najróżniejsze rzeczy. Niekiedy zupełne drobiazgi, o których w ogóle nie wspominali. Nie twierdzę, że tak jest w państwa przypadku...

– Na litość boską, czy nie sądzicie, że gdybyśmy mogli wam jakoś pomóc, zrobiliśmy to? – denerwował się Carmeli.

– To oczywiste, proszę pana.

– Rozumiem, o co panu chodzi, detektywie – odezwała się Liora Carmeli. – Od kiedy moja Irit... odeszła, wciąż myślę. Myśli... mnie atakują. Zwłaszcza nocą. Cały czas myślę. Bez przerwy.

– Liora, *maspeek* – wtrącił się Carmeli.

– Myślę – powtarzała, jakby zadziwiona – o rzeczach głupich, wariackich, o potworach, demonach, nazistach, szaleńcach... czasami to wszystko sen, czasami jawa. – Zamknęła oczy. – Czasami trudno odróżnić jedno od drugiego.

Twarz Carmelego pobladła z wściekłości.

– Najdziwniejsze jest to, że w tych snach nigdy nie widzę Irit, tylko potwory... Czuję, że gdzieś tam jest, ale nie mogę jej zobaczyć, a kiedy próbuję... przywołać jej obraz... wszystko gdzieś ucieka.

Popatrzyła na mnie. Skinąłem głową.

– Irit była moim skarbem.

Carmeli szeptał jej coś gorączkowo do ucha po hebrajsku. Ale chyba go nie słyszała.

– To śmieszne – zwrócił się do Mila. – Proszę natychmiast wyjść.

Liora dotknęła jego ramienia.

– Te sny o potworach są... takie dziecinne. Czarne stwory... ze skrzydłami. Kiedy Irit była mała, bała się czarnych skrzydlatych potworów – diabłów. Po hebrajsku nazywamy je *shedim*. *Ba'alzvuv* – to po hebrajsku „władca much”. Tak jak w tej książce o uczniach... to był bożek filistyński, który sprawował pieczę nad owadami i zarazą... Po angielsku Belzebub. W dzieciństwie Irit śniły się koszmary, w których występowały owady i skorpiony. Budziła się w środku nocy i chciała spać razem z nami... Żeby zasnąć, opowiadałam jej o *shedim*. Historie z Biblii, o tym jak my, Filystyni, zostaliśmy... podbici i o ich głupich bożkach... z racji moich kulturowych korzeni... moja rodzina pochodzi z Casablanki. Znam tyle cudownych opowieści i wszystkie jej opowiadałam... historie o dzieciach pokonujących potwory.

Uśmiechnęła się.

– I potem przestała się już bać.

Carmeli zaciskał ręce w pięści, aż pobieliała mu skóra.

– Myślałam, że mi się udało, bo Irit przestała przychodzić do nas do łóżka.

Popatrzyła na męża, potem na jego spodnie.

– Czy kiedy Irit podrosła, bała się czegoś? – zapytał Milo.

– Niczego. Absolutnie niczego. Wydawało się, że dobrze mi poszło z tymi opowieściami. – Nagle parsknęła krótkim, głośnym śmiechem – tak nieludzkim, że ciarki przeszły mi po plecach.

Carmeli zerwał się na równe nogi i wrócił po chwili z paczką chusteczek higienicznych.

Choć Liora Carmeli miała suche oczy, mąż wytarł je mimo wszystko.

Uśmiechnęła się do niego i przytrzymała jego rękę.

– Moja dzielna mała dziewczynka. Wiedziała, że jest inna... podobało jej się to, że jest ładna... kiedyś, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Kopenhadze, pewien mężczyzna próbował ją pocałować. Miała wtedy dziewięć lat. Wyszliśmy kupić dzinsy. Szłam przed nią, a nie obok niej, bo Kopenhaga to bezpieczne miasto. Przy Stroget, głównej ulicy handlowej, naprzeciw domu towarowego stoi też Muzeum Erotyki. Nigdy tam nie byliśmy, ale zawsze wokół kręciło się mnóstwo ludzi. Duńczycy mają zdrowe podejście do tych spraw, choć prawdopodobnie to muzeum przyciąga też i zboczeńców, bo ten mężczyzna...

– Dość – przerwał Carmeli.

– ...chwycił Irit i próbował ją pocałować. Jakiś żalosny staruch. Irit nie słyszała go, jak zwykle miała wyłączony aparat słuchowy i pewnie śpiewała piosenki.

– Piosenki? – zdziwił się Milo.

– Śpiewała do siebie. Nie jakieś zwyczajne piosenki, lecz swoje własne. Łatwo to było rozpoznać, bo wtedy poruszała głową w górę i w dół...

– Przestała to robić już dawno temu – powiedział Carmeli.

– Jak zareagowała, kiedy chwycił ją ten mężczyzna? – dopytywał się Milo.

– Uderzyła go i wyrwała się, a potem się z niego śmiała, bo wyglądał na wielce przerażonego. Mały staruch. Zboczeniec. – Popukała się w głowę. – Nie wiedziałam nawet, że dzieje się coś złego. Dopiero kiedy usłyszałam jakieś krzyki po duńsku, odwróciłam się i zobaczyłam dwóch mężczyzn przytrzymujących starucha i Irit, która stała i śmiała się. Ludzie wszystko widzieli i mówili, że staruch jest zboczony, ale niegroźny. Irit wciąż się z niego śmiała. Wyglądał jak kupka nieszczęścia.

– To było w Danii, tu jest Ameryka – powiedział Carmeli.

Liora przestała się uśmiechać. Skarcona opuściła głowę.

– A zatem twierdzą państwo, że Irit nie bała się obcych? – zapytał Milo.

– Nie bała się niczego – odparła Liora Carmeli.

– A więc gdyby jakiś obcy...

– Nie wiem – wybuchnęła nagle płaczem – nic już nie wiem.

– Lioro... – mówił uspokajająco Carmeli, trzymając ją za nadgarstek.

– Nie wiem – powtórzyła. – Może. Nie wiem! – Uwolniła się od ręki męża i wbiła wzrok w ścianę. – Może powinnam jej opowiadać także inne historie, w których wygrywają demony. Może byłaby ostrożniejsza...

– Proszę pani...

– Ależ panowie – odezwał się Carmeli z niesmakiem. – To nie ma sensu. Nalegam, żebyście już sobie poszli.

Podszedł do drzwi.

Milo i ja wstaliśmy z foteli.

– Jeszcze jedno, pani Carmeli – rzucił Milo. – Chodzi o ubrania Irit. Czy zostały odesłane z powrotem do Izraela?

– Jej ubrania? – powtórzył Carmeli.

– Nie – odparła jego żona. – Wysłaliśmy tylko... kiedy... ona... przekraczała granicę... włożyliśmy białą sukienkę. Jej ubrania zostały tutaj. – Spojrzała na męża. – Prosiłam cię, żebyś zadzwonił na policję, a kiedy się nie doczekałam, kazałam to zrobić twojej sekretarce. Przywieźli mi wszystko miesiąc temu i schowałam je.

Carmeli patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

– Są w minivanie, Zev. Chcę je mieć zawsze ze sobą w czasie jazdy.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko... – zaczął Milo.

– To szaleństwo – rzekł Carmeli.

– Moje zachowanie? – zapytała Liora uśmiechając się.

– Nie, nie, Liii, te pytania.

Znów potoczyła się rozmowa po hebrajsku. Słuchała go w spokoju, po czym odwróciła się do nas.

– Po co panom te ubrania?

– Chciałbym zlecić przeprowadzenie kilku analiz – odrzekł Milo.

– Już je analizowano – odparował Carmeli. – Czekaliśmy całymimi miesiącami na ich zwrot.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie Carmeli, ale kiedy zabieram się do jakiejś sprawy, chcę się dokładnie upewnić.

– Upewnić o czym?

– Że zrobiono wszystko, co można było zrobić.

– Rozumiem, jest pan bardzo dokładny – rzekł Carmeli.

– Staram się.

– A pańscy poprzednicy?

– Na pewno również się starali.

– Jest pan także lojalny – stwierdził Carmeli. – Dobry żołnierz. Ale skoro przez cały miesiąc ubrania Irit jeździły z żoną samochodem, jaki sens mają teraz analizy?

– Nie dotykałam ich – pospieszyła z zapewnieniem Liora – nawet nie otwierałam torby. Chciałam, ale...

Carmeli wyglądał na rozeźlonego nie na żarty, lecz powiedział tylko, Ach”.

– Przyniosę je panom. Będę mogła otrzymać je z powrotem? – zapytała Liora.

– Oczywiście, proszę pani.

Wstała i wyszła przed dom.

Otworzyła tylne drzwi minivana i podniosła tapicerkę przykrywającą dno bagażnika. Pod spodem leżało koło zapasowe. Obok koła zobaczyliśmy plastikową torbę noszącą jeszcze policyjną etykietkę ewidencyjną. W środku leżało coś niebieskiego – zwinięte džinsy. Dostrzegłem też pojedynczą białą plamkę – jedną białą skarpetkę.

– Może jestem chora. Mąż myśli, że zwariowałam, bo zaczęłam mówić do siebie, tak jak Irit śpiewała.

Carmeli zeszywniał, lecz oczy mu złagodniały.

– Lioro. – Objął ją ramieniem.

Poklepała go po ręce i odsunęła się.

– Proszę to wziąć – powiedziała, wskazując torbę.

Milo sięgnął do bagażnika, a Carmeli wrócił do domu. Patrząc za nim, Liora powiedziała:

– Może jestem chora. Może jestem prymitywna... Co będziecie panowie analizować? Pańscy poprzednicy powiedzieli, że nie znaleźli żadnych śladów.

– Pewnie powtórzę tamte badania – powiedział Milo. Trzymał torbę w obu rękach, jakby zawierała niezwykle cenny skarb.

– Cóż, w takim razie do widzenia – pożegnała się Liora Carmeli. – Miło mi było panów poznać.

– Dziękujemy pani. Przykro mi, że zdenerwowaliśmy pani męża.

– Mąż jest bardzo... czuły. Zwróćcie panowie ubrania?

– Oczywiście, łaskawa pani.

– Kiedy?

– Jak najszybciej.

– Dziękuję – rzekła. – Jak najszybciej. Chciałabym mieć je znów przy sobie, kiedy prowadzę wóz.

Powoli powlokła się do domu i zamknęła za sobą drzwi.

Milo i ja wróciliśmy do samochodów.

– Uwielbiam tę pracę – powiedział mój przyjaciel. – Te swobodne bezstresowe chwile. – Torbę z ubraniami Irit trzymał przy piersi.

– Biedna kobieta – powiedziałem. – A właściwie oboje.

– Wygląda na to, że między nimi nie najlepiej się układa.

– Tak to już jest po tragedii.

– Masz jakieś nowe przemyślenia?

– Na jaki temat? – zapytałem.

– Jej, ich.

– On ją chroni, a ona nie chce ochrony. Dość typowy układ damsko-męski. A czemu pytasz?

– Sam nie wiem... przypomnij sobie, jak mówiła o szaleństwie i prymitywności. Jakby... zacząłem się zastanawiać, czy nie leczyła się już psychiatrycznie.

Popatrzyłem na niego.

– Ja tylko głośno myślę, Alex.

– Myślisz, że porywałyby własne dziecko w rezerwacie, by potem je udusić?

– Delikatnie udusić... Może w grę wchodził mężczyzna? Widziałem to już nieraz: facet angażuje się, ale nie chce dzieciaków... Chociaż nie, ona nie może być sprawczynią. To tylko moja odruchowa podejrzliwość.

Opuścił rękę i torba z ubraniami zaczęła dyndać w powietrzu.

– Widziałem już zbyt wiele dzieci zabitych przez matki. Gdybym unikał mroku, nie mógłbym skutecznie pracować.

– To prawda – powiedziałem i po tych wszystkich latach znajomości poczułem nowy przypływ sympatii dla niego. – Na mój gust pani Carmeli, jako żona dyplomaty, była po prostu mocno spięta, a teraz coś w niej pękło. Zwróć uwagę, jak się ubiera, nie maluje się. Dawniej pewnie robiła dobrą minę do złej gry, dusiła wszystko w sobie, a teraz mówi: do diabła z tym.

Milo spojrział na torbę.

– A co sądzisz o wożeniu tych ubrań w samochodzie?

– To jak relikwia. Wiedziała, że mąż poczuje się urażony, więc urządziła sobie prywatną świątynię w aucie. Jednak bardzo chce nam pomóc i zaryzykowała nawet narażenie się na gniew męża.

– Urażony – powtórzył Milo. – Opowiadała o swojej kulturze, w przeciwieństwie do kultury Carmelego. Ona jest z Maroka, a on skąd?

– Wygląda na Europejczyka. Wiele lat temu, kiedy prowadziłem praktykę prywatną, miałem pacjentów Izraelczyków. W kilku przypadkach dawały o sobie znać różnice poglądów między Wschodem a Zachodem. Kiedy powstało państwo Izrael, od razu stało się kulturowym tygłem i od czasu do czasu dochodziło tam do konfliktów. Pamiętam też rodzinę, gdzie sytuacja była odwrotna. On pochodził z Iraku, ona – z Polski albo z Austrii. On uważał, że żona jest oziębła, a ona, że mąż jest przesądny. Może pani Carmeli nie chciała, żeby mąż pomyślał, iż oddaje się jakimś prymitywnym rytuałom. Może po prostu wiedziała, że będzie oburzony, kiedy dowie się o ubraniach Irit. Niezależnie od powodu nie zawahała się jednak powiedzieć ci o tej torbie.

– Jedno jest pewne, muszę porozmawiać z sąsiadami. Carmeli będzie się wściekał, lecz wcale mnie to nie wzrusza. W najgorszym wypadku odsuną mnie od sprawy i ktoś inny się będzie nad nią biedził.

Rozejrzałem się po ulicy. Przy krawężniku stała tylko furgonetka z firmy elektrycznej.

– Naprawdę chcesz zlecić nowe testy w laboratorium?

– Może. Wszystko w swoim czasie.

Przyjechałem do Milla na komendę w zachodnim Los Angeles. W pokoju na górze było dość spokojnie. Inny detektyw, młoda Murzynka, wypełniała jakieś formularze. Chyba nawet nie zauważyła, jak Milo usiadł za swoim metalowym biurkiem, uporządkował dokumenty i położył torbę z ubraniami obok pliku kartek przyciśniętych zszywaczem. Przejrzał szybko karteczki z wiadomościami i odłożył je na bok. Następnie włożył gumowe rękawice i otworzył torbę.

Najpierw wyjął dzinsy. Po kolei wywrócił na drugą stronę wszystkie kieszenie. Materiał pachniał ziemią, zgnilizną i chemikaliami z laboratorium.

Kieszenie były puste.

Milo odwrócił spodnie i pokazał mi wyblakłe brązowe plamki, których sam bym nie zauważył.

– Zabrudzenia od ziemi, na której leżała.

Złożył dokładnie spodnie, po czym wyjął z torby białą skarpetkę, drugą, a następnie białe

bawełniane majtki w różowe kwiatuszki. W kroczu ziała dziura po wyciętym materiale.

– Szukali śladów nasienia – wyjaśnił Milo.

Potem przyszła kolej na tenisówki. Milo wyjął wkładki i zajrzał do środka.

– Buty tego chłopaka, Ortiza, były przesiąknięte krwią, ale na wszelki wypadek sprawdzmy i te. Rozmiar sześć i pół. Wyprodukowane w Macao. No i proszę – nic, ani śladu krwi.

Na chwilę zatrzymał się przy kolejnym elemencie ubioru Irit – białym sportowym biustonoszu z bawełny – po czym wyjął ostatnią rzecz, białą koszulkę, którą widziałem na zdjęciach. Na plecach również widniały brązowe plamy z ziemi. Z przodu była czysta, na piersiach miała dwie kieszenie.

Milo włożył kciuk i palec wskazujący do pierwszej, zajrzał, po czym zerknął do drugiej i wyciągnął z niej maleńki kawałek papieru.

– Otóż, drogi Watsonie, mamy i ślad... „Sprawdzone przez numer 11”. Nagle odwrócił karteluszek i szczeka mu opadła.

Pośrodku starannie wypisano cztery litery.

DVLL

Tego wieczoru o dziesiątej weszliśmy do sali na tyłach baru przy Santa Monica Boulevard, cztery przecznice na zachód od komendy Mila. Rudowłosa kelnerka o przeciętnej twarzy wyglądała na uradowaną naszym widokiem, a kilkudolarowy banknot jeszcze bardziej poprawił jej humor.

Sala była tak duża, że bez trudu dałoby się tu wyprawić przyjęcie weselne. Ściany pokryto zieloną tapetą, a wzdłuż nich poustawiano długie ławy kryte skórą lub skajem. Na tle tapety wisiały urocze obrazy impresjonistów – ulice Paryża, dolina Loary i inne miejsca, w które gliniarze raczej nigdy nie pojadą. A właśnie jedynymi gośćmi byli tutaj trzech policjanci. Siedzieli w największym boksie na końcu sali.

Detektywi Willis Hooks i Roy McLaren z południowo-zachodniego Los Angeles pili mrożoną herbatę, a tęgi białowłosy mężczyzna dobiegający sześć dziesiątki sącył piwo. Miał na sobie dopasowaną sportową kurtkę, a pod nią czarną koszulkę polo.

Kiedy usiedliśmy w boksie obok nich, Milo przedstawił mi starszego mężczyznę jako detektywa Manuela Alvarado z komendy w Newton.

– Miło mi pana poznać, doktorze. – Głos miał łagodny, a skórę ciemną i szorstką jak rolnik.

– Dzięki, że wpadłeś, Manny. Wiem, że dzisiaj masz wolne w nocy.

– Żartujesz chyba, w życiu bym sobie nie darował, gdybym przegapił taką okazję. Poza tym w Saugus i tak nic się nie dzieje.

– Aż tam mieszkasz?

– Od piętnastu lat.

– Co tam można robić dla relaksu?

– Na przykład uprawiać ogródek.

– Kwiaty?

– Warzywa.

Ponownie pojawiła się kelnerka.

– Czy to już wszyscy? – zapytała.

– Tak jest – odparł Milo.

– Czy panowie zamówią coś do jedzenia?

– Niech pani przyniesie jakieś przekąski.

Gdy kelnerka oddaliła się, Milo zaczął:

– Panowie, ona najwyraźniej nas nie zna.

Wszyscy zebrani uśmiechnęli się.

– Twój telefon był największą niespodzianką od czasu, kiedy moja była żona powiedziała mi, że już jej się nie podobam – powiedział Hooks.

– Ja też byłem zaskoczony – odparł Milo.

Alvarado wyjął paczkę gumy do żucia i zaproponował wszystkim po kolei. Nikt nie skorzystał z oferty. Alvarado wyjął jeden listek i zaczął żuć.

– DVLL. Wspólny wątek, o którym nikt do tej pory nie słyszał.

– W naszym rejonie przepytaliśmy wszystkich gliniarzy zajmujących się gangami i wszystkich ludzi z opieki społecznej – oznajmił McLaren.

– To samo zrobiłem w zachodnim Los Angeles – dorzucił Milo. – Moi poprzednicy zwracali się wcześniej do FBI, więc zadzwoniłem i do nich. Ale nie znaleźli niczego w swoich bazach danych.

– Jeszcze raz przejrzałem swoją kopię akt tego Ortiza – powiedział Alvarado.

– Swoją kopię?

– Nie było oryginału, wrócił dopiero dzisiaj. Coś pochrzanili w archiwum. Na szczęście zawsze wszystko kseruję. W łazience, gdzie znaleziono moją ofiarę, nie było raczej żadnego napisu DVLL, a kazałem sfotografować dokładnie wszystkie ściany. Wciąż nie mogę dotrzeć do butów chłopca, ale nie pamiętam na nich żadnych napisów, tylko krew. Nie mogę więc powiedzieć, czy moja sprawa ma związek z waszymi.

– Poza tym u ciebie zginął chłopiec – powiedział Hooks.

– No i w przeciwieństwie do was nie znaleźliśmy ciała.

– Tutaj chyba nie ma żadnych reguł – rzekł Hooks. – Sam pomyśl – córka dyplomaty z zachodniego Los Angeles i kurewka ze slumsów.

Pokręcił ogoloną głową.

– To do niczego nie podobne. Zupełnie jak „Z archiwum X”. Coś z pańskiej branży, doktorze, nie? Jak pan myśli, co może znaczyć to DVLL? Chodzi o diabła, czy co?

– Niewykluczone – odrzekłem. – Mimo wszystkich różnic Latwinia i Irit mają też wiele wspólnego:

obie nieco opóźnione umysłowo, należały do mniejszości narodowych i były nastolatkami. Fakt, że zabójca wybiera na ofiary osoby upośledzone, wskazuje na to, że nie znosi słabości u innych, a może u siebie.

– Upośledzony morderca?

– Albo ktoś mający obsesję na punkcie siły i słabości. Dominacji. To może oznaczać, że w życiu jest bezradny naprawdę.

– Słabeusz morderca – zamyślił się McLaren, trzymając w wielkich dłoniach łyżkę.

– Raymond Ortiz też był upośledzony – zauważył Alvarado. – Ale skoro to chłopiec... zazwyczaj ci, którzy zabijają chłopców, nie biorą się za dziewczynki.

– Zazwyczaj ci, którzy zabijają dzieciaki ze slumsów, nie biorą się za bogate dzieci z West Side. A kiedy powieszą jedną ofiarę, nie zostawiają drugiej ułożonej na ziemi – powiedział Hooks. – Jeśli w tym jest jakiś wzorzec, to ja go nie dostrzegam.

Popatrzył na mnie.

– Może chodzi mu właśnie o umyślne unikanie jakichkolwiek wzorców – odparłem. – Żeby was przechytrzyć, panowie. Seryjni mordercy często kują na pamięć procedury policyjne, zbierają pisemka opisujące prawdziwe zbrodnie. To ich stymuluje. Dla naszego delikwenta to mógł być materiał szkoleniowy. Nauczył się zasad po to, żeby móc je złamać. Stosuje różne sposoby zabijania, przenosi się z okręgu do okręgu, zmienia inne powierzchowne elementy łamigłówek.

– Jak to powierzchowne? – zapytał Alvarado.

– W rzeczywistości bowiem wszystkie te zbrodnie są bardzo spójne – wyjaśniłem. – Chodzi o pozostawienie własnego znaku firmowego. Mordercy popełniający zbrodnie na tle seksualnym mają silną psychikę, dążą do zachowania pewnej struktury. W tym przypadku zabójca upodobał sobie upośledzone nastolatki i pozostawia napis DVLL. Może to być jakaś jego prywatna informacja albo rodzaj żartu, albo jedno i drugie. Na razie nie zostawia wyraźnego śladu. Tak ukrył te napisy, że w istocie nie mógł liczyć, że ktoś je znajdzie. To punkt dla nas. Nie wie, że ktoś dopatrzył się związku między tymi morderstwami.

– Żart – powtórzył Milo. – Prywatna gierka. Ten dupek to jakiś maniak gier.

– A te słowa „Sprawdzone przez numer 11” na karteczce, którą znalazłeś w kieszeni ofiary, Milo – były wcześniej wydrukowane, czy on sam je napisał? – zapytał McLaren.

– Wyglądają na wydrukowane wcześniej – odparł Milo – ale w czasach komputerów i drukarek trudno to stwierdzić na pewno. Wysłałem kartkę do laboratorium, może tam coś ustalą. Tak czy inaczej przyniósł ją ze sobą, bo DVLL wypisano innym krojem pisma. Zdaniem laboratorium pewnie wydrukowano na komputerze, a przecież nikt planujący zabójstwo nie targałby ze sobą komputera na miejsce zbrodni.

– Nigdy nic nie wiadomo – zauważył Hooks. – Pamiętajcie, że dzisiaj te diabelne laptopy są naprawdę małeńkie. Zdaniem naszego doktora facet robił zdjęcia. Skoro zatem wziął aparat, to dlaczego nie laptopa? Mógł przywieźć ze sobą cały samochód sprzętu.

– Furgonetkę – poprawił go Alvarado. – Te świry uwielbiają furgonetki.

– Właśnie – przytaknął Hooks.

– Zawsze szukam furgonetek – zwierzył się Alvarado. – Kiedy pracowałem nad sprawą Raymonda, całymi tygodniami sprawdzałem wszystkie furgonetki w okolicy: mandaty za niewłaściwe parkowanie, wszystko. Nie znalazłem zabójcy, ale trafiłem na kilka furgonetek urządzonych jak sypialnie na kółkach i na jednego kolesia, który miał w samochodzie kajdanki i sprzęt do włamań.

– No pewnie. Furgonetki i wielkie ciężarówki tranzytowe to podstawowe wyposażenie każdego zabójcy – wtrącił się McLaren. – Wcale bym się nie zdziwił, gdyby istniał jakiś katalog wysyłkowy, w którym zamawiają takie rzeczy.

– No dobra – przerwał im Milo – to DVLL jest dla niego ważne, ale nie jest jeszcze gotów, by się z tym afiszować.

– Albo jest początkujący i dopiero nabiera pewności siebie, albo też nigdy nie będzie się afiszował, bo jest zbyt wielkim tchórzem. Fakt, że wybiera słabe ofiary, wskazywałby na tchórzostwo – powiedziałem.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejdz, Sally – odezwał się Milo.

Kelnerka wtoczyła dwupoziomowy wózek pełen tac z najrozmaitszymi przystawkami. Smażone chińskie pierożki, smażone kawałki kurczaka, krewetki, jajka, wieprzowina, szaszłyki, a wszystko polane tłuszczem. Dostrzegłem nawet miniaturowe trójkąciki pizzy z pepperoni. Do tego miseczki z sosami w najrozmaitszych kolorach, nachos, precle, chipsy.

– Zestaw przystawek dla panów.

– Właściwie dlaczego nie – powiedział Hooks. – Przeszedłem dzisiaj z pięć metrów od baru do samochodu, więc spaliłem pewnie ze dwie kalorie.

Sally podała jedzenie i uzupełniła nasze kieliszki, szklanki i kufle.

– Na razie dziękujemy – powiedział Milo.

– Więcej już nie będę przeszkadzać – obiecała. – Jeśli będą panowie czegoś potrzebowali, proszę mnie zawołać.

Policjanci zabrali się do jedzenia i po chwili połowa przystawek zniknęła z talerzy.

– Uwielbiam to – stwierdził Hooks, podnosząc kurcze skrzydełko. – Czuję, jak cholesterol zatyka mi tętnice.

– Wróćmy do twojej sprawy, Manny – zwrócił się Milo do Alvarada. – Mówiłeś, że te buty gdzieś zginęły.

– Zgodnie z ewidencją są w magazynie dowodów rzeczowych, czyli tam, gdzie być powinny. Nie przejmowałbym się tym, Milo. To sprawa sprzed roku, w komendzie wciąż mamy problemy z magazynowaniem, wszystko ciągle gdzieś przenoszą. Jak tylko buty się znajdą, dam ci znać.

Milo skinął głową.

– Coś jeszcze?

– Kwestia Latwinii – odezwał się McLaren. – Znaleźliśmy mnóstwo mętów z ulicy, które ją znały. Trafiliśmy nawet na jakąś parkę, która przyznała się do jednego numerku z naszą ofiarą. Ale nie spotkaliśmy nikogo, z kim widywałaby się regularnie. Babka twierdzi, że Latwinia często sama wychodziła z domu w nocy. Najczęściej wystawała chyba przy tym wjeździe na autostradę, na którym kiedyś ją zatrzymano. Każdy mógł ją tam poderwać, na przykład jakiś facet z West Side dojeżdżający do pracy. Mógł zrobić z nią szybki numer w samochodzie albo furgonetce, a potem zawiózł na teren szkoły, żebyśmy nie wpadli na to, że zabójca jest z West Side.

Kiedy na dojazdach do autostrady robi się tłok, pojawia się tam sporo osób – naciągacze, handlarze owoców, kwiaciarki – ciągnął McLaren. – Wyobraźcie sobie korek samochodów i Latwinie biegającą półnago. Jakiś dowcipniś zaprasza ją do samochodu... Może zauważył to ktoś, kto również tkwił w korku. Miałem nawet zapytać, czy jakaś telewizja nie puściłaby jej fotografii, choć to niezbyt pasjonująca historia – kolejna panienka ze slumsów, której przydarzyło się nieszczęście. Ale dowiedziałem się o tej blokadzie.

– O jakiej blokadzie? – zaciekawił się Alvarado.

– Ojciec mojej ofiary pracuje w izraelskim konsulacie – wyjaśnił Milo. – Nalegają, by ze względów bezpieczeństwa nie dopuszczać do tego mediów. Mają mocne poparcie wierchuszki. Dzisiaj znów prosiłem mojego porucznika, żeby spróbował coś popchnąć, ale twierdzi, że rozkazy pochodzą prosto z biura burmistrza i lepiej trzymać się od tego z daleka.

– W takim razie wszyscy mamy knebel na ustach – stwierdził Hooks.

– Mnie to też dotyczy? – zapytał Alvarado. – Wciąż nie jestem przekonany, czy te sprawy są ze sobą powiązane.

– A co, chciałeś znów iść z tym do hiszpańskiej prasy? – zainteresował się Milo.

– Nie, chcę tylko poznać zasady. O jakie konkretnie względy bezpieczeństwa chodzi?

Milo zreferował obawy Izraelczyków.

– Teraz, kiedy mamy związek ze sprawą Latviii, nie wygląda mi to na zemstę terrorysty. Wyjaśniałem to mojemu porucznikowi, ale... – Zakrył sobie uszy.

– Oczywiście, że to nie terrorysta – powiedział McLaren. – To świr.

– Upośledzone dzieci – rzekł Hooks kręcąc głową.

– W takim razie, jaki mamy plan? – zapytał Alvarado.

– Nadal szukamy innych tropów i w razie czego jesteśmy w kontakcie – odparł Milo.

Alvarado skinął głową.

– Poszukam tych butów.

– Może nam się poszczęści i facet popełni jakiś błąd – westchnął Hooks.

– Nasz najlepszy przyjaciel: błąd człowieka – dorzucił McLaren.

– O ile mamy do czynienia z człowiekiem – zwrócił uwagę Milo.

Trzej detektywi wyszli, a Sally przyniosła Milowi rachunek. Dał typowy jak na gliniarza napiwek. Sally gotowa była go ucałować.

Włożył do kieszeni rachunek opłacony kartą kredytową, ale nie podniósł się od stołu. Kelnerka wyszła.

– I co o tym sądzisz?

– Co pięć głów, to nie dwie – odparłem.

– To przyzwoici faceci – powiedział Milo, marszcząc brwi.

– O co ci chodzi?

– Wciąż wracam myślami do tego, co mówiłeś na początku o Raymondzie Ortizie. Pierwsze morderstwo – gwałtowne. Jeśli to prawda, jesteśmy na początku serii zabójstw... DVLL. Co to, u diabła, może znaczyć?

– Jutro przejdę się do biblioteki uniwersyteckiej i poszperam w komputerze.

– Jasne... dzięki.

W szklance zostało mu jeszcze trochę mrożonej herbaty. Wypił ją do końca.

Zapytałem o męską toaletę.

Milo wskazał drzwi w kącie po prawej, na drugim końcu sali.

Otworzyłem je. Zobaczyłem automat telefoniczny i tylne drzwi z napisem WYJŚCIE AWARYJNE. Małą męską toaletę wyłożoną białymi kafelkami utrzymywano w nieskazitelnej czystości, w powietrzu unosił się słodki zapach środka dezynfekującego.

Od sporego, nieco uchylonego okna z łuszczącą się farbą ciągnęło świeże powietrze. Na zewnątrz usłyszałem odgłos uruchamianego silnika.

Nagle dostrzegłem na szybie świeże płatki farby. Okno otwarto niedawno.

Na tyłach restauracji biegła uliczka, którą właśnie wyjeżdżał samochód.

Furgonetka.

Jechała na zgaszonych światłach, lecz wycofując się, kierowca musiał przejechać pod lampą przy tylnych drzwiach.

Szary albo błękitny ford econoline ze znakiem firmy elektrycznej.

Podobny samochód widziałem dzisiaj po południu zaparkowany naprzeciwko domu Carmelich.

Kierowca furgonetki usiłował trzykrotnie zawracać w wąskiej uliczce. Wtedy zobaczyłem bok samochodu.

Próbowałem otworzyć szerzej okno, ale zaklinowało się. Wykręcając głowę, zdołałem jednak odczytać nazwę firmy.

HERMES ELECTRIC. USŁUGI BŁYSKAWICZNE.

Do tego logo ze skrzydlatym posłańcem i numer telefonu, którego nie udało mi się dostrzec w całości. Zauważyłem tylko kierunkowy 818.

„Furgonetka. Ci faceci uwielbiają furgonetki”.

Ford wykręcił. Przez przyciemniane szyby nie widziałem kierowcy.

Kiedy furgonetka zaczęła się oddalać, udało mi się zapamiętać wszystkie siedem cyfr z tablicy rejestracyjnej. Powtarzałem je na głos, gdy sięgałem po długopis i papierowy ręcznik.

Milo wstał tak gwałtownie, że aż potrącił stolik.

– Śledzi Carmelich? Jest aż tak bezczelny?

Popędził w stronę toalety i z hukiem otworzył tylne drzwi.

Na dworze było ciepło, a na uliczce śmierdziało zgniłymi warzywami. Słyszałem wycie syren, to prawdopodobnie radiowozy wyjeżdżające z komendy. Podałem Milowi papierowy ręcznik ze spisnymi informacjami.

– Hermes Electric – przeczytał Milo.

– Elektryk zazwyczaj nosi uniform. Jeden z tych anonimowych beżowych albo szarych kombinezonów, w których mógłby też uchodzić za pracownika parku. Elektrycy mają mnóstwo sprzętu. Kto by zauważył dodatkowy aparat rzucony gdzieś w furgonetce? Przypomniało mi się jeszcze coś, co mówiła mi Robin, kiedy odbudowywaliśmy dom. Ze wszystkich rzemieślników elektrycy są najbardziej precyzyjni. Perfekcyjniści.

– To by nawet pasowało – rzekł mój przyjaciel. – Krótkie spięcie i porażenie... Czy ta furgonetka stała przed domem Carmelich cały czas?

– Tak.

Szybko przeszliśmy przez restaurację, klucząc między gośćmi przy stołach. Nie oznakowany wóz

Mila stał przed budynkiem, w miejscu gdzie podjeżdżały samochody dostawców.

– Hermes – powiedziałem – bóg...

– ...szybkości. A więc mamy do czynienia z pieprzonym Szybkim Billem.

Za pomocą terminala w samochodzie Milo połączył się z bazą danych wydziału ruchu drogowego. Wpisał numer tablicy rejestracyjnej i po kilku minutach otrzymał odpowiedź.

– Chevrolet nova z siedemdziesiątego ósmego roku zarejestrowany na nazwisko PL. Almoni, zamieszkałego przy Fairfax. A więc ten dupek zmienił tablice. To mi wygląda coraz lepiej... Jędę prosto pod ten adres. Zdaje się, że to gdzieś między Pico a Olympic.

– Telefon na boku furgonetki zaczynał się od kierunkowego 818.

– A więc mieszka w Los Angeles, a pracuje gdzieś w Valley. Ma samochód prywatny i służbową furgonetkę. Kiedy chce nam zagrać na nosie, zmienia tablice... Almoni... To też może być izraelskie nazwisko, prawda?

Przytaknąłem.

– Coraz lepiej, nie powiem... No dobrze, zobaczymy, co na jego temat mają do powiedzenia stanowy i krajowy rejestr przestępstw.

Milo sprawdził obie bazy, ale nie znalazł żadnej wzmianki o Almonim. Uruchomił samochód i zaczął jechać.

– Ma czyste konto – stwierdził Milo. – Tak jak mówiłeś, jakiś cholerny nowicjusz... Zobaczymy, jak ten dupek mieszka. Chyba że chcesz iść do domu?

Serce waliło mi jak młotem, w ustach miałem sucho.

– Nie ma mowy.

Przy wschodniej części alei Fairfax, ciemnej i stosunkowo mało uczęszczanej, jedna przy drugiej widniały sfatygowane witryny. Wszystkie zamknięte – oprócz etiopskiej restauracji bez zasłon w oknach. W środku, nad stertą talerzy, siedziało troje ludzi.

Pod adresem Almoniego znajdował się szyld NOTARIUSZ, USŁUGI Kserograficzne, SKRZYNKI POCZTOWE DO WYNAJĘCIA. Wyszliśmy i zajrzeliśmy przez okno. Pod trzema ścianami stały rzędy skrzynek pocztowych, a z tyłu lada.

– Cholerne skrzynki pocztowe – denerwował się Milo. – W takim razie trzeba zlokalizować firmę.

Wróciliśmy do samochodu. Milo zadzwonił do informacji z rejonu Valley, słuchał przez chwilę, po czym zapytał: „Jest pani pewna?” i coś zapisał.

Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się kwaśno.

– Rzeczywiście, to centrala telefoniczna z rejonu Valley, ale firma mieści się pod adresem z kierunkowym 310. Holloway Drive w zachodnim Hollywood. Witamy w labiryncie, kochane szcurki.

Holloway Drive znajdowała się zaledwie o dziesięć minut jazdy samochodem od punktu ze skrzynkami pocztowymi. To bardzo wygodne dla tajemniczego pana Almoniego. Pojechaliśmy na zachód do La Cienega, potem na północ tuż obok Santa Monica Boulevard i skręciliśmy w lewo w cichą uliczkę zabudowaną eleganckimi domami. Większość pochodziła sprzed wojny, część skrywały wysokie żywopłoty. Przypuszczałem, że w jednym z takich domów mieszka Almoni.

Od Sunset Strip dzieliło nas zaledwie kilka kroków, ale Holloway Drive była doskonale osłonięta od światła i zgiełku bulwaru. Zauważyłem kobietę wyprowadzającą na spacer ogromnego psa. Oboje szli długimi pewnymi krokami. Między domami stała wciśnięta stara rezydencja w stylu śródziemnomorskim, przerobiona na prywatną szkołę.

Z powodu ciemności trudno było odczytać tabliczkę z adresem. Kiedy Milo szukał właściwego numeru, ja układałem w myślach notatkę prasową:

Niewiele wiadomo o Almonim, poza tym, że był cichym mężczyzną, jak twierdzą mieszkańcy tej luksusowej dzielnicy.

Nagle Milo zatrzymał się przy krawężniku.

Źle mi się wydawało, siedziba Hermes Electric znajdowała się w nowszym, dobrze oświetlonym dwupiętrowym budynku z nie otynkowanej cegły. Szklane drzwi zapraszały do jasnego holu pełnego luster.

Kilka kroków dalej znajdował się dom Ricka i Mila.

Milo myślał chyba o tym samym, bo zacisnął szczęki i wysyczał:

– Dobry wieczór, sąsiedzie.

Wysiedliśmy z samochodu. Milo spojrzał na zestaw znaków, którymi obwieszono latarnię. Jeden z nich głosił, że parkować można tylko za specjalnym pozwoleniem.

Milo położył na desce rozdzielczej policyjny znaczek.

– Nie sądzę, żeby to pomogło. Straż miejska z zachodniego Hollywood to najgorsze dranie.

Podeszliśmy do szklanych drzwi. Dziesięć skrzynek na listy, każda z guzikiem dzwonka.

Pod numerem sześć napis głosił: I. BUDZHYSHYN. SZKOŁA JĘZYKOWA HERMES.

– Nasz znajomy ma rozliczne talenty – powiedział Milo, zerkając na swego timeksa. – Prawie północ... to nie nasz rejon, nie mamy nakazu... ciekawe czy jest tu jakiś dozorca. O, proszę, numer dwa. Mam nadzieję, że nie lubi rano wstawać.

Przycisnął guzik z numerem dwa. Przez kilka chwil nic się nie działo, po czym w głośniku odezwał się szorstki męski głos.

– Słucham?

– Jesteśmy z policji. Przepraszamy, że niepokoimy o tak późnej porze, ale czy mógłby pan zejść na dół?

– Co?

Milo powtórzył mowę powitalną.

– A skąd mam wiedzieć, że naprawdę jesteście z policji? – zapytał dozorca.

– Kiedy zejdzie pan na dół, z przyjemnością pokażę panu odznakę.

– Jeśli to jakiś żart...

– To nie żart, proszę pana.

– W takim razie o co chodzi?

– O jednego z pańskich lokatorów...

– Wpadł w jakieś kłopoty?

– Proszę zejść do nas na dół.

– ...chwileczkę.

Pięć minut później w holu pojawił się mężczyzna dobiegający trzydziestki. Przecierał zaspane oczy. Młody, łysy, z lekkim brązowym wąsikiem i przyciętą kocią bródką. Miał na sobie workowatą szarą koszulkę, niebieskie szorty i kapcie. Białe nogi pokrywało jasne owłosienie.

Mrugając i wciąż przecierając oczy, patrzył na nas przez szklane drzwi. Milo wyjął odznakę, a facet z kocią bródką najpierw przypatrywał się jej, potem zmarszczył brwi i mruknął:

– Niech mi pan pokaże coś jeszcze.

– Świetnie, co za wybredny człowiek – mruknął Milo. Ciągłe uśmiechając się, pokazał służbową kartę kredytową. Nawet jeśli dozorca zorientował się, że komenda Mila nie obejmuje zasięgiem tego rejonu, nic nie dał po sobie poznać. Kiwając sennie głową, otworzył drzwi i wpuścił nas do środka.

– Nie rozumiem, dlaczego nie mogliście przyjść o przyzwoitej porze.

– Przykro nam, ale ta sprawa właśnie wypłynęła.

– Jaka sprawa? Kto ma kłopoty?

– Na razie to jeszcze nie kłopoty, ale chcielibyśmy zadać panu kilka pytań na temat pana Budzhyshyna.

– Pana Budzhyshyna?

– Tak...

Dozorca uśmiechnął się.

– Taki tu nie mieszka.

– Pod szóstką...

– Tam mieszka pani Budzhyshyn. Irina. I mieszka sama.

– Czy ma może narzeczonego, panie...

– Laurel. Phil Laurel. Tak, tak, tak jak Laurel i Hardy, czyli Flip i Flap. Nigdy nie widziałem jej z narzeczoną, nie wiem, czy się z kimś umawia. Prawie nigdy jej nie ma w domu. Miła cicha lokatorka, nie sprawia żadnych kłopotów.

– W takim razie gdzie przebywa, kiedy nie ma jej w domu, panie Laurel?

– Przypuszczam, że w pracy.

– A czym się zajmuje?

– Pracuje w towarzystwie ubezpieczeniowym, jest kimś w rodzaju inspektora. Nieźle zarabia, płaci czynsz w terminie. Więcej nic mnie nie obchodzi. A co się stało?

– Na skrzynce jest mowa o szkole językowej.

– Dorabia sobie po godzinach – wyjaśnił Laurel.

– Budzhyshyn. To Rosjanka? – zapytał Milo.

– Tak. Mówi, że w Rosji była matematyczką i uczyła na uniwersytecie.

– A zatem ta szkoła to taka lewizna.

Laurel się zmieszał.

– Tak naprawdę nie pozwalamy lokatorom na prowadzenie tutaj działalności gospodarczej, ale w jej przypadku to nic wielkiego, ot po prostu przychodzi tu w tygodniu kilku facetów. To bardzo spokojna osoba. I bardzo miła. I dlatego jestem pewien, że mają państwo niewłaściwe informacje...

– Facetów? Wszyscy jej uczniowie to mężczyźni?

Laurel potarł brodę.

– Zdaje się, że tak... a nie. – Roześmiał się, ukazując żółtkę od nikotyny zęby. – Nie, nie Irina. To śmieszne.

– O co chodzi?

– Sugerujecie, że to jakaś cali girl? Nie, nie ona. Nie pozwolilibyśmy na to, proszę mi wierzyć.

– Mieliście już jakieś kłopoty z cali girls?

– Nie w tym budynku, w innych, bardziej na wschód, tak, oczywiście... ale Irina nie jest taka.

– Pan jest właścicielem budynku?

– Współwłaścicielem. – Zerknął na podłogę. – Wraz z rodzicami. Przeszli na emeryturę i przenieśli się do Palm Springs, a ja zająłem się interesami, żeby im ulżyć. – Ziewnął. – Mogę już wrócić do łóżka?

– Czy pańska lokatorka prowadzi także firmę Hermes Electric? – zapytał Milo.

– O ile wiem, to nie... o co tutaj chodzi?

– A gdzie się mieści ta firma ubezpieczeniowa, w której pracuje?

– Gdzieś przy Wilshire. Musiałbym sprawdzić w jej aktach.

– A mógłby pan to dla nas zrobić?

Laurel stłumił kolejne ziewnięcie.

– Czy to naprawdę takie ważne? Dajcie spokój, co niby takiego miałyby zrobić?

– Jej nazwisko wypłynęło podczas jednego ze śledstw.

– W sprawie elektryków? Chodzi o jakiś przekręt budowlany? Niejedno mógłbym panom opowiedzieć o budowach. Wszyscy budowlańcy to łachudry, etos pracy już nie istnieje w amerykańskiej cywilizacji.

Przerwał. Milo uśmiechnął się, a Laurel potarł kozią bródkę i westchnął.

– No dobra, poczekajcie jeszcze chwilę, przyniosę teczkę. Wejdziecie do środka?

– Dziękujemy bardzo – odrzekł Milo. – Serdecznie dziękujemy za poświęcony nam czas.

Laurel poszedł szurając kapciami po podłodze, po czym wrócił z żółtą karteczką przyklepioną do palca jak maleńka flaga.

– Proszę. Pomyliłem się, to fundusz powierniczy, Metropolitan Title. Tak jak mówiłem, mieści się przy Wilshire. W podaniu wpisała: kierowniczka do spraw danych. Nie bardzo mnie cieszy, że przekazuję wam te informacje bez jej zgody, ale tyle możecie się dowiedzieć wszędzie.

Milo wziął od Laurela żółtą karteczkę i odczytał adres. Wilshire 5500, czyli gdzieś w okolicach La Brea.

– Dziękujemy panu. Teraz złożymy wizytę pani Budzhyshyn.

– O tej porze?

– Postaramy się nie hałasować. Laurel mrugnął oczami.

– I nie będzie żadnego... zamieszania ani nic takiego?

– Nie. Chcemy tylko porozmawiać.

Mała wyłożona lustrami winda skrzypiąc zabrała nas na drugie piętro. Wyszliśmy na żółty korytarz. Na każdym piętrze mieściły się dwa apartamenty. Numer sześć znajdował się po lewej stronie.

Milo zapukał. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo i już miał zastukać po raz drugi, kiedy nagle w judaszu mignęło światło. Pokazał odznakę policyjną.

– Policja, pani Budzhyshyn.

– Słucham?

– Policja.

– Słucham?

– Chcielibyśmy z panią porozmawiać.

– Ze mną? – Chropawy głos, wyraźny akcent.

– Tak, proszę pani. Czy mogłaby pani otworzyć drzwi?

– Panowie są z policji?

– Tak, proszę pani.

- Jest bardzo późno.
- Przykro mi, proszę pani, ale to bardzo pilna sprawa.
- Doprawdy?
- Proszę pani...
- Chcecie rozmawiać ze mną?
- O firmie Hermes Electric, proszę pani.

Klapka za judaszem opadła.

Drzwi się otworzyły.

Stała boso, ubrana w białą koszulkę Armaniego i czarne szorty. Solidnie zbudowana, około czterdziestu lat i niespełna stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu. Krótko przycięte brązowe włosy, twarz miła, dziesięć lat temu może nawet ładna. Mały, kartoflowaty nos ocieniał pełne usta.

Miała piękną cerę: różowe policzki na tle skóry o barwie kości słoniowej. Spod dokładnie wydepilowanych brwi spoglądały szare oczy, pełne ciekawości i niepokoju.

Otworzyła drzwi na szerokość bioder. Nad jej głową widać było ciemne wnętrze pokoju.

- Pani Budzhyshyn? – upewnił się Milo.
- Zgadza się.
- Z Hermes Electric?

Chwila przerwy.

- Ze szkoły językowej Hermes – odparła, wymawiając to jak „Hur-mez”. Uśmiechnęła się.
- Jakiś problem?
- No cóż, sami jesteśmy zaskoczeni – zaczął Milo. – Bo pani adres zgadza się z adresem firmy o nazwie Hermes.
- Naprawdę?
- Tak, proszę pani.
- To jakaś... pomyłka.
- Czyżby?

– Ależ oczywiście.

– A pan Almoni?

Odsunęła się od drzwi i przymknęła je nieco.

– Kto?

– Almoni. P.L. Almoni. Jeździ furgonetką zarejestrowaną na Hermes Electric. Niedaleko stąd ma skrzynkę pocztową.

Irina Budzhyshyn milczała. Potem wzruszyła ramionami.

– Nie znam go.

– Doprawdy? – Milo pochylił się do przodu i zbliżył stopę do szpary w drzwiach.

Znów wzruszyła ramionami.

– Pani ma firmę Hermes i on ma firmę Hermes, a jego telefon zarejestrowany jest pod tym adresem.

Milczenie.

– Gdzie jest Almoni?

Irina Budzhyshyn odsunęła się, jakby chciała zamknąć drzwi, ale Milo je przytrzymał.

– Jeśli pani go chroni, może pani mieć spore kłopoty...

– Nie znam tego pana.

– Ten człowiek nie istnieje? To fałszywe nazwisko? Po co pani narzeczonemu fałszywe nazwisko?

Milo wyszcze kiwał pytania niczym pies. Wargi kobiety pobie lały, ale nie odpowiedziała.

– Co tu jeszcze jest lipą? Pani szkoła językowa? Ta praca w Metropolitan Title? Czym się pani naprawdę zajmuje, pani Budzhyshyn? Albo sama nam pani powie, albo i tak się tego dowiemy, więc proszę sobie zaoszczędzić kłopotów i powiedzieć od razu.

Irina Budzhyshyn milczała.

Milo napa rł na drzwi, a kobieta westchnęła.

– Proszę wejść – powiedziała. – Porozmawiamy.

Włączyła lampę kształtem i kolorami przypominającą jakąś larwę. Salon podobny był do tysiąca

innych salonów: skromne wymiary, niski sufit, brązowa sztuczna wykładzina na podłodze, niepozorne meble. Składany stolik i trzy składane krzesła tworzyły jadalnię. Za białym blatem rozciągała się kuchnia wykończona w jasnym dębie.

– Proszę, usiądźcie, panowie – powiedziała, poprawiając krótkie włosy bez widocznego efektu.

– W porządku – rzekł Milo, patrząc na drzwi przesłonięte zasłoną z drewnianych koralików. Przez koraliki zauważyłem otwarte drzwi do łazienki. Wszystko pogrążone było w półmroku, na drzwiach do prysznicu wisiała bielizna.

– Ile tam dalej jest pokoi?

– Tylko jedna sypialnia.

– Jest tam ktoś?

Irina Budzhyshyn pokręciła głową.

– Jestem sama... Napiją się panowie herbaty?

– Nie, dziękuję. – Milo wyjął pistolet, odsłonił nim zasłonę z koralików i skierował w lewo. Irina Budzhyshyn stała bez ruchu. Nie patrzyła na mnie.

Po chwili Milo wrócił.

– W porządku, proszę opowiedzieć o Hermes Electric i panu PL. Almonim.

Tym razem nazwisko Almoniego wywołało uśmiech na jej twarzy.

– Muszę zadzwonić.

– Do kogo?

– Do kogoś, kto może odpowiedzieć na pańskie pytania.

– Gdzie jest telefon?

– W kuchni.

– Czy jest tam coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

– Mam broń – odpowiedziała spokojnie – w szufladzie koło lodówki, ale nie zamierzam pana zastrzelić.

Milo zrobił kilka kroków i wyjął pistolet. Chromowany automat.

– Naładowany.

– Jestem kobietą i mieszkam samotnie.

– Ma pani inną broń?

– Nie.

– A na strychu nie czai się pan PL. Almoni?

Roześmiała się.

– Co w tym śmiesznego?

– Ten człowiek nie istnieje.

– Skoro go pani nie zna, skąd może pani o tym wiedzieć?

– Proszę pozwolić mi zadzwonić, wtedy pan zrozumie.

– Do kogo pani dzwoni?

– Nie mogę panu powiedzieć, dopóki nie zadzwonię. Nie jest pan szeryfem z tego hrabstwa, więc nie muszę panu pomagać.

To było stwierdzenie faktu, a nie obrona.

– Przecież i tak nam pani pomaga.

– Owszem, bo to... praktyczne. Teraz zadzwonię. Może mnie pan obserwować.

Weszli do kuchni. Milo cały czas stał przy niej i zaglądał przez ramię, kiedy wystukiwała numer na klawiaturze telefonu. Powiedziała coś w obcym języku, przez chwilę słuchała, powiedziała coś jeszcze, po czym oddała mu słuchawkę.

Kiedy przyłożył ją do ucha, zacisnął szczęki.

– Co? Kiedy? – Teraz niemal ryczał. – Nie... Dobrze, w porządku. Gdzie?

Odłożył słuchawkę.

Irina Budzhyshyn wyszła z kuchni i usiadła na sofie z zadowoloną miną.

Milo spojrzał na mnie. Był czerwony na twarzy i cały spięty.

– To wicekonsul Carmeli. Mamy się z nim spotkać w jego biurze za kwadrans. Punktualnie. Może tym razem uda nam się przynajmniej przejść przez ten cholerny korytarz.

Kiedy podjechaliśmy pod konsulnat, na Wilshire było pusto. Nim wysiedliśmy z samochodu, przed nie oświetlonym wejściem do konsulatu pojawił się mężczyzna.

Obserwował nas przez chwilę, po czym stanął w świetle latarni. Młody człowiek w sportowej kurtce i spodniach. Szerokie barki, wielkie ręce – w jednej trzymał krótkofalówkę. Ciemne włosy miał przycięte bardzo krótko, tak jak strażnik siedzący w okienku w konsulacie. Niewykluczone, że był to ten sam mężczyzna.

– Zaprowadzę panów – powiedział głosem pozbawionym emocji.

Wyprzedził nas o kilka kroków, otworzył drzwi i przeszedł przez hol, w którym niosło się echo naszych kroków. W trójkę pojechaliśmy windą na szesnaste piętro. Strażnik wyglądał na znudzonego.

Drzwi otworzyły się i ujrzeliśmy za nimi Zeva Carmelego.

– *B seder* – powiedział. Młody mężczyzna został w windzie i zjechał na dół.

Carmeli miał na sobie ciemny garnitur i białą koszulę bez krawata. Czuć było od niego woń tytoniu. Zmoczył i przyczesał włosy, ale tu i ówdzie sterczały niesforne kosmyki.

– Tędy. – Odwrócił się na pięcie i zaprowadził nas pod te same białe drzwi do sali konferencyjnej. Tym razem przeszliśmy przez drugie drzwi, do biura podzielonego na boksy. Stały tam maszyny biurowe, dozownik z wodą, tablica korkowa pełna notatek i plakaty reklamujące biuro podróży, które widziałem przez okienko w recepcji. Jarzeniówki na suficie wyłączone, a pomieszczenie oświetlała tylko jedna narożna lampa. Nic nie wyróżniało tego pomieszczenia od tysięcy podobnych, w których codziennie rzesze ludzi urabiają sobie ręce po łokcie.

Carmeli szedł pochylony, wymachując rękami, aż dotarł do drzwi ze swoim nazwiskiem. Przekreślił klamkę i odsunął się na bok, żeby nas przepuścić.

Podobnie jak mieszkanie Iriny Budzhyszyn, biuro Carmelego było bez wyrazu. Niebieskie story zaciągnięte na oknach, cała ściana zabudowana pustawymi regałami z drewna i metalu, drewniane biurko na metalowych nogach, szara sofa i dwuosobowy fotel.

W fotelu siedział mężczyzna. Kiedy weszliśmy, wstał. Lewą rękę trzymał w kieszeni niebieskich dżinsów.

Mógł mieć od trzydziestu do czterdziestu lat. Prawie metr siedemdziesiąt wzrostu, około siedemdziesięciu kilo wagi. Nosił czarną nylonową wiatrówkę, błękitną koszulę i czarne sportowe buty. Krótkie, mocno kręcone czarne włosy zaczynały tu i ówdzie siwieć. Gładka skóra na szczupłej twarzy miała kolor kawy z mlekiem. Uwagę przyciągał duży nos i szerokie, wygięte w łuk usta. Jasnobrązowe, a właściwie złociste oczy spoglądały na nas spod długich rzęs i łukowatych brwi. Cała twarz była nieruchoma i nieprzenikniona.

Zapewne pochodził z Bliskiego Wschodu, choć równie dobrze mógł być Latynosem, Indianinem albo Mulatem.

Z jakiegoś powodu ta twarz wydała mi się znajoma... czyżbym gdzieś już go widział?

Napotkał mój wzrok i również zaczął się we mnie wpatrywać. Bez wrogości, po prostu przyglądał się mi, tak jak ja jemu. Spojrzenie miał sympatyczne, niemal przyjazne.

Nagle uświadomiłem sobie, że wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę. Ta neutralność w zachowaniu przywiodła mi na myśl test Rorschacha. [Test Rorschacha – test psychologiczny opracowany przez szwajcarskiego psychiatrę H. Rorschacha (1884-1922) polegający na tym, że badanej osobie pokazuje się standardowe kartki z czarno-białymi lub barwnymi plamami. Badany ma odpowiedzieć co mu sugerują te plamy. Następnie dokonuje się interpretacji i analizy tych odpowiedzi]

Przyglądał mu się też Milo, który jednak natychmiast skupił się na Carmelim, gdy wicekonsul usiadł za biurkiem.

Milo otworzył zaciśnięte do tej pory wielkie dłonie, zmuszając się do zachowania pozorów odprężenia. Przez całą drogę z Holloway Drive milczał i jechał o wiele za szybko.

Teraz bez pytania usiadł na sofie. Zrobiłem to samo.

Ciemny mężczyzna ze złocistymi oczami patrzył na nas albo mimo nas.

Wciąż miał tę samą nic nie mówiącą minę.

Nagle uświadomiłem sobie, gdzie go widziałem.

Kiedy odjeżdżaliśmy spod boiska, na którym zamordowano Latvinie Shaver. Odjechał jakimś niewielkim samochodem – szarą toyotą – tuż przed przybyciem ekip telewizyjnych. Miał na sobie uniform, taki jak woźny Montez.

W mojej głowie powstał kolejny obraz.

Ciemnoliczego mężczyznę w uniformie widzieliśmy także w rezerwacie, kiedy pojechaliśmy z Milem obejrzeć miejsce, gdzie zginęła Irit.

Wtedy miał na sobie kombinezon pracownika parku. Jeździł kosiarką. Na trawie stały foliowe worki pełne suchych liści.

Twarcz skrywał mu kask.

Śledził nas? Nie, w obydwu przypadkach był tam przed nami.

Oczekiwał nas?

Wyprzedzał nas o krok, bo miał dostęp do policyjnych informacji?

A może podsłuchiwał.

Milo powiedział, że nastawienie Carmelego nagle uległo zmianie. Stał się bardziej chętny do współpracy.

Skoro nas obserwował, wiedział pewnie, że Milo nie oszczędzał się i wziął się poważnie do roboty.

Skinąłem głową w stronę nieznanego, nie licząc na żadną reakcję, ale on odpowiedział tym samym gestem. Na wielkiej twarzy Mila wciąż malowały się gniew i ciekawość. Zev Carmeli wyciągnął papierosa i zapalił go. Nie poczęstował ciemnego mężczyzny. Wiedział, że nie pali. Znał jego nawyki.

Smagłolicy stał bez ruchu z lewą ręką w kieszeni.

Carmeli wypuścił kilka razy dym, odchrząknął i usiadł prosto.

– Panowie, to jest nadinspektor Daniel Sharavi z Izraelskiej Policji Narodowej, okręg południowy.

– Okręg południowy – powtórzył Milo bardzo cicho. – Co to oznacza?

– Jerozolima i okolice – wyjaśnił Carmeli.

– A więc na waszej mapie te okolice sięgają również południowej Kalifornii.

Sharavi usiadł wygodnie na fotelu. Wiatrówkę miał rozpiętą i pod rozchyłonymi połami widać było wąski, płaski tors. Nie dostrzegłem szelek na broń ani samej broni, a wypukłość w kieszeni nie mogła pomieścić nic więcej niż jego pięć palców.

– Kilka lat temu nadinspektor Sharavi prowadził zakrojone na szeroką skalę dochodzenie w sprawie serii zabójstw na tle seksualnym w okolicach Jerozolimy, tak zwaną sprawę Rzeźnika.

– Kilka lat temu – powtórzył Milo. – Musiało mi to umknąć.

– W Izraelu w zasadzie nie ma seryjnych morderców, panie Sturgis – powiedział Carmeli. – Rzeźnik był pierwszym w naszej historii. Jesteśmy małym krajem, więc sprawa nabrała rozgłosu. Rozwiązał ją nadinspektor Sharavi. Od tamtej pory nie powtórzył się podobny przypadek.

– Moje gratulacje – rzekł Milo do Sharawiego. – Musi być miło, kiedy się nie wie, co zrobić z wolnym czasem.

Sharavi ani drgnął.

– Nadinspektor Sharavi zna także Los Angeles, gdyż był w ekipie, która chroniła naszą drużynę w czasie rozgrywanych tutaj Igrzysk Olimpijskich. Chcielibyśmy, żeby panowie wspólnie z nim pracowali nad obecnymi morderstwami.

– Morderstwami – powiedział Milo niczym echo, wciąż patrząc na Sharaviego. – Mówi pan w liczbie mnogiej, nie chodzi już tylko o pana córkę. Zdaje się, że trzymacie rękę na pulsie.

Carmeli zaciągnął się papierosem i położył rękę na biurku.

– Zdajemy sobie sprawę z... rozwoju sytuacji.

– Nie wątpię – rzekł Milo. – A więc, gdzie założyliście podsłuch? W moim samochodzie? W telefonie na komendzie? W moim obcasie? We wszystkich tych miejscach?

Brak odpowiedzi.

– W moim domu pewnie też – powiedziałem. – Tej nocy, gdy włączył się alarm. Podsłuchując mnie, mieli dostęp do wielu informacji. Ale nadinspektor towarzyszył nam już znacznie wcześniej.

Spojrzałem Sharaviemu prosto w twarz.

– Widziałem pana dwukrotnie. Pod szkołą imienia T. Bookera Washingtona tego dnia, kiedy znaleziono ciało Latvini Shaver. I w rezerwacie, gdy pojechaliśmy z Milem obejrzeć miejsce zabójstwa. Jeździł pan kosiarką. W obu przypadkach miał pan na sobie kombinezon.

Sharavi zachował kamienną twarz i nie odezwał się ani słowem.

– Czy to nie interesujące? – powiedział Milo, również siląc się na spokój. W powietrzu czuło się napięcie grożące lada chwila eksplozją.

Carmeli palił szybko i mocno się zaciągał. Przerywał tylko na chwilę, by przyjrzeć się papierosowi, jakby ta czynność wymagała koncentracji.

– No cóż – rzekł Milo. – Miło jest poznać prawdziwego eksperta. Znanwcę ciemnych zaułków.

Sharavi wyjął rękę z kieszeni i położył na kolanie. Górną część dłoni pokrywała szarobrązowa blizna z głębokim dołem, jakby ktoś wydłubał z niej część ciała i kości. Kciuk Sharaviego był okaleczony i nienaturalnie zagięty. Przyjrzałem się pozostałym palcom: wprawdzie kciuk ocalał, ale z palca wskazującego pozostał tylko jeden kłykieć, a pozostałe trzy były obcięte, tak że zostało z nich ledwie trochę kości i brązowej skóry.

– Zacząłem zajmować się tą sprawą, zanim pan się pojawił, detektywie Sturgis – odezwał się Sharavi. Miał młodzieńczy głos, prawie zupełnie pozbawiony akcentu. – Mam nadzieję, że zapomnimy o tym i zaczniemy współpracę.

– Jasne, będziemy jak jedna wielka rodzina. Już panu ufam – ironizował Milo. Zakładał nogę na nogę, to znów ją zdejmował. W końcu pokręcił głową. – A więc, ilu złoczyńców przymknął pan tymi metodami rodem z filmów o Jamesie Bondzie?

– Nadinspektor Sharavi pracuje pod pełną dyplomatyczną ochroną – zaprotestował Carmeli. – Jest zabezpieczony przed wszelkimi pogrózkami i odpowiedzialnością prawną...

– Aha – powiedział Milo.

– A więc załatwione, panie Sturgis?

– Co?

– Porozumienie o współpracy i wymianie informacji.

– Wymianie – roześmiał się Milo. – O Chryste. Pokaż mi, co masz, a ja pokażę tobie? A jeśli się nie zgodzę?

Carmeli nie odpowiedział.

Sharavi udawał, że bada swoją okaleczoną rękę.

– Niech zgadnę, zadzwoni pan do burmistrza i będę musiał oddać tę sprawę, a zastąpi mnie jakiś dupek, który przystanie na wymianę – ciągnął Milo.

Carmeli zaciągnął się głęboko dymem.

– Zamordowano moją córkę. Spodziewałem się z pana strony bardziej dojrzałego zachowania.

Milo wstał.

– Oszczędzę panu kłopotu. Niech pan sobie znajdzie dojrzałego faceta, a ja zajmę się normalnymi sprawami, w których trafiam na normalne przeszkody. Dla pana to niewielka strata – skoro tak pilnie śledził pan nasze poczynania, wie pan zapewne, że nie poczyniłem zbyt wielkich postępów. Żegnam... *Szalom*.

Skierował się do wyjścia, a ja za nim.

– Wolałbym, żeby nadal zajmował się pan tą sprawą, detektywie Sturgis – powiedział Carmeli.

Milo zatrzymał się.

– Przykro mi, ale to się po prostu nie uda.

Wyszliśmy z gabinetu i doszliśmy już do drzwi w sali konferencyjnej, kiedy dogonił nas Carmeli. Milo przekręcił klamkę. Drzwi ani drgnęły.

– Centralny zamek blokuje cały apartament – wyjaśnił Carmeli.

– A więc mamy i porwanie? Zawsze mi się zdawało, że wyzwalaliście zakładników.

– Mówię poważnie, detektywie Sturgis. Chcę, żeby pan prowadził dochodzenie w sprawie morderstwa mojej córki. Powierzono panu to śledztwo przede wszystkim dlatego, że osobiście o to poprosiłem.

Milo zdjął rękę z klamki.

– Poprosiłem o pana – kontynuował Carmeli – bo sprawa utknęła w miejscu. Gorobich i Ramos są mili i dość dobrzy do rutynowych dochodzeń. Ale od samego początku wiedziałem, że to nie będzie rutynowe śledztwo i oni się nie sprawdzą. Mimo to dałem im czas. Bo wbrew temu, co pan uważa, nigdy nie było moim zamiarem blokowanie śledztwa. Chcę tylko znaleźć tego śmiecia, który zamordował moją córkę. Rozumie pan to? Rozumie pan?

Przysunął się bardzo blisko do Mila, tak jak Milo wielokrotnie czynił z podejrzanymi.

– Tylko to mnie obchodzi, panie Sturgis. Rozumie pan? Nic więcej. Gorobich i Ramos nie dostarczyli żadnych wyników, więc...

– Dlaczego pan sądzi, że...

– ...kazałem ich odsunąć i przekazać sprawę panu. Przeprowadziłem małe badanie. Sprawdziłem wydajność detektywów z zachodniego Los Angeles zajmujących się morderstwami i włamaniami. Chciałem się dowiedzieć, którzy unikają szybkich i łatwych spraw, a biorą się raczej za nietypowe dochodzenia. Wśród tych szukałem detektywa, który w ciągu ostatnich dziesięciu lat osiągał najlepsze wyniki. Takich danych policja w zasadzie nie udostępnia. Nie było to łatwe, ale mnie się udało. I proszę zgadnąć, panie Sturgis, co się okazało. To pańskie nazwisko wciąż przewijało się w wykazach. Rozwiązuje pan osiemnaście procent więcej spraw niż pana najbliższy konkurent, choć w rankingu popularności stoi pan znacznie niżej od niego. To dobrze, bo nie zakładam klubu towarzyskiego. W rzeczywistości...

– Nigdy nie widziałem podobnych zestawień...

– Jestem tego pewien. – Carmeli wyjął kolejnego papierosa i machnął nim niczym dyrygent pałeczką. – Oficjalnie one nie istnieją. A więc gratuluję. Wy grał pan. Bynajmniej nie pomoże to panu w karierze... Opisano pana także jako człowieka, któremu często brakuje ogłady i dobrych manier, kogoś, kto nic sobie nie robi z tego, co ludzie o nim myślą. Kogoś, kto potrafi rozpychać się łokciami.

Puf, puf.

– Są także w policji osoby, których zdaniem ma pan skłonności do agresji. Słyszałem o tym incydencie ze złamaną szczęką przełożonego. Doszedłem do wniosku, że miał pan moralne prawo tak postąpić, niemniej było to posunięcie głupie i impulsywne. Trochę mnie to niepokoiło, ale od ponad czterech lat niczego takiego pan nie zrobił i to mnie napawa nadzieją.

Przysunął się jeszcze bardziej do Mila i popatrzył mu prosto w oczy.

– To, że jest pan gejem, również dodaje mi otuchy, bo oczywiste jest, że niezależnie od tego jak liberalna chce się wydawać policja, niezależnie od tego co pan będzie robił, w pracy pozostanie pan pariasem, nigdy nie wejdzie pan do wąskiego kręgu najlepszych.

Znów zaciągnął się głęboko dymem.

– Wyżej pan nie zajdzie, Sturgis. Dla moich potrzeb to jednak wystarcza. Nie chcę kogoś mającego chrapkę na awans, kogoś ostrożnego, karierowicza, małpy pnącej się po szczeblach kariery i oglądającej się co chwila przez ramię, by chronić własny tyłek.

Zamrugął.

– Straciłem córkę. Nie mam ochoty na użeranie się z biurokracją. Rozumie pan? Rozumie pan?

– Jeśli chodzi panu o wyniki, dlaczego utrudnia mi pan dostęp do informacji...

– Nie, nie, nie – zaprotestował Carmeli. Palił i mrugając spoglądał przez obłok dymu. – Jeśli chodzi o wycucie mojej motywacji, nie jest pan tak przenikliwy, jak się panu wydaje. Niczego istotnego przed panem nie ukrywam. Gotów jestem przespacerować się nago po Wilshire Boulevard, gdyby to miało pomóc w ujęciu mordercy mojej Irit. Rozumie pan?

– Ja...

– W życiu raz jest się na wozie, raz pod wozem i nikt nie zna lepiej tego przysłowia niż Izraelczycy. Ale strata dziecka to zdarzenie nienaturalne, morderstwo dziecka zaś jest po prostu nie do zniesienia. Nigdy nie jest się na to przygotowanym. Nie można też wtedy pomóc tym, którzy... – Mocno pokręcił głową. – Nie chcę nikogo ugrzecznionego, Milo. – Powiedział do niego po imieniu, jakby to robił od lat. – Wręcz przeciwnie. Przyjdź do mnie i powiedz, że go znalazłeś, zastrzeliłeś albo poderżnąłeś mu gardło, a będę znacznie szczęśliwszy, Milo. Nie szczęśliwy, wesoły, pogodny czy pełen optymizmu. Nigdy taki nie byłem, już jako dziecko miałem pesymistyczny pogląd na świat. To dlatego palę sześćdziesiąt papierosów dziennie. To dlatego pracuję dla rządu. Ale będę szczęśliwszy. Częściowo zagoisz moje rany. Ukoisz ból.

Dotknął kłapy marynarki Mila, a mój przyjaciel pozwolił na to.

– Widziałeś moją żonę. Życie zawsze było dla niej trudne – małżeństwo ze mną, tłamszenie wszystkiego w sobie. Teraz nie chce już dłużej żyć w cieniu, godzić się na najbardziej nawet trywialne sprawy. Chodzi do pracy, wraca do domu i nigdzie z niego nie wychodzi, nie towarzyszy mi w moich obowiązkach. Choć wiem, że trudno ją za to winić, złość się. Kłócimy się. Moja praca pomaga mi od tego uciec, ale ona co dzień musi patrzeć na dzieci innych ludzi. Powiedziałem jej, żeby rzuciła tę pracę, ale nie chce. Nie przestaje się karać.

Carmeli zakołysał się na piętach.

– Poród Irit trwał trzydzieści trzy godziny. Pojawiły się komplikacje, potem Liora wciąż czuła się winna z powodu upośledzenia Irit, choć wywołała je kilka miesięcy później gorączka. Teraz ona czuje się... Kiedy wracam do domu, nie wiem, czego mogę się spodziewać. Uważasz, że potrzebny mi ktoś ugrzeczniony, Milo?

Puścił kłapę marynarki. Milo miał twarz bladą, jakby skapaną w księżycowej poświacie. Skórę wokół ust napiął tak mocno, że prawie zniknęły ślady po trądziku.

– Ten stres zaczyna zbierać swoje żniwo – mówił Carmeli. – Niektórych rzeczy nie da się już naprawić. Ale moje... Chcę wiedzieć. Pragnę rozwiązania tej sytuacji...

– Więc chce mnie pan wykorzystać w roli kata...

– Nie. Broń Boże. Proszę przestać czytać między wierszami, bo tam nie ma co czytać. Chcę po prostu wiedzy. Sprawiedliwości. Musisz przyznać, że to nie jest sprawiedliwe dla mnie i mojej rodziny. Ta dziewczyna na boisku szkolnym, być może ten biedny chłopczyk ze wschodniego Los Angeles. Dlaczego ten... potwór ma zabijać kolejne dzieci?

– Ostateczna sprawiedliwość? – zapytał Milo. – Ja go łapię, a pańscy chłopcy go wykańczają?

Carmeli odsunął się o krok, wyrzucił papierosa i zaczął szukać w kieszeni następnego.

– Będziesz miał swoją chwilę szaleństwa. Nikt nie lubi, kiedy patrzy mu się na ręce, a już zwłaszcza detektyw. Zapomnij jednak na chwilę o swoim ego i przestań się sprzeciwiać. – Zapalił papierosa. – Nagiędliśmy trochę prawo, żeby otrzymać pewne informacje – to prawda, ale teraz się przyznaliśmy. Jestem dyplomata, nie terrorystą. Widziałem już dzieła terrorystów i dlatego szanuję prawo. Złap tego śmiecia i postaw go przed obliczem sądu, Milo.

– A jeśli nie będę mógł?

– Wtedy zmniejszy się twój wskaźnik wykrywalności przestępstw, a ja będę musiał znaleźć inne rozwiązanie.

Milo patrzył na Carmelego, który zaciągnął się dymem i stukał stopą o podłogę. Jego oczy świeciły dzikim blaskiem. Zdał sobie chyba z tego sprawę, bo przymknął je.

Kiedy je otworzył, wyglądały jak martwe. Przeraził mnie widok jego twarzy.

– Jeśli mi odmówisz, Milo, nie będę się mścił i dzwonił do burmistrza ani do nikogo innego ze skargami na ciebie. Zemsta to sprawa osobista, a ja osobiście nic do ciebie nie mam. Jesteś dla mnie tylko środkiem do osiągnięcia celu. Powinieneś podejść do tego w taki sam sposób. Myśl o mnie jako o biurokratycznym idiocie, przeklinaj mnie co rano za podsłuchiwanie twoich rozmów. Przeżyj te obelgi. Tylko czy twoja opinia o mnie jest równoznaczna z tym, że sprawa morderstwa Irit nie zasługuje na to, by poświęcić jej wszystkie siły?

– O to właśnie chodzi, panie Carmeli. Pan osłabia moje siły.

– Nie. Nie zgadzam się z tym. Nie zgadzam się absolutnie, a gdy uczciwie spojrzysz na całą sytuację, będziesz musiał przyznać mi rację. Jeśli buty małego Ortiza zostawiono na komendzie po to, by zyskać rozgłos, to czy zapewnienie rozgłosu temu śmieciowi pomogłoby rozwiązać sprawę? Sam pomyśl.

Przez chwilę szukał popielnicy. Znalazł jedną w pobliskim boksie i szybko strzepnął do niej popiół.

Pomyślałem o naszej rozmowie w kuchni, którą podsłuchiwał Carmeli. Snułem moje teorie, a Milo opowiadał o przepisach.

Carmeli stał twarzą w twarz z Milem, oddalony zaledwie o kilka centymetrów. Papierosa trzymał tuż przy jego nogawce.

– Proszę posłuchać – rzekł Milo – nie będę robił z tego wielkiej afery, bo wiem, przez co pan przeszedł. Ma pan do tego pełne prawo. Ale ani z powodu pańskiej wściekłości, ani tego, kim pan jest, nie pozwolę panu kontrolować śledztwa. To nie pana teren. Nie wie pan, co pan robi.

– W porządku.

– Kłopot w tym, panie Carmeli, że natchnienie jest tylko niewielką częścią mojej pracy, znacznie więcej trzeba wylać z siebie potu. Jeśli rozwiązałem trochę więcej spraw niż inni, to dlatego, że próbuję się skoncentrować na pracy. A pan mnie rozprasza. Od samego początku próbował pan straszyć mnie przełożonymi. Teraz ta dziecinada w stylu Jamesa Bonda. Zmarnowałem wiele godzin, goniąc za pańskim chłoptasiem, zamiast szukać mordercy Irit. A teraz każe mi pan go wziąć i...

– To nie rozkaz, lecz prośba. Zresztą on może panu pomóc. To bardzo zdolny detektyw...

– Nie wątpię – odparł Milo. – Ale jedna rozwiązana sprawa w kraju, który nie słynie z przemocy, nie ma nic wspólnego z tym, czym zajmujemy się tutaj. A teraz muszę zmarnować jeszcze więcej czasu, żeby poszukać, gdzie nadinspektor powtykał swoje cholerne pluskwy...

– Niekoniecznie – odezwał się Sharavi cichym chłopięcym głosem. Nie słyszałem, jak wychodził z gabinetu. Stał w korytarzu z rękaw kieszeni. – Powiem panu dokładnie, gdzie je umieściłem.

– Świetnie – powiedział Milo, odwracając się do niego. – To bardzo pocieszające. – Obdarzył izraelskiego policjanta spojrzeniem pełnym niesmaku.

– Nie mieliśmy złych zamiarów, Milo – rzekł Carmeli. – W końcu chcieliśmy się z wami skontaktować...

– W końcu, czyli kiedy?

– Nie podsłuchiwaaliśmy was z powodów osobistych. Jeśli musicie kogoś obwiniać, niech to będzie ja. Nadinspektor Sharavi przyjechał akurat do USA w innej sprawie i to ja ściągnąłem go do Los Angeles, bo Gorobich i Ramos nie posuwali się naprzód. Rozmawiali ze mną, ale niczego mi nie mówili. Na pewno wiecie, co mam na myśli.

Milo nie odpowiedział.

– Potrzebowałem jakiegoś punktu wyjścia – ciągnął Carmeli. – Podstawowych informacji. Postawcie się w mojej sytuacji, czy możecie szczerze powiedzieć, że postąpilibyście inaczej? Plan był taki, że gdyby nadinspektor Sharavi w końcu na coś trafił, byłibyście pierwszymi...

– W końcu? A gdyby doktor Delaware nie zauważył furgonetki w zaułku? Czy kiedykolwiek

dowiedzielibyśmy się o tym wszystkim? – Milo spojrział na Sharaviego. – Spieprzyłeś sprawę, co, Jamesie Bondzie?

– Tak – odparł Izraelczyk.

Milo pokręcił głową.

– Zamiana tablic, skrzynka pocztowa, fałszywa nauczycielka języków. Kim jest Irina? Agentką specjalną na waszych usługach, czy po prostu wolnym strzelcem? I kim, u diabła, jest P.L. Almoni?

Carmeli uśmiechnął się i spróbował zasłonić uśmiech dłonią.

– Mój błąd – przyznał się Sharavi. – Nie doceniłem daru obserwacji doktora Delaware’a.

– Nie doceniając doktora Delaware’a, daleko nie zajedziecie – powiedział Milo. – To spec od szczegółów, potrafi wychwycić najdrobniejsze niuanse.

– Oczywiście, przecież to on sugerował zajęcie się sprawą DVLL – przyznał Sharavi.

– To nasz pierwszy poważny przełom – dorzucił Carmeli, machając papierosem. – Wreszcie. Zaczęliśmy przeszukiwanie wszystkich naszych baz danych. Tutaj, w Izraelu, w Azji, Europie. Mamy możliwości, których wy nie macie. Jeśli nam się uda – i nie kłóćmy się o to, kto pierwszy...

– Dowiedzieliście się już czegoś z tych swoich baz danych? – przerwał mu Milo.

– Jeszcze nie, ale im większa sieć...

– Czasami im większa sieć, tym większe ma oka, panie Carmeli. – Odwrócił się do Sharaviego. – Proszę mi powiedzieć, nadinspektorze, czy ta rozmowa też jest nagrywana?

Sharavi uniósł brwi i zerknął na Carmelego.

– Nie, wyłączyliśmy wszystkie magnetofony. Ale nagrywane było nasze pierwsze spotkanie – wyjaśnił wicekonsul.

Milo zmusił się do nikłego uśmiechu. Przeczucie go nie myliło.

– Od tej pory – ciągnął Carmeli – masz moje słowo, Milo, że nie będziemy cię śledzić bez twojej...

– O ile przyjmujemy, że będzie jakieś „od tej pory” – wtrącił Milo.

– Naprawdę jesteś aż tak zadufany w sobie? – zdziwił się Carmeli i spojrział na mnie. – Kiedy mówię do Mila, zwracam się także do pana, doktorze. Sądząc po tym DVLL i dwóch innych morderstwach, z pewnością mamy do czynienia z psychopatycznym zabójcą, a więc potrzebna nam będzie pomoc psychologa. Nie próbuję skłócić pana z Milem, ale niezależnie od tego, co on postanowi, konsulat izraelski gotów jest wynagrodzić pański stracony czas po bardzo korzystnych

stawkach. Konsulat pragnie zaoferować panu wszelką pomoc, jesteśmy do pana usług...

– Wszelką pomoc? – zdziwił się Milo. – Chce pan powiedzieć, że cała pańska placówka zajmuje się tą sprawą?

– Oczywiście. Od samego początku.

– Ma pan takie możliwości? Jako dyrektor do spraw socjalnych? Z licencją na dożywianie?

– Moja praca polega na organizowaniu – wyjaśnił Carmeli. – Organizuję różne sprawy.

Milo i Carmeli patrzyli sobie w oczy. Żaden z nich nie chciał pierwszy odwrócić wzroku. W końcu Carmeli skapitulował.

– Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. – Szybko wrócił do swojego gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

– Jak się stąd wydostać? – zapytał Milo Sharaviego.

Sharavi sięgnął za stojak z wodą i usłyszeliśmy kliknięcie. Kiedy Milo ruszył do drzwi, Sharavi odezwał się:

– Obiecałem mówić wam wszystko, więc powiem coś ważnego: ktoś napisał długopisem DVLL na prawym bucie Raymonda Ortiza. Małymi literami, ale dają się odczytać nawet pod warstwą krwi.

Milo znów zacisnął pięści i wykrzywił twarz w nienaturalnym bazyliżkowatym grymasie.

– A więc masz je.

– Nie, są w magazynie dowodów na komendzie w Newton. Część krwi już się złuszczyła, zdaje się, że specjalnie nałożono cienką jej warstwę. Najprawdopodobniej zrobiono to pędzelkiem, bo widać ślady pociągnięć. Ale kiedy wie się, czego szukać, litery widać wyraźnie.

– Pędzelek – powiedział Milo.

– Malowanie krwią dziecka – szepnął Sharavi patrząc na mnie. – Może uważa się za artystę.

Milo zaklął po cichu.

– Intryguje mnie jedno – rzekł Izraelczyk – najpierw wykonano napis, a krew nałożono później. A więc nawet wtedy, jak podkreślił doktor Delaware, był impulsywny. Te litery, zostawianie wiadomości, coś dla niego znaczy i jest to przemyślane działanie. Zawsze ma dokładny plan.

– Co jeszcze cię intryguje? – zapytał Milo.

– Te same elementy, o których i wy wiecie. Rozmaitość wykorzystanych metod, ułożenie zwłok, geograficzne rozproszenie, niekonsekwencja co do płci: dwie dziewczynki, jeden chłopiec. Brak schematu, który ma nas wytrącić z równowagi, a mimo to jednak jest w tym jakaś prawidłowość, jak zasugerował doktor Delaware. Na pewno powtarza się upośledzenie umysłowe, więc może DVLL ma coś wspólnego właśnie z tym albo w ogóle z inwalidztwem. D jak defekt. Diabły z defektem albo coś takiego.

Wyjął niesprawną rękę i spojrzał na nią.

– Dopóki nie pojawił się związek między sprawą Irit a morderstwem tej Shaver, byłem

sceptycznie nastawiony do teorii doktora Delaware'a. Nawet teraz mam wrażenie, że te sprawy nie są ze sobą powiązane.

– Nie są powiązane? Jak to? – zapytałem.

– Nie wiem. – Twarz Sharaviego stężała i wokół oczu pojawiły się zmarszczki. – Moja opinia nie na wiele się tu przyda. Zajmowałem się tylko jednym seryjnym zabójcą. W Izraelu uchodzę za eksperta, ale tutaj... – Wzruszył ramionami.

– Jak zdobyłeś ten but? – dociekał Milo.

– Nie zdobyłem, dotarłem do niego. Proszę, nie pytajcie o to więcej.

– Dlaczego?

– Bo i tak wam nie powiem.

– I to jest ta otwartość, co?

– Od teraz tak. Buty należą do przeszłości. Macie na głowie trzy zabójstwa, może więcej. Po co się grzebać w tej sprawie?

– Więcej?

– Zważywszy na to, jak subtelne są te znaczki, mogły być też inne napisy DVLL, których nie zauważono. Nie sądzicie?

Milo nie odpowiedział.

– Rozumiem, że mi nie ufacie – powiedział Izraelczyk. – Na waszym miejscu czułbym pewnie to samo.

– Niech pan sobie daruje to współczucie, nadkomisarzu. To sfera doktora Delaware'a.

Sharavi westchnął.

– W porządku, a podsłuch usunąć jeszcze dziś czy jutro?

– Gdzie są mikrofony?

– Wszystkie w domu doktora Delaware'a.

– I gdzie jeszcze?

– Tylko tam.

– Dlaczego mam ci wierzyć?

– Fakt, nie masz powodu, by mi wierzyć – odparł Sharavi. – Tyle tylko, że ja nie mam żadnego interesu w tym, żeby was oszukiwać. Sprawdźcie sami. Dostarczę wam sprzęt do wykrywania podsłuchu.

Milo machnął ręką.

– Ile mikrofonów założyłeś u doktora Delaware’a?

– Cztery. W słuchawce telefonu, pod kanapą w salonie, pod stołem w jadalni i pod stołem w kuchni.

– I to wszystko?

– Jeśli mi nie wierzysz, podłącz mnie do wykrywacza kłamstw, może poczujesz się lepiej.

– Wykrywacz można oszukać.

– Jasne – odparł Sharavi. – Udaje się to psychopatom z niezwykle niskim progiem emocjonalnym. Nie jestem psychopatą. Pocę się jak każdy człowiek.

– Naprawdę?

– Przez cały czas. No dobrze, mam odłączyć podsłuch, czy zrobicie to sami? To nic skomplikowanego. Cztery małe czarne krążki, które same odskakują.

– Dokąd przekazywany jest sygnał?

– Do telefonu u mnie w mieszkaniu.

– Co tam jeszcze masz?

– Skaner policyjny, rozmaity sprzęt...

– Skaner z podsłuchem częstotliwości taktycznych?

Sharavi przytaknął.

– Co jeszcze?

– To co zwykle. Faks, komputery.

– Ma pan dostęp do wszystkich policyjnych baz danych? Do banku informacji o kierowcach, o przestępcach? – zapytałem.

– Tak.

– Przestępców stanowych też?

– Tak. – Odwrócił się do Mila. – Wiem, że napracowałeś się, sprawdzając wszystkie alibi...

– Z kim jeszcze pracujesz oprócz pani nauczycielki „angijskowo jazyka”?

– Pracuję zupełnie sam. Irina jest pracownicą konsulatu.

– Ginie córka wielkiej szyszki i przysyłają tylko jednego faceta?

– Mają tylko mnie – rzekł Sharavi. – Oczywiście do tego zadania.

– Jaką pozycję ma tu Carmeli?

– Jest uważany... za bardzo utalentowanego.

– Co to była za sprawa z tym Rzeźnikiem?

– Psychopata seksualny, pedantyczny, wszystko dokładnie planował. Z początku mordował tylko Arabki, które uciekały z domu, i prostytutki, ale potem zaczął wybierać ofiary nie tylko z marginesu: kobiety, które odchodziły od mężów i pozostawały poza nawiasem społeczeństwa. Zjednywał sobie ich zaufanie, ogłuszał, a następnie ćwiartował i porzucał ciała na wzgórzach wokół Jerozolimy. Czasami szczątkom towarzyszyły strony z Biblii.

– Kolejny maniak komunikatów – stwierdziłem. – Co chciał przekazać?

– Nie mieliśmy okazji go przesłuchać, ale podejrzewamy, że chodziło o jakieś treści rasistowskie, być może chciał wywołać wojnę między Arabami a Żydami. Na bieżąco informowaliśmy o wszystkim FBI. Jeśli chcecie, dostaniecie od nich wyciąg z bazy danych VICAP.

– Nie miałeś okazji go przesłuchać, to znaczy, że zginął, tak? – upewniał się Milo.

– Tak.

– Wjaki sposób?

– Ja go zabiłem. – Mrugnął złocistymi oczami. – W samoobronie.

Milo spojrzał na niesprawną rękę Izraelczyka. Sharavi podniósł ją i bezwładne ciało zakołysało się.

– Nie wszystko jest jego zasługą. Częściowo niesprawny byłem już po wojnie sześciodniowej. Ale Rzeźnik pozbawił mnie resztek władzy w ręce. Wolałbym go schwytać żywego, aby czegoś się od niego dowiedzieć, ale... – Kolejne mrugnięcie. – Kiedy ta sprawa już się skończyła, przeczytałem chyba wszystko, co napisano na temat podobnych mu ludzi. Nie było tego wiele. FBI dopiero rozpoczynało program VICAP.

Teraz potrafią nawet sporządzić profil zabójcy, lecz doktor Delaware ma rację mówiąc, że profile opierają się wyłącznie na tym, co wydarzyło się kiedyś. A jeśli jakiś mądrała też się naczyta tego

wszystkiego i wykorzystaj te informacje przeciwko nam?

– Nam? – zdziwił się Milo.

– Policjantom. W tych zabójstwach jest jakiś... brak spontaniczności, nie sądzicie?

– Samoobrona – rzekł Milo. – A więc teraz sprowadzono cię, żebyś „bronił się” przeciwko temu facetowi.

– Nie – zaprzeczył Sharavi. – Nie jestem płatnym zabójcą. Sprowadzono mnie tu, abym przyjrzał się sprawie śmierci Irit Carmeli, bo konsul Carmeli pomyślał, że mogę się przydać.

– A konsul Carmeli dostaje to, czego chce.

– Czasami.

– Mówiłeś, że byłeś w Stanach. Gdzie?

– W Nowym Jorku.

– Czym się zajmowałeś?

– Ochroną w ambasadzie.

– Znow samoobrona?

– Ochrona.

– Doskonale mówi pan po angielsku – zauważyłem.

– Moja żona jest Amerykanką.

– Przyjechała tu z tobą? – zapytał Milo.

Sharavi roześmiał się cicho.

– Nie.

– Skąd pochodzi?

– Z Los Angeles.

– Sporo tych związków z Los Angeles – stwierdził Milo.

– Kolejny punkt dla mnie. Mam usunąć podsłuch?

– Podsłuchiowano cię kiedyś?

– Prawdopodobnie tak.

– Nie przeszkadzało ci to?

– Nikt nie lubi, gdy narusza się jego prywatność – odparł Sharavi.

– Macie do tego smykałkę, nie? Gadżety, najlepsza ochrona, kosmiczna technika. Ale mimo tych wszystkich zabezpieczeń spod znaku Mossadu wasz premier zginął, prawda?

– Prawda – przyznał Sharavi. – Mimo tego wszystkiego zginął.

– To było intrygujące – ciągnął Milo. – Nie jestem zwolennikiem spiskowej teorii dziejów, ale zacząłem się zastanawiać: facet strzela Rabinowi w plecy z odległości pół metra. Następnego dnia w telewizji pokazują film, na którym facet na kilku wiecach tak wyzywa Rabina, że aż musi interweniować ochrona. W kilka godzin po zamachu zabójca i jego kompani zostają zgarnięci przez policję. A zatem był dobrze znany władzom, a mimo to ochrona przepuściła go w pobliże celu.

– Interesujące, prawda? – powiedział Sharavi. – A co ty o tym sądzisz?

– Ktoś nie lubił szefa.

– Są tacy, którzy przyznaliby ci rację. Inna teoria głosi, że nawet doświadczonym ochroniarzom nie przyszło do głowy, że Żyd mógłby się okazać zamachowcem. Jeszcze inna mówi, że pierwotnie zamierzano strzelać ze ślepek, w celu publicznej manifestacji, ale w ostatniej chwili zamachowiec zmienił zdanie. Tak czy inaczej jest to narodowa hańba. Mnie bolało to tym bardziej, że zabójca jest pochodzenia jemeńskiego, tak jak ja... Mam zdjąć mikrofony teraz czy później? A może wolicie sami to zrobić?

– Później – odpowiedział Milo. – Wolałbym najpierw obejrzeć twoje mieszkanie.

Sharavi był zaskoczony.

– Dlaczego?

– Chcę zobaczyć, jak mieszkają ci, co się znajdują na technice.

– A więc będziemy współpracować?

– A mam jakiś wybór?

– Zawsze jest jakiś wybór – odparł Izraelczyk filozoficznie.

– W takim razie ja wybieram teraz wizytę u ciebie. Jeśli i na to się nie zgodzisz, będę wiedział, na czym stoimy.

Sharavi dotknął ust zdrową ręką i popatrzył na Mila. Zdziwione oczy wyglądały niewinnie.

– Jasne, dlaczego nie – odparł.

Podał nam adres: numer 1500 przy Livonia. Poprosił nas, byśmy sami wyszli, a potem pojechali do niego. Po chwili wszedł za przepierzenie i zniknął.

Jechaliśmy na południe po La Cienega w stronę Olympic. Mijaliśmy jedną zaciemnioną restaurację po drugiej.

– Wykorzystuje tę rękę jak rekwizyt – odezwał się Milo.

Niepełnosprawny detektyw na tropie mordercy niepełnosprawnych ofiar. Dla niego ta sprawa może mieć zupełnie inny wymiar.

– Sądzisz, że mimo tego, co mówi, przysłano go tutaj, żeby posprzątał ten bałagan?

– Nie wiem.

– Tak między nami mówiąc, Alex, to wcale nie byłoby takie złe. Złapalibyśmy drania, Izraelczycy by go załatwili i obyło by się bez mediów, bez tego całego cyrku i cholernych prawników. A Carmeli i Bóg wie ilu jeszcze rodziców może poczuliby ulgę.

Roześmiał się.

– Ależ ze mnie stróż porządku. Rządy prawa. Ale ktoś, kto robi takie rzeczy upośledzonym dzieciom... – Zaklął. – Malowanie krwią. DVLL w bucie. A więc Raymond też należy do tej serii. Martwi mnie tylko, że trafiliśmy na tę sprawę wyłącznie dzięki dużemu szczęściu. I twojemu sokolemu wzrokowi.

Roześmiał się, a mnie coś ukłuło.

– O co ci chodzi?

– Czy w swoich lekturach natknąłeś się kiedyś na tę sprawę Rzeźnika?

– Nie.

– Sprowadzili sobie mistrza jednego śledztwa. – Przetarł dłonią twarz i zerknął na zegar w desce rozdzielczej. – Jezu, już po drugiej. Robin będzie się martwić.

– Mam nadzieję, że śpi. Kiedy wychodziłem na spotkanie z policjantami, mówiłem, że wrócę późno.

– Liczyłem na jakieś postępy w śledztwie.

– No i w pewnym sensie się udało.

– Będziesz dalej prowadził tę sprawę, nawet jeśli oznacza to konieczność współpracy z Sharavim?

– Nie sądzisz chyba, że powinienem się wycofywać tylko dlatego, że Carmeli ma bzika na punkcie sprawowania kontroli. Schowam swoją dumę do kieszeni. Facet stracił córkę, pociąga za każdy możliwy sznurek. Czy na jego miejscu zachowywałbym się inaczej? Na pewno nie. Poza tym, teraz już nie chodzi tylko o Irit.

– Jest jeszcze coś – powiedziałem. – Pracując z Sharavim, możesz skorzystać z jego pomocy. Z tych zasobów, o których mówił Carmeli.

– Tak. Wszelkiej maści szpiegowskie zabawki. Ale najpierw musimy mieć kogo śledzić.

Jechaliśmy na południe po Robertson. Przy Cashio Milo skręcił w prawo i znów się roześmiał.

– Zresztą, kto lepiej niż ja nadaje się do rozwiązania tej łamigłówki? Przecież mam najlepszą skuteczność w wykrywaniu przestępstw w całym zachodnim Los Angeles.

– Osiemnaście procent więcej niż konkurencja – przypomniałem. – No, no, no.

– Mama zawsze mi powtarzała, że wysoko zajdę.

– Mama wie najlepiej.

– Tak naprawdę mówiła: „Milo, kochanie, dlaczego całymi dniami przesiadujesz w pokoju i nigdzie nie wychodzisz? A co się stało z tą miłą dziewczyną, z którą chodziłeś?”

Livonia była pierwszą przecznicą odchodzącą na zachód od Robertson. Aby dojechać do numeru 1500, należało skręcić w lewo. Milo jechał powoli.

– Niecałe dwa kilometry od domu Carmelego – zauważyłem. – Może szef wpada tu po raporty.

– Pewnie tak. Dlatego zmienił się stosunek Carmelego do nas. Sharavi powiedział, co robimy, albo puścił mu nagrania z podsłuchu.

– Pozdrowienia od Wielkiego Brata – rzekł Milo. – Ciekawe czy sąsiedzi wiedzą, że obok mieszka James Bond z Mossadu.

Sąsiedzi mieszkali w małych hiszpańskich domkach liczących sobie po siedemdziesiąt lat. W podobnym mieszkał Sharavi. Różowego bungalowu Izraelczyka prawie nie było widać zza pokręconych krzewów jałowca. Przed domem rozciągał się niewielki trawnik wygolony niemal do gołej ziemi. Na podjeździe stała ta sama toyota, którą widziałem przy szkole. Drewniane drzwi wejściowe oświetlała na żółto lampa na werandzie. Do framugi przybito małą mezuzę z drzewa oliwnego. Nim zdążyliśmy zadzwonić, Sharavi otworzył drzwi i wpuścił nas do środka.

Zdażył już zdjąć wiatrówkę i przyjął nas w jasnoniebieskiej koszuli i džinsach. Spod krótkich

rękawów koszuli wystawały nie owłosione, szczupłe, lecz dobrze umięśnione ramiona pokryte siateczką naczyń krwionośnych. Na palcu zdrowej ręki zauważyłem ślubną obrączkę.

Tuż przy drzwiach wisiała skrzynka sterująca systemem alarmowym. W salonie i jadalni było zupełnie pusto: białe sufity i podłogi z jasnozłocistego drewna. W kącie stał nie osłonięty, sterylnie czysty kominek z cegieł. We wszystkich oknach wisiały plisowane story.

Gestem zaprosił nas, byśmy poszli za nim wąskim korytarzem na tył domu. Minęliśmy kuchnię z szarymi szafkami.

– Napijcie się czegoś? – zapytał, kiedy przechodziliśmy obok małej łazienki. Wszędzie świeciło się światło. Czyżby chciał nam pokazać, że nie ma nic do ukrycia?

– Przyjrzyjmy się twoim zabawkom – powiedział Milo.

Sharavi minął sypialnię. W środku znajdowało się wielkie łóże zasłane po wojskowemu i nocna szafka, a na niej tylko lampka. Izraelczyk prowadził nas do drugiej sypialni na końcu korytarza. Tu na oknach było stalowe okiennice. Wewnątrz pod przeciwległą ścianą postawiono biurko na metalowych nogach, takie samo jak u Zeva Carmelego. Przy biurku czarne pokryte winylem krzesło, a na biurku policyjny skaner, CB radio i krótkofalówka, stalowoszary laptop, drukarka laserowa, zapasowy akumulator, faks i niszczarka do dokumentów z pustą tacą wejściową. Na drewnianej podłodze stał pusty kosz na śmieci, a między podpórkami z drzewa oliwnego poukładane elegancko podręczniki do sprzętu i oprogramowania oraz pudełko z zapasowymi taśmami i CD-ROM-ami.

Obok komputera zauważyliśmy dwa białe telefony, trzy ryzy papieru i dwa bordowe woreczki z zamszu. Na każdym złotą nicią wyhaftowano gwiazdę Dawida. Na mniejszym leżała ozdobna ciemnoniebieska jarmułka haftowana wzdłuż brzegu w pąsowe róże.

Sharavi zauważył, że przyglądam się woreczkom.

– To rzeczy do modlitwy – wyjaśnił. – Szal i filakterie oraz modlitewnik. Potrzebna mi każda pomoc.

– O co się modlisz? – zapytał Milo.

– To zależy – odparł Izraelczyk.

– Od tego, czego ci potrzeba?

– Od tego, na ile godny się czuję. – Sharavi rozsunął większy woreczek i wyjął złożony w kwadrat biały bawełniany materiał w czarne paski.

– Widzicie, to nic groźnego.

– Groźne może być to, że ma się Boga po swojej stronie – rzekł Milo. – Albo przekonanie, że tak właśnie jest.

Sharavi uniósł wysoko brwi.

– Dlatego że jestem religijny, uważacie mnie za niebezpiecznego fanatyka?

– Nie, chciałem tylko powiedzieć, że...

– Rozumiem twój uraz, nasza znajomość źle się rozpoczęła. Ale po co wciąż tracić na to czas? Chcesz rozwiązać te sprawy, tak jak ja. Oprócz nagrody zawodowej czeka mnie za to powrót do Jerozolimy do żony i dzieci.

Milo nie odpowiedział.

– Ile ma pan dzieci? – zapytałem.

– Trójkę. – Sharavi schował szal do woreczka. – Śledziłem was, bo tylko w ten sposób mogłem wydobyć informacje. Że to nieuprzejme? Owszem. Nieetyczne? Tu mógłbym polemizować, ale gotów jestem przyznać rację. W sumie jednak to żadna zbrodnia. A to dlatego, że chodzi o zamordowane dziecko... teraz nawet trójkę dzieci. Co najmniej. Jakoś przeżyję z tym grzechem na sumieniu. I podejrzewam, że wy też.

– Znasz mnie na wylot, co? – rzekł Milo.

Sharavi uśmiechnął się.

– Miałem okazję trochę się o tobie dowiedzieć.

– No tak. Czy w Jerozolimie też macie komików estradowych? – zapytał Milo.

– W Izraelu każdy jest prorokiem – odpowiedział Sharavi. – Na jedno wychodzi. – Dotknął woreczka z szalem. – Ma pan doskonałe wyniki, detektywie Sturgis, a skuteczni ludzie potrafią skupić się na tym co ważne. I wcale nie próbuję się podlizywać. Idę po kawę. Na pewno nie chcecie?

– Nie.

Zostawił nas samych w pokoju.

Zacząłem oglądać podręczniki komputerowe, a Milo rozsunał drugi zamszowy woreczek. Czarne skórzane paseczki i pudełka.

– Filakterie – powiedziałem. – Wewnątrz są biblijne...

– Wiem, co to jest – przerwał mi. – W zeszłym roku mieliśmy taką jedną sprawę. Jacyś obwiesie włamali się do synagogi niedaleko stąd. Poniszczyli różne rzeczy, ukradli pieniądze z publicznych urn, podarli zwoje Tory i te tutaj filakterie. Pamiętam, jak to wyglądało. Zastanawiałem się, co tam robią te skórzane paski. Stary kościelny, który opiekował się synagogą, wyjaśnił mi ich znaczenie. A potem załamał się i rozplakał. Powiedział, że przypomina mu to pogromy, które widział jako

dziecko w Europie.

– Złapaliście sprawców?

– Nie. Jest jeszcze jeden facet, który korzysta z tych pasków – gliniarz nazwiskiem Decker z West Valley. Religijny Żyd. Wiem o tym, bo sam go widziałem, jak wstaje rano, żeby się pomodlić i wkłada te filakterie. W tę religię wciągnęła go żona, czy jakoś tak. Przezywają go Rabin. Pomagałem mu w jednej sprawie parę lat temu. Też zresztą chodziło o jakieś związki z Izraelem. Może powinienem do niego zadzwonić i spytać, czy zna Carmelego albo tego naszego dowcipnisa?

– Kolejna sprawa o morderstwo? – zapytałem.

– Zaginięcie, które w końcu okazało się morderstwem. Wyszukiwałem dla niego jakieś dokumenty, nic wielkiego. Zachowywał się przyzwoicie, ale mu nie ufam.

– Dlaczego?

– Bo dostał awans na porucznika – zażartował Milo.

Otworzył szafę. Na wieszakach nie było ubrań. Na półce leżało kilka nowych małych pudełek z brązowej tektury i trzy podłużne płócienne futerały w czarnym kolorze.

Podniósł pierwszy z brzegu, otworzył i wyciągnął coś czarnego i metalicznego.

– Lufa do uzi. Reszta jest tutaj. – Włożył rękę do pokrowca i wyjął części karabinu maszynowego. Obejrzał wszystko i odłożył na miejsce. W pozostałych dwóch futerałach leżał długi karabin z celownikiem optycznym i dwulufowa strzelba. Obie sztuki broni lśniły.

Dziesięć kartonowych pudełek zawierało amunicję.

– Przygotowany do bitwy – stwierdził Milo. – Zostawił nas tutaj, żeby pokazać, że nie ma nic do ukrycia, ale to gówno prawda. Musi mieć gdzieś broń ręczną i inne zabawki, których nam nie pokazał.

Sharavi wrócił trzymając kubek w zdrowej ręce.

– Gdzie masz pistolet kalibru dziewięć milimetrów? – zapytał go prosto z mostu Milo. – I inne drobiazgi, które ukrywasz?

– Niczego nie ukrywam – odparł Izraelczyk. – Wszystko leży na swoim miejscu.

– To znaczy gdzie?

– A ty gdzie byś trzymał broń ręczną? W kuchni i w sypialni. Idź i sam sprawdź.

– W porządku. – Milo podszedł do szafy. – Wygląda na to, że jesteś gotów na szturm koleśi z OWP. Na pewno nie chodzi ci po głowie jakieś polowanie?

– Nie – odrzekł Sharavi. – Nie jestem myśliwym. – Uśmiechnął się. – Chociaż kiedyś łowiłem ryby.

– Co masz jeszcze w arsenale?

– Chodzi ci o granaty, wyrzutnię raket i bombę atomową?

– Nie, o naprawdę ciężki sprzęt.

– Przykro mi, ale muszę cię rozczarować – rzekł Sharavi. – To wszystko co mam. – Pociągnął łyk kawy i opuścił kubek. – No, jest jeszcze to.

Wyjął z kieszeni mały czarny krążek wielkości drażetki M&M i podał Milowi. Ten zaczął go obracać na wszystkie strony.

– Coś takiego podłożyłem pod pana kanapą i stołami, doktorze Delaware.

– Nigdy nie widziałem takich miniaterek – przyznał Milo. – Niezłe. Japońskie?

– Izraelskie. Te, które zainstalowałem u doktora, podłączone są do lewego telefonu. Drugi służy do normalnych rozmów i do podłączenia faksu. Nagrywałem wasze rozmowy, przepisywałem i niszczyłem taśmy. Transkrypcje ma Carmeli.

– Zacierasz za sobą ślady?

– Najwyraźniej niezbyt udolnie. – Sharavi pokręcił głową. – Korzystanie dwa razy w ciągu dnia z tej samej furgonetki było nierozważne.

– Od jak dawna tu jesteś?

– W Los Angeles od pięciu dni. W Nowym Jorku byłem przez miesiąc.

– Ochrona?

– Wezwali mnie z powodu ogłoszenia werdyktów w procesie o podłożenie bomby pod World Trade Center. Wiedzieliśmy, że wyrok będzie skazujący, oczekiwaliśmy jakiegoś odwetu. Skończyło się na obserwacji kilku osób w Brooklynie. Znałem ich jeszcze z Zachodniego Brzegu.

– Coś przeskrobali?

– Na razie nie. Uczyłem nasz nowojorski personel. Miałem już wracać do domu, kiedy zadzwonił Zev.

– Znacie się jeszcze z Izraela? – zapytałem.

– Znam jego starszego brata. Pracuje w policji, jest zastępcą komendanta. Cała rodzina zajmuje eksponowane stanowiska.

– Nadinspektor – zamyślił się Milo. – Jaki to ma odpowiednik w naszej policji?

– Pewnie kapitan, ale tak naprawdę, to nie ma odpowiednika. U nas wszyscy jesteśmy płótkami w małym stawie.

– Co za skromność.

– Nie, to religijność – odparł Sharavi. – Efekty są takie same.

– A więc Carmeli dzwoni do ciebie i przyjeżdżasz tutaj... Ile lat mają twoje dzieci?

– Córka osiemnaście lat, właśnie zaczęła służbę w wojsku. Mam jeszcze dwóch młodszych synów.

– Żłociste oczy na chwilę zniknęły pod powiekami.

– Ojciec dzieciom... – powiedział Milo.

– Cokolwiek to znaczy.

– Może dzięki temu potrafisz dojrzeć to, czego ja nie widzę.

– Bo jesteś gejem? Chyba sam w to nie wierzysz, podobnie jak ja. Policjanci są jak wszyscy inni: na dole znajdują się nieliczni prawdziwi idioci, równie niewielu jest naprawdę zdolnych. Większość to przeciętniacy.

– A ty jesteś ten zdolny?

– Nie mnie o tym sądzić.

– Masz jeszcze jakieś przemyślenia co do tej sprawy?

– Instynkt podpowiada mi, że należy przyjrzeć się bliżej kwestii niepełnosprawności oraz rasy, bo żadna z trzech ofiar nie była rasy białej. Ale może uważam tak dlatego, że sprawa, którą prowadziłem, miała wątki rasowe. Muszę uważać, żeby moje skromne doświadczenie nie zawężyło mi perspektywy.

– Może taki już twój los, że masz do czynienia z mordercami rasistami – rzekł Milo. – Twoja karma czy jakikolwiek odpowiednik tego w twojej religii.

– *Mazał* – odparł Sharavi. – Słyszałeś wyrażenie *mazał tov*?

– To nie Kansas, nadinspektorze.

Sharavi uśmiechnął się:

– A może po prostu Danielu?

– W porządku. Wiem, co znaczy *mazał tov*, Danielu. Na zdrowie, na szczęście.

– Owszem, ale tak naprawdę *mazał* nie oznacza szczęścia – wyjaśnił Izraelczyk. – To przeznaczenie, jak karma. Osadzone w gwiazdach. Znak zodiaku to *mazał*. Jemeńscy Żydzi głęboko wierzą w astrologię. Co nie znaczy, że ja w to wierzę. Dla mnie wszystko sprowadza się do ciężkiej pracy i woli Boga.

– Bóg chce, żebyś prowadził tę sprawę?

Sharavi wzruszył ramionami.

– Przecież tu jestem.

– Musi być miło mieć taką wiarę – powiedział Milo.

Sharavi odsunął krzesło od biurka, podniósł rękę i położył niesprawną dłoń na oparciu.

– Tak czy inaczej muszę pracować nad tą sprawą dla Carmelego, Milo. Pozwolisz mi to zrobić razem, czy będziemy sobie wchodzić w drogę?

– Gdzieżbym śmiał sprzeciwiać się Bogu – stwierdził Milo.

Siedzieliśmy z Milem u Sharaviego, aż minęła trzecia w nocy. Stopniowo ustaliliśmy podział pracy.

Milo miał pojechać na komendę w Newton, sfotografować buty Raymonda Ortiza i dołożyć dowody do coraz grubszej teczki zawierającej naszą sprawę. Potem telefonicznie powinien zacząć szukać innych spraw, przy których pojawił się napis DVLL. Sharavi miał szukać tego samego w rozmaitych komputerowych bazach danych, do których miał dostęp.

– Jest coś jeszcze – powiedział. – Mogę skontaktować się ze specjalistami od zbrodni popełnianych na niepełnosprawnych. Z ludźmi z całego świata.

– Nie wiedziałem, że są tacy specjaliści – przyznał się Milo.

– Może i nie ma takich, ale są specjaliści od neonazizmu i podobnych rzeczy.

– Sądysz, że to sprawa polityczna?

– Nie sama w sobie – odrzekł Sharavi – ale idea usuwania słabych osobników skądś się musiała wziąć. Może DVLL pojawi się w jakiejś rasistowskiej literaturze.

– To dobry pomysł – poparłem go. – Eliminacja niepełnosprawnych może być w oczach zabójcy formą chowu selektywnego. I tu kłania się eugenika.

– Od upadku muru berlińskiego rasistowskie ideologie krążą bez przeszkód po całej Europie – rzekł Sharavi. – Z oczywistych powodów monitorujemy te zjawiska, więc mam swoje źródła. Jeśli zanotowano podobne przypadki i jeśli aresztowano podejrzanych, moglibyśmy choć do pewnego stopnia zrozumieć motyw, jakie kierowały zabójcami, a właściwie rzekome motyw, które sami sobie przypisują.

– Rzekome... – powtórzył Milo. – No właśnie, bo główny motyw jest seksualny.

Pociągnął łyk kawy, na którą dał się w końcu skusić. Sharavi przytaknął.

– Ten dupek szczyci się tym, że oczyszcza nasz bank genów... jasne, powinienes to wszystko sprawdzić. – Milo mówił z przekonaniem, ale bez entuzjazmu. Może był zmęczony, a może po prostu chodziło mu tylko o to, żeby zająć czymś Izraelczyka.

– Bank genów – powtórzyłem za Milem. – Czy którykolwiek z was czytał „Drenaż mózgu”?

Obaj pokręcili głowami.

– Popularna psychologia. Książka wyszła kilka lat temu. Podstawowe założenie autora brzmi, że iloraz inteligencji to najważniejsze kryterium pod słońcem i głupi ludzie, głównie ci o ciemniejszym odcieniu skóry, tylko rozmywiają, psują nasze zasoby chromosomowe. Rozwiązanie, które podsuwa

autor, to całkowita kontrola władz nad kwestiami płodności. Mądrym powinno się płacić za rozmnażanie, a mniej inteligentnym za to, żeby się sterylizowali. Książka się nieźle sprzedawała, wywołała spore kontrowersje.

– Pamiętam – rzekł Milo. – Napisał ją jakiś profesor. Czytałeś to?

– Nie – odparłem – ale ktoś inny mógł przeczytać.

– Czyli nasz znajomy uzasadnia to, co robi, popularną psychologią?

– Każdy potrzebuje jakiegoś uzasadnienia. Nawet zabójstwa na tle seksualnym mają jakieś podłoże społeczne.

– To się trzyma kupy – przyznał Sharavi. – Zbójcy seksualni często za cel obierają sobie prostytutki, bo znajdują się one na dole drabiny społecznej i łatwiej je odhumanizować, prawda? Z tego co widziałem, każdy zabójca – czy to zamachowiec, żołnierz czy sadysta – musi w jakiś sposób odhumanizować swoją ofiarę.

– Podłoże społeczne – zamyślił się Milo. – A więc facet w pokręconym małym mózdzku przekonuje sam siebie, że oczyszcza świat z upośledzonych ludzi.

Podparł brodę dłonią i wpatrywał się w podłogę.

– Śmierć według Darwina – wymamrotał.

– To by także zgadzało się z naszym przekonaniem, że zabójca uważa się za kogoś lepszego – mówiłem dalej. – Kierują nim jakieś eugeniczne mrzonki, więc nie dopuszcza się gwałtów. No i układa ciało z – jak mu się wydaje – szacunkiem.

– Tylko ciało Irit – przypomniał Milo. – Z ciała Raymonda zostały tylko zakrwawione buty. Mogę zgodzić się z tym, że zabójca dopiero zaczynał, doskonalił rzemiosło. Ale co począć z przypadkiem Latvini? Zabito ją już po Irit i choć też została uduszona, potraktowano ją znacznie gorzej.

– Nie wiem – odparłem – coś tu jeszcze nie pasuje. Może specjalnie zmienia metody, żeby uniknąć prawidłowości.

Przez chwilę wszyscy milczeliśmy. Sharavi pociągnął łyk z trzeciego już kubka kawy.

– Ale zostawiania wszędzie DVLL nie boi się – zauważył.

– Wróćmy jeszcze do kwestii uniformy – przypomniał Milo. – Oprócz tego, że pomaga mu porwać ofiary, daje też poczucie pełnienia misji. Może to ktoś z przeszłością wojskową albo jakiś militarysta amator.

– Jeśli służył w wojsku, mógł zostać zwolniony dyscyplinarnie – powiedziałem.

Sharavi uśmiechnął się nieśmiało.

– Uniformy mogą być przydatne.

– Czy Irit jako dziewczynka z Izraela zareagowałaby jakoś szczególnie na uniform? – zwrócił się Milo do Sharaviego.

– Trudno powiedzieć – odrzekł. – W Izraelu mamy powszechną służbę wojskową, prawie każdy służy w armii przez trzy lata i wraca do rezerwy. Uniformów więc u nas nie brakuje i dzieci traktują je jak coś normalnego. Ale Irit mieszkała przez większą część życia poza granicami Izraela. Tyle że obracając się w środowisku ambasad i konsulatów, na pewno przyzwyczaiła się do umundurowanych strażników... to możliwe. Naprawdę niewiele wiem o jej psychice.

– Carmeli i jego żona nic ci nie powiedzieli?

– Powiedzieli mi to, co zwykle; że to cudowne dziecko. Piękne, niewinne i cudowne.

Cisza.

– Może też chodzić o policjantów amatorów, jak ten dupek Bianchi – rzekł Milo. – Dusiciel z Hillside – wyjaśnił Sharaviemu.

– Tak, słyszałem o nim. Bianchi składał podania w wielu wydziałach policji, odrzucano je po kolei. W końcu został ochroniarzem.

– I to mi przypomina o kolejnej możliwości – rzekł Milo. – Nikt nie sprawdza kandydatów na ochroniarzy. Trafiają się wśród nich byli skazańcy, psy chole, wszelkiego rodzaju świry chcące wyglądać oficjalnie. I niektórym daje się do ręki broń.

– Masz rację – poparłem go. – Miałem taki przypadek kilka lat temu. Chodziło o spór o prawa rodzicielskie. Ojciec był strażnikiem w jakiejś wielkiej firmie przemysłowej w Valley. Okazał się niezrównoważony psychicznie. Cierpiał na paranoję, słyszał głosy. Firma wydała mu gaz obezwładniający, kajdanki, pałkę i półautomatyczny pistolet.

– A zatem trzeba przeświecić ochroniarzy... W porządku, podsumujmy, co mamy do tej pory: paramilitarny fanatyk z mrzonkami o wysokim ilorazie inteligencji i pokręconych pomysłach ma selekcję gatunku. Często nie daje sobie rady z popędem seksualnym. Być może ma sprzęt fotograficzny. Robi zdjęcia i układa zwłoki w sposób, który go podnieca. W ten sposób zjada i jednocześnie ma ciasteczko...

Przerwał, spojrzął na nas niewyraźnym wzrokiem i potarł twarz. Mocno. Na bladej, pokrytej szramami twarzy pojawiły się różowe plamy. Miał ciężkie powieki i obwisłe ramiona.

– Coś jeszcze?

Sharavi pokręcił głową.

– Ja mogę poszperać w bibliotece uniwersyteckiej na temat eugeniki – zaofiarowałem się. – Zobaczę, czy w literaturze psychiatrycznej pojawiają się jakieś morderstwa związane z eugeniką. Kto

wie, może trafię też na DVLL.

Faks Sharaviego zaczął wypluwać papier. Izraelczyk wyjął kartkę i pokazał nam.

Tekst po hebrajsku.

– No tak, teraz wszystko jasne – ironizował Milo.

– Centrala domaga się tygodniowego raportu – powiedział Sharavi. – Muszę szczegółowo rozliczyć się z czasu.

– Byłeś niegrzeczny? – spytał Milo.

– Ospały – uśmiechnął się Sharavi. – Trzeba zachowywać odpowiednie priorytety. Może powinienem pojechać do Disneylandu i przywieźć komendantowi czapkę z uszami Myszki Miki.

Zmiał papier i wyrzucił do kosza.

– Rzut za dwa punkty – ocenił Milo. – Macie koszykówkę w Izraelu?

Sharavi skinął głową i uśmiechnął się. Też wyglądał na wyczerpanego. Oczy miał zapadnięte głębiej niż zwykle.

– Macie koszykówkę, ale nie macie zabójców seksualnych, co? Jak to jest, wybieracie sobie, co od nas zaszczepić?

– Chciałbym, żebyśmy byli tacy mądrzy – odparł Sharavi.

Milo wstał.

– Sam zdejmę ten podsłuch, jeśli są tylko cztery pluskwy, tak jak mówisz.

– Tylko cztery.

– W takim razie poradzę sobie. – Popatrzył z góry na Izraelczyka. – Zostań tutaj i zacznij gadać z Interpolem, łowcami nazistów i wszystkimi innymi, którzy przyjdą ci do głowy.

Kiedy wyszli, Daniel zamknął drzwi, uruchomił alarm i poszedł do sypialni, gdzie usiadł na brzegu materaca.

Na kilka minut pogrążył się w samotnych rozmyślaniach, ale w końcu odepchnął od siebie myśli o Laurze i dzieciach. Zaczął oceniać, jak sobie tej pory radzi.

Sturgis nie ufa mu ani trochę, ale biorąc pod uwagę jego, Daniela, własną głupotę, sytuacja wcale nie wyglądała tak źle.

Psycholog. Te jego czujne oczy...

Musiał powiedzieć Zevowi, że wpadł, lecz Zev przyjął to spokojnie. Miał na głowie ważniejsze sprawy. Wszyscy mówili, że od śmierci Irit stał się zupełnie innym człowiekiem.

Daniel rozumiał tę zmianę – Carmeli był opętany jednym pragnieniem.

Czy Daniel będzie w stanie je zaspokoić?

Rozmowa ze Sturgisem i Delaware'em przyniosła jeden pozytywny skutek: dowiedział się z niej, że Sturgis jest bystry i potrafi się skoncentrować. Właśnie z takimi detektywami dobrze mu się pracowało. Znał kilku takich jak on. Jednego z nich czekała wyjątkowo jasna przyszłość, ale zupełnie niepotrzebnie zginął w okrutny sposób...

Teczka Sturgisa w kadrach pełna była skarg. Jedna z nich dotyczyła nawet ataku na przełożonego. Daniel przygotował się na wybuch z jego strony, ale nic takiego na razie nie nastąpiło.

Delaware milczał, lecz oczy wciąż miał czujne.

Uosobienie psychologa. Jednak od czasu do czasu się odzywał.

Pytał o akcent Daniela, chciał się dowiedzieć czegoś o jego rodzinie.

To było jak sesja psychoterapeutyczna. Po tym, jak pierwszy raz został ranny, spędził wiele czasu z psychologami w ośrodku rehabilitacyjnym i denerwowało go to bardziej, niż mógł się spodziewać. Wiele lat później zasięgał ich porady. W sprawie Rzeźnika doktor Ben David okazał się dość pomocny.

Lecz od ostatniej sesji u psychologa minęło sporo czasu.

Te czujne bladoniebieskie oczy. Oceniające, ale niezupełnie chłodne.

Oczy Sturgisa były zielone, niemal przezroczyste. Jaki efekt musiała wywierać ta intensywność na podejrzanym?

Dwaj mężczyźni, tak różni, a jednak przepracowali wspólnie kawał czasu i mieli doskonałe wyniki.

Zgodnie z tym co napisano w aktach, również się przyjaźnili.

Homoseksualista i heteroseksualista.

Interesujące.

Daniel znał tylko jednego policjanta geja i to niezbyt dobrze. Pewien sierżant pracujący poza rejonem centralnym. Nie miał w sobie nic kobiecego, na pierwszy rzut oka nie było po nim widać, że jest homoseksualistą, ale nie oże nił się, nie spotykał z żadnymi kobietami, a jego znajomi z wojska mówili, że widzieli go pewnej nocy w Herlziyya, jak szedł na plażę z innym mężczyzną.

Nie należał do wyjątkowo bystrych policjantów, ale znał się na swoim fachu równie dobrze jak każdy inny. Nikt go nie zaczepiał, inni oficerowie unikali go i Daniel był pewien, że ów policjant nigdy nie wystąpi do niego z żadną propozycją.

Sturgisa też unikano.

Dla Daniela to była kwestia religijna, co sprawiało, że stawała się abstrakcyjna.

Dla Daniela religia zaliczała się do spraw osobistych – taki miał stosunek do Boga – nie obchodziło go więc, co robili inni, o ile nie naruszało to wolności jego lub jego rodziny.

Rodzina... w Jerozolimie wstawał rano, ale jeszcze za wcześnie, żeby zadzwonić do Laury. Jak wielu artystów, była nocnym markiem. Przez lata na siłę przestawiała swój wewnętrzny zegar, żeby wychowywać dzieci i doglądać męża. Teraz, kiedy dzieci podrosły, pozwoliła sobie na powrót do starych zwyczajów. Siedziała do późna i szkicowała, malowała albo czytała, a potem spała do ósmej lub dziewiątej.

Czuła się z tego powodu winna. Czasami Daniel musiał ją zapewniać, że nie przeszkadza mu robić sobie samemu porannej kawy.

Objął kolana rękami, zamknął oczy i zaczął wspominać jej miękkie jasne włosy i piękną twarz. Przed wyjściem do pracy pochylał się nad nią, żeby pocałować lekko nabrzmiałą od snu twarz zagrzebaną w pościeli.

„Ojej... czuję się podle, kochanie. Powinnam wstać i przygotować ci śniadanie”.

„Nigdy nie jem śniadania”.

„Mimo wszystko... powinnam ci też dawać inne rzeczy”.

Przyciągała go do siebie, żeby pocałować.

„Brzydko mi pachnie z ust”.

„Nieprawda”.

Przyciskał usta do jej ust, czuł, jak się rozchylają, jak ich języki splatają się ze sobą.

Otworzył oczy i rozejrzał się po pustym pokoju.

W jego mieszkaniu w Talbieh ściany pulsowały kolorami. Wisiały na nich obrazy i batiki Laury oraz dzieła jej znajomych.

Jej znajomych artystów, z którymi rzadko rozmawiał.

Malowanie krwią...

Co Laura powiedziała by na taką formę sztuki?

Nigdy nie mówił jej nic, poza najbardziej oczywistymi ogólnikami.

Przez dwadzieścia lat ich małżeństwa taki układ doskonale się sprawdzał.

Dwadzieścia lat. Według dzisiejszych standardów to szmat czasu.

To nie *mazał*. I nie zasługa żadnego amuletu, czaru czy błogosławieństwa *Hakham*.

Łaska boska i ciężka praca.

Trzeba poskromić własne ego i stać się połówką pary.

Robić to, co należy.

Chciałby wiedzieć, co należy zrobić w tej sprawie.

Kiedy następnego ranka jechałem na uniwersytet, uświadomiłem sobie, że Helena wciąż nie dała znaku życia.

Ale sprawę samobójstwa Nolana trzeba było odłożyć na bok. Miałem mnóstwo pracy.

Skorzystałem z komputera mającego dostęp do wszelkich banków danych z zakresu biologii i medycyny. Wszedłem do bazy prac medycznych Medline. Przeglądałem abstrakty prac z psychologii, spisy treści periodyków i wszystkie bazy danych, jakie przysły mi do głowy, wyszukiwałem wszelkie odniesienia dotyczące eugeniki, lecz nie znalazłem niczego, co wiązałoby się z naszymi zabójstwami.

W bibliotece wzięłem kilka oprawionych roczników różnych czasopism i zacząłem szukać „Drenażu mózgu”. Książkę umieszczono pod hasłami „Inteligencja, Ocena”. Uniwersytet dysponował w sumie trzema egzemplarzami. Dwa wypożyczono. Ten, który został, był gruby, oprawiony po raz drugi w karmazynową okładkę. Stał wciśnięty między podręczniki na temat testowania ilorazu inteligencji. Kilka książek dalej zobaczyłem cienki tomik w miękkich oprawach zatytułowany „Pseudonauka: cała prawda o «Drenażu mózgu»„. Wzięłem także i tę pracę.

Znalazłem sobie ustronny kącik na dziewiątym piętrze i zacząłem przeglądać wszystkie wypożyczone źródła w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu DVLL.

Bez rezultatu.

Żadna z prac nie łączyła też eugeniki z seryjnymi morderstwami, ale to, co czytałem, niezmiernie mnie wciągnęło. Pomysł, by o jednych ludzi się troszczyć, a innych eliminować dla dobra społeczeństwa, nie narodził się bowiem wraz z programem czystości rasowej w hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy.

Wcale też nie umarł wraz z Hitlerem.

Możliwość selektywnego rozwoju społeczeństwa fascynowała elity od wieków, ale naukowe poważanie zdobyła w Europie i Ameryce dopiero pod koniec dziewiętnastego wieku, kiedy tę ideę zaczął propagować powszechnie szanowany brytyjski matematyk Francis Galton.

Sam bezdzietny, Galton święcie wierzył w przetrwanie osobników i społeczności najsilniejszych pod względem etnicznym. Wierzył, że cechy takie jak intelekt, pasja i przedsiębiorczość były takimi samymi właściwościami człowieka jak wzrost czy kolor włosów i podlegały podstawowym prawom dziedziczności. Aby naprawić społeczeństwo, państwo musiało zebrać szczegółowe dane na temat stanu zdrowia psychicznego, umysłowego, fizycznego oraz rasy każdego obywatela, a następnie wydać najlepszym jednostkom specjalne certyfikaty i płacić im za rozmnażanie się, tych gorszych zaś skłaniać do życia w celibacie. W 1883 roku Galton ukuł dla opisu tego procesu termin „eugenika”, pochodzący od greckiego zwrotu „dobrze urodzony”.

Upraszczające teorie Galtona na temat dziedziczenia inteligencji zostały podważone przez powrót do dzieł Grzegorza Mendla, austriackiego mnicha, który hodując tysiące roślin odkrył, że część dziedziczonych cech ma charakter dominujący, natomiast inne – recesywny. Późniejsze badania dowiodły, że nawet na pozór normalni rodzice mogą być nosicielami uszkodzonych genów.

Nawet rośliny nie chciały rosnać według uproszczonego modelu Galtona.

Ale zapoczątkowana przez Mendla możliwość śledzenia mechanizmów dziedziczenia pobudziła do działania uczniów Galtona. Eugenika zaczęło zajmować się wielu naukowców. W latach dwudziestych i trzydziestych niemal wszyscy genetycy twierdzili, że ludziom upośledzonym umysłowo i innym „degeneratom” należy zakazać rozmnażania się.

Te akademickie poglądy zaczęły przenikać do życia publicznego po obu stronach Atlantyku. Już w 1917 roku East, genetyk z Harvardu aktywnie promował redukcję „niepełnowartościowej plazmy genetycznej” przez segregację i sterylizację.

Nauki Easta miały wpływ między innymi na człowieka, którego uważałem za mędrca w mojej własnej dziedzinie nauki.

Uczono mnie, że Henry H. Goddard z Vineland Training School w New Jersey był pionierem testów psychologicznych. Nie wiedziałem jednak, że Goddard uważał, iż „niedomaganie na umyśle” jest skutkiem defektu w jednym z genów. Ochoczo zadeklarował się, że przeprowadzi testy na inteligencję wśród tysięcy imigrantów przybywających na Ellis Island, by w ten sposób wychwycić i wyeliminować osobniki niepożądane.

Z kuriozalnymi wynikami badań Goddarda dowodzącymi, jakoby ponad osiemdziesiąt procent Włochów, Węgrów, Rosjan i Żydów było umysłowo upośledzonych, zgodziło się bez oporów wielu intelektualistów i prawodawców. W 1924 roku amerykański Kongres przyjął ustawę imigracyjną ograniczającą wstęp na teren USA przybyszom z południowej i wschodniej Europy. Ustawę podpisał prezydent Calvin Coolidge, który oświadczył: „Ameryka musi pozostać Ameryką. Prawa biologii dowodzą, że rasa nordycka ulega degradacji, kiedy miesza się z innymi rasami”.

Kolos na glinianych nogach.

Ale Goddard nie był osamotniony w swoich poglądach. Błądząc wśród przypisów i cytatów, natknąłem się na dzieła innego tytana psychologii Lewisa Termana z Uniwersytetu Stanforda, autora testu Stanforda-Bineta mierzącego iloraz inteligencji. Pierwotnie francuski test Bineta miał pomóc w wyszukiwaniu dzieci z problemami w nauce po to, by można je było lepiej uczyć. Lecz amerykański racjonalizator oświadczył, że jego głównym celem jest „ograniczenie reprodukcji osobników słabych na umyśle”, by w ten sposób zmniejszyć „niedostatki przedsiębiorczości”.

Według Termana słabość intelektualna była „bardzo, bardzo powszechna wśród iberojęzycznych Indian i Meksykan z południowego zachodu oraz wśród czarnych. Ich niezdolność wydaje się kwestią rasową (...) dzieci z tych grup etnicznych należy przydzielać do oddzielnych klas (...) Nie potrafią myśleć abstrakcyjnie, ale można ich wykształcić na wydajnych robotników (...) z punktu widzenia eugeniki stanowią ogromny problem ze względu na swą płodność”.

Czołową postacią ruchu eugenicznego w Ameryce był profesor Charles Davenport z Uniwersytetu w Chicago. Wierzył on, że prostytutki wybierają taki a nie inny zawód ze względu na obecność dominującego genu „wrodzonego erotyzmu”.

Davenport postulował ocalenie przyszłości białej Ameryki poprzez kastrację mężczyzn z grup mniejszości etnicznych.

Podkreślał, że chodzi mu o kastrację, nie o wasektomię, bo choć ta ostatnia powstrzymuje rozmnażanie, przyczynia się też do rozpowszechniania seksualnej rozwiązłości.

Poglądy Davenporta wywarły ogromny wpływ na prawo, i to nie tylko na ustawy imigracyjne. Przyjęło je bezkrytycznie wiele grup zajmujących się socjologią i polityką, w tym część pionierów ruchu na rzecz planowania rodziny. Terminu „ostateczne rozwiązanie” po raz pierwszy użyło Narodowe Stowarzyszenie Ruchów Dobroczynnych i Korygujących w latach dwudziestych. W latach 1911-1937 eugenikę zaczęto stosować w praktyce – ustawy o sterylizacji przyjęto w trzydziestu dwóch amerykańskich stanach oraz w Niemczech, Kanadzie, Norwegii, Szwecji, Finlandii, Islandii i Danii.

Największy entuzjazm wśród strażników czystości rasowej wykazywały władze Kalifornii, gdzie w 1909 roku nakazano przymusową sterylizację wszystkich tych pacjentów stanowych szpitali, u których podejrzewano „perwersję seksualną lub moralną, chorobę lub upośledzenie umysłowe”. Skalpele poszły w ruch. Cztery lata później ustawę poprawiono tak, by obejmowała także osoby nie przebywające w szpitalach, a cierpiące na „wyraźne odchylenia od normy umysłowej”.

Przymusowa sterylizacja sięgnęła apogeum w 1927 roku, kiedy w Wirginii wysterylizowano wbrew jej woli młodą samotną matkę nazwiskiem Carrie Buck, a wszystko to na mocy orzeczenia Sądu Najwyższego podpisanego przez Olivera Wendella Holmesa. Decyzja Holmesa nie tylko pozwoliła na wykonanie zabiegu, ale wręcz go chwaliła jako „sposób na uniknięcie fali niekompetencji (...) reguła, która nakazuje powszechne szczepienia ochronne, pozwala też uzasadnić przecięcie jajowodów (...) Trzy pokolenia imbecyli to wystarczająco dużo”.

Dziecko Carrie Buck, owo „trzecie pokolenie imbecyli”, o którym mowa w orzeczeniu, wyrosło na zdolnego ucznia. Sama Carrie Buck w końcu została zwolniona z wirginijskiego Ośrodka dla Upośledzonych i Epileptyków. Żyła dalej spokojnie jako żona szeryfa w jednym z małych miasteczek. Później okazało się, że wcale nie była upośledzona.

Decyzja w sprawie Carrie Buck przyspieszyła rozpowszechnienie przymusowej sterylizacji. Do końca lat siedemdziesiątych w całych Stanach Zjednoczonych wysterylizowano wbrew woli zainteresowanych ponad sześćdziesiąt tysięcy osób, głównie pacjentów szpitali stanowych.

W 1933 roku orzeczenie w sprawie Carrie Buck stało się prawem w Niemczech. W ciągu roku wysterylizowano tam pięćdziesiąt sześć tysięcy „pacjentów”. Do 1945 roku dzięki nazistom liczba ta wzrosła do dwóch milionów. Jak pisał Hitler w „Mein Kampf”: „wolność osobista jednostki musi ustąpić przed obowiązkiem zachowania rasy. Żądanie, by ułomnych ludzi powstrzymać przed produkowaniem równie ułomnego potomstwa, jest żądaniem podyktowanym zdrowym rozsądkiem i systematycznie egzekwowane stanowi najbardziej humanitarny akt wobec ludzkości”.

Po drugiej wojnie światowej tendencja zaczęła się odwracać. Coraz rzadziej sterylizowano w imię eugeniki. Przyczyniło się do tego oburzenie nazistowskimi zbrodniami – ale chyba jeszcze bardziej masowe zapotrzebowanie na chirurgów na wojennych frontach. Mimo to praktyki te stosowano nadal przez dziesięciolecia. Większość eugenicznych ustaw w końcu zniesiono po potępieniu tej idei przez naukę.

Nie znaczy to jednak, że całkowicie porzucono eugeniczne pomysły.

O nie.

Sterylizacja wydawała się dziecinną zabawą w porównaniu z tym, o czym mówiło się teraz. Poczuję się, jakbym pływał w etycznym szambie.

Nawoływania do eutanazji szybko zmieniały się w głosy, by „miłosiernie” kończyć również życie tych, którzy nie mają po co żyć.

Przeczytałem raport z Holandii, gdzie zezwolono nieuleczalnie chorym pacjentom na samobójstwo nadzorowane przez lekarza, tzw. „miłosierną śmierć” – w ponad jednej trzeciej przypadków eutanazji pacjent nie wyraził na nią zgody.

Pewien „bioetyk” z Australii głosi, że religia nie może być już punktem odniesienia w podejmowaniu osądów moralnych, a świętość życia ludzkiego to przeszłość. Oto proponowane przez niego rozwiązanie: etycy powinni posegregować ludzi według liczbowego kryterium „jakości życia” i w zależności od wyniku odpowiednio zapewniać opiekę medyczną.

Na samym dole tej listy mieliby się znaleźć inwalidzi, osoby starsze, upośledzone. Ci otrzymaliby najgorszą opiekę. W przypadku dzieci upośledzonych bądź z defektami ów „bioetyk” proponuje rodzicom dwudziestoosmiodniowy okres na podjęcie decyzji o zakończeniu „życia, które tak bardzo źle się zaczęło”.

Każdy, kto nie mieściłby się w kryteriach „osobowości: czyli racjonalnego myślenia i samoświadomości”, mógłby zostać zabity bez obaw przed karą. Humanitarnie.

To coś jak delikatne uduszenie.

Brytyjski Narodowy Instytut Zdrowia zaproponował niedawno darmowe aborcje matkom genetycznie upośledzonych dzieci. Miano by przy tym *zrezygnować* z obowiązującego w przypadkach aborcji limitu dwudziestu czterech tygodni życia płodowego i zezwolić na dokonanie jej nawet tuż przed urodzeniem.

Także w Anglii „zieloni” zaproponowali dwudziestopięcioprocentowe (cyfra wzięta ot tak, z kapelusza) obniżenie populacji Wielkiej Brytanii w imię ratowania planety. Krytycy natychmiast zaczęli przypominać o obsesji nazistów na punkcie ekologii, czystości naturalnej i antyurbanizmu.

Wszystkich wyprzedził jednak rząd Chin, który od lat prowadzi kontrolę populacji poprzez przymusowe aborcje, sterylizację i głodzenie na śmierć sierot w państwowych domach dziecka.

W Stanach Zjednoczonych w dobie kryzysu budżetowego zaczęto nawoływać do zmiany modelu służby zdrowia i zastanawiać się, czy poważnie chorzy i osoby upośledzone genetycznie powinny „dominować” w wydatkach na opiekę zdrowotną.

W „U.S. News and World Report” znalazłem artykuł opisujący walkę pewnej trzydziestoczteroletniej kobiety z zespołem Downa o to, by mogła poddać się transplantacji płuca i serca, od której zależało jej życie. Klinika na Uniwersytecie Stanforda odrzuciła jej prośbę twierdząc, że „nie uważa, by pacjenci z zespołem Downa byli właściwymi kandydatami do transplantacji płuc i serca”. Podobnie potraktowano ją na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego, gdzie uznano, że nie będzie w stanie podporządkować się szpitalnym rygorom. Sprzeciwił się temu prywatny lekarz chorej i w wyniku rozgłosu obie kliniki musiały zmienić zdanie. Ale co z innymi, którzy nie znaleźli się w centrum uwagi mediów?

Przypomniało mi to sprawę sprzed kilku lat, kiedy pracowałem jeszcze z pacjentami dziecięcego oddziału onkologii w Western Pediatrics Hospital. U czternastoletniego chłopca wykryto białaczkę, wówczas już uleczalną, z ogromnymi szansami na remisję. Ale ten chory na białaczkę chłopiec był upośledzony i pracownicy oddziału oraz praktykanci zaczęli pod nosem narzekać, że marnują swój cenny czas.

Pouczyłem ich o niestosowności takiego zachowania, lecz z miernym skutkiem – nie jestem przecież lekarzem medycyny i nie przepisuję chemio – czy radioterapii. Uważano, że po prostu nie rozumiem, o co w całej sprawie chodzi. Jeden z lekarzy – bardzo poczciwy i oddany człowiek – zauważył, co się dzieje, i wygłosił mowę o przysiędze Hipokratesa oraz moralności, która uciszyła malkontentów. Ale była to tylko wymuszona zgoda.

Co za lekarze wyrosli z tych praktykantów?

Kogo teraz osądzali?

„Jakość życia”.

Pracowałem z tysiącami dzieci upośledzonych od urodzenia, z wadami rozwoju, zniekształceniami, zapóźnionych umysłowo, ciężko uczących się, cierpiących na najrozmaitsze choroby – przewlekłe, bolesne, śmiertelne.

Większość z nich odczuwała pełen zakres emocji, łącznie z radością.

Pamiętam jedną małą dziewczynkę. Miała osiem lat i była ofiarą thalidomidu. Nie miała rączek, stopki jedynie w formie pletwowatych kikutów, błyszczące oczy, a w nich ogromną chęć życia.

To było życie lepszej jakości niż u niejednego pięknołicego psychopaty, z jakimi miałem okazję się stykać.

Właściwie nie miało to znaczenia, bo ja też nie powinienem wydawać sądów.

Zwolennicy eugeniki twierdzili, że postęp społeczeństwa można mierzyć osiągnięciami utalentowanych jednostek, i po części jest to prawda. Ale co za pożytek z postępu, jeśli prowadzi on

do nieczulicy, okrucieństwa, zimnych osądów co do przydatności jednostki, stłamszenia iskry bożej tłącej się w każdym z nas?

Kim byliby nowi bogowie? Etykami? Genetykami? Politykami?

Urzędnikami służby zdrowia opętanymi myślami o zrównoważonym budżecie?

A kiedy już oczyścimy świat z jednej grupy „degeneratów”, kto następny znajdzie się na chromosomowej liście kandydatów do odstrzału?

Słabeusze? Ponuracy? Nudziarze? Brzydale?

To było przerażające, a fakt, że psychologia kiedyś przyjęła takie idee, napawał mnie obrzydzeniem.

Wciąż kołatały mi w głowie rasistowskie hasła Goddarda i Termana. W nawach świątyni psychologii oba te nazwiska wymawiano z nabożną czcią.

Poczułem w dołku zimny ucisk, jak dziecko, które nagle dowiedziało się, że ma rodziców przestępców.

Przeprowadzałem niezliczone testy na inteligencję, szczyłem się tym, że znam zarówno ograniczenia, jak i zalety tego instrumentu psychologicznego. Właściwie przeprowadzone testy były naprawdę nieocenione. Mimo to spróchniały korzeń tego drzewa wiedzy mojej dyscypliny naukowej sprawił, że zacząłem się zastanawiać, co mi jeszcze umknęło mimo całego mego wykształcenia.

Dochodziła pierwsza po południu. Spędziłem w bibliotece pięć godzin. Zbliżała się pora obiadu, a ja całkiem straciłem apetyt.

Wziąłem do ręki „Drenaż mózgu”.

Jedyne przesłanie książki stało się jasne już po kilku stronach:

Sukces materialny, moralność, szczęśliwe małżeństwa, doskonałe rodzicielstwo – za wszystko to odpowiadał gen przez duże G, rzekomy gen ogólnej inteligencji, o którego istnienie spierano się od lat.

Autor tej książki przyjmował to za pewnik.

Cała książka utrzymana była w patetyczno-gratulacyjnym tonie i adresowana do „ciebie, Czytelniku o nieprzeciętnej inteligencji”.

Najwyższe wtajemniczenie, wspólnota doskonałych.

Może właśnie to – oraz tłumienie niepokoju wyższej klasy średniej w ciężkich czasach – mogło wyjaśnić tak wielką popularność tego tomiku.

Na pewno nie było to dzieło naukowe, strona po stronie bowiem natykałem się na fałszywe założenia, kiepską dokumentację. Okazywało się, że część artykułów, którymi podpierał się autor, po bliższym przestudiowaniu prezentowała poglądy wręcz przeciwne.

Autor obiecywał poprzeć swoje teorie danymi, których jednak nigdzie nie znalazłem. Było to odrodzenie galtonowskiej teorii jednego genu inteligencji.

Nonsens sprzed stu lat. Kto napisał tę bzdurę?

W biografii autora na tylnej okładce napisano, że jest to „socjolog”, niejaki doktor Arthur Haldane.

Zatrudniony w Instytucie Loomisów w Nowym Jorku.

Żadnych bliższych danych.

Z egzemplarza bibliotecznego zdjęto obwolutę, więc nie mogłem zobaczyć fotografii doktora Haldane’a.

Obrzydliwa książka.

Obrzydliwe czasy.

Co jeszcze nowego mnie czeka?

Bolała mnie głowa i piekły oczy.

Co powiem Milowi i Sharaviemu?

Że to pseudonaukowe bzdury podlane atrakcyjnym sosem?

Jaki to może mieć związek ze śmiercią trójki dzieci?

Zabójca, który obserwuje, osacza i eliminuje najsłabsze sztuki ze stada...

Z naukowym uzasadnieniem?

Bo niektóre jednostki nie są warte tego, by żyć?

A więc tak naprawdę to nie morderca.

To wolny strzelec bioetyk.

Miałem dość.

Nie zdążyłem przeczytać jedynie „Pseudonauki”, czyli krytyki „Drenażu mózgu”. Wprawdzie nie wiedziałem, co jeszcze może wnieść nowego, ale wypożyczyłem ją do domu.

Sekretarka zapisała jedną wiadomość. Podano domowy numer Mila, lecz rozmówcą był doktor Richard Silverman.

Rick i Milo mieszkali razem od lat, ale z Rickiem rozmawiałem rzadko. Bardziej lubił słuchać, niż mówić. Był opanowany, pedantyczny, wysportowany, zawsze nienagannie ubrany i stanowił dokładne estetyczne przeciwieństwo Mila. Dla niektórych ci dwaj tworzyli dziwną parę. Ja wiedziałem, że obaj są rozważni, mają silną motywację, sporo samokrytycyzmu i obaj cierpieli z powodu swego homoseksualizmu. Długo szukali swojej drogi – każdy z osobna, a potem we dwóch. Obaj mieli w pracy do czynienia z krwią – Rick spędzał ponad sto godzin tygodniowo jako chirurg w szpitalu Cedars-Sinai. Kiedy spędzali czas razem, najczęściej milczeli.

– Dzięki, Alex, że oddzwoniłeś. Jak leci? – usłyszałem w słuchawce głos Ricka.

– Doskonale. A co u ciebie?

– W porządku, w porządku. Słuchaj, chciałem tylko spytać, jak się ma Helena Dahl... Nie chcę cię ciągnąć za język, po prostu chcę wiedzieć, czy wszystko u niej gra.

– Nie widziałem się z nią ostatnio, Rick.

– Rozumiem.

– Czy coś się stało?

– No wiesz, odeszła wczoraj ze szpitala, bez wyjaśnień. Ale to, co się jej przydarzyło, każdego by wytrąciło z równowagi.

– Nie jest jej łatwo – zgodziłem się.

– Kiedyś spotkałem tego jej brata. Przyjechał do szpitala z jakimś rannym w strzelaninie. Nie wspomniał, że jest bratem Heleny, a ja nie zwróciłem uwagi na plakietkę. Ktoś mi później o tym powiedział.

– Helena nie miała wtedy dyżuru?

– Nie, tamtej nocy akurat nie.

– Zauważyłeś coś dziwnego w jego zachowaniu?

– Raczej nie. To wielki facet, bardzo cichy, można odnieść wrażenie, że zszedł wprost z plakatu zachęcającego do pracy w policji w Los Angeles. To znaczy z dawnego plakatu, kiedy do policji przyjmowali takich jak on. Uderzyło mnie to, że nawet nie zapytał o Helenę, choć z drugiej strony mógł wiedzieć, że tego dnia akurat nie ma dyżuru. Ale kiedy powiedziałem Helenie, że jej brat był w szpitalu, wyglądała na zaskoczoną. Zresztą nie chcę być wścibski. Trzymaj się. Jeśli ją zobaczysz, pozdrów ode mnie.

– Nie omieszkam.

Roześmiał się.

– Pozdrów też Mila. Pewnie widzisz go częściej niż ja. Ta sprawa z upośledzonymi dziećmi mocno go wytrąciła z równowagi. Wprawdzie niczego nie mówił, ale we śnie przewraca się z boku na bok.

Dochodziło wpół do trzeciej, a ja nie trafiłem na żaden ślad związany z DVLL i zabójstwami. Robin wyszła na całe popołudnie, a dom wydawał się o wiele za duży. Cały dzień był beznadziejny.

Na chwilę zapomniałem o Helenie i Nolandzie, lecz rozmowa z Rickiem znów przywołała wspomnienia.

Co ją popchnęło do tak gwałtownego zerwania z dotychczasowym życiem?

Czyżby te rodzinne zdjęcia znalezione w garażu Nolana?

Helena była twarda i znała się na swojej pracy, ale w życiu prywatnym czuła się samotna.

Czyżby zdała sobie sprawę, że bardziej przypomina swego brata?

Czy widząc jego samozniszczenie, zaczęła się zastanawiać, gdzie sama skończy? Zaczęła wracać na porzucone ścieżki?

W rodzinach depresja często przechodzi z pokolenia na pokolenie. Czyżbym coś przeoczył?

Zadzwoniłem do Heleny do domu. Telefon dzwonił i dzwonił, a mnie przez głowę przelatywały najczarniejsze myśli.

Myślałem o Nolandzie, który pojawił się w izbie przyjęć i nawet nie spytał o siostrę.

„Nawet jako dzieci wiedliśmy dwa różne życia. Po prostu ignorowaliśmy jedno drugie. Czy to normalne?”

Ten rodzaj dystansu uchodzi za normę obyczajową, kiedy nic szczególnego się nie dzieje. Ale gdy zdarza się tragedia, wówczas taki dystans może wywołać niesłychane poczucie winy.

Jej rodzice nie żyli, mąż porzucił ją i wyprowadził się do Karoliny Północnej.

Codziennie chodziła na dyżur w izbie przyjęć, wcielała się w rolę bohaterki. A kiedy wracała do domu...?

Czyżby ten niezawodny silnik w końcu jednak zawiódł?

Nie miałem nic do roboty, więc postanowiłem przejechać się do niej do domu.

Może zastanę ją siedzącą w szlafroku na sofie, wpatrzoną w opery mydlane i wypychającą policzki jakimiś niezdrowymi przekąskami. Może rozżłości się z powodu tego najścia, a ja poczuję się głupio.

Jakoś to przeżyję.

Przejazd na zachodni koniec Valley zajął mi trzy kwadransy. Po kolejnych dziesięciu minutach odnalazłem właściwy adres w Woodland Hills.

Dom był mały i żółty, zbudowany bez jakiegoś konkretnego stylu. Stał przy rozpalonej, szerokiej ulicy ze szpalerem dostojnych kwitnących drzew. Na chodnikach leżały czerwone kwiaty, a w gałęziach drzew buszowały kalifornijskie sójki. Przez smog przezierały promienie słońca. Choć nie słyszałem samochodów na autostradzie, czułem je w powietrzu.

Trawnik od frontu był wyschnięty i nie przystrzyżony. Przed werandą rosły wielkie bezkształtne kępki margerytek. Na podjeździe ani śladu mustanga Heleny, a garaż okazał się zamknięty. Niczego nie znalazłem w skrzynce na listy, a moje pukanie do drzwi pozostało bez odpowiedzi.

Na sąsiednim podjeździe stały dwa samochody: biała furgonetka i acura w tym samym kolorze.

Podszedłem bliżej. Na ceramicznej tabliczce pod dzwonkiem przeczytałem: MILLEROWIE. Na górze – krucyfiks. Całość wyglądała na wyrób domowy. W oknie wisiał klimatyzator, który brzęczał swojego walca.

Zadzwoiłem i po chwili odchyliła się mosiężna klapka judasza.

– Słucham? – rozległ się męski głos.

– Nazywam się Alexander Delaware. Jestem doktorem psychologii i znajomym państwa sąsiadki Heleny Dahl. Nie odzywa się od jakiegoś czasu, więc niektórzy z nas trochę zaczęli się niepokoić.

– Eee... chwileczkę.

Drzwi otworzyły się i twarz owiało mi chłodne powietrze. Wzrokiem zmierzyło mnie dwoje dwudziestoparolatków. On wysoki, ciemny, brodaty, ze spalonym przez słońce nosem. Nosił różową hawajską koszulę, dzinsowe spodnie. Był bez butów. W dłoni trzymał wilgotną puszkę sprite'a.

Obok niego stała szczupła, szeroka w barkach, lecz przystojna kobieta. Miała jasnożółte, na pozór bezładnie ułożone włosy z dwoma loczkami na górze. Opalizującą niebieską koszulkę wpuściła

w czarne szorty. Długie paznokcie pomalowała białoperłowym lakierem.

– Kto się niepokoi o Helenę? – zapytał mężczyzna.

– Jej znajomi, współpracownicy ze szpitala Cedars.

Nic nie odpowiedział.

– Rzuciła pracę bez wyjaśnienia. Czy wyjechała z miasta? – zapytałem.

Niechętnie skinął głową, ale niczego więcej sienie dowiedziałem. Za jego plecami ujrzałem schludnie urządzony salon. Na ekranie wielkiego telewizora pokazywano jakiś kanał z telezakupami. Prezentowano właśnie naszyjnik z pereł i kolczyki do kompletu za jedyne 234 dolary.

– Chcemy po prostu wiedzieć, co się z nią dzieje – powiedziałem. – Słyszeli państwo o jej bracie?

Przytaknął.

– Nigdy go tu nie widziałem. Przynajmniej od czasu, kiedy się tu wprowadziliśmy, a było to jakieś dwa lata temu.

– Ale oboje się tu wychowali – dodała kobieta. – To dom ich rodziców. – Mówiła z południowym akcentem. – Helena opowiadała, że jej brat pracuje w policji. Dziwne, że to zrobił.

– Wiedzą może państwo, dokąd wyjechała? – indagowałem.

– Mówiła, że wybiera się na wakacje – wyjaśnił mężczyzna. Pociągnął łyk z puszki i zaproponował napój żonie, lecz ta pokręciła głową.

– Mówiła dokąd?

– Nie – odparł Miller.

– Kiedy wyjechała?

– Jeszcze raz – jak pan się nazywa?

Powtórzyłem nazwisko i pokazałem moją wizytówkę oraz odznakę policyjnego konsultanta.

– Pan też jest z policji?

– Współpracuję z nimi od czasu do czasu, ale to nie ma nic wspólnego z Nolanem Dahlem.

Mężczyzna rozluźnił się.

– Moja praca też ma związek z policją. Uczę w szkole ruchu drogowego, właśnie otworzyłem własną firmę. Naprawdę nie ma pan nic wspólnego z bra tem Heleny? Nie zajmuje się pan jego samobójstwem? Na przykład z ramienia firmy ubezpieczeniowej albo czegoś takiego?

– Naprawdę nie – zapewniłem go. – Po prostu martwię się o Helenę.

– Po prostu wyjechała na odpoczynek. Przynajmniej tak nam powiedziała. Czy można ją za to winić?

Pokręciłem głową.

– Biedactwo – westchnęła pani Miller.

Jej mąż wyciągnął do mnie rękę.

– Jestem Greg Miller. A to jest Kathy.

– Bardzo mi miło.

– Wyjechała wczoraj – wyjaśnił. – Przepraszam za tę podejrzliwość, ale ostrożności nigdy za wiele. O takich rzeczach teraz się słyszy, że sam pan rozumie. Próbujemy założyć komitet wszystkich lokatorów z naszej ulicy, żeby nawzajem pilnować sobie domów. Helena prosiła nas, żebyśmy opiekowali się domem podczas jej nieobecności.

– Macie w okolicy problemy z przestępczością?

– To jeszcze nie Watts, ale jest gorzej, niżby pan przypuszczał. Przeważnie to dziecięce wygłupy, lecz teraz nawet białym dzieciakom wydaje się, że należą do gangów. W zeszłym tygodniu była jakaś wielka zabawa tam, w Granada Hills. Pojawili się ludzie z gangów, ale ochrona ich nie wpuściła. Zaczęli jeździć po okolicy i strzelać, gdzie popadnie. Czasami pracuję na nocnej zmianie, więc uczę Kathy strzelania. Jest w tym niezła. Pewnie kupimy sobie też psa obronnego.

– Wygląda na to, że macie tu poważne kłopoty.

– Dla mnie wystarczająco poważne – przyznał Miller. – Wierzę w działania prewencyjne. Do niedawna po okolicy do późna w nocy włóczyły się tylko dzieci z włączonymi na cały regulator radiami. Wydierały się, rzucały butelkami. Ale w ostatnich kilku miesiącach zdarzyło się kilka włamań. I to nie tylko nocą, lecz również w dzień, kiedy ludzie wychodzili do pracy.

Para wymieniła kolejne spojrzenie. Kathy skinęła przyzwalająco głową, a Greg dorzucił:

– Może pana zainteresuje, że ostatniego włamania dokonano u Heleny. Dosłownie dwa dni temu. Jak pomyśleć o tej historii z bratem i teraz o tym, to trudno się dziwić, że chciała się stąd wyrwać, prawda? To pewnie ta kropla przepełniła czarę.

– Dwa dni temu?

– W nocy. Helena nocę spędzała przeważnie w szpitalu. Wyszła, żeby kupić coś do jedzenia, a kiedy wróciła, zobaczyła wyłamane tylne drzwi. Kathy i ja byliśmy poza domem, lecz na szczęście do nas się nie dobierali. Helenie zabrali telewizor, sprzęt muzyczny i trochę biżuterii. Stwierdziła, że ma dość Los Angeles.

– Dzwoniła na policję?

– Nie, powiedziała, że policji też ma już dość. Doszedłem do wniosku, że chodzi o brata, zresztą nie chciałem wypytywać. Chociaż uważałem wówczas, że zdecydowanie powinniśmy zgłosić włamanie. Dla bezpieczeństwa całej ulicy. Ale była taka przygnębiona.

– Aż trudno uwierzyć, że to wszystko mogło się przytrafić takiej osobie – rzekła Kathy Miller. – To taka miła kobieta, choć zamknięta w sobie, lecz zawsze bardzo miła.

– Nie wiedzą państwo, dokąd mogła wyjechać? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia – odparła Kathy. – Powiedziała tylko, że musi odpocząć, a my nie chcieliśmy być wścibscy. Do samochodu zapakowała kilka walizek, ale nie wiemy nawet, czy wybrała się w podróż samochodem, czy po prostu pojechała na lotnisko. Zapytałam, jak długo jej nie będzie, lecz odparła, że nie jest pewna i że zadzwoni, gdy pobyt się przeciągnie. Jeśli rzeczywiście zadzwoni, czy mam jej powiedzieć, że pytał pan o nią?

– O tak, proszę – powiedziałem. – A jak idzie zakładanie osiedlowego stowarzyszenia samoobrony?

– Samo nic nie idzie – odrzekł Greg. – Bóg pomaga tylko tym, którzy sami sobie pomagają.

Podczas powrotu do domu utknąłem w korku na autostradzie i musiałem znosić złe humory kierowców. Kiedy tak stałem w kolejce samochodów tuż przed zjazdem na Bulwar Zachodzącego Słońca, wróciłem myślami do rodziny Dahlów.

Obrobiono oba domy, Nolana i Heleny.

Wprawdzie włamań w Los Angeles jest coraz więcej, ale nigdy nie wierzyłem w aż takie przypadki i ta sprawa zaczęła mnie niepokoić.

Ktoś na nich polował?

Ktoś czegoś szukał? Może informacji na temat śmierci Nolana?

A może czegoś, co ma Helena?

Tego dnia, kiedy pojechałem z nią do domu Nolana, zabrała tylko rodzinne albumy, ale może później wróciła, przeszukała ten bałagan i znalazła coś jeszcze.

Coś co wzburzyło ją na tyle, by przerwać terapię, rzucić pracę i wyjechać z miasta?

A może po prostu to była ta ostatnia kropla?

Samochody ruszyły i znów stanęły.

Wokół rozlegały się klaksony, przekleństwa, widać było uniesione w obraźliwym geście środkowe palce.

Zarówno psychika ludzi, jak i wnętrza maszyn zaczęły się „przegrzewać”.

Cywilizacja.

Tego wieczoru o ósmej siedziałem z Robin w wannie, kiedy zadzwonił telefon. Popatrzyła na mnie. Włosy miała upięte do góry. Woda sięgała jej do piersi.

Uśmiechnęła się.

Wciąż jeszcze czułem wibracje.

Nie słabsze od wibrującego dzwonka telefonu.

Udawaliśmy, że nikogo nie ma w domu. Cholerny telefon w końcu zamilkł.

Później, kiedy już wycieraliśmy się z wody, odsłuchałem wiadomości nagranej na sekretarce.

– Tu Milo. Zadzwonź na moją komórkę w samochodzie.

Wykręciłem numer.

– Mamy kolejny przypadek z DVLL. Komenda w Hollywood, wydarzyło się to jeszcze przed Raymondem Ortizem. Siedemnaście miesięcy temu.

– Kolejne biedne dziecko – westchnąłem. – Ile lat...

– Nie, to nie dziecko. I nie jest to osoba upośledzona. Wręcz przeciwnie.

Spotkałem się z Milem w całodobowej kafejce Boatwright's przy Highland, na północ od Melrose. Moim oczom ukazał się kosmiczny wystrój rodem z lat sześćdziesiątych i kontuar w kształcie bumeranga, przy którym na stołkach siedziały trzy osoby z nosami w gazetach. W tle z trzeszczącej taśmy leciał jakiś kawałek Hollywood Strings.

Milo siedział tam, gdzie zwykle, w schowanym z tyłu boksie. Naprzeciwko niego ujrzałem jakąś brunetkę. Pomachał do mnie, a kobieta odwróciła się w moją stronę. Wyglądała na mniej więcej dwadzieścia pięć lat, bardzo szczupła i na swój sposób ładna – miała spiczasty podbródek i prosty nos, karnację koloru kości słoniowej, ostrzyżone w klin kruczoczarne włosy i błyszczące czarne oczy. Ubrana była w czarny kostium. Nas stoliku przed nią stał koktajl czekoladowy w dużej szklance. Milo z wetkniętą pod szyję serwetką zajadał smażone krewetki z cebulą, popijając to mrożoną herbatą.

Kobieta przypatrywała mi się, dopóki nie podszedłem na odległość pół metra. Wówczas uśmiechnęła się, raczej z obowiązku niż ze szczerej chęci. Mierzyła mnie spojrzeniem od stóp do głowy, jakby brała miarę na garnitur.

– Alex, to jest detektyw Petra Connor z wydziału zabójstw komendy w Hollywood. Petra, to doktor Alex Delaware.

– Miło mi pana poznać – odezwała się Connor. Lekkim makijażem podkreśliła głębię oczu, choć wcale nie musiała tego robić. Petra Connor miała bardzo długie i bardzo szczupłe ręce o ciepłych mocnych palcach, którymi ścisnęła na sekundę moją dłoń, by szybko je cofnąć i przytrzymać słomkę sterczącą z koktajlu.

Wsunąłem się do boks obok Mila.

– Zjesz coś? – zapytał.

– Nie, dziękuję. Co się stało?

– To się stało, że obecna tu detektyw Connor ma sokole oko.

– Po prostu łut szczęścia – odezwała się cichym głosem. – Zazwyczaj w ogóle nie zaglądam do okólników.

– Bo zazwyczaj to jedno wielkie gówno.

Uśmiechnęła się i zakręciła słomką.

– O, przepraszam – powiedział Milo. – Zapomniałem, że pracując z Bishopem, pewnie nie słyszysz takich brzydkich słów.

– Ja nie, ale Bishop – owszem – odparła Connor.

– Jej partner jest mormonem – wyjaśnił mi Milo. – Bardzo inteligentny, bardzo hetero, pewnie któregoś dnia zostanie komendantem policji. On i Petra dostali tę sprawę jakiś czas temu. Bishop jest obecnie na urlopie na Hawajach z żoną i milionem dzieci, więc Petra robi teraz za samotnego rewolwerowca.

– To wszystko jest wprost niewiarygodne – odezwała się Connor. – To musi być niesamowite mieć do czynienia z czymś, co zapowiada się na seryjne morderstwa. Bo ten nasz przypadek to nawet nie morderstwo, dziwne samobójstwo. Jednak nie na tyle dziwne, by koroner zmienił swoje orzeczenie. Zamknęliśmy więc sprawę jako przypadek samobójstwa. Ale kiedy zobaczyłam ten okólnik...

Kręcąc głową odstawiła koktajl i lekko dotknęła ust. Na słomce zostawiła ślady brązowej szminki. Czerń jej włosów była naturalna. Prawdopodobnie bliżej miała już do trzydziestki niż do dwudziestu pięciu lat, lecz na twarzy nie widziałam ani śladu zmarszczki.

– Kto był ofiarą? – zapytałem.

– Dwudziestodziewięcioletni naukowiec, niejaki Malcolm Ponsico. Fizjolog komórki, niedawno się doktoryzował i uchodził za kogoś w rodzaju geniusza. Mieszkał w Pasadenie, ale pracował w laboratorium przy Bulwarze Zachodzącego Słońca, w pobliżu Vermont, w szpital – nym kwartale. Tam właśnie się zabił i tak sprawa przypadła nam w udziale.

– Pracowałem kiedyś w Western Pediatrics – powiedziałem.

– To właśnie tam, dwie przecznice dalej. Laboratorium nazywa się PlasmDerm. Wykonują tam badania skóry, opracowują sztuczną skórę dla ofiar oparzeń i inne tego rodzaju rzeczy. Ponsico specjalizował się w błonach komórkowych. Zabił się, wstrzykując sobie roztwór chlorku potasu. W ten sam sposób wykonuje się gdzieś tam karę śmierci. Pracował do późna, a o czwartej nad ranem sprzątaczką znalazła zwłoki przewieszane przez stół laboratoryjny. W miejscu, gdzie uderzył głową w kant stołu, miał ogromne rozcięcie.

Przejechała palcem wzdłuż starannie wydepilowanych czarnych brwi.

– Kiedy umarł, upadł na głowę?

– Tak stwierdził coroner.

– A co z tym DVLL?

– Ten napis zostawił na monitorze komputera. Cztery litery dokładnie pośrodku ekranu. StU, to jest detektyw Bishop, i ja doszliśmy do wniosku, że to pewnie kawałek jakiegoś wzoru czy czegoś podobnego. Ale ze zwykłej ostrożności zaczęliśmy pytać o to ludzi związanych ze sprawą, na wypadek gdyby okazało się, że to zaszyfrowany list samobójcy. Nikt z PlasmDerm nie miał pojęcia, co to znaczy. Litery nie pojawiły się też w żadnym z plików komputerowych Ponsico – wszystko kazaliśmy sprawdzić naszemu fachowcowi od przezwierzczenia danych. Musiał przekopać się przez mnóstwo liczb i wzorów. Nikogo nie zaskoczyło, że Ponsico napisał coś, czego poza nim nikt nie rozumiał. To był właśnie geniusz, mózg żyjący we własnym świecie.

– Zostawił jakąś wiadomość w domu?

– Nie. W jego mieszkaniu wszystko leżało ułożone w jak najlepszym porządku. Wszyscy powtarzali, że to taki cichy miły człowiek. Trzymał się samotnie i był naprawdę oddany pracy. Nikt nie zauważył u niego przygnębienia, a jego rodzice z New Jersey powiedzieli, że kiedy dzwonili do niego, nim popełnił samobójstwo, wydawał się zupełnie normalny. Ale rodzice bardzo często tak mówią. Ludzie strzegą przecież pilnie swoich tajemnic.

– Wydawał się normalny? – zapytałem. – To chyba dowód na to, że jego życie nie było jednym wielkim pasmem szczęścia.

– Rodzice twierdzą, że zawsze był poważnym chłopcem. Tak właśnie powiedzieli – chłopcem. Miał zadatki na geniusza, więc zazwyczaj pozwalali mu, by wszystko robił po swojemu i młody Ponsico wywiązywał się z postawionych przed nim zadań. To też ich określenie. Oboje są profesorami. Odniosłam wrażenie, że w domu żył pod ogromną presją. Ślady wskazują na czyste samobójstwo. Odciski palców Ponsico znajdowały się wszędzie, również na fiolce z potasem. Coroner stwierdził, że pozycja, w jakiej znaleźliśmy zwłoki, odpowiada położeniu ciała samobójcy. Stwierdził również, że śmierć nastąpiła szybko – rozległy zawał serca, choć Ponsico mógł sobie jeszcze bardziej ułatwić sprawę, gdyby zażył środki uspokajające, takie jak na przykład członkom plutonu egzekucyjnego. Ale w końcu przy samobójstwie nie asystował mu nikt

z Amerykańskiej Unii Swobód Obywatelskich.

– W takim razie co jest podejrzanego w jego śmierci?

– Była dziewczyna Ponsico, również zatrudniona w laboratorium, niejaka Sally Branch, przekonana, że coś tu śmierdzi, wciąż do nas wydzwaniała i prosiła, byśmy bliżej przyjrzeni się tej sprawie. Twierdziła, że samobójstwo nie miało sensu. Ponsico nie miał powodów, by się zabijać, a ona by wiedziała, gdyby coś było nie w porządku.

– Mimo że jest jego byłą dziewczyną?

– Dokładnie o tym samym pomyślałam, doktorze. Próbowaliśmy także rzucać podejrzenia na nową dziewczynę Ponsico, więc doszliśmy do wniosku, że chodzi o zwykłą zazdrość. Później poznałam tę nową dziewczynę i już nie byłam tego taka pewna.

Upiła łyk wody.

– Nazywa się Zena Lambert i jest dziwna. Pracowała jako urzędniczka w PlasmDerm, ale odeszła stamtąd kilka miesięcy przed śmiercią Ponsico.

– Dziwna? W jaki sposób? – zapytałem.

– Miałam wrażenie... że wywyższa się ponad innych. Jajogłowa, lecz w złym znaczeniu tego słowa. Opryskliwa. Daje człowiekowi do zrozumienia, że jest od niego mądrzejsza i nie życzy sobie, by jacyś głupcy marnowali jej czas. Chociaż twierdziła, że boleje nad śmiercią Ponsico.

– Intelktualna snobka? – dopytywałem się.

– Właśnie. To śmieszne, bo Sally Branch ze swoim doktoratem sprawia wrażenie zupełnie zwyczajnej osoby, a tu jakaś urzędniczka uważa się za Bóg wie co. Ale wredny charakter to za mało, żeby kogoś podejrzewać, więc nic na nią nie mieliśmy.

– Czy Sally Branch podała jakiś powód swoich podejrzeń wobec Zeny?

– Mówiła, że Ponsico wyraźnie się zmienił, od kiedy zaczął z nią chodzić. Stał się jeszcze bardziej skryty, mniej towarzyski, a nawet wrogi. Wydawało mi się to logiczne. Skoro zerwał z Sally, rzadziej spotykał się z nią towarzysko.

– A powiedziała, dlaczego z nią zerwał?

– Wszystko przez Zenę. Według jej relacji Zena spadła na Ponsico niczym jakaś harpia i porwała go. Według Sally Zena wciągnęła Ponsico do jakiegoś klubu dla nadzwyczajnie inteligentnych ludzi i nasz młody doktor dostał obsesji na punkcie własnej inteligencji. Stał się niezwykle arogancki. Ale jeśli chodzi o dowody, niczego więcej nie mieliśmy. Sally nie wyjaśniła też, dlaczego Zena mogłaby chcieć skrzywdzić Ponsico. W końcu przestałam odbierać telefony od niej. A teraz Milo opowiedział mi tych morderstwach z DVLL. Ktoś zabija upośledzone osoby, być może ma to związek z dążeniem do czystości genetycznej. Przypomniałam sobie wtedy o tym klubie inteligentnych.

Pokręciła głową.

– Mimo to wciąż nie widzę tu związku ze śmiercią Ponsico, chyba że swego zabójcę poznał w tym klubie i za dużo się dowiedział.

– Czy po odejściu z PlasmDerm Zena znalazła inną pracę? – zapytałem.

– Pracuje w księgarni w Silverlake. Wszystko jest w aktach sprawy.

– Czy Sally podała wam nazwę tego klubu? – indagowałem, rozmyślając o Nolandzie Dahlu, kolejnym samobójcy o wysokim ilorazie inteligencji.

– ”Meta” – odparła Petra. – Naprawdę sądzi pan, że to może mieć jakiś związek?

Opowiedziałem obojgu, czego dowiedziałem się w bibliotece.

– Przetrwają tylko najpodlejsi – odezwała się Connor. – To mi przypomina coś, co kiedyś usłyszałam od ojca.

Był profesorem w Arizonie, antropofizjologiem. Badał zachowanie wilków na pustyni. Powiedział mi, że trwają zakrojone na szeroką skalę badania nad ludzkim genomem. Naukowcy chcą zbadać funkcję każdego genu człowieka. Ostatecznym celem jest zebranie szczegółowych informacji na temat każdego z nas. Tata mówił, że to ogromna nadzieja dla medycyny, ale ów projekt może mieć też przerażające skutki. Co zrobimy, jeśli towarzystwa ubezpieczeniowe dotrą do tych informacji i nie wypłacą nam odszkodowania za chorobę, bo odkryją mutację jakiegoś genu kilka pokoleń wstecz w naszej rodzinie? A może firmy będą odmawiać zatrudniania niektórych osób, bo z ich genomu wynika, że za kilka lat mogą z dużym prawdopodobieństwem zachorować na raka?

– A może Wielki Brat wykryje wszystkie zmutowane geny i pozabija ich nosicieli? – zastanawiał się Milo. – Czy w PlasmDerm zajmowano się tego typu badaniami?

– Nie, tylko przeszczepami skóry, ale nawet jeśli się tym zajmowano, nie wyjaśnia to, dlaczego właśnie Ponsico się zabił.

– Może dowiedział się, że choruje na jakąś nieuleczalną chorobę?

– Nie. Koroner stwierdził, że był zdrow jak ryba.

Milo wyciągnął notatnik.

– ”Meta”. Brzmi jak jakieś greckie słowo.

– Bo tak właśnie jest – przytaknęła Petra. – Przed naszym spotkaniem zajrzałam do akt i sprawdziłam to słowo. Oznacza zmianę, transformację. Coś, co wyznacza nową jakość.

– Jakiś cholerny nowy wspaniały świat? – ironizował Milo. – Banda aroganckich przemądrzalców spotyka się i wymądrza na temat uszlachetnienia gatunku, a jeden z nich postanawia wcielić te teorie

w życie?

Oboje spojrzeli na mnie.

– Niewykluczone – odparłem. – Gdybyś się uważał za istotę wyższą, w końcu mógłbyś dojść do wniosku, że nie obowiązują cię żadne reguły.

Na parkingu Connor powiedziała:

– Dziś rano rozmawiałam ze Stu. Wróci z Maui dopiero za tydzień. Powiedział, żebym przekazała wam wszystkie akta.

Z dużej czarnej torebki wyjęła teczkę i podała ją Milowi.

– Dziękuję, Petro.

– Nie ma sprawy. – Uśmiechnęła się na moment. – Obiecuj mi tylko, że kiedy ja roześlę jakiś okólnik, to go przeczytasz.

Patrzyliśmy, jak odjeżdża kilkuletnią czarną hondą accord.

– Świeży narybek – wyjaśnił Milo – ale daleko zajdzie... No cóż, teraz chyba nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zapoznać się z tym materiałem i dać go tobie do przejrzania. Potem pogadamy z obydwoma narzeczonymi Ponsico.

– To najlepszy ślad, jaki nam się trafił do tej pory – powiedziałem. Nie wspominałem o przecuciu co do siostry Nolana, bo wciąż obowiązywała mnie tajemnica lekarska i nie widziałem powodu, by ją ujawniać.

Podeszliśmy do mojego cadillaca Seville.

– Dzięki za czas spędzony w bibliotece, Alex. Będziesz miał jeszcze chwilę, żeby tam wrócić i sprawdzić ten klub „Meta”?

– Jutro z samego rana. Sharavi ma dobry sprzęt komputerowy. Zamierzasz powiadomić go o nowym tropie?

– Jeszcze nie zdecydowałem. To, co mu powiemy, zaraz trafi na biurko Carmelego, a w tej chwili ostatnie, czego mi potrzeba, to pogrążyć w rozpacz ojciec o ogromnych możliwościach... nie, to go na długo nie powstrzyma. Do diabła, jeśli mu nie powiemy, znów zacznie nas podsłuchiwać.

Roześmiał się, zaklął pod nosem.

– Trudno się skupić... aha, chyba już wiem, skąd Sharavi miał dostęp do butów Raymonda Ortiza. W ten sam sposób dotarł do akt sprawy. Pamiętasz, jak pierwszym razem Manny Alvarado szukał i nie mógł ich znaleźć? Okazuje się, że kilka dni wcześniej do jego komendy wpadł jej były szef.

Facet nazywa się Eugene Brooker i jest jednym z najwyższych rangą czarnoskórych policjantów w naszym wydziale. Sądono nawet, że zostanie zastępcą szefa wydziału. Ale zeszłego lata zmarła mu żona. A zgadnij, kto był zwierzchnikiem sił bezpieczeństwa podczas tych samych Igrzysk Olimpijskich, przy których pracował Sharavi? Z tego wynika, że Izraelczycy mają dojścia w naszym wydziale i Bóg wie gdzie jeszcze. Niezależnie od tego, jak bardzo szczerzy stara się być Sharavi, nie mogę się pozbyć wrażenia, że coś ukrywa w zanadru. Sądysz, że te jego komputery mogłyby nam jakoś pomóc?

– W bibliotece dotrę do źródeł naukowych i wszystkich materiałów z prasy anglojęzycznej. Ale jeśli ta „Meta” jest jakąś grupą międzynarodową albo zamieszana jest w jakieś przestępstwa poza USA, Sharavi mógłby nam pomóc.

Milo zamyślił się nad tym.

– Cały czas zakładamy, że „Meta” to jakaś większa afera. Na razie wiadomo, że to grupka jajogłowych zbierających się na posiedzenia przy paluszkach i gratulujących sobie nawzajem nieprzeciętnej inteligencji, jaką otrzymali w darze od Boga. Nawet jeśli jeden z nich jest zabójcą, to jak wyłowimy go z grupy?

– Jeśli istnieje jakaś lista członków i dotrzemy do niej, moglibyśmy porównać ją z bazami danych policji, FBI i wszelkimi innymi. Możemy też sprawdzić, czy którykolwiek z członków mógłby mieć okazję lub motyw do dokonania tych trzech zabójstw. Mógł na przykład pracować w parku, gdzie porwano Raymonda, albo w rezerwacie.

– Pracownik parku z wysokim ilorazem inteligencji?

– Facet, który nie sprawdził się w życiu – wyjaśniłem. – Tak mi się zresztą od początku wydawało.

– Druga dziewczyna Ponsico, ta Lambert, też mi wygląda na osobę, która się nie sprawdziła. Urzędniczka. Nie podejrzewam jej specjalnie – w końcu nasz zabójca zdecydowanie musiał być silnym mężczyzną, bo nosił ciała Irit i Raymonda, i udusił Latvinie.

Wsiadłem do samochodu.

– Co sądzisz o tym badaniu genów, o którym mówiła Petra? – zapytał Milo.

– Akurat tego nam teraz potrzeba. Jakaś metamapa określająca, kto jest wart tego, by żyć, a kto nie.

– A więc nie masz ochoty zdać się na łaskę intelektualistów i towarzystw ubezpieczeniowych, co?

Roześmiałem się.

– Gangsterom, szmuglerom narkotyków i rabusiom może bym nawet zaufał. Ale intelektualistom i ubezpieczycielom – nigdy.

O szóstej rano Daniel otworzył okiennice. Pracował od północy. Pokój komputerowy zalało światło poranka.

Włożył filakterie, zaczął się modlić bez przekonania i wyjrzał na małe podwórko wyłożone betonem. Lepsze to niż nic.

Większą część nocy spędził ze słuchawką telefonu przy uchu. W ten sposób niwelował różnicę czasu między Ameryką a Europą, Azją i Bliskim Wschodem. Konwersował z policjantami z różnych krajów w czterech językach, odświeżał stare znajomości, przedzierał się przez gąszcz policyjnej biurokracji, która wszędzie była tak samo uciążliwa.

Szukał wzmianek o DVLL, morderstw na tle etnicznym lub rasowym, jakichkolwiek związków seryjnych zabójstw z czystkami genetycznymi, jakichkolwiek zmian w polityce grup neonazistowskich, nacjonalistycznych i innych uważających się za kasty wyższe.

Problem nie leżał w liczbie informacji. Miał ich aż nadto. Rozwój demokracji w kolejnych regionach Europy sprawiał, że ze swoich nor wypełzało coraz więcej wszelkiego rodzaju szaleńców, którzy korzystali ile wlezie z przywileju wolności słowa. Ostatecznie jednak nie doszukał się żadnego, nawet najmniejszego związku z morderstwami popełnionymi w Los Angeles.

Szybko zakończył modlitwę, przeprosił Boga i schował modlitewne akcesoria. Następnie poszedł do małej ciemnej łazienki, gdzie odkręcił kurek prysznicu, rozebrał się i wszedł pod strumień wody, nie czekając nawet aż się nagrzej.

Ciepła woda potrzebowała dokładnie dwóch minut i czterdziestu dwóch sekund, by przedrzeć się przez stare rury. Zmierzył czas poprzedniego dnia i dziś odpowiednio do tego miał dostosować rozkład zajęć.

Dziś jednak narażał się na ukłucia zimnych igiełek wody.

Czyżby chciał wypłukać ostatnią noc?

Zaczął od Heinza-Dietricha Halzella z berlińskiej policji, który poinformował go, że rasistowska prasa wciąż drukuje obrzydlistwa. Kiedy tylko policja dostaje nakaz zamknięcia tytułu, dranie przenoszą się gdzie indziej i zaczynają od nowa. Głupi młodociani chuligani wciąż biją Turków i każdego o ciemniejszej karnacji. Wszczynają rozróbę, dewastują cmentarze.

Głos Halzella pobrzmiwał żalem. Naprawdę było mu przykro, tak jak może być przykro tylko Niemcowi. W zeszłym roku Daniel gościł go w Jerozolimie podczas konferencji na temat bezpieczeństwa. Halzell był naprawdę przyzwoitym człowiekiem. Tak jak wszyscy, którzy nie pozwalają, by ich serce zamieniło się w nieczuły głaz.

Morderstwa upośledzonych dzieci? Nie, Heinz-Dietrich o niczym takim nie słyszał. DVLL? Nie,

niczego takiego nie znalazł u siebie w aktach, ale obiecał popytać. Zaciekawilo go, co sie dzieje w Los Angeles.

Kiedy Daniel co nieco mu opowiedzial, Halzell westchnal i obiecal, ze naprawde sie rozejrzy.

Uri Drori z izraelskiej ambasady w Berlinie sprawdzil i potwierdzil wszystko, o czym mowil Halzell. Daniel zadzwonil do Droriego nie dlatego, ze nie ufal Niemcowi, lecz dlatego, iz z doswiadczenia wiedzial, ze mozliwosci zdobywania informacji zalezaly scisle od zajmowanej pozycji.

Drori mowil o rosnacej powoli fali drobnych incydentow, powtorzil niemal slowo w slowo narzekania Heinza-Dietricha na idiotow pojawiajacych sie jak grzyby po deszczu.

„To sie nigdy nie skonczy, Dani. Im wiecej jest demokracji, tym wiecej pojawia sie tego gowna, ale jakie mamy inne wyjście?”

Podobne rozmowy odbyl z Bernardem Lamontem z Paryza, Joopem Van Gelderem z Amsterdamu, Carlosem Velasquezem z Hiszpanii i innymi.

Zadnych morderstw na uposledzonych. Brak sladu na temat DVLL.

I tak naprawde wcale to Daniela nie zdziwilo. Te zabojstwa wygladaly na sprawe wylaczenie amerykanska. Tyle tylko, ze nie potrafil wytumaczyc dlaczego.

Cudowny kraj ta Ameryka. Wielki, wolny i naiwny. Ludzie o wielkich sercach zawsze sklonni uwierzyc w dobro, jesli tylko istnial chocby cien watpliwosci.

Nawet po zamachu na World Trade Center nie wybuchly zadne antyislamskie zamieszki na wielka skale. Ambasada Izraela w Nowym Jorku zwracala uwage na takie rzeczy.

Wolny kraj.

Ale jaka byla cena tej wolnosci?

Zeszlej nocy podczas przerwy na kawe uslyszal wycie policyjnych syren. Glošno, gdzieś w poblizu. Wyjrzal przez okno na podwórko i dostrzegl krzacy nisko smiglowiec omiatajacy snopem swiatla okoliczne podwórka niczym gigantyczna modliszka wypatrujaca ofiary.

Z policyjnego skanera dowiedzial sie, ze szukaja podejrzanym o napad z bronia w reku na rogu Beverly Drive i Pico.

Niespełna dwa kilometry dalej, niedaleko domu Zeva Carmelego.

Niedaleko od domu na Monte Mar, gdzie wychowala sie Laura. Rodzice sprzedali go i kupili dwa niewielkie apartamenty – jeden w Beverly Hills, drugi w Jerozolimie, gdzie teraz mieszkali z Laurą.

Nim wyjechal do Stanow, tesc ostrzegl go: uwazaj, wiele sie tam pozmienialo.

„Całkowite załamanie, Danny Boy – mówił Gene. – Chodzenie do szkoły może być szkodliwe dla zdrowia dziecka”.

To był jeden z powodów, dla których Gene sprzedał wielki dom w Lafayette Park. Wyruszał do Arizony... w zasadzie bez powodu, by przeprowadzić się akurat tam, poza tym, że jest tam ciepło „a ja nie mam co się martwić o czerniaka skóry, prawda?”

Gene się postarzał. Po śmieci Luanne włosy i wąsy mu posiwiały, a skóra stała się workowata.

Śmierć przyszła po Luanne zupełnie nie w porę. Biedna kobieta miała zaledwie sześćdziesiąt lat, kiedy duży wylew krwi dosłownie przewrócił ją na podłodze w kuchni. Tam znalazł ją Gene. I to był kolejny powód, by sprzedać dom.

Miał podwyższone ciśnienie krwi. Znajomy lekarz Daniela powiedział, że u Murzynów to częsta przypadłość. Niektórzy mówili, że to skutek odżywiania, inni – że to kwestia genów. Zdaniem jego znajomego, takie poglądy graniczyły z rasizmem.

Daniel to rozumiał. Nawet nie liczył, ile razy Arabowie nazywali go brudnym Żydkiem, a inni – z powodu skóry – czarnuchem.

Kiedy to słyszał, nie reagował w widoczny sposób, tylko w uszach czuł dudnienie serca... Zaczął się zastanawiać, czy Gene zajął się swoją cukrzycą. Raczej nie, sądząc po ciasteczkach, które zauważył u niego w kuchni, gdy poszedł odebrać akta i buty Ortiza.

Gene narażał się dla niego, ale Daniel wmawiał sobie, że przyjacielowi wyświadczenie tej przysługi również wyszło na zdrowie.

Biedny człowiek, nie miał nic do roboty poza liczeniem chmur na niebie. Od kiedy Daniel zwrócił mu dokumenty i buty, Gene dzwonił już trzy razy, oferując Danielowi wszelką pomoc.

Ale Daniel nie zamierzał go już o nic prosić. Gene był chory, nie miało sensu wciąganie go w to jeszcze bardziej.

O ile Sturgis będzie współpracował.

Powiedział, że będzie, lecz trudno przewidzieć, jak wszystko się ułoży.

W rankingu osób godnych zaufania Sturgis wysoko by nie zaszedł.

Daniel wyszedł spod prysznicu dokładnie w chwili, kiedy woda zaczęła się ocieplać. Wysuszył się. Wskoczyła mu gęsia skórka, ale ze zdziwieniem stwierdził, że czuje się doskonale.

Ameryka.

Kolebką demokracji była Grecja, lecz jej prawdziwy dom znajdował się tutaj. Miejsce narodzin państwowego współczucia. Żadne inne państwo na świecie nie było tak miłe jak Stany Zjednoczone. Teraz za ową instytucję państwowego współczucia Amerykanie płacili wysoką cenę w postaci

strzelanin na ulicach, łamanie wszelkich zasad i szargania wartości, czy też zwolnień warunkowych dla morderców dzieci.

To samo działo się w ojczyźnie Daniela. Choć Izrael postrzegano w świecie jako mały wojowniczy kraik, Daniel postrzegał go jako społeczeństwo o miękkich sercach, składające się głównie z tych, co przeżyli zagładę, wybaczała przegranym i nie mieli ochoty kogokolwiek karać.

Właśnie dlatego nie radzimy sobie ze zwycięstwami, myślał. Dlatego zostajemy pierwszym w historii krajem, który z własnej woli oddaje ziemię zdobytą w walce w zamian za zawarty na kiepskich warunkach pokój z ludźmi, którzy nienawidzą nas bez reszty.

Obserwował, jak podczas intifady palestyńscy Arabowie wykorzystywali izraelską demokrację do granic możliwości. Odgrywali przeciwiczone masowe przedstawienia udając, że to spontaniczne protesty. Wyolbrzymiali każdy prawdziwy przejaw brutalności okupanta. Ustawiali przed kamerami dzieci rzucające kamieniami. Oczywiście media pożerały to jak smakowity deser. Dzień po dniu w prasie i telewizji pojawiały się zdjęcia żołnierzy okładających demonstrantów po głowach pałkami, a w powietrzu szalał grad gumowych pocisków. Tymczasem Assad zabijał w Syrii dziesiątki tysięcy potencjalnych wrogów i o tym pojawiała się co najwyżej dwuwierszowa wzmianka.

Ale kto mówi, że życie jest sprawiedliwe? Mimo wszystko lepiej jest jednak żyć w wolnym społeczeństwie... chociaż czasami...

Znów przypomniał mu się Eliasza Daoud.

Ten rudowłosy chrześcijański Arab z Betlejem był jego najlepszym detektywem w wydziale zabójstw. Odegrał ważną rolę w sprawie Rzeźnika i nigdy nie pozwolił dojść do głosu etnicznej lojalności, choć nie było to łatwe. Nikt poza Danielem mu nie ufał.

Sukces w sprawie Rzeźnika sprawił, że wszyscy z grupy Daniela dostali awans, choć w przypadku Daouda wymagało to trochę większego nacisku na gryzipiórków.

Daniel był jednak uparty i w końcu Daoud został *mefakeah*, pierwszym arabskim inspektorem w Okręgu Południowym. Podwyżka miała dla tego ojca siedmiorga dzieci o wiele większe znaczenie niż dla innych policjantów.

Daoud został w grupie Daniela i Sharavi przydzielany mu sprawy zabójstw nie związanych z polityką: a to gang z jerozolimskiej Starówki, narkotyki, napady na sprzedawców melonów. Daoud nie prowadził spraw, które choćby trochę pachniały bezpieczeństwem państwa. To dla dobra samego Daouda, jak i dla dobra jego przełożonych. Daniel nie chciał, żeby przyklejono mu łatkę kolaboranta.

Jednak z czasem intifada przybrała na sile. Pojawiały się kolejne, coraz głośniejsze hasła, rosła przemoc. Runęła ściana strachu i w gruzach zaczęło się mrowić robactwo.

Fobie religijne również przybrały na sile. Chrześcijanie z Betlejem, Nazaretu i z innych miejsc przypomnieli sobie, co stało się w Bejrucie, i zaczęli cichnąć. Wielu dawało łapówki, by

przekroczyć granicę z Jordanią i stamtąd ruszyć do rodzin w Europie i USA.

Pewnego ranka, w trakcie poważnego śledztwa na temat udziału gangu Ramai w przemyśle haszyszu, Daniel i jego współpracownicy czekali na Daouda w restauracji przy King George Street. Arabski inspektor miał przedstawić obszerny raport na ten temat, ale się nie pojawiał.

Daniel od razu wiedział, że stało się coś złego. Punktualność Daouda była przysłowiowa.

Odprawił poirytowanych detektywów i zadzwonił do Daouda. Sygnał wskazywał na uszkodzenie linii.

Droga do Betlejem zajmuje zazwyczaj dwadzieścia minut, ale wtedy Daniel pokonał ją w niespełna kwadrans. Nim dotarł do przedmieść Betlejem, ujrzał wojskowe dżipy i policyjne fordysy eskorty z migającymi na niebiesko kogutami. Wokół tłoczyli się ludzie, w powietrzu czuło się atmosferę nadszarpniętych rozruchów.

Pokazał odznakę i przedarł się przez tłum ponurych twarzy do domu Daouda. Wokół niewielkiego sześcianu z piaskowca rozciągnięto policyjną taśmę. W błotnistej kałuży, która uchodziła za podwórko, taplały się kurczaki. W oknie Daouda nie spostrzegł *krzyża* z drewna oliwnego. Kiedy to się zmieniło?

Daniel nie był tu od dość dawna. Wtedy uświadomił sobie, jak beznadziejne jest to miejsce. Niewiele lepsze od lepianki w Jemenie, gdzie urodził się jego ojciec. Ale dzięki awansowi Daoud zdołał spłacić tę chatkę i był z tego bardzo dumny.

Umundurowany policjant przy drzwiach ostrzegł go, by dla własnego dobra nie zaglądał do środka. Lecz Daniel zajrzał, myśląc o Daoudzie, o młodej tęgiej żonie Daouda, którą mąż kochał do szaleństwa i pasł czekoladkami, o siedmiorgu małych dzieci...

Dzieci gdzieś się rozpierzchły, nikt nie wiedział gdzie. Kilka miesięcy później Daniel dowiedział się, że jakimś cudem trafiły do krewnych w Ammanie, ale nie wiedział nic ponadto.

Daoud i jego tęga żona zostali w chatce.

Zarżnięci jak barany na targu.

Pokrojeni, poobijani, rozczłonkowani, z odciętymi językami. Żona Daouda przypominała górę żółtawego tłuszczu. Samego Daouda wykastrowano, a odcięty penis wetknięto mu do ust.

Zrobiono to siekierami, ocenił patolog. I długimi nożami. Napastników było sześciu albo siedmiu. Zaskoczyli ich o północy.

Muchy. Wokół chatki krążyło tyle much.

Na jednej ze ścian krwią wypisano po arabsku:

ALLACH JEST WIELKI! ŚMIERĆ KOLABORANTOM!

Daniel wrócił do French Hill, tłumiąc w sobie wszelkie uczucia.

Zawsze, bez przerwy i całkowicie.

Jak Morze Martwe – płaskie i gorzkie, bez organicznego życia.

Chciał bez emocji poprosić o prowadzenie śledztwa w tej sprawie, żeby przełożeni w ogóle zechcieli rozważyć taką możliwość.

Oczywiście nie zgodzili się twierdząc, że to sprawa związana ze środowiskiem Arabów, a nigdy nie udałoby mu się w nie wejść na tyle, by ktoś zechciał z nim porozmawiać.

Prosił, żądał, ale wciąż otrzymywał tę samą odmowną odpowiedź. Nie chciał się poddać, wiedział, że postępuje idiotycznie. Codziennie wracał do domu, wijąc się z powodu bólu brzucha i głowy. Przymusowe uśmiechy na użytek Laury i dzieci stawały się niemal nie do zniesienia.

Sprawa morderstwa na Daoudach otrzymała nawet swój numer, lecz wyglądało na to, że nikt się nią nie zajmuje.

Daniel stracił serce dla swoich dochodzeń w sprawie gangów. Ramai mogli sobie bez przeszkód sprzedawać hasz, choćby i przez kilka miesięcy. I co z tego. A jeśli sami się pozabijają, to też niewielka strata.

Pisał okólnik za okólnikiem, ale nie otrzymywał żadnej odpowiedzi.

Wreszcie po którejś z kolei odmowie nie wytrzymał i wybuchnął gniewem w gabinecie komendanta Laufera.

„Czy do tego się to sprowadza? Był Arabem, więc nie warto dla niego marnować sił i środków? Inne wartości dla innych ludzi? Gdzie my jesteśmy, w nazistowskich Niemczech?”

Laufer zmierzył go wzrokiem. Przypalał jednego papierosa od drugiego, miał zaspane, pełne pogardy oczy, lecz nie odezwał się ani słowem. To dzięki temu, że Daniel rozwiązał sprawę Rzeźnika, Laufer dostał kopniaka w górę. Kto wie, jak użyteczny może się jeszcze okazać ten Jemeńczyk?

Po tym incydencie ściągnięto kilku podejrzanych na przesłuchania, ale nic to nie dało. Sprawy nie zamknięto i pewnie już tak zostanie na zawsze.

Daniel od czasu do czasu myślał o zwyrodnialcach, którzy to zrobili. Wysłannicy z Syrii czy z Libanu? A może mniej scowi, którzy wciąż mieszkają w Betlejem, mijają tę chatkę – dziś już zburzoną – i naprawdę wierzą, że pokazali Bogu, jacy są wspaniali?

A co się dzieje z siódmką dzieci? Kto je wychowuje? Co im powiedziano?

Że zrobili to Żydzi?

Że tatuś i mamusia stali się palestyńskimi męczennikami?

Arabowie uwielbiali męczenników. Kiedy skończyła się intifada, zabrakło męczenników, młodych chłopców z zadrapaniami na nogach albo grypą, którzy twierdzili, że zostali ranni w walce z syjonistami.

Oto cnota cierpienia.

My, ich żydowski krewni, wcale nie jesteśmy aż tak bardzo różni, prawda? – myślał Daniel. Choć jesteśmy nieco subtelniejsi.

Demokracja...

A teraz te amerykańskie zabójstwa.

Trójka dzieci zamordowana w trzech różnych okręgach policyjnych – Delaware miał co do tego rację. Rozrzucone po całym ogromnym bezkształtnym obszarze, które zwie się miastem.

Upośledzone dzieci... Czy można być jeszcze bardziej okrutnym?

Gene mówił, że dziś to określenie zastępuje się innym... sprawni inaczej.

„Dziś wszystko jest inaczej, Danny Boy. Niscy to wysocy inaczej, pijacy – trzeźwi inaczej, a kryminaliści to uczciwi inaczej”.

„Uczciwi inaczej? Przecież to bez sensu, Gene”.

„O to właśnie chodzi, mój przyjacielu. To w ogóle nie powinno mieć sensu. To taka gra, jak w tej książce «1984». Zmieniamy nazwy, żeby namieszać w głowach porządnym ludziom”.

Uczciwi inaczej.

W takim razie jak można nazwać przy tej sprawie mnie, Sturgisa i Delaware’a?

Skuteczni inaczej?

Nie, po prostu bezradni.

O wpół do ósmej rano stałem już pod drzwiami biblioteki wydziału biologii i medycyny. Wszedłem, kiedy tylko je otworzyli. Byłem ledwie przytomny, na twarzy miałem resztki snu. Wziąłem prysznic, lecz się nie ogoliłem. W ustach czułem jeszcze smak pitej w pośpiechu kawy.

Po dwóch godzinach pracy znalazłem tylko jedną wzmiankę na temat grupy o nazwie „Meta”. Ale to wystarczyło.

Była to depeza agencyjna sprzed trzech lat, zamieszczona w „Daily News”.

KONTROWERSJE WOKÓŁ MANIFESTU

GRUPY INTELEKTUALISTÓW

Nowy Jork – Opublikowany przez organizację samozwańczych geniuszy manifest głoszący ideę selekcji rozrodczej, która chroniłaby czystość puli genowej, oraz popierający eutanazję osobników upośledzonych, wzbudził kontrowersje wśród członków ruchu równouprawnienia społecznego. Grupa znalazła się z dnia na dzień w centrum uwagi.

„Meta”, do niedawna prawie nie znany klub z Manhattanu, założony przed dziesięciu laty, by rozpowszechniać informacje na temat kreatywności i talentu, dziś stoi w obliczu zarzutów propagowania idei faszystowskich.

Artykuł, który wywołał zamieszanie, został napisany przez szefa „Mety” mecenasa Farleya Sangera. Opublikowano go w wydawanym przez klub kwartalnym biuletynie „Pathfinder”. Sanger nawołuje w nim do stworzenia „nowej utopii”, której podstawą byłyby „obiektywnie oceniane zdolności intelektualne”. Sanger kwestionuje też zasadność utrzymywania szkół specjalnych i świadczenia sprawnym inaczej innych usług, takich jak ochrona zdrowia. Upośledzonych Sanger określa dosadnie mięsem bez rozumu.

Autor sugeruje także, że osoby niezdolne do myślenia i dbania o siebie nie są godne miana istoty ludzkiej, a co za tym idzie, nie podlegają konstytucyjnej ochronie. „Skutecznym odpowiednikiem polityki socjalnej byłaby w ich przypadku – argumentuje Sanger – ustawa o ochronie zwierząt. Skoro sterylizację i eutanazję stosuje się jako humanitarne sposoby postępowania wobec kotów i psów, podobnymi działaniami należałoby objąć także i te pseudoludzkie istoty, których genetyczna konstrukcja nie pozwala im na spełnienie intelektualnych kryteriów”.

Artykuł opublikowano bez rozgłosu kilka miesięcy temu i dopiero niedawno zajęły się nim media. Jak można się było spodziewać, manifest wywołał gorące protesty rzeczników praw osób upośledzonych.

– To faszyzm w czystej postaci – oburza się Barry Hannigan, prezes Towarzystwa Przyjaciół

Dzieci. – To ohyda przywodząca na myśl nazistowski Niemcy.

Margaret Esposito, szefowa Fundacji na rzecz Dzieci Specjalnej Troski, mówi: – Tak ciężko pracowaliśmy, by wykorzenić uprzedzenia wobec osób upośledzonych w rozwoju, a tu zdarza się coś takiego. Mam nadzieję, że to tylko grupka fanatyków i rozsądni ludzie będą wiedzieli, jak to ocenić.

Podobne odczucia wyrażają duchowni, socjologowie i prawnicy.

– To odrażające – stwierdził kardynał William Binchy z manhattańskiej archidiecezji. – Kościół stoi na stanowisku, że tylko Bóg może odgrywać rolę Boga.

Odpowiedzialna za zamieszczenie wspomnianego manifestu w „Pathfinderze” Helia Cranepool, analityk rynku papierów wartościowych z Wall Street, pozostała niewzruszona tymi komentarzami. Przyznaje, że esej Sangera zawiera „nieco ryzykowną frazeologię i odważne określenia”, ale Cranepool broni ich, powołując się na wolność słowa i „prawo naszych członków do poznawania szerokiego spektrum opinii. Wybitnie inteligentnych ludzi charakteryzują dwie cechy: wola podejmowania ryzyka w granicach rozsądku i niespożyta ciekawość. Nie jesteśmy dla wszystkich i wcale nie mamy takich aspiracji. Będziemy nadal robili wszystko, co w naszej mocy, by stawiać sobie wyzwania i stymulować się poprzez nieskrępowaną wymianę idei”.

Sanger, którego zastaliśmy w jego kancelarii w śródmieściu, odmówił komentarza i ograniczył się do oświadczenia, że „tekst sam się tłumaczy”. Zarówno on, jak i Cranepool odmówili podania nazwisk innych członków „Mety”. Cranepool opisuje grupę jako „mały, elitarny klub, który nie szuka rozgłosu”.

Laurence Lanin, prezes manhattańskiego oddziału „Mensy” – lepiej znanego stowarzyszenia osób wybitnie inteligentnych – określił „Metę” jako „jedną z najbardziej wynaturzonych prób naśladownictwa. Takie przypadki się zdarzają, ale rzadko kiedy trwają dłużej”. Liczebność „Mety” ocenił na nie więcej niż kilkadziesiąt osób.

Nasze źródła twierdzą, że aby zostać członkiem „Mety”, należy – podobnie jak w przypadku „Mensy” – przejść specjalny test na iloraz inteligencji. „Mensa” grupuje dwa procent osób osiągających najlepsze wyniki. Uważa się, że „Meta” jest jeszcze bardziej elitarna. Zapytany, czy członkowie „Mensy” podzielają poglądy Sangera, Lanin odparł: – Mogę mówić tylko za siebie; dla mnie są one odrażające.

Wykonałem kserokopię artykułu i zacząłem szukać telefonu do „Mety” w lokalnych książkach telefonicznych. Bez rezultatu. Nic dziwnego.

Jak rekrutowali nowych członków?

Naśladowcy „Mensy”... ten lepiej znany klub inteligentnych był w książce telefonicznej. Numer w zachodnim Los Angeles. Bez adresu.

Z nagrania na taśmie można się było dowiedzieć, kiedy i gdzie odbędzie się kolejne spotkanie

klubu. Po sygnale, kto chciał, mógł zostawić wiadomość.

– Nazywam się Al, przeprowadziłem się tu ze Wschodniego Wybrzeża. Szukam informacji na temat „Mety”. Czy jest tutaj ich oddział? – powiedziałem do słuchawki i podałem swój numer.

Następnie zadzwoniłem na komendę do Mila.

– Tylko jeden artykuł? – zdziwił się.

– Zgadza się.

– A więc może właśnie do tego klubu należał Ponsico? Może Sharavi znajdzie coś za pomocą swoich komputerów.

– Zadzwońisz do niego?

– On dzwonił do mnie. O siódmej rano. Muszę mu przyznać kilka punktów za przedsiębiorczość. Mówił, że przez całą noc wisiał na telefonie, rozmawiając ze swoimi znajomkami z policji w Izraelu i w Europie. I co ty na to? Zdaje się, że mówił prawdę, słysząc to było w jego głosie. Teraz, kiedy mamy jakieś nazwisko, może uda mu się coś wygrzebać. Umówię się na spotkanie u niego dziś po południu, ale najpierw zjem obiad z pierwszą dziewczyną Malcolma Ponsico. Sally, pani naukowiec, na pewno z chęcią będzie mówiła o tej urzędniczce Zenie. Pracuje teraz w Sherman Oaks, obok ośrodka dla poparzonych. Mam się z nią spotkać w jakiejś włoskiej knajpce na rogu Ventura i Woodman. Masz ochotę na spaghetti?

– Po tym co przeczytałem, zupełnie odebrało mi apetyt – odparłem. – Ale towarzystwo zapowiada się ciekawie.

Sally Branch nadziała na widelec kawałek małża spoczywający na linguini i przyjrzała mu się wzrokiem naukowca.

Miała trzydzieści jeden lat, ale wyglądała jak nastolatka. Długie artykułowane frazy wymawiała lekko przez nos – to zapewne skutek przewlekłych infekcji. Całości dopełniały falujące gęste kasztanowe włosy, piegowata twarz, brązowe oczy i nieziemski figura podkreślona przez czarną sukienkę z wełny. Na jej krześle wisiał biały laboratoryjny kitel.

– Malcolm nigdy nie był przesadnie rozmowny, ale kiedy poznał ją, sprawy się pogorszyły – opowiadała.

– Kiedy kontaktowała się pani ostatnio z Ponsico?

– Kilka dni przed jego śmiercią. Jedliśmy obiad w kantynie PlasmDerm. – Pokraśniała. – Dostrzegłam go i przysiadłam się. Wyglądał na zajętego własnymi myślami, lecz nie na przygnębionego.

– Zajętego myślami o czym?

– Podejrzewam, że o swojej pracy.

– Miał jakieś kłopoty w pracy?

Uśmiechnęła się.

– Nie, wręcz przeciwnie. Był błyskotliwy. Ale w laboratorium codziennie zdarza się coś nowego, tak to już jest z eksperymentami naukowymi.

Milo też się uśmiechnął.

– Żeby to zrozumieć, trzeba być naukowcem?

– No, tego akurat nie wiem.

Zjadła małża.

– A więc doktor Ponsico nigdy nie rozmawiał o swoich problemach? – zapytałam.

– Nie, ale ja potrafiłam je wyczuć.

– Rozstanie państwa odbyło się w przyjazny sposób? – indagował Milo.

Sally przełknęła ślinę i zmusiła się do kolejnego uśmiechu.

– A czy kiedykolwiek to się odbywa w przyjaźni? Przestał do mnie dzwonić. Chciałam wiedzieć dlaczego, nie chciał mi wyjaśnić, a potem zobaczyłam go z nią. Ale jakoś to przeżyłam. Chyba wciąż sobie wmawiałam, że Malcolm w końcu się opamięta. Panowie, wiem, że to może brzmieć jak wyznanie kolejnej zazdrosnej kobiety, lecz musicie zrozumieć, że to samobójstwo było zupełnie nielogicznym krokiem ze strony Malcolma. W życiu wiodło mu się doskonale, wciąż pasjonował się swoją pracą. Malcolm naprawdę lubił sam siebie.

– Dobra samoocena? – pytał Milo.

– Nic z czym by się obnosił, ale był błyskotliwy i dobrze o tym wiedział. Kiedyś w żartach odgrażał się, że któregoś dnia zdobędzie Nagrodę Nobla, ja jednak wiedziałam, że niezupełnie są to żarty.

– Nad czym pracował? – dociekałem.

– Nad przepuszczalnością błony komórkowej. Badał, jak można wprowadzać do komórki jony i cząsteczki złożonych związków, nie naruszając struktury komórki. Była to wciąż faza teoretyczna – pracował na myszach – ale praktyczne skutki takiego odkrycia byłyby nieocenione.

– Można by wprowadzać lekarstwa do komórek, nie niszcząc ich przy tym – dokończyłem.

– Otóż to. Większość leków działa na poziomie komórkowym. Malcolm badał te, które powodowały odbudowę tkanki u poparzonych pacjentów. Opisywał to jako zabawę modelami kolejek na poziomie komórkowym.

– Działania na poziomie komórki to również naprawy uszkodzonych chromosomów, prawda?

– Tak! Zasugerowałam to Malcolmowi, ale stwierdził, że na razie pozostanie przy lekach. Uważał, że do wrodzonych defektów naukowcy nie powinni się mieszać.

– Dlaczego?

Sally popatrzyła na talerz.

– Malcolm był trochę... staroświecki. Wyznawał determinizm i uważał, że pewnych rzeczy nie należy dotykać.

– Leczenie poparzeń jest w porządku, ale problemów genetycznych nie powinniśmy dotykać?

– Coś w tym rodzaju. Nie chcę, żeby odnieśli panowie wrażenie, że był niesympatyczny. Wręcz przeciwnie, był miły. Ale wyjątkowo inteligentni ludzie czasami po prostu tacy są.

– Jacy? – zaciekał się Milo.

– Snobistyczni.

Milo wziął kawałek pieczywa czosnkowego i zaczął gryźć.

– Jeśli Ponsico nie popełnił samobójstwa, to co się w takim razie stało, doktor Branch?

– Zamordowano go. Detektyw Connor mówiła, że rana na czole powstała przy upadku. Ale czy nie może to również oznaczać, że ktoś zaszedł go od tyłu i uderzył jego głową o stół, po czym wstrzyknął mu chlorek potasu?

– Podejrzewa pani kogoś?

– Oczywiście – odparła – Zenę. Nie wiem tylko, po co miałyby to robić.

– Czy to silna kobieta? – zainteresował się Milo.

– Wręcz przeciwnie. Jest mała, prawdziwa pchła. Jednak gdyby zaszła go od tyłu, z zaskoczenia, mogłaby sobie poradzić.

Nawinęła wstążkę linguini na widelec.

– Zabrała mi Malcolma, ale nie dlatego ją podejrzewam. To podstępna mała wiedźma. Bardzo zajęta sobą i swoim wyglądem, taki mały zły bachor. Kiedy pracowała w PlasmDerm, obnosiła się z dziwnymi lekturami – czasopismami o przekuwaniu ciała, seryjnych mordercach, z brutalnymi komiksami tylko dla dorosłych. Kiedyś spostrzegłam, jak daje Malcolmowi coś na korytarzu. Podeszłam później do niego, a on pokazał mi, co to było. Fotografia mężczyzny z drutem przeciągniętym od języka do penisa. Oba narządy miał przekłute. Omal nie zwymiotowałam.

– Jak zareagował na to Malcolm? – zapytałam.

– Powiedział: „Czy to nie dziwne, Sally?” Jakby nie mógł uwierzyć, że ktoś może zrobić coś podobnego.

– Nie czuł odrazy? – pytałam dalej.

– Na pewno. Ale czy ją okazał? Nie, Malcolm rzadko afiszował się ze swoimi uczuciami.

Sally odłożyła widelec.

– Ta rozmowa mnie przygnębia. Powstaje z niej obraz jakiegoś dziwaka, zupełnie do niego niepodobnego. Po prostu był inny z powodu swojej nieprzeciętnej inteligencji. Nawet w PlasmDerm uchodził za wyjątkowy umysł.

– Zena Lambert była urzędniczką w PlasmDerm – przypomniałam. – Czym się zajmowała?

– Pracowała w administracji. Nadzorowała pracę sprzątaczy. Rozumie pan teraz, o czym mówię?

– Przesadnej inteligencji takie zajęcie raczej nie wymaga – stwierdził Milo.

Sally opuściła ramiona.

– Nigdy nie zrozumieję, co takiego dostrzegł w niej Malcolm. Jedyne co mi przychodzi do głowy, to że umiała słuchać. Może ja za bardzo na niego naciskałam? Urządzaliśmy sobie prywatne dyskusje. Na różne techniczne tematy. Rozmawialiśmy też o kwestiach socjologicznych. Ja jestem nieprzejednanym liberałem, a Malcolm, jak już mówiłam, nie miał zbyt wiele cierpliwości do... problemów. Cały czas się spieraliśmy. Sądziłam, że to lubi.

– Sądzi pani, że Zena mogła być wobec niego uległa? – zapytałem.

– To właśnie nie ma sensu! „Uległa” jest ostatnim określeniem, jakiego można by użyć wobec niej. W PlasmDerm miała opinię panią z niezłym tupetem. Z członkami kadry naukowej zadawała się jak równy z równym.

Dziewczyna odsunęła talerz.

– Teraz wyszło na to, że ja też jestem snobką. Ale fakty są takie, że Zena była tylko zwykłą urzędniczką, która zachowywała się jak osoba z doktoratem. Na przykład zawsze wtrącała się do rozmów, z których nic nie rozumiała – to wyglądało tak pretensjonalnie. To najlepsze określenie jej poziomu: intelektualna pretensjonalność. Mimo to zdołała opętać Malcolma. – Powieki Sally zadrżały.

– Czy była w jakikolwiek sposób atrakcyjna? – zaciekałem się.

– Chyba można ją uznać za atrakcyjną dziewczynę. Na swój sposób. Ma niezłą figurę. Zresztą proszę samemu zobaczyć i ocenić.

– Gdzie możemy ją znaleźć?

– Malcolm mówił, że pracuje w księgarni o nazwie „Spazm”. Twierdził, że to zabawne miejsce.

– Znowu jakieś zabawy z przekłuwaniem ciała? – domyślał się Milo.

– Niewykluczone. „Spazm”. Czy to nie wymowna nazwa?

– Wyrzucono ją z pracy w PlasmDerm?

– Malcolm twierdził, że odeszła na własną prośbę.

– Kiedy?

– Dwa tygodnie przed jego śmiercią.

– Nie domyśla się pani dlaczego?

– Nie. Nie interesowało mnie jej życie zawodowe. Ucieszyłam się, że sobie poszła... – Sally spojrzała na stół. – Chyba liczyłam na to, że gdy zniknie z naszego środowiska, będę mogła wrócić do Malcolma.

– Czy pojawiła się na jego pogrzebie?

– Nie było pogrzebu – odparła, wciąż wpatrując się w biały lniany obrus. – Rodzice Malcolma sprowadzili ciało do domu i poddali je kremacji. Panowie, rozumiem, że zabranie mi Malcolma przez Zenę sprawia, że moje opinie traktujecie z rezerwą, ale fakty są faktami: wczepiła się w niego swoimi szponami i wkrótce potem Malcolm już nie żył. Bez żadnej przyczyny.

– Detektyw Connor wspominała, że Zena wciągnęła Malcolma do jakiegoś elitarnego klubu dla inteligentnych...

– Do „Mety”. To ludzie, dla których członkowie „Mensy” to idioci. Malcolm poszedł z nią na jedno ze spotkań i przyłączył się do nich. Mówił, że było świetnie, choć dawali kiepskie jedzenie i tanie wino. Dla mnie to jakaś banda frajerów, którzy nie mają nic innego do roboty i w kółko powtarzają sobie, jacy to oni są inteligentni.

– Co się u nich Malcolmowi podobało?

– Mówił, że przyjemnie jest spotkać pokrewne dusze. Ale co to za elitarny klub, skoro przyjęli Zenę!

Przygładziła ręką włosy, które po chwili wróciły do poprzedniego stanu.

– Cieszę się, że ktoś się wreszcie tym zajął. Może gdyby rodzice Malcolma działali bardziej stanowczo, stałoby się to wcześniej, ale oni nie chcieli rozdrapywać ran.

– To dość niezwykle – zauważył Milo – rodzice zwykle buntują się przeciwko samobójstwom dzieci.

– Musiałby pan poznać jego rodziców. Oboje są profesorami fizyki na Uniwersytecie w Princeton. Dudley i Annabelle Ponsico. On zajmuje się mechaniką, ona cząsteczkami i oboje są geniuszami. Siostra Malcolma zajmuje się chemią fizyczną na MIT, a jego brat jest matematykiem w Michigan. To klan jajogłowych, gdzie żaden z nich nie mówi, tylko wszyscy liczą.

– Poznała ich pani?

– Spotkaliśmy się raz, w zeszłoroczne święta Bożego Narodzenia. Wszyscy przyjechali do Malcolma i zaprosili nas na kolację do hotelu, w którym się zatrzymali. To cisi ludzie. Po śmierci Malcolma rozmawiałam z jego ojcem, a on powiedział mi: „Proszę to zostawić, młoda damo, Malcolm zawsze miał różne humory”.

– Chłopak z humorami – powtórzyłem.

– Dziwnie to brzmi, ale ojciec Malcolma jest Anglikiem – wyjaśniła Sally. – Może było jeszcze za wcześnie i nie chcieli dopuścić do siebie myśli, że zamieszany był w jakąś zagmatwaną sprawę. Chyba okazałam za mało wrażliwości.

Rano zapoznałem się z aktami na temat sprawy Ponsico. Petra Connor przesłuchała telefonicznie

jego rodziców. Oboje pogrążeni w żalu powtarzali tylko, że Malcolm nie zrobił wcześniej niczego „nieoczekiwanego”, ale od okresu dojrzewania cierpiał na zmiany nastroju, w wieku lat piętnastu zaś przez rok chodził do psychiatry z powodu zaburzeń snu i depresji.

O tym Sally pewnie nie mówił.

– Czy ktokolwiek inny z PlasmDerm należał do „Mety”? – zapytał Milo.

– O ile wiem, to nie. A czemu pan pyta?

– Podejrzewa pani Zenę. Próbujemy dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

– No cóż, to wszystko, co wiem na jej temat. Chcecie panowie obejrzeć zdjęcie Malcolma?

Nim zdążyliśmy odpowiedzieć, wyjęła z torebki kolorową fotografię.

W ogrodzie różanym stała ona i wysoki młody mężczyzna o rudych włosach. Sally miała na sobie letnią sukienkę, wielki słomkowy kapelusz i przeciwsłoneczne okulary. Ręką obejmowała Malcolma w pasie. Ponsico mierzył grubo ponad metr osiemdziesiąt. Miał wąskie barki i lekką nadwagę. Rude włosy kręciły mu się i coraz bardziej rzedły. Do tego nosił bródkę a la Abraham Lincoln, ale bez wąsów. Ubrany był w czerwoną koszulkę polo i brązowe spodnie. Stał kompletnie rozluźniony, jak ktoś, kto nigdy w życiu nie przeglądał się w lustrze. Sally się uśmiechała. Twarz Ponsico nie wyrażała niczego szczególnego.

– Zrobiliśmy to zdjęcie w Bibliotece Huntingtona. Wystawiali wtedy listy naukowe Tomasza Jeffersona.

Milo oddał jej fotografię.

– Te litery na ekranie komputera Malcolma – DVLL. Czy to się pani z czymś kojarzy?

– Może to jakaś wzmianka o diable, którą ona tam umieściła. Właśnie na coś takiego byłoby ją stać.

– Interesowała się też satanizmem?

– Wcale by mnie to nie zdziwiło. Najważniejsze jest to, że ukradła mi go, wciągnęła w coś, a wkrótce potem Malcolm już nie żył. Panowie, nie jestem paranoiczką, ale fakty mówią same za siebie. Proszę popytać moich znajomych, potwierdzą, że mam opinię osoby zrównoważonej, obliczalnej i rozsądnej.

Splotła ze sobą dwa palce.

– Być może popełniłam błąd, byłam nazbyt rozsądna. Może gdybym zaczęła krzyczeć, kopać i podnosić raban, zamiast przyglądać się, jak Zena mi go odbiera, Malcolm w końcu by się opamiętał, zrozumiałby, co naprawdę do niego czuję. Może gdybym zareagowała emocjonalnie, dziś wciąż by żył.

Sally podziękowała nam za uwagę, włożyła biały kitel i wyszła z restauracji.

– Biedna kobieta – powiedziałem.

– Kobieta odrzucona – zawtórował Milo. – A Ponsico miał kłopoty z własną psychiką. Nawet rodzice nie wątpią, że popełnił samobójstwo. Gdyby nie DVLL i ten artykuł, który dziś znalazłeś, nie chciałoby mi się nawet spojrzeć na akta tej sprawy.

– Zaczyna się z tego rysować jakiś obraz – stwierdziłem. – Upośledzone w rozwoju dzieci i geniusz. Geniusz bez współczucia dla osobników ułomnych genetycznie. Jedyny związek, jaki widzę z naszymi zabójstwami, to fakt, że na spotkaniach „Mety” Ponsico dowiedział się czegoś, co spowodowało, że dla zabójcy stał się zagrożeniem. Być może morderca wygadał się ze swoimi planami, a niechęć Ponsico do tych nieszczęśników nie sięgała aż tak daleko, by ich zabijać.

– Doktor Sally jest przekonana, że zabiła Zena, ale Zena jest drobna, a teoria o tym, że zaskoczyła Ponsico od tyłu, to po prostu bzdura. Na pewno by go bolało, lecz taki wielki facet z łatwością by się od niej opędził. A więc, jeśli ktoś go zamordował, musiał to być ktoś silny. Tak jak w przypadku naszych dzieciaków.

– A może Zena i jakiś jej chłopak?

– Para zabójców... dlaczego nie, można sobie pofantazjować, ale przeciwko tej dziewczynie mamy jedynie zeznania kobiety, która szczerze jej nienawidzi. Choć Zena może jeszcze nam się przyda.

– Jako nasz kontakt z „Metą”.

Skinął głową.

– A tymczasem zobaczmy, co ma nam do zaproponowania nasz kolega z Izraela.

W świetle dnia dom Sharaviego wyglądał podle. Kiedy Daniel otworzył nam drzwi, był świeżo ogolony i schludnie ubrany. W ręce trzymał kubek z herbatą. Po wierzchu pływały listki mięty. Zdałem sobie sprawę z nierównych kępek zarostu na mojej twarzy.

Sharavi wyjrzał na ulicę i wpuścił nas do środka. Herbata parowała.

– Może też się napijecie?

– Nie, dziękuję – odparł Milo. – Mam nadzieję, że z twoim komputerem wszystko w porządku?

Weszliśmy do pokoju z komputerami. Pecet był już włączony. Na czarnym ekranie tańczył różowy sześciokąt – wygaszacz ekranu. Sharavi ustawił pośrodku dywanu dwa składane krzesła. Aksamitny woreczek z akcesoriami do modlitwy gdzieś zniknął.

Milo pokazał Danielowi artykuł o manifestacji „Mety” napisanym przez Farleya Sangera i opowiedział mu o Malcolmie Ponsico.

Sharavi przysunął się do komputera i zaczął stukać w klawiaturę. Robił to jedną ręką tak szybko, że aż trudno było uwierzyć.

Niesprawna ręka spoczywała na kolanie, po prostu bezwładny kawałek ciała.

Patrzyłem, jak na ekranie pojawiają się i znikają zapisy z kolejnych baz danych.

Po chwili Sharavi stwierdził:

– Jeśli ta grupa popełniła jakieś przestępstwo, to żadna z dużych agencji federalnych o tym nie wie. Sprawdzę uniwersyteckie banki danych.

Po wpisaniu słowa kluczowego „Meta” otrzymaliśmy setki zupełnie nieprzydatnych dla nas zapisów z naukowych baz danych: metaanaliza filozoficzna, szereg związków chemicznych, prace dotyczące metabolizmu, metalurgii, metamorfozy.

Kiedy przebiliśmy się przez to wszystko, Sharavi stwierdził:

– Spróbujmy w Internecie. Zrobił się z niego międzynarodowy śmietnik, ale kto wie.

– Spróbujmy najpierw telefonicznie – rzucił myśl Milo. – Zadzwońmy do nowojorskiej informacji.

– Dobra myśl – uśmiechnął się Sharavi. Wykręcił kierunkowy 212 i numer informacji.

– Brak danych – powiedział odkładając słuchawkę.

– Może szum wokół manifestu Sangera zmusił ich do wycofania się? – powiedziałem.

– Niewykluczone – poparł mnie Izraelczyk. – Choć nienawiść to gorący towar. Równie dobrze mogło wystartować kilka innych organizacji. Mam sprawdzić „Metę” w Internecie?

Za pomocą specjalnego hasła połączył się z jakąś komputerową siecią, o jakiej w ogóle nie miałem pojęcia. Nie było tu atrakcyjnej grafiki ani dyskusji na żywo. Po prostu czarne litery na białym ekranie.

Minęło kilka sekund. Daniel siedział bez ruchu przed monitorem.

WITAJ R. VAN RIJN mignęło na ekranie.

Nazwisko Rembrandta. Czy to izraelska policja nadała mu ten pseudonim, czy też sam Sharavi uważał się za artystę?

Ciemna ręka szybko uwijała się nad klawiszami i po chwili Sharavi penetrował zasoby Internetu.

Kolejna partia odnośników nie związanych z tym, czego szukaliśmy: strona jakiegoś entomologa z Paryża badającego larwę o nazwie *metacercaria*, holistyczny uzdrowiciel z Oakland obiecujący uleczyć bóle w kościach promienistych dłoni i stóp.

Po dwudziestu minutach Sharavi przerwał.

– Macie jakieś sugestie?

– Spróbuj hasła „Mensa” – zaproponował Milo. – „Meta” to jedno z pochodnych tego stowarzyszenia. Może między obiema grupami istnieje wrogość? Może jakiś członek „Mensy” zechciał się podzielić w sieci swoimi odczuciami.

Sharavi obrócił się na krześle i znów zaatakował klawiaturę.

– Na temat „Mensy” jest mnóstwo informacji – oznajmił.

Patrzyliśmy, jak na ekranie powoli przewija się strona za stroną. Terminy i miejsca spotkań „Mensy” na całym świecie, najrozmaitsze tematy związane z tą organizacją.

Członkowie podobnej do „Mensy” londyńskiej organizacji o nazwie „Limey Scumdogs” prowadzą w sieci dyskusje o swoich ulubionych rzeczach. Pojawiają się takie pseudonimy jak Bystry Dzieciak, Słodka Kobiętka, Bufallo Bob – a obok lista zainteresowań: kiepskie dowcipy, mocna kawa i dialektyka, dyskusje z piekła rodem, pieszczoty i charty afgańskie. I tak dalej, i tak dalej.

Część odnośników napisana była w obcych językach, ale Sharavi najwyraźniej bez trudu je czytał.

– Co to jest? – zainteresował się Milo jednym z odnośników opuszczonym przez Izraelczyka.

– „Mensa” z Dublina. To pewnie w języku Gaelic.

Kolejne ekrany z informacjami.

Właściciel biura handlu nieruchomościami z Fond du Lac w stanie Wisconsin oferuje swoje usługi i chwali się kwalifikacjami, wśród których jest i członkostwo „Mensy”.

Tak samo reklamuje się kadrowiec z Chicago, dentysta z Orlando na Florydzie i pewien inżynier z Tokio oraz wiele, wiele innych osób.

Jak widać, bezrobocie nie oszczędziło nawet elit.

Następnie trafiliśmy na dział MIERZENIE ILORAZU INTELIGENCJI. Kilku autorów – sami mężczyźni – umieściło na stronie pytania z szybkich testów na inteligencję, które można znaleźć w byle broszurce na ten temat. W większości przypadków po tych pytaniach zapewniano, że „jest to ściśle określony zestaw pytań obmyślonych tak, by wykazać ponadprzeciętny poziom inteligencji”.

Każdą z tych stron kończyła obowiązkowa linia:

ILORAZ INTELIGENCJI ROBERTA...

ILORAZ INTELIGENCJI HORACE'A...

ILORAZ INTELIGENCJI KEITHA...

ILORAZ INTELIGENCJI CHARLESA...

Część stron ozdobiono także rysunkami. Największą popularnością cieszą się twarze Einsteina.

Przy każdej z nich objaśnienie: [KLIKNIJ TU, ABY SPRAWDZIĆ POZIOM MOJEGO ILORAZU INTELIGENCJI](#).

Po kliknięciu Sharavi pokazywał nam pojawiające się na ekranie wykresy z małymi gwiazdeczkami przedstawiające IQ Roberta, Horace'a, Keitha, Charlesa i...

Żaden nie schodził poniżej stu siedemdziesięciu punktów.

– Tacy inteligentni ludzie i mają tyle wolnego czasu – dziwił się Sharavi.

– Technoświry – podsumował Milo. – Trzeba im rozesłać zaproszenia do klubu „Korzystaj z życia”.

Sharavi przejrzał jeszcze kilka stron, wciąż bez rezultatu.

– Komputery, komputery – westchnął Milo. – Dużo czasu nad tym spędzasz?

– Teraz już coraz mniej – odparł Sharavi, nie przestając klepać jedną ręką w klawiaturę. – Kiedy powstał Internet, o wiele bardziej przydawał się w śledztwie niż teraz. Dzięki niemu komunikowali się między sobą profesorowie, najrozmaitsze instytucje, przesyłano też dane naukowe. Teraz trzeba się przedzierać przez mnóstwo śmieci, a w sumie niewiele można znaleźć wartościowych informacji. Mam wrażenie, że Internet stał się jednym wielkim miejscem do pogaduszek dla samotnych ludzi.

Odwrócił się w moją stronę.

– Zdaje się, że z tego też jest jakiś pożytek, prawda, doktorze?

– Przeglądaj dalej – ponaglił go Milo.

Po kolejnych dwóch godzinach wpatrywania się w ekran nadal niczego nie znaleźliśmy.

– Rozumiem, że wzmianek o DVLL szukał pan już wcześniej – zwróciłem się do Sharaviego.

– Szukałem w sieci WWW i w najrozmaitszych grupach dyskusyjnych dla świrów. Obawiam się jednak, że nic z tego.

– A może trzeba wpisać inne słowo kluczowe – zaproponowałem. – Na przykład Galton, sterylizacja, eugenika, eutanazja.

Sharavi zaczął pisać.

Hasło „sterylizacja” przyniosło znacznie więcej wzmianek o konserwacji żywności niż o kastracji, a większość wzmianek na temat eugeniki stanowiły w grupach dyskusyjnych pełne samouwielbienia wiadomości typu „Oto podaję swoje DNA na tacy publicznej ocenie. Kobiety pragnące wybornego materiału genetycznego serdecznie zapraszam”.

Sharavi drukował wszystko jak leci. Strona po stronie lądowały bezszelestnie w pojemniku na papier. Od czasu do czasu Milo wstawał, zabierał z niego kartki, przeglądał i odkładał z powrotem.

O wpół do szóstej stwierdził:

– Dość. Te dupki z „Mety” najwyraźniej nie afiszują się ze swoją działalnością.

– A może zacznijmy szukać aktywnie, a nie tylko pasywnie – zaproponował Sharavi. – Możemy wysłać na którąś z list dyskusyjnych wiadomość z jakąś informacją albo pytaniem o „Metę” i zobaczymy, co się dalej pojawi.

– A masz pewność, że wyślesz tę wiadomość zupełnie anonimowo? – powątpiewał Milo.

– Całkowitej pewności nie mam. Regularnie zmieniam hasła i adresy internetowe, ale nigdy nic nie wiadomo.

– W takim razie nie. Przynajmniej na razie. Nie chcę nikogo spłoszyć.

– Ja chyba już to zrobiłem, dzwoniąc do „Mensy” – powiedziałem, opisując wiadomość, jaką im nagrałem.

– To jeszcze nic strasznego – uspokoił mnie Milo, choć byłem pewien, że się niepokoi. Natychmiast poczułem się jak amator. – Wpadłeś jeszcze na jakiś pomysł? – zwrócił się do Sharawiego.

– Samobójstwo Ponsico. Mimo braku dowodów wygląda trochę dziwnie. Na przykład to, że użył trucizny. Zwykle trucizny używają kobiety, prawda?

– Ponsico był naukowcem.

– To prawda – przyznał Sharavi. – Ale to prowadzi do kolejnego pytania. Jako naukowiec wiedział, czego może się spodziewać. Chlorek potasu powoduje szybką śmierć, ale bynajmniej nie bezbolesną – nagła arytmia serca, ostry zawał. Przy egzekucjach do chlorku potasu dodaje się tiopental sodu jako środek uspokajający i bromek pankuronium, który wstrzymuje pracę układu oddechowego. Czy Ponsico nie mógł sobie wybrać jakiegoś mniej uciążliwego sposobu na umieranie?

– Może w ten sposób wymierzał sobie karę? – zastanawiał się Milo. – Uważał, że zasłużył na tak okrutną i niecodzienną śmierć.

– Wina? – zdziwiłem się, znów myśląc o Nolanie. – Z jakiego powodu?

– Może brał udział w czymś naprawdę obrzydliwym. Na przykład w tych zabójstwach, które teraz rozpracowujemy, albo w czymś innym. A może facet miał po prostu poważną huśtawkę emocjonalną. W laboratorium wpadł w potężną depresję, a że akurat miał dostęp do trucizny... Zresztą, nawet jeśli cierpiał ponad wszelką wytrzymałość, to i tak miał dosyć szybką i spokojną śmierć. Znacznie lepszą od tych, na które czasami skazują się samobójcy. Czyż nie, panie nadinspektorze?

– Danielu – poprawił go Sharavi. – Tak, to prawda. Nienawiść do samego siebie potrafi być zdumiewająca. Ale... myślę, że musiałbym mieć więcej informacji na temat tego młodzieńca.

– Zadzwońię do jego rodziców – zaoferował się Milo. – To profesorowie z Princeton. Może popytamy wśród jego współpracowników z PlasmDerm?

– To jakaś firma biomedyczna?

– Zajmują się badaniami nad skórą. Ponsico pracował nad poprawą techniki przeszczepiania skóry. A co, masz jakieś podejrzenia związane z jego pracą?

– Nie – odparł Sharavi. – Chociaż, jeśli znalazł się jakiś niezadowolony klient – ktoś, czyj przeszczep się nie przyjął... ale nie, taki ktoś otrułby chirurga, nie naukowca... nie, nie mam żadnych pomysłów.

Wypił herbatę i odstawił kubek.

– Mam dość dobre kontakty w Nowym Jorku. Jeśli „Meta” rzeczywiście istnieje, na pewno moi ludzie ją odnajdą. Możemy także założyć podsłuch w telefonie Zeny Lambert...

– Nie ma mowy. Nie mamy żadnych szans na otrzymanie nakazu rewizji, a co dopiero na podsłuch. Nawet jeśli założymy, że ona ma z tym wszystkim jakiś związek, nie chcę spieprzyć procedur dowodowych.

– Słusznie.

– Tak że nawet o tym nie myśl – ostrzegł go Milo.

– Oczywiście – zgodził się Sharavi.

– Mówię poważnie.

– Rozumiem.

– A ta księgarnia, w której pracuje Zena? – zapytałem. – „Spazm”. Niepospolita nazwa, więc może spotykają się tam ludzie o niepospolitych pomysłach. Może jest tam jakaś tablica ogłoszeniowa, a na

niej na przykład wiadomość od kogoś z „Mety”?

– Nie ma ich w książce telefonicznej, a umawiają się na spotkania przez księgarnię? – powątpiewał Milo.

– A jeśli to jakaś mała księgarnia, gdzieś na uboczu, do której zagląдают odpowiedni klienci? Chcesz, żebym tam wpadł i trochę się rozejrzał?

Milo potarł twarz.

– Daj mi się zastanowić... Chcę jak najlepiej wykorzystać każdy ślad, który mamy.

Sharavi wstał i przeciągnął się, unosząc obie ręce nad głowę. niesprawną ręką nie wyprężyła się tak jak zdrowa.

– Idę zrobić sobie jeszcze herbaty. Na pewno nie chcecie? Ze świeżej mięty. Znalazłem w ogródku sporą kępkę.

– To ja poproszę – powiedziałem.

Kiedy Sharavi wyszedł, Milo pochylił się nad komputerem.

– Ściąga śmieci i wypuszcza śmieci... A ty, co taki dzisiaj nie ogolony? Stylizujesz się na Arafata czy co? Zważywszy na naszego współpracownika uważam, że dla własnego bezpieczeństwa powinieneś chwycić za maszynkę.

– Rano szybko wybiegłem do biblioteki i nie miałem czasu, żeby się ogolić.

– To zarost z połowy dnia?

Przytaknąłem.

– Znowu jedziesz na pigułkach z testosteronem?

Naprężyłem biceps i mruknąłem, a Milo z trudem się uśmiechnął.

Do pokoju wrócił nasz gospodarz z naparem z mięty. Z kubków unosiła się para o lekko słodkim zapachu. Nad wszystkim górowała jednak woń mięty.

Popijając herbatę, skorzystałem z jednego z telefonów Sharawiego, by sprawdzić, czy nie było dla mnie wiadomości.

– Witam, doktorze, jest tylko jedna informacja. Od niejakiego Lorena Bukovsky'ego z... to chyba wygląda jak „Mensa”. Chociaż tu jest napisane, że pytał o jakiegoś Ala. Ta nowa dziewczyna próbowała mu wytłumaczyć, że pan ma na imię zupełnie inaczej, ale ten upierał się, że pan nazywa się AL Różni dziwacy do pana dzwonią, doktorze Delaware. No, ale to już taka praca, prawda?

– Zgadza się. Co pan Bukovsky chciał mi przekazać?

– Zobaczmy... strasznie mi przykro, ale ta nowa bazgrze jak kura pazurem... zdaje się, że powiedział, iż ma... nie, nie ma nic wspólnego z „Mela” albo „Meta”... coś w tym rodzaju... w każdym razie nie chce mieć z tą „Mela” nic wspólnego... zaraz... lecz jeśli pan... przepraszam panie doktorze, ale tu jest napisane coś nieprzyzwoitego.

– Co to takiego, Joyce?

– Jeśli ma pan tak niewyszukane gusta, by chcieć... tu chyba jest napisane bratać się z... idiotami... to proszę udać się do miejsca o nazwie... chyba Skurcz... ale nie podał adresu... to wszystko bardzo dziwne, nawet jak na pana, doktorze Delaware.

– I to już wszystko?

– Kazał też przekazać, żeby pan już do niego nie dzwonił, bo nie jest zainteresowany znajomością z panem. To niegrzeczne z jego strony, prawda?

– Bardzo – odparłem. – Ale może ma swoje powody.

– Zdecydowane opinie – podsumował Milo, zapisując nazwisko Bukovsky’ego.

– No i wydało się, że mamy „Metę” na oku. Przepraszam.

– Ale teraz przynajmniej wiemy, że warto przyjrzeć się tej księgarni. – Odwrócił się do Sharaviego. – A może skorzystalibyśmy z twojego lewego dojścia do bazy danych kierowców i sprawdzili tego Bukovsky’ego i pannę Lambert?

Sharavi odstawił kubek i zajął się komputerem.

Po chwili odezwał się:

– Loren A. Bukovsky, adres – Corinth Avenue, Los Angeles 90064.

– To w zachodnim Los Angeles – stwierdził Milo. – Kilka minut drogi od komendy. Może złożę mu wizytę?

– A kiedy ja mam się wybrać do „Spazmu”? – zapytałem.

– Najpierw sprawdzę Bukovsky’ego, dobrze?

– Jeśli Bukovsky ma coś ciekawego do powiedzenia, to może doktor Delaware powinien zrobić coś więcej, a nie tylko wpaść do księgarni „Spazm” – odezwał się Sharavi.

– To znaczy?

– Jeśli członkowie „Mety” nadal się spotykają, powinien spróbować wkręcić się na takie spotkanie. Kto ma większe szansę, jeśli nie doktor nauk? Mógłby pan udawać kogoś zainteresowanego...

– Nie ma mowy – uciął Milo.

Sharavi zamrugał oczami, ale nie poruszył się.

– W porządku – odparł.

– I sam też niech pan tam się przypadkiem nie wybiera, nadinspektorze.

Izraelczyk uśmiechnął się.

– Ja? Brak mi odpowiednich kwalifikacji.

– To samo dotyczy twoich ludzi.

– Moich ludzi?

– Po prostu wybij to sobie z głowy. Nie ma mowy o żadnych tajnych operacjach bez mojej wiedzy.

– W porządku.

– W porządku? Ot tak?

– Ot tak. – Sharavi powiedział to niemal szeptem, lecz po raz pierwszy w jego głosie dało się słyszeć emocje. Złociste oczy delikatnie się zwięziły, a szczęki nieznacznie zacisnęły. – Robię, co mogę, by jak najlepiej nam się współpracowało – rzekł cicho.

– A ja jestem sceptykiem i pesymistą – powiedział Milo. – Kiedy wszystko zaczyna iść jak po maśle, zacznę się niepokoić.

Sharavi rozluźnił nieco szczękę i na ustach pojawił mu się uśmiezek – mechanicznie, jakby przywołał go z komputera.

– Czy w takim razie mam ci utrudnić życie, Milo?

– Po co odchodzić od tradycji?

Sharavi pokręcił głową.

– Idę zrobić sobie coś do jedzenia.

Znów wyszedł z pokoju, a Milo zaczął bezwiednie przeglądać zawartość pojemnika z zadrukowanymi kartkami.

– Spróbuję jeszcze dzisiaj pogadać z Bukovskym. I zadzwonię do rodziców Ponsico. Mam tylko

nadzieję, że przez ten wątek Ponsico nie zбочymy za bardzo na manowce.

Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Dom był mały – słyszałem, jak Sharavi krząta się w kuchni.

– Gdybym przeszedł się do tej księgarni – zacząłem – mógłbym wybadać tę Lambert, może dowiedziałbym się czegoś na temat „Mety”.

– Alex...

– Bez nachalności. Nawet jeśli zabójca jest członkiem „Mety”, to przecież wcale nie znaczy, że cała grupa to banda maniakałnych zabójców. A gdyby udało mi się wkręcić na spotkanie i przyjrzeć im się...

– Zapomnij o tym, Alex.

– Dlaczego?

– A jak myślisz?

– Bo to pomysł Sharawiego?

Obrócił się na pięcie i rzucił mi mordercze spojrzenie.

– Dziesięć punktów karnych za bardzo kiepską odpowiedź.

– Zaraz, zaraz – odparłem – jestem zupełnie szczery, bo mi na tej sprawie zależy.

Milo już chciał coś odpowiedzieć, ale opuścił ręce i roześmiał się.

– Posłuchaj, staram się cię chronić, a ty mi tego nie ułatwiasz. Uważasz, że to dobry pomysł zadawać się z bandą genetycznych snobów, z których jeden – do cholery – może być seryjnym mordercą?

– Nie sądzę, żeby uczestnictwo w jednym spotkaniu naraziło mnie na niebezpieczeństwo.

Nie odpowiedział.

– Poza tym – mówiłem dalej – tak bardzo przeraża cię zaangażowanie Sharawiego w tę sprawę, że gotów jesteś nawet wylać dziecko z kąpielą.

Milo potarł twarz szybko i mocno.

– Świetnie, nie ma co. Z jednej strony ty, z drugiej on... O ile mnie przeczucie nie myli, w tym pokoju też założył podsłuch.

– W porządku, już się zamykam. Przepraszam.

Milo wykrzywił twarz w grymasie. Znów się roześmiał i zaczął krążyć po pokoju.

– Co ja tutaj robię, u licha... tak, tak, masz rację, to, że muszę się z nim zadawać, rzeczywiście mnie wkurza. Nie lubię... mieć nad sobą zbyt wielu warstw, że się tak wyrażę. – Zamachał rękami w powietrzu, jakby ciął nimi wodę. – To takie uczucie, jakbyś się dusił pod warstwą dziesięciu koców.

– Owszem – poparłem go – o ile jednak nie poczynimy jakichś postępów w sprawie, będziesz miał na głowie jeszcze kolejnych dziesięć koców. Bo cię zdegradują do zwykłego krawężnika.

– W takim razie mam zacisnąć zęby i udawać wniebowziętego?

– Dla własnego dobra, kolego.

– Doktorze Castor Oil, naprawdę marzy się panu rola agenta specjalnego, prawda? Wystarczyło kilka dni z panem Mossadem i już cię swędzi? Śnią ci się pseudonimy i kamery w wiecznych piórach?

– Otóż to – odparłem. – Nazywam się Alex. Alex Delaware. Agent z licencją na przynudzanie.

Do pokoju wrócił Sharavi. Na taniej plastikowej tacy niósł kanapkę z tuńczykiem na liściu sałaty. Tuńczyk występował właściwie tylko w symbolicznej ilości.

Położył tackę obok telefonów. Po jego minie widać było, że nie ma apetytu.

– Mam tu dwa policyjne skanery. Ten w kuchni był akurat włączony. Właśnie pojawił się komunikat jednej z ekip. Detektywi z komendy śródmiejskiej znaleźli w jakimś zaułku zwłoki. Pocięte nożem. To pewnie nie ma związku ze sprawą, ale obok ciała znaleziono białą laskę. Pomyślałem, że powinniście o tym wiedzieć.

Podniósł tackę i ugryzł zdecydowanie mały kęs kanapki.

Przez małą szparę w zasłonach w salonie Daniel patrzył, jak Sturgis i Delaware odjeżdżają.

„Jestem sceptykiem i pesymistą”.

Do tego można się będzie przyzwyczać.

Przez całe spotkanie udało mu się zachować twarz bez wyrazu. Sam chłonał wszystko, za to mówił niewiele.

Czy Delaware zdoła przejrzeć jego grę?

Psycholog wydawał się o wiele przyjaźniejszy, ale z psychologami nigdy nic nie wiadomo.

Kolejne spotkanie. Ile takich spotkań odbył w ciągu tych lat? Po każdym zostawało to samo uczucie frustracji.

Tak jak Sturgis, Daniel wolał pracować samotnie.

I tak jak Sturgisowi, rzadko było mu to dane.

Kiedy popadał w całkowitą negację, jak Sturgis, próbował przywdziawać pancerz rozsądku.

Martwe dzieci...

Rzadko okazywał komukolwiek uczucia, nawet Laurze.

Nad Daoudem i jego żoną szlochał dwa razy, zawsze sam w chłodnym, ciemnym i odludnym wnętrzu przypominającej jaskinię synagogi w pobliżu rynku Mahane Yehudah. Synagoga była pusta, bo zawsze wybierał martwy okres między porannym *shaharit* a popołudniowym *minhah*.

Odmawiał kilka psalmów i wracał do domu, poświęcając wieczór Laurze i dzieciom.

Po co narażać je na choćby cień bólu?

Rzeźnicy z Betlejem i tak nigdy nie zostaną ukarani.

Przynajmniej nie na tym świecie.

A teraz ta sprawa. Irit i inne dzieci. Może także ten niewidomy. Czy można sobie wyobrazić coś bardziej ohydneho?

Czy trop ze stowarzyszeniem „Meta” dokądś ich zaprowadzi? Pewnie nie.

Byli jak poszukiwacze ropy na pustyni – przemierzali bezkresny piasek, budowali szyby w nadziei na znalezienie ropy...

A więc dzielił ze Sturgisem podobne odczucia. Mogliby już założyć grupę dyskusyjną, taką jakie w izraelskiej policji organizowano po śmierci któregoś z saperów czy zaszytletowaniu tajniaka w jakimś staromiejskim zaułku.

Oczami duszy Daniel dokładnie widział tę scenę: on i Sturgis siedzą w kręgu, starają się zachowywać wobec siebie jak ludzie. Delaware pośrodku jak... jak to się nazywa? Moderator.

Sturgis mruczy coś pod nosem, jak zły, lecz mądry niedźwiedź.

Zev Carmeli miał o nim jeszcze gorsze zdanie.

Jak wielu dyplomatów, Zev nie przebaczał. Zmuszany całymi dniami do okazywania uprzejmości, miał wiele uprzedzeń i był po prostu mizantropem.

Daniel przypomniał sobie rozmowę telefoniczną z Carmelim:

– Zgadnij, Sharavi, kogo mi teraz podesłali. Homoseksualistę.

Daniel siedział w jednym z tajnych gabinetów w nowojorskiej ambasadzie Izraela i słuchał narzekań Carmelego. Ten wylewał swe żale na „debilnych policjantów z Los Angeles”.

– Homoseksualistę – powtórzył. – Z kim się pieprzy, to nie moja sprawa, ale przez swoje upodobania seksualne w policji na pewno jest wyrzutkiem. I jak w takiej sytuacji może być skutecznym detektywem? Poprosiłem ich o najskuteczniejszego człowieka, a ci podsyłają mi tego.

– Sądysz, że się z tobą drażnią?

– A jak sądzisz? To niesamowite miasto, Sharavi. Jedni nienawidzą drugich. Jak w Bejrucie.

Albo w Jerozolimie, pomyślał Daniel.

– Może on naprawdę jest najlepszy. Dlaczego od razu odrzucasz tę kandydaturę, nawet go nie poznawszy?

Cisza.

– I ty to mówisz? – zdziwił się Carmeli. – Facet w jarmułce nie potępia takich rzeczy?

– Jeśli to jeden z najskuteczniejszych detektywów i ma duże doświadczenie, nie powinieneś się martwić.

– Zdziwiasz mnie, Sharavi.

– Czym?

– Swoją tolerancją. Ortodoksi słyną raczej z nietolerancji.

Daniel nie odpowiedział.

– Przejdźmy do rzeczy – powiedział Carmeli. – Właśnie po to do ciebie dzwonię. Przyjedź tutaj i sprawdź wszystko co się da. Jeśli powiesz mi, żebym się na niego zgodził, zgodzę się. Ale ostateczna odpowiedzialność spada na ciebie.

Potem odłożył słuchawkę.

Biedny Zev.

Wiele lat temu studiowali razem na Uniwersytecie Hebrajskim. Daniel miał dwadzieścia pięć lat i trzy lata służby wojskowej. Studiował na drugim roku. Zev był młodszy. Należał do nielicznej grupy geniuszów, których ze względu na doskonałe wyniki w nauce i rodzinne układy przyjmowano na studia bez egzaminów. Już wówczas Zev był poważny jak na swój wiek i niewiarygodnie ambitny. Ale wtedy udawało się z nim jeszcze podyskutować. Teraz już nie.

Ten człowiek stracił córkę.

Daniel sporo wiedział o więzi między ojcem a córką.

Zewowi można było wybaczyć prawie wszystko.

Daniel siedział sam w domu. Skończył jeść kanapkę, choć równie dobrze mógłby zjeść kawałek drewna. Następnie zadzwonił do prawnika z Nowego Jorku, któremu przekazał połowę sumy, jaką zarobił w ambasadzie. Poleciał mu po cichu dowiedzieć się czegoś o organizacji „Meta” i mecenasie Farleyu Sangerze, tym, który napisał, że upośledzeni nie zasługują na miano istot ludzkich.

Kolejne dwie godziny przy komputerze dały tylko tyle, że zaczęła go boleć ręka.

Nadwreżenie nadgarstka – tak orzekł policyjny lekarz z French Hill. Jeśli nie będzie pan na to uważał, w ogóle nie będzie pan miał rąk, ostrzegł go. Obkładać lodem i nie przemęczać.

Co za wyszukana porada. Daniel stłumił śmiech i wyszedł z gabinetu, zastanawiając się, jak czułby się bez rąk.

O ósmej wieczorem pojechał na koszerny rynek przy Pico i zrobił zakupy. Żeby wtopić się w tłum, włożył na głowę jarmułkę. Kasjerka powitała go pozdrowieniem „Shalom” i Daniel po raz pierwszy od przyjazdu poczuł się prawie jak w domu.

O dziesiątej zadzwonił do Jerozolimy do Laury.

– Kochanie, nie mogłam się doczekać na wiadomość od ciebie. Dzieci też chcą z tobą pomówić – powiedziała.

Poczuł ukłucie w sercu.

– Zwłoki są już zapakowane, gotowe do odjazdu – oznajmił detektyw ze śródmiejskiej komendy. – Zwykle poharatanie nożem.

Detektyw nazywał się Bob Pierce, miał około pięćdziesiątki, wyraźny brzusek, falujące siwe włosy, dużą szczękę i chicagowski akcent. Po drodze Milo opowiedział mi, że Pierce kiedyś był asem, teraz miał dwa miesiące do emerytury i myślał tylko o przeprowadzce do Idaho.

Tego wieczoru sprawiał wrażenie zrezygnowanego stoika, ale palcami szarpał brzeg marynarki – szarpał, miął, puszczał i tak w kółko.

Stał z nami na Czwartej Ulicy, u wylotu zaułka, między Main a Wall. W świetle przenośnych reflektorów uwijała się ekipa śledcza. Lampy rzucały snopy skupionego światła, więc stojące pod brudnymi ścianami pojemniki na śmieci wyglądały jak dziwne ogromne cienie. Na ulicę wylewał się zapach zgnilizny.

– Sam dzisiaj pracujesz, Bob? – zapytał Milo.

– Bruce ma grypę. A co ciebie zainteresowało w naszym rzekomym zabójstwie?

– Taka jedna beznadziejna sprawa, którą teraz prowadzę. Chodzi o zabójstwo upośledzonego dziecka, więc interesują mnie wszystkie napady na inwalidów.

– Rzeczywiście, nasza ofiara była inwalidą. Koroner twierdzi, że zupełnie nie widział. Nierozwinięta twardówka czy coś takiego. Pewnie urodził się już niewidomy. Wasza ofiara była Murzynką?

– Nie.

– A nasz to czarny.

– Macie jakiś dowód tożsamości? – zapytał Milo.

– Niejeden. – Pierce wyciągnął notatnik. – Karta z opieki zdrowotnej i kilka innych przedmiotów, które znaleźliśmy obok zwłok, w tym portfel, ale bez pieniędzy.

Włożył okulary z połówkami szkieł i zaczął przerzucać kartki.

– Melvin Myers, mężczyzna rasy czarnej, lat dwadzieścia pięć, zamieszkały przy Stocker Avenue.

Zamknął notatnik i odwrócił się, by popatrzeć na krzątających się techników.

– Stocker Avenue to w rejonie Crenshaw – rzekł Milo.

– Nie wiem, co tu robił, ale jeden z mundurowych mówi, że niedaleko jest szkoła dla

niepełnosprawnych – gdzieś w okolicy sklepów z odzieżą. Jutro się przekonamy, czy Myers tam się uczył.

– Co mu się stało?

– Szedł tym zaułkiem, dostał około dziesięciu ciosów wielkim nożem w plecy, a potem kolejne dziesięć w pierś.

– Ktoś się nieźle postarał – mruknął Milo.

– Właśnie. – Pierce coraz szybciej skubał marynarkę. – Możecie sobie to wyobrazić, nie widząc zwłok? Wczujcie się w jego położenie... to tak zwana rzekoma cywilizacja w jakiej rzekomo żyjemy.

Ostatnie słowa skierował do mnie. Od kiedy Milo przedstawił nas sobie, Pierce zerkał na mnie od czasu do czasu. Czy chodziło mu o moją nie ogoloną twarz, czy o to, że Milo przedstawił mnie jako konsultanta?

– Bob, czy macie jakieś szacunki co do czasu zabójstwa? – zapytał Milo.

– Późnym popołudniem. Patolog mówił, że ciało jest jeszcze ciepłe.

– Kto zauważył zwłoki?

– Chłopcy z jednego z naszych radiowozów. Żadna nowina, co? Jechali zaułkiem i zauważyli nogę wystającą zza któregoś śmietnika. Z początku sądzili, że mają jakiegoś ćpuna, który sobie przysnął. Wysiedli, żeby go szturchnąć.

– Późnym popołudniem – powtórzył Milo – czyli w godzinach pracy. Dość ryzykowna pora.

– Wcale nie, o ile jesteś bezmózgim psychopatą. W końcu udało mu się uciec, prawda?

Pierce spojrzał na nas kwaśno.

– Problem w tym, że nawet w godzinach pracy ten zaułek jest zupełnie pusty. Wiele domów przy Wall stoi pustych. A ludzie, którzy pracują w okolicy, trzymają się od tego miejsca z daleka, bo kiedyś handlowano tu prochami. Pojawiają się tu jedynie dozorczy, którzy wynoszą śmieci do pojemników.

Milo spojrzał w głąb uliczki.

– Za pojemnikami można się dobrze ukryć.

– Jasne. Stoją tu jeden za drugim jak chaty we wsi. Przypominają mi te małe zielone domki z gry w Monopol.

– Z tego, co powiedziałaś, wynika, że nikt już tu nie handluje prochami?

– Nie w tym tygodniu. Rozkaz z centrali: burmistrz polecił nam zająć się tym, co utrudnia życie codzienne naszym obywatelom. Niech to śródmieście będzie naszym śródmieściem, prawdziwym śródmieściem, byśmy mogli udawać, że żyjemy w normalnym mieście. Centrala każe nam natychmiast poskromić handel prochami, ale bez dodatkowych ludzi i wozów. To równie prawdopodobne jak wyrzuty sumienia u O.J. Simpsona. W efekcie jest tak, że obstawiamy jeden zaułek, a handlarze przenoszą się do innego. To jak gra w Chińczyka. Pojawiają się, przesuwiają i tak w kółko.

– Jak często kręcą się tu patrole?

– Kilka razy dziennie. – Pierce wyjął paczkę miętowych cukierków. – Oczywiście akurat nikt nie przybył w porę, żeby ocalić życie biednego pana Myersa. Niezłe miejsce dla ślepego, żeby zabłądzić.

– Zabłądzić? – zdziwił się Milo.

– A skąd niby się tu wziął? Chyba że sam był ćpunem szukającym rozrywki, a nie wiedział, że giełda przeniosła się trzy ulice dalej. Ale na razie niczego mu nie udowodniono, więc wolę sądzić, że był niewinną ofiarą. Na razie przyjmijmy, że się zgubił.

– Wydawało mi się, że niewidomi mają doskonałe wyczucie kierunku – powiedział Milo. – A jeśli chodził w tej okolicy do szkoły, to tym bardziej znał tu każdy kamyk i powinien być szczególnie ostrożny.

– Co mogę powiedzieć? – zapytał retorycznie Pierce. Znów obejrzał się na technicznych. – O proszę, już gotowe.

Pomocnicy koronera przenieśli worek ze zwłokami na wózek. Kiedy kółka ruszyły po spękany asfalcie, wózek zaczął grzechotać.

– Jedną chwileczkę, Bob! – zawołał Milo. Podbiegł do wózka, powiedział coś do ludzi koronera i poczekał, aż rozsuna worek.

– A więc pan jest konsultantem – zwrócił się do mnie Pierce. – Moja córka uczy się na stanowym uniwerku. Chce zostać psychologiem, może pracować z dziećmi...

Na głos Mila obaj odwróciliśmy głowy.

Minął kombi koronera i stał teraz przy wschodniej ścianie zaułka do połowy zasłoniętej przez śmietnik. Widoczną część ciała Mila oświetlał jeden z reflektorów.

– Co jest?! – krzyknął Pierce. Obaj podeszliśmy do Mila.

Na dziurawym asfalcie wyrysowano nierówno obrys ciała Melvina Myersa. Pochylone w prawo. Zgięte w pół. Widziałem nawet miejsce, w którym wystawała zza śmietnika jego noga.

Wokół wszędzie widać rdzawe plamy krwi.

Większa wyrwa w asfalcie pośrodku obrysu była jak symboliczna rana.

Milo wskazał na ścianę. Oczy miał błyszczące, zimne, pełne satysfakcji i gniewu.

Dziesiątki lat smogu, tłuszczu i brudu ze śmietników przyciemniły czerwone cegły. Cała ściana stanowiła jakieś szalone graffiti pełne obscenicznych napisów.

Ja widziałem tylko zniszczoną ścianę. To samo Pierce.

– O co ci chodzi? – zapytał.

Milo podszedł do ściany, pochylił się i zbliżył palec do czegoś, co widniało na ścianie zaledwie kilka centymetrów od miejsca, gdzie mur łączył się z asfaltem uliczki.

Tuż za miejscem, gdzie po śmierci leżała głowa Melvina Myersa.

Pierce i ja podeszliśmy bliżej. Smród ze śmietników był obezwładniający.

Palec Miła wskazywał cztery białe litery wysokości mniej więcej połowy dłoni.

Wykonano je białą kredą, podobnie jak obrys zwłok, tyle że nieco bledszą.

Starannie wypisane drukowane litery.

DVLL.

– Czy to coś znaczy? – zapytał Pierce.

– To znaczy, że skomplikujemy ci życie, Bob.

Pierce włożył okulary i przybliżył wielką szczękę do literek na murze.

– Nieszczególnie to trwałe. Ci idioci zwykle mażą farbą w sprayu.

– Bo to wcale nie miało być trwałe – wyjaśniłem. – Przede wszystkim chodziło o to, by przekazać wiadomość.

Milo opowiedział Pierce'owi wszystko ze szczegółami, kiedy wracaliśmy na Czwartą Ulicę.

– Różne metody zabójstwa, różne rejony – powtórzył detektyw ze śródmieścia. – Jakiś świr bawi się z nami w gierki?

– Na to wygląda.

– Gdzie jeszcze działał?

– U Hooksa i McLarena w południowo-zachodnim, u Manny'ego Alvarado w Newton. Ostatnio też znaleźliśmy jedno, które nie pasuje do tych wszystkich, poza napisem DVLL. To u Petry Connors z Hollywood. Pracuje ze Stu Bishopem.

– Nie znam jej – stwierdził Pierce. – Bishop kiedyś zostanie komendantem. Dlaczego on się tym nie zajmuje?

– Jest na wakacjach.

– A więc kroją się jakieś skoordynowane akcje?

– Na razie jeszcze nie ma czego koordynować – powiedział Milo. – Na razie wymieniamy się informacjami, a nawet tego mamy niewiele. Gorobich i Ramos przeanalizowali wszystko razem z FBI, ale też niewiele więcej się dowiedzieli.

O tym, że sprawą zajmuje się jeszcze jeden szczególny detektyw, Milo nie wspomniał.

Pierce zacisnął zęby. Doskonałe zęby. Sztuczne.

– W takim razie czego od mnie oczekujecie?

– Bob, nie mam zamiaru mówić ci, co powinieneś zrobić.

– Dlaczego nie? Moja żona ciągle to robi. I moja matka, i córki, i wszyscy inni, którzy potrafią mówić... W porządku, jeszcze dziś opiszę to jako zabójstwo podczas rozboju. Potem sprawdzę, czy pan Myers ma rodzinę. No i czy miał jakieś związki z prochami. Jeśli ma rodzinę, odbędę tę okropną rozmowę. Jeśli nie, wstąpię jutro do tej szkoły, sprawdzę, czy się tam uczył, i wszystkiego się dowiem.

Pierce uśmiechnął się.

– A jak będę miał zupełnie podły humor, to o północy zadzwonię do Bruce'a i powiem mu: Stary, ty będziesz dalej ślęczał nad tą sprawą, a tymczasem ja będę łowił rybki w Jeziorze Haydena i zastanawiał się, który z moich sąsiadów ma świra na punkcie rasy aryjskiej, a który po prostu ogólnie nienawidzi ludzi.

– Czy bardzo byś się przemęczył, gdybyś sprawdził to wszystko jeszcze dzisiaj? – zapytał Milo. – Sprawdź tylko akta i szkołę.

– Szkoła jest zamknięta.

– Może jest jakiś pokój dyżurny, ktoś tam w końcu potwierdzi, czy on był ich uczniem czy nie, coś o nim opowie.

Odniosłem wrażenie, że Pierce zamrugał oczami, ale reszta twarzy pozostała jak wykuta z kamienia.

– Cierpisz na bezsenność?

– Pracuję od jakiegoś czasu nad tą sprawą, Bob.

– Nie krępuj się, działaj. Możesz też zadzwonić do rodziny. A jak już będziesz przejeżdżał, to zabierz jeszcze mojego psa do lekarza na czyszczenie gruczołów.

– W porządku, nie ma sprawy, nie będę się wtrącał.

– Milo, przecież ja żartuję... proszę bardzo, bierz co chcesz. Ja mam czterdzieści osiem dni do emerytury i w życiu nie dam rady skończyć tej sprawy do tego czasu. Tylko informuj mnie od czasu do czasu, jak się sprawy mają.

Pierce obrócił się w moją stronę.

– Tak wygląda policja w akcji. Dobrze się pan czuje jako konsultant?

– Właściwie nie było szans, żeby ktokolwiek zauważył ten napis – powiedziałem, kiedy odjeżdżaliśmy. – To była wiadomość, ale prywatna.

Milo zawrócił i ruszył na Szóstą Ulicę. Następnie skręcił ostro w lewo i pojechał na zachód, pędząc ciemnymi śródmiejskimi ulicami. Widać było jedynie ludzi, którzy żyli z odprowadzania koszyków w supermarketach.

– Napaść na niewidomego i symulacja rabunku – myślał na głos Milo. – Ten facet mówi nam prosto w oczy: patrzcie, jaki jestem cwany, znowu was pokonałem.

Wjechaliśmy na autostradę.

– Czy zauważyłeś coś interesującego oglądając zwłoki? – zapytałem.

– Raczej nie. Biedak został mocno pocięty.

– Czyli koniec z eleganckim zabijaniem – stwierdziłem. – Koniec z „miłosiernym” zabijaniem. Nasz delikwent przyspiesza i staje się coraz bardziej agresywny. Więcej też ryzykuje – tym razem zrobił to w biały dzień. Może mu się wydaje, że realizuje jakąś poważną filozofię, ale to po prostu

jeszcze jeden psychopata.

– Przede wszystkim stał się o wiele bardziej pewny siebie. Nie ma pojęcia, że wiemy, co się dzieje, a przez ten knebel Carmelego nie możemy nawet ostrzec przed nim ludzi. Z drugiej strony co mielibyśmy powiedzieć w takim ostrzeżeniu? Niech się mają na baczności wszyscy ciemnoskórzy i niepełnosprawni, bo mogą stać się jego ofiarami? Akurat takiej paniki nam jeszcze tutaj brakuje.

– Jego ofiarami padają ciemnoskórzy i niepełnosprawni oraz Malcolm Ponsico, który przystąpił do grupy uznającej niepełnosprawnych za istoty niższego rzędu. Śmierć Myersa to kolejny dowód na to, że powinniśmy przyjrzeć się bliżej „Mecie”, Milo. Dlaczego nie wykorzystać naszej przewagi – w końcu zabójca nie wie, że go prawie namierzyliśmy? Pójdę do tej księgarni i sprawdzę, czy jest tam jakaś tablica kontaktowa. Pogadam też z Zeną Lambert. Może uda mi się wprosić na kolejne zebranie „Mety”.

Pędziliśmy ponad sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Milo przejechał pod mostem przy wyjeździe na Crenshaw.

– Jeśli ta Lambert okaże się kobietą fatalną, w dosłownym znaczeniu tego określenia, to rozmowa z nią może być czymś więcej niż tylko spotkaniem towarzyskim.

– Kobieta fatalna? – powtórzyłem. – A więc nie odzegnujesz się od wersji dwojga zabójców działających razem?

– Na razie niczego nie odrzucam.

– Współpraca wyjaśniałaby różnorodność metod zabijania. Dwoje samozwańcych geniuszów gra w szachy ludzkimi pionkami. Najpierw ona wychodzi na wabia, a potem wkracza on i bierze się za ciężką robotę. Więc kiedy mam się wybrać do „Spazmu”?

– Wydawało mi się, że nie znosisz spotkań towarzyskich.

– Czasami wręcz lgnę do ludzi.

Zatrzymaliśmy się na kawę przy jakiejś budce na La Cienega. Stamtąd zadzwoniłem do Robin. Powiedziałem jej o kolejnym morderstwie i uprzedziłem, że wrócę później.

– Mój Boże, kolejne upośledzone dziecko?

– Niewidomy mężczyzna.

– Och, Alex...

– Przepraszam, ale może mi to zająć jeszcze trochę czasu.

– Tak... oczywiście. Jak i gdzie do tego doszło?

– W śródmieściu. Upozorowano napad rabunkowy – wyjaśniłem.

Usłyszałem, jak Robin gwałtownie wciąga powietrze.

– Rób, co musisz robić. Ale obudź mnie, kiedy przyjdiesz. O ile w ogóle będę spała.

Kiedy wróciliśmy do domu Sharaviego, było już po jedenastej. Chwilę czekaliśmy pod drzwiami. Najwyraźniej Daniel spał, ale robił co mógł, żeby nie dać tego po sobie poznać.

Złociste oczy miały czerwone obwódki. Sharavi ubrany był w prostą białą koszulkę i bawełniane sportowe szorty w zielonym kolorze. Kiedy wpuszczał nas do środka, odsłonił na chwilę zdrową rękę, w której trzymał matowy czarny pistolet.

– O, plastikowy glock – zauważył Milo.

– Nie, wyprodukował to znacznie mniejszy zakład. – Sharavi wsunął pistolet do kieszeni szortów.
– A więc ten niewidomy to też część naszej łamigłówki.

Milo opowiedział, czego dowiedzieliśmy się od Pierce'a, i wróciliśmy do pokoju z komputerami. Chwilę później wiedzieliśmy już, że Melvin A. Myers nie był karany i przez większość życia korzystał z najróżniejszych form pomocy społecznej. Nie miał rodziny.

– Spróbujmy teraz w tej szkole – powiedział Milo. – Śródmiejski Ośrodek Doskonalenia Zawodowego.

Jak można się było spodziewać, w szkole nikt nie podnosił słuchawki. Sharavi przez chwilę szukał w sieci i w końcu wy dobył artykuł na temat szkoły, który ukazał się dwa lata wcześniej w „Los Angeles Times”. Dyrektorką szkoły była wówczas kobieta o nazwisku Darlene Groperrin.

– Dobrze, że nie Smith – zauważył Milo. – Sprawdź ją.

Mój przyjaciel siedział na brzeżku składanego krzesła i kołysał się w rytm, w jakim Sharavi wystukiwał zdrową ręką litery na klawiaturze komputera. Nie był świadomy tej harmonii ruchów.

Sharavi wykonał polecenie.

– Mamy ją w bazie wydziału ruchu drogowego. Darlene Groperrin, zamieszkała w Brentwood przy Amherst Street.

Milo natychmiast sięgnął po telefon i wykręcił 411. Powiedział coś szybko do słuchawki, wysłuchał czegoś i zapisał numer.

– Groperrin, D., bez imienia i adresu. Ale w końcu ile może być osób o tym nazwisku i inicjale... No proszę, pani G., nie zastrzegła pani numeru i teraz będą do pani wydzwaniać po nocy... – mrucał Milo.

Znów wystukał kilka cyfr na klawiaturze telefonu.

– Czy to pani Darlene Groperrin? Mówi detektyw Milo Sturgis z wydziału policji w Los Angeles. Przepraszam, że dzwonię tak późno... proszę pani? Nie, nie, nie chodzi o pani córkę, przepraszam, że panią wystraszyłem... chodzi o jednego z uczniów Śródmiejskiego Ośrodka Doskonalenia Zawodowego, pana Melvina A. Myersa... niestety, proszę pani, z panem Myersem nie wszystko jest w porządku...

Słuchawkę odłożył dopiero po dziesięciu minutach.

– Twierdzi, że to jeden z prymusów. Wcale nie upośledzony. Bardzo bystry, jeden z najlepszych uczniów. Potrafił pisać na komputerze z szybkością stu pięćdziesięciu słów na minutę. Za kilka miesięcy miał ukończyć kurs. Była pewna, że znajdzie pracę.

Potał twarz.

– Sądząc po głosie, mocno ją przybiła ta wiadomość. Nie potrafiła jednak wytłumaczyć, co Myers mógł robić w tym zaułku. Czasami przed powrotem do Crenshaw jadł obiad w śródmieściu, ale nie wiadomo, dlaczego miałby się tam szwendać o tej porze. Zwłaszcza że doskonale sobie radził w terenie ze swoją białą laską.

– A więc ktoś go tam zwabił – orzekłem. – A co z rodziną?

– Nie miał nikogo. Bob Pierce ma szczęście. Od śmierci matki, czyli od pięciu lat, Myers mieszkał sam. Najwyraźniej za życia matka go chroniła, ale kiedy odeszła, Myers postanowił wziąć się w garść. Najpierw zapisał się na kurs w ośrodku braille’owskim, potem do szkoły doskonalenia zawodowego. Mają tam osiemnastomiesięczny kurs komputerowy i Myers był prymusem. Ten adres przy Stocker to mieszkanie finansowane przez stanową pomoc społeczną.

Sharavi wyjął ze spodnek matowoczarny pistolet i położył go na biurku koło komputera.

– Niewidomy... kiedy was nie było, dzwonił mój informator ze wschodniego wybrzeża. W Nowym Jorku nie znalazł niczego na temat „Mety”, ale Farley Sanger, ten prawnik, który napisał manifest w „Pathfinderze”, nadal pracuje w tej samej kancelarii przy Wall Street. Posady nie zmieniała też pani redaktor tego piśmie, analityk rynku akcji Helia Cranepool. Żadne z nich nie występuje w prawnej bazie danych, co znaczy, że Sanger nie bywa w sądach. Mój informator twierdzi, że kancelaria Sangera obsługuje bogatych nabywców nieruchomości.

– Jakim samochodem jeździ? – zapytał Milo. – Jakiego szamponu używa?

– Jeździ rocznym mercedesem kombi. Co do szamponu, spróbuję się dowiedzieć. I sprawdzę też, czy używa odżywki w kremie.

Milo parsknął śmiechem.

– Mercedes ma rejestrację z Connecticut – mówił Sharavi. – Sanger ma dom w Darien i apartament przy Wschodniej Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, czterdzieści jeden lat, żonę i dwójkę dzieci: chłopca i dziewczynkę. Nie karany.

– A więc mamy Sangera na oku.

– Na razie. Sprawdziłem także tę dziewczynę z księgarni, Zenę Lambert. Dwadzieścia osiem lat, mieszka w Silverlake przy Rondo Vista Street, kilka kroków od księgarni. Ma kartę kredytową MasterCard, lecz rzadko z niej korzysta. W zeszłym roku zarobiła osiemnaście tysięcy dolarów. – Sharavi uśmiechnął się. – Nie omieszkać też sprawdzić upodobań co do szamponu.

– Ją też kazałeś śledzić? – zdziwił się Milo.

– Nie mogę bez twojej zgody.

– Jak długo zamierzasz obserwować Sangera?

– Tak długo, jak długo to będzie konieczne. W świetle tego, co powiedział o upośledzonych, że to... jak on to określił, doktorze Delaware?

– Mięso bez rozumu – odpowiedziałem.

– Właśnie, mięso bez rozumu. Obserwacja to dobry pomysł, może zrobi coś, co powie nam więcej o działalności tej grupy. Na obu wybrzeżach.

– A propos wybrzeży, możemy sprawdzić, gdzie ostatnio podróżował? – zapytał Milo. – Prawnicy cały czas wygrzewają fotele w samolotach. To byłaby dla niego doskonała przykrywka.

– Świetny pomysł – podchwycił Sharavi. – Jutro się tym zajmę, w czasie godzin pracy w Nowym Jorku. Po wiadomości o morderstwie Myersa obdzwoniłem wszystkie większe hotele w Los Angeles, żeby sprawdzić, czy Sanger przypadkiem się w którymś nie zameldował, ale go nie znalazłem. Może jednak podróżować pod innym nazwiskiem.

Milo uśmiechnął się.

– Dzięki za dobrą robotę.

– Co robimy dalej? – Sharavi wzruszył ramionami.

– Na jutro rano jestem umówiony z panią Groperrin. Spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej o Myersie, na przykład dlaczego dał się zwabić w ten zaułek, czym różnił się od innych uczniów.

– Przede wszystkim był Murzynem – powiedziałem. – Żadna z ofiar, oprócz Ponsico, nie była rasy białej.

– Eugenik rasista – zauważył Sharavi.

– Te dwa poglądy zazwyczaj sobie towarzyszyły. Może dowiemy się czegoś więcej, gdy przekonamy się, jakie książki sprzedaje „Spazm”. Coś mi mówi, że ta księgarnia nie specjalizuje się w literaturze dziecięcej. Kiedy mam tam się wybrać?

Sharavi uniósł brwi ze zdziwienia.

– Chce się zabawić w superszpiega – wyjaśnił mu Milo. – To twoja wina.

– Zamierza pan się tam wybrać pod własnym nazwiskiem, doktorze?

– Nie mam zamiaru pokazywać nikomu prawa jazdy.

– W takim razie może zabierze pan ze sobą jakieś inne dokumenty. – Sharavi odwrócił się do Mila.

– Tu się chyba mogę na coś przydać.

– Tajniackie sztuczki, co? – rzekł Milo.

– Dla jego bezpieczeństwa. O ile zechce zabawić się w aktora.

Mówili o mnie w trzeciej osobie.

Sharavi otaksował mnie wzrokiem.

– Widzę, że nad brodą już pan zaczął pracować.

Od tej chwili w pokoju Sharaviego coś się zmieniło.

Milo i Izraelczyk zgadzali się co do kilku spraw:

Moja tajna wyprawa była poważnym przedsięwzięciem i – jak to określił Sharavi – tymczasową odskocznią.

– Panowie, przecież ja się wybieram po prostu do księgarni – protestowałem.

– Ale z tej wizyty może coś wyniknąć, doktorze. Od samego początku musi pan zachować niezwykłą ostrożność.

– To znaczy?

– Pójdzie pan tam jako zupełnie inna osoba. I trzeba się do tej roli przygotować.

– W porządku.

– Poza tym musisz uzyskać zgodę Robin – powiedział Milo.

– Czy nie sądzisz, że trochę...

– Nie, Alex, nie sądzę. Najprawdopodobniej pójdziesz tam, naoglądasz się dziwnych książek i wrócisz do domu. Nawet jeśli uda ci się nawiązać kontakt z „Metą”, wszystko może się skończyć w ślepej uliczce. Może to po prostu banda świrów. Ale Daniel i ja dobrze wiemy, że praca policjanta to dziewięćdziesiąt dziewięć procent nudy i jeden procent paniki z powodu nieoczekiwanych wydarzeń. Przecież mamy do czynienia z kimś, kto dźgnął niewidomego w plecy. Ile czasu potrzebujesz na załatwienie dla niego fałszywych papierów? – zapytał Izraelczyka.

– Pół dnia – odparł Sharavi. – Postaram się o prawo jazdy, karty kredytowe, polisę ubezpieczeniową. Mogę też załatwić ubranie i samochód, jeśli to konieczne.

– Adres w dokumentach będzie prawdziwy czy zmyślony? – upewniał się Milo.

– Prawdziwy jest lepszy. Znam pewien adres w Valley, który możemy wykorzystać. Albo uda mi się znaleźć coś w mieście.

– Tylko do pokazania, czy można się nim bezpiecznie posługiwać?

– Jeśli trzeba będzie dłużej pograć, może go wykorzystać. Milo odwrócił się do mnie.

– Możliwe, że będziesz się musiał na jakiś czas przeprowadzić, Alex. Jesteś na to przygotowany?

Milo mówił twardo. Wiedziałem, co myśli. Ostatnio przeprowadzałem się z przymusu. Uciekałem

przed psychopata, który spalił mój dom.

– Rozumiem, że mówimy raczej o krótkim okresie?

– Pewnie kilka dni, raczej nie tygodni – odparł Milo. – Ale co zrobisz z pacjentami?

– Na razie nie mam nikogo, kto wymagałby terapii – wyjaśniłem. Od kiedy Helena Dahl zrezygnowała z wizyt. Znów pomyślałem o jej bracie, kolejnym samobójcy z wysokim ilorazem inteligencji...

– A jeśli któryś ze starych pacjentów będzie nagle potrzebował pomocy?

– Zawsze mogę się skontaktować z moją recepcjonistką. Ale ostatnio zajmuję się głównie papierkową robotą i pisaniem zaległych raportów.

– Świetnie – ucieszył się Sharavi. – Jak na razie pana styl życia doskonale nam odpowiada.

Milo zmarszczył brwi.

Obaj uraczyli mnie jeszcze kilkoma przykazaniami:

Aby uniknąć przypadkowych wpadek, muszę przyjąć fałszywe nazwisko podobne do mojego i sfabrykować życiorys oparty na moim własnym.

– Będiesz psychologiem, ale nie praktykującym – wyjaśnił Milo. – W ten sposób nikt cię nie wyśledzi.

– To może zostanę absolwentem psychologii, który nie ukończył studiów doktoranckich? – zaproponowałem. – Tak zwany BPD. Bez pracy doktorskiej.

– Dlaczego nie ukończyłeś studiów?

– Konflikt osobowości – odparłem. – Student był dla nich za zdolny, więc zgnili go przy pisaniu pracy doktorskiej. Instynkt mi mówi, że członkowie „Mety” mają podobne życiorysy.

– A to dlaczego?

– Bo ludzie, którzy przez większość czasu gadają i rozmyślają o tym, jacy to są inteligentni, zazwyczaj niewiele osiągają.

Milo zastanowił się nad tym i przytaknął.

– Na razie wszystko w porządku? – zapytał Sharaviego.

– Tak, ale powinien pan, doktorze, zacząć myśleć o tym wyimaginowanym osobniku w pierwszej, a nie w trzeciej osobie.

– W porządku – zgodziłem się. – Naukowcy mnie zgnoili, bo stanowiłem dla nich zagrożenie. Moje badania stanowiły zagrożenie. Genetyczne podstawy ilorazu inteligencji, praca politycznie niepoprawna...

– Nie – przerwał Milo. – To zbyt proste i nachalne.

– Zgadza się – poparł go Sharavi. – Może ci ludzie nie są aż tak inteligentni, jak im się wydaje, ale nie są idiotami. Nie może pan tam pójść i za bardzo im przytakiwać.

– Otóż to – podchwycił Milo. – Moim zdaniem powinieneś okazywać niewymuszoną ciekawość, ale nie wpraszać się od razu do ich klubu. O ile ci to zaproponują.

– Rozumiem – powiedziałem, czując się nieco głupio. – W takim razie jestem nietowarzyskim facetem, nie ufam grupom i wcale nie mam zamiaru wstępować do jakiegokolwiek klubu... A na studiach zajmowałem się... może stereotypami w życiu seksualnym i sposobami wychowania dzieci? Pracowałem nad tym, kiedy robiłem doktorat, ale niczego nie opublikowałem, bo zająłem się pracą w szpitalu. Nie będzie więc można wysledzić moich poglądów w żadnej wydanej już publikacji.

Sharavi coś sobie zapisał.

– Świetnie – pochwalił mnie Milo. – Mów dalej.

– Skończyły mi się pieniądze, a wydział nie chciał mnie sponsorować, bo nie zgadzałem się grać według ich reguł i...

– Według jakich reguł? – zainteresował się Sharavi.

– Tych, które rządzą życiem uniwersyteckiej kadry naukowej. Na ten temat mogę mówić z pełnym przekonaniem.

– Kiedy to wszystko miało miejsce? – zapytał Milo.

– Dziesięć lat temu?

– Na jakiej uczelni?

– Może powołamy się na jakiś mało znany program badań, którego już dawno nie ma? W latach osiemdziesiątych było ich sporo.

– To mi się podoba – ucieszył się Izraelczyk. Spojrzał na Mila, który również mruknął coś przytakująco. – Poszukam i wydrukuję dla pana jakąś pracę naukową.

– Skoro masz taką dobrą drukarenkę, może machniesz jeszcze trochę dwudziestodolarówek? – zakpił Milo.

Sharavi zatoczył ręką koło.

– A jak myślisz, skąd biorę pieniądze na cały ten luksusowy sprzęt?

Milo zachichotał, lecz szybko spoważniał.

– Skoro mówimy o pieniądzach, z czego się utrzymywałeś, od kiedy wyleciałeś z uczelni, panie prawie doktorze?

– Majątek rodzinny? – zaproponowałem. – Mały spadek? Tylko tyle, by wystarczyło na utrzymanie, bez żadnych luksusów. To kolejny powód mojej frustracji. Jestem błyskotliwy, za dobry na to, kim teraz w życiu jestem.

– Pracujesz?

– Nie. Wciąż szukam czegoś satysfakcjonującego. Po prostu obibok z Los Angeles.

Obaj skinęli głowami.

– No dobrze, a jak będę się nazywał? – zapytałem. – Na ile podobnie?

– Na tyle, żebyś łatwo zapamiętał nowe nazwisko – wyjaśnił Milo – lecz na tyle różnie, byś przez pomyłkę nie użył prawdziwego.

– Może Allan? – zaproponowałem. – Allan Del... coś tam. Może Delvecchio? Mógłbym uchodzić za Włocha.

– Nie – sprzeciwił się Milo. – Nie tykajmy innych grup etnicznych. Może ludzie z „Mety” w ogóle nie lubią innych grup etnicznych. Poza tym nie chcę, żebyś musiał na poczekaniu wymyślać, jaki przepis na lasagne miała twoja matka.

– To może Delbert? Delham albo po prostu Dell.

– Allan Dell? – powiedział Milo. – Nie, to z miejsca wygląda na zmyślane nazwisko. I jest zbyt podobne.

– Arthur Dell? Albert, Andrew? – proponowałem. – Andy?

– A może Desmond? – odezwał się Milo. – Tak jak ten stary babsztyl z „Bulwaru Zachodzącego Słońca”. Andy Desmond... Przeżyjesz to jakoś?

Powtórzyłem to kilka razy.

– Jasne, ale teraz powinienem dostać jakiś duży dom, Danielu.

– Przykro mi, doktorze, mamy pewne ograniczenia – odparł Sharavi.

– Andrew Desmond – powiedział Milo. – Niedoszły psycholog... PanNiedoszły. A więc dokumenty będą jutro?

– Mogę załatwić na jutro, ale proponuję odłożyć wszystko o kilka dni.

– Dlaczego?

– Żeby Alex zdążył się przyzwycząić do swojej roli. No i żeby ta broda mu trochę podrosła. Nosisz szkła kontaktowe?

– Nie.

– Świetnie. Załatwię okulary ze zwykłymi szklami bez soczewek. Nie do wiary, jakie cuda mogą zdziałać zwykłe okulary. Mógłbyś też pomyśleć o innej fryzurze. Najlepiej obetnij się krótko. Te loki wyglądają trochę... podejrzanie.

– Obcinanie. Robin będzie zachwycona – powiedział Milo.

– Jeśli to jakiś kłopot...

– Nie, żaden kłopot – zapewniłem Sharaviego.

Nastała cisza.

– W takim razie w porządku – przerwał ją Izraelczyk. – Porozmawiajmy jeszcze o tobie, Andrew. Opowiedz mi o swoim dzieciństwie.

Zerknął na Mila.

– Zawsze chciałem to zaproponować jakiemuś psychologowi.

Następnego dnia rano powiedziałem o wszystkim Robin. Z początku przyjęła to w milczeniu. A potem powiedziała:

– I to musisz być akurat ty.

– Jeśli naprawdę nie chcesz...

– Nie – przerwała mi.– Gdybyś zrezygnował, to... gdyby zdarzyło się jeszcze coś, czemu można w ten sposób zapobiec, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła... Na pewno nic ci nie grozi?

– To po prostu wizyta w księgarni.

– Po prostu wizyta. Będziesz przeglądał książki na półkach, co?

– Robin...

Chwyła mnie za ramię.

– Bądź ostrożny... zdaje się, że mówię to bardziej ze względu na siebie niż na ciebie... to jak modlitwa.

Rozluźniła uścisk. Pocałowała mnie i poszła do pracowni.

Zadzwoiłem do recepcjonistki i powiedziałem, że wyjeżdżam na tydzień z miasta na urlop, ale będę regularnie dzwonił i sprawdzał, czy nie ma wiadomości.

– Pewnie jedzie pan w jakieś urocze miejsce, doktorze Delaware? – zainteresowała się recepcjonistka.

– W bardzo ustronne miejsce.

Wieczorem zadzwonił Daniel Sharavi i zapytał, czy może wpaść o dziesiątej i przynieść mi nowe dokumenty.

– Milo o tym wie?

– Właśnie przed chwilą z nim rozmawiałem. Ma naradę z innymi detektywami na temat Melvina Myersa. Dołączy do nas.

– Doskonale.

Kiedy Sharavi przyszedł do mnie, taszcząc czarny winylowy worek, siedzieliśmy z Robin w salonie, grając w karty. Robin wstała, by otworzyć drzwi. Rzadko graliśmy w karty. Tego dnia to

był jej pomysł.

Przedstawiłem ich sobie. Robin wiedziała o włamaniu i podsłuchu, ale uśmiechnęła się i uściśnęła rękę Sharaviemu.

Usłyszałem, jak trzaskają drzwiczki dla psa, a po chwili przez kuchnię przegalopował Spike. Wpadł do salonu dysząc i parskając. Zatrzymał się o metr od Sharaviego, napiął mięśnie karku i zawarczał. Robin pochyliła się i próbowała go uspokoić. Spike zaczął szczekać i wcale nie miał zamiaru przestać.

– O co chodzi, piesku?

– Nie lubi mnie – stwierdził Sharavi. – I wcale go za to nie winie. Kiedy tu byłem, musiałem na kilka minut zamknąć go w łazience.

Robin przestała się uśmiechać.

– Bardzo mi przykro, pani Castagna. Sam kiedyś miałem psa.

– Chodź, piesku, nie będziemy panom przeszkadzać.

Spike podreptał za nią do kuchni.

– Wciąż jesteś na to zdecydowany? – zapytał Daniel.

– A powinno być inaczej?

– Czasami ludzie odnoszą się do pomysłu entuzjastycznie, a potem zmieniają zdanie. No i pani Castagna...

– Ona się nie sprzeciwia.

Usiedliśmy, a Sharavi położył worek na stole.

– Dowiedziałem się trochę więcej o tym nowojorskim prawniku Farleyu Sangerze. Ostatnią podróż do Los Angeles odbył dwa tygodnie przed dniem, kiedy zamordowano Irit. Zatrzymał się w hotelu Beverly Hills i z tego co usta liłem, prowadził jakieś sprawy swojej firmy. Na razie nie mamy dowodów, że od tamtej pory znów się tu pojawiał, ale czasami trzeba się nieźle nagłówkować, żeby takie rzeczy zdobyć.

Wyjął dokumenty.

– Nadal ani śladu „Mety”. Po tej aferze z manifestem Sangera grupa albo się rozpadła, albo zeszła do podziemia. Kiedy jeszcze działała, spotkania odbywały się w jednym z budynków przy Piątej Alei. To bardzo ekskluzywny dom, a w apartamencie, o którym mowa, mieści się biuro Fundacji Loomisów. To organizacja dobroczynna założona ponad sto lat temu przez pewną bogatą rodzinę farmerów z Luizjany. Z tego co nam wiadomo, fundacja jest niewielka. W zeszłym roku rozdali

niespełna trzysta tysięcy dolarów. Jedna trzecia poszła na badania psychologiczne pewnych bliźniaków z Illinois, jedna trzecia na badania z zakresu rolnictwa, a resztę rozdano rozmaitym naukowcom prowadzącym badania genetyczne.

– Czy to badanie bliźniaków też miało podtekst genetyczny?

– Sprawę prowadził profesor biologii porównawczej z niewielkiego college'u. Tu są wszystkie informacje. – Podał mi zszyte kartki z przedrukiem pracy.

Opublikowano ją w „Monitorze Fundacji Loomisów”. Nosiła tytuł: „Homogeniczność cech i równoległe wzorce zakodowanych zachowań u jednojajowych bliźniąt rozdzielonych przy urodzeniu”.

– Loomisowie... skądś znam to nazwisko. Co uprawiali?

– Tytoń, lucernę, bawełnę. Loomisowie szczycili się swoim drzewem genealogicznym. Wywodzili się od europejskiej szlachty i tak dalej.

– Szczycili się? – zapytałem. – Czy to znaczy, że już ich nie ma?

– Członkowie rodziny wymarli, ale pozostało kilku krewnych, którzy prowadzą ich farmę i fundację. Od lat fundacji nie przybywa gotówki.

– Są jakieś dowody, że finansują działalność „Mety”?

– Na razie nie, ale fakt, że „Meta” korzysta z ich siedziby, jest dość wymowny. Jeśli wspomagali „Metę” finansowo, poza oficjalnymi księgami, mogą mieć problemy, bo to podważyłoby ich statut instytucji zwolnionej od podatku.

– A kontrowersje wokół artykułu Sangera na pewno przyciągnęłyby chętnych do zajrzenia w ich księgi.

– Otóż to. Może właśnie dlatego klub rozwiązano?

– Albo przeniesiono do Los Angeles – powiedziałem. – Loomis... chwileczkę. – Udałem się do gabinetu i zdjąłem z półki egzemplarz „Drenażu mózgu”.

Biogram autora na okładce.

Doktor Arthur Haldane, pracownik Instytutu Loomisów w Nowym Jorku.

Przyniosłem książkę i pokazałem Sharaviemu.

– O – zdziwił się – kupiłem tę książkę wczoraj, jeszcze nie zdążyłem do niej zajrzeć... A więc oprócz fundacji działa także instytut.

– Może chodzi o inne pieniądze, których przepływu nie śledziłeś?

Sharavi obrócił książkę, otworzył i przeglądał spis treści.

– Mogę skorzystać z telefonu?

Zadzwoił, podając numer swojej karty telefonicznej. Przez chwilę rozmawiał po hebrajsku, po czym odłożył słuchawkę i wrócił do stołu.

– To bestseller – powiedziałem. – Jeśli jakiegokolwiek wpływy z tantiem wrócą do Loomisów, na pewno mogą się pożegnać ze zwolnieniami z podatków. Ale przyciśnięci brakiem gotówki, mogli postanowić, że warto zaryzykować.

– I Sanger, i ta pani analityk Helia Cranepool zajmowali się finansami. Ona specjalizuje się w obrocie towarami rolniczymi.

– Na przykład produktami Loomisów. O ile oczywiście ta farma nadal istnieje – dopowiedziałem.

– Owszem, istnieje – potwierdził Sharavi. – Nie w Ameryce, lecz za granicą. Produkuje bawełnę, konopie, jutę, lucernę i inne rośliny uprawne oraz najrozmaitsze materiały do pakowania. Mają plantacje w Azji i Afryce. Pewnie z powodu tańszej robocizny.

– To coś dla nich – powiedziałem. – Czy prowadzą tam również biura?

– Nie jako Loomisowie. Właśnie to sprawdzam.

– Mają siedzibę przy Piątej Alei w Nowym Jorku, a jedyne, co wiemy o ich działalności tutaj, to jakiś nikły ślad prowadzący do księgarni w Silverlake. To spory kontrast.

– Wiemy, że są snobami – przypomniał Sharavi. – Może ten snobizm wpływa też na sposób postrzegania Kalifornii.

Przygotowywałem kawę, a Sharavi siedział bez ruchu jak zahipnotyzowany. Kiedy wróciłem z dwoma kubkami, podziękował mi i wręczył białą kopertę. W środku znajdowała się polisa ubezpieczenia socjalnego, karty: kredytowe Visa i MasterCard, rabatowa do sieci sklepów Fedco i karta kasy chorych Blue Shield – wszystkie dokumenty wystawiono na nazwisko Andrew Desmonda.

– Polisa na życie – stwierdziłem. – Na jaką sumę?

– Sporą – uśmiechnął się.

– Na wypadek gdyby coś mi się stało?

– Zrobię, co mogę, żeby nic ci się nie przydarzyło.

– A co z prawem jazdy?

– Do tego potrzebna jest fotografia, a z tym chcę poczekać do czwartku albo piątku, aż będziesz

miał gęstsza brodę. Do tego czasu otrzymam też twoje referencje naukowe. Znaleźliśmy tu w Los Angeles mało znany kurs psychologii, który zawieszono dziesięć lat temu. Nawet gdybyś przez przypadek trafił na jego absolwenta, nic by się nie stało, bo były to studia korespondencyjne i uczestnicy się nie znali.

– Doskonale.

Sharavi wyrównał kupkę papierów.

– Niewielu cywili zdecydowałoby się aż tak skomplikować sobie życie, Alex.

– Jestem masochistą. A szczerze mówiąc, uważam, że przesadzamy z tymi szpiegowskimi sztuczkami.

– Lepiej przesadzić, niż coś przeoczyć. Jeśli będziesz potrzebował innego lokum niż obecne, mam coś dla ciebie. Udało mi się zdobyć je w mieście. Przy Genessee Avenue, w rejonie Fairfax.

Machnął zdrową ręką.

– Obawiam się, że zupełnie nie przypomina tego domu, ale przynajmniej sąsiedzi nie są wścibscy.

Wyjął z kieszeni kółko z kilkoma kluczami. Rozłożył je na stole i po kolei wskazywał i objaśniał do czego służą.

– Ten od frontowych, ten od tylnych drzwi. Ten od garażu, a ten od samochodu. To volkswagen karmann ghia, dziesięcioletni, ale trochę przerobiony. Ma nowy silnik i jeździ lepiej, niż wygląda. Wybrałem coś brzydkiego, żebyśmy nie musieli się bać złodziei samochodów. Auto stoi w garażu.

Przesunął klucze po stole w moją stronę.

– Wygląda na to, że pomyślałeś o wszystkim – powiedziałem.

– Gdyby to tylko było możliwe.

Milo zadzwonił do drzwi tuż po wpół do jedenastej. Przyszła z nim Petra Connor. Znów była ubrana w kostium, tym razem brązowoczekoladowy. Miała dyskretniejszy makijaż i wyglądała młodziej.

– Nadinspektor Sharavi, detektyw Petra Connor z komendy w Hollywood – przedstawił ich Milo.

Uścisnęli sobie dłonie. Ciemne oczy Connor spoglądały teraz na mnie i na fałszywe dokumenty.

– Napijecie się czegoś? – zaproponowałem.

– Nie, dziękuję – odparła Connor.

– Jeśli zostało ci trochę kawy, z chęcią się napiję – rzekł Milo. – A gdzie Robin?

– Na podwórku.

Napełniłem kawą kubek, a Milo w tym czasie oglądał moją polisę ubezpieczenia socjalnego.

– Właśnie zakończyłem międzywydziałową prezentację. Pierce nie mógł przyjść, McLaren i Hooks byli w terenie, bo pracują nad jakąś sprawą, więc zjawił się tylko Alvarado, detektyw Connor i ja.

Petra pokręciła pierścionkiem z wypukłym oczkiem.

– Dziękuję, że mnie tutaj zaprosiliście. Dzwoniłam znów do rodziców Malcolma Ponsico, ale i tym razem nie na wiele się to zdało. Nie mogłam im powiedzieć, że być może ich syn nie popełnił samobójstwa. Twierdziłam, że właśnie zamykam sprawę. Sprawdziłam też przeszłość Zeny Lambert i okazuje się, że jest bez zarzutu. Odeszła z PlasmDerm na własną prośbę, a więc jej nie wyrzucono. W aktach personalnych nie znaleźliśmy niczego podejrzanego. Jest też zarejestrowana jako właścicielka tej księgarni w Silverlake, więc wygląda na to, że wzięła sprawy we własne ręce.

Spojrzała na Mila.

– Jedyne co wyszło podczas naszego zebrania to fakt, że Alvarado przekopał się przez akta wydziału rekreacji i znalazł faceta nazwiskiem Wilson Tenney, który pracował w parku, gdzie porwano Raymonda Ortiza – oznajmił Milo. – Kilka tygodni później wyrzucono go z pracy ze względu na problemy z jego charakterem. Nie wykonywał poleceń, pojawiał się w pracy, kiedy chciał, siadał na ławce i czytał, zamiast grabić śmieci. Kilka razy go ostrzegano, aż w końcu się doigrał. Tenney oczywiście się oburzył, groził procesem, mówił coś o wtórnej dyskryminacji – bo jest białym mężczyzną – ale w końcu po prostu sobie poszedł.

Podał mi kartkę z kserokopią prawa jazdy. Tenney miał trzydzieści pięć lat, metr siedemdziesiąt trzy wzrostu, ważył osiemdziesiąt kilo. Zielone oczy, włosy do ramion – jasnobrązowe, o ile czarnobiała odbitka była dobrze wykonana. Całości dopełniały harde oczy i zaciśnięte usta. Poza tym w jego twarzy nie było nic szczególnego.

– Zły człowiek – stwierdziłem. – Nienawidzi mniejszości. Czytał w pracy, bo wydaje mu się, że jest niezależnym intelektualistą?

– Sprawdziliśmy go, ale jest równie czysty jak Lambert. Nie szukał też pracy po drugiej stronie miasta, w tym rezerwacie, gdzie zginęła Irit. Chociaż rzeczywiście wyprowadził się spod ostatniego znanego adresu – z mieszkania w Mar Vista. No i zgadnijcie, czym jeździ.

– Furgonetką?

– Chevroletem z siedemdziesiątego dziewiątego. Z nieważną rejestracją, co czyni go trochę bardziej podejrzanym. Jeśli mieszka na ulicy, na pewno nie korzysta z zasiłku, nie składał żadnego podania w opiece społecznej.

– Może leczył się psychiatrycznie – zasugerowałem. – Może go hospitalizowano?

– Alvarado już zaczął sprawdzać szpitale publiczne. W tej chwili nie mielibyśmy jak przeczesać klinik prywatnych. Wpadłem też do tego szefa tutejszej „Mensy”, Bukovsky’ego. Ma firmę, sklep z częściami samochodowymi, ale nie było go w pracy. Postanowiłem zostawić mu wizytówkę. Ktoś ma jakieś pomysły?

– Nie – odezwał się Sharavi – tylko informacje. – Powtórzył to, co mówił mi o Sangerze i Fundacji Loomisów.

– Piąta Aleja – zamyślił się Milo. – I może po cichu wspierają dupka, który napisał tę książkę... Może wspierają też Zenę Lambert i finansują „Spazm”. Oto jak z dnia na dzień urzędniczka może założyć własną firmę.

– Kapitał założycielski nowej utopii – dokończyłem.

– A jeśli sklep przynosi jakieś zyski, pieniądze wracają do Fundacji Loomisów – mówił Sharavi. – Interesujący sposób na pranie brudnych pieniędzy.

– A więc nadal sprawdzasz podróżę Sangera? – upewnił się Milo.

Izraelczyk przytaknął.

– A co z panią redaktor Cranepool?

– Mieszka samotnie w apartamencie przy Wschodniej Siedemdziesiątej Ósmej Ulicy. Pracuje do późna w domu maklerskim, wraca do domu i rzadko gdziekolwiek wychodzi, chyba że na zakupy i w różnych innych sprawach.

Z kieszeni wyjął trzy fotografie. Pierwsza upadła wierzchem do dołu i Sharavi tak ją zostawił. Druga przedstawiała wysokiego mężczyznę przy kości o obwisłych ramionach, czego nie mógł skryć nawet dobrze skrojony garnitur. Miał ciemne włosy zaczesane do tyłu. Twarz o grubych rysach, nieco płaska. Ciemne oczy i obwisłe powieki. Ubrany był w szary garnitur, białą koszulę, granatowy krawat. W ręce trzymał dyplomatkę z miękkiej skóry. Zdjęcie zrobiono, gdy szedł zamyślony zatłoczoną ulicą.

Na trzeciej fotografii ujrzeliśmy rozdrażnioną kobietę o wąskich ustach. Była prawie dziesięć lat starsza od mężczyzny z drugiego zdjęcia. Miała na sobie workowaty beżowy sweter i ciemnozielone spodnie w kratę. Jasnobrązowe włosy odgarnęła z szerokiej twarzy do tyłu. Z uszu zwisały wielkie złote kolczyki, na nosie połyskiwały okulary w złotych oprawkach. Ona również miała spłaszczoną twarz. Zapytałem nawet, czy jest spokrewniona z Sangerem.

– Dobre pytanie – powiedział Sharavi. – Spróbuję się tego dowiedzieć.

Przyjrzałem się bliżej fotografii Helli Cranepool. Zdjęcie zrobiono w ruchu, ale szybka migawka uchwyciła ją doskonale i bez rozmazania. Wychodziła z jakichś drzwi z dwiema białymi siatkami zakupów w rękach. Na wystawie za jej plecami widać było jabłka i pomarańcze. Na jednej z reklamówek odczytałem napis D’AGOSTINO.

– Sanger szedł właśnie na jakiś służbowy obiad – wyjaśnił Sharavi. – Cranepool robiła zakupy w sklepie spożywczym przy Lexington Avenue w sobotę.

– Oboje wyglądają dość ponuro – zauważyła Petra Connor.

– Może za duża inteligencja to wcale nie taka fajna sprawa – ironizował Milo.

Sharavi odwrócił pierwszą fotografię. Farley Sanger w czerwonej koszulce polo i płóciennym kapeluszu, siedzący w motorówce przycumowanej do nabrzeża, a obok niego piękna blondynka i dwoje małych blondasków. Spokojna zielona woda, gdzieś na obrzeżach bagienna trawa.

Sanger i tu wyglądał na nieszczęśliwego, a kobieta sprawiała wrażenie onieśmiałej. Dzieci odwróciły się od aparatu, tak że widać było tylko ich wąskie szyje i włosy koloru pszenicy.

– Nie wygląda mi to na sielankę w stylu Normana Rockwella – uznała Connor.

Milo zapytał, czy mógłby dostać odbitki. Sharavi zapewnił go, że się o to postarał.

Uświadomiłem sobie, że Daniel zaczekał z fotografiami aż do przyjścia Milo. Wstrzymywał się z podaniem szczegółów.

Jak widać, policjant z policjantem zawsze się dogaduje.

– Idźmy dalej – powiedział Milo. – Zabójstwo Melvina Myersa. Spotkałem się z panią Groperrin, była dyrektorką szkoły, do której chodził Myers. Z początku wciąż powtarzała, jakim to asem był Myers. Wyglądało to zbyt pięknie, więc zacząłem naciskać i w końcu przyznała, że często też zachodził im za skórę: miał gwałtowny temperament, był skory do kłótni, wszędzie dopatrywał się oznak dyskryminacji inwalidów i wciąż narzekał, że szkoła nie traktuje uczniów jak dorosłych, że budynek jest do kitu i wszystkie zajęcia są do kitu. Groperrin doszła do wniosku, że za długo znajdował się pod skrzydłami matki, a teraz poczuł wolność. Uważał się za wojownika lepszej sprawy, starał się nadać ogromne znaczenie samorządowi uczniowskiemu – żeby stał się głosem uczniów i żeby administracja bardziej liczyła się z jego zdaniem.

– Irytujący przywódca grupy – podsumowałem. – Ktoś taki mógł sobie narobić wrogów.

– Groperrin zaprzeczała, jakoby Myers popadł w konflikt z kimkolwiek. Twierdziła, że wszyscy w szkole wiedzieli, skąd się wywodził, i podziwiali go. Za to, że miał jaja, że się tak wyrażę.

– A co z ludźmi z bloku, w którym mieszkał?

– Cztery osoby. Rozmawiałem telefonicznie z nimi i z gospodynią. W zasadzie wszyscy powtarzają to samo. Melvin był inteligentny, ale przemądrzałą gadką potrafił każdego wkurzyć.

– Mimo to żadna z dotychczasowych ofiar nie wzbudzała irytacji – zauważyła Petra Connor. – Ofiarami stali się nie z powodu tego, co robili, lecz z powodu tego, kim byli.

– Czy pani Groperrin domyśla się, co mogło zwabić Myersa w ten zaułek? – zapytał Sharavi.

– Nie – odparł Milo. – Ale jedno jest pewne: nie zgubił się. Zapewniała mnie, że Myers znał ten teren jak własną kieszeń. Znał na pamięć całe śródmieście. A zatem ktoś musiał go zachęcić, by zboczył w ten zaułek. I tu się kończy nasza wiedza. A ty, Alex, zdecydowałeś już, kiedy pójdziesz do księgarni?

– Daniel proponuje, by wstrzymać się do czwartku lub piątku. Żeby broda mi trochę podrosła.

– Dobry pomysł, Andrew.

Wyszli we troje, rozmawiając między sobą policyjnym slangiem. Pomyślałem o Nolanie Dahlu.

Zauważyłem sporo podobieństw do Ponsico – kolejny bystry chłopak, który zniszczył sam siebie.

Niezbyt to wszystko głębokie. Najwyższa nawet inteligencja nie obroni nikogo przed bólem. A zbyt duża przenikliwość sprawiała ból.

Następnego dnia wciąż o tym myślałem.

Owa poważna sytuacja, o której mówił doktor Lehmann. Sprawy, o których Helena nie powinna wiedzieć.

Sprawy, które wywołały u Nolana potężne wyrzuty sumienia?

Założyłem, że chodzi o jakąś tajemnicę związaną z życiem seksualnym, ale może się myliłem. Helena mówiła, że Nolan lubił skrajności.

Jak daleko się posunął?

Czy poprosił o przeniesienie z zachodniego Los Angeles, bo coś tam właśnie zrobił?

W zachodnim Los Angeles zamordowano Irit. Kiedy pojechałem na miejsce, gdzie zginęła Latvinia, myślałem o potworze w uniformie.

Czyżby policjant?

Duży, silny, uśmiechnięty i przystojny policjant?

To obrzydliwe... lecz policjant z zachodniego Los Angeles na pewno znałby wszystkie ścieżki w parku i mógłby się łatwo gdzieś zaszyć.

Policjant może znaleźć wymówkę, dlaczego przebywa w danym miejscu.

Policja z zachodniego Los Angeles nie patrolowała parków, to było zadanie strażników leśnych... ale policjant mógł sobie zrobić przerwę obiadową.

Uwaga, centrala – jadę na pączki i... popełnić morderstwo?

Nie, to nie miało sensu. Kiedy zamordowano Latvinie i Melvina Myersa, Nolan nie żył już od kilku tygodni. Zresztą nie ma nawet cienia dowodu, że Dahl wyrządził krzywdę komukolwiek poza sobą.

Bredzicie, kolego Delaware. Czas akcji wam się nie zgadza.

Chyba że zabójców było więcej.

Nie tylko zabójcza parka, ale cały klub morderców. To by wyjaśniało różne metody zabójstw.

Taka grupowa gra: dzielimy miasto na rejony. Każdy gracz dostaje obszar działania innej komendy. Nolan wyjaśnił im wszystko jako ekspert w dziedzinie procedur policyjnych...

Dość. Odsądzałem od czci zmarłego, bo był bystrzejszy niż inni. No i miał dziwnego terapeutę. Owszem, nie ma wątpliwości, że Nolan wyjawiał Lehmannowi tajemnice, które lekarz wolał zachować tylko dla siebie. Ale to zwykła ostrożność psychiatry – w tej kwestii niczym się nie różniłem od niego.

Mimo to Helena uciekła.

Dlaczego?

Postanowiłem jeszcze raz spróbować się z nią skontaktować.

Jej domowy telefon był już odłączony. Wyprowadziła się więc na dłużej.

Oboje rodzice nie żyją, nie ma bliskiej rodziny. Do kogo można się wtedy zwrócić w podbramkowej sytuacji?

Do dalszych krewnych? Do przyjaciół? Nie znałem żadnego z nich.

W ogóle niewiele o niej wiedziałem.

Wspominała tylko o jednej takiej osobie – o byłym mężu.

„Gary jest pulmonologiem, w sumie to porządny facet. Ale postanowił, że zostanie farmerem i przeprowadził się do Karoliny Północnej”.

Czy mówiła tak z litości, czy rzeczywiście rozstali się w przyjaźni?

Zadzwoiłem do Ricka do szpitala Cedars. Odezwał się poirytowanym głosem, lecz natychmiast złagodniał, jak mnie usłyszał.

– Jasne, że wiem – odparł. – Gary Blank. Też tu kiedyś pracował. Dobry fachowiec od płuc. Południowiec. W głębi serca chłopak ze wsi.

– Pochodził może z Karoliny Północnej?

– Nie wiem, Alex. A co?

– Zastanawiam się, czy Helena nie zwróciła się przypadkiem do niego po pomoc.

– Hmm... rozwód odbył się w przyjaznej atmosferze. Jak na rozwód oczywiście. A Gary to dusza człowiek. Jeśli poprosiłaby go o pomoc, na pewno otworzyłby przed nią szeroko drzwi.

– Dzięki.

– A więc znów próbujesz się z nią skontaktować.

– Znasz mnie, Rick. Nigdy nie lubiłem nie dokończonych spraw.

– No tak – odparł. – Sam kiedyś taki byłem.

– Byłeś?

– Wczoraj – roześmiał się.

Na terenie Karoliny Północnej obowiązywały trzy numery kierunkowe: 704, 910, 919. Dzwoniłem do informacji w każdym z trzech rejonów, ale udało się dopiero pod 919.

Gary S. Blank. Bez tytułu naukowego. Mieszkał przy jakiejś wiejskiej drodze w pobliżu Durham.

W Karolinie Północnej właśnie zbliżała się pora kolacji.

Helena podniosła słuchawkę po dwóch dzwonkach.

Od razu rozpoznała mój głos i odezwała się sztywno:

– Jak pan mnie znalazł?

– Poszczyło mi się. Nie chcę przeszkadzać, chcę się tylko upewnić, czy wszystko jest w porządku. Jeśli ta rozmowa pogarsza sytuację, proszę mi powiedzieć.

Nie odpowiedziała. W tle słyszałem muzykę. Chyba coś barokowego.

– Heleno...

– Wszystko w porządku. Po prostu zaskoczył mnie pan.

– Przepraszam...

– Nic się nie stało. Ja... chyba wzruszyłam się tym, że pan się tak o mnie troszczy. Przepraszam, że ulotniłam się bez słowa wyjaśnienia, ale... to bardzo trudne, doktorze Delaware. Ja... to po prostu trudne. Naprawdę mnie pan zaskoczył.

– Nie trzeba...

– Nic się nie stało. Po prostu... ciśnienie okazało się tak duże, że postanowiłam zacząć wszystko od nowa.

– Czy chodzi o coś związanego z Nolanem?

– Co pan ma na myśli? – zapytała jeszcze bardziej spiętym głosem.

– Od kiedy znalazłaś w garażu Nolana ten album rodzinny, nie pojawiłaś się już u mnie. Zastanawiałem się po prostu, co cię wzburzyło.

Kolejna chwila ciszy.

– Jezu... – powiedziała w końcu. – Cholera.

– Heleno...

– Jezu Chryste... naprawdę nie chcę o tym rozmawiać.

– Nie ma sprawy.

– Ale... doktorze Delaware, proszę mnie zrozumieć, to coś jak pływy morza. Niezależne ode mnie. Zresztą to nie moja sprawa. Muszę skupić się na tym, co mogę zrobić. Jakoś to wszystko poukładać i żyć dalej.

Nie odzywałem się.

– Naprawdę jest pan świetny – mówiła. – Inteligentny, po prostu niesamowity. Przepraszam, chyba mówię trochę od rzeczy, co?

– Zdaje się, że tak. Dowiedziałaś się o czymś niepokojącym i nie chcesz rozdrapywać ran.

– Właśnie, właśnie.

Znów przez chwilę milczeliśmy.

– Ale musisz wiedzieć jedno, Heleno. Jeśli Nolan był zamieszany w coś, co wciąż jeszcze trwa i możesz...

– Oczywiście, że trwa! Świat to jedno wielkie bagno pełne... takich rzeczy. Ale nie mogę ponosić odpowiedzialności za wszystko... co? Chwileczkę.

Zasłoniła słuchawkę dłonią. Słyszałem tylko przytłumione głosy.

– Mój były mąż usłyszał, jak krzyczę, i przyszedł sprawdzić, co się stało – wyjaśniła. Wzięła głęboki oddech. – Proszę posłuchać, bardzo mi przykro. Już sama śmierć Nolana była ciężkim przeżyciem, a dowiedzieć się potem, że był... Przykro mi, nie potrafię sobie z tym poradzić. Dziękuję, że pan zadzwonił. Wszystko w porządku, poradzę sobie... Tu jest naprawdę pięknie. Może spróbuję jednak pomieszkać na wsi... Przepraszam, że jestem taka rozdrażniona, doktorze Delaware, ale... proszę mnie zrozumieć.

Trzykrotne przeprosiny w ciągu kilku sekund.

– Oczywiście – odparłem. – Nie musi pani za nic przepraszać. Nawet jeśli Nolan był zamieszany w coś skrajnego...

– Nie nazwałabym tego skrajnością – przerwała mi nagle poirytowana. – Raczej obrzydliwe, a nie skrajne. Faceci cały czas to robią, prawda?

– Doprawdy?

– Tak mi się wydaje. W końcu to najstarszy zawód świata.

– Prostyucja?

Cisza.

– Co? – zdziwiła się. – O co panu chodzi?

– Zastanawiałem się po prostu, czy Nolan nie zaplątał się w jakąś skrajną działalność polityczną.

– Gdyby tak było. Do tego zdążyłam się przyzwyczać. – Roześmiała się. – A więc nie czyta pan w myślach... polityka. Gdyby tylko o to chodziło. Nie, doktorze Delaware, mówię po prostu o zwykłym ordynarnym kurestwie. Oto co stało się obsesją mojego szlachetnego brata policjanta.

Nie odezwałem się.

Znów się roześmiała. Śmiała się coraz głośniej, aż wpadła niemalże w śmiech histeryczny.

– Zainteresowania polityczne Nolana w ogóle by mnie nie obchodziły. Zawsze rzucał się z jednego dziwactwa w drugie, nic wielkiego. Prawda jest taka, że w tej chwili nie obchodzi mnie nic, co robił. – Głos zaczął jej się łamać. – Och, doktorze Delaware, jestem taka zła na niego! Tak cholernie, cholernie zła na niego! Za to co robił i za to co zrobił!

Ostatnie kilka słów wypowiedziała urywanym szeptem. Powstrzymywała łzy, śmiejąc się dalej.

– Ma pan rację, chodziło o ten album – mówiła. – Obrzydliwe zdjęcia z polaroida, prywatne archiwum Nolana. Trzymał je dokładnie w środku jednego z albumów. Razem ze zdjęciami mamy i taty, z naszymi rodzinnymi pamiątkami. Najpierw zabiera album z rzeczy mamy, nic mi o tym nie mówiąc, a potem traktuje go jako własne cholerne porno archiwum.

– Porno – powtórzyłem.

– Prywatne porno. Zdjęcia jego samego. I dziwek. Młodych dziewczyn... nie, nie dzieci, dzięki Bogu, to nie było aż tak obrzydliwe. Ale większość z nich wyglądała za młodo – piętnaście, szesnaście lat. Chudziutkie małe Murzynki i Latynoski. Po ubraniach widać, że to dziwki: szpilki, podwiązki. Wszystkie wyglądały jak zaczarowane, u niektórych nawet widoczne były ślady ukłuć na rękach. Na części zdjęć był w mundurze, więc pewnie robił to podczas służby. Najprawdopodobniej z tego powodu przeniósł się do Hollywood. Żeby być bliżej dziwek. Pewnie podrywał je w czasie, kiedy powinien dbać o nasze bezpieczeństwo. Zabierał je Bóg wie gdzie i robił zdjęcia!

Usłyszałem jak prychnęła.

– Co za bagno – mówiła. – Przerobiłam je na konfetti i wyrzuciłam. Kiedy zamknęłam pokrywę śmietnika, pomyślałam – co ty tu robisz? W tym mieście mieszkają same świry. A potem następnego wieczoru ktoś się do mnie włamał i to przeważało szalę.

– To okropne – powiedziałem.

– Doktorze Delaware, naprawdę nigdy do końca nie poznałam Nolana, ale nic nie wskazywało, że powinnam być przygotowana do oglądania takich zdjęć. Tak trudno pogodzić się z tym, że ktoś, z kim człowiek się wychowywał... Ale tu naprawdę czuję się bezpiecznie. Gary ma czterdzieści pięć akrów ziemi i hoduje konie. Kiedy wyglądam przez okno, widzę tylko trawę i drzewa. Wiem, że nie zostanę tu na zawsze, ale na razie mi to służy. Proszę się nie obrazić, lecz w tej chwili zmiana klimatu przyniosła mi więcej korzyści niż terapia. Bardzo dziękuję za telefon. Nikomu jeszcze o tym nie mówiłam. Właściwie dobrze, że mogłam się przed kimś wyżalić. I wiem, że zachowa pan to w tajemnicy.

– Jeśli mogę zrobić coś jeszcze...

– Nie. – Roześmiała się. – Nie, myślę, że i tak zrobił pan dość, doktorze... Mój mały braciszek. Najpierw popełnia samobójstwo, a potem zostawia mi pamiątki.

A więc: uwaga, centrala – jadę na dziwki.

Łajdak, ale nie zabójca.

Sporo powodów, by mieć wyrzuty sumienia.

Poważna sytuacja.

Może ktoś – na przykład sierżant Baker – dowiedział się o występkach Nolana i skierował go do doktora Lehmana. Porozmawiali, lecz nie uzyskał prostych odpowiedzi. Lehmann poinformował go, że będzie musiał odejść ze służby.

Nolan wybrał odejście na zawsze.

Teraz rozumiałem zdenerwowanie Lehmana.

Chodziło o dyskrecję i coś więcej. Żył ze zleceń od wydziału policji w Los Angeles. Na pewno nie pragnął, by na światło dzienne wyszedł jeszcze jeden policyjny skandal.

Czułem smutek, ale i ulgę. Wróciłem do gabinetu i zacząłem rozmyślać nad przedzierzgnięciem się w Andrew Desmonda.

Miejsce urodzenia: St. Louis. Przedmieścia Creve Coeur.

Ojciec: prywatny przedsiębiorca, członek burżuazji, konserwatysta. Psychologię traktuje z góry, jako pretensjonalne ambicje intelektualne syna.

Matka: Donna Reed, kobieta z nerwem. Działaczka społeczna, osoba o ciętym języku. Przekonana, że Andrew był dzieckiem wyjątkowym. Jeszcze w młodości kazała mu przeprowadzić test na inteligencję. Martwiło ją, że chłopiec wciąż nie osiągał tyle, ile powinien, ale winę składała na szkołę, która nie stymulowała odpowiednio biednego Andy'ego.

Dla uproszczenia – żadnego rodzeństwa.

Biedny Andrew...

Robin wróciła o szóstej.

– Co się stało?

– Nic, a czemu pytasz?

– Wyglądasz jakoś... inaczej.

– Jak to inaczej?

– Nie wiem.

Położyła mi rękę na ramieniu i dotknęła zarośniętego policzka.

– Jesteś jakiś przygnębiony?

– Nie, wszystko w porządku.

Znów położyła rękę na moim ramieniu.

– Alex, jesteś taki spięty. Jak długo siedzisz tu taki przygarbiony?

– Od kilku godzin.

Do pokoju wpadł Spike. Jak zwykle zaczął mnie lizać.

– Cześć – powitałem go.

Spike przekrzywił głowę, popatrzył na mnie i wybiegł z pokoju.

We wtorek wieczorem, trzy minuty po jedenastej, Daniel czekał na emerytowanego kapitana Eugene'a Brookera. Stał na parkingu obok kręgielni przy Bulwarze Weneckim w Mar Vista. Spostrzegł to miejsce po południu, kiedy przejeżdżał obok byłego mieszkania Wilsona Tenneya. Mieściło się w ohydnej, spękanej po trzęsieniu ziemi dziesięciomieszkaniowej kamienicy przylegającej do jakiegoś zaułka.

Ubrany w garnitur i krawat przedstawił się dozorczyńni, starej Meksykance, jako przedstawiciel towarzystwa ubezpieczeniowego. Wizytówka miała potwierdzić jego słowa.

Powiedział kobiecie, że były pracownik parku Tenney złożył wniosek o wypłatę odszkodowania za utratę dobytku podczas trzęsienia ziemi. Aby Tenney mógł dostać odszkodowanie, firma musiała najpierw sprawdzić lokum, w którym mieszkał, kiedy miało miejsce trzęsienie ziemi w Northridge.

– Tak – odparła lakonicznie Meksykanka.

– Jak długo tu mieszkał?

– Ze dwa lata. – Wzruszyła ramionami.

– Był dobrym lokatorem?

– Spokojny był, czynsz płacił.

– Więc niczym nie powinniśmy się martwić?

– Nie. Prawdę mówiąc, to ja go prawie wcale nie pamiętam. – Drzwi się zamknęły.

Dochodzenie Sharaviego w sprawie Tenneya przyniosło mniej więcej te same rezultaty. Nie korzystał ze stanowej służby zdrowia, nie był hospitalizowany, nigdzie nie znaleziono wzmianki o jego furgonetce marki Chevrolet, żadnego związku z policyjnymi aktami kryminalnymi.

Tenney nie starał się o zasiłek ani o pracę w żadnym mieście, hrabstwie czy parku w promieniu ponad stu pięćdziesięciu kilometrów – tyle Daniel zdołał ustalić w ciągu połowy dnia.

A więc albo się wyprowadził, albo po prostu zniknął.

Mimo to Daniel miał co do niego jakieś przeczucie – chyba intuicję, bo jak inaczej to nazwać? Tak niewyraźne, że nawet nie chciał o nim wspominać innym detektywom, ale byłby głupcem, gdyby zupełnie je zignorował.

Po pierwsze: podejrzane wydało mu się to, czego dowiedział się o osobowości Tenneya – samotnik, który miał za nic wszelkie zasady; czytał w pracy, zamiast grabić liście; no i to podkreślanie własnej rasy. Wszystko razem dobrze pasowało.

Po drugie: furgonetka. Daniel nie mógł uwolnić się od przekonania, że Raymonda Ortiza wywieziono furgonetką.

Samochód, którego nie widziano od czasu, kiedy Tenneya wyrzucono z parku. Wkrótce po porwaniu Raymonda.

Zakrwawione buty...

Nie wspomniał o Tenneyu Zevowi Carmelemu.

Zastępca konsula regularnie dzwonił do niego codziennie między piątą a ósmą po południu. Irytował się, kiedy Daniela nie został w domu, choć wiedział, że pracuje tylko nad sprawą Irit.

Tego wieczoru Zev dopadł go, gdy Sharavi zabierał się do kanapki z tuńczykiem. Siedział w kuchni przy włączonym policyjnym skanerze.

– Dają ci wszystko, czego ci trzeba, Sharavi?

– Współpracują.

– No, to jakaś zmiana. A więc... na razie nic?

– Przykro mi, Zev, na razie jeszcze nic.

Cisza w słuchawce. A potem kolejny raz to samo pytanie:

– Ten Sturgis... jesteś pewien, że on wie, co robi?

– Wygląda na niezłego asa.

– Nie słyszę entuzjazmu w twoim głosie.

– On jest naprawdę dobry, Zev. Co najmniej tak dobry jak wszyscy inni, z którymi pracowałem. Traktuje swoją pracę poważnie.

– A ciebie też traktuje poważnie?

Tak poważnie, jak można się było spodziewać, pomyślał Daniel.

– Tak. Nie narzekam.

– A ten psycholog?

– Też stara się, jak może.

– Ale nie opracował żadnej nowej genialnej analizy psychologicznej?

– Na razie nie.

Sharavi nie wspominał o Petrze Connor, o Alvarado ani o innych detektywach. Po co komplikować sytuację?

– No dobrze – powiedział w końcu Carmeli. – Nie zapomnij mnie o wszystkim na bieżąco informować.

– Oczywiście.

Kiedy Zev odłożył słuchawkę, Daniel pożarł kanapkę, odmówił modlitwę po posiłku, a potem modlitwę *ma 'ariv*. Wreszcie wrócił do lektury „Drenażu mózgu”. Nie zagłębiał się w szczegóły – wszystkie te wykresy, statystyki. Książkę napisano bardzo suchym stylem, ale może właśnie o to chodziło.

Doktor Arthur Haldane próbował ukryć fakty pod zasłoną słów i cyfr. Przeziarało jednak zza nich przesłanie:

Inteligentni ludzie są lepsi pod każdym względem i powinno się ich zachęcać do rozmnażania. Głupi ludzie byli... uciążliwością w dobrych czasach i niepotrzebną przeszkodą w czasach złych.

Pomimo oschłego stylu, książka sprzedawała się doskonale. U niektórych ludzi dopiero klęska innych wywołuje poczucie zwycięstwa.

Zainteresował się biografią Haldane'a.

Kolejny nowojorczyk.

W książce przedstawiono go jako naukowca z Instytutu Loomisów, ale manhattański łącznik Sharaviego nie wykrył żadnych kontaktów telefonicznych Haldane'a z siedzibą Fundacji Loomisów. Haldane mieszkał w Riverdale w Bronksie.

– Przyzwoita okolica – mówiła informatorka Daniela. – Płaci porządny czynsz, ale mieszkanie to żadna rewelacja.

– Ma jakąś rodzinę?

– Żonę i czternastoletnią córkę oraz psa. Miniaturowego sznaucera. Dwa razy w tygodniu wychodzą na kolację, zwykle do włoskiej knajpy. Raz jedli chińszczyznę. Haldane przesiaduje głównie w domu, w niedzielę nie chodzi do kościoła.

– Przesiaduje w domu – powtórzył Daniel.

– Czasami kilka dni z rzędu. Może pracuje nad kolejną książką. Nie ma też samochodu. Telefon, o którym wiemy, jest na podsłuchu, ale może korzysta z poczty elektronicznej? Na razie nie znaleźliśmy hasła. To wszystko. Na temat Sanger'a i tej baby z kwaśną miną, Helli Cranepool, też nic do tej pory nie mamy. Oboje krążą między pracą a domem. Banda nudziarzy.

– Ale inteligentnych nudziarzy.

– To ty tak mówisz.

– Oni sami tak mówią.

Informatorka roześmiała się. Dziewczyna miała dwadzieścia osiem lat i pochodziła z Holandii. Pracowała jako fotograf dla „New York Timesa”. Z rządem Izraela nic jej nie łączyło poza gotówką wpłacaną co miesiąc na konto w banku na Kajmanach. I to w banku nie prowadzonym przez Żydów.

– Masz jakieś zdjęcia? – zapytał Sharavi.

– A jak myślisz? Właśnie ci wysyłam. Trzymaj się.

Odbitka zdjęcia, która wysunęła się z faksu, przedstawiała niewielkiego, brodatego i siwowłosego mężczyznę około pięćdziesiątki. Kręcone włosy zmierzwione na skroniach, okulary, ściągnięta twarz. Miał na sobie tweedową marynarkę, ciemne spodnie i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Wyprowadzał na spacer małego sznaucera.

Zupełnie niczym się nie wyróżniał.

A czego należało się spodziewać? Potwora?

Hannah Arendt nazwała zło banałem i wszyscy intelektualiści zaraz to podchwycili, bo pasowało im do filozofii upadku burżuazji.

Ale Arendt utrzymywała długotrwały, żaloszny, masochistyczny związek z antysemitycznym filozofem Martinem Heideggerem, więc zdaniem Daniela jej ocena nie była do końca wiarygodna.

Z tego, co w życiu widział, dochodził do wniosku, że banalne są czasami przestępstwa.

Większość wynikała po prostu z głupoty.

Ale zło?

Na pewno nie było banałem to zło, którego doświadczył podczas sprawy Rzeźnika.

To, którym zajmował się obecnie, też trudno zaliczyć do rzeczy banalnych.

Nie popełniali go przeciętni ludzie.

Nie chciał w to wierzyć.

Gene zastukał w okno od strony pasażera i Daniel odblokował zamki w toyocie. Starszy mężczyzna wsiadł do środka. W ciemności jego mahoniowa twarz była niemal niewidoczna. Ciemna sportowa kurtka, koszula, spodnie i buty podkreślały stan jego ducha.

Tylko białe włosy odbijały trochę światła.

– Hej – powitał go, sadowiąc się wygodnie w małym samochodzie.

Zbliżał się czas zamknięcia kręgielni, ale na parkingu stało jeszcze sporo samochodów, więc Daniel wybrał słabo oświetlone miejsce. I dzielnicę, w której Murzyn i smagłolicy mężczyzna mogli pogadać w samochodzie, nie wzbudzając od razu podejrzeń policji.

Wielki buick Gene’a stał zaparkowany po przeciwnej stronie.

– Zdaje się, że miałeś rację, Danny Boy – powiedział Gene. – Sturgis mnie wytropił. Pytał o mnie kilka dni temu na komendzie w Newton. Tylko co mi może zrobić? Już tam nie pracuję.

– Pewnie nic nie zrobi, Gene, bo jest zajęty i wie, w jakiej kolejności trzeba zabierać się za poszczególne zadania. A jeśli sprawy potoczą się inaczej, kto wie? Przykro mi będzie, gdy wynikną z tego dla ciebie jakieś kłopoty.

– A mnie tam wszystko jedno. Co to za przestępstwo – wyciągnięcie teczek z archiwum.

– No i butów.

Gene uśmiechnął się.

– Jakich butów... hej, przecież przez siedem lat byłem szefem w Newton i zawsze interesowały mnie nie rozwiązane sprawy. Wszyscy o tym wiedzą. Co do twojego pytania, Manny Alvarado to bardzo dobry detektyw. Bez fajerwerków, raczej spokojny oracz, ale dokładny.

– Dzięki.

– Chcecie zrobić z tego Tenneya podejrzanego?

– Jeszcze nie wiem – odparł Daniel. – Na razie mamy tylko jego.

– Podoba mi się ten pomysł – rzekł Gene. – Przynajmniej z tego, co mi mówiłeś – zgadza się czas, facet jest samotnikiem z problemami. A co w rezerwacie?

– Tenney na pewno tam nie pracował ani nie starał się o pracę, chyba że pod innym nazwiskiem. W innych parkach też nie.

– Ha... to niedobrze. Ale zawsze mógł korzystać ze starego uniformu z parku miejskiego i dzięki niemu zwabić to biedne dziecko. Uwierz mi, że władze miejskie specjalnie nie dbają o porządek w tych sprawach, a co takie naiwne dziecko jak Irit może wiedzieć na temat różnic w uniformach strażników?

– To prawda – przyznał mu rację Daniel. – Wciąż szukamy.

Daniel nie wspomniał o jeszcze jednym przygnębiającym fakcie: Tenneya trudno było w ogóle opisać. Średniego wzrostu, jasnowłosa i, w dosłownym znaczeniu, zupełnie nie rzucający się w oczy. Członkowie gangów działają cicho w okolicy parku, gdzie porwano Raymonda Ortiza, nie rozpoznali

zdjęcia Tenneya. Nie rozpoznał go też żaden ze spacerowiczów. A Tenney pracował tam przez dwa lata.

Kolejna nijaka biała twarz w uniformie.

Nawet czytanie w godzinach pracy nie zwróciło niczyjej uwagi.

– I jak ci idzie współpraca ze Sturgisem? – zapytał Gene.

– W porządku – zapewnił go Daniel. – Uważam, że to dobry policjant.

– Tak mówią. – Gene wyciągnął nogi. Przytył trochę i spod kurtki wystawał mu brzuszek.

– A co, masz jakieś wątpliwości? – zapytał Daniel.

– Nie – odparł szybko Gene. – Nie jeśli chodzi o pracę. Wszyscy mówią, że jest dobry... nawet doskonały. Czy mam być szczery? Chodzi mi o to, że jest gejem. Należę do innego pokolenia i to mi nie daje spokoju. Kiedy byłem jeszcze żółtodziobem, robiliśmy naloty na bary dla gejów. Oczywiście teraz nie pochwalam tego, ale widziałem takie rzeczy... Zastanawiałem się, jak odbierasz to ty, człowiek religijny.

To samo mówił Zev. Wiara w Boga uczyniła z ciebie ajatollaha.

– Chodzi mi o to – ciągnął Gene – że przy takiej sprawie potrzeba zwartego zespołu. A tu jakby wszystkiego było mało, Sturgis jest kowbojem.

– Nie przeszkadza mi to – uspokoił go Daniel. – To zawodowiec. Skupia się na tym, co istotne.

– To dobrze. A teraz co do Myersa. Wiem, że ci się to nie spodoba, ale chciałem się z tobą spotkać, bo przeszedłem się do tego domu w Baldwin Hills przebrany za policjanta i zamieniłem parę słów z gospodynią i innymi lokatorami.

Daniel starał się nie podnosić głosu:

– Gene, to wielkie ryzyko dla ciebie.

I dla mnie, mój przyjacielu, pomyślał.

– Nie bój się, Danny, byłem przekonujący. Sturgis już rozmawiał z nimi przez telefon, więc dłaczego nie mieliśmy trochę głębiej pogrzebać. Powiedziałem gospodyni, niejakiej pani Bradley, że chcę uzupełnić raporty Sturgisa. Pani Bradley to Murzynka, jak wszyscy lokatorzy tego bloku. Niczego nie podejrzewali, uwierz mi. A na dodatek rozmawiałem z facetem, z którym Sturgis nie rozmawiał, bo nie było go cały dzień w domu. Mieszka obok Myersa. Właściwie można by ich prawie nazwać przyjaciółmi.

– Prawie? – zdziwił się Daniel. – To Myers nie miał prawdziwych przyjaciół?

– Z tego co się dowiedziałem, Myersa nie dało się lubić, bo był do każdego mocno uprzedzony. Nie włączył się z innymi. Przeważnie siedział w swoim pokoju i czytał braille'em oraz słuchał jazzu. Ten facet, z którym rozmawiałem, też lubi jazz i to ich łączyło. Ma paraliż dolnej części ciała i porusza się na wózku. Twierdzi, że Myers cały czas pomagał mu w różnych ćwiczeniach, w zdobywaniu witamin, alternatywnych leków, nakłaniał do rehabilitacji. Chłopak został postrzelony w kręgosłup. „Czy on się spodziewał, że wyrosnie mi nowy kręgosłup?” – mówił o Myersie. Ale tolerował go, bo choć Myers potrafił się uprzykrzyć, najwyraźniej naprawdę chciał pomóc. Powiedział mi też, że Myers zamierzał dostać się na studia i zostać psychologiem. Mówił to poważnie, zazwyczaj nie rzucał słów na wiatr. Najważniejsze, czego się dowiedziałem, to fakt, że Myers nie lubił tego ośrodka doskonalenia zawodowego. Co więcej, nienawidził go i zamierzał napisać o nim jakiś artykuł tuż po ukończeniu wszelkich kursów.

– Jakież expose?

– Tak to wyglądało, choć Myers nie podał bliższych informacji. To pewnie nic takiego, ale z tego powodu rozszerza nam się znacznie krąg potencjalnych wrogów ofiary. Wydaje mi się, że teraz trzeba znaleźć kogoś w szkole, kto szczególnie ostro klócił się z Myersem. To ma sens także z innego powodu – ten, kto zwabił go w ten zaułek, też musiał znać tę okolicę.

– Dyrektorka mówiła, że Myers nie miał kłopotów z orientacją.

– Może nie wie tego na pewno, a może kłamie, żeby nie wciągać w to szkoły. Do diabła, wyobraźmy sobie taką sytuację: Wilson Tenney dostaje pracę w szkole jako woźny i natyka się na Myersa. Powiedzmy, że Tenney coś ukradł, a Myers się o tym dowiedział. No cóż, Tenney ma już na swoim koncie troje ludzi – troje ludzi ras innych niż biała. Myers to irytujący czarny typ, który pyskuje i grozi, że o wszystkim rozpowie.

Daniel nic nie powiedział.

– To szalone przypuszczenie, ale zupełnie możliwe – stwierdził Gene. – Zgodzisz się, że trzeba sprawdzić i taką ewentualność?

– Sprawdzę.

Gene znów poruszył się na siedzeniu.

– Ja mam czas, siedzę i nic nie robię. Mógłbym pójść do szkoły jako jeden z miłych staruszków na emeryturze, którzy chcą popracować społecznie...

– Dzięki, Gene, ale sam się tym zajmę.

– Na pewno?

– Na pewno. Mam doskonały sprzęt. – Daniel podniósł niesprawną rękę.

Gene zamilkł.

– Jak zamierzasz to przeprowadzić, żeby Sturgis nie siedział ci na karku? – odezwał się po chwili.

– Coś wymyślę.

Gene westchnął.

– W porządku, ale zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie.

– Na pewno zadzwonię. I Gene...

– Wiem, mam się do tego nie mieszać.

– Naprawdę jestem ci za wszystko niezmiernie wdzięczny...

– Ale mam się trzymać od tego z daleka – dokończył Gene ze śmiechem.

– Jak ci idzie pakowanie? – zapytał Daniel.

Gene roześmiał się jeszcze głośniej.

– Co, zmieniamy temat? Pakowanie już zakończone. Moje wspaniałe życie poukładane w pudłach. W końcu odezwała się agentka od nieruchomości. Znalazła jakąś parę, która będzie wynajmować dom, dopóki nie poprawi się sytuacja na rynku. Fizjoterapeuci, oboje pracują w szpitalu imienia Martina Luthera Kinga, więc pewnie stać ich będzie na czynsz. Sam czuję się dobrze, gotów jestem wieść spokojne życie w krainie słońca i piasku.

– Świetnie – rzekł Daniel zadowolony, że po stracie Luanne Gene potrafi myśleć pozytywnie. Albo przynajmniej udaje. – A więc nowy dom wkrótce będzie gotowy?

– Twierdzą, że za pięć dni. – Gene skulił się na siedzeniu. – Chyba powinienem przywyknąć do myśli, że jestem już bezużyteczny.

– Byłeś bardzo pomocny, Gene.

– E, tam. Teczka, buty, wielkie mi co... szczerze mówiąc, chodzi mi o coś więcej, Danny. Chodzi mi o tę całą sprawę. Obrzydliwa. Obrzydliwa nawet dla takich facetów jak my. I wybacz mi, ale odnoszę wrażenie, że na razie nie posuwacie się specjalnie do przodu.

W środę rano wpadł do mnie Milo z informacją, że spotkał się z Lorenem Bukovskym, prezesem lokalnego oddziału „Mensy”.

– Facet jest zupełnie w porządku, choć oczywiście dopytywał się, dlaczego szukam kontaktu z „Metą”. Powiedziałem mu, że dotyczy to kwestii finansowych, że prowadzę zakrojone na szeroką skalę tajne dochodzenie i napomknąłem, że chodzi między innymi o kradzież komputerów. Poprosiłem go, żeby zachował to wszystko dla siebie. Obiecał nie puścić pary z ust i, o ile przecucie mnie nie myli, zapewne słowa dotrzyma, bo nie znosi ludzi z „Mety”. Twierdzi, że to nieznośne typy, które patrzą z góry na „Mensę”.

– Bo ludzie z „Mensy” nie są dla nich wystarczająco inteligentni?

– Bukovsky temu zaprzecza. I to bardzo gorąco.

– A jeśli Bukovsky nie potrafi utrzymać języka za zębami i ktoś z „Mety” o wszystkim się dowie?

– Wtedy będziemy musieli sobie jakoś z tym poradzić. Może obróci się to nawet na naszą korzyść. Jeśli okaże się, że którykolwiek z członków „Mety” ma coś na sumieniu, wpadnie w popłoch i stanie się dla nas ruchomym celem. Lepsze to niż nic.

– Teraz próbujesz na siłę znaleźć jakieś pozytywne strony tej sytuacji – powiedziałem.

– Nie, Alex, to wszystko prawda, niczego nie schrzaniłeś. Na razie nie mamy żadnego dojścia do tej grupy. Nawet Bukovsky, mimo całej wrogości, niewiele o nich wie. Tylko tyle, że znów podjęli działalność na wschodnim wybrzeżu, dwa czy trzy lata temu założyli filię w Los Angeles i skaptowali kilku członków „Mensy”, po czym wszelki słuch o nich zaginął.

– Dwa lata temu – powtórzyłem. – Mniej więcej w tym samym czasie ukazał się manifest Sangera. Wtedy też opublikowano „Drenaż mózgu”. Czy Bukovsky podał ci nazwiska członków „Mensy”, których zwerbowała „Meta”?

– Mówił, że nie może – wyjaśnił Milo. – Lista członków jest poufna. Gdybym zmienił zdanie i postanowił działać otwarcie, Bukovsky obiecał wprowadzić mnie na jedno z zebrań „Mensy”. Mógłbym osobiście porozmawiać z innymi klubowiczami. To by dopiero było widowisko, co? Gliniarz na salonach.

– Przypuszczam, że potraktowaliby to jako wielce pouczające doświadczenie.

– Na pewno. Mam coś jeszcze, udało mi się zdobyć kopie zeznań podatkowych Zeny Lambert za ostatnie trzy lata. Wcześniej nie zarabiała ani grosza, a w ciągu tych trzech lat żyła tylko z pensji w PlasmDerm. Wciąż nie wiadomo więc, skąd wzięła pieniądze na otwarcie księgarni i dlaczego jeszcze nie splajtowała.

– Może ma fundusz powierniczy – zasugerowałem. – Tak jak Andrew Desmond.

Milo spojrział na mnie.

– Andrew ma bogatych rodziców?

– Wystarczająco bogatych. – Opowiedziałem mu cały wymyślony życiorys.

– Wygląda na uroczonego faceta – orzekł Milo, kiedy skończyłem. – Pozostaje mi tylko poinformować cię, że przy Melvinie Myersie nie znaleziono narkotyków, a i Bob Pierce zapewnia, że żaden z miejscowych ćpunów go nie znał. A zatem nie szukał w tym zaułku kolejnej działki... Kusi cię ta zabawa w tajnego agenta, co?

– Zwłaszcza te mikrofony w sznurówkach.

O czwartej po południu zadzwonił Daniel.

– Chciałbym ci pokazać nasz tajny lokal przy Genessee. Być może nie będziesz musiał z niego korzystać, ale na wszelki wypadek lepiej, żebyś się do niego wcześniej przyzwyczyił.

– Spotkajmy się na miejscu. Jaki to adres?

– Jestem w pobliżu twojego domu – odparł Sharavi. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, podjadę i zawiozę cię.

Zjawił się po dziesięciu minutach. Podał mi brązową papierową torbę z nadrukiem Ralph's Market. W środku znalazłem komplet ubrań: lekkie czarne spodnie z bawełny, czarny bawełniany golf z przesadnie wielkim kołnierzem, sprany niemal do szarości, workowatą szarą sportową marynarkę w jodełkę z naszywką domu towarowego Dillard's w St. Louis na wewnętrznej kieszeni oraz kupione w Bullock's czarne buty na gumowej podeszwie.

– Próba kostiumowa? – zapytałem.

– Coś w tym rodzaju.

– Bez bielizny?

– Przecież bieliznę będziesz miał pod spodem.

– To prawda. Raczej nie wyobrażam sobie, żeby Andrew musiał przed kimś paradować w samych fatalaszkach z czerwonego jedwabiu.

Przyjrzałem się dokładnie marynarce. Materiał przesiąknięty był zapachem taniej wody kolońskiej.

– To miłe wspomnienie z St. Louis – przyznałem – ale Andrew mieszka od kilku lat w Los Angeles.

– Nie wygląda mi na kogoś, kto lubi robić zakupy – odparł Daniel. – To mu przysłała matka.

– Stara dobra mamusia. – Przymierzyłem ubrania. Marynarka trochę na mnie wisiała, ale poza tym leżała całkiem nieźle.

W lustrze ujrzałem nieco nonszalancki strój, który mógł się dobrze sprawdzić w wielu miejscach w Los Angeles. Całości dodawała uroku broda. Wszedłem w fazę, kiedy twarz zaczęła mnie już swędzieć. Skóra od kości policzkowych po grdykę porośnięta była gęstymi, prostymi włosami przyprószonymi siwizną bardziej, niż mogłem się spodziewać. Dolną część twarzy udało mi się dobrze ukryć.

Jechaliśmy toyotą Sharaviego. Kiedy minęliśmy Beverly Hills, Daniel podał mi okulary i polecił:

– Przymierz.

Okulary miały okrągłe soczewki zabarwione na szaro i osadzone w oprawkach z brązu.

Wsunąłem je na nos. Zerówki.

– Nieźle wyglądasz – przyznał Daniel – ale od czasu do czasu powinieneś je zdejmować. Masz dobre oczy do tej roli: miłe i zaczerwienione. Dobrze spałeś?

– Tak – skłamałem.

– No cóż, wyglądasz, jakbyś nosił na barkach ciężar kłopotów całego świata – stwierdził.

– Gram własną metodą.

– Andrew cierpi na bezsenność?

– Andrew to nieszczęśliwy człowiek.

Daniel uśmiechnął się.

Ozdobiony sztukateriami budynek przy Genessee mieścił na dwóch kondygnacjach cztery apartamenty. Od zewnątrz był równie szary jak toyota Sharaviego. Pod względem stylu można było go zaklasyfikować gdzieś między Beverly a Rosewood. Płaski dach, zakratowane okna – ot, urok magazynu. Drzwi wejściowe zastaliśmy zamknięte.

– Mały okrągły kluczyk – poinstruował mnie Daniel.

Obróciłem klamkę i weszliśmy do holu wyłożonego tanią ciemnowiśniową wykładziną. W powietrzu unosił się zapach gotowanej cebuli. Z tyłu dostrzegłem schody, a tuż przy drzwiach cztery skrzynki na listy.

Na tej należącej do lokalu numer 2 zauważyłem papierową etykietkę DESMOND. Papier był brązowy i zniszczony przez wodę. Moi sąsiedzi nazywali się Weinstein, Paglia i Levine.

Lokal numer 2 mieścił się na parterze po prawej. W drzwiach ziały dwie dziury po gwoździach, niczym ślady zębów jadowych wielkiego węża. Drewniana listewka między dziurami po gwoździach miała odcień jaśniejszy od pozostałych.

– Andrew zdjął mezuzę? – zapytałem.

– Nie jest Żydem.

– Mimo to...

– Najwyraźniej to człowiek małej wiary, Alex. Kwadratowy klucz otwiera oba zamki.

Dwie solidne zasuwki, obie błyszczące, dopiero co przykręcone.

W mieszkaniu było ciemno i duszno. Wyczułem zapach tej samej taniej wody kolońskiej doprawiony stęchlizną i kulkami na mole.

Podłoga z gołych desek nadawała się do cyklinowania i lakierowania. Niektóre deski ugięły się pod ciężarem ciała. Niegdyś białe ściany i podobnie przybrudzone poliestrowe zasłony w zakratowanych okienkach wykończono małymi wełnianymi pomponikami w turkusowym kolorze. Mieszkanie umeblowano sprzętami ze sklepów ze starzyzną. Mebli było niewiele, za to wszystkie utrzymane we wspólnej popielatoziemistej tonacji kolorystycznej.

Jedną ze ścian w salonie zabudowano półkami ze sklejki. Stały na nich książki i tajwański sprzęt stereofoniczny. Nieco obskurna kuchnia wyglądała na czystą. Idąc dalej korytarzem, dotarliśmy do łazienki z popękaną glazurą, sypialni z materacem na podłodze i tylnych drzwi wychodzących na maleńkie podwórko ze zwisającymi sznurami na pranie i garażem na trzy samochody.

Coś mi to przypomniało. Mieszkanie Nolana Dahla.

Samotne kawalerskie życie. Do czego może doprowadzić...

– I co o tym sądzisz? – zapytał wreszcie Daniel.

Rozejrzałem się. Wszystko zniszczone, poplamione i wytarte tam, gdzie trzeba. Nikt by się nie domyślił, że to tylko dekoracja.

Kto tu mieszkał, kiedy lokalu nie wykorzystywano?

– Wygląda doskonale – powiedziałem. Daniel zaprowadził mnie na podwórko. Trawa była na pół wyschnięta. Na cementowej ścieżce zostały ślady ptasich odchodów.

– Za posiadłością biegnie zaułek – wyjaśnił. – Do garażu można wejść z dwóch stron. – Wyjął z kieszeni pilota i wcisnął guzik. Otworzyły się drzwi środkowego garażu. Wewnątrz stał żółty volkswagen karmann ghia.

Wróciliśmy do salonu, gdzie Daniel wręczył mi pilota do drzwi garażowych. Poprosił mnie, bym

zapoznał się z mieszkaniem. Zaczęłam oglądać sprzęt stereofoniczny i książki. Na półce stały płyty analogowe, kompaktowe i kasyety z najrozmaitszymi gatunkami muzyki. Niewielka kolekcja – około pięćdziesięciu albumów – Beethovena, Wagnera, Brucknera, Maniera, Bacha, Cata Stevensa, Lovin’ Spoonful, Jimmy’ego Hendrixa, The Doors, Beatlesów z wytwórni Abbey Road. W sumie nic nowego. Na części okładek informujące o przecenie naklejki ze sklepu Aaron’s przy Melrose. Już kilka lat temu sklep przeniósł się do Highland.

Na półkach zgromadzono książki z zakresu psychologii, socjologii, antropologii, historii i kilku innych tematów. Część pochodziła z antykwariatu, wiele traktowało o najdziwniejszych rzeczach. Na dole stały dramaty, powieści i opowiadania autorstwa Hemingwaya, Faulknera, Kerouaca, Burroughsa, Camusa, Sartre’a, Becketta. Obok stosy starych pism z dziedziny psychologii i kolorowe magazyny „Evergreen Review”, „Eros”, „Harper’s”, „The Atlantic Monthly”. Numery „The Nation” spokojnie leżały sobie na stosiku „National Review”. Tak jak Nolanowi, Andrew Desmondowi nieobce były żadne poglądy polityczne.

Gdyby nie to, tutejszy księgozbiór można by uznać za moją biblioteczkę z czasów studiów. Tyle tylko, że moje mieszkanie przy Overland było o połowę mniejszą duszną norą w sąsiedztwie warsztatu samochodowego. Co miesiąc ledwie udawało mi się wykrobać dziewięćdziesiąt dolarów na czynsz. Ja nie miałem żadnego funduszu powierniczego...

Wyciągnąłem jakiś skrypt na temat aberracji psychologicznych. Z pozaginanych kartek buchnął przyprawiający o mdłości zapach, jakiego nabierają czasem stare książki. W środku zauważyłem stempel studenckiej księgarni na uniwersytecie stanu Missouri w Columbus. Dwa razy trafił do antykwariatu. Na stronach miał mnóstwo żółtych podkreśleń.

Inny, nowszy tomik na ten sam temat pochodził z księgarni technicznej przy Westwood Boulevard w Los Angeles. Kupiono go przed dziesięciu laty.

Pedanteria w każdym szczególe.

- Rozumiem, że masz też na to wszystko oryginalne rachunki?
- Wydawało mi się, że Andrew nie jest osobą, która zachowuje paragony ze sklepu.
- Niesentymalny?

Daniel usiadł na wygniecionej kanapie. W powietrze wzbił się obłok kurzu.

- Szczęście, że nie jestem alergikiem – stwierdziłem.
- Właśnie. Powinienem cię o to zapytać.
- Nie można przewidzieć wszystkiego.
- Czy chciałbyś coś zmienić, Alex?
- Na razie nic. Gdzie jest podsłuch?

Sharavi skrzyżował nogi i położył uszkodzoną rękę na kolanie, gdzie spoczywała jak leniwa szara ropucha.

– W telefonie – odparł – w lampie w sypialni i tutaj. – Zgiętym kciukiem wskazał szybę w oknie od frontu. Nie zauważyłem w niej nic niezwykłego.

– Ile jest telefonów? – zapytałem.

– Dwa. Jeden tutaj, drugi w sypialni.

– Oba na podsłuchu?

– Nie ruszaliśmy żadnego, podsłuchujemy całą linię.

– Co to za woda kolońska? – dopytywałem się.

– Słucham?

– W całym mieszkaniu czuć ten zapach. Na marynarce też.

Nozdrza mu się rozszerzyły.

– Dowiem się.

Obaj milczeliśmy. Uświadomiłem sobie, że zaczynam wyodrębniać poszczególne dźwięki. Gdzieś na górze grzechotał klimatyzator, od czasu do czasu ulicą przejeżdżał samochód, słyhać było rozmowę przechodzących pod oknem osób.

– Coś jeszcze? – zapytałem.

– O ile nie masz żadnych dodatkowych wymagań, to nie.

– Zdaje się, że pomyślałeś o wszystkim.

Daniel wstał. Ja również. Kiedy szliśmy do drzwi, zatrzymał się i sięgnął do paska, do którego miał przyczepiony pager. Zerknął na wyświetlacz.

– Milczy – stwierdził. – Przepraszam, muszę gdzieś zadzwonić.

Podszedł do telefonu w salonie, wcisnął kilka cyfr i pozdrowił kogoś:

– *Alo?*

Następnie przez chwilę słuchał, a brwi unosiły mu się coraz wyżej. Przytrzymał słuchawkę brodą i sięgnął do kieszeni kurtki po mały notatnik z ołówkiem przyklejonym taśmą.

– W porządku – powiedział, kładąc notesik na stole ze sklejki. Pochylił się nad nim z ołówkiem gotowym do notowania. – *American... eyzeh mispar?*

Zanotował coś i powiedział:

– *Todah. L-hitra'ot.* – I odłożył słuchawkę.

Kiedy wkładał notes do kieszeni, zauważyłem pod prawym ramieniem czarny pistolet w kaburze z czarnej nylonowej siatki.

– To mój informator z Nowego Jorku – wyjaśnił. – Nasz przyjaciel mecenas Farley Sanger zarezerwował bilet na lot do Los Angeles w najbliższy piątek. American Airlines, lot numer 005, ląduje w Los Angeles o siódmej wieczorem. Omal nam to nie umknęło, bo nie dokonał rezerwacji przez biuro podróży współpracujące z jego kancelarią. Jeden z naszych ludzi śledził go w drodze na spotkanie z Hellą Cranepool. Sanger zjadł z nią kolację w hotelu Carlyle, a potem oboje pojechali taksówką na dolny Manhattan. Do biura podróży, o którym nigdy nie słyszeliśmy. A to może oznaczać, że odbyli inne loty, o których nic nie wiemy. Za jego bilet zapłaciła Cranepool. Jednak Sanger nie podróżuje pod własnym nazwiskiem. W biurze podróży podał, że nazywa się Galton.

– Francis Galton? – zapytałem.

– Podobnie – odparł Sharavi. – Frank.

Piątek – zamyślił się Milo. – Ale Helia zostaje w Nowym Jorku.

– Helia wróciła do starego rytmu – wyjaśnił Daniel. – Pracuje i wraca do domu. Przez drzwi mieszkania słychać telewizor. CNN, seriale komediowe. Dokładnie o dziesiątej idzie spać.

W środowy wieczór siedzieliśmy we trzech u mnie w domu przy kuchennym stole. Robin siedziała na stołku w drugim kącie. Czytała „Art and Auction” z dużo większym zainteresowaniem niż zazwyczaj.

– Frank Galton – powtórzył Milo. – A więc ten dupek uważa się za naczelnego eugenika. Ona idzie z nim i płaci za bilet, co znaczy, że jedzie w sprawach „Mety” albo Loomisów. Może on naprawdę zamierza kogoś zabić. Planują wszystko w Nowym Jorku, a tu wykonują wyroki. Wszystko ulegało przyspieszeniu. Jeśli Alex ma się wybrać do tej księgarni, musi to zrobić w czwartek.

– Zgadza się – powiedział Daniel.

– A następnego dnia wsiądziemy Sangerowi na ogon i nie spuścimy go z oka. – Kto podejmie ślad na lotnisku?

– To zależy od ciebie – rzekł Daniel. – Z tego co wiem, nie zamówił limuzyny, więc mamy trzy możliwości: wynajęcie samochodu, taksówkę albo znajomego, który go odbierze. Jeśli będę udawał taksówkarza, zgubię go z oczu, kiedy odbierze go znajomy albo kiedy wynajmie samochód.

– Proponujesz więc dwóch ludzi. Jednego w środku, przy wyjściu z samolotu i jednego przed dworcem.

– To by nie zaszkodziło.

– Twoi ludzie?

– Jeśli ci to nie przeszkadzało.

– Mam wolną rękę, co? – ironizował Milo. – Jeszcze trochę, a naprawdę uwierzę, że mam wolną wolę. Wiesz co, na lotnisko dam ci Petrę Connor. Aż rwie się do pracy i podoba mi się ta dziewczyna. Na lotnisko pójdziecie we dwójkę. Podzielcie się rolami jak chcecie. Ja zajmę się przede wszystkim pilnowaniem Alexa, kiedy zacznie się zadawać z Zeną i bywać w „Spazmie”. Może wszystko skończy się jeszcze w czwartek, a może nie. Nie zakładamy mu podsłuchu, prawda? Przy podsłuchu istnieje większe ryzyko wpadki.

– Zgadza się.

– Czy volkswagen będzie miał nadajnik do lokalizacji?

– Będzie miał – zapewnił go Daniel.

– Załatwcie to jak najszybciej.

Robin zerknęła na nas przelotnie i wróciła do lektury.

Daniel przyłożył zdrową rękę do policzka. Wyglądał na zafrasowanego i Milo to zauważył.

– O co chodzi?

– Natknąłem się na pewną informację dotyczącą Melvina Myersa. Jeden ze współlokatorów twierdzi, że Myers nie znosił szkoły i po zdaniu wszystkich egzaminów zamierzał napisać o niej artykuł.

– Natknąłeś się na informację? – zachmurzył się Milo. – Gołąb pocztowy dostarczył ci ją przez okno?

– Ludzki gołąb – wyjaśnił Daniel. – Przepraszam...

– To był duży czarny gołąb?

– Milo, teraz mój gołąb wrócił już do gołębnika – powiedział Daniel. – Jeszcze raz prze...

– Jaki artykuł zamierzał napisać Myers?

– Z tego co mówił, chodziło o coś w rodzaju expose. Może to nic takiego, ale pomyślałem, że powinniście o tym wiedzieć.

– Kiedy dokładnie się o tym dowiedziałeś?

– Wczoraj wieczorem.

– Aha... Zamierzałem wybrać się do tego domu. Do szkoły Myersa także, ale teraz mamy na głowie Sangera, Alexa i musimy wytropić Wilsona Tenneya, więc robi nam się krucho z ludźmi.

– Jeśli sądzisz, że warto, mogę wpaść do szkoły przed przyjazdem Sangera – zaproponował Daniel. Podniósł uszkodzoną rękę. – Opowiem im jakąś przygnębiającą historyjkę o wypadku, inwalidztwie, depresji. Powiem, że chcę zacząć nowe życie.

Milo spojrzał na kaleką rękę Sharaviego.

– Taka wyprawa to trochę aktywniejsza rola niż ta, o której dla ciebie mówiliśmy.

– Wiem – odparł Daniel.

– Wpadasz tam na chwilę, zbierasz informacje o kursach, wychodzisz i to wszystko?

Daniel przytaknął.

– Myers uczył się obsługi komputerów. Popytam o kursy komputerowe. Ja już to przeszedłem.

W ośrodku rehabilitacji w Izraelu.

Przypomniałem sobie, jak jedną ręką błyskawicznie stukał w klawiaturę.

– Nadam się – zapewniał Daniel. Z kamienną twarzą schował uszkodzoną rękę pod stół.

– W porządku – rzekł Milo. – Tylko niech to będzie naprawdę smutna historyjka. Zagraj na ich czułych strunach. Ale uważaj na siebie. Nie potrzeba mi tu międzynarodowych incydentów.

Czwartek.

Spałem niespokojnie, obudziłem się już o szóstej rano. Zwykle Robin wstawała wcześniej, ale tego dnia było na odwrót. Leżąc na plecach, patrzyłem na nią, jak śpi, i myślałem o tym, co się stanie, kiedy przedzierzgnę się w Andrew Desmonda.

Robin obudziła się o wpół do siódmej i popatrzyła na mnie.

Miała opuchnięte oczy. Pocałowałem ją w powieki. Leżała bez ruchu.

– To dziś – stwierdziła.

– To tylko wizyta w księgarni – uspokajałem ją. – Nie powinno mi to zająć zbyt wiele czasu.

– Miejmy nadzieję, że tak będzie. O której Daniel po ciebie przyjedzie?

– O dziewiątej.

Dotknęła moich włosów i odsunęła się ode mnie.

Wstaliśmy oboje. Robin włożyła szlafrok, zacisnęła mocno poły i stała tak przez chwilę.

Stanąłem za nią i trzymałem ją za ramiona.

– Nic mi nie będzie.

– Wiem. – Odwróciła się bardzo gwałtownie i mocno, niemal napastliwie, pocałowała mnie w policzek. Wreszcie poszła do łazienki i zamknęła drzwi.

W nocy kochaliśmy się dwukrotnie. Za drugim razem powiedziała:

– Czuję się jak cudzołożnica.

Daniel przyjechał o dziewiątej i posadził mnie w kuchni. Włożył mi na szyję czarny fartuch fryzjerski i przyciął włosy nożyczkami, a później elektryczną maszynką wygolił je „na komandosa”.

– Fryzjerstwa też się uczyłeś?

– To umiejętność jeszcze z wojska – wyjaśnił. – Tam można się wszystkiego nauczyć. Ale salonu fryzjerskiego raczej bym nie otworzył.

Podał mi ręczne lusterko.

Głowę miałem w siwe plamki. Daniel dotarł do korzeni mojej siwizny.

Zauważyłem na czaszce nierówności, o które nigdy siebie nie podejrzewałem.

Wyglądałem dziesięć lat starzej i pięć kilogramów szczuplej.

W tej fryzurze i z brodą wyglądałem jak islamski radykał.

Włożyłem przyciemniane okulary. Skrzywiłem się.

– Uśmiechnij się – usłyszałem głos od drzwi.

Stała w nich Robin.

Uśmiechnąłem się do niej.

– W porządku, to wciąż ty – stwierdziła. Ale nie odpowiedziała uśmiechem.

Ustawił profesjonalnego polaroida na statywie i zrobił prawie czterdzieści fotografii. Po godzinie wrócił z kalifornijskim prawem jazdy wystawionym na nazwisko Andrew Desmonda. Według mnie nie różniło się niczym od oryginału.

Dodałem je do pozostałych fałszywych dokumentów w portfelu.

– Miejmy nadzieję, że nie zatrzyma mnie policja.

– Nawet jeśli tak się stanie, nie masz się czego obawiać – uspokoił mnie Sharavi. – Udało nam się wprowadzić do ich systemu ten numer seryjny. Uczyłeś się w Pacific Insight Institute. Znasz tę uczelnię?

– Nie.

– Zamknięto ją kilka lat temu. Prowadzono tam studia magisterskie i doktorskie z pedagogiki i psychologii. Mieściła się w jednopokojowym biurze w Westwood Village. Ukończyły ją pięćdziesiąt trzy osoby. O ile wiem, żadna z nich nie zdała stanowego egzaminu nostryfikacyjnego.

– A więc teraz pracują jako zaprzyjaźnieni psychologowie i zarabiają dwa razy tyle, co ci z egzaminami.

– Być może. Takie małe szkółki są równie opłacalne jak pędzenie bimbru. Czesne wynosiło dziewiętnaście tysięcy dolarów rocznie.

– Trudno było za to kupić stanową koncesję. Dlatego zamknięto szkołę?

Wzruszył ramionami.

– Co roku na kursy zapisywało się coraz mniej osób. Były dziekan sprzedaje teraz polisy ubezpieczeniowe w Oregonie. Tytuł naukowy sam sobie przyznał. W pierwszym roku uczelnia

zdołała nawet uzyskać rządowe kredyty, ale wszystko skończyło się, kiedy władze zabrały się za podrzędne szkółki wyższe.

– Zapoznałeś się z tematem.

– Bardziej niż zamierzałem – odparł. – Kiedy szukaliśmy dla ciebie mieszkania, dowiedziałem się, że Instytut Loomisów również finansował podobne szkoły. Dwie na Florydzie i jedną na Wyspach Dziewiczych. To kolejny sposób na spore pieniądze, bo uczelnie mogą się ubiegać o zwolnienie z podatków. Na razie wiemy jednak tylko tyle, że Instytut Loomisów fundował stypendia tym szkołom.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Z książki polemicznej wobec „Drenażu Mózgu”. To jedna z pożytecznych informacji, które znalazłem w Internecie. Zbiór esejów. Moją uwagę przykuł tekst profesora z Cole University w stanie Missisipi, specjalisty od tego typu szkółek. Dowiedział się, że uczelnia na Bahamach ma powiązania z Instytutem Loomisów i być może stanowi zaplecze do finansowania badań eugenicznych.

– Czy ta książka nie ma czasem tytułu „Pseudonauka”? – zapytałem.

– Owszem. Czytałeś ją?

– Wypożyczyłem z biblioteki uniwersyteckiej, ale jeszcze nie miałem czasu przeczytać. Pomyślałem, że nie ma sensu marnować czasu na czytanie czegoś, z czym się zgadzam. Jak się nazywa ten profesor?

– Bernard Eustace.

– Rozumiem, że się z nim skontaktowałeś.

Złociste oczy nie zmieniły wyrazu.

– Próbowaliśmy. Zmarł czternaście miesięcy temu.

– Jak?

– W wypadku drogowym. Wracał późną nocą z wizyty u rodziców w Missisipi. Zjechał z drogi.

– Jezu – wyrwało mi się.

– Opisano to jako wypadek, Alex. Może i tak było. Milo i ja zgadzamy się, że nie ma co na razie ryzykować i grzebać w tym głębiej. Wypadek zdarzył się w wiejskiej okolicy. Wszelkie pytania obudziłyby czujność policji.

Zagiął palce zdrowej dłoni i wcisnął je w blat stołu.

– Missisipi – zamyśliłem się. – Czy Eustace był Murzynem?

– Nie, białym. Zajmował się historią, nie psychologią. Możemy jeszcze porozmawiać z jego żoną, ale na razie więcej pożytku przyniesie nam chyba śledzenie Farleya Sangera i twoje spotkanie z Żoną Lambert. Jesteś gotów?

– Tak. Gdzie Milo?

– Będzie cię śledził, ale doszliśmy do wniosku, że lepiej, jeśli nie będziesz wiedział, gdzie jest. W ten sposób nie zerkniesz na niego nawet odruchowo. Mam nadzieję, że nie wątpisz w słusność tego zabezpieczenia.

– Nie mam nawet cienia wątpliwości – zapewniłem go.

Nim wyszliśmy, zatrzymałem się, by jeszcze raz spojrzeć na Robin. W warsztacie było cicho, wszystkie maszyny stały bez ruchu. Fartuch leżał jeszcze złożony na warsztacie. Robin rozmawiała przez telefon odwrócona do mnie tyłem. Spike szczechnął i Robin odwróciła się.

– Zadzwońę później. Pa. – Odłożyła słuchawkę. – Wyglądasz jak francuski filmowiec.

– To dobrze czy źle?

– Zależy od tego, czy ktoś lubi francuskie kino... Ma w sobie coś z... głodnej elegancji. – Już wychodzisz?

– Tak.

– Chodź tutaj.

Objęliśmy się.

– Co to za woda? – zapytała.

– Zapach Andrew. Pociąga cię?

– O tak. Czuć bagietki i pesymizm. – Odsunęła się i trzymała mnie na długość ramion. – Na pewno wart jesteś zainwestowanych w to pieniędzy. Kiedy wrócisz?

– To zależy, jak mi pójdzie – odparłem. – Pewnie po południu.

– Zadzwoń, gdy tylko będziesz mógł. Przygotuję coś na kolację.

Przycisnąłem ją mocniej.

Sięgnęła ręką do góry i dotknęła mojej ogolonej na jeza głowy. Zatrzymała się na chwilę. Poglądziła mnie.

– Fajna szczecinka, prawda? – powiedziałem.

– Jeśli zabraknie mi papieru ściernego, nadasz się w sam raz.

Znów się odsunęła. Przyjrzała mi się.

– Wyglądasz zdecydowanie inaczej.

– To przesada – stwierdziłem. – W końcu idę tylko do księgarni w Hollywood, a nie na wyprawę do Iranu. Ale to oni są zawodowcami.

– Byłeś ostatnio w Hollywood?

Roześmiałem się. Pomyślałem o Hollywood Nolana.

Pogładziła mnie jeszcze po głowie.

– Trójka dzieci i ten niewidomy... Ale włosy odrastają.

Przed domem za toyotą Daniela stał zaparkowany volkswagen karmann ghia z garażu przy Genessee. W świetle słonecznym ujrzałem, że nie jest żółty, lecz kremowy, ma porysowaną maskę i wgięte drzwi.

Daniel podał mi małą fotografię.

Zdjęcie legitymacyjne młodej dziewczyny o wąskiej twarzy, jasnoblond włosach przyciętych niemal tak krótko jak u mnie.

Miała ładne rysy, ale skórę bardziej niż bladą – niemal przezroczystą, jak japoński papier. Czarna kredka powiększała niebieskie oczy i podkreślała ich blask wywołany hipermetabolizmem. Mimo to sprawiała wrażenie znudzonej. Rozdrażnionej. Oparłem się pokusie analizy psychologicznej. Stanie w kolejce do wydziału komunikacji może zdenerwować każdego.

– To od prawa jazdy? – zapytałem.

Daniel przytaknął. Wziął ode mnie zdjęcie i schował do kieszeni.

– Księgarnia mieści się przy Apollo Avenue 2028. Powodzenia.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i Sharavi odjechał.

Fotel kierowcy w karmann ghia dopasowano do mojej wysokości. Samochód zapalił bez trudu. Wnętrze wyglądało obskurnie – podarta tapicerka i zagłówek, z tyłu za siedzeniem leżała sterta pogiętych papierowych kubków i kartonów po pizze i hamburgerach.

Dwuzakresowe radio było tak stare, że chyba pochodziło z oryginalnego wyposażenia. Włączyłem i usłyszałem stację KPFK. Gościem w studiu był czarny pisarz i teoretyk socjopolityki, który twierdził, że żydowscy lekarze stworzyli wirusa AIDS, aby wymordować dzieci z miejskich gett. Gospodarz programu pozwalał mu długo mówić, po czym zadawał pytania, które wywoływały u gościa jeszcze więcej nienawiści.

Daniel wszystko precyzyjnie planował. Zastanawiałem się, czy tę stację też specjalnie zaprogramował.

Żeby wprowadzić mnie w nastrój.

Przełączyłem radio na jakąś stację jazzową i ruszyłem.

Księgarnia „Spazm” mieściła się tuż za granicą między Hollywood a Silverlake. Minałem szpitala przy Bulwarze Zachodzącego Słońca i skrzyżowanie w Hillhurst, gdzie bulwar skręca na południowy wschód w stronę śródmieścia. Dziś centrum miasta stanowiło zasnutą welonem smogu wielką niewiadomą. Potem nastąpił szybki skręt w lewo w Fountain, którą jechałem, dopóki nie stała się

boczną uliczką i w końcu ustąpiła Apollo Avenue – dwupasmowemu ciągowi zakrętów i dołków.

Wzdłuż ulicy rosły wielkie nie pielęgnowane stare drzewa. Przeważały parterowe budynki służące różnym celom. Tego typu zabudowę widywało się jedynie w starszych dzielnicach Los Angeles.

W większości budynków mieściły się warsztaty samochodowe, drukarnie i magazyny zużytych opon, ale między tymi obskurnymi zakładami trafiały się także sklepy z alkoholem i inne małe firemki oraz małe domki. Niektóre przekształcono w siedziby firm, a przy niektórych wciąż rozciągały się ogrody i sznury na bieliznę. Zauważyłem nawet kościół zielonoświątkowców.

Salon manicure, salon tatuażu, sklep „ekologiczny” z reklamami ziół i kryształów. Część budynków nie nosiła żadnych szyldów, wiele miało wywieszki DO WYNAJĘCIA. Cała dzielnica stała w cieniu wysokich urwisk Silverlake – tu porośniętych drzewami i zielskiem, ówdzie spalonych na złocisty kolor. Wyschnięte połącze zarośli czekających tylko na zapalkę podpalacza.

Zbocza gór upstrzone były nierównymi rzędami domów wyrastających jak zielsko w zaniedbanym ogrodzie. Niektóre domy stały na palisadach niczym flamingi, inne oparto na nadwerężonych wstrząsami fundamentach. Widziałem pęknięcia sztukaterii, rozstępy w ścianach, dachy bez całych połaci dachówek, belki na werandach powyginane w łuki. Całość wyglądała żałośnie. Nieco ponad kilometr dalej kopano tunel metra.

Pojawił się numer 2000. Od razu zauważyłem „Spazm”.

Uwagę przykuwało czarne okno. U góry szarych drzwi umieszczono małe literki z czarnego plastiku, lecz z tej odległości nie dało się ich odczytać.

Ulica przed księgarnią była pusta, więc nie miałem kłopotów z parkowaniem. Kiedy wysiadłem z samochodu, odczytałem napis nad drzwiami: KSIĘGARNIA „SPAZM”.

Po obu stronach księgarni znajdowały się warsztaty samochodowe, a dalej prawie pół hektara, które zajmował oficjalny policyjny parking dla odholowywanych samochodów. Po drugiej stronie ulicy zauważyłem maleńką meksykańską restaurację. Na kłamce wisiała wywieszka ZAMKNIĘTE.

Trudno było orzec, czy księgarnia jest otwarta, ale kiedy nacisnąłem kłamkę szarych drzwi, te ustąpiły i wszedłem do długiego, wąskiego pomieszczenia przypominającego chodnik w kopalni węgla, w którym w powietrzu wibrowała karaibska muzyka. Skąpe oświetlenie i przyciemniane szkła na moim nosie sprawiły, że niewiele widziałem, ale nie zdjąłem okularów i starałem się sprawiać wrażenie średnio zainteresowanego klienta.

Po lewej w boksie przy kasie siedział łysy mężczyzna, niemal cały pokryty tatuażami, i zaciągał się mocno papierosem. Na niebiesko-karmazynowe ciało narzucił skórzaną kamizelkę. Kołysał się w rytm muzyki i nawet nie podniósł głowy.

Boks z kasą składał się z trzech kawałków sklejki przymocowanych do ściany. Na podłodze leżały luźne kupki darmowych gazetek: „Czytelnika”, „Tygodnika”, „Maoistowskiego wędrowca na wygnaniu”, reklamówki takich książek jak „Królowe transwestytów: gdzie można być sobą”,

„Koncerty MaidenHead”, „Tertiara Malladonna: monodram kobiecy o ssaniu tamponów i konfiskacie ryżu”, „Salon nakłuwania ciała wujka Suppurato” oraz plany wieczornych odczytów poetyckich w Barnhard Park, na temat fizyki kwantowej i chorób dziąseł.

Pan Skórzana Kamizelka wciąż nie zwracał na mnie uwagi, choć przeszedłem obok niego. Boczne ściany obstawione były regałami pełnymi książek wystawionych okładkami na zewnątrz. Oświetlały je punktowe reflektory. Z tyłu znajdowały się schody z desek i drutu prowadzące na antresolę. Na tylnej ścianie – kolejne szare drzwi.

Na dole zauważyłem trzech klientów: wymoczkowato wyglądający równo ostrzyżony chłopak około dwudziestki o krzywej postawie i niepokojąco zmarszczonej twarzy. Miał na sobie bawełnianą wzorzystą koszulę, spodnie koloru khaki i trampki. Kiedy się zbliżyłem, nerwowo obejrzał się przez ramię. Wyobraziłem sobie, jak onanizuje się w samochodzie, bojąc się, że ktoś go nakryje, a jednocześnie marząc o tym. Książka, którą trzymał w ręce, nosiła tytuł „Zabójcy kanibale”.

Dwaj pozostali klienci – kobieta i mężczyzna, oboje zbliżający się do pięćdziesiątki – o twarzach wyschniętych na pieprz i zniszczonych przez słońce i alkohol. Oboje mieli długie włosy, mnóstwo ćwieków i reklamówki pełne ścinków, brakowało im za to tu i ówdzie zębów. Gdyby ich ręcznie farbowane i misternie tkane ubrania były czyste, można by ich oboje sprzedać przy Melrose jako antyki.

Oglądali wspólnie jakąś książkę w białej okładce i przekomarzali się. Usłyszałem, jak kobieta babcinym głosem mówi „Odjazd”. Wreszcie mężczyzna odłożył książkę na regał i oboje wyszli z radosnymi twarzami.

„HeilRock: Pieśni marszowe Waffen SS”.

Oto do czego doszło pokolenie dzieci-kwiatów, pokoju i Woodstock.

Chłopak z książką o kanibalach podał tomik Skórzanej Kamizelce i zapłacił. Byłem teraz jedynym klientem. Karaibskie rytmy ucichły, a z głośników popłynął Strawiński. Wytatuowany kasjer zapalił kolejnego papierosa i zaczął klepać się w kolano w bliżej nie określonym rytmie.

Czas wziąć się za przeglądanie książek.

Może mi się poszczęści i znajdę coś o DVLL.

Postanowiłem zacząć od góry, żeby nie czuć na sobie wzroku kasjera.

Wszedłem po schodach na antresolę, gdzie przy ścianie stał jeden długi regał z książkami wystawionymi podobnie jak na dole i tak samo oświetlonymi punktowym światłem.

Każda książka była tylko w jednym egzemplarzu. Nie poukładano ich ani pod względem tematów, ani według alfabetycznej kolejności nazwisk autorów. W kilku miejscach znalazłem jednak skupiska książek dotyczących podobnych tematów.

Zbiory tekstów na temat sadomasochizmu, obficie ilustrowane, niektóre wręcz dosłownie

ukazujące krew i rany.

Kiepsko wydrukowane więzienne samizdaty. Błyszczące pismo pod tytułem „Magazyn penitencjarny” z takimi artykułami jak „Opowieści z górnej pryczy: moja ulubiona cela”, „Walcz o swoje prawa i nie daj się zgnieść systemowi”, „Dlaczego pisarze nie mają bladego pojęcia o zbrodniach” czy „Najsprośniejsze filmy wideo tego roku”.

Kolejna grupa książek na temat ludzkich zbrodni, większość napisana chłodnym tonem znawcy tematu.

Komiksy rasistowskie.

Komiksy zachwalające kazirodztwo.

„Dzienniki Turnera” i inne książki sławiące wyższość białej rasy.

Było ich mnóstwo: „Biologia Żydów”, „Tajna historia syjonizmu”, „Czerwonoskórzy”, „Pałac żółtków”, „Ludzie z błota: dlaczego Afryka nie ma kultury”.

Ten mędrzec z radia na pewno znał przynajmniej część tych lektur.

Ale o DVLL ani słycho.

Natknąłem się na półkę ze skryptami akademickimi, głównie na temat filozofii i historii. Toynbee, Bertrand Russell, Francuz, o nazwisku Bataille.

Dalej ciągnęły się półki z „paranoją praktyczną”: elementarze budowy bomb, zakładania podsłuchów, mszczenia się, rzucania oszczerstw i pomówień, tak by oszczercy nic nie można było zarzucić.

„Filipińscy nożownicy”.

„Przewodnik po magazynach osobliwości”.

Fetyszyzm, sadyzm, koprofagia. Fotoreportaże złożone ze zdjęć zrobionych na salach operacyjnych, ukazujące krok po kroku operacje zmiany płci, głęboki peeling skóry twarzy, usuwanie guzów z mózgu, odsysanie tłuszczu, autopsje.

„Biblia broni palnej. Manifest wolnych ludzi”. „Książka kucharska anarchisty”. „Trockiego motel pod karaluchem: eksterminacja kapitalistów”.

Wielki tom w czarnej okładce zatytułowany „Warsztat demona”, w którym można było znaleźć szczegółowe instrukcje na temat konstruowania tłumików, przebudowy zwykłej broni na automatyczną, zatruwania pocisków.

Obrazkowa historia chińskiej rewolucji, skupiająca się głównie na jej cielesnych aspektach. Rozkładówkę zajmowało ogromne zdjęcie w kolorze sepii ukazujące cesarskiego naukowca

rozrywanego na strzępy przez tłum. Ofiara nie miała już kawałków skóry, na wierzch wychodziły żebra i trzewia. Mężczyzna był w pełni przytomny. Krzyczał.

„Przegląd małych mózdków” – sto stron przedstawiających w kabinach podobnych do dawnych fotoplastikonów głowy osób chorych na mikrocefalię. Twarze bez wyrazu, przystrojone w szaty clownów. Do tego żarty rysunkowe i dowcipy na temat seksu wśród osób upośledzonych.

Obok astrologii teorie Einsteina.

Słowniki języków słowiańskich tuż przy „Sztuce molestowania”. Jak tu zniknąć, jak kogokolwiek znaleźć.

Nauki komputerowe. I-ching, hipnoza. „Chów żywca rzeźnego”.

Dzieła zebrane George’a Lincolna Rockwella, erotyczna aromaterapia. „Historia katastrof naturalnych”, „Przewodnik człowieka myślącego po kultach bożków”.

Naczelną dewizą tej księgarni było chyba „Sprzedajemy to, czego nie prowadzą inne księgarnie”.

Ani słowa na temat DVLL.

Na ostatnim regale stał ciąg solidnie wyglądających ksiąg w twardej oprawie wydanych przez szanowane wydawnictwo naukowe: patologia kryminalna, dochodzenia w sprawach o zabójstwa i gwałty, rany postrzałowe, techniki zbierania materiałów dowodowych, toksykologia.

Zapisane maczkiem podręczniki dla policyjnych detektywów, po osiem dolarów od sztuki.

Czy ktoś inny również uznał je za swój doskonały elementarz?

Wyobraziłem sobie Wilsona Tenneya albo innego okrutnego samotnika z okolicy, który przegląda te książki, może nawet kupuje.

Otworzyłem tom traktujący o procedurach postępowania w sprawach o zabójstwa.

Zwykła policyjna mieszanka sztywnego stylu i dosłownych opisów uszkodzeń ludzkiego ciała wywołanych przez strzały, pchnięcia, uderzenia tępym narzędziem, uduszenia. Toksykologia i stopnie zsinienia ciała. Stopnie rozkładu zwłok. Ofiary ułożone w pozycjach seksualnych, wykastrowane. Puste, bezradne, martwe twarze.

W rozdziale o *modus operandi* napisano, że niektórzy seryjni mordercy podróżowali autostradami, ale większość ograniczała się do swojej okolicy.

Kolejna konwencja do złamania?

Odłożyłem książkę na półkę i zszedłem z antresoli. Kasjer przerzucił się na cygaro i próbował otoczyć się toksyczną chmurą.

Popatrzył na mnie przez chwilę, pochylił się do przodu, coś przekreślił i Strawiński popłynął z głośników z siłą znacznie większą niż ta, przy której zaczynają pękać bębniaki w uszach.

Klienci nie mieli tu raczej co liczyć na unizoność personelu.

Nie zraziłem się jednak.

Z początku wydawało mi się, że na dolnym poziomie również panuje ten sam brutalny eklektyzm co na antresoli, więc przeglądałem wszystko tylko pobieżnie, udając brak szczególnego zainteresowania.

Ale wreszcie trafiłem na książki o eugenicie i zwolniłem.

„Wybór esejów Galtona”. Skład komputerowy: New Dominion Press – to brzmi jakoś znajomo.

Adres wydawcy: St. Croix. Wyspy Dziewicze.

Kolejne przedsięwzięcie Loomisów?

Książka zawierała dokładnie to, co obiecywał tytuł.

Obok stał raport doktora Charlesa Davenporta z 1919 roku przedłożony Towarzystwu Eugenicznemu z Cold Springs. Wykresy dziedziczenia dotyczące pacjentów, których „degeneracyjny potencjał” ograniczono przez sterylizację.

Przypisy do raportu poczynił doktor Arthur Haldane, naukowiec z Instytutu Loomisów.

Przyjrzałem się książce dokładniej.

Wydano ją pięć lat przed „Drenażem mózgu”. Wówczas wielką sławę Haldane miał dopiero przed sobą.

W adnotacjach do raportu Davenporta Haldane przyznał, że nauce z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku brakowało może wyrafinowania, niemniej zgodził się z tezą autora raportu – społeczeństwo czekała zagłada, o ile nie zostanie powszechnie zastosowana „genetyczna restrukturyzacja za pomocą najnowszych technologii”.

Zajrzałem do indeksu.

Żadnej wzmianki o DVLL.

Nie znalazłem również nic na temat „Mety”.

Na półce stało jeszcze sześć książek poświęconych selekcji genetycznej i kwestiom jakości życia. Jedną z nich napisał australijski etnolog, który zalecał zabijanie upośledzonych dzieci. Wciąż te same stare bzdury. Nic nowego.

Dostałem się w strefę oddziaływania dymu z cygara kasjera. Podniosłem głowę i stwierdziłem, że stoję o półtora metra od kasy. Nie dowiedziałem się niczego ponad to, co już wiedzieliśmy, i nie spotkałem Zena Lambert. Kasjer czytał pismo pod tytułem „Mokry bandaż”.

I kiedy już miałem się poddać, znalazłem kolejny klejnot – wydrukowaną na drukarce laserowej pięćdziesięciostronicową broszurkę w brązowych okładkach, podobną z wyglądu do zbioru esejów Galtona.

„Człowieczeństwo: Nowe perspektywy” autorstwa mecenasa Farleya Sangera.

Nie wymieniono nazwy jego kancelarii. Książka okazała się rozszerzoną wersją manifestu zamieszczonego w „Pathfinderze”, wzbogaconą o tabele i wykresy, rządowe statystyki dotyczące przestępczości, ras, bezrobocia, dzieci urodzonych poza związkami małżeńskimi, testy DNA, projekty zmapowania ludzkiego genomu i o to, jak można wykorzystać tę wiedzę do „usunięcia rdzy”.

Styl Sangera był suchy jak w dokumentach prawnych.

Proces przeciwko upośledzonym...

Sanger zakończył wezwaniem o „brutalnie skuteczną eliminację uznaniowej cenzury bezdyskusyjnie ważnych badań wprowadzanej tylko dlatego, że pewne siły czują się obrażone lub przerażone tym, co można uważać jedynie za logiczne wnioski płynące ze starannie sprawdzonych hipotez”.

Cóż za wodolejstwo. Żal mi sędziów, którzy będą musieli się zapoznać z tym „arcydziełem” literatury.

Książka kosztowała dwadzieścia dwa dolary. Włożyłem ją pod ramię i wróciłem po zbiór esejów Galtona.

Wtedy otworzyły się drzwi z tyłu księgarni i wyszła z nich Zena Lambert.

Przefarbowała włosy na czarno i pozwoliła im urosnąć tak, że sięgały teraz ramion. Gęsta grzywka zakrywała brwi. Twarz pozostała jednak taka sama – wąska i blada. Ta sama czarna kredka do oczu. W rzeczywistości nie miała skóry aż tak przezroczystej jak japoński papier – bardziej przypominała delikatną chińską porcelanę. Proste, harmonijne rysy twarzy, mały prosty nos, wąskie, lecz pełne usta pociągnięte błyszczącą różową szminką. Wyglądała ładniej niż na zdjęciu.

Miała w sobie coś szczerego – twarz typowej Amerykanki, którą zachwyciliby się specjaliści od castingu do reklamy środków czystości.

Sally Branch mówiła, że Zena jest niska, ale był to eufemizm. Miała nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu, ważyła najwyżej czterdzieści pięć kilogramów. Sprawiała wrażenie kobiety-dziecka o małych spiczastych piersiach i wąskich elastycznych ramionach wyłaniających się z różowego bezrękawnika z poliestru.

Pod obcisłymi czarnymi dzinsami rysowały się wąskie biodra. Maleńka kibić i jak na kogoś tak niskiego, stosunkowo długie nogi.

W uszach nosiła czarne kolczyki z plastiku. Miała dwadzieścia osiem lat, ale bez trudu mogłaby uchodzić za świeżo upieczoną studentkę.

Szła kołysząc biodrami. Czerń, róż, czerń, róż.

Czyżbyśmy oboje włożyli dzisiaj kostiumy?

Jej sprawiał wrażenie stylizacji na modę retro z lat pięćdziesiątych. Czyżby tęsknota za starymi dobrymi czasami, kiedy mężczyźni byli mężczyznami, kobiety kobietami, a upośledzeni znali swoje miejsce w szeregu?

Ubrała się, by przykuwać uwagę. Być może lubiła, gdy się jej przyglądano. Ukryłem twarz za książką o karłach i starałem się niepostrzeżenie ją obserwować.

Zauważyła mnie.

– Witam – odezwała się wysokim, jasnym głosem. – Czy mogę panu w czymś pomóc?

W imieniu Andrew Desmonda pokręciłem głową z niechęcią. Odłożyłem książkę na regał i dalej przeszukiwałem wzrokiem półki.

– Miłego oglądania. – Oddaliła się w stronę kasy. Nim tam doszła, pan Cygaro wyszedł z boksu i bez słowa opuścił sklep.

– Ale śmierdzi! – zawołała za wychodzącym kasjerem. Usiadła na stołku przy kasie i ściszyła Strawińskiego do znośnego poziomu. Coś przełączyła i z głośników popłynęła fuga na klawesyn.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Proszę bardzo – zaszczębiotała. – Jako czytelnik nie muszę się narażać na przepuklinę błony bębenkowej.

Wróciłem do tego, co przypadkowo zjąłem z półki – do kwartalnika pod tytułem „Seks jak trzęsienie ziemi” – i ukradkiem zerkałem na Zenę. Odłożyła na bok egzemplarz „Mokrego bandaża”, który pan Kamizelka zostawił na ladzie, i wyjęła coś, co przypominało księgę rachunkową. Położyła ją sobie na kolanach i zaczęła pisać.

Podszedłem do boks z broszurą Sangera i książką Galtona.

Zobaczyłem kolumny cyferek. Tak, to na pewno księga rachunkowa. Zena schowała ją i uśmiechnęła się.

– Gotówka czy karta?

– Karta.

Nim zdążyłem sięgnąć do portfela, wyrecytowała:

– Trzydzieści dwa dolary sześćdziesiąt cztery centy.

Wcale nie musiałem udawać zaskoczenia.

Roześmiała się, ukazując białe zęby. Jeden z siekaczy był lekko wyszczerbiony. Na drugim widać było ślad szminki.

– Nie wierzy pan moim obliczeniom?

Wzruszyłem ramionami.

– Oczywiście na pewno ma pani rację, ale zaskoczyło mnie tempo.

– Liczenie w pamięci to dobre ćwiczenie intelektu – wyjaśniła. – Narząd nie używany zanika. Ale jeśli mi pan nie wierzy...

Śmiejąc się, ponownie chwyciła obie książki z lady i wystukała ceny na klawiaturze kasy.

Dzyń. Trzydzieści dwa dolary sześćdziesiąt cztery centy.

Oblizła usta małym różowym języczkiem.

– Piątka z plusem – pochwaliłem ją. Podałem jej kartę MasterCard na nazwisko Andrew Desmonda.

Spojrzała na nią i zapytała:

– Jest pan nauczycielem?

– Nie, a dlaczego pani pyta?

– Nauczyciele lubią oceniać.

– Ja rzadko oceniam.

Włożyła książki do papierowej torby bez żadnych napisów i podała mi pakunek.

– Nie jest pan typem oceniającym?

Wzruszyłem ramionami.

– Miłej lektury, panie A. Desmond.

Ruszyłem do drzwi.

– Nie ciekawi to pana? – zapytała.

Zatrzymałem się.

– Co?

– To co pan kupił do czytania. Odnoszę wrażenie, że jest to panu zupełnie obojętne. To lektura dla przyjemności?

Odwróciłem się i obdarzyłem ją wątlym uśmiechem.

– Tego nie wiem, dopóki jej nie przeczytam.

Uśmiech zamarł jej na ustach, a następnie rozszerzył się. Odsunęła z czoła kosmyk czarnych włosów, które po chwili wróciły na swoje miejsce. Elastyczne. Widziałem takie włosy w dzieciństwie. W czarno-białych telewizyjnych reklamach płynu do trwałej Tonette.

– Nie dość, że sceptyk, to jeszcze empiryk – powiedziała.

– A jest jakieś inne wyjście?

– Zawsze jest jakieś inne wyjście – odparła. Nagle pomachała mi małą delikatną dłonią. Miała długie wypielęgnowane paznokcie pomalowane na... jaskraworóżowy kolor oczywiście. – Pa, pa, niech pan rusza swoją drogą, panie A. Desmond. Nie chciałam się wtrącać, ale zainteresowała mnie tematyka, którą pan wybrał.

– Doprawdy? – Zerknąłem do torby. – Czytała to pani? Dokonałem dobrego wyboru?

Zmierzyła mnie wzrokiem od twarzy aż po pas. Powłóczyście spojrzenie. Biegła wzrokiem w dół, aż do samych butów, po czym podniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy.

– To dobra lektura. Twórcą tego wszystkiego był Galton. Owszem, czytałam je. Tak się składa, że interesuje mnie ta tematyka.

– Eugenika?

– Wszelkiego rodzaju działania zmierzające do polepszenia społeczeństwa.

Zdobyłem się na nieśmiały uśmiech.

– W takim razie mamy wspólne zainteresowania.

– Czyżby?

– Moim zdaniem społeczeństwo trzeba koniecznie poprawić.

– Mizantrop.

– To zależy od dnia.

Pochyliła się nad ladą. Małe piersi rozłożyły się na drewnianym blacie.

– Pan jest Swiftem czy Pope'em?

– Słucham?

– Dwie szkoły mizantropii – Swifta i Pope'a. Nie zna pan tego, panie A.?

Pokręciłem głową.

– Chyba opuściłem ten wykład.

Zaczęła oglądać różowy paznokieć kciuka.

– To proste – Jonathan Swift nienawidził ludzkości jako struktury, ale udawało mu się wykrzesać ciepłe uczucia dla konkretnych ludzi. Z kolei Alexander Pope głosił umiłowanie ludzkości, za to nie znosił kontaktów z konkretnymi ludźmi.

– A więc to tak.

– Właśnie tak.

Przyłożyłem palec do ust.

– W takim razie jestem i Swiftem, i Pope'em. Wszystko zależy od dnia. Bywają też dni, że nie znoszę teorii o dawaniu wszystkim równych szans. Zwłaszcza kiedy rano za wcześnie przeczytam gazetę.

Roześmiała się.

– Pan ponurak.

– Tak mnie nazywają. – Pochyliłem się do przodu i wyciągnąłem rękę. – Andrew Desmond.

Patrzyła przez chwilę na moją rękę, wreszcie bardzo delikatnie dotknęła koniuszków palców.

– Jak to miło, że zaszczyciłeś mnie pozdrowieniem, Andrew Desmondzie. Jestem Zena.

– Od A do Z – zauważyłem.

Wyłączyła muzykę.

– Jakie to miłe. Za jednym zamachem przeskakujemy cały alfabet.

Podszedłem bliżej. Zena odsunęła się, prostując się na stołku przy kasie. Znowu spojrzała na swoje paznokcie.

– Ciekawe miejsce na księgarnię – powiedziałem. – Od dawna tu sprzedajecie?

– Od kilku miesięcy.

– Zauważyłem szyld tylko dlatego, że musiałem odebrać stąd samochód po odholowaniu.

– Nasi klienci nas znają.

Rozejrzałem się po pustym pomieszczeniu. Obserwowała mnie, ale nie odzywała się.

– Można tu gdzieś coś przekąsić? – zapytałem.

– Nie bardzo. Meksykańska knajpka naprzeciwko jest zamknięta, bo w zeszłym tygodniu właścicielowi zastrzelono syna. Jakieś barany z gangów. Normalna entropia etniczna.

Czekała na moją reakcję.

– To jedyna knajpa w okolicy? – dociekałem.

– Jest jeszcze kilka innych dalej wzdłuż Hyperion. Jeśli lubisz tego typu przybytki.

– Lubię dobrze zjeść.

– W takim razie odradzam, bo to bary „pod karaluchem”. – Znowu poprawiła włosy. – Fasolka z boczkiem i gulasz wieprzowy jadalny tylko dla tych, którzy umierają z głodu. Umierasz z głodu, Andrew?

– Nigdy do tego nie dopuszczam – odparłem. – Nic nie jest warte takiego umartwiania.

– *Precisement.* – Z półki pod kasą wystawał róg księgi rachunkowej. Zena wepchnęła ją głębiej.

– Mam ochotę na dobry obiad, nie tylko na jedzenie – stwierdziłem. – Gdzie się stołujesz?

Złożyła usteczka w ciup, udając uśmiech niewiniątka.

– Czy to ma być zaproszenie?

Zdjąłem przyciemniane okulary. Potarłem brodę.

– Jeśli je przyjmiesz, to owszem. Jeśli nie, potraktuj to jako zwykłe pytanie.

– Bronimy własnego poczucia godności, co?

– To kwestia honoru – odparłem. – Jestem psychologiem.

– Doprawdy? – Odwróciła wzrok, starając się ukryć nagłe zainteresowanie. – Kliniknym czy doświadczalnym?

– Kliniknym.

– Prowadzisz praktykę gdzieś w okolicy?

– Teraz akurat nie. Tak naprawdę jestem BPD. Bez pracy doktorskiej.

– Bez pracy doktrynerskiej – powiedziała. – Przerwałeś studia?

– No właśnie.

– I jesteś z tego dumny, prawda?

– Ani dumny, ani zawstydzony – odrzekłem. – Tak jak mówiłem, rzadko oceniam. Odsiedziałem swój wyrok na studiach doktoranckich, dowiedziałem się, że psychologia to okruchy nauki zmieszane z porcjami nonsensu. Oczywiście rzeczy traktuje się jak niezbadaną głębię. Nim zacząłem wchodzić w to na dobre, postanowiłem przerwać i zastanowić się, czy na pewno mi się to podoba. – Podniosłem torbę z książkami. – *Ergo* to.

– *Ergo* co?

– Lektury nadobowiązkowe, a nie cały ten chłam, który każą wkuwać na studiach. Sam chcę zdecydować, czy coś jest ważne czy nie. Mam na myśli poprawki społeczne, o których mówiliśmy wcześniej. Zahamowanie staczania się po równi pochyłej w stronę mierności. Kiedy tu przyszedłem, nie wiedziałem, czego się spodziewać. Sądziłem, że sprzedajecie komiksy. Gdy zobaczyłem to – znów potrząsnąłem torbą – coś mi powiedziało: „kup to”.

Zena pochyliła się, opierając łokcie na ladzie.

– Staczanie się w stronę mierności. Moim zdaniem tę fazę mamy już za sobą.

– Nie chciałem być okrutny.

– Nie krępuj się. Miłosierdzie prowadzi do rozczarowań. Ale ty właściwie jesteś już prawie psychologiem. Prawie dostąpiłeś zaszczytu trzymania świętego pucharu źródła godności.

– Albo godnej ości – zażartowałem. – Zależy z której strony na to spojrzeć.

Roześmiała się. Jeszcze trochę takiej gadki, a zwymiotuję, pomyślałem.

– No cóż, A., należy ci się odpowiedź na twoje pytanie. Zwykle stołuję się we francuskiej knajpce przy Echo Park. Nazywa się „La Petite”. Kuchnia prowansalska i inne przysmaki.

– Na przykład cassoulet?

– Czasami pojawia się w menu.

– Może będę miał szczęście. Dzięki.

– Może w tej sprawie ci się poszczęści. – Przymknęła nieco oczy, ukazując pomalowane na niebiesko powieki.

– A więc to zaproszenie czy zwykłe stwierdzenie? – zapytałem.

– Obawiam się, że to ostatnie. Muszę pracować.

– Jesteś przykuta do kasy? Szef cię kontroluje?

– Raczej nie – odparła nagle rozdrażniona. – To moja księgarnia.

– W takim razie dlaczego się nie urwiesz? – kusilem. – Sama mówiłaś, że klienci i tak cię znają. Jestem pewien, że ci wybaczą krótką nieobecność.

Nie otwierając ust, uśmiechnęła się szeroko, niemal z żalem.

– Skąd mogę mieć pewność, że nie jesteś na przykład niebezpiecznym psychopata?

– Pewności mieć nie możesz. – Wyszczrzyłem zęby w wilczym uśmiechu.

– Drapieżnik?

– Nie wszystkie zwierzęta mają równą szansę w łańcuchu pokarmowym. – Znów potrząsnąłem torbą. – W końcu na tym polega cała ta zabawa, prawda?

– Czyżby? – powiedziała.

– Dla mnie tak, Z. Ale jeśli cię uraziłem, przepraszam.

Zmierzyła mnie długim twardym spojrzeniem, po czym wyjęła z kieszeni dzinsów kluczyk

i zamknęła kasę.

– Przyniosę torebkę i zamknę sklep. Spotkamy się na zewnątrz. Zdaje się, że odebrałeś samochód z parkingu, prawda?

Pięć minut później wyszła z księgarni i wsiadła do volkswagena.

– Nadaje się do wszystkiego, tylko nie do jeżdżenia – uznała, krzywiąc nos na widok bałaganu z tyłu.

– Gdybym wiedział, że cię spotkam, przyjechałbym rollsem.

W radiu nadawano wiadomości.

– Jedźmy – powiedziała. Zaczęła się bawić gałką, aż znalazła jakąś leniwie sączącą się z głośników muzyczkę. Wyciągnęła nogi i poruszyła palcami w otwartych różowych sandałach. Obejrzała się za siebie. – Nie widzę glin, Andrew. Zawróć i jedź na Bulwar Zachodzącego Słońca, a potem skręć na wschód.

Polecenia. W jej głosie nie było słyhać żadnej muzyki, nawet cienia uśmiechu. Zaczęła wyglądać przez otwarte okno od strony pasażera.

Jechaliśmy w milczeniu.

Przecnicę dalej wyciągnęła rękę w moją stronę i chwyciła mnie za krocze.

Ścisnęła mnie dwa razy i cofnęła rękę. Powoli zaczęła przeczesywać sobie nią włosy. Odwróciła w swoją stronę lusterko wsteczne i sprawdziła, jak trzyma się szminka. Czy Milo jedzie gdzieś za mną?

Kiedy znów zaczęła stroić radio, przygotowałem się na wszystko, lecz Zena położyła ręce na swoich kolanach i popatrzyła na mnie zadowolona z siebie.

– Cip, cip. Zdaje się, że tak się maca kury.

– Nie wiem jak na kury, ale na koguty to działa na pewno.

– Ha! Nie wyobrażaj sobie za dużo, A. Desmondzie. Mam prawo kupować towar bez przymierzania.

– Na pewno często składasz też reklamacje.

– To znaczy?

– Że jesteś wybredną kobietą – wyjaśniłem. – Przynajmniej tak mi się wydaje.

– A to dlaczego?

– Po prostu zgaduję w ciemno.

Znów poruszała palcami nóg.

– To by mogło być interesujące... skreć tutaj.

Rozmowa się urwała. Zena wyglądała przez boczne okno, od czasu do czasu wystawiała głowę, żeby odetchnąć powietrzem skażonym smogiem. Lusterko wsteczne wciąż było skierowane w jej stronę. Poprawiłem je i przy okazji obejrzałem się za siebie.

Jechało za mną mnóstwo samochodów, ale nie miałem pojęcia, czy w którymś z nich siedzi Milo.

– To tutaj – powiedziała Zena. Wygięła plecy, a ja dostrzegłem zarys ostrych sutków przebijających się przez różowy poliester.

Nie zauważyłem tego w księgarni. Czyżby zdjęła biustonosz?

Łatwo się domyślić, jak porwała Malcolm Ponsico sprzed nosa Sally Branch.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła.

Nazwa „La Petite” nie mogła być bardziej chybiona. Restauracja mieściła się w wielkim karykaturalnym zamku ustawionym pośrodku ogromnej działki, takiej jakiej wytyczano w czasach świetności Los Angeles. Wszędzie wokół widać było hiszpańskie szyldy. Po angielsku reklamował się tylko Old Echo Park. Parking przed restauracją był prawie pusty, ale samochody, które na nim stały, należały do wyższej klasy. Przy drzwiach kręcili się boye w czerwonych kamizelkach. Jeden z nich przytrzymał Zenie drzwi i zmierzył volkswagena takim wzrokiem, jakby samochód był zadżumiony.

W środku mrok przecinało kilka snopów światła z reflektorków zawieszonych pod sufitem. Dębowe stoły i belki sufitowe, obite skórą boksy przy stolikach, na ścianach kopie dzieł impresjonizmu, karty z deserami ozdobione wymyślnymi ciasteczkami. Nagle przypomniałem sobie ten lokal. Pewien administrator szpitala zaprosił mnie tu kiedyś na służbowy obiad, podczas którego przekonywał mnie, że w przeciwieństwie do psychologów chirurdzy to bohaterowie. Mimo to podczas obiadu przemawiać musiałem ja, gdyż zaproszone nań delikatne wolontariuszki na pewno nie chciały słuchać o skalpelach i amputacjach.

Przy wejściu stało trzech odzianych w smokingi Francuzów o zafrasowanych twarzach. Rozpoznali Zenę i powitali ją chłodnym spojrzeniem. Szła przede mną i to ona zwróciła się do szefa sali:

– Dwa miejsca.

Odezwał się najbardziej łysy i najstarszy z trzech sztywnych Francuzów:

– Mademoiselle, proszę tędy. – Chwycił dwa ogromne menu i popędził za Zeną, która zmierzała już w stronę odległego boksu.

Stałe miejsce schadzek?

Chłodne spojrzenie kelnera ociepliło się, kiedy patrzył, jak Zena rozkłada serwetkę. Gdy spotkał mój wzrok, obdarzył mnie podobnym taksującym spojrzeniem.

– *Bon appetit.*

– Podajecie dziś cassoulet? – zapytała Zena.

– Nie, mademoiselle, obawiam się...

– A co przyzwoitego można u was zjeść?

Zdobył się na uśmiech z takim bólem, że gotów byłem zaaplikować mu środek znieczulający.

– Co pani jadła u nas ostatnio, mademoiselle?

– Solę a la Veronique, ale była rozciapczana.

– Rozciapczana?

– Rozciapcziana, miękka, klucho wata, papko wata. Wymagała jeszcze paru chwil dosmażania, co zresztą kazałam zrobić.

Kelner chwycił się za muszkę i jął się giąć w ukłonach.

– Oczywiście, o wszystkim poinformuję szefa kuchni.

Uśmiechnęła się.

– Przez chwilę zastanowimy się, co wybrać, a tymczasem poproszę dwie wody z lodem i z cytryną. I proszę o butelkę porządnego wina.

– Porządnego – mruknął pod nosem kelner.

– Kalifornijskiego – dodała. – Chardonnay, jakiś dobry rocznik.

Kiedy kelner się oddalił, Zena powiedziała:

– Francuzi to pompatyczne fiuty. Pompatyczność wobec bogatych to inna sprawa, ale oni są takimi bankrutami towarzyskimi i intelektualnymi, że cała ta pompatyczność sprowadza się tylko do żalostnej pozy. Mają obsesję na punkcie swojej zdychającej kultury, nosowo brzmiącego języka i nie chcą dostrzec faktu, że nikt już go nie używa, bo jest lingwistycznie anorektyczny.

– Naprawdę tak myślisz?

Zachichotała.

– Czy mówiąc „anorektyczny” masz na myśli niedostatek słów? – zapytałam.

– Słów jest dość, żeby zamówić nadziewaną kaczkę – odparła – ale zbyt mało, żeby pomówić o czymś poważnym. Na przykład o technice. Kiedy ostatnio we Francji powstał jakiś popularny program komputerowy?

– Francuski to piękny język – powiedziałam.

Roześmiała się.

Młody Meksykanin przyprowadził wózek z napojami.

– Szef kuchni – odezwała się Zena. – Założę się, że to tymczasowy kucharz bez zielonej karty. I na pewno wujek tego kelnera.

Siedzieliśmy w boksie oddaleni od siebie o pół metra. Czułem jej perfumy – lekki, nieco staromodny kwiatowy zapach. Prawdopodobnie francuski. Uśmiechnąłem się. Zena zaczęła się ode mnie odsuwać, lecz po chwili zmieniła zdanie i została na miejscu. Oblizła palec i poprowadziła nim pionową linię wzdłuż oszronionej szklanki. Potem drugą. Dwie linie. Przekreśliła je dwiema prostopadłymi, tworząc planszę do gry w kółko i krzyżyk. Szybko ją zamazała.

– Jak widzisz, ja też mam dni, kiedy jestem i Swiftem, i Pope’em – powiedziała.

– Może znajdziemy wspólny język.

– Jeśli będziesz miał szczęście.

Roześmiałem się.

– O co chodzi? – zapytała.

– Pewności siebie to ci nie brakuje.

Wygięła plecy.

– A powinno brakować?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, mała ręka zacisnęła się wokół mego nadgarstka. Poczułem szczupłe palce składające się chyba z samych kości o miękkich koniuszkach. Gorące jak u dziecka z temperaturą albo nadmiernie rozentuzjzmowanego.

– Powinno mi brakować pewności siebie, Andrew?

– Chyba nie – odparłem. – Widać, że natura wszechstronnie hojnie cię obdarzyła.

Ręka zacisnęła się mocniej i poczułem paznokcie wbijające mi się w skórę.

– Doprawdy?

– Intelktualnie i fizycznie – zapewniłem ją. Ucisk zelżał i Zena zaczęła masować miejsce między moim kciukiem a palcem wskazującym. Zataczała małe kręgi. Denerwowało mnie to, lecz się nie opierałem.

Nagle zabrała rękę.

– Może to kwestia psychologiczna – rzekła z uśmiechem. – Chodzi mi o tę moją pewność siebie. Przez całe dzieciństwo rodzice powtarzali mi, jaka to jestem cudowna.

– Dobre wychowanie – zauważyłem.

– Nie powiedziałam, że byli dobrze. Po prostu sypali pochwałami ile wlaźło.

Głos jej spoważniał. Spojrzałem jej w oczy. W słabym świetle niebieskie tęczęwki wyglądały na ciemnoszare.

– Tak naprawdę byli doskonali – powiedziała. – Błyskotliwi, wykształceni ludzie, którzy wpoili we mnie kindersztubę. A twoi?

Pokręciłem głową.

– Chciałbym móc powiedzieć to samo.

– Trudne dzieciństwo, co?

– Nie – odparłem – ale dalekie od doskonałości.

– Biedny chłopczyk – powiedziała. – Mamusia go nie przytulała... czy dlatego wybrałeś psychologię?

– Prawdopodobnie.

– Prawdopodobnie? Nie jesteś tego pewien?

– Nie bawi mnie autoanaliza.

– Myślałam, że o to właśnie chodzi.

– Chodzi o to, żeby jak najlepiej zrozumieć cały ten pochrzaniiony świat, żeby można było robić to, na co ma się ochotę. Nie mam ochoty na introspekcję. Badam sieczkę w głowach innych ludzi, ale od mojej trzymam się z daleka. Jeśli to niekonsekwencja, to trudno.

– Jesteś zgryźliwy, zgryźliwy, *cher A*. Mam wrażenie, że podniecają cię konflikty. Kiedy coś idzie zbyt gładko, tracisz zainteresowanie, zgadza się?

Nie odpowiedziałem.

– Prawda? – dopytywała się, mocno naciskając łokciem moją rękę.

– Tak jak mówiłem, autoanaliza mnie drażni, Z. – Wziąłem do ręki menu. – Co proponujesz?

Odmówiłem udziału w zabawie. Twarz stężała jej do gniewu. Nagle uśmiechnęła się.

– Chyba wezmę solę a la Veronique – odparła pogodnie.

Popatrzyłem na nią.

– Dziś nie będzie za miękka?

– Jeśli będzie, to rzucimy im ją prosto w te pieprzone mordy.

Ryba nie była rozciapczana.

Kelner podał ją z kwaśną miną. Obserwował mnie, jak próbuję dania. Potem spojrzał na Zenę. Skinąłem głową, ona nie przerwała nawet jedzenia. Kelner odwrócił się na pięcie.

Patrzyłem, jak oddziela mięso od ości, uważnie ogląda każdą porcję na widelcu. Żuła powoli, systematycznie, nie przerywając ani na chwilę. Skończyła i zajęła się dodatkami. Pochłaniała je

w milczeniu i kiedy ja już miałem dość, Zena opróżniła cały talerz. Zjadła nawet pietruszkę.

– Kolejny talent – zauważyłem.

– Należysz do tych mężczyzn, którzy uważają, że kobiety nie powinny jeść?

– Boże broń!

– To dobrze. Boja lubię jeść. – Oparła się wygodnie i wytarła usta. – I nawet gram z tego wszystkiego tu nie zostaje. – Poklepała się po brzuchu. – Po prostu spalam kalorie. Nadmiar energii.

– Byłabyś świetną cheerleader.

Błysnęła zębami w szerokim uśmiechu.

– Ja naprawdę byłam doskonałą cheerleader. – Strzeliła palcami, zaczęła kręcić głową to w jedną, to w drugą stronę i wyrzuciwszy ręce do góry, potrząsała wyimaginowanymi pomponami. Do restauracji weszło jeszcze kilka osób, ale wszystkie zajęły miejsca w innej sali. Czyżby Zenę specjalnie sadzano w ustronnym kącie, bo znano ją już z podobnych występów?

– Nu, nu, nu! No, no, no! Rywal pójdzie aż na dno! Jesteś asem? Masz wyniki? Dla nas, bracie, jesteś nikim!

Powoli opuściła ręce.

– Budujące – uznałem. – To jeszcze z liceum?

– A skąd by indziej? Wielka kuźnia okrucieństwa. To kiepskie odżywki, ale wówczas nie było jeszcze takich jak teraz. Walcz jak tygrys! Wspieraj grupę! Jeśli trzeba, kop ich w dupę!

– Nie wiedziałem, że aż do tego doszło.

– O tak, doszło. Zupełny brak kindersztuby. *Ergo* staczamy się po równi pochyłej. Wracamy do średniowiecza, Andrew. Jedyne różnica polega na tym, że do szlachty należą ci, którzy sobie na to zasłużą.

– Jak?

– Intelktualnie.

Udawałem, że się nad tym zastanawiam.

Pstryknęła na chłopca od drinków i zażądała mai tai. Patrzyłem, jak powoli sączy koktajl przez słomkę.

– Jedno nigdy sienie zmieni: ogromna większość jest skazana na niewolnictwo. Niewolnicy pragną wolności, Andrew, ale nie wiedzą, co z nią zrobić. Niewolnikom potrzebna jest struktura,

przewidywalność, ktoś, kto im pokaże, jak ocierać gluty z nosa.

- Jak duża jest ta większość?
- Przynajmniej dziewięćdziesiąt dziewięć procent.
- I rządzi nimi pozostały jeden procent?
- Nie podoba ci się to?
- To zależy od tego, w której grupie bym się znalazł.

Roześmiała się.

- Wątpisz we własne zdolności?

Znów zacząłem udawać, że się zastanawiam.

- Nie – odparłem. – I zgadzam się z twoją oceną. W zasadzie. Świat stacza się w niewyobrażalnym tempie. Nie natknąłem się jednak do tej pory na tak dokładną statystykę.
- Zdaje się, że wy, psychologowie, właśnie tym się zajmujecie.
- Mówiłem ci: BPD – Bez Przesadnego Dogmatyzmu – odparłem.

Dotknęła przelotnie mojej ręki, odsunęła się i zaczęła bawić się czarnym puklem włosów.

- Jeden procent to i tak zawyżony szacunek. Odpowiednie kwalifikacje do podejmowania decyzji ma nie więcej niż pół procentu.

Do stolika podszedł kelner i zapytał, czy niczego nam nie trzeba.

Machnęła na niego ręką.

- Może nawet jedna trzecia procentu. A nawet w tej grupie znaleźliby się nieodpowiedni osobnicy. Za słabo oddani sprawie. Znałam ludzi, których uważano za geniuszów, lecz okazało się, że są mięczakami bez kręgosłupów.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Odpowiednia liczba szarych komórek, ale brak kręgosłupa.

Zacisnęła usta, a ja uświadomiłem sobie, że mówi o Malcolmie Ponsico. Starłem się mówić beznamiętnym głosem:

- Za mało ideologiczni?
- Ideologicznie rozciapciani. – Położyła rękę na moim rękawie. – *Cher Andrew, mózg bez*

kręgosłupa to tylko połowa ośrodkowego układu nerwowego... ale nieważne, nie przyszliśmy przecież tutaj, żeby rozwiązywać problemy społeczne.

– To prawda. Do tego nie wystarczy obiad, trzeba jeszcze kolacji.

Uśmiechnęła się nieśmiało. Mai tai zniknęło już ze szklanki i Zena siorbiąc wysysała piankę. Nagle pochyliła się do mnie, dotknęła mego policzka zimnym koniuszkiem języka, po czym poprowadziła mokry ślad aż do płatka ucha.

– A po co tu przyszliśmy, Andrew? – wyszeptwała.

– Ty mi powiedz.

Znów poczułem koniuszek chłodnego języka, a potem bolesne ugryzienie w ucho. Przysunęła się bliżej, wciąż delikatnie gryzła moje ucho. Słyszałem, jak szybko i płytko oddycha. Czułem woń alkoholu. Wzięła mnie pod brodę, obróciła twarz do siebie i ugryzła w dolną wargę. Odsunęła się i uszczypnęła mnie w udo, po czym dotknęła kolana. Była arogancka, szalona, żalonna i najprawdopodobniej zła, ale, do diabła, wszystkie te gesty nie pozostały bez echa i kiedy sięgnęła pod stołem do mojego krocza, znalazła tam to, czego chciała. Na wydatnych różowych ustach pojawił się triumfalny uśmiech.

Odsunęła się, wyjęła z torebki szminkę i lusterko w złotej oprawce, po czym jeszcze bardziej podkreśliła róż na ustach.

– Jesteś chętnym chłopcem. A to wywołuje u mnie moralny dylemat.

– O?

Uśmiechnęła się do lusterka.

– Zastanawiam się, czy od razu dzisiaj pieprzyć się z tobą jak królik i ryzykować, że weźmiesz mnie za zdzirę, czy poczekać, aż zsinieją ci jaja, a potem – może, pod warunkiem że będziesz grzeczny – pieprzyć się z tobą jak królik, tak byś błagał mnie o jeszcze.

Znów chwyciła mnie za krocze.

– Witaj, panie koguciku.

– Skoro trapią cię takie problemy, zwróć się do etyka – powiedziałem, delikatnie odsuwając jej palce i kładąc rękę na siedzeniu boksu. – Nie spiesz się, namyśl się, a potem zadzwoń do mnie.

Popatrzyła na mnie wściekła, chwyciła szklankę i rzuciła się w przeciwną stronę boksu, odwracając się do mnie tyłem.

Widziałem, jak pulsują jej mięśnie szyi.

Miałem do czynienia z istotą wrażliwą, którą łatwo było zranić, i może przez to jeszcze bardziej

niebezpieczną.

– Odwieź mnie z powrotem, dupku.

– Zeno...

– Odpieprz się!

– Proszę bardzo. – Wstałem od stołu. Miałem rozpaloną twarz, zaciśnięte zęby i wcale niczego nie udawałem. Zaczęła wysuwać się z boksu, ale zablokowałem jej wyjście. Pochylając się nad stołem, spojrzałem na nią gniewnie.

– Zejdź mi z...

– Panno Jedna Trzecia Procentu – warknąłem szeptem – zawiodłem cię, tylko dlatego, że nie chcę sobie poplamić tutaj spodni, tak? Czy elita nie powinna być nieco ostrożniejsza?

Ton mego głosu sprawił, że skrzywiła się. Próbowwała zmierzyć się ze mną wzrokiem, lecz przegrywała, choć ruszała nozdrzami, a na twarzy wystąpiły jej kolorowe plamy.

Różowe plamki jak przy łagodnej egzemie. Usta jej drżały. Sutki powiększyły się jeszcze bardziej, nacierając od spodu na różowy materiał.

Rzuciłem na stół gotówkę.

– Zawsze to było jakieś doświadczenie. Chodźmy.

– Wyjdę, kiedy będę gotowa.

– Proszę bardzo. – Zacząłem iść w kierunku drzwi.

– Gdzie, do cholery, sobie idziesz?

– Gdzieś, gdzie jest mniejsze napięcie, Z.

– Nie radzisz sobie z napięciem?

– Radzę sobie, ale wolę go unikać. – Nie przestawałem iść. Nagle Zena pojawiła się przy moim boku i wpiła się obiema rękami w mój biceps, przebijając niemal tweedowy materiał.

– Zaczekaj, do cholery, albo zaraz podrę ci koszulę!

Zatrzymałem się.

Obeszła mnie, stanęła na wprost i ujęła ręką pod brodę. Kiedy Robin staje na palcach, ledwo jest w stanie patrzeć mi w oczy. Zena była niższa o kilkanaście centymetrów. Jej piersi czułem na brzuchu. Ledwie dotykaliśmy się twarzami. Ktoś patrzący z boku mógł to wziąć za scenę miłosną, ale

Zena za bardzo ścisnęła moją brodę. Czuję, jak jej palce wpijają się w skórę, i sądziłem, że za chwilę zacznę krwawić.

– Ależ uparty chłopiec – powiedziała. – Taki uparty, uparty chłopiec... Kiedy ostatnio miałeś kobietę?

– Nie prowadzę dziennika.

Roześmiała się.

– Dokładnie tak, jak myślałam. W porządku, uznaj, że ten brak wychowania to z powodu podniecenia. Zaslugujesz na spełnienie. Jedziemy do mnie. Pokażę ci, jak je osiągnąć.

Jechałem z powrotem w kierunku Hyperion. Zena siedziała tuż przy mnie, a dzieliła nas tylko dźwignia zmiany biegów. Ręką obejmowała mnie za szyję i niespiesznie gładziła moje ciało, nucąc pod nosem muzykę Bartoka, którą nadawała jakaś stacja radiowa. Śpiewała chrapliwie, fałszowała. Miałem ochotę powiedzieć jej, żeby się zamknęła.

– Uparty chłopiec – mówiła. – Oczywiście muszę być wobec ciebie delikatna.

Uśmiechnąłem się, a w duchu myślałem, co mam, u diabła, zrobić?

Mimo środków bezpieczeństwa, jakie podjęli Milo i Daniel, na to nie byłem przygotowany.

Pomyślałem o pożegnaniu z Robin przed dwiema godzinami.

Jak daleko powinienem się posunąć?

Próbowałem nabrać do tego odpowiedniego dystansu. Zacząłem wyobrażać sobie ciało Irit leżące wśród drzew, Latvinie wiszącą na szkolnym boisku, zakrwawione buty Raymonda, ból, jaki musiał poczuć w plecach Melvin Myers. Lecz jeśli ta istota nie miała związku z tamtymi sprawami... na pewno jest szalona, ale czy groźna?

– Lyric jest za następnym rogiem – powiedziała. – Skręć w lewo.

Biorąc zakręt, obejrzałem się szybko za siebie, szukając wzrokiem Mila. Na Hyperion nie było zbyt dużego ruchu, lecz nikt nie śledził mnie na tej stromej ocienionej ulicy.

Na Lyric dwa samochody miałyby trudności z wyminięciem się. Jechałem więc powoli, próbując uporządkować myśli. Zena zaczęła bębnić palcami po moim udzie.

– Jedź na samą górę.

Zacząłem rozglądać się po okolicy. Po prawej domy, po lewej wysuszony skraj zbocza porośnięty najrozmaitszymi kaktusami. Z domów rozciągał się widok na wschód, co pewnie wyglądałoby fantastycznie, gdyby nie wisząca nad miastem na linii horyzontu spodkowata chmura smogu.

– Aż na samą górę – powtarzała najwyraźniej zniecierpliwiona. – O tutaj, w porządku, teraz w lewo, tutaj... oto Rondo Vista. Mieszkam o przecznicę dalej. Zaparkuj tutaj.

Karmanghia stanął na podjeździe z popękanego cementu. Mogła to być dowolna położona na wzgórzach dzielnica Los Angeles. Cicho, skwarnie, niebezpiecznie. Domy we wszelkich rozmiarach i stylach. Utrzymane raz lepiej, raz gorzej.

Naprzeciwno miejsca, gdzie zaparkowałem, stał podwójny garaż, a obok biały pudełkowaty domek o płaskim dachu. Niebieskie wykończenia z drewna aż prosiły się o remont.

Do niebieskich drzwi prowadziła krótka ścieżka osłonięta od góry falistymi panelami z włókna szklanego, a z boków porośnięta pnączami bluszczu, w większości uschniętymi. Ustawione na ziemi w skrzynce balkonowej różowe geranium również nie wyglądało najlepiej. W pobliżu frontowych schodów stał rdzewiejący grill, brudzący cement pomarańczowymi plamami.

– *Ma maison* – oznajmiła. – Francuski to język fizyczności.

Pocałowała mnie w policzek i odczekała, aż otworzę jej drzwi. Wyskoczyła z auta i pomaszerowała przed siebie, tak jak w restauracji. Wymachiwała gołymi ramionami, kołysała biodrami, a różowe szpilki stukały w cement.

Kiedy dotarła do drzwi, byłem jakieś trzy metry za nią. Otworzyła je. Nagle zatrzymała się, zajrzała do środka, pomachała ręką – najwyraźniej kogoś pozdrawiając – i zamknęła drzwi.

– *Merde*, Andrew. Mamy pecha.

– Co się stało?

Delikatnie dotknęła mojej twarzy.

– Biedny chłopiec aż kipi z pożądania i nie ma gdzie go zaspokoić... Goście, Andrew. Przyjaciele zatrzymali się u mnie na parę dni. Dzisiaj przez cały dzień miało ich nie być, ale widać zmienili plany. Wiem, że to dramat, lecz taka jest rzeczywistość.

Zmarszczyłem brwi.

– No to diabli wzięli spontaniczność.

– Tak mi przykro, mój drogi.

Nadal marszczyłem czoło. Położyła palec na wargach i zerknęła na zegarek.

– Myślę – powiedziała patrząc na garaż – że mogłabym cię tam zaciągnąć i szybciotko wyssać... ale nie chciałabym sprowadzać naszego pierwszego spotkania do czegoś takiego... a ty gdzie mieszkasz?

– W Fairfax.

Przyjrzała mi się.

– Lubisz bajgle?

– Lubię tanioczę.

– Mieszkasz sam... ależ oczywiście... Ale nie, za dużo czasu zająłby nam dojazd do tego żydowskiego getta i z powrotem. Naprawdę muszę wracać do sklepiku.

Do sklepiku. Tak jakby sprzedawała w nim bibeloty.

– Świetnie – odparłem.

Stała na palcach i jednocześnie pociągnęła mnie w dół. W ten sposób udało jej się pocałować mnie w nos.

– Och, Andrew. Wyrządziłam ci krzywdę. Oczywiście nie tak miało być. Dziękuję za obiad.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Naprawdę?

Kolejny pocałunek, delikatniejszy, tym razem na podbródku.

– Tak – powiedziałem – wielka przyjemność.

– To miłe, Andrew. Jesteś taki szarmancki... popatrz tylko, stoimy tak sobie, dwoje cywilizowanych ludzi. Czyż nie jesteśmy cudownie porządni?

Roześmiałem się, a Zena mi zawtórowała.

– Coś ci powiem, złotko – odezwała się, kładąc rękę na moim torsie. – Gdyby nie to, że uleciało gdzieś erotyczne napięcie, zaciągnęłabym cię do garażu, położyła w samochodzie mego przyjaciela i wysała do dna. Przebóg.

Odwiozłem ją do księgarni. Tym razem sama otworzyła drzwi i wyskoczyła na chodnik.

– Do widzenia, Andrew – powiedziała przez otwarte okno.

– Spotkamy się jeszcze?

– Spotkamy albo i nie... to zależy, czy wystarczę ci, ale nie w całości.

– To znaczy?

– To znaczy, że w najbliższej przyszłości mogę ci służyć jedynie kontaktami towarzyskimi, złotko. To znaczy, że moich klejnotów będziesz mógł dotykać jedynie ukradkiem, podczas towarzyskich

pogaduszek.

– Pogaduszek ze znajomymi, którzy się u ciebie zatrzymali?

– Iz innymi. – Uśmiechnęła się jak szczęśliwe dziecko. – Organizuję wieczorek towarzyski, Andrew. Jutro. Od dziewiątej podaję koktajle. Stroje wieczorowe nie obowiązują. Właśnie zostałeś zaproszony.

– A z jakiej okazji ten wieczorek?

– Bez okazji, Andrew. Wedle zasady *carpe diem*. Dobre towarzystwo, kontakty. Zabawa. Na pewno jeszcze nie zapomniałeś co to zabawa?

– Z tą jedną trzecią procentu? Jesteś pewna, że się nadaję?

– Och, Andrew, czy to wszystko jest dla ciebie za trudne?

– Za trudne?

– Dzielenie się mną, po tym, jak się dogadaliśmy.

Wepchnęła się głębiej przez okno do wnętrza samochodu i położyła swoją rękę na swojej lewej piersi. Naciskała tak mocno, że musiałem zacisnąć dłoń. Nie miała na sobie biustonosza. Piers była mała, bardzo miękka, a sutek niczym szpica kłuł mnie w dłoń.

– Zdaje się, że będę musiał brać to, co mogę, Z.

Zdjęła rękę z piersi i odrzuciła ją.

– Jakoś nie jestem zaskoczona. Jutro o dziewiątej. Do widzenia, A.

Nie ma to jak czarująca kobieta, co? – zagaił Milo, wyciągając się w samochodzie. Nie był to jednak samochód, którym zwykle jeździł. Wytrasnął skądś brązową hondę, którą widziałem po raz pierwszy.

Wnętrze samochodu ocieniały gałęzie sosny. Milo zatrzymał się obok mnie na skrzyżowaniu Bulwaru Zachodzącego Słońca z San Vincente i kazał jechać za sobą.

Wybrał w Beverly Hills zaułek przy zachodniej granicy Roxbury Park. Po alejkach biegało mnóstwo dzieciaków z matkami i nianiami. Lodziarz wygrywał skoczną melodyjkę i rozdawał lizaki i lody. Wokół stało wiele zaparkowanych samochodów, więc nasze nie zwracały niczyjej uwagi.

– Gdybym chciał podbudować swoje ego, na pewno bym jej unikał – odparłem. – Ona jest więcej niż agresywna.

– Och, opowiedz coś więcej... Mała Panna Sekspistolet, co?

– Nawet dwulufowy. Ponsico musiał się czuć jak pod ostrzałem. Założę się, że to o niego chodziło, kiedy mówiła o mózgu bez kręgosłupa. Morderstwa związane z DVLL prawdopodobnie wywodzą się z jednego ze spotkań „Mety”. Może nie bierze w nich udziału cała grupa, a jedynie jej odłam. Według mnie Ponsico najpierw zapalił się do ich teorii, ale kiedy zaczęli wcielać ją w życie, przestraszył się i rozczarował swoich znajomych. Część z tych, którzy się u niej zatrzymali, będzie prawdopodobnie jutro na przyjęciu. Jeśli do dać do tego podróz Sangera, zapowiada się wielki wieczór „Mety”. I Andrew dostał na ten wieczór zaproszenie.

Milo zmarszczył brwi.

– Co ci nie pasuje?

– Martwię się, kiedy wszystko idzie zbyt gładko.

– Nie sądzisz, że w końcu należy się nam trochę szczęścia w tej sprawie?

– Chyba tak.

– Ona na pewno niczego nie podejrzewa, Milo. Przez cały czas rozmawialiśmy tylko intelektualnym bełkotem przetykanym wstawkami o podtekście seksualnym. O seksie ona zaczęła. Grałem Ponurego Andrew jak najlepiej mogłem, uważając, by jej nie odstraszyć. Pan Luzak. Przez chwilę wyglądało na to, że posunąłem się za daleko.

Opisałem wściekłość Zeny z powodu odrzuconych zalotów.

– Wciąż trajkocze, jaka jest wspaniała, ale tak naprawdę to delikatna dusza.

– Delikatna czy po prostu zepsuta? – zapytał Milo.

– Jedno często wiąże się z drugim. Chodzi mi o to, że mimo tego całego pozerstwa na temat intelektu i seksu, figury i energii Zena mieszka w ruderowatym domku i prowadzi księgarnię, do której mało kto zagląda. Całe to kreowanie się *na femmefatale* też wygląda żałośnie, Milo. Niewiele wystarczyło, żeby ją zranić. Nazwała też liceum „kuźnią okrucieństwa”, co znaczy, że pewnie nie była najpopularniejszą cheerleader. Tak się zdenerwowała, kiedy odsunąłem jej rękę, że aż dostała plam na twarzy. Ta chwiejność na pewno niedobrze wróżyła Ponsico. Innym ludziom też.

– Teraz mówisz, że Ponsico zginął, bo ją obraził? Wydawało mi się, że dlatego, że zdradził „Metę”.

– Może zginął za jedno i za drugie – odparłem. – Ktoś taki jak Zena mógł nie dostrzegać różnicy między tymi rzeczami. Jedno jest pewne – uwielbia eugenikę. Zyskałem jej uwagę, kiedy wybrałem te książki. Nie musiałem długo czekać, by wyłożyła mi swoje poglądy na temat elity i mas.

Książki, które kupiłem, leżały na desce rozdzielczej samochodu. Milo przerzucał szybko strony.

– Galton i neogaltonista – stwierdził. – Ohydna lektura.

– Ohydna księgarnia.

– A skoro o tym mowa, na razie nie możemy trafić na jej współników. Sharavi zdołał wytropić jej rodziców. Pochodzą z Lancaster. Matka nie żyje, a ojciec jest sprzątaczem na torze wyścigowym w Santa Anita. Ma kłopoty z alkoholem. I nie zostawił córce żadnego funduszu powierniczego.

– Mówiła, że ma wykształconych i inteligentnych rodziców. Znowu pozowała.

– Może jest sprytna, ale na pewno niezbyt dobrze wykształcona. Ukończyła liceum w Lancaster, spędziła niecały rok w college’u, potem zaczęła pracować w domu towarowym Kmart, a w końcu dostała pracę w PlasmDerm. Posłuchaj tego: w college’u wstąpiła na ochotnika do służby pomocniczej szeryfa. Chciała zostać policjantką, ale jest na to za niska.

– Znaleźliście coś dziwnego w jej aktach na uczelni?

– Nie. Spędziła tam pół roku, potem rzuciła szkołę.

– Życiowy nieudacznik. To pasuje do naszego profilu – powiedziałem. – Podobnie jak chęć pracy w policji. Nigdy nie myślałem, że to będzie kobieta.

– Kobieta i jej koleś, Alex. Sama na pewno nie byłaby w stanie fizycznie podołać żadnemu z tych morderstw.

– Może to ci koleś, którzy zatrzymali się u niej w domu.

– Tak... a może koleś, którzy finansują księgarnię.

– Fundacja Loomisów?

– Czy to nie byłoby piękne?

– A jeśli po aferze z manifestem Sangera „Meta” przeniosła działalność do Los Angeles? – zapytałem. – Być może Sanger to skarbnik grupy i jutro przylatuje z gotówką.

– Nasz agent Mossadu pracuje nad rozwikłaniem zawilóści ich powiązań finansowych. Zobaczymy, do czego się dokopie.

– Rozmawiał już z tobą na temat szkoły Myersa?

– Nie. – Milo wydmuchiwał kółka dymu za okno. Lodziarz już odjechał. Zostawił po sobie mnóstwo zadowolonych małych klientów. Takie miłe dzieci... na początku wszyscy jesteście tacy mili...

– Przejrzałem sporo książek, ale nie znalazłem niczego na temat DVLL – powiedziałem. – Jednak wiele z nich nie miało indeksu, a nie miałem czasu wszystkiego dokładnie kartkować. Jeśli po przyjęciu pozostanę z Zeną w dobrych stosunkach, będę miał wymówkę, żeby znów zajrzeć do księgarni.

Milo strzepnął popiół i potarł twarz.

– Doskonale się spisałeś, Alex, ale to wszystko mi śmierdzi. Na pewno chcesz to dalej ciągnąć?

– Jeśli dzięki temu będę mógł się bliżej przyjrzeć członkom „Mety”, to owszem. Martwię się tylko tym, jak uniknąć Zeny, kiedy postanowi zaciągnąć mnie do garażu i zedrzyć ze mnie spodnie.

– Powiedz, że masz opryszczkę.

– Trochę na to za późno, a poza tym ona by to na pewno sprawdziła. Coś wymyślę.

– Nie rób niczego, czego mógłbyś żałować. Nawet policja w Los Angeles ma swoje zasady.

Pomyślałem o wypadach Nolana Dahla na nastoletnie prostytutki.

– Jak blisko jechałeś za mną?

– Byłem przed księgarnią, jeszcze zanim tam przyjechałeś. Zaparkowałem dwie przecznice dalej, ale dzięki lornetce Zeissa, którą dał mi Sharavi, widziałem wszystko jak na dłoni. Widziałem, jak wchodzisz i wychodzisz – już z nią. Wyglądała inaczej niż na zdjęciu, które pokazywał Sharavi. Zmieniła włosy, ale rozpoznałem japo wzroście. Zachowywała się jak osoba podniecona, więc doszedłem do wniosku, że wszystko idzie dobrze. Gdy jechaliście do restauracji, trzymałem się cztery samochody za wami. Kiedy wy objadaliście się francuskim żarciem, ja opchnąłem kiepskie burrito w samochodzie.

– Cóż za poświęcenie.

– Tak, śniadanie robotnika. Gdy wyszliście z restauracji, jechałem za wami, ale kiedy skręciliście

w Lyric, przyhamowałem, bo to pusta ulica, a ja nie chciałem, żebyście mnie zauważyli.

– Samochód dostałeś od Daniela?

Przytaknął.

– Jedną z rzeczy, które mi się nie podobają, to topografia terenu, Alex. Nie ma jak obserwować tego domu z bliska. Wokół jest za odludnie, za cicho, no i dom stoi na samym szczycie wzniesienia. Nie ma jak obserwować go z góry.

– A więc byłeś tam.

– Oczekałem kilka minut i podjechałem do miejsca, gdzie Rondo Vista oddziela się od Lyric. Pojechałem Lyric i zatrzymałem się jakieś trzysta metrów dalej. Dalszą drogę przebyłem pieszo. Miałem na sobie uniform pracownika gazowni. Na drzwiach samochodu nalepiłem też emblemat gazowni. W ręce niosłem jakiś licznik. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Ale nie można tego wykorzystywać bez końca. Gazownicy nie kręcą się w końcu tak często. Chodziłem od domu do domu i w końcu zobaczyłem, jak wsiadasz do volkswagena.

– W ogóle cię nie zauważyłem.

– Stałem dwa domy dalej i oglądałem jakieś rośliny. Zena zachowywała się jeszcze wymowniej niż na początku – wręcz cię obściskowała. Doszedłem do wniosku, że nie grozi ci żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo, ale to wszystko mi się nie podoba.

– To tylko wieczorek – uspokajałem go. – Elita i ja. Największym zagrożeniem są jej hormony.

Piątkowy wieczór. Daniel nie znoślił pracować w szabas.

W Izraelu, jeszcze zanim wstąpił do służby w policji, radził się swego wykształconego ojca w tej sprawie. Abba Yehesqel zasięgnął z kolei porady Rava Icchaka, dziewięćdziesięcioletniego jemeńskiego *hakhama* i otrzymał szybką odpowiedź.

Prawo mówi jasno: ratowanie życia jest ważniejsze niż zakaz pracy w szabas. Policjant tak jak żołnierz, kiedy musi ratować czyjeś życie, nie tylko może, ale wręcz musi pracować w święto.

Z biegiem lat Daniel coraz rzadziej uciekał się do tego prawnego kruczka. W ciągu tygodnia pracował trochę dłużej, żeby mieć wolny piątek i sobotę. Oczywiście nie namyślał się nawet chwilę, gdy pojawiały się takie sprawy jak Rzeźnik, gwałty czy samobójcze zamachy bombowe. W miarę pięcia się po szczeblach kariery coraz rzadziej wysyłano go na ulicę, obarczając za to pa pierkową robotą. Dzięki temu coraz łatwiej przychodziło mu nie pracować w święto. To jedyna zaleta pracy gryziopórka.

A teraz siedział na lotnisku za kierownicą żółtej taksówki zaparkowanej przed halą przylotów linii American Airlines.

W Jerozolimie modliłby się o tej porze w małej zabytkowej jemeńskiej synagodze w pobliżu Starego Miasta. Nawet po służbie unikał nabożeństw, starał się jak najmniej rzucać w oczy. Nie chciał, żeby jakiś Bogu ducha winny wierny, dowiedziawszy się, że Daniel jest izraelskim programistą i doradcą jakiejś anonimowej firmy z Krzemowej Doliny, siłą ciągnął go do siebie na świąteczny obiad.

Rano zadzwonił do Laury i dzieciaków, obiecując, że wróci jak najszybciej, ale nie wiedział, kiedy to nastąpi.

Najstarsza córka, osiemnastoletnia Shoshana, dostała na weekend przepustkę z wojska. Pełniła służbę w Kiryat Shemona. Przydzielono ją do kliniki psychiatrycznej, gdzie próbowała pocieszać małe dzieci, które przeżyły zamachy bombowe Hezbollahu.

– Trochę nad tym myślałam, ojcze. Może zacznę studiować psychologię na uniwersytecie?

– Doskonale się do tego nadajesz, córko.

– Dzieci są takie śliczne, ojcze. Uświadomiłam sobie, że lubię pomagać ludziom.

– Zawsze miałaś do tego dar.

Rozmawiali jeszcze trochę. Potem Shoshana powiedziała, że go kocha i tęskni, i poszła po chłopców. Gdy na nich czekał, zaczął marzyć, że kiedyś przedstawi ją Delaware'owi. Mogłaby rozpocząć karierę pod okiem fachowca. Dzięki swoim kontaktom tatuś mógłby wszystko załatwić. Delaware na pewno z chęcią by pomógł... Im dłużej Daniel z nim pracował, tym bardziej go lubił. To

skupienie i ciągle parcie do przodu...

– Ojcie! – ze słuchawki dobiegł jeszcze nie zmutowany głos dwunastoipółletniego Mike’a. Za pół roku czekała go bar miewa i wielkie przyjęcie z tej okazji. Rodzice Laury chcieli urządzić je w hotelu Laromme. Rok później czeka ich jeszcze bar miewa Benny’ego. W życiu rodziny Sharavich szykowało się wiele wydarzeń. Było na co czekać.

– Jak się masz, Mike. Jak tam w szkole?

– W porządku. – Nagle spochmurniał. Mike nie był tak dobrym uczniem jak jego siostra. Wolał całymi dniami grać w piłkę. Daniel niechętnie mu o tym przypominał, ale do bar miewy trzeba nauczyć się fragmentu Tory, który następnie należało wyrecytować w synagodze. Szkoda, że jego ojciec nie będzie mógł tego zobaczyć...

– Na pewno doskonale sobie radzisz, Mike.

– Nie wiem, ojcie. Chyba miałem pecha, bo dostałem najdłuższy kawałek tekstu z całej szkoły.

– Nie najdłuższy, bracie, ale z całą pewnością długi. Może Bóg wyznaczył ci taką datę urodzin, bo wiedział, że sobie z tym poradzisz.

– Wątpię. Mam chyba trociny zamiast mózgu.

– Co ty chcesz od swego mózgu, Mikey? Jest świetny, tak jak twoje serce i mięśnie. Jak tam piłka?

– Super! Wygraliśmy! – Chłopiec się ożywił i do czasu, kiedy oddał słuchawkę Benny’emu, rozmawiali już tylko o sporcie.

Benny, najmłodszy z trójki, dawniej był zupełnie postrzelony, ale teraz garnął się do nauki zupełnie jak Shoshi. Szczególnie lubił matematykę. Miał delikatny głos.

Rozmowy z rodziną łagodziły duszę Daniela.

Umowa z Petrą Connor była jasna: Petra, ubrana w mundur stewardesy Alaskan Airlines, z walizką w ręce miała się kręcić po terminalu, czytać jakąś książkę i wypatrywać prawnika z Nowego Jorku.

W walizce leżał między innymi telefon komórkowy, za pomocą którego mogła zadzwonić do Daniela siedzącego w taksówce.

Kiedy Sanger-Galton wysiądzie z samolotu, Petra powinna się trzymać blisko niego, sprawdzić, czy ma jakiś bagaż oprócz podręcznego, i wtedy zadzwonić do Daniela.

Gdyby Sanger-Galton wsiadł do wynajętego samochodu, miała powiadomić Daniela co to za samochód, do jakiej firmy należy i jaki ma numer rejestracyjny. Potem powinna udać się do swego ciemnozielonego forda escorta i włączyć się do śledzenia samochodu nowojorskiego prawnika.

Podobnie miała postąpić, gdyby po Sangera-Galtona wyjechał jakiś znajomy.

Jeśli prawnik potrzebowałby taksówki, a Danielowi udało się go zabrać, Daniel miał zadzwonić do Petry i podać jej kierunek, udając że kontaktuje się z centralą. Gdyby mecenas wsiadł do innej taksówki, Daniel nie mógłby otwarcie jechać za nimi i śledzenie musiałaby podjąć jako pierwsza Petra, czekając, aż Daniel wydostanie się z lotniska.

Tak czy inaczej Sanger-Galton nie mógł im się wymknąć.

Ale na razie Petra milczała.

Sprawiała dobre wrażenie. Cicha, poważna, skupiona na pracy. Na razie wszyscy, których Daniel poznał w Los Angeles, okazali się dobrymi ludźmi. Zev ma jednak nosa.

Szabas... mimo wszystko Daniel był zadowolony, że coś robi. Zwłaszcza po zmarnowanym popołudniu w szkole Melvina Myersa.

Nie znalazł tam nic dziwnego. Rzeczywiście, przygotowywali niepełnosprawnych do różnych zawodów. Nie mógł się spotkać z Darlene Groperrin. Odbył za to krótką rozmowę z młodą asystentką z opieki społecznej Veronica Yee.

Każde z nich myślało, że w rozmowie chodzi o coś zupełnie innego niż w rzeczywistości.

Uśmiechając się uprzejmie, panna Yee nakreśliła krótko historię szkoły: placówka istnieje od dwudziestu lat, cieszy się dobrą renomą, finansowana jest głównie z funduszków stanowych i oferuje szeroki zakres usług edukacyjnych, łącznie z poradnią zawodową i psychologiczną. Owszem, znalazłoby się coś dla Daniela, ale nie wcześniej niż za dwa miesiące, kiedy zacznie się nowy semestr. Zaproponowano mu wypełnienie podania i zgłoszenie się w późniejszym terminie.

Panna Yee podała mu plik papierów: podanie, stanowe broszurki na temat praw niepełnosprawnych i możliwości uzyskania stypendium, trochę informacji o szkole.

Szukał jakiegokolwiek śladu po śmierci Melvina Myersa – nekrologu, zawiadomienia o nabożeństwie, czegokolwiek. Znalazł tylko informację na tablicy ogłoszeń napisaną zwykłym drukiem i pismem Braille'a: „Z żalem zawiadamiamy...”

To był pretekst, żeby zagadnąć o Myersa pannę Yee.

– Tak, zamordowano go w śródmieściu – odparła. – To straszne. Będę z panem szczerą, panie Cohen. To nie jest najbezpieczniejsza dzielnica.

Szczerze, otwarcie.

Nie było o czym wspominać w raporcie.

Taksówka przed nim podjechała do przodu, a Daniel ruszył za nią. Wcześniej odczekał, aż kolejka taksówek odpowiednio się wydłuży, i stanął na samym końcu. Liczył na to, że będą posuwać się

wolno do przodu, dzięki czemu nie będzie musiał zwracać na siebie uwagi, uciekając sprzed wyjścia bez pasażera, a pod drzwiami znajdzie się wtedy, kiedy zjawi się Sanger.

Zadzwonił telefon.

– Już jest. Samolot wylądował wcześniej – poinformowała go Petra. – Nikt nie odebrał go przy wyjściu z rękawa. Ma ze sobą tylko walizkę, torbę na ramię i pokrowiec z garniturem, więc pewnie nie odprawiał bagażu. Upewnię się... Wszedł na ruchomy chodnik. Jestem dziesięć metrów za nim. Jest wielki, mniej więcej taki jak Milo. Ma na sobie niebieski blezer ze złotymi guzikami, spodnie khaki i ciemnoniebieską koszulkę polo. Ciemne włosy zaczesane do tyłu, okulary w sztykretowych oprawkach, nalana twarz. Walizka i torba są oliwkowozielone, a pokrowiec czarny... W porządku, dojechaliśmy do końca... tak, zdecydowanie omija pas z bagażami... idzie w kierunku... Avisa. Zdaje się, że papierkowe formalności załatwił już wcześniej.

Kolejna rzecz, do której nie dokopał się informator Daniela. Może Sanger skorzystał z telefonu na pokładzie samolotu i telefonicznie wynajął samochód.

– Wypełnia druczek ekspresowy – mówiła Petra. – Udaję, że płacę rachunki po przeciwnej stronie sali. Odezwę się, kiedy nasz ptaszek zacznie iść w stronę parkingu Avisa.

Sanger wypożyczył brązowego oldsmobile'acutlassa. Ruszył w stronę Bulwaru Stulecia, a taksówka Daniela znajdowała się tuż przed nim.

Oba samochody włączyły się do ruchu. Daniel zjechał na lewy pas i zwolnił, przepuszczając Sangera przodem. Przez chwilę widział prawnika przez boczną szybę swojej taksówki.

Sanger wyglądał na wielkiego mężczyznę. Siedział wysoko na fotelu. Minę miał poważną, policzki gładkie i nieco rumiane, o zaczynającej już obwisać skórze. Gruby różowy nos. Z ust wystawał mu wypalony do połowy papieros. Jechał szybko, nieuważnie, strzepując od czasu do czasu popiół za okno.

Daniel jechał za nim aż na skraj lotniska, mijając magazyny cargo, hangary rozmaitych firm, hotele dla przesiadających się pasażerów, baraki firm spedycyjnych, bary ze striptizem.

– Jestem na Bulwarze Stulecia, zbliżam się do Aviation – poinformowała go Petra. – Jak daleko jesteś przede mną?

– Zbliżam się do autostrady numer 5 – odparł Daniel. – Niezły czas. Sanger wjeżdża na autostradę w kierunku... zdaje się, że północnym... tak, jedzie na północ. Włączamy się właśnie do ruchu na autostradzie.

Sanger przez kilka minut trzymał się pasa dla wolnych pojazdów, po czym zjechał na sąsiedni pas i utrzymywał stałą prędkość około stu kilometrów na godzinę.

Sytuacja na drodze doskonale odpowiadała wymaganiom Daniela – było na tyle luźno, by zmieniać pasy, żadne korki nie blokowały ruchu, a jednocześnie jechało dość samochodów, by się wśród nich

ukryć. Zresztą, kto zwróci uwagę na taksówkę?

Sanger minął zjazd do Santa Monica i krótko potem zjechał na wschód, na Santa Monica Boulevard. Skręcił w mało uczęszczaną ulicę za Century City i ruszył w kierunku Beverly Hills. Skręcił w lewo, w Beverly Drive i jechał dalej na północ szeroką ulicą, przy której stały ogromne rezydencje.

Śledzenie go w tych warunkach było trudniejsze i Daniel musiał się trochę nagimnastykować, żeby między taksówką a brązowym cutlassem jechał jaguar i mercedes. Zadzwoiła Petra z informacją, że dzieli ją od nich niespełna kilometr. Zatrzymały ją światła na skrzyżowaniu Beverly Drive z Santa Monica Boulevard.

Sanger przeciął Bulwar Zachodzącego Słońca i podjechał prosto pod hotel „Beverly Hills”, odnowiony niedawno przez jakiegoś naftowego sułtana uchodzącego za najbogatszego człowieka na świecie. Wiele lat temu podczas misji olimpijskiej Daniel pracował w tym hotelu jako ochroniarz. Oslaniał żonę ministra, która zamieszkała w jednym z należących do hotelu bungalowów. Wówczas wydawało mu się, że jest tam mnóstwo różowego koloru, a sam budynek wygląda na nieco zniszczony.

Dziś był nadal różowy, może nawet jeszcze bardziej jaskrawy. Izraelski konsul nie urządzał tutaj przyjęć, bo sułtan okazywał wrogość Żydom. Mimo to wiele izraelskich rodzin urządzało tu imprezy z okazji bar micwy i nie tylko.

Różowy i błyszczący. Sager zatrzymał się tutaj ostatnio, ale według Daniela prawnik ze Wschodniego Wybrzeża powinien wybrać spokojniejsze miejsce.

Może zatrzymał się tutaj, a potem pojechał do Hollywood?

Luźny strój Sangera zdawał się potwierdzać tę hipotezę. Czyżby przygotowywał się na wieczorek towarzyski u Zeny Lambert?

Nie mówiąc nic Milowi, Daniel pojechał wcześniej rano na ulicę, przy której mieszkała Zena. Zrobił to jeszcze przed wizytą w szkole. Liczył na to, że uda mu się zerknąć na tę dziwną kobietę, kiedy będzie wychodziła z domku ozdobionego niebieskim szlaczkiem, być może z którymś ze swoich znajomych. Liczył też na to, że drzwi garażu zostanie uchylone i spisze numer rejestracyjny stojącego w nim samochodu.

Ale nie miał szczęścia. Cieszył się jednak, że miał okazję na własne oczy obejrzeć ten dom i mógł zweryfikować opinię Mila na temat możliwości jego obserwacji.

Pod dom Zeny podjechał pikapem, którym wioził kosiarkę do trawy i inne sprzęty ogrodnicze. Ze względu na ciemną karnację mógł uchodzić za meksykańskiego ogrodnika, na którego – na co liczył – nikt nie zwróci uwagi.

Na dłuższą metę było to jednak słabe przebranie, bo w tej okolicy ogrodnik w zasadzie nie miał nic do roboty. Przed większością domów zamiast trawnika położono cement, tak jak u Zeny,

a spadziste podwórka na tyłach domów nie nadawały się do zakładania ogrodów.

Odjechał, odmierzając w myślach czas. Zastanawiał się, kiedy i jak wrócić na Rondo Vista. Zastanawiał się, gdzie leżą granice lojalności.

Zaparkował taksówkę przed pochyłym podjazdem do hotelu i wszedł na górę w samą porę, by zobaczyć, jak portier otwiera Sangerowi drzwi brązowego cutlassa, a następnie wyjmuje z bagażnika dwie sztuki bagażu.

Sanger przemknął przez wejście, nie zauważając chyba nawet odzwiernego, który przytrzymał przed nim drzwi.

Przywykł do tego, że mu usługiwano.

Kilka chwil później przez te same drzwi wniesiono jego bagaż.

Daniel zszedł z podjazdu, skierował się w stronę Bulwaru Zachodzącego Słońca i gdy zrobiło się zielone światło, przeszedł na drugą stronę ulicy. Od południowej strony Beverly, Crescent i Canon zbiegały się, tworząc skomplikowane skrzyżowanie. Pośrodku urządzono park, do którego Daniel zabrał kiedyś dzieci, by pokazać im fontannę w stylu florenckim wylewającą wodę do stawu pełnego japońskich rybek – takich jakie widział u Delaware'a. Teraz jednak fontanna była sucha, zniknęła też większość kwiatów, które pamiętał z tamtej wizyty. Czekał na południowym krańcu, aż pojawi się Petra.

Petra weszła do hotelu.

Po odpięciu skrzydełek i insygniów uniform stewardesy zmienił się w dobrze skrojony kostium, a krótkie ciemne włosy, delikatne rysy twarzy i dyskretny makijaż uczyniły z niej jedną z wielu pracujących kobiet z Beverly Hills.

Czarna walizka z krokodylowej skóry podkreślała, że ta kobieta pracuje na dobrze płatnym stanowisku. Pewnym krokiem podeszła do recepcji. W lobby tłoczyło się mnóstwo ludzi – wielu z nich właśnie się meldowało. Większość stanowili japońscy turyści. Kilkoro zagonionych recepcjonistów o miłych twarzach wydawało klucze. Petra stanęła w jednej z kolejek. Przepuściła przed sobą starszego Japończyka, żeby trafić na recepcjonistę, a nie recepcjonistkę.

Przystojny blondyn z przyklejonym do twarzy uśmiechem – zapewne młody aktor, który zarabiał tu na życie, czekając na jakąś rolę – stukał znudzony w klawiaturę komputera.

Spojrzała na zegarek.

– Jestem z firmy DeYoung i Rubin. Mam przesyłkę dla pana Galtona. Czy już się zameldował?

Blondas zmierzył ją szybko wzrokiem, po czym uśmiechnął się szczerze i znów zaczął stukać w klawisze.

– Frank Galton – dodała nieco zniecierpliwiona. – Dzwonił z samolotu, powinien już tu być.

– Tak, tak... właśnie przyjechał. Mam do niego zadzwonić?

Petra poczuła ukłucie w piersi. Jeszcze raz zerknęła na zegarek.

– Nie ma potrzeby. Wie o tej przesyłce i prosił, żeby przynieść ją od razu na górę.

Blondas popatrzył gdzieś w przestrzeń.

Petra zaczęła stukać palcami w granitowy kontuar.

– W porządku, sama mu to zaniosę... w którym pokoju się zatrzymał?

– Trzysta czternaście – odparł recepcjonista, unikając jej wzroku. – Dziękuję.

Daniel zaświecił w taksówce lampkę z napisem KONIEC PRACY i zaparkował ją na Hartford Way, po zachodniej stronie hotelu. Tam zamienił taksówkę na szarą toyotę i przebrał się w oliwkowozielony uniform z wyhaftowanym na kieszeni imieniem Ahmed.

W hotelowym barze Petra zamówiła colę. Unikając męskich spojrzeń, kilka razy chodziła na trzecie piętro.

Za trzecim razem zastała tam również Daniela ze szczotką w ręce. Wróciła do lobby i zaczęła czytać gazetę. Wyglądała jak typowa businesswoman.

O dziewiątej wieczorem Daniel zauważył, że Farleyowi Sangerowi przyniesiono do pokoju dużą kanapkę, piwo Heineken i kawę.

Czyżby na wieczorku miało nie być jedzenia? A może zamierzał się spóźnić?

Zadzwonił do Petry i powiedział, że wraca do toyoty. Polecił jej powiadomić go, gdyby Sanger zszedł na dół.

Powoli krążył wokół hotelu.

O dziesiątej, kiedy po raz piąty zbliżył się do podjazdu, zadzwoniła Petra.

– Wciąż go nie ma. Może jednak nie wybiera się na ten wieczorek?

Możliwe, pomyślał Daniel. Czy cały ten wieczór i tyle policyjnych przygotowań miały pójść na marne z powodu błędnego przecucia?

Kwadrans po dziesiątej Daniel był gotów uwierzyć, że Sanger zwyczajnie zasnął. Według czasu wschodniego, zgodnie z którym wciąż funkcjonował jego organizm, było już po pierwszej w nocy.

Dla pewności należało odczekać jeszcze godzinę.

Pięć minut później zgłosiła się Petra:

– Zaczynamy. Ma na sobie lekką szarą sportową marynarkę, czarną koszulę i czarne spodnie.

Daniel podziękował jej i uruchomił taksówkę, po czym życzył Petrze dobrej nocy.

– Na pewno nie będę potrzebna? – zapytała.

– Poradzę sobie. Dzięki. Bądź w pogotowiu.

Nie upierała się. Rozumiała, że jeden obcy samochód w pobliżu Rondo Vista i tak stanowi spore ryzyko.

Dwadzieścia po dziesiątej prawnik wyjechał na Bulwar Zachodzącego Słońca. Ruszył na wschód, gdzie czekał już na niego Daniel.

Sanger trzymał się bulwaru. Zostawił za sobą Beverly Hills Drive, minął Strip – dzielnicę butików w pobliżu Sunset Plaza – i jechał dalej w stronę Hollywood, gdzie nikt nawet nie myślał o marmurach, granitach i fortunie sułtana.

Daniel widział go wystarczająco wyraźnie. Sanger nieustannie palił. Odpalał jednego papierosa od drugiego i wyrzucał niedopałki na ulicę, gdzie skakały po asfalcie, rozsiewając iskry. Oglądał się to w jedną, to w drugą stronę.

W okolicy mieściły się najrozmaitsze firmy związane z branżą filmową – studia dźwiękowe, laboratoria, w których wywoływano filmy, oraz sklepy spożywcze, monopolowe i tanie motele z niezbędnymi rekwizytami, czyli wystającymi na ulicy prostytutkami.

Czyżby szukał czegoś, o czym nie miała pojęcia żona na Manhattanie? Chce się zabawić jeszcze przed wieczorkiem?

Czyż to nie byłoby interesujące?

Ale nie, Sanger rozglądał się, lecz nie zatrzymał samochodu.

Palił już trzeciego papierosa od wyjazdu z hotelu.

Zabrał ze sobą walizkę, a to znaczyło, że jedzie na spotkanie w interesach...

Zatrzymali się na czerwonym świetle na skrzyżowaniu z fontanną. Daniel przygotował się do skrętu w prawo, w stronę Hyperion, ale Sanger wciąż trzymał się Bulwaru Zachodzącego Słońca.

Przyspieszył.

Jechał na wschód, w stronę błyszczących w oddali świateł.

Do śródmieścia.

Sanger jechał górą, estakadą autostrady do Pasadeny, nad Figueroa. Daniel śledził go, jadąc dołem. Z Figueroa pojechali na południe do Siódmej Ulicy, z Siódmej na róg Flower, gdzie Sanger zostawił samochód na płatnym parkingu, wysiadł, rozglądał się dokoła przez kilka sekund i w końcu ruszył ulicą.

Siedziby instytucji finansowych o tej porze były ciemne i wyludnione.

Sanger wyglądał na nieco zdenerwowanego. Oglądał się przez ramię, patrzył na boki.

Walizkę trzymał blisko ciała.

Tyle gotówki w takiej okolicy?

Daniel zaparkował po drugiej stronie ulicy, na innym parkingu i patrzył, jak Sanger zatrzymuje się przed sześciokondygnacyjnym budynkiem z wapienia. Wejście do budynku było mdło oświetlone, lecz wystarczyło, by Daniel dostrzegł czarny granit i dyskretne złote zdobienia.

Ze zdumieniem rozpoznał ten budynek.

Tym razem za małym biurkiem siedział strażnik w mundurze.

Sanger stanął przed podwójnymi drzwiami i zaczął kopać w nie butem. Strażnik zauważył go w końcu, otworzył drzwi i wprowadził do środka.

Cóż za niespodzianka.

Daniel siedział w samochodzie, próbując dociec sensu wszystkich zdarzeń.

Piątkowy wieczór. Czas na przyjęcie.

Wyszedłem z domu o siódmej. Trochę czasu spędziłem w mieszkaniu przy Genessee. Chciałem się do niego przyzwyczaić, na wypadek gdyby Zena zapragnęła nagle mnie tu odwiedzić. W żydowskim getcie.

Robin zapytała mnie, jaka jest Zena, a ja odparłem tylko: „Dziwna, tak jak można się było spodziewać”.

O szóstej kochaliśmy się z Robin. Oboje tego chcieliśmy. Ja miałem jeszcze jeden powód – dzięki temu powinienem słabiej reagować na zaczepki Zeny.

Czułem się nie w porządku wobec Robin.

Pomagały mi jednak wspomnienia o czterech, może nawet pięciu morderstwach.

Siedziałem na zakurzonej łóżku Andrew, słuchałem muzyki Andrew i przeglądałem jego książki. Potem zająłem się „Pseudonauką”. Zerknąłem na pierwsze kilka stron eseju profesora Eustace’a na temat Fundacji Loomisów.

Eustace wykraczał daleko poza ton krytyki akademickiej. Ział gniewem, kiedy oskarżał grupę o skłonności rasistowskie, wykorzystywanie w Azji pracy niewolniczej, o finansowanie podrzędnych uczelni wyższych – Apex University, Keystone Graduate Center, New Dominion University – po to by wychować zastępy „eugeników-żołnierzy”. Zadzwoił zegarek, który nastawiłem na wpół do dziesiątej. Włożyłem książkę pod materac i udałem się do garażu, z którego wyjechałem volkswagenem. Na ulicy słyhać było głosy dzieci, a z pobliskich domów dolatywał zapach kolacji. Przepisnąwszy się zaułkiem, pojechałem Fairfax do Bulwaru Zachodzącego Słońca i bardzo powoli dalej na wschód. Dwadzieścia pięć minut później znalazłem się na skrzyżowaniu Hyperion i Lyric.

Pora koktajli dawno minęła. Miałem nadzieję, że jest już na tyle późno, że uda mi się zgubić w tłumie gości i obserwować przybyłych.

Gospodyni wieczoru będzie miała i tak dość zajęć.

Karmann ghia z podrasowanym silnikiem szybko połykał niemal czarną drogę. Strach pomyśleć, co by było, gdyby ktoś nagle zaczął zjeżdżać z góry. Samochody parkowano daleko przed skrzyżowaniem z Rondo Vista. Musiałem i ja się zatrzymać, a dalszą drogę przejść pieszo.

Włożyłem przyciemniane okulary. Korzystanie z nich w nocy okazało się niezwykle ryzykowne, więc szybko schowałem je do kieszeni. Szedłem dalej, przyglądając się samochodom. Przeciętne auta. Żadnych furgonetek. W sąsiednich domach świeciło się kilka świateł, ale w większości okien było ciemno. Nocny wiatr rozwiał nieco smog i w przerwach między budynkami błyskały światła miasta. Kiedy podszedłem bliżej, usłyszałem muzykę dobiegającą z domu Zeny.

Karaibskie rytmy, takie jak w księgarni.

Bongo, radosny wokół. Na pozór zwykłe przyjęcie.

Kim są ci ludzie? Ilu z nich jest zabójcami? O ile oczywiście ktokolwiek z nich ma na sumieniu morderstwo.

Mordują w imię ekstremalnych zasad czystości genetycznej, czy po prostu dla zabawy?

A może z obu powodów.

Był już taki przypadek. Siedemdziesiąt lat temu w Chicago dwaj młodzi mężczyźni o niebywale wysokim ilorazie inteligencji zadźgali na śmierć niewinnego czternastolatka. Kierowała nimi – jak sami opowiadali – chęć popełnienia morderstwa, które nie miałyby absolutnie żadnego motywu.

Ale Leopold i Loeb byli psychopatami i zбочeńcami seksualnymi. Gotów byłem iść o zakład, że morderstwa spod znaku DVLL wiązały się z czymś więcej niż tylko z ćwiczeniami intelektualnymi.

Dotarłem do biało-niebieskiego domku. Przez zaciągnięte story tu i ówdzie sączyło się światło. Skręcając w stronę drzwi, zerknąłem w dół ulicy na rząd zaparkowanych samochodów.

Czy Milo już przyjechał? Spisał numery rejestracyjne i wysłał je Danielowi do szybkiego sprawdzenia?

Karaibskie rytmy ustąpiły miejsca Strawińskiemu.

To ta sama taśma, której słuchano w księgarni.

Oszczędność? Może raczą się też tanim alkoholem?

Nieważne, i tak nie zamierzałem pić.

Drzwi były zamknięte na klucz. Musiałem dzwonić kilka razy, nim je otwarto. Stał w nich krótko ostrzyżony mężczyzna około trzydziestki z gęstą brodą koloru pszenicy. Miał na sobie szarą koszulkę i brązowe spodnie. W ręce trzymał szklankę z czymś żółtym i przezroczystym.

Małe czujne oczka. Wąskie usta bez cienia uśmiechu.

Otworzył drzwi na tyle, by samemu w nich stanąć. Miał szorstkie ręce i brud za paznokciami. Za jego plecami widziałem kolorowe światła, z trudem pokonujące wszechogarniający mrok. Mignęło mi kilka twarzy, których właściciele poruszali ustami, ale dudniąca muzyka zagłuszała wszelkie rozmowy.

– Słucham? – Zobaczyłem, jak mężczyzna w drzwiach wymawia to słowo, lecz nie usłyszałem go.

– Nazywam się Andrew Desmond. Zena mnie zaprosiła.

Podniósł do góry palec i zamknął drzwi. Stałem tak przez kilka minut, nim wyszła do mnie Zena ubrana w długą sukienkę z błękitnego jedwabiu ozdobionego różnokolorowymi orchideami. Długie rękawy, duży dekolt, Obszerny krój bez talii. Wyglądało mi to na hawajską szatę, pewnie bardzo starą. Na dużej kobiecie wyglądałaby jak spadochron, ale na drobnej figurze Zeny miękki materiał układał się doskonale, podkreślając ostre kości miednicy. W pewnym sensie suknia ją podwyższała.

Luźna suknia... łatwiejszy dostęp do jej klejnotów?

– Zaczynałam się o ciebie martwić – powitała mnie. – Spóźnienie kontrolowane?

Wzruszyłem ramionami i popatrzyłem na jej stopy obute w sandały na wysokim obcasie. Różowe paznokcie. Ośmiocentymetrowe obcasy. Teraz mogła mnie całować bez wysiłku.

Pocałunek był przelotny. Poczułem jej miękkie usta. Wzięła mnie pod brodę, tak jak w restauracji i wcisnęła język między wargi. Na początku zacisnąłem lekko zęby, ale w końcu je rozluźniłem. Opuściła rękę i chwyciła mnie za pośladek. Odsunęła się, wzięła mnie za rękę i przekręciła klamkę.

– Porzućcie nadzieję wszyscy, którzy tu wchodzić.

– Nadzieję na co?

– Na nudę.

Trzymała mnie za rękę. Dom był pełen ludzi, a muzyka o wiele za głośna, wręcz rozrywała bębenki. Kiedy Zena prowadziła mnie przez tłum, rozglądałem się po wnętrzu, starając się nie robić tego zbyt nachalnie. Tuż przy wejściu zobaczyłem dwie pary drzwi – jedno, do łazienki, oznaczone kartką z wydrukowanym na komputerowej drukarce napisem LE PISSOIR. Drugie nie były niczym oznaczone, najprawdopodobniej prowadziły do garderoby. W dół biegły schody bez poręczy. Jak w wielu domach budowanych na zboczach wzgórz sypialnie mieściły się na niższej kondygnacji.

Przy łazience stała niespokojnie siwowłosa kobieta w czarnej sukni i białym kołnierzyku w stylu Piotrusia Pana. Nie spojrzała na nas, kiedy przechodziliśmy. Splątane ciała skąpane w dźwiękach Strawińskiego pogrążone były w półmroku. Część gości tańczyła, inni stali i rozmawiali, choć nie wiadomo, jak udawało im się porozumiewać w tym hałasie. Kolorowe światła pochodziły z gwiazdkowych żarówek spuszczonej z niskiego sufitu. Żarówki migały w rytm „Święta wiosny” Strawińskiego. Widziałem nie ludzi, lecz jedynie ich cienie.

Nie zauważyłem żadnych znaków ani transparentów obwieszczających, że jest to spotkanie „Mety”. Ale czegoż ja się spodziewałem?

Zena ciągnęła mnie przed siebie. Goście odsuwali się na boki mniej lub bardziej ochoczo, ale miałem wrażenie, że nikt nie zwraca na nas uwagi. Dom był mniejszy, niż mi się wydawało. Na wyższej kondygnacji mieścił się tylko salon i po prawej maleńka kuchenka oddzielona od głównego pokoju wysokim do pasa barkiem. Każdy centymetr kwadratowy blatu zaśmiecony był plastikowymi butelkami po napojach, workami z lodem, puszkami po piwie, papierowymi talerzykami i plastikowymi sztuczkami.

Ściany – na tyle, na ile udało mi się cokolwiek zobaczyć – obwieszono grafikami w metalowych ramkach. Motywy kwiatowe, nic znaczącego. Nie pasowało mi to do stylu Zeny, ale kto wie, jak często się zmieniała?

Jedno było pewne, nie miała ręki do urządzania mieszkania. Kilka mebli, które rzuciły mi się w oczy, nie wyglądało o wiele lepiej niż to, co stało u Andrew. Również książki na chwiejnych regałach zajmujących dwie ściany przypominały biblioteczkę Andrew.

Daniel przewidział wszystko tak dokładnie, że aż ciarki przechodziły po plecach. Gdyby kiedykolwiek zrezygnował z pracy w policji, mógł się śmiało zatrudnić jako swat.

Ręka Zeny parzyła mnie w palce. Minęliśmy długi składany stół przykryty białym papierem. Siedzieli za nim goście, którzy jedli i pili.

Jedyną co podnosiło standard domu ponad przeciętność, to szklane drzwi na balkon, a za nimi feeria gwiazd.

Założone przez człowieka konstelacje światełek błyskających z odległości kilometra, zza ciemnej doliny, oraz prawdziwe gwiazdy na czarnym niebie.

Widok, który zapiera dech w piersiach, zachwalałby pewnie ten dom agent handlu nieruchomościami. Na pewno starałby się zaprezentować go nocą.

Kiedy dotarliśmy do stolika zjedzeniem, zacząłem mniej więcej liczyć, ile osób odwiedziło Zenę. Sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt. Dość, by zagęścić skromny pokój.

Szukałem wzrokiem Farleya Sangera. Nawet jeśli gdzieś był, w tym mroku i tłoku nie miałem szans go znaleźć.

Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt zupełnie obcych ludzi wyglądających równie przeciętnie jak ich samochody.

Mężczyzn było chyba więcej niż kobiet. Przedział wiekowy – od trzydziestu do pięćdziesięciu kilku lat.

Nie zauważyłem nikogo szczególnie pięknego ani nikogo szczególnie brzydkiego.

Tak mógłby wyglądać casting do filmu o rodzinie Nieszczególnych.

Ale ci ludzie byli aktywni. Szybkie ruchy ust, mnóstwo rozmów. Wiele gestów, pów, wzruszeń ramion, uśmiechów i grymasów oraz stukania palcami dla podkreślenia wagi słów.

Dostrzegłem brodacza, który otworzył mi drzwi. Siedział samotnie w kącie na składanym krześle z puszką pepsi i tanią książką w ręce.

Podniósł głowę, zauważył mnie, popatrzył i wrócił do lektury z gorliwością studenta przygotowującego się do egzaminu. Obok przy małym stoliku grało w szachy dwóch mężczyzn. Obaj

palili papierosy. Jeden z nich miał na sobie workowaty brązowy garnitur i krawat w kratkę. Drugi nosił wypuszczoną białą koszulę i spodnie koloru khaki.

Kiedy wzrok przywykł mi do mroku, zauważyłem gości grających też w inne gry. Dostrzegłem jeszcze jedną partię szachów – tym razem rozgrywka między kobietą a mężczyzną. Przesuwali figury szybko i energicznie. Po lewej ręce kobiety stała klepsydra z przesypującym się piaskiem. Kilkadziesiąt centymetrów dalej kolejny stolik, przy którym toczono intelektualne boje. Scrabble. Karty. Trik-trak. Go. I jeszcze coś, co przypominało szachy, ale na szczęściej plastikowej konstrukcji – trójwymiarowe szachy. Grali w to dwaj wąsaci mężczyźni w okularach, których można by wziąć za bliźniaków. W kącie kuchni dwaj inni mężczyźni z napięciem wyczyniali coś nad wygładzonymi kamieniami, używając do tego kostki i mahoniowej rynienki. Jak oni wszyscy mogli się skupić w tym hałasie?

No, ale w końcu to inteligentni ludzie.

Dotarliśmy do miejsca z alkoholem i napojami. Biały papier okazał się nierówno pociętym zwykłym papierem pakowym. Napoje gazowane, piwo, woda mineralna, niemarkowa szkocka, wódka, burbon oraz w plastikowych pojemnikach chipsy, precle, salsa, pasta z avocado i sos do krewetek.

Zena wzięła płatek chipsa, nabrała nań pasty z avocado i zjadła sporych rozmiarów zieloną kupkę. Nabrała jeszcze raz i zbliżyła rękę do moich ust.

– Dobrze? – zapytała z pełnymi ustami.

– Wyśmienite.

Uśmiechnęła się i powiewając suknią, pocałowała mnie. Sięgnęła do mego paska i przekrzywiła głowę w stronę szklanych drzwi prowadzących na balkon. Jej oczy błyszczały najjaśniej w całym pokoju.

Wyprowadziła mnie na balkon i zamknęła drzwi.

– Jak się zamknie, to słycać tylko dudnienie. W ten sposób sąsiedzi nie dostają sraczki.

Na zewnątrz było ciszej, lecz nie byliśmy sami. Na balkonie stało jeszcze około dziesięciu osób. Nikt jednak nie obrócił w naszą stronę głowy ani nie zmierzył nas czujnym wzrokiem.

Ludzie z balkonu rozmawiali na różne tematy. Próbowałem wyłowić poszczególne słowa: gospodarka, struktura, rozwidlenie, tryb dekonstrukcji.

Zena popchnęła mnie w lewy kąt balkonu. Czulem, jak wbija mi się w plecy poręcz zbudowana z cienkich metalowych taśm, połączonych u góry i u dołu szeroko rozstawionymi skośnymi słupkami. Komuś sporej postury trudno byłoby się przez nie przecisnąć, ale inni mogli to zrobić bez trudu.

Zena naciskała coraz mocniej, metal wpijał się coraz głębiej w moje plecy. Powietrze było ciepłe, a widok z balkonu zaiste niesamowity.

Prawdopodobnie tu znajdował się romantyczny kącik całego przyjęcia, bo obok nas wyraźnie miała się ku sobie inna para. On – łysiejący wielki mężczyzna w średnim wieku ubrany w tweedową marynarkę opiętą na plecach i sztruksowe spodnie. Ona – kilka lat młodsza od niego, jasnowłosa, w okularach, o szczupłej twarzy, z grubymi ramionami w sukience bez rękawów. Poruszała nimi szybko, gdy miętoszyła klapę marynarki swego lubego. Mężczyzna coś do niej powiedział. Kobieta zarzuciła mu ręce na szyję i znów się pocałowali.

Obok trzech mężczyzn dyskutowało zażarcie... o modemach, oprogramowaniu, durniach w Internecie, o wypaczeniu znaczenia cyberprzestrzeni w stosunku do oryginalnej koncepcji Norberta Wienera...

Zena odwróciła do siebie moją głowę i wpiła mi się w usta.

Nikt na to nie zwrócił uwagi.

Ta apatia mnie uspokajała, ale też rozczarowywała, bo nie mogłem się w pełni wykazać umiejętnościami konspiracyjnymi.

Klub morderców? Widziałem raczej ludzi pragnących seksu, pogaduszek, mata w szachach zwykłych lub trójwymiarowych.

Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt osób.

Ile z nich było mordercami?

Czy w ogóle byli tu jacyś mordercy?

Rozochociona parka obok nas szła na całego, choć dyskutująca w pobliżu trójka zachowywała się coraz głośniej. Jeden z nich prawie krzyczał.

Zena penetrowała językiem moje podniebienie.

Ręce trzymałem na jej ramionach. Kiedy je tam położyłem?

Wyjęła język z moich ust, szykując się do kolejnego ataku. Odsunąłem się i zacząłem masować jej mały, delikatny kark, potem barki.

Uśmiechnąłem się, żeby zamaskować tę rejteradę.

– Miła impreza. Dzięki za zaproszenie.

– Dziękuję, że się zjawiłeś, mój panie.

– A właściwie z jakiej to okazji?

– A po co nam okazja?

– W porządku – odparłem. – Zatem, jakie były wytyczne organizacyjne?

Roześmiała się pogodnie i poprowadziła moją rękę w dół, nacisnęła nią na materiał sukni i wsunęła między swoje nogi.

Czułem żar, miękkość wewnętrznej strony ud, a potem rowek rysujący się pod jedwabiem.

Nie miała na sobie majtek... nie, coś tam jednak było nisko umieszczonego i cienkiego. Dół od bikini... czemu, u diabła, oddawałem się takim myślom?

Napięła mięśnie ud, więżąc na dobre moje palce.

Zamknęła oczy. Rozchyliła usta i poczułem woń dżinu. Jedną ręką o różowych paznokciach chwyciła mnie za marynarkę, a drugą zaczęła przesuwać w dół.

Tylko nie to... Gorączkowo starałem się odtworzyć w pamięci makabryczny film: martwe twarze, zakrwawione buty, brudne zaułki, pograżeni w żałobie rodzice... udało mi się powstrzymać erekcję.

Zena spojrzała na mnie. Na gładkiej bladej twarzy ujrzałem ten sam wyraz narcystycznej wściekłości.

Odsunąłem jej rękę, ująłem ją pod brodę i pocałowałem.

– Tu są ludzie – powiedziałem kręcąc głową. – Nie mam ochoty na publiczne przedstawienie.

Zerknąłem na pograżoną w amorach parę zbliżającą się do szklanych drzwi.

Zenie zadrżała dolna warga. Skinęła głową.

– Rozumiem, A.

Odwróciłem się, położyłem ręce na poręczy i udawałem, że podziwiam krajobraz. Między domem a najbliższymi światłami rozciągał się ogromny obszar czerni. Mogło się tam mieścić dokładnie wszystko.

Zena stanęła obok, oparła głowę na moim ramieniu. Objąłem ją i przycisnąłem twarz do jej policzka. Obejmująca się para wyszła, ale trzech dyskutantów wciąż prowadziło spór. Na balkon wyszły dwie kobiety z plastikowymi kubkami w rękach. Śmiejąc się, poszły na drugi koniec balkonu.

– Powtarzam moje pytanie, Z.: Co to za okazja? Przecież to coś więcej niż impreza dla grupki przyjaciół.

Poczułem, jak tężeją jej mięśnie.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo ci ludzie nie zachowują się jak twoi przyjaciele. – Mocniej i wolniej tarłem jej kark.

Zadrżała. – Nikt nie zwraca na ciebie uwagi, a raczej trudno przejść obok ciebie obojętnie. A zatem ci ludzie muszą mieć jakieś własne sprawy.

Sięgnęła pod marynarkę i zaczęła uciskać moją kość ogonową.

– Nic mi o tym nie wiadomo, że trudno obok mnie przejść obojętnie.

– Zapewniam cię, że tak jest, Z. Ci, którzy cię ignorują, są albo patologicznie zapatrzeni w siebie, albo martwi.

Odsunąłem włosy opadające jej na kark i pogładziłem gładką skórę pod spodem.

– To znajomi – odparła. – Można powiedzieć, że pokrewne dusze.

– Aha, elita intelektualna? – zapytałem.

– Żebyś wiedział.

– A według jakiego kryterium wybrana?

– Według prawdziwych i wiarygodnych testów, Andrew. Opracowanych przez psychologów.

– O rany. Ciekawe dlaczego nie skręca mnie z podziwu?

Roześmiała się.

– Moim zdaniem selekcja mogłaby być jeszcze surowsza, ale to dopiero początek.

– Klub jajogłowych – powiedziałem. – Z siedzibą u ciebie.

Popatrzyła na mnie.

– Dziś – owszem. Zapewnienie lokalu to mój jedyny obowiązek. Mogę robić, co tylko zechcę.

Znów chwyciła mnie za podbródek. Co za okropny zwyczaj. Połaskotała mnie paznokciem w dolną wargę.

– No cóż – rzekłem – czuję się zaszczycony obecnością w tak wyszukany towarzystwie. I to bez egzaminu.

– Zdałeś go u mnie.

– Dziękuję, pani profesor. Chyba powinienem się teraz ubiegać o stypendium stanowe.

– Ależ z ciebie cynik. – Uśmiechnęła się, lecz w głosie dosłyszałem jakąś niepewność. Czyżbym ją zranił?

Nie przestając masować jej karku, odwróciłem głowę i skupiłem uwagę na domach po drugiej

stronie kanionu. W powietrzu unosiła się dziwna mieszanka brudu i zapachu sosnowej żywicy.

– Jak zabawa, to zabawa – powiedziałem.

– Chyba nie jesteś ascetą, co, Andrew? Jednym z tych smutasów spod znaku New Age?

– A co ma asceza do cynizmu?

– Według Milтона ma, i to dość dużo. Napisał nawet o tym wiersz: „i baczcie na ich przykazania wprost z cynizmu kadzi, chwając chudą i ziemistą abstynencję”.

– Chudą i ziemistą – powtórzyłem. – Nie przeglądałem się ostatnio w lustrze, ale uwierz mi, dobrze wiem, że abstynencja wcale nie służy sercu.

Roześmiała się.

– Trudno mi się z tym nie zgodzić... chodzi mi o to, że jesteś takim... opozycjonistą. Czuję pewien opór. – Przsunęła się bliżej.

Wciąż patrzyłem przed siebie. Wreszcie odwróciłem się, spojrzałem na nią z góry i ująłem ją za ramiona.

– Prawda jest taka, Z., że zostałem zniszczony. Społecznie zdeformowany. Za długo wsłuchiwałem się w zawodzenia neurotyków.

– Rozumiem cię – odparła.

– Tak? W takim razie zrozum, że przyjęcia wyzwalają we mnie wszystko, co najgorsze. Przyszedłem dzisiaj tylko dlatego, że chciałem się spotkać z tobą. Wszyscy inni mi po prostu przeszkadzają.

Zaczęła oddychać szybciej.

– Możemy się kiedyś spotkać w spokoju? – zapytałem. – Masz czas jutro?

Zacząłem ścisnąć ją mocniej. Czułem, że mógłbym ją skrzywdzić, tak łatwo zranić. A potem pomyślałem o Malcolmie Ponsico i musiałem z całej siły powstrzymać się, żeby nie ścisnąć jej jeszcze mocniej.

– A... a gdybym znalazła dla nas spokojne miejsce tu i teraz, Andrew?

Zerknąłem w stronę nabitego pokoju po drugiej stronie szklanych drzwi.

– Chyba żartujesz.

– Wcale nie – odparła. – Na dole. W mojej sypialni. – Zamknęła oczy. – Chodź, pokażę ci swoje wypchane zwierzątka.

Doskonale, Delaware. I co teraz?

Ciągnęła mnie przez balkon i przez cały salon. Kilka osób obejrzało się za nami, ale nikt nie zwrócił na nas szczególnej uwagi.

W korytarzu wejściowym drzwi do łazienki stały otworem. W środku świeciło się światło. Zena przechodząc zamknęła drzwi i zaprowadziła mnie na dół. Niepewne schody chwiały się pod naszym ciężarem.

Na dole znajdowały się drzwi do kolejnej łazienki i garderoby oraz do sypialni.

Sięgnęła do klamki. Przekręciła ją i zmarszczyła brwi.

– Cholera.

– Zdaje się, że ktoś nas ubiegł.

– Kurwa mać! – Mała piąstka przecięła powietrze. – Nie powinni tego robić. Powinnam zacząć walić w te drzwi aż... kurwa!

Przeklinając i kręcąc głową pobiegła na górę, a ja podążyłem za nią.

– Zdaje się, że elity rządzą się własnymi zasadami... – powiedziałem.

– Przestań już sobie drwić! Cała jestem mokra w środku, a tobie tylko dowcipkowanie w głowie, ty cholerny mizantropie!

– Wolę mieć dobry ubaw, niż robić sobie ubaw z kogoś, ale zdaje się, że dzisiaj mamy pecha. Zastanów się więc nad moją propozycją – jutro. A może nawet jeszcze dzisiaj, kiedy rozejdzie się całe to towarzystwo. Przyjedź do mnie, tam na pewno nie zabraknie nam intymności.

Dotknąłem jej włosów.

– O Boże – powiedziała, delikatnie szczypiąc mnie w tors i spoglądając na rozporek. – O Boże, to bardzo kuszące... ale nie mogę, do cholery.

– I kto teraz ma opory?

– Nie o to chodzi. Muszę... posprzątać, zadbać o moich gości. Nim się położą... to wszystko jest trochę skomplikowane, A.

– Biedne stworzenie – powiedziałem, przyciągając ją do siebie. – Tyle obowiązków wobec... jak właściwie nazywa się ten wasz klub?

– A co to za różnica – odparła bardziej ze zmęczenia niż z ostrożności.

– Tyle obowiązków wobec klubu „A co to za różnica”.

Uśmiechnęła się.

– W porządku, Z. W takim razie jutro. Jeśli się nie zjawisz, będę miała pewność, że nasza karma, los, znaki zodiaku, biorytmy i wszystko inne po prostu nie pasują.

Objęła mnie w pasie. Nawet w szpilkach mieściła mi się pod brodą, a piersiami dotykała mego brzucha.

– A więc jak brzmi odpowiedź?

– Tak, kurwa, tak! – odparła.

Powiedziałem jej, że skorzystam z łazienki i wracam do siebie.

– Tak wcześnie? – zdziwiła się.

– Jeśli zostanę tu dłużej, będę nie do zniesienia. Na którą umawiamy się na jutro?

– Wieczorem, o dziesiątej – powiedziała. Zacząłem podawać jej adres przy Genessee.

– Nie, przyjedź do mnie – przerwała mi. – Jutro wyjeżdżają moi goście. Chcę cię tutaj. Na moim łóżku.

– Ja, ty i wypchane zwierzątka?

– Jasne, że pokażę ci wypchane zwierzątka. Pokażę ci rzeczy, o jakich ci się nie śniło.

– Świetnie – odparłem. – W końcu nie scena jest najważniejsza, tylko aktorzy.

– No pewnie. A ja jestem gwiazdą – rzekła.

Pocałowała mnie długo i namiętnie i odeszła niczym błękitny płomień sunący przez tłum.

Wszedłem do łazienki. Ciasne pomieszczenie o ścianach pokrytych brązową tapetą w srebrne kwiatki. Półka pod lustrem pokryta popękkanymi białymi kafelkami. W powietrzu unosił się odór po zbyt wielu gościach. Głośny wentylator pod sufitem nie zdołał go wywietrzyć.

Opuściłem klapę sedesu, usiadłem na niej i próbowałem zebrać myśli.

Byłem tu nieco ponad godzinę i niczego się nie dowiedziałem, nawet nie padła nazwa „Meta”. Zena była zainteresowana wyłącznie moim członkiem, a nie mną jako członkiem klubu.

Wciąż czułem smak jej języka, zapach jej perfum. Czułem je bardziej w myślach niż rzeczywistości.

Wypłukałem usta wodą z kranu i wypłułem ją do umywalki.

Gdybym wrócił dzisiaj na noc do domu, Robin spytałaby, jak mi poszło.

Odpowiedziałbym, że było nudno, a dziewczyna jest szalona.

Tak pewnie czują się policjantki z obyczajówki, wystając na ulicach, czekając na wygłodniałych, przerażonych mężczyzn, którzy podjeżdżają i negocjują cenę...

Błędem jednak byłoby uważać Zenę za osobę żalną, a nie niebezpieczną.

Czy Malcolm Ponsico popełnił ten błąd?

Przestań się litować. Przestań myśleć jak terapeuta.

Czas wracać, zadzwonić do Mila, postanowić, jak daleko jeszcze można się posunąć.

Wstałem, umyłem ręce i otworzyłem drzwi. Po lewej stronie dostrzegłem jakiś ruch. Po schodach wchodziły dwie osoby.

Drzwi do sypialni Zeny stały otworem, lecz nie wyszli z nich kochankowie.

Pierwszy szedł krótko ostrzyżony mężczyzna o jasnoblonde brodzie, ubrany w szarą koszulkę. Wciąż miał pochmurną minę. Zerknął na mnie ponownie. Udawałem, że tego nie zauważyłem.

Czyżbyśmy się gdzieś spotkali...? Było w nim coś znajomego...

Wtedy ujrzałem mężczyznę, który szedł za nim, i szybko odwróciłem się do nich plecami. Serce waliło mi jak młotem. Próbując ukryć przerażenie, które mnie ogarnęło, szedłem normalnym, równym krokiem w stronę drzwi wyjściowych.

Wystarczył mi ułamek sekundy, by dostrzec szczegóły.

Starszy mężczyzna w szarej sportowej marynarce z jedwabiu. Krótkie brązowe włosy, siwe skronie. Opalona twarz, okulary w złotych oprawkach. Sportowe ruchy, solidna budowa.

Drinki na przystani. Kalmary i dobre cygaro.

Sierżant Wesley Baker, opiekun Nolana Dahla.

Teraz wiedziałem już, skąd znam brodatego mężczyznę.

Wyszedłem na zewnątrz. Powietrze utknęło mi gdzieś w płucach. Szedłem ciemną ulicą, najszybciej jak pozwalały mi sztywne nogi. Zmuszałem się do brania wolnych, głębokich haustów słodkiego i brudnego powietrza.

Odjechałem stamtąd czym prędzej.

Na skrzyżowaniu Bulwaru Zachodzącego Słońca i Vine wyjąłem telefon, który dał mi Daniel, i zadzwoniłem na telefon komórkowy Mila.

– Gdzie jesteś?

– Piętnaście metrów za tobą – odparł. – Nie zabawiałeś tam długo.

Wyjaśniłem mu dlaczego.

– Baker – powiedział. Wiedziałem, że teraz przypomina sobie dawne dzieje.

Nieudana podwójna randka. Zamiłowanie Bakera do gier. Pornograficzne pisemka w szafce.

– Na pewno cię nie widział, Alex?

– Nie mam pewności, ale raczej nie. To wszystko zaczyna się układać w logiczną całość. Porozmawiajmy gdzieś w spokoju.

– Jedź do domu, przyjadę do ciebie.

– Do którego domu?

– A który wolisz?

– Pojedźmy do mieszkania Andrew – zdecydowałem. – Nasza rozmowa może potrwać, a poza tym wolałbym, żeby Robin nie słyszała pewnych rzeczy.

Dojechawszy na Genessee, wprowadziłem volkswagena do garażu. W mieszkaniu byłem tuż przed północą. Robin leżała już w łóżku, ale zadzwoniłem do niej, choć zdawałem sobie sprawę, że naszej rozmowie będzie się przysłuchiwać Bóg wie ilu pracowników izraelskiego konsulatu.

– Halo.

– Witaj, kochanie. Spałaś już?

– Nie, czekałam – odparła tłumiąc ziewnięcie. – Przepraszam. Gdzie jesteś, Alex?

– W nowym mieszkaniu. Zajmie mi to jeszcze trochę czasu. Jeśli zrobi się zbyt późno, to chyba tutaj zostanę. A przy okazji – rozmawiamy teraz na nowoczesnej partyline.

– Och – odrzekła. – Kiedy będziesz wiedział, czy wrócisz do domu?

– Może przyjmijmy raczej, że dziś nie wrócę. Zadzwoń do ciebie najszybciej jak będę mógł. Chciałem ci tylko powiedzieć, że cię kocham.

– Ja też cię kocham. Jeśli będziesz mógł wrócić, to przyjedź, Alex.

– Przyjadę.

– Najważniejsze, że jesteś bezpieczny.

– Całkowicie bezpieczny – zapewniłem ją.

Zaparzyłem sobie w kuchni kawę rozpuszczalną i usiadłem na kanapie.

Baker. Brodacz. Ilu jeszcze ich jest?

Goście Zeny.

Czy Farley Sanger też był na przyjęciu?

Samochód w garażu.

Czyżby Chevrolet furgonetka?

Dobrze zapamiętałem zdjęcie z prawa jazdy Wilsona Tenneya.

Trzydzieści kilka lat, średniego wzrostu, gładko ogolony, jasnobrązowe włosy.

Ściął włosy, zapuścił brodę. Nie tylko ja starałem się zakamufłować.

Baker, Tenney i Zena.

Być może i inni.

Klub zabójców.

W domu Zeny ukrywa się zabójca. Bezpieczny dom.

Przypomniałem sobie atmosferę na przyjęciu. Pogodnie, bez paranoi, bez podejrzeń. Większość członków „Mety” nie miała pojęcia, w jaki sposób zabawia się część klubu.

Gry... Tenney wycofał się z akcji, siedział sam w kącie. Czytał. Tak jak w parku, w którym porwano Raymonda.

Typowy samotnik... zszedł na dół z Wesem Bakerem.

Doraźna konferencja podklubu.

Ścisły mały krąg morderców.

Baker i Tenney w sypialni Zeny, za zamkniętymi drzwiami. Zena była wściekła, ale nie protestowała.

Wiedziała, że znajduje się niżej w hierarchii.

Baker był przywódcą. Ze względu na swoją charyzmę i doświadczenie policyjne.

Nauczyciel, szkoleniowiec policyjny.

Kto lepiej niż on mógł przechytrzyć policję?

Nauczyciel i uczniowie...

Baker i Nolan?

Uwaga, centrala, jedziemy na dziwki? A może coś gorszego?

Dwaj gliniarze w parku.

Mała dziewczynka uduszona i zostawiona na ziemi.

Sprzątanie.

To łatwa praca dla dwóch silnych mężczyzn.

Czy to możliwe?

Przypomniałem sobie samobójstwo Nolana – tak publiczne, tak deprecjonujące. Autoegzekucja na oczach wroga.

Tak jak każdy samobójca, chciał w ten sposób coś zakomunikować.

Nolan chciał powiedzieć o toczącym duszę i duszącym go poczuciu winy. Ostateczne ukojenie dla potępionej duszy.

Mimo wszystko był człowiekiem prawa i porządku. Gdzieś tliły się w nim resztki sumienia i ogrom popełnionych zbrodni nie dawał mu spokoju.

Sam wymierzył sobie wyrok.

Ale coś mi nie pasowało: jeśli Nolan pragnął wybawienia, dlaczego nie ogłosił wszystkiego publicznie, nie wydał innych, nie zapobiegł dalszemu rozlewowi krwi?

Bo Baker i spółka mieli na niego jakiegoś haka... zdjęcia? Dowody na kontakty z nieletnimi prostytutkami, i to podczas służby.

Zdjęcia z polaroida w albumie rodzinnym.

Umieszczone tam specjalnie, żeby mogła je znaleźć Helena. Nie Nolan. Umieszczone tam przez ludzi, którym zależało, by nie dociekała głębiej.

Włamania do mieszkań Nolana i Heleny w odstępie zaledwie kilku dni. Teraz zbieg okoliczności wydawał się aż nadto oczywisty. Dlaczego mnie to wcześniej nie zastanowiło?

Bo włamania w Los Angeles są chlebem powszednim. Bo Helena była moją pacjentką i nie mogłem rozmawiać o tym, co zdarzyło się podczas terapii, chyba że w grę wchodziłoby ratowanie ludzkiego życia. A więc zaprzeczałem sam sobie.

Wszystko tak dobrze się układało – zamknęli mi usta, zmusili Helenę do przerwania terapii. Do wyjazdu z miasta.

Ale nie, to wciąż nie miało sensu. Jeśli Nolana gryzły wyrzuty sumienia z powodu morderstwa, nieprzyzwoite zdjęcia nie powstrzymałyby go przed wyspaniem innych.

Zmagałem się z tymi myślami, kiedy do drzwi zadzwonił Milo.

Przyniósł swoją winylową dyplomatkę i usiadł obok mnie.

– Muszę ci coś powiedzieć – zacząłem.

– Wiem. Dahl. Kiedy powiedziałaś mi o Bakerze, mój mózg wszedł na wysokie obroty.

Otworzył teczkę, wyjął kartkę papieru i podał mi ją.

– To dlatego jechałem tu aż godzinę.

Kserokopia jakiegoś diagramu. U góry pozioma siatka na trzy czwarte kartki – dziesięciocyfrowy kod i kilka kolumn. Nagłówek głosił DZIENNY RAPORT Z INTERWENCJI W TERENIE. Pod spodem kilka kwadracików wypełnionych cyframi.

Górne kolumny zatytułowano: RODZAJ WEZWANIA, OBSERWACJE, PODJĘTE DZIAŁANIA, CZAS, ŹRÓDŁO I KOD WEZWANIA, MIEJSCE, RODZAJ INTERWENCJI, NADZÓR NA MIEJSCU, NR WPISU W REJESTRZE, NR WEZWANIA. Nazwisko Bakera pojawiało się w każdej kratce w kolumnie NADZÓR.

– Dziennik pracy Bakera i Nolana – powiedziałem.

– Raport dzienny, tak zwany DRIT – przytaknął Milo. – Oddaje się je po każdej zmianie. Przez rok przechowywane są na komendzie, potem trafiają do archiwum w śródmieściu. To zapis działań

Bakera i Dahla z dnia, w którym zamordowano Irit.

Wszystkie kratki wypełnione drukowanymi literami, czas podano w konwencji wojskowej: „0800 zach. La. zbiórka” aż do „1555 koniec zmiany”.

– Ładne pismo – zauważyłem.

– Baker zawsze pisał jak skryba.

– Typ obsesyjny. Taki mógł pozamiatać na miejscu zbrodni.

Milo warknął.

Zacząłem czytać raport.

– Pierwsze wezwanie, kod 211 – napad z bronią w ręku?

Milo skinął głową.

– Wilshire w pobliżu Bundy – ciągnąłem. – Zajęło im to prawie godzinę. Potem kod 415, to chyba zakłócenie porządku, prawda?

– To może znaczyć cokolwiek. Wezwano ich w pobliże Country Mart. Ale popatrz tutaj, w kolumnie RODZAJ INTERWENCJI napisali „415 – nie stwierdzono”. W kolumnie siódmej brakuje też numeru wpisu do rejestru. Czyli nic się nie stało.

Milo stuknął palcem w papier.

– Potem wlepili dziesięć mandatów drogowych. Baker słynął z tego, że obficie sypał mandatami. Potem kolejne wezwanie z kodem 415 i znów bez aresztowania. Potem obiad.

– O trzeciej po południu – zauważyłem. – Późny obiad.

– Przez cały dzień nie prosili o przerwę – to kod 7. Jeśli to prawda, obiad im się należał.

Zerknąłem na ostatni wpis przed końcem zmiany.

– O wpół do czwartej mieli kolejne wezwanie z kodem 415 i bez aresztowania – powiedziałem. – Na Bulwarze Zachodzącego Słońca w pobliżu Barrington. Czy fałszywe alarmy zdarzają się tak często?

– Dość często. I nie są to tylko fałszywe alarmy. Często jako 415 zgłaszana jest na przykład kłótnia między dwoma obywatelami. Policja przyjeżdża, uspokoja ich i nikt nie zostaje aresztowany.

Jeszcze raz przebiegłem wzrokiem po kartce.

– Poza nazwami ulic nie ma żadnych szczegółów na temat tych wezwań. Czy to nie podejrzane?

– Jeśli nie doszło do aresztowania, to nie. Nawet gdyby było w tym coś podejrzanego, to Bakerowi jako nadzorcy nikt nie zaglądał w raport przez ramię. Chyba że zdarzyłoby się coś naprawdę nietypowego, na przykład gdyby ktoś zgłosił skargę na brutalność funkcjonariuszy. Ale zwykle raporty odkłada się do teczki i zapomina o nich.

– Czy wezwania nie przechodzą przez dyspozytora?

– W większości przypadków tak, ale czasami to obywatele zatrzymują radiowóz albo policjanci sami widzą coś podejrzanego i zgłaszają to do centrali.

– A więc większości z tych zapisków nie da się zweryfikować?

– Nie. Coś jeszcze rzuciło ci się w oczy?

Ponownie przyjrzałem się arkuszowi.

– Nierówny rozkład. Wszystkie interwencje miały miejsce rano. Twierdzisz, że Baker lubił wlepić mandaty, ale wypisał dziesięć przed obiadem, a potem żadnego... nie ma żadnych pewnych danych na temat ich działalności na godzinę przed zejściem ze zmiany. Ponad godzinę, jeśli wziąć pod uwagę wezwanie do Country Mart. Ba, może nawet jeszcze więcej, jeśli Baker zmyślił wszystkie popołudniowe wpisy.

Popatrzyłem na Mila.

– Na czas, gdy śledzono, porwano i uduszono Irit, Baker i Nolan mają doskonałe alibi – policyjną służbę. Nie mająk tego podważyć. Nie ma powodu, by w to wątpić. Dwaj faceci w mundurach, partnerzy. Patrzą, jak dzieciaki wysiadają z autobusu, upatrują sobie Irit. Porywają ją. Obaj są silni, a we dwóch mogli to zrobić w mgnieniu oka. To zapewne Baker wybrał delikatne uduszenie, bo chciał udąć, że jest kolejnym psychopata. Chciał wszystko upozorować na zabójstwo na tle seksualnym, a mimo to odróżnić je od innych podobnych zabójstw.

– O Boże – rzekł Milo z bólem, jakby w środku rozdarła mu się jakaś rana. Jeszcze nigdy nie widziałem, by był tak bliski płaczu. – Pieprzone kanalie. I oni... jestem pewien, że to był pomysł Bakera, całe to wyrachowanie... cholera, oni mieli alibi nie tylko na ten jeden dzień. Przygotowywali się do tego od tygodni.

– O czym ty mówisz?

Wstał i podszedł do lodówki. Zatrzymał się i znów usiadł.

– Przeglądałem cały plik ich raportów. Ten układ – pracowite poranki, spokojne popołudnia – zaczął się pojawiać na dwa tygodnie przed zabójstwem Irit. Przedtem rozkład dnia był mniej więcej równy, przez całą zmianę mieli jakieś wezwania, zgłaszali przerwy o normalnych porach, jadali obiad w normalnych godzinach. Ciągnęli ten układ jeszcze trzy tygodnie po zabójstwie dziewczynki. Oto jacy byli wyrachowani. Jezu!

– Trzy tygodnie po zabójstwie – powtórzyłem. – Wtedy Baker trafił do Centrum Parkera, a Nolana

przeniesiono do Hollywood. Rozdzielili się. Teraz już wiemy, dlaczego Nolan chciał porzucić miłą posadę.

– Żeby chronić własną dupę.

– Może również z innego powodu, Milo. Może chciał się zdystansować od tego morderstwa, bo zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia? Jestem pewien, że właśnie dlatego popełnił samobójstwo. Pewien jestem również, że Baker i inni postarali się, żeby Helena nie zaczęła zbyt głęboko grzebać w całej sprawie.

Opowiedziałem mu o włamaniach i o zdjęciach z rodzinnego albumu Dahlów.

– prostytutki – powiedział. – Dziwki o ciemnej karnacji, takie jak Latvinia.

– Może Baker zapoznał go z Latvinia. Może Baker – sam lub z kimś – wrócił i wykończył Latwinie. Ale wciąż nie rozumiem, co powstrzymało Nolana przed nagłośnieniem sprawy.

– Helena – odparł Milo. – Baker zagroził, że ją zabije, jeśli Dahl piśnie choć słówko.

– Tak. To by miało sens. To by podsyciło wewnętrzny konflikt Nolana i popchnęło go do ostatecznej ucieczki.

– W takim razie kim są ci inni?

– Zena, być może Malcolm Ponsico, dopóki nie zmienił zdania i nie otrzymał śmiertelnego zastrzyku. Może Farley Sanger, choć nie widziałem go na przyjęciu. Na pewno Wilson Tenney. Bo on tam był. – Opisałem Milowi nowy wygląd byłego pracownika parku.

– Jesteś pewien, że to był on?

– Masz jego zdjęcie z kartoteki wydziału komunikacji?

Wyjął zdjęcie z teczki.

– Tak – odparłem, oddając mu zdjęcie. – Nie mam co do tego wątpliwości.

– Nie do wiary... pieprzony klub psychopatów.

– Klub wewnątrz klubu – dopowiedziałem. – Podgrupa „Mety”. Garstka fanatyków eugeniki przesiadujących nad trójwymiarowymi szachami, komplementujących nawzajem swoją inteligencję, narzekających na rozkład społeczeństwa. Nagle jeden z nich – prawdopodobnie Baker – rzuca myśl: dlaczego nie zrobimy coś z tym fantem? Policjanci to idioci, uwierzcie mi, bo wiem to z własnego doświadczenia. Tak łatwo ich wywieść w pole. Wystarczy zmieniać technikę, usunąć dowody rzeczowe i dokonywać morderstw w różnych rejonach. Detektywi z różnych komend nigdy ze sobą nie rozmawiają. Zabawmy się. A może wszystko zaczęło się od teorii – kolejna zabawa w pisanie kryminału. Jak popełnić zbrodnię doskonałą. W pewnej chwili posunęli się o krok dalej.

– Dla zabawy – powiedział.

– W rzeczywistości popełniają te zbrodnie dla przyjemności, Milo. Chyba nie sądzą, że w ten sposób mogą wywrzeć jakiś wpływ na społeczeństwo. To przypadek Leopolda i Loeba, tyle że posunięty o krok dalej: zabójstwa dla przyjemności popełniane pod płaszczykiem ideologii. Przyjemność czerpią z udowadniania sobie, jak bardzo są inteligentni. Aby okazać jeszcze większą przebiegłość, zostawiają na miejscu wiadomość. DVLL. Jakiś wewnętrzny żart, którego ich zdaniem policja nawet nie zauważy. Może to jakaś obelga w stosunku do policjantów, tak jak zakrwawione buty Raymonda podrzucone pod komendę. Wiedzą zresztą, że nawet jeśli ktoś zauważy litery, i tak nie odczyta tego szyfru.

– Baker – rzekł Milo. – To dokładnie w jego stylu. Tak ezoterycznie. Przywódca grupy, wciągający wszystkich w swoje pieprzone gierki.

Na skroni zaczęła mu pulsować gruba gruzełkowata żyłka. Oczy płonęły z wściekłości.

– Zabójcy w mundurach. Kurwa, Alex, przecież dobrze znasz naszą firmę, sam wiesz, że i ja nie jestem o niej najlepszego zdania, ale żeby coś takiego! Tylko tego nam brakuje po sprawie Rodneya Kinga i zamieszkach, po sprawie OJ. Simpсона. Tylko tego brakuje temu pieprzonemu miastu!

– A właśnie, coś mi się przypomniało – powiedziałem. – Czy ktoś jeszcze nie próbuje chronić własnego tyłka? Doktor Lehmann, terapeuta Nolana. Powiedział, że Nolan miał problemy, o których Helena nie powinna wiedzieć, bo to jakaś ponura sprawa. Dał mi wyraźnie do zrozumienia, żebym się wycofał. Gdyby wiedział, że Nolan popełnił morderstwo, nie miałby obowiązku tego zgłaszać, chyba że coś groziłoby innej ofierze. Rozumiem chęć zatajenia faktu, że jego pacjent jest zabójcą. Dla dobra własnego i policji, bo przecież dostawał od was mnóstwo zleceń. Ale w takim razie po co w ogóle cokolwiek mówił? Dlaczego zgodził się na spotkanie ze mną? Teraz myślę, że kiedy tam poszedłem, próbował odwrócić role. Wypytywał mnie o Helenę. Sprawdzał, ile ona wie.

Milo patrzył na mnie.

– Sprawdzał cię? Więc on też jest w to zamieszany? Zamiast pomagać Dahlowi, nakłonił tego dupka, żeby wsadził sobie lufę w usta?

– A kto mógł zrobić to lepiej niż terapeuta? Doradca policji, pracujący w śródmieściu. Wes Baker mógł znać kogoś takiego i skierować do niego Nolana.

– O Boże – powiedział Milo. – O mój Boże... Jak daleko to sięga?

Spojrzał na swojego timeksa.

– Gdzie, u diabła, jest Sharavi? Nie odezwał się, odkąd razem z Petrą dojechali za Sangerem do hotelu Beverly Hills. Petra zdobyła numer pokoju Sangera i wróciła do domu, a Sharavi pojechał za nim sam.

Wyjął telefon komórkowy i wystukał numer.

– Abonent jest chwilowo niedostępny... W porządku, powtórzmy cały ten scenariusz z klubem zabójców: garstka dupków z „Mety” zbiera się i postanawia zabawić się w inną grę. Ilu ich mogło być?

– Myślę, że niezbyt wielu – odparłem. – Takiej tajemnicy nie można utrzymać w dużym gronie.

Nie otwierając ust, Milo wydał z siebie przerażający zwierzęcy dźwięk.

– W porządku, zatem Baker obejmuje przywództwo. Wysłała Tenneya, żeby zabił Raymonda Ortiza?

– Może niekoniecznie Raymonda, po prostu jakiegoś dzieciaka z parku. Dzieciaka, którego Tenney uzna w jakiś sposób za ułomnego. A może Tenney sam się zgłosił na ochotnika jako pierwszy, bo widział Raymonda i wiedział, że jest upośledzony. Wiemy, że Tenney stawiał się przełożonym w pracy, do stał nawet naganę. Czy mógł się lepiej zemścić na firmie, niż wykorzystać swoją posadę do popełnienia morderstwa?

– Mężczyzna w uniformie – powiedział Milo, patrząc na zdjęcie Tenneya.

– Przeciętny facet w uniformie – przytaknąłem. – Dyskryminacja rasowa działa w obie strony. Tym razem sprzyjała Tenneyowi: dla czarnych dzieciaków z parku był kolejnym białym o nieokreślonej twarzy.

Milo potarł twarz.

– Ciało nie znaleziono, bo Tenney chciał być ostrożny i postarał się, żeby nie zostawić żadnego dowodu rzeczowego. Kiedy razem z Bakerem doszli do wniosku, że śledztwo utknęło w martwym punkcie, podrzucili na schodach przed komendą zakrwawione buty Raymonda.

– Pomalowali buty krwią już po tym, jak napisali na nich DVLL – ciągnąłem. – A więc dokładnie wszystko zaplanowali. Może to był pomysł Tenneya, może Bakera. Nie było to takie eleganckie morderstwo jak w przypadku Irit, bo w przeciwieństwie do Bakera i Nolana Tenney nigdy nie pozował na wyznawcę ideałów. Jest po prostu niezwykle inteligentnym, ale złym człowiekiem przepełnionym nienawiścią. Nie mógł znaleźć lepszej pracy niż sprzątanie psich kup, więc ział nienawiścią do całego świata. Ponieważ Raymond był chłopcem, Tenney nie uważał tego, co zrobił, za morderstwo na tle seksualnym i nie musiał pozbawiać go takiego tła. Porwał Raymonda w łazience, wrzucił do furgonetki i unieruchomił go tam albo od razu zabił. Odjechał dokądś, pozbył się ciała. Potem odszedł z pracy i gdzieś zniknął.

– Mieszkał u Zeny.

– Nie przez cały czas – powiedziałem. – Może mieszkał w furgonetce, może kątem u innych członków klubu. U Zeny też nie zabawi zbyt długo. Mówiła, że jutro do wieczoru jej goście wyjadą. Wyczułem, że coś się będzie działo.

– Kolejne zabójstwo?

– Niewykluczone. W jakich rejonach już mordowali?

– W połowie miasta – odparł Milo – i w całej pieprzonej Valley. Mógłbym znów poprosić Carmelego o zniesienie blokady informacyjnej... ale z drugiej strony mamy tylko przypuszczenia, ani cienia jakiegokolwiek dowodu. Jeśli wystraszymy Bakera, rzuci to, co zamierza zrobić, nie będziemy mieli szansy, żeby dowiedzieć się prawdy... cholera, Alex, to tak jakbyś miał mapę, ale nie miał samochodu. No dobrze, jedźmy dalej: Irit. Baker i Dahl. Tak po prostu zaczęli się w rezerwacie, bo wiedzieli, że jeżdżą tam dzieci?

– Dzieci ułomne – przypomniałem mu. – Kiedy Tenneyowi udało się z Raymondem, grupa zapewne znowu chciała złapać jakieś upośledzone dziecko w parku. Ale między morderstwem Raymonda a Irit istnieje ogromna różnica. Tenney pracował w parku, w którym porwał chłopca, i znał dokładnie teren. Raymond mieszkał w okolicy, jego klasa codziennie przychodziła do parku podczas malowania szkoły, więc Tenney widział go kilkakrotnie, miał mnóstwo czasu, żeby mu się przyjrzeć. Może nawet miał z nim jakieś starcie. Albo z którymś z jego braci należących do gangów.

Zaciągnąłem Mila do drzwi i wyprowadziłem z mieszkania na schody przy wejściu.

– O co chodzi? – zdziwił się.

– To na wszelki wypadek, żeby nie usłyszał nas Carmeli – wyjaśniłem. – Może to, co przytrafiło się Irit, ma jednak związek z jego pracą? Rezerwat nie leżał w obszarze, który patrolowali Baker i Dahl. A szkoła Irit zawoziła tam dzieci raz do roku. Dlaczego właśnie Irit upatrzono sobie na ofiarę? Baker lubi nad wszystkim panować. To manipulator, pedant. Przez całe tygodnie zmieniał rozkład dnia w raportach, więc nie wierzę, że wybrał ofiarę przypadkowo. Dlaczego akurat Irit? Może jednak ma to jakiś związek z pracą jej ojca?

– Carmelego?

– Przypomnij sobie, Milo. Obaj czuliśmy, że od samego początku był wrogo nastawiony do policji. Podczas pierwszego spotkania narzekał na waszą niekompetencję. Przyjąłem, że chodzi mu o brak postępów w śledztwie dotyczącym Irit, ale może chodziło o coś innego. Może miał jakieś nieprzyjemne doświadczenia z tutejszą policją, jeszcze zanim zginęła Irit?

– Starcie z Bakerem? – odpowiedział Milo. – Coś na tyle poważnego, że Baker postanowił zamordować jego córkę?

– Ideologicznie i psychologicznie Baker cały czas był gotów to zrobić – powiedziałem. – Nie potrzebował wcale silnego impulsu, wystarczył pretekst. Jeśli Carmeli nadepnął mu na odcisk... Normalny człowiek pewnie by to zlekceważył, ale Baker mógł się zemścić. Obaj podejrzewaliśmy, że Carmeli ma do czynienia z Mossadem albo czymś równie tajemniczym. Że jest kimś więcej niż tylko wicekonsulem odpowiedzialnym za kontakty z lokalną społecznością, choć tak przedstawia się oficjalnie. Organizator odpowiedzialny na przykład za wiosenną wielką paradę z okazji izraelskiego święta niepodległości. W takie przedsięwzięcie na pewno musiała być zaangażowana miejscowa policja. Może warto by sprawdzić, czy w oddelegowanej do tego zadania grupie nie znajdował się Baker?

Wróciliśmy do mieszkania. Dzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

– Tu Daniel. Jestem o przecnicę od was. Mogę wpaść?

– Oczywiście – odparłem. – Jesteś wręcz niezbędny.

– Mam klucz, sam sobie otworzę.

Pod wiatrówką miał na sobie uniform elektryka. Niósł też niewielki plecak.

Na jego twarzy zauważyłem coś, czego do tej pory nie widziałem. Napięcie. Niepewność.

– Jak było na przyjęciu?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, Milo wskazał mu ręką fotel.

– Co z Sangerem?

– Nie dotarł na przyjęcie. Śledziłem go od hotelu do śródmieścia, do jednego z budynków przy Siódmej Ulicy, w pobliżu Flower. Tam spotkał się z jakimś psychologiem.

– Z Roone'em Lehmannem – ubiegłem go. Niepewność zniknęła z jego twarzy. Opowiedziałem mu o Nolanie i Bakerze oraz o moim spotkaniu z Lehmannem i podejrzeniach wobec niego.

Siedział z półprzymkniętymi oczami i rękami na kolanach. Wyglądał jak ktoś znudzony.

– W porządku, mogę potwierdzić udział Lehmana – powiedział w końcu. – Wszedłem do tego budynku i za pomocą mikrofonu parabolicznego podsłuchałem jego rozmowę z Sangerem. Siedziałem w pomieszczeniu służbowym. Mikrofon był mały, więc odbiór nie wyszedł najlepiej. Gdybym urządził się w sąsiednim budynku, mógłbym skorzystać z czulszego sprzętu. Ale i tak udało mi się wyłowić większość rozmowy.

– Masz to na taśmie? – zapytał Milo.

Daniel wyjął z plecaka mikrokasetę. Milo wyciągnął rękę i Sharavi podał mu kasetę.

– Tak jak mówię, jakość nagrania jest kiepska, czasami trudno rozróżnić słowa, lecz ogólny ton rozmowy jest jasny. Chcecie, żebym wam ją streścił?

– Tak.

– Sanger i Lehmann są spokrewnieni, to kuzyni. Najpierw rozmawiali o ciotkach i wujkach, dzieciach, o rodzinnej kolacji w Connecticut w Boże Narodzenie zeszłego roku. Lehmann jest kawalerem i Sanger wypytywał, jak sobie radzi z kobietami. Lehmann żartował, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Wtedy Sanger się roześmiał.

– Rzeczywiście jest między nimi rodzinne podobieństwo – uświadomiłem sobie. – Obaj są wielcy, grubi, mają płaskie twarze i worki pod oczami. Obaj są pewnie spokrewnieni z rodziną Loomisów. Sam mówiłeś, że firmę prowadzą teraz kuzyni.

– Wśród nazwisk, do których dotarliśmy, nie było Sangera ani Lehmana, ale być może masz rację... Tak, teraz i mnie się wydaje, że istnieje między nimi podobieństwo.

– Jest coś jeszcze – powiedziałem. – Loomisowie szczylicili się związkami z imperialną Anglią. Kiedy byłem u Lehmana, strasznie się rozwodził nad jakimś srebrnym bibelotem, który kiedyś należał do brytyjskiego parlamentu.

– Błękitna krew – zachnął się Milo. – Czy ci dwaj wesołkowie tylko snuli wspomnienia?

– Niestety, nie mówili nic na temat „Mety”, morderstw ani DVLL – odparł Daniel. – Ale nie kryli rasistowskich uwag. Lehmann zapytał, jak Sangerowi podoba się hotel. Sanger odparł: „Niezły, jak na właściciela z ręcznikiem na łbie”. „Czy to oznacza, że nie można tam urządzić bar micwy za sto tysięcy dolarów?” Tego rodzaju uwagi. Potem wyszli z gabinetu i przenieśli się do prywatnego klubu piętro niżej. Nie wiedziałem, jak się tam dostać. Nawet gdyby mi się udało, i tak inne rozmowy zagłuszyłyby to, co mówili Sanger i Lehmann. Zamiast tego wśliznąłem się do gabinetu Lehmana, bo Sanger zostawił tam walizkę, z którą przyjechał. Znalazłem ją na fotelu w pokoju Lehmana. Sądziłem, że Sanger jest Świętym Mikołajem „Mety”, więc spodziewałem się, że walizka będzie pełna pieniędzy, ale okazała się całkowicie pusta. Za to w biurku Lehmana natknąłem się na wór pieniędzy. Dwieście tysięcy dolarów.

– Dobre przeczucie, tylko nie ten kierunek – stwierdził Milo. – Pieniądze płyną z zachodu na wschód. To Lehmann jest Świętym Mikołajem.

– Na to wygląda – przytaknął Daniel. – Siedzieli w klubie przez godzinę, potem wrócili zadowoleni, paląc cygara. Rozmawiali jeszcze przez godzinę. Nadal nie wymieniali nazwy „Meta”, ale Lehmann powiedział, że jest rozczarowany „grupą”. Zamieniła się w klub towarzyski, choć on liczył na „Nową” coś tam.

– Nową? – zdziwił się Milo. – Nie w „coś nowego”?

– Nie. „Nową” i jeszcze jedno słowo. Nazwa własna. – Daniel wskazał kasetę. – Chcesz to przesłuchać?

– Później. Nowa... a więc wśród nich jest podgrupa.

– Może coś o inicjałach NU – powiedziałem. – Nowa Utopia. W swoim artykule Sanger przytaczał tę nazwę.

Daniel i Milo popatrzyli po sobie.

– O czym jeszcze rozmawiali? – dopytywał się Milo.

– Lehmann powiedział: „Oto mały prezent od rodziny, na jakiś czas powinno ci wystarczyć”. Znów się śmieli. Usłyszałem trzask zamykanego zamka – pewnie walizki. Kilka minut później Sanger wyszedł z budynku. Nie wiem, co zrobił Lehmann, bo uznałem, że śledzenie Sanger'a przyniesie więcej pożytku. Pojechał prosto do hotelu i udał się na spoczynek. Próbowałem do niego zadzwonić, ale w hotelowej centrali powiedziano mi, że polecił, by mu nie przeszkadzać. Dla wszelkiej pewności posiedziałem tam jeszcze przez godzinę, upewniając się, że rzeczywiście poszedł spać. Potem zadzwoniłem jeszcze raz, udając przedstawiciela wypożyczalni samochodów, i upewniłem

się, że jutro wymeldowuje się z hotelu. Będę go obserwował, a potem dopilnuję, żeby w Nowym Jorku przejęli go nasi ludzie. Będziemy mu teraz deptać po piętach. Helli Cranepool też.

– Cranepool, Sanger, Lehmann – powiedział Milo. – Jedna wielka szczęśliwa rodzina. Kolejni pieprzeni gracze. Jak w to wszystko wplątał się Baker?

– Pewnie przez władze policji – wyjaśniłem. – Lehmann ma status doradcy wydziału. To by wyjaśniało także obecność Zeny. W Lancaster była w służbie pomocniczej policji. Może w Los Angeles też się chciała zatrudnić. W jakiś sposób natknęła się na Bakera, który zorganizował jej prywatny kurs. Może nie tylko Nolan Dahl leciał na młode dziewczęta.

Milo wstał i zapalił cygaro.

– Martwi mnie tylko – odezwał się Daniel – że nazwisko Lehmana nigdy nie pojawiło się w naszym dochodzeniu. Skupialiśmy się tylko na Nowym Jorku i Południu, bo Loomisowie pochodzili z Luizjany, a profesor Eustace zginął nagle w Missisipi. Ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że gdzieś już słyszałem to nazwisko. Okazuje się, że tak właśnie było.

– Masz tutaj egzemplarz „Pseudonauki”? – zapytał mnie Daniel.

Skinąłem głową i wyciągnąłem książkę spod łóżka.

Daniel zaczął przewracać strony i mówił:

– Tak. W pracy profesora Eustace’a. Jedna z prac, którą cytuje jako bzdury finansowane przez Fundację Loomisów, została napisana przez Lehmana dziesięć lat temu. Opublikowano ją w periodyku o nazwie „Biogenetyka i kultura”.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Biblioteka Kongresu też nie. Oto streszczenie Eustace’a.

Przeczytałem je.

– Esej o inteligencji, przestępczości i pogodzie?

– Dla mnie to jakiś szaleńczy bełkot, Alex. Lehmann utrzymuje, że ludzie z gorących stref klimatycznych są dziedzicznie głupszy i bardziej „rozłaźli” niż ich ziomkowie z regionów północnych, bo nie muszą budować schronienia przed złą pogodą, nie wykształca się u nich złożona kultura i rozmnażają się nieselektywnie. W chłodniejszych strefach szansę na przeżycie i rozmnażanie mają tylko inteligentni i twórczy ludzie.

– Dobór naturalny – powiedziałem.

– Lehmann twierdzi także, że gorący klimat wyzwala złe emocje, które prowadzą do przemocy. Stąd określenie „gorąca krew”.

Zgiął palce zdrowej ręki.

– Eustace dotarł do tych bzdur, a kilka miesięcy później jego samochód zjechał z drogi – powiedział Milo.

– Jest coś jeszcze – rzekłem. – Lehmann zdobył dyplom na uczelni o nazwie New Dominion University. To jedna z tych podrzędnych szkółek finansowanych przez Loomisów, prawda?

– Tak – potwierdził Daniel.

– A praktykę kliniczną zdobywał w Fundacji Pathfinder. Taki sam tytuł nosił biuletyn „Mety”, w którym opublikowano manifest Sanger’a. Lehmann powiedział mi, że nim zajął się psychologią, obracał się w świecie biznesu. Większość książek w jego gabinecie dotyczy zarządzania, a nie psychologii klinicznej. Zacytował mi nawet motto biznesmena: „Nie wystarczy wygrać. Konkurent musi upaść”. To facet podstawiony przez Loomisów, który jakimś cudem zdołał sobie wypracować stanowisko doradcy policji.

Milo przestał chodzić w tę i z powrotem, lecz nie przestał palić.

– Nie jest to dzień chwały dla żandarmów – stwierdził. – Ale, ale, Danielu, skąd u Carmelego to uprzedzenie do policji?

– O co ci chodzi?

Milo podszedł bliżej i stanął nad nim.

– Nie ma czasu na ceregiele, przyjacielu. Twój szef dał nam wyraźnie do zrozumienia, że nie darzy tutejszej policji miłością. Miał z kimś starcie? Chodziło o tę paradę? A może o coś innego?

Daniel przetarł oczy i zdjął wiatrówkę. W kaburze z siateczki tkwił czarny pistolet.

– To miało związek z paradą. W konsulacie zorganizowano zebranie poświęcone kwestiom bezpieczeństwa. Prowadził je Zev, zaproszono na nie przedstawicieli policji i naszych ludzi. Ustalaliśmy zakres działania, kwestię kontroli nad tłumem, bezpieczeństwa. Obie grupy zgodziły się wyczerpująco informować nawzajem o wszelkich groźbach ze strony terrorystów. Chodziło o pełną komunikację. Zev pracował po godzinach i mało widywał się z rodziną, więc przywiózł Liorę i dzieci do konsulatu. Tego dnia żona i dzieci czekały, aż zebranie się zakończy, by pójść z nim na obiad. Zebranie się przedłużało. Na korytarzu jeden z policjantów podszedł do Liory i Irit, które siedziały na ławce. Oded bawił się samochodzikiem w końcu korytarza. Policjant usiadł obok nich. Z początku zachowywał się przyjaźnie. Próbował rozmawiać z Irit, ale kiedy przekonał się, że jest głucha, skupił uwagę na Liorze. Wypytywał ją o Izrael, Tel Awiw, opowiadał, że podróżował po całym świecie.

– To mógł być Baker – wtrącił Milo.

– Na pewno masz rację – poparł go Daniel z pochmurną miną. – Liora mówiła Zewowi, że czuła się źle przy tym mężczyźnie. Zachowywał się zbyt przyjacielsko. Zresztą powinien siedzieć na sali

razem z innymi uczestnikami zebrania. Ale nie odzywała się. Taka już jest. Nagle jednak rozmowa zaczęła nabierać kontekstu seksualnego.

– Złożył jej niedwuznaczną propozycję?

– Nie wprost, Milo. Ale Liora twierdzi, że z rozmowy wynikało to jasno. Wtedy wstała i odsunęła się od niego. Później powiedziała o wszystkim Zevowi, a on – jak to mówicie – dostał pierdolca. Złożył skargę u burmistrza. Zapewniono go, że policjant zostanie odsunięty od przygotowań do parady i ukarany dyscyplinarnie.

– Przeniesiono go do śródmieścia. Ale nie usunięto ze służby – zauważyłem. – Może dlatego, mimo swojego rzekomo potężnego intelektu, wciąż jest tylko sierżantem?

– Baker – powiedział Milo, uderzając pięścią w dłoń. – Ten skurwysyn... a więc znał Irit z widzenia. Wiedział, że jest głucha.

Twarz Daniela wyrażała ból.

– Ale zabić kogoś z tego powodu... i to dziecko...

– Pomyśl o nim jak o kacie – powiedział Milo. – Kiedy udało im się zamordować Ortiza, Baker i inne dupki z Nowej Utopii postanowili, że musi umrzeć ktoś następny. Tak naprawdę nie miało znaczenia kto, byle był to ktoś, kogo życie w ich mniemaniu nie miało żadnej wartości. Alex mówił mi wcześniej, że mimo całej tej eugenicznej otoczki wszystko sprowadza się do zabijania dla zabawy. A co mogło ucieszyć Bakera bardziej niż zemsta? Pani Carmeli odrzuca jego zaloty, pani Carmeli skarży na niego, co kończy się upomnieniem, a tak się składa, że jej córka jest upośledzona. Dla tego drania to musiało być jak dobra karma. Kiedy go znałem, interesował się religiami Wschodu i dużo mówił o karmie.

Daniel osunął się w fotelu i patrzył gdzieś w przestrzeń, nie zwracając na nas uwagi.

– Co się stało? – zapytał Milo.

– To jest... obrzydliwe. To wszystko jest obrzydliwe.

– Każde zabójstwo ma jakiś związek z kimś z grupy – zauważyłem. – Ponsico i Zena, Raymond i Tenney, Irit i Baker. Nolan Dahl pomagał przy zabójstwie Irit. Baker szkolił go w różnych dziedzinach. Założę się, że Latvinia należała do partnerek Dahla. Może jej śmierć to też sprawa Bakera. Dla nich śniadolica upośledzona dziewczyna była czymś, co można wykorzystać i wyrzucić. Baker mógł ją zabić dla zabawy albo dlatego, że znała jego lub Nolana. Albo ich obu. Prawdopodobnie obu.

– A co z Melvinem Myersem? – zapytał Daniel.

– Musiał nadepnąć na odcisk komuś z grupy – odparłem. – Komuś ze śródmieścia. Bakerowi czy Lehmannowi?

Daniel sięgnął do plecaka i wyjął plik papierów. Wyłuskał spośród nich kolorowy folder. Wspólnie zaczęliśmy go przeglądać.

Śródmiejski Ośrodek Doskonalenia Zawodowego: „Od piętnastu lat bastion nadziei”. Na fotografiach widać było niewidomych z psami przewodnikami, pracujących przy komputerach i uśmiechniętych ludzi z amputowanymi kończynami przymierzających sztuczne protezy.

Lista kursów: szycie, rzemiosło, mechanika. Drobnym drukiem wymieniono sponsorów, a jeszcze mniejszym radę opiekuńczą szkoły. Lekarze, prawnicy, politycy...

W kolejności alfabetycznej.

Mniej więcej w środku: doktor Roone Lehmann, doradca w zakresie psychologii.

– Pracował z upośledzonymi – rzekłem. – Musiał mieć niezły ubaw. Ale może jeszcze bardziej bawiło go okradanie szkoły z pieniędzy. Zabierał batonika niewidomym dzieciom.

Milo podbiegł do nas.

– Myers przypadkowo odkrywa, że Lehmann okrada szkołę, może nawet go szantażuje, bo jaj to mu akurat nie brakowało. Lehmann zgadza się zapłacić, umawia się na spotkanie w zaułku i ktoś – zapewne Baker – załatwia tam Myersa.

Wziął broszurę od Daniela.

– Te morderstwa to dla nich sposób na połączenie interesów i przyjemności – powiedział Sharavi.

– Kłopot w tym – wpadł mu w słowo Milo – że na razie to tylko nasze teorie. Jedyne dowód, który moglibyśmy ewentualnie wykorzystać, czyli zdjęcia Nolana Dahla z jego panienkami, został zniszczony. Nawet jeśli w garażu Zeny znajdziemy furgonetkę Tenneya, nie mamy nic, co mogłoby nam posłużyć do uzyskania nakazu rewizji.

– Czego trzeba, żeby wysunąć przeciwko któremuś z nich oskarżenie? – zapytałem.

– Najlepsze byłoby pełne przyznanie się do winy, ale wystarczyłoby mi nawet jakieś zdanie, na którym można by się oprzeć. Coś, co pozwoliłoby nam się skupić na którymś z nich, jakimś słabym ogniwie.

– To może być Zena. Rozprawia o eugenicie, jakby odgrywała dobrze wyuczoną rolę. Nie twierdzą, że jest nieszkodliwa. Ale na razie mniej interesowała ją polityka, za to bardziej zabawa. W sobotę o dziesiątej jestem z nią umówiony na randkę. Może uda mi się z niej wyciągnąć coś więcej na temat NU i przekonać ją, że wydanie innych leży w jej najlepszym interesie.

– Waham się, czy pozwolić ci na tę randkę, Alex. Tenney widział cię kilka razy i nawet jeśli wydaje ci się, że Baker cię nie rozpoznał, nie mamy pewności.

– Tenney mnie nie zna – odparłem – więc nie ma powodu, by mnie o cokolwiek podejrzewać. To

po prostu zwykły mruk. Co miałyby powiedzieć Bakerowi? Że Zena ma nowego chłopaka? A jeśli odwołam randkę, to czy Zena nie zacznie się zastanawiać dlaczego?

– Andy, pożeracz niewieścich serc, po prostu zmienił zdanie.

– I co wtedy? – zapytałem. – Co robimy dalej?

Milczeli.

– Milo, mamy szczęście, że ci ludzie są tak aroganccy, bo do głowy im nie przyjdzie, że znajdują się pod obserwacją. Przeciwnie, pewnie chętni są, że wszystko poszło tak gładko. Pięć morderstw i żadna ze spraw nie została rozwiązana. Zaczynają być pewni siebie, Milo. Dlatego przyspieszają. Przypomnij sobie, co mówiłeś: pół miasta i cała Valley. Tysiące inwalidów, których nie mają ochronić.

– A twoja randka to wszystko zmieni, tak? – warknął.

– Przynajmniej w ten sposób mamy jakieś dojście do NU. Może Zena powie mi coś ważnego. W ostateczności możecie ją przymknąć i trochę przydusić. Powtarzam, jakie macie inne wyjście?

Chwila ciszy.

– W porządku – rzekł Milo. – Jedna randka, ale na tym koniec. Potem znikasz, a my zmieniamy plan i pełną parą śledzimy Bakera i Lehmana, ludzie Daniela w Nowym Jorku mają oko na Sangera i Cranepool. Zajrzemy też do garażu Zeny. Jeśli rzeczywiście stoi tam furgonetka Tenneya, a on zamierza się oddalić, tak jak sądzisz, to zastosuję technikę Bakera. Zatrzymam drania za łamanie przepisów drogowych i zabiorę samochód.

– Gdzie mieszka Baker? – zainteresował się Daniel.

– Na jachcie „Satori” zacumowanym w przystani. – Opisałem mu dokładnie miejsce.

– „Satori” – powtórzył. – Niebiański spokój.

– Ten drań to zawodowiec – ostrzegł go Milo. – Pracował w obyczajówce, przenikał do środowiska przestępczego jako agent. Doskonale zna tajniki śledzenia.

– A więc będę musiał uważać – odparł Daniel.

– Zaczynaj uważać już od dzisiaj, przyjacielu. Chcę, żebyśmy obaj pilnowali Alexa od chwili, kiedy wyjedzie na spotkanie z Panną Śmierć, aż do czasu, gdy znajdzie się w domu. Jeden z nas stoi na ulicy, drugi na zboczach za domem.

– Mogę iść na zbocze – zaofiarował się Daniel.

– Jesteś pewien?

– Wspinałem się w Izraelu. W jaskiniach na Pustyni Judejskiej.

– Ostatnio?

Daniel uśmiechnął się i potrząsnął uszkodzoną ręką.

– Ostatnio. Do tego można się przyzwyczać. Wbrew temu, co sądzą nasi przyjaciele z NU, ze wszystkim da się żyć.

– Świetnie. Gdzie dziś nocujesz, Alex?

– Właściwie mogę pojechać do domu – odpowiedziałem.

– Pojadę za tobą. – Odwrócił się do Daniela. – Potem ty i ja spotkamy się tutaj.

W sobotę Daniel spał od czwartej rano do ósmej. Obudził się, włożył czyste dżinsy, czarną koszulkę i najlepszą sportową marynarkę – czarną, od Hugo Bossa. Dostał ją w zeszłym roku od teściowej na święto Chanuka. Kupił gazetę i pojechał do Marina del Rey, gdzie przeszedł przez Marina Shores Hotel i znalazł się na przystani.

Zasłaniając twarz gazetą, wypatrywał jachtu Bakera. Znalazł go bez trudu. Alex opisał go dokładnie.

„Satori” był długi, smukły i biały. Taka łódź z pensji sierżanta policji? A może doktor Lehmann dzielił się pieniędzmi nie tylko z kuzynem?

W powietrzu czuło się zapach oceanu, słyhać było krzyk mew. Z tej odległości nie mógł stwierdzić, czy Baker jest u siebie. Tak czy inaczej należało się o tym przekonać.

Przechadzał się tam i z powrotem po pomoście, udając, że podziwia piękny widok. Dwadzieścia minut później na pokład wyszedł z kubkiem kawy Wes Baker. Przeciągnął się i spojrzał w niebo.

Wyglądał na silnego mężczyznę. Miał na sobie białą koszulkę i białe krótkie spodenki. Opalony, umięśniony, w złoconych okularach. Prawdziwy Kalifornijczyk, zupełnie przeciętny. Hannah Arendt byłaby zadowolona...

Przeciągnął się jeszcze raz, rozłożył krzeselko i ustawił je w pobliżu spiczastego dziobu. Usiadł z kubkiem w ręce, stopy opuścił za pokład.

Twarz miał pełną słońca.

Po prostu kolejny piękny dzień z życia elity.

Daniel zmusił się, by go obserwować.

Wrócił do domu przy Livonii przed południem i odbył coś w rodzaju szabasowego nabożeństwa. Przeczytał fragment Tory na ten tydzień, odmówił kadisz, zjadł lekki posiłek. Zamiast wina wypił sok z winogron.

Przez godzinę starał się nie myśleć o morderstwach, ale potem myślał już tylko o nich.

Milo przyjechał o drugiej po południu. Zaczęli rozmawiać o sprzęcie. Amerykanin szczególnie zainteresował się plastikowym niemieckim pistoletem. Broń była lekka, jednym przyciśnięciem zmieniała się w automat. W łatwo wymienianym magazynku mieściły się dwa tuziny pocisków.

Daniel miał trzy takie pistolety. Zaproponował, że da Milowi jeden z nich. Amerykanin zastanawiał się, ale w końcu przyjął prezent, mrużąc, że „to na wszelki wypadek, jeśli będę musiał przemycić broń do samolotu”. Zaczęli rozmawiać o broni długiej i uzgodnili, że Daniel na stok

zabierze ze sobą karabin z noktowizorem.

Milo spędził rano na przeglądaniu policyjnych akt Bakera, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Bakera przeniesiono do śródmieścia kilka dni po morderstwie Irit, ale w aktach nic nie wskazywało na to, że było to przeniesienie dyscyplinarne. Nie wpisano żadnej nagany ani degradacji w wyniku skargi Zeva Carmelego. Incydent z Liorą Carmeli w ogóle nie został w jego papierach odnotowany.

– Wszystko się zgadza – rzekł Milo. – Policyjna wierchuszka natychmiast rozpatruje skargi na policjantów. I to z taką ochotą, z jaką Michał Anioł chciałby rzeźbić posąg Dawida z psiego gówna.

Facet potrafił barwnie się wyrażać.

– Biurokraci są wszędzie tacy sami – odparł Daniel.

Milo mruknął coś pod nosem i wyszedł o wpół do czwartej.

Ustalili, że Alex zadzwoni do Zeny Lambert o piątej, by potwierdzić wieczorną randkę. Gdyby stało się coś niezwykłego, całą akcję należało odwołać – Milo bał się o przyjaciela. Daniel zaczął rozmyślać o rzeczach, o których lepiej było nie myśleć. Powstrzymał się jednak i skupił na czekającej go wspinaczce.

Kwadrans po piątej zadzwonił telefon.

– Ruszamy – oznajmił Milo.

Daniel postanowił wyruszyć o wpół do dziewiątej. Było już na tyle ciemno, że mógł się ukryć, a zarazem zostało mu dość czasu, by znaleźć kryjówkę na tyłach domu, nim o dziesiątej przyjedzie Alex.

Miał na sobie superlekkie czarne spodnie z komandoskimi kieszeniami, czarną koszulę i czarną kominiarkę. Aby ukryć karabin, włożył długą czarną kurtkę z zaszytą w podszewce kieszenią na rzepy. W innych kieszeniach umieścił plastikowy pistolet i amunicję. Do plecaka schował paraboliczny mikrofon, kilka małych granatów ogłuszających, małe puszki z gazem łzawiącym i komandoski nóż, jeszcze z wojska. Na razie nie znalazł lepszego.

Wzrósł mu poziom adrenaliny, ale czuł się trochę idiotycznie. Wielki twardy komandos. Jak jakiś ninja z filmów, które uwielbiali oglądać jego synowie. Zapewnił Milo, że sobie poradzi. Nie zamierzali przecież uwalniać zakładników. Wystarczyło dostać się na to zbrocze, podsłuchać, nagrać i wrócić do domu.

Kiedy ruszył do drzwi, usłyszał dzwonek telefonu.

Czyżby znów Milo? Zmiana planów?

– Słucham?

– *Shavuah tov*. – Zev Carmeli powitał go tradycyjnym poszabasowym pozdrowieniem: życzeniami miłego tygodnia.

– Tobie życzę tego samego, Zev.

– Muszę się z tobą spotkać, Danielu.

– Kiedy?

– Teraz.

– Obawiam się, że...

– Teraz – powtórzył Carmeli.

– Właśnie...

– Wiem, co właśnie robisz. Ale przyjedziesz tutaj, do konsulatu. Wysłałem po ciebie kierowcę. Zaparkował za twoją toyotą, która zresztą złapała dwie gumy.

– Zev...

– I nie próbuj się wymknąć tylnym wyjściem, Sharavi. Ktoś je obserwuje.

– Popelniasz ogromny...

Połączenie zostało zerwane. Kiedy odłożył słuchawkę, do pokoju weszło dwóch mężczyzn. Obaj byli młodzi. Jeden miał blond, drugi ciemne włosy. Ciemne garnitury, białe koszule z rozpiętymi kołnierzykami. Znał ich z widzenia i z nazwiska. Strażnicy z konsulatu, Dov i Yizhar. Nie słyszał, jak weszli. Carmeli wiedział, że telefon dostatecznie rozproszy jego uwagę.

Rzeczywiście ze mnie ninja, pomyślał.

– *Erev tov* – pozdrowił go Dov.

Dobry wieczór, dupku, powiedział w myślach Daniel.

– Masz pojęcie, w co się pakujesz?

Strażnik wzruszył ramionami.

Yizhar uśmiechnął się:

– Wykonujemy rozkazy. Kto powiedział, że tylko Niemcy mogą być dobrymi Niemcami?

Milo siedział przy swoim biurku na komendzie w zachodnim Los Angeles.

Nagle wezwał go kapitan Huber.

Huber wypełniał jakieś formularze przy zawalonym papierami biurku. Nigdy nie podnosił głowy ani głosu. Jego łysina miała różowy kolor i nieco się łuszczyła.

– Słucham, panie kapitanie.

– Masz dziś szczęście, Sturgis. Spotkanie w śródmieściu z zastępcą szefa policji Wicksem. Coś ty zrobił? Rozwiązałeś sprawę czy co?

– Kiedy ma być to spotkanie?

– Teraz. *Ahora*. Nawet przysłali po ciebie samochód z kierowcą. Wielki czarnoskóry plutonowy czeka przed moim gabinetem. Naprawdę cię dzisiaj szczęście kopnęło.

Huber przestał pisać, ale nie podniósł głowy.

– Może to jakaś akcja wyrównywania szans albo coś w tym stylu, co? Coś taki ponury?

– Ja...

Teraz Huber gwałtownie podniósł głowę. Na twarzy malował się gniew. Wściekłość biurokraty. Telefon od Wicksa go zaskoczył. Odbiegał od rutyny.

Milo nagle zrozumiał, dlaczego poczuł ściśnięcie w dołku.

– O co chodzi, Sturgis?

– Już jadę.

– Zjeżdżaj stąd w tej chwili. Jak tam postępy w śledztwie?

– Którym? – zapytał Milo.

– We wszystkich.

– Radzimy sobie.

– To dobrze. Nie każ im czekać. I zamknij drzwi za sobą.

Daniel został przeszukany, wyjęto mu wszystko z kieszeni. Siedział w samochodzie należącym do konsulatu wciśnięty między dwóch strażników. Czuł ich przepalone tytoniem oddechy, wiedział, że nie ma szansy, by się uwolnić. Udawał, że się odpręża.

Zawieźli go do konsulatu i usadzili w gabinecie Zeva Carmelego. Sami pozostali na zewnątrz.

Siedział i zastanawiał się, czy Zev się zjawi.

Czuł się jak idiota, bo zaniedbał oczywiste kwestie. Jak mógł to przeoczyć? Przecież nie mogło być inaczej.

Okłamywał się, patologicznie się okłamywał.

Czy Milo też został przejęty? Jak daleko to wszystko sięga?

Można było mieć tylko nadzieję, że nie będzie to miało wpływu na Alexa, kiedy pójdzie na randkę bez ochrony. To po prostu randka z szaloną dziewczyną. Parę godzin i będzie z powrotem w mieszkaniu przy Genessee.

Kolejne kłamstwo.

Alex liczył na pełną ochronę i będzie się zachowywał tak, jakby miał tę ochronę.

Przypomniawsobiesobiesobie błogi wyraz twarzy Bakera. Tyle morderstw, a ten spokojnie się opala, nic sobie z tego nie robiąc.

Rozejrzał się po gabinecie Zeva. Dostrzegł coś, co mogło mu się przydać. Włożył przedmiot do kieszeni i zastukał w drzwi.

Otworzył Dov.

– Czego?

– Muszę do łazienki.

– Jesteś pewien?

– Jak chcesz, żołnierzu. Ja mogę nalać nawet na jego biurko.

Dov uśmiechnął się, wziął go mocno za ramię i popchnął w stronę pobliskich nieoznaczonych drzwi.

Nie musiał go przeszukiwać. Za pierwszym razem zrobił to dokładnie.

– Baw się dobrze – zakpił Dov.

W łazience Daniel oddał mocz, spuścił wodę i odkręcił kran. Następnie wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wystukał znajomy numer. Miał czas tylko na jedną rozmowę. Miał nadzieję, że to był zwykły telefon Zeva, a nie któraś z szyfrowanych linii.

Wybrał numer. Dobrze.

Odbierz, przyjacielu, odbierz, odbierz...

– Halo?

– Gene? To ja. Nie mogę długo rozmawiać. Potrzebuję twojej pomocy.

Stukanie do drzwi.

– Utonąłeś czy jak? Ile trzeba czasu, żeby się odlać? – grzmiał Dov.

– Zaczekaj, aż będziesz w moim wieku – odkrzyknął Daniel.

– No nie – odezwał się Gene w słuchawce.

Kiedy zadzwoniłem, żeby potwierdzić spotkanie, Zena była w księgarni.

– Jak szarmancko z twojej strony, że potwierdzasz spotkanie, A.

– Chciałem się tylko upewnić, czy nie jesteś zbyt zmęczona po przyjęciu.

– Ja? Nigdy. Wprost przeciwnie, kipię energią. Przygotuję coś do jedzenia – spaghetti z małżami, sałatkę Cezara i jakieś wino.

– Kobieta, i to gotująca.

– Och, naprawdę. – Roześmiała się. – Czasami się gotuję, czasami kipię. Zostawię klucz w pustej doniczce przy drzwiach. Będę gotowa.

O wpół do dziesiątej włożyłem uniform Andrew – szarą koszulę, workowate szare spodnie i tę samą tweedową marynarkę. Ta sama woda kolońska.

Noc była bezgwiezdna. Niebo miało kolor ciemnoszary kolor. W powietrzu czuło się woń mokrego papieru.

Ruszyłem La Brea w stronę Bulwaru Zachodzącego Słońca. Na Bulwarze aż kipiało od elastycznych ciuchów i skóry. Złudzenia udające nadzieję. Na wschód od Western nastąpiła zmiana: ciemne budynki przetykane zacienionymi rogami. Mdło, ponuro i zbyt cicho.

Jechałem jak automat, powoli, jakbym jechał po szynach. Dotarłem do Lyric tuż po dziesiątej. Wjeżdżałem pod górę krętą drogą, dzisiaj nie zastawioną samochodami.

Na Rondo Vista było cicho jak w grobie. Garaż Zeny był zamknięty, a przed jej domem stał samochód. T-bird z pięćdziesiątego ósmego roku. Różowy z białym składanym dachem, nieco już wyblakłym i podniszczonym.

To na pewno jej.

To samo mdłe światło sączące się z okna. Robiła nastrój?

Zaparkowałem i ciemną ścieżką ruszyłem do drzwi. Martwe pnącza bluszczu drżały poruszone wieczorną bryzą. Czulem nieodparte podniecenie, jakie zawsze towarzyszy pierwszej randce. Po ciemku szukałem klucza w doniczce. Stała na kupce wyschniętego nawozu.

Ze środka dobiegała muzyka.

Spokojne dźwięki elektrycznych gitar.

Piękna, senna muzyka.

„Spacer we śnie” Santo i Johnny’ego.

Zena rzeczywiście przygotowywała nastrój. Pamiętałem tę piosenkę z dzieciństwa. Kiedy święciła triumfy na listach przebojów, Zeny nie było jeszcze na świecie.

Otworzyłem drzwi, licząc na to, że zastanę ją w sypialni na dole. Sądziłem też, że może znaleźć jakiś liścik wskazujący mi drogę do wypchanych zwierząt.

Była w salonie, oświetlona słabą niebieską żarówką stojącej lampy.

Wyglądało to teatralnie. Leżała nago na sofie.

Odchyliła się, jedną rękę położyła wzdłuż sofy, jak „Maja Naga” Goi. Duże chętne oczy, doskonale uformowane maleńkie białe ciało opalizujące perłowo w niebieskim świetle. Sutki różowe i sterczące, za duże jak na takie małe piersi. Rozpuszczone czarne włosy. Nogi rozchylone na tyle, by można było dostrzec kępkę rozjaśnionych włosów łonowych i wyzierającą z nich różową szparkę. Drugie ramię spoczywało na płaskim gładkim brzuchu.

Poczułem zapach sosu z małży, ale w kuchni było ciemno.

Żadnej gry wstępnej. Jak się z tego wyplątać...

– Cześć – powitałem ją.

Nie odezwała się ani nie poruszyła.

Podszedłem bliżej i dopiero kiedy znalazłem się tuż przy niej, zauważyłem szramę wokół szyi. Miedziany drut wpił się w ciało tak głęboko, że był prawie niewidoczny.

Szeroko, bardzo szeroko otwarte niebieskie oczy. Wcale nie uwodzicielskie. Było w nich zaskoczenie, ostateczne zaskoczenie.

Odwróciłem się z zamiarem ucieczki, ale z tyłu ktoś mnie chwycił za łokcie.

Od uderzenia kolanem w plecy poczułem ból rozchodzący się po całym kręgosłupie. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

Poczułem ręce na własnej szyi. Znów ból, tym razem inny... poznałem zupełnie nową definicję bólu. Tył mojej głowy eksplodował. Ja...

Kierowca Mila nazywał się Ernest Beaudry i miał skórę czarną jak węgiel.

Liczył sobie około trzydziestu lat. Był przystojnym flegmatycznym mężczyzną i zagorzałym baptystą. Elegancki wąsik wyglądał, jakby przycinano go laserem, szeroka szyja zaś przypominała asfaltową drogę pokrytą siateczką mieszków włosowych.

Przysłano po Mila niebieskiego nie oznakowanego forda. Taki sam model, jakim jeździł Milo, tyle że samochód był nowszy i czystszy. Auto stało na policyjnym parkingu przed komendą. Kiedy zbliżali się do niego, Beaudry trzymał się blisko Mila i otworzył przed nim drzwi.

– Obsługa pierwsza klasa.

Beaudry nie odpowiedział, po prostu zamknął drzwi i usiadł za kierownicą.

Prowadził samochód z dużym doświadczeniem. Lubił jeździć samochodami. Już w dzieciństwie marzył o tym, żeby zostać zawodowym kierowcą wyścigowym, aż w końcu ktoś mu uświadomił, że nie dokonał tego jeszcze żaden Murzyn.

Policyjna radiostacja w samochodzie nadawała jak co wieczór słuchowisko na żywo składające się z zaszyfrowanych zawiadomień o przemocy, lecz Beaudry nie wsłuchiwał się w komunikaty. Wyjechał z parkingu i skierował się w stronę drogi numer 405.

– Jedziemy do śródmieścia? – upewniał się Milo.

– Tak.

Kiedy zaczęli wjeżdżać na estakadę, Milo się zaniepokoił:

– O co tu chodzi?

Nie uzyskał odpowiedzi, bo Beaudry jej nie znał, a nawet gdyby znał, miał dość oleju w głowie, by zatrzymać ją dla siebie. Droga numer 405 była zapchana autami wiozącymi z lotniska pasażerów wieczornych lotów. Ledwo posuwali się do przodu.

Milo powtórzył pytanie.

– Nie mam pojęcia, sir.

Minęli kilka samochodów.

– Pracujesz dla komendanta Wicksa?

– Tak.

– Jako kierowca?

– Tak.

– No cóż, tyle lat przepracowałem w policji i jeszcze nigdy nie przysłano po mnie szofera – powiedział Milo. – Mam dziś szczęście, co?

– Na to wygląda. – Beaudry opuścił lewą rękę na oparcie w drzwiach i trzymał kierownicę jednym palcem prawej ręki.

Samochody zaczęły jechać nieco szybciej.

– W porządku, po prostu usiądę sobie wygodnie i będę się rozkoszował jazdą – stwierdził Milo.

– Proszę bardzo.

Sturgis wyciągnął nogi i zamknął oczy. Jechali powoli, ale wciąż do przodu.

Miło i spokojnie... wtem Beaudry usłyszał:

– O cholera... Jezu.

Coś się poruszyło po prawej stronie. Beaudry obejrzał się przez prawe ramię i zobaczył, że Sturgis siada prosto.

– O... Jezu, nie mogę... – Ostatnie słowo zostało stłumione przez potężny świst wciąganego do ust powietrza. Beaudry ujrzał, jak Sturgis osuwa się z ręką przyciśniętą do piersi. Drugą ręką próbował poluzować krawat.

– Co się stało?

– Mój brzuch... moje serce... to pewnie tylko gazy... to te śmieci, które zjadłem na kolację... o Boże, znowu... Jezu... ależ to boli... cholera... to nie...

Sturgis znów usiadł nagle, jak dźgnięty. Łapał powietrze, charczał i szarpał za krawat, nie puszczając cienkiego materiału. Trzymał się za serce. Beaudry usłyszał, jak odskakuje blokada drzwi. Na desce rozdzielczej zapaliła się odpowiednia kontrolka.

– Wszystko w porządku...?

– Tak, tak... jedź pan do Parker, może mają... nie wiem... o cholera!

Długie nogi Milo zeszywniały, kolana wpiły się w winylową deskę rozdzielczą. Oczy miał zamknięte, wyglądał okropnie – ziemista skóra stężała mu na twarzy.

– Czy przechodził pan już coś podobnego? – zapytał Beaudry, starając się mówić spokojnie.

Milo zareagował głębokim niedźwiedzim jękiem.

– Czy doświadczył pan już...

– Och! Jezu!... dajcie mi... och... ach! – Sturgis wygiął się do tyłu i przygryzł wargę. Beaudry usłyszał szybkie chrapliwe oddechy.

– Zabieram pana do szpitala – zakomunikował.

– Nie, daj mi...

– Nie ma pan wyboru... gdzie jest najbliższy szpital... Cedars. W porządku. Wyjazd na Robertson, już niedaleko. Niech pan się trzyma.

– Nie, nie, nic mi... ach!

Z lewą ręką na kierownicy Beaudry włączył się na szybki pas ruchu i docisnął pedał gazu. Prawą ręką chwycił za telefon i wykręcił numer alarmowy.

W gabinecie wicekomendanta Wicksa nikt nie odbierał. Oczywiście, przecież prosili, żeby zaprowadzić Sturgisa prosto do sali konferencyjnej na czwar tym piętrze. Bez wątpienia chodziło o jakąś supertajną sprawę... Jaki tam mógł być wewnętrzny? Nie miał pojęcia. Może powinien zadzwonić przez centralę? Nie, dali mu jasno do zrozumienia, że cała rzecz jest niezwykle poufna. A to oznaczało jakieś ważne śledztwo. Oznaczało też, że obdarzono go większym zaufaniem niż zwykłego szofera. Być może przygotowywali dla niego jakieś lepsze i bardziej odpowiedzialne stanowisko...

Tymczasem jego pasażer jęczał i łapczywie chwycił powietrze, niczym ryba wyjęta z wody. Wyglądał, jakby za chwilę miał umrzeć w samochodzie. Proszę, taki otyły, pewnie nie ćwiczy, je same świństwa... ależ ty masz szczęście, Erneście Beaudry. Żyjesz bez zmartwień, spokojnie wychowujesz dzieci, masz porządną pracę z ciepłą posadką szofera. Delores jest szczęśliwa, bo nie musi się martwić, że postrzeli cię jakiś narkoman. Ernest chciał się dostać do drużyny kierowców, bo w ten sposób zaczynał jego wuj i dochrapał się stopnia sierżanta mimo rasizmu, jaki panował w policji. Wuj i inni krewni powiedzieli mu, że taki inteligentny i przystojny młodzieniec jak on może zaj ść nawet wyżej. Wożenie ważnych osobistości to możliwość nawiązania kontaktów. Może zostanie nawet szoferem samego komendanta.

Ba, zza kierownicy można nawet awansować na komendanta. Daryl Gates zaczynał od wożenia „Świętego” Williama Parkera. Ale z drugiej strony popatrz, Erneście, jak skończył Daryl Gates. Może to jednak odwrotnie, szoferowanie jest pechem, przekleństwem, złym urokiem. To, co działo się obok, na pewno dobrze nie wróżyło. Ten Sturgis mógłby się w końcu zdecydować czy ma zawał, czy męczą go gazy. Mógłby znowu zacząć oddychać normalnie...

Cisza. O nie...

– Wszystko w porządku?

Brak odpowiedzi. Ale Sturgis wciąż oddychał. Beaudry widział unoszący się wielki brzuch.

– Już dobrze – powiedział kojąco. – Zajmiemy się panem, jesteście już prawie na miejscu.

Twarz Sturgisa stężała jeszcze bardziej. Znów chwycił się za serce i niemal bezwładnie opadł na siedzenie, zsuwając się z niego. Dzięki Bogu, że miał zapięty pas. Rzucił się po całym samochodzie... i to świszczenie...

ROBERTSON 2 KILOMETRY. Beaudry zerknął w lusterko wsteczne i przeskoczył od razu cztery pasy, pędząc w stronę zjazdu z autostrady. Dzięki Bogu nie był zatłoczony. Na National przejechał w chwili, kiedy pomarańczowe światło zmieniało się na czerwone, i popędził na północ. Do Cedars było jeszcze ze trzy kilometry.

Nie umieraj mi tu, człowieku, zaczekaj przynajmniej aż tam dojedziemy. Pico, Olympic, kolejny ryzykowny przejazd na pomarańczowym świetle. Ktoś na niego zatrąbił.

Spadaj, mnie wolno, jestem z policji... Wilshire, Burton, jedziemy, jedziemy, jedziemy... Cedars, tak! Zakręt w Alden, wjazd na zabudowany parking, wprost na podjazd dla karettek. Nikogo tam nie ma. Sturgis się uciszył... ale wygląda coraz gorzej... czy wciąż oddycha? O Boże, daj mu odetchnąć jeszcze kilka razy. Może trzeba mu zrobić masaż serca? Nie, nie, oczywiście że nie, przecież wokół jest tylu lekarzy...

– Jesteśmy na miejscu, niech pan się trzyma! – krzyknął, hamując przed szpitalem. – Pomoc jest już w drodze.

Zostawił samochód na chodzie i wpadł do izby przyjęć. Wydarł się na zaspanego recepcjonistę, że trzeba natychmiast udzielić pomocy policjantowi.

W poczekalni siedziało mnóstwo starych chorych ludzi, ofiar wypadków i szumowin wszelkiej maści. Nim recepcjonista zdążył się odezwać, Beaudry już go minął i chwycił pierwszą osobę w kitlu, na którą się natknął – pielęgniarkę z Filipin, a potem jakąś początkującą lekarzkę. Całą trójką popędzili – zupełnie jak w telewizji – do samochodu.

– Gdzie ten chory? – zapytała rudowłosa lekarka. Wyglądała na szesnaście lat, ale na plakietce miała napisane „lekarz medycyny S. Goldin”.

– Tutaj. – Beaudry otworzył drzwi od strony pasażera.

Samochód był pusty.

W pierwszej chwili pomyślał, że Sturgisa chwycił kolejny atak, w jakiś sposób otworzył drzwi i wypadł z samochodu, a później gdzieś się podczołgał, żeby umrzeć... Zaczął biegać wokół samochodu. Zajrzał nawet pod spód.

– Gdzie ten chory? – powtórzyła lekarka ze sceptyczną miną.

Stała i razem z pielęgniarką przyglądała się Beaudry'emu. Patrzyły najęgo plakietkę, mundur, paski

na pagonach. Sam Browne uzbrojony w dziewięćmilimetrowy pistolet.

Uznały, że rzeczywiście jest policjantem, ale co, u diabła, wyczynia?

Beaudry biegał po całym parkingu, zaglądał to tu, to tam, pod i między wszystkie samochody. Wysmarował sobie mundur, obcisłą koszulę miał moką od potu.

Kiedy wrócił, doktor S. Goldin powtórzyła znów:

– Gdzie ten chory? Co tu się dzieje, panie oficerze?

Teraz Beaudry oddychał ciężko i jego zakłuło coś w piersiach.

Stój prosto, nie okazuj stresu.

– Dobre pytanie – odparł.

To tyle, jeśli chodzi o rodzinne porady. Zawód szofera na pewno był przekleństwem.

Świeżo upieczony emeryt, kapitan Eugene Brooker miał piętnaście kilo nadwagi, nieco za wysokie ciśnienie i lekką cukrzycę. Musiał jednak iść pod górę.

Stary człowiek i góra. Ale widok. Kiedy córki pytały go o zdrowie, zawsze odpowiadał: „Czuję się jak dziecko”.

A więc dzisiaj przyszło mu zmierzyć się z tym kłamstwem.

Telefon od Danny'ego zaskoczył go. Danny dzwonił z łazienki w konsulacie, mówił dwa razy szybciej niż zwykle. Zakończył słowami: „To pewnie nic takiego. Rób, co możesz, Gene, ale nie narażaj się na niebezpieczeństwo”.

Rozmowa ukradkiem z kibla? Dlaczego musiał kryć się przed własnymi ludźmi?

Brooker wspinał się, idąc Lyric. Trzymał się cienia, jeśli tylko mógł. Samochód zostawił daleko na Hyperion. Zabrał ze sobą tylko dwie sztuki broni: stary służbowy rewolwer, który z przyzwyczajenia wciąż czyścił i oliwił, oraz dziewięćmilimetrowy pistolet, który trzymał w szufladzie nocnej szafki. Nie brał długiej broni, bo wszystkie trzy karabiny leżały już zapakowane w przyczepie, czekając na przeprowadzkę. Poza tym była to broń na zwierzęta, a nie na ludzi. Zresztą karabiny zbyt rzuciły się w oczy. Przesadnie uzbrojony Murzyn wałęsający się nocą po wzgórzach... tego już nawet nie można było wziąć za żart.

Pod górę, pod górę i do przodu... Starał się oddychać powoli. Ile to już czasu minęło, odkąd pracował, naprawdę fizycznie pracował w policji? Wolał o tym nawet nie myśleć.

Znajdował się w miernej kondycji, ale przy cukrzycy należało uważać z ćwiczeniami. Kogo oszukiwał? Od czasów drużyny futbolowej w college'u i patrolowania ulic w Central nie zrobił nic, co choćby trochę przypominało sport...

Wejdę na każdą górę, przejdę każdy strumień... pach, pach... w starych wygodnych butach Nike'a szedł niemal bezszelestnie.

Zapamiętał adres przy Rondo Vista.

Szedł powoli, równym tempem. Głupio by było, gdyby dostał tutaj ataku serca i skończył pod kołami jakiegoś samochodu albo i gorzej.

Nie ma się co spieszyć, na pewno wszystko będzie w porządku, tak jak zapewniał go Danny. Wolał się jednak zabezpieczyć, żeby doktorkowi nic się nie stało.

Danny nie miał czasu, żeby opowiedzieć wszystko ze szczegółami. Chodziło głównie o to, że w tę sprawę może być zamieszany gliniarz o nazwisku Baker, którego Gene nie znał. Należało na niego uważać. Jeździł saabem kabrioletem.

Gliniarz odpowiedzialny za wszystkie te krwawe mordy? Przy tym sprawa Rodneya Kinga wyglądałaby jak pogodny musical. Poza tym Gene wiedział, że do spisku należała też szalona dziewczyna, z którą doktorzek robiący za tajniaka umówił się na randkę.

Dlaczego na przynętę wysłali tego psychologa?

Jak Danny i Sturgis złożyli to wszystko do kupy?

Dowie się tego jutro. Dziś musi mieć oko na ten dom. Gdy doktorkowi będzie zagrażać niebezpieczeństwo, należy odwrócić jakoś uwagę napastników.

A jeśli trzeba, zrobić nawet więcej.

Do Rondo Vista dotarł niemal bez tchu. Chciał odchrząknąć, ale na ulicy było za cicho, żeby wywoływać taki hałas. Musiał więc pogodzić się z flegmą w gardle.

Przed wyjściem zjadł pomarańczę, żeby utrzymać odpowiedni poziom cukru we krwi. Zapewne powinien częściej chodzić na badania, ale nie chciało mu się z tym wszystkim bawić.

Stojąc tak i wypatrując domu, uświadomił sobie, że dudni mu w uszach. Krew pod wysokim ciśnieniem uderzała jak przyptyw. Luanne zmarła na wylew... nie, bez sensu teraz o tym rozmyślać... Boże, jak tu cicho.

Okolica w sam raz dla rodziny Charlesa Mansona. Można by tu poćwiartować człowieka na samym środku ulicy i do wschodu słońca nikt by nic nie zauważył... Oto jest i dom, mały, biały z ciemnymi szlaczkami – szarymi albo niebieskimi.

Obejrzał teren wokół domu i przyjrzał się stojącym w pobliżu samochodom.

Tego volkswagena karmann ghia Danny dał doktorkowi. Stary różowy t-bird na podjeździe musiał należeć do dziewczyny.

Nie widział żadnego innego poza tymi, które mijał, kiedy wspinał się tutaj. Kilka małych samochodzików i jedno cacko, białe porsche 928. Bez wątplenia oczko w głowie kogoś z tutejszych mieszkańców. Porsche dobrze pasowało do takiego domu na wzgórzu. Życie jak za starych czasów, które nigdy mu się specjalnie nie podobały...

Danny kazał mu wypatrywać trzech aut: chevroleta furgonetki, który być może stał w garażu, saaba należącego do Bakera i mercedesa sedana, którego właścicielem był jeszcze jeden psycholog nazwiskiem Lehmann.

O co w tym wszystkim, u diabła, chodziło?

Rozejrzał się uważnie. Żadnego z tych samochodów nie było w pobliżu. Może stały w garażu.

Gdyby działał oficjalnie, zaraz kazałby sprawdzić wszystkie samochody w promieniu kilometra – te małe zabawki i to porsche również, a tak...

Emerytura.

Uświadomił sobie, że oddycha już normalnie, czuje się dobrze, nawet świetnie. Już nie waliło mu w skroniach, skóra się nie lepiała, zniknęły wszystkie oznaki hipoglikemii.

Rewolwer w kaburze na ramieniu, pistolet zatknięty za pasem na plecach.

Doskonale. Ostatnia akcja, nim wyruszy do Arizony na powolne umieranie.

Po kolejnych dziesięciu minutach obserwacji zza drzewa postanowił bliżej przyjrzeć się domowi.

Między domem szalonej dziewczyny a lokum jej południowego sąsiada widniała szczelina, przez którą Gene dostrzegł światła. Po drugiej stronie kanionu też stały domki na zboczu.

Z tego co widział, góra opadała ostro, więc chyba mieszkańcy nie mieli z tyłu dużych podwórek.

Danny powiedział, że jeśli Sturgis się zjawi, będzie stał prawdopodobnie w tamtym miejscu, ale miał przecucie, że Sturgisowi nie uda się dotrzeć na Rondo Vista.

W głosie Izraelczyka słyszał zimny, cichy gniew. Niezwykłe...

Sturgis. Gene nie znał tego faceta. Widział go tylko raz z daleka. Wyglądało na to, że jest w niewiele lepszej kondycji od Gene'a. A można by pomyśleć, że geje powinni mieć obsesję na punkcie własnego ciała. Luanne powiedziała kiedyś, że to chyba najzgrabniejsi mężczyźni, pewnie dlatego, że nie mieli rodzin, za to mieli sporo czasu na ćwiczenia...

Nagle tok myśli urwał się gwałtownie. Czyżby podświadomie coś usłyszał?

Jakiś szmer?

Nie, cisza. Wokół domu też nic się nie zmieniło.

Znów przyjrzał mu się dokładnie. Okna od frontu były niewielkie. Dom wbudowano w zbocze góry. Cała dolna kondygnacja znajdowała się poniżej poziomu drogi. Z tyłu pewnie miał za to mnóstwo okien, z których roztaczał się wspaniały widok. Jak się tam dostać? Czy będzie mógł tam gdzieś stanąć? Pewnie tak, skoro ktoś taki jak Sturgis wybierał się tam na zwiady.

Dość tej ciekawości. Miał tu stać na wszelki wypadek, gdyby zdarzyła się ta całkiem nieprawdopodobna sytuacja, że będzie musiał ruszyć stare kości i włączyć się do akcji.

Gdyby Luanne żyła, pewnie powiedziałaby: „Gdzie się wybierasz? Kochanie, czy nie możesz poradzić sobie w jakiś inny sposób z kryzysem wieku średniego?”

Tamtej nocy, kiedy znalazł ją na podłodze w kuchni... stop. Nawet nie wspominaj jej imienia, nie przypominaj sobie twarzy.

Boże, ależ mu jej brakowało...

Postanowił przespacerować się przed domem i sprawdzić północny kraniec posiadłości.

Kiedy zrobił pierwszy krok, coś wcisnęło mu się w kość za lewym uchem i jakiś głos szepnął:

– Nie ruszaj się. Nawet nie drgnij. Ręce do góry... bardzo powoli... za głowę, chwyć się za głowę.

Ktoś chwycił go za ramię i obrócił do siebie.

Tłumiąc myśli w rodzaju „O cholera!” Gene przygotowywał plan awaryjny – musiał ocenić przeciwnika, spróbować przyłapać go na chwili nieuwagi i uderzyć zniemacka w brzuch, może nawet przewrócić, tak czy inaczej odwrócić jego uwagę...

Napastnikiem okazał się Sturgis. Był wściekły. Miał zielone oczy. O Boże, jak one błyszczały w ciemności. Widać było po nim wysiłek i stres.

Patrzyli na siebie nawzajem. Sturgisowi brakowało guzika u koszuli. O niecałe pół metra od nosa Gene'a znajdowało się coś czarnego i plastikowego, pewnie jeden z tych niemieckich glocków.

– Hej – szepnął Gene – jestem już tylko cywilem, ale szarża powinna chyba jeszcze coś znaczyć, prawda, detektywie?

Sturgis nie spuszczał z niego wzroku.

– Czy mogę opuścić te cholerne ręce, detektywie Sturgis?

Lufa glocka powędrowała w dół.

– Co pan tu robi, kapitanie?

Gene opowiedział mu o telefonie z łazienki. Sturgis nie wyglądał na zaskoczonego, lecz na jeszcze bardziej wściekłego.

Ten niedbały wygląd. Jego też próbowali powstrzymać, ale udało mu się uciec.

– Pana też chcieli przetrzymać? – zapytał Gene.

Skinął niewyraźnie głową.

– Zatrzymali pana Izrealczycy?

Sturgis rozszerzył usta, odsłaniając zęby jak z horroru. Gene dziękował Bogu, że ten facet jest gliniarzem.

Nagle zrozumiał.

– Policja? – zapytał.

Sturgis nie odpowiedział.

– Cholera... i udało się panu uciec.

– Tak, jestem, cholera, jak Houdini.

– I teraz wdepnął pan w niezłe gównno.

Sturgis wzruszył ramionami i opuścił lufę pistoletu wzdłuż ciała.

– Dzięki temu życie nie jest nudne. – Zaprowadził Gene'a z powrotem za drzewo.

– Od jak dawna pan tu jest? – pytał Gene.

– Przyjechałem jeszcze przed panem.

– Gdzie zostawił pan samochód?

Sturgis wskazał kciukiem.

– Tamto porsche.

Cacko któregoś z okolicznych mieszkańców, akurat, pomyślał Gene. Swój policyjny instykt mógł sobie schować do lamusa. Dobrze, że wysłali go na zieloną trawkę.

– Pan i Daniel mieliście we dwóch obserwować dom – rzekł Gene. – On miał się schować z tyłu. Przymierza się pan teraz do tego?

Sturgis nie odpowiedział.

Czyż to nie piękny obrazek? Sam na ciemnej cichej ulicy z detektywem homoseksualistą. I wcale mu to nie przeszkadzało. A wiele lat temu...

– Miał się tam schować z mikrofonem i magnetofonem – wyjaśnił Milo. – Pójdę tam, ale jeśli zaciągną zasłony, to niewiele zobaczę. Nie podoba mi się to, ale doktor Delaware jest już w środku.

– Rozumiem – odparł Gene. – Daniel mówił także, że pewnie nic się nie stanie.

– Miejmy nadzieję. Doktor Delaware naraża się na ogromne ryzyko.

– Oddany sprawie, co?

– Nawet nie wie pan jak bardzo.

– Wiem – odparł. – Pracowałem z Sharavim nad jedną sprawą. Chodziło o seryjnego zabójcę w czasach, kiedy ich jeszcze tak nie nazywano. Gość jest bardzo przyzwoity. Nie spotkałem dotąd lepszego detektywa.

Sturgis wciąż się rozglądał. Jego dzikie oczy były w ciągłym pogotowiu. Jakby słyszał coś, czego nie słyszał Gene.

– Skoro tu jestem, to ma pan przynajmniej wsparcie – powiedział Gene. – Ustalmy jakieś sygnały.

– Mieliśmy przecież korzystać z telefonów komórkowych, ale wszystko się pochrzało. Zostawiłem sprzęt w domu, gdyż zabrali mnie prosto z komendy.

– Ale pistolet panu został.

– Został. Miałem go w kaburze pod spodniami. Kierowca mnie nie przeszukiwał, próbowali tę przejażdżkę upozorować na jakiś pozytywny gest ze strony komendy śródmieścia.

– A więc był kierowca – stwierdził Gene. – Trzeba uważać, kiedy przysyłają eskortę.

Sturgis ni to mruknął, ni to parsknął śmiechem. Wielki facet. Nikt by nie przypuszczał, że jest homoseksualistą.

– W porządku, ustalmy sygnały – powiedział.

Gene czekał chwilę, aż Milo coś wymyśli. Nie palił się do tego, bo Sturgis wciąż służył w policji i znał więcej szczegółów niż on.

W końcu Sturgis odezwał się:

– A może tak: pan tu zostanie i będzie wypatrywał samochodów...

– Saaba z płóciennym dachem, chevroleta furgonetki i mercedesa.

– Doskonale. Dwa mogą stać w garażu, choć muszę powiedzieć, że byłem tu dzisiaj kilka razy i nie widziałem żadnego z nich. Ja pójdę na tyły domu. Co pół godziny stanę w tej szczelinie między domami, o tam, i jeśli wszystko będzie w porządku, podniosę rękę. Zobaczy mnie pan na pewno, bo od tamtych domów w oddali dobiega światło. Będę wychodził tylko na sekundę, więc musimy się dobrze zgrać. Jeśli nie wyjdę, proszę odczekać kolejne pięć minut i sprawdzić, co się dzieje. Gdy nie zobaczy mnie pan, od razu proszę odwrócić ich uwagę...

– Zapukać do drzwi? – upewniał się Gene. – Jako dostawa pizzy lub chińskiej żywności?

Zamiast odpowiedzieć, Sturgis rozejrzał się ponownie, choć Gene nie miał pojęcia po co.

– Tak, cokolwiek pan wymyśli – odparł wreszcie na pytanie Gene'a. – No dobrze, jak w kiepskim filmie szpiegowskim: zsynchronizujmy nasze cholerne zegarki.

Obaj podciągnęli rękawy. Gene mrużył oczy, wpatrując się w tarczę seiko divera, kiedy nagle coś wytrąciło go z równowagi. Zauważył tylko, jak dłoń w czarnej rękawiczce uderza Sturgisa w rękę, w której trzymał pistolet. Glock upadł na ziemię z głuchym stukotem.

Gene patrzył, jak Sturgis zapada się w ciemność. Jego samego złapali za ręce z tyłu. Wygięli mu je i skuli kajdankami. Sturgisa również. Obu zasłonięto usta czarnymi rękawiczkami.

Czarne postacie wyszły z cienia.

Pojawiły się znikąd... gdzie, u licha, stali...

Widział co najmniej trzech z nich. Uzbrojeni byli po zęby... Jezu, te pistolety maszynowe. Gene widział takie podczas zgarniania gangów. Nigdy z czegoś takiego nie strzelał, bo w przeciwieństwie do innych policjantów nie przepadał za bronią.

Sturgisa usunięto z pola widzenia. Gene czuł, że ktoś go ciągnie w przeciwną stronę.

Sytuacja jak ze slapstickowej komedii o policjantach z Keystone. Teraz pewnie zginie nie od tej cholernej cukrzycy, lecz od czegoś innego.

Głupcze, głupcze, głupcze, nigdy nie lekceważ przeciwnika. Gliniarz taki jak Baker to poważny wróg, ale mimo to i on, i Sturgis byli zawodowcami, jak mogli...

Czyjeś ręce ciągnęły go w dół zbocza.

– Ciiii – szepnął mu ktoś do ucha. Przed oczami stanął mu obraz pełnej rozczarowania twarzy Luanne.

Och, kochanie. Tak, najdroższa, spieprzyłem sprawę. Wkrótce do ciebie dołączę...

Powieki zwarłem ciasno jak metalowe okiennice. W ustach czułem metaliczny smak. Oddychanie sprawiało mi trudność. Każdy haust powietrza wywoływał ból w płucach. Łupanie w głowie przekładało się na kolory: szkarłatny, pomarańczowy i czarny.

Kręciło mi się w głowie, ale nie straciłem przytomności. Próbowałem otworzyć oczy. Powieki były zbyt ciężkie. Słyszałem, czułem zapachy – skąd tyle tego metalu? – czułem, myślałem. Czułem, jak ktoś mnie podnosi, czułem ucisk na nadgarstkach i kostkach. To znaczy, że było ich co najmniej dwóch... Obijałem się po drodze.

Stopnie... schody na dół do sypialni.

Opuszczono mnie na coś miękkiego. Pachnącego perfumami.

Perfumami Zeny. To było łóżko Zeny.

Znów ucisk. W nadgarstkach, kostkach, na brzuchu. Coś ciężkiego – suchy, ciepły ciężar, jakby usiadł na mnie pies.

Usłyszałem, jak zatrząskują się klamry. Teraz nie mogłem się ruszać.

W potylicy czułem żar i pieczenie, jakby jakaś larwa załęgła mi się pod czaszką i teraz gryząc torowała sobie drogę na zewnątrz... w zgięciu ramienia pulsował mniejszy ból.

Zimne ukłucie... zastrzyk.

Znów próbowałem otworzyć oczy. Mignął mi promień światła i powieki znów opadły.

Wszystko w porządku, przecież Milo i Daniel wiedzą o mojej wyprawie. Daniel wszystkiego słucha.

Nagle zacząłem się zastanawiać. Przecież odkąd wszedłem do domu i powiedziałem „cześć” do Zeny, nie słyszałem żadnego dźwięku.

Czy moi przyjaciele uznali, że Zena spełnia swoje obietnice i spontanicznie, po cichu zaczyna się ze mną kochać?

A może niczego nie słyszą z powodu awarii sprzętu? W końcu takie rzeczy się zdarzają. Nawet promy kosmiczne spadają z nieba.

Czyżby czekali na jakiś sygnał z mojej strony?

Nie mogłem poruszyć wargami.

Odpoczywaj, zachowaj spokój, zbieraj siły.

Zgodnie z planem miałem odsłonić story w salonie. Czy to, że tego nie zrobiłem, nie zaniepokoiło ich?

Gdzie oni się podziewają?

Musiałem coś powiedzieć do parabolicznego mikrofonu.

Oddychanie przychodziło mi z takim trudem, w gardle czułem potężny ból. Tym razem straciłem przytomność.

Znów się ocknąłem. Nie miałem pojęcia, jak długo byłem nieprzytomny. Otworzyłem szeroko oczy. Źrenice boleśnie rozszerzały się, chłonąc jasne światło w pokoju.

Sufit sypialni, niewiele więcej widziałem.

Biały sufit malowany sprayem.

Światło pochodziło z taniego plastikowego żyrandola. Biały, z okrągłym szpicem z mosiądzu, wiszący pośrodku sufitu, niczym sutek na wielkiej białej piersi... Zena miała takie małe piersi...

Przycisnąłem głowę do piersi, żeby zobaczyć, co mnie krępuje. Skórzane pasy. Grube brązowe pasy, jakie stosowano w szpitalach. Podczas praktyki na oddziale psychiatrycznym zastanawiałem się, jak się czuje człowiek w takich pasach...

Po lewej mignęły mi jakieś kolory. Staralem się odwrócić w tamtą stronę, ale wywołałem tylko kolejne tremolo bólu w szyi.

Ból rozchodził się po całym kręgosłupie, jakby ktoś prowadził mi po kręgach nóż do filetowania.

Powiedz coś do tego cholernego mikrofonu.

Ale język miałem zbyt miękki. Bezużyteczna masa zajmowała tylko miejsce w śmietniku, który przez przypadek uchodził za moją jamę ustną.

Wygiąłem się jeszcze bardziej, by obejrzeć ten kolor po lewej.

Oczy. Białe oczy z płaskimi czarnymi źrenicami.

Martwe oczy... z plastiku.

Wypchane zwierzęta, zdaje się że cały stos ułożony pod ścianą po lewej. Za nimi kolejna zasłona. Za nią zapewne jeszcze jedne rozsuwane drzwi ze szkła.

Oczy pluszowych misiów, ogromnej pandy z opuszczoną głową. Postacie z filmów Disneya, orka – zapewne pamiątka z Podmorskiego Świata i jeszcze wiele innych pluszowych stworów, których nie widziałem wyraźnie.

Kolekcja Zeny... to zdziwione spojrzenie, które wzięłem za podniecenie...

Drut wokół szyi pokryty krwią. Wpił się tak głęboko, że niemal odciął jej głowę.

Poruszyłem się, a pasy przycisnęły moją klatkę piersiową, przedramiona i piszczele.

Ale łatwiej mi się oddychało.

– Dobrze – powiedziałem.

Wyszło mi ledwie słyszalne „brze”.

Czy to wystarczyło, żeby mikrofon zareagował?

Próbowałem się odprężyć. Uspokoić. Oszczędzać energię na rozmowy.

Kiedy pracowałem nad kolejną sylabą, światło zasłoniła mi czyjaś twarz.

Czyjeś palce chwyciły i podniosły moją powiekę, po czym ją opuściły. Coś łaskotało mnie w nos, drapało nawet. Twarz była tak blisko, że nie mogłem skupić na niej wzroku.

Wreszcie się odsunęła.

Brudna broda o blond włosach przesunęła się po moim podbródku.

Śmierdziało z niej sfermentowanymi resztkami jedzenia, a na czerwonej skórze osiadły płatki łupieżu. Z okolonych brodą ust ział na mnie gorący i kwaśny oddech. W zakątku między nozdrzem a policzkiem przycupnął sobie pryszcz.

Twarz oddaliła się jeszcze bardziej i ujrzałem Wilsona Tenneya, znów ubranego w koszulkę, tym razem zieloną z napisem FESTIWAL SZUKI STANU ILLIONOIS.

– Ocknął się.

– Ładnie się obudził – odezwał się inny głos. – Tak szybko.

– Musi być w dobrej kondycji. Pożytki z cnotliwego życia – powiedział Tenney. Nagle jego twarz przesunęła się w prawo i zniknęła, jakby zeszła ze sceny. Jej miejsce zajęła inna, gładko ogolona, dobrze ukrwiona i opalona.

Wes Baker skrzyżował ręce na piersiach i patrzył na mnie ze średnim zainteresowaniem. W soczewkach okularów odbijało się światło. Baker miał na sobie doskonale wypraną różową koszulkę. Rękawy starannie podwinięte do góry na grubych brązowych rękach. Wzrokiem sięgałem tylko do trzeciego guzika koszuli.

W prawej ręce trzymał małą strzykawkę wypełnioną czymś przezroczystym.

– Chlorek potasu? – odezwałem się na użytek mikrofonu, ale nie wyszło to najlepiej.

– Zacznie pan mówić za kilka minut – zapewnił mnie Baker. – Niech pan poczeka jeszcze chwilę, aż ośrodkowy układ nerwowy wróci do równowagi.

Z tyłu usłyszałem chrapliwy śmiech. Tenney.

– Chlorek potasu – spróbowałem znowu. Tym razem wyraźniej, pomyślałem.

– Niechże się pan uspokoi – rzekł Baker. – Najwyraźniej należy pan do grupy istot upartych. Na ile zdołałem się zorientować, jest pan też dość inteligentny. Szkoda, że nie mieliśmy nigdy czasu porozmawiać o ważnych sprawach.

A może teraz, pomyślałem.

Próbowałem to powiedzieć, ale wydałem z siebie tylko jakieś mysie popiskiwanie. Gdzie się podziewali Daniel i Milo?

Nagrywali, czekając na dowody? Ale... na pewno by mnie nie zawiedli, na pewno widzą, co się dzieje, i są gotowi do...

– Jak błogo wygląda, prawda, Willy? – odezwał się Baker. – Stworzyliśmy kolejne arcydzieło.

Tenney przyłączył się do niego. Wyglądał na rozgniewanego, za to Baker się uśmiechał.

– Zenę też... ułożono artystycznie... – Mówiłem już prawie wyraźnie. – Goya...

– Oto ktoś, kto docenia nasz wysiłek – odezwał się Baker.

– Upozowana... – Jak Irit, Latwinia i...

– Całe jej życie było jedną wielką pozą – wtrącił się Tenney.

– Nie zastosowaliście... delikatnego uduszenia?

Tenney zmarszczył brwi i zerknął na Bakera.

– Dlaczego ją zabiliście? – zapytałem. Dobrze, teraz słowa już wychodziły wyraźnie, a język skurczył się do normalnych rozmiarów.

Baker potarł podbródek i pochylił się nade mną.

– A dlaczego nie?

– Była... wyznawczynią...

Podniósł palec, uciszając mnie. Profesorski nawyk. Przypomniałem sobie, co Milo mówił na temat jego umiłowania do wygłaszania wykładów. Niech mówi, niech to wszystko się nagrywa.

– Zena była odbiornikiem – powiedział. – Prezerwatywą z kończynami.

Tenney roześmiał się. Zobaczyłem, że wydłubuje sobie coś z kącika oczu i odrzuca paproszek.

– Zena zeszła z tego łez padołu zaspokojona – powiedział, dotykając ręką rozporoka.

Baker miał minę zmęczonego, ale tolerancyjnego ojca.

– To straszne, Willy. – Uśmiechnął się do mnie. – Może to zrujnuje pański szacunek do samego siebie, lecz seksualnie Zena była równie wybredna jak muszka owocówka. Nasza mała dziwka.

Odwrócił się do Tenneya.

– Powiedz, jakie Zena miała motto życiowe.

– Stuk, puk, stuk, puk, dla mnie dobry każdy fiut – wygłosił sentencję brodac.

– Była przynęta – stwierdziłem. – Dla Ponsico, dla mnie... dla innych?

– Przynęta – powtórzył Baker. – Łowił pan kiedyś ryby?

– Nie.

– To doskonała rozrywka. Świeże powietrze, czysta woda, zakładanie przynęty. Na nieszczęście nawet najlepsze zużywają się po zbyt wielu kęsach ze strony ryb.

– Malcolm Ponsico stracił entuz... – zapytałem.

– Stracił serce dla sprawy – wyjaśnił Tenney. – Zachowywał się jak śnięta ryba, że tak powiem. Wkrótce stało się jasne, że zaczął się psuć – od głowy.

– Willy – strofował go Baker – doktor Alex na pewno potrafi cię przekonać, że nadmiar nieudanych kalamburów to oznaka choroby psychicznej. Czyż nie?

– Tak. – Tym razem mój głos zabrzmiał normalnie. Przynajmniej w moich uszach. W głowie mi się rozjaśniało. Wracałem do normy.

– Lepiej się pan czuje? – zapytał Baker, wyczuwając poprawę.

Bawił się strzykawką, po czym usłyszałem metaliczny szczęk. Gdzieś ją odłożył. Skórzane pasy blokowały dopływ krwi do moich kończyn. Miałem wrażenie, że ciało mi się rozpływa. A może to resztki narkotyku gromadzące się w dolnych partiach ciała?

– A jakiego typu jest ta moja choroba? – zapytał Tenney. – Depresja czy mania?

– Mania – odparłem. – I hipomania.

– Hmm. – Poglądził brodę. – Nie lubię mówić o sobie, że jestem hipo... coś tam. – Nagle

uśmiechnął się. – Chyba że hipodermiczny, bo potrafię ludziom zaleźć za skórę.

Parsknął śmiechem. Baker uśmiechnął się.

– Może to dlatego czułem się czasami jak mięczak. A może tylko macę jak mątwą.

– Cóż za dowcip – podsumowałem. Poczerwieniał na twarzy. Wyobraziłem sobie Raymonda Ortiza porwanego z toalety w parku, jego zakrwawione buty.

– Ja bym go nie drażnił – poradził mi Baker niemal matczynym tonem. – Kiepsko to znosi.

– A czym go rozdrażnił Raymond Ortiz?

Tenney ukazał żółte zęby. Baker odwrócił się do mnie plecami.

– Powiesz mu, Willy?

– A po co? – odparł Tenney. – Nie mam potrzeby oczyszczania duszy. Wyłuszczenia, dlaczego załatwiłem tę płotkę. Waga Temidy znajduje się w równowadze. Nie rzucajmy już na nią pereł mądrości. Nie trapią mnie żadne zwątpienia.

Nagle zbliżył brodę do mojej twarzy. Poczulem na szyi jego rękę.

– No dobrze – odezwał się, plując kropelkami śliny. – Skoro nalegacie. Ten mały degenerat zburzył spokój mego życia. W jaki sposób? Brudząc w łazience. Zawsze i ciągle. Ilekroć z niej korzystał, zawsze brudził. Rozumiesz?

Pochylił się, jeszcze bardziej naciskając na moją szyję. Niemal dusząc się, usłyszałem głos Bakera:

– Willy.

W kącikach oczu zobaczyłem czerń i uświadomiłem sobie, że coś jest nie tak. Milo nigdy nie dopuściłby, żeby sprawy zaszły aż tak daleko. Nacisk zelżał. Tenney miał wilgotne przekrwione oczy.

– Ta głupia kupka DNA nie potrafiła nauczyć się, jak korzystać z papieru toaletowego – ciągnął. – Cechowała go też nadprodukcja. Wydalał z siebie kilogramy gówna. Chyba trzymał je całymi dniami czekając, aż przyjdzie do parku i będzie mógł zostawić je tam na pamiątkę. On i te inne kulawe obleśne stwory. I tak dzień po dniu.

Odwrócił się do Bakera.

– To doskonała metafora tego, co się dzieje ze społeczeństwem, prawda, sierzancie? Srają na nas, a my sprzątamy. Płacimy im, żeby na nas srali, a potem sprzątamy!

– A więc zabiłeś go w łazience – powiedziałem.

– A gdzieżby indziej?

– A te zakrwawione buty...

– Pomyśl! – przerwał mi Tenney. – Pomyśl tylko, co on zrobił z moimi butami!

Spróbowałem wzruszyć ramionami, choć przeszkadzały mi pasy. Jestem zdany sam na siebie... co mam robić... – myślałem gorączkowo.

– Zmęczyło mnie to ciągle wchodzenie w jego gówna! – Tenney krzyczał i spryskiwał wszystko wokół deszczem kropli śliny. – Nie płacili mi za to!

Znów dotknął palcami mojej szyi, po czym obrócił się i nagle odszedł. Słyszałem kroki, otwieranie i zamykanie drzwi.

Zostałem sam na sam z Bakerem.

– Boli mnie szyja – powiedziałem, próbując znów zawiadomić Milo i Daniela, ale moja wiara w ocalenie gasła. – Mogę prosić o rozluźnienie tych pasów?

Baker pokręcił głową. Znów miał w ręce strzykawkę.

– Chlorek potasu – powtórzyłem. – Tak jak w przypadku Ponsico.

Baker nie odpowiedział.

– Buty Raymonda – mówiłem dalej. – Nic nie działo się przypadkiem, wszystko miało jakiś powód. Morderstwo Irit Carmeli upozorowaliście na zabójstwo na tle seksualnym. Jej matka uważała, że ją napastowałeś seksualnie, więc zemsta musiała nosić podobny charakter. Ale musiałeś odróżnić się od innych zbrojczyków. Ty i Nolan. Jego podniecała dominacja nad małymi dziewczynkami.

Baker znów odwrócił się do mnie plecami.

– Czy Irit to była sprawka Nolana, czy was obu? Bo moim zdaniem, mieliście podobne gusty. Młode dziewczęta, śniadolice. Takie jak Latvinia. Zabiłeś ją sam, czy przy pomocy Tenneya? A może jest ktoś jeszcze, kogo nie miałem przyjemności poznać?

Stał bez ruchu.

– Podobnie jak Ponsico, Nolanowi brakowało woli – rzekłem. – Co ważniejsze, pozostały mu resztki sumienia i przeżywał to, czego się dopuścił. Wysłałeś go do Lehmana, ale to nie pomogło. Jak mogłeś go powstrzymać przed opowiedzeniem wszystkiego?

Znów brak odpowiedzi.

– Siostra. Powiedziałaś mu, co jej zrobisz, jeśli Nolan spróbuje kogokolwiek zniszczyć poza

samym sobą. A gdyby znów zawiodła go wola i nie wsadziłby sobie lufy do ust, sam byś się nim zajął, co?

Baker poruszył lewym barkiem.

– Proszę potraktować to jako eutanazję. Nolan cierpiał na nieuleczalną chorobę.

– Jaka?

– Gorączkowe żale. – Usłyszałem jego śmiech. – Teraz i tak musimy dopaść jego siostrę. Bo może pan ją uświadomił.

– Nie zrobiłem tego.

– Kto poza Sturgisem wie o tym wszystkim?

– Nikt.

– No cóż – powiedział – przekonamy się o tym... Zawsze lubiłem Karolinę Północną. To kraina koni. Spędziłem tam przed laty jakiś czas, hodując czystej krwi rumaki.

– Jakoś dziwnie nie jestem zaskoczony.

Odwrócił się i uśmiechnął.

– Konie są niezwykle silne. Konie mocno kopią.

– Więcej zabójstw, więcej zabawy.

– Ma pan całkowitą rację.

– A więc ideologia, czyli eugenika, nie ma tu nic do rzeczy?

Pokręcił głową. Miał pogodną minę, niczym sielankowy drużynowy skautów z obrazów Normana Rockwella.

– Proszę odrzucić to, co uważa się za motywy i motywację. Pozostanie smutna prawda: zazwyczaj robimy różne rzeczy, bo możemy je robić.

– Zabijałeś ludzi, żeby udowodnić, że jesteś w stanie...

– Nie, nie żeby coś udowodnić. Po prostu dlatego, że mogłem. Z tego samego powodu wszyscy dłubiemy w nosie, kiedy nikt nie patrzy.

Przytknął palec do moich ust, uciszając mnie.

– Ile mrówek zabił pan w swoim życiu? Miliony? Dziesiątki milionów? Ile czasu rozpamiętywał pan to, że właśnie dokonał masowego mordy?

– Mrówki to nie ludzie...

– Ale to też tkanki, materiał organiczny, łańcuchy węglowe. Wszystko było takie proste, dopóki nie pojawiliśmy się my, lepsze małpy, i nie zaczęliśmy komplikować sobie życia przesądami. Proszę usunąć z tego równania Boga, a otrzyma pan rozwiązanie proste i smakowite niczym najdelikatniejszy sos: to wszystko tkanki, wszystko jest tymczasowe.

Poprawił okulary.

– Nie znaczy to, że nie mam ograniczeń. Każdy je ma w jakimś momencie. Mrówkę pan zadcpcze, ale przy wężu już chyba by się pan zawahał. A kto inny nie. Dla innych nieprzekraczalną granicą są kręgowce, ssaki pokryte futrem. Kryteria dobieramy dowolnie, by określały nam istoty miłe, piękne czy święte.

Wyprostował się. Wyglądał na podekscytowanego.

– Nie można niczego zrozumieć bez podróży i obcowania osobami o innym sposobie myślenia. W Bangkoku – pięknym, zgniłym i przerażającym mieście – spotkałem pewnego kucharza, artystę chińskiej sztuki ćwiartowania mięsa. Pracował w luksusowym hotelu, przygotowując bankiety dla turystów i polityków, ale wcześniej prowadził własną restaurację w dzielnicy portowej, do której nigdy nie zaglądali turyści. Potrafił ciąć mięso zaiste przepięknie i niewiarygodnie szybko. Kilka razy paliliśmy razem opium i w końcu zdobyłem jego zaufanie. Powiedział mi, że szkolił się w tej sztuce od dzieciństwa, stosując coraz to ostrzejsze noże. Przez trzydzieści lat ciął wszystko: małże, szarańczę, krewetki, żaby, węże, wołowinę, baraninę, mięso małp: pawianów, szympanów.

Uśmiechnął się.

– Pointa jest taka, że pod nożem wszystko ustępuje.

– W takim razie po co zadawać sobie tyle trudu i wybierać? – zapytałem. – Skoro to jest gra, dlaczego nie uderzać na oślep?

– Pozbywanie się przesądów trochę trwa.

– Żołnierze potrzebują motywacji.

– Żołnierze – powiedział rozbawiony.

– A więc dałeś im jeden z powodów – że to podrzędne tkanki. Takie mrówki.

– Nikomu niczego nie dawałem – odparł. – Głuchota to wada słuchu, opóźnienie umysłowe to wada intelektu, brak zdolności podcierania własnego tyłka to również wada, coś gorszego od na przykład zdolności do studiowania filozofii. Porządki w domu mają swoją wartość.

– ”Nowa Utopia” – odezwałem się, próbując wymawiać słowa wyraźnie i spokojnie. Czy ktokolwiek mnie słyszy? – Oparta na doborze naturalnym.

Pokręcił głową jak drużynowy, który po raz piętnasty pokazuje tętemu skautowi, jak zawiązać złożony węzeł.

– Proszę mi oszczędzić łzawego współczucia. Bez najsilniejszych osobników nikt by nie przeżył. Upośledzeni nie wynajdują leków na rozmaite choroby. Epileptycy nie siadają za sterami jumbo jetów. Jeśli dochowamy się zbyt wielu nieprzystosowanych osobników, będziemy tylko trwać, a nie żyć. Tak jak Willy w parkowej łazience.

Zdjął okulary i przetarł je szmatką. W domu panowała cisza.

– Niezła mieszanka – stwierdziłem. – Popularna filozofia i sadystyczna przyjemność.

– A cóż złego w czerpaniu przyjemności? – odparł. – Co innego pozostaje robić w czasie, który przypadł nam w udziale na tej planecie?

Znów podniósł strzykawkę. Pomoc nie nadchodziła. Musiałem grać na czas, bo tylko czas mi już pozostał.

– A Melvin Myers? – zapytałem. – Niewidomy próbujący normalnie ułożyć sobie życie. Czymże on zawinił? Tym, że bawiąc się komputerem dowiedział się o machlojkach Lehmana? O przekrętach finansowych? O transferze pieniędzy ze stypendiów na rzecz „Nowej Utopii”?

Na twarzy Bakera pojawił się szeroki uśmiech.

– Co za ironia – rzekł. – Pieniądze przeznaczone dla upośledzonych zostają w końcu wykorzystane z pożytkiem. Myers i ta cała szkoła... to żałosne.

– Myers był inteligentny.

– Wszystko jedno.

– Zniszczona tkanka?

– Zepsute mięso można pokroić i usmażyć, ale nie będzie się nadawało do jedzenia. Ślepi nie prowadzą ślepych. Ślepych prowadzi się jak bydło.

Wycelował igłę w sufit i wypuścił trochę cieczy. Usłyszałem szum spuszczonej wody. Znów kroki na schodach.

– O rany, nie chcę już tego meksykańskiego żarcia – powiedział Tenney.

Baker stuknął palcami w strzykawkę.

Znikąd pomocy.

Danielu, Milo, jak mogliście mnie tak zostawić? – myślałem.

Zacząłem drzeć.

– Nie możecie mieć nadziei, że...

– Nadzieja nie ma tu nic do rzeczy – przerwał mi Baker. – To, co pan wie, sprowadza się tylko do przypuszczeń, a nie dowodów. Tak samo jest w przypadku Sturgisa. Ta gra musi się skończyć. Oto prawdziwy test wiary: czy jest jakieś życie po śmierci? Teraz się pan dowie. Albo nie – uśmiechnął się.

– A to DVLL. Jesteście nowymi diabłami?

Igła błysnęła w świetle lampy.

Baker zacisnął usta. Był poirytowany.

– Ile zna pan obcych języków?

– Trochę hiszpański. W szkole liznąłem nieco łaciny.

– Ja mówię jedenastoma – obwieścił.

– To dzięki tym podróżom.

– Podróże kształcą.

– Z jakiego języka pochodzi DVLL?

– Z niemieckiego – wyjaśnił. – Nie ma to jak Goci, jeśli chodzi o zasady. Dokładne przeciwieństwo bezużytecznej galijskiej rozlazłości.

Przypomniałem sobie uwagi Zeny na temat francuskiego. Papugowała swojego guru.

Igła powędrowała w dół.

– Ale co ten skrót oznacza? – pytałem.

Nie otrzymałem odpowiedzi. Stał się ponury, niemal smutny. Danielu, Milo... są pewne granice przyjaźni... kolejne rozczarowanie... – pomyślałem.

– Chlorek potasu? – spróbowałem po raz trzeci. – Widać, że z ciebie domorosły kat. Kat stanowy dodaje przynajmniej do tego środek uspokajający.

– Władze stanu dają jeszcze ostatni posiłek i posługę religijną oraz opaskę na oczy – odezwał się Tenney. – A to dlatego, że władze są nieszczerze, udają humanitaryzm.

Roześmiał się bardzo głośno.

– Władze zadają sobie nawet trud dezynfekcji alkoholem miejsca ukłucia. Przed czym w ten

sposób chronią skazanego? Władza to banda dupków. Proszę się nie martwić – mówił Baker. – Serce panu pęknie i stanie się to szybko.

– Z prochu i węgla powstałeś, w proch i węgiel się obrócisz.

– Sprytne. Szkoda, że nie mieliśmy czasu dłużej ze sobą porozmawiać.

– Jestem skazany – powiedziałem, ledwo tłumiąc krzyk, który narastał we mnie niczym grzyb atomowy. – Ale za co?

– Och, Alex – odezwał się Baker. – Rozczarował mnie pan. Nadal pan nie rozumie?

– Co mam niby rozumieć?

Baker smutno pokręcił głową.

– Nie ma zbrodni, są tylko pomyłki.

– W takim razie dlaczego zostałeś policjantem?

Znów opuścił nieco igłę.

– Bo praca w policji stwarza tyle okazji.

– By osiągnąć władzę.

– Nie, władza jest dla polityków. Stróże porządku mają możliwość wyboru. Różne opcje. Prawo lub bezprawie. Zbrodnia lub kara. Można w to grać jak karciany szuler.

– Raz ciągniesz kartę, innym razem pasujesz – powiedziałem. Spokój, przeciągaj każdą sekundę. Nie patrz na igłę. – Kogoś aresztujesz, a kogoś puszczasz wolno.

– Otóż to – odparł. – W tym cała zabawa.

– Jednemu pozwalasz żyć, a innemu nie – mówiłem dalej. – Ilu ludzi jeszcze zabiłeś?

– Już dawno temu przestałem liczyć. Bo to nie ma znaczenia, Alex. O to właśnie chodzi: możesz sobie wszystko pooznaczać, ale i tak nie będzie miało to znaczenia.

– Po co w takim razie mnie zabijasz?

– Bo chcę.

– Bo możesz.

Podszedł bliżej.

– Po żadnej z tych osób nikt nie płakał... nie miało to na nic wpływu, nic się nie zmieniło.

Uświadomiłem sobie coś, o czym powinienem wiedzieć już od lat: liczą się tylko przeżycia. Przez życie należy przejść w jak najmniej kłopotliwy sposób. Lubię robić porządki w domu.

– Pedant – powiedziałem, a kiedy nie zareagował, dodałem: – Elita wynosi śmiecie.

– Nie ma elit. Są tylko ci, którzy mają mniej upośledzeń. Willy i ja, tak jak wszyscy, skończymy w piachu jako karma dla robaków.

– Ale dla inteligentniejszych robaków – odezwał się Tenney. Uśmiechnął się do mnie. – Do zobaczenia na partyjce szachów w piekle. Ty załatwiasz szachownicę.

– Liczą się tylko przeżycia – powiedziałem do Bakera.

Policjant znów odłożył strzykawkę, rozpiął koszulę i rozchylił poły.

Ukazał się jego tors – opalona bezwłosa płaszczyzna pokryta bliznami.

Dziesiątki blizn – nitkowate, wybrzuszone, zagłębione.

Pokazał mi z dumą okaleczone ciało i zapiął koszulę.

– Potraktowałem swoje ciało jak pusty blejtram i postanowiłem coś narysować. Więc proszę, nie mów mi o miłosierdziu.

– Przynajmniej wyjaśnij mi to DVLL.

– Ach, to – rzekł zniecierpliwiony. – To tylko cytat z najsłynniejszego malarza, który stał się żołnierzem. Malował przeciętnie te swoje obrzydliwe akwarele, za to naprawdę potrafił posługiwać się słowem.

– To z „Mein Kampf”? – upewniałem się.

Zbliżył się jeszcze bardziej. Poczułem słodki oddech i zapach czystej skóry mytej wodą z mydłem. Jak on mógł tolerować Tenneya?

– *Die vernichtung lebensunwerten Leben* – powiedział. – „Istoty niegodne, by żyć”. Co, obawiam się, dotyczy także ciebie.

Tenney przysunął się bliżej i przytrzymał moją prawą rękę, przyciskając łokieć do materaca. Och, Milo, ten sukinsyn ma rację, w końcu i tak nic nie ma znaczenia, nic nie jest sprawiedliwe... zaczęli stukać palcami w zgięcie ręki, starając się wydobyć żyłę.

Baker podniósł strzykawkę.

– Miłego ataku serca – powiedział.

Robin... Mama... odejdz z klasą, nie krzycz, nie krzycz... przygotowałem się na ukłucie, system

nerwowo zaczął się załamywać, gdzieś w głowie rozległy się dzwonki alarmowe...

Nic nie czułem.

Baker się wyprostował. Był wytrącony z równowagi.

Dzwonienie nie ustawało.

To dzwonek do drzwi.

– Cholera – zaklął Tenney.

– Idź zobacz kto to, Willy, ale bądź ostrożny.

Brzęk. Strzykawka znów wylądowała na swoim miejscu, a Baker wziął do ręki pistolet maszynowy – czarny, prostokątny, z rączką w kształcie banana i krótką wredną lufą.

Rozejrzał się po sypialni.

Dzwonek znów zadzwonił. Wreszcie przestał. Rozległy się trzy puknięcia. I znów dzwonek.

Usłyszałem, jak Tenney wbiega po schodach.

Jakieś głosy.

Jeden Tenneya, drugi wysoki.

Kobieta?

Jej głos, głos Tenneya i znowu jej.

– Nie – usłyszałem Tenneya. – Pomyliła pani...

Baker podszedł do drzwi z uniesioną bronią.

Znów odezwała się kobieta poirytowanym głosem.

– Powtarzam pani – mówił Tenney – że to...

Wtem rozległ się niski, stłumiony terkot, który mógł oznaczać tylko jedno. Kolejne szybkie kroki. Baker wymierzył lufę w drzwi do sypialni.

Nagle za jego plecami rozległ się grzmot. Z hukiem pękła szklana tafla ukryta za zasłonami. Usłyszałem arpeggio spadających na podłogę odłamków i zza rozchylonych zasłon, strzelając, wpadło do sypialni kilku mężczyzn.

Znów terkot, tym razem głośniejszy.

Baker nawet ich nie zobaczył. Różowa koszula przesiąkła karmazynem, a tył głowy zamienił się w czerwono-brązową mgłę.

Podobny los spotkał przednią część czaszki. Rysy rozpląły mu się w czerwonej mazi i białej galarecie. Struktura twarzy rozpadła się i wszystko przybrało postać ciemnego portu. Roztopił się. Jak woskowa figura.

Pokryty szramami tors eksplodował. Miękkie wilgotne drobinki poplamiły całą ścianę.

Jeden ze strzelających podbiegł do mnie. Młody człowiek o ostrych rysach twarzy i czarnych włosach. Jeden ze strażników z konsulatu, czy to tylko podobieństwo? Za nim wbiegł wielki tęgi siwowłosy mężczyzna w granatowym dresie. Miał co najmniej sześćdziesiąt lat. Spojrzał na ciało Bakera, a potem na mnie.

Młody człowiek o jastrzębich rysach zaczął rozpinać krępujące mnie pasy, ale zaraz został odepchnięty przez Milo, który wyglądał na zmęczonego, miał wilgotne oczy, pocił się i ciężko oddychał.

– Proszę pana – zaczął młody komandos. Milo położył mu na ramieniu wielką rękę.

– Spadaj! Rób, co do ciebie należy, a ja zrobię swoje.

Młodzieniec wahał się przez chwilę, po czym wyszedł. Milo uwolnił mnie.

– Och, Alex, co za wpadka, cholerna idiotyczna wpadka. Tak mi... o Boże, omal nie zginąłeś... naprawdę było gorąco... nigdy, kurwa, już nigdy więcej!

– Zawsze lubiłeś dramatyczne sytuacje – powiedziałem.

– Zamknij się – odpowiedział. – Zamknij się i odpoczywaj. O Boże, tak mi przykro, nigdy nie pozwolę ci się namówić na...

– Sam się zamknij.

Podniósł mnie z łóżka, przeniósł nad Bakerem leżącym w kałuży krwi i mięsa, przeszedł przez biały pokój upstrzony krwawymi strzępkami mózgu i najrozmaitszymi kawałkami kości, tworzącymi razem szalony kolaż. Wyszliśmy na schody. Na górnym podeście leżały zwłoki Tenneya.

– No to do góry – rzekł Milo.

Czułem się na siłach, by iść samemu i powiedziałem mu o tym.

– Nie ma mowy.

– Nic mi nie jest, postaw mnie na ziemi.

– W porządku, ale musimy się stąd wydostać. Ostrożnie, nie przewróć się o to gównno.

Na górze schodów pojawiła się kobieta. Niska, mocno zbudowana. Różowe policzki, kartoflowaty nos.

Irina Budzhyshyn, właścicielka szkoły językowej Hermes. W ręce trzymała mały pistolet. Zupełnie przeciętny.

Odezwało się z rosyjskim akcentem:

– W domu nikogo więcej nie ma. Wyprowadź go stąd. Musimy sprowadzić ekipę sprzątającą.

Za Iriną pojawił się ubrany na czarno mężczyzna około trzydziestki. Miał wąsy, kozią bródkę i przerzedzone na czubku głowy włosy.

On również ciężko oddychał. Tak jak wszyscy.

– Załatwiłem transport – powiedział niskim głosem. Nie rozpoznał mnie, choć już się spotkaliśmy.

To dozorca budynku, w którym mieszkała Irina – jakiego to nazwiska używał? Laurel. Phil Laurel. Tak jak ten Laurel z „Flipa i Flapa”.

Wszyscy jesteśmy komediantami.

Wsiedliśmy do porsche'a należącego do Ricka.

– Wszystko w porządku? – zapytał Milo.

– Nic mi nie jest. – Byłem zlany lodowatym potem i starałem się ze wszystkich sił nie drzeć.

Zawrócił, może nieco za szybko, i już pędziliśmy w dół zbocza.

– O Boże – westchnął. – Co za...

– Zapomnij o tym.

– Jasne, zapomnij. Największa wpadka w moim życiu i mam o tym zapomnieć? W życiu! Chryste, jak mogłem być tak cholernie głupi...!

– Co się stało?

– Wpadłem w zasadzkę, ot co. Nagłe spotkanie z zastępcą komendanta. Sharaviego też odciągnęli jego ludzie. Dopóki się o tym nie dowiedziałem, myślałem, że to on zaaranżował dla mnie tę pułapkę. Widziałeś tego starszego Murzyna?

– Kapitana Brookera? – upewniałem się. – Tego, który wydobył akta Raymonda i jego buty?

– Sharavi zdołał do niego zadzwonić z toalety w konsulacie... Facet okazał się jednak przyzwoitym człowiekiem.

– Myślisz, że zostanie ukarany?

Milo dojechał do Hyperion, ostro zakręcił i popędził dalej.

– Szefowie nie lubią być wyprowadzani w pole... Jedziemy do mnie. Brooker zaraz do nas dołączy. Umyjemy się trochę.

– Jak się uwolniłeś?

– Symulowałem atak serca. Wystraszyłem szofera, którego po mnie przysłali. Zjechał do Cedars i popędził po pomoc, a tymczasem ja przeszedłem przez izbę przyjęć i wyszedłem tylnymi drzwiami. Znalazłem Ricka i pożyczyłem od niego porsche.

Wciąż ciężko oddychał i miał niepokojący kolor twarzy.

– Laurence Olivier z ciebie – pochwaliłem go.

– Tak, może zmienię pracę i zostanę kelnerem.

– Na razie się uspokój. Nie chcę, żebyś naprawdę wykorkował na serce...

– Nie martw się, nie padnę tu trupem. Za bardzo jestem wkurzony, żeby umierać. Jezu, Alex, to była najgorsza rzecz, jaka mi się do tej pory przytrafiła. Wydział mnie wykorzystał i odwołał, ale ja spieprzyłem sprawę, bo tego nie przewidziałem. Koncertowo spieprzyłem. Powinienem się domyślić, że Carmeli podsłuchuje każde nasze słowo. Od samego początku wiedzieliśmy, że facet nie jest żadnym dyrektorem do spraw towarzyskich, organizatorem – jak sam się określał. Nieźle to wszystko zorganizował.

Milo zaklął.

– Pamiętasz, mówiłeś coś takiego na samym początku – przypominałem mu. – Gdyby chodziło o terrorystów, Izraelczycy sami by się tym zajęli.

– A więc jestem, cholera, prorokiem. Wciąż wydawało mi się, że Sharavi to egzekutor, który ma odnaleźć i zlikwidować morderców Irit. A w rzeczywistości znajdował się w takiej samej sytuacji jak ja, był tylko przynętą... Wszystko się popieprzyło. Rzucam tę pracę w cholere. Zajmę się czymś spokojniejszym. Wykorzystam magisterium z angielskiego, może zacznę uczyć w jakiejś podstawówce. Ale nie w Los Angeles, gdzie dziesięciolatki strzelają do nauczycieli. Gdzieś na zadupiu, gdzie dzieci nie przeklinają i...

– Co się właściwie stało? – zapytałem.

– Co się stało? Wpadliśmy w wielkie gówno. Całe wiadra, wagony, wręcz światowe zasoby gówna. Brooker i ja staliśmy przed domem, bawiąc się w szpiegów, kiedy schwytała nas jakaś trójka. Dwóch facetów i ta mała Rosjanka. Skuli nas kajdankami, nim zdążyliśmy się obejrzeć. W końcu udało nam się ich przekonać, że nie jesteśmy wrogami, i wtedy nas uwolnili. Zażądali, żebyśmy sobie poszli, bo to ich operacja. Brooker i ja odmówiliśmy, bo nie wierzyliśmy, że będą cię chronić. Zagroziliśmy, że pokrzyżujemy im wszelkie plany, jeśli nas do nich nie włączą. Bluffowaliśmy, bo wiedziałem, że gdyby dyskusja zaczęła się przedłużać, musiałbym się od nich oddalić. Powinien ktoś cię obserwować. Nie chciałem, żebyś szedł tam bez ochrony z zewnątrz.

Zamrugął oczami... czyżby mu zwilgotniały? Przetarł je mocno i odkaslnął.

– Zgodzili się zabrać nas ze sobą, ale to oni mieli dowodzić akcją. A właściwie ona – Irina, Świetlana czy jak się naprawdę nazywa. Zgodziła się, żebyśmy razem z Brookerem dołączyli do atakujących od tyłu, jeśli „nie będziemy sprawiać kłopotów”. Brooker, ja i ten ciemnowłosey mieliśmy uderzyć od strony zbocza, a ona i ten drugi, niby dozorca, od drzwi. Ten nasz miał ze sobą paraboliczny mikrofon, taki jak Sharavi. Ale nie działał najlepiej i kiedy wreszcie udało się tę maszynę uruchomić, Baker był już gotów do... Tak mi przykro, Alex, gdy usłyszałem, jak mówisz „chlorek potasu”, omal... powiedziałem ciemnowłosemu, że natychmiast wchodzimy. Ten mi mówi, że musi czekać na sygnał od Iriny. Kazałem mu się wypchać. Wysłał jej wiadomość pagerem, a ona odpowiedziała, że jest już przy drzwiach, jeszcze sekundę. Ja już prawie nacierałem na szklane drzwi. Czarnowłosey mnie zatrzymał. Omal się nie postrzelaliśmy. W końcu Świetlana i dozorca otworzyli drzwi i załatwili Tenneya. Kiedy usłyszeliśmy strzały, zaatakowaliśmy od tyłu i wykończyliśmy Bakera. Jestem pewien, że każdy z nas dołożył mu coś od siebie. Co za bajzel, Alex.

Ścisnął mocno kierownicę i odwrócił się do mnie.

– Ale oni wcale się tym nie martwią. Wszystko poszło dokładnie tak, jak zaplanowali. Nie będzie żadnych aresztowań.

Poza sfalszowaną informacją o Wilsonie Tenneyu, nic nie przeniknęło do mediów.

Nekrolog zawiadamiający o śmierci Wesa Bakera na zawał serca ukazał się jedynie w biuletynie policyjnym.

Baker miał rację co do jednego: tak nie wiele rzeczy miało naprawdę wpływ na nasze życie.

Daniela już więcej nie zobaczyłem.

– Carmeli też wyjechał – poinformował mnie Milo. Był u mnie po raz piąty w tym tygodniu. Więcej pił. Starłem się sprawiać jak najkorzystniejsze wrażenie, zapewniałem go, że nic mi nie jest.

– Wyprowadził się z całą rodziną, on, żona i syn. Zniknął też jacht Bakera. Poszedłem na przystań, gdzie powiedziano mi, że Baker sprzedał łódź jakiemuś mężczyźnie z akcentem”, który postanowił odprowadzić jacht do Newport.

Z moich kieszeni zniknęły wszystkie dokumenty Andrew Desmonda. Ubrania oddałem organizacji dobroczynnej.

– A tobie jak leci w pracy? – zapytałem.

– Wciąż twierdzą, że mnie kochają.

Milo siedział przy stole u mnie w kuchni i mlaszcząc jadł kanapkę z peklowaną wołowiną. Po prostu się obżerał.

Niektóre rzeczy mają jednak znaczenie.

– Jak myślisz, co się stało z Danielem? – zastanawiałem się.

– Nie wiem, mam nadzieję, że się na niego nie boczyli, ale... Próbowałem się skontaktować z Brookerem, lecz jakby się zapadł pod ziemię... Daniel był dobrym żołnierzem, Alex. Do ostatniej chwili robił to, czego od niego chcieli.

– Wystawiał im cel.

– Był ich psem gończym, tak jak ja. Węszyliśmy i wystawialiśmy. Wykorzystali nas obu do wytropienia zwierzyny, po czym sprowadzili psy, które miały zabijać.

– Zemsta – rzekłem. – Carmeli słyszał wszystko. Łącznie z uzasadnieniem, dlaczego Baker wybrał Irit. Teraz już wie, że nie był to przypadkowy akt szaleństwa. Zastanawiam się, jaki to miało na niego wpływ.

– Kto wie... założę się, że nie powiedział o tym żonie.

Uśmiechnąłem się.

– Co cię tak śmieszy?

– Twoje przedstawienie, panie Zawałowcze. Gliniarz aktorem.

Poklepał się po mostku i przewrócił oczami.

– Wybornie – pochwaliłem go – a teraz opowiedz mi o tym awansie. I z jakiej to okazji.

– Zostaję detektywem trzeciego stopnia, ale zabierają mnie z zachodniego Los Angeles. Mam dostać gabinet w jednym z tych miniposterunków, jakie rozmieszczają w całym mieście. Kumple sobie z nich żartują, lecz przynajmniej otrzymam własny pokój z oddzielnym wejściem. Będą mnie wzywać tylko do poważnych spraw, gdy zdarzy się coś naprawdę okropnego. Obiecali mi, że nie będę musiał się paprać w papierkowej robocie, dostanę wszelkie wsparcie od wydziału.

– Brzmi to nieźle.

Potarł twarz.

– Nie oszukuję się, Alex. Chcą się mnie pozbyć z komendy... z każdej komendy. I doskonale wiem, że teraz mam dwie możliwości. Albo okaże się to najszcześniejszym zajęciem pod słońcem, albo zepchną mnie na margines i w końcu wyrzucą z policji. Jeśli wybiorą to drugie, kit im w oko. Jakoś sobie z tym poradzę. Na razie dostałem podwyżkę i obietnicę promocji do stopnia porucznika w ciągu roku.

– Wciąż zapowiada się doskonale – powiedziałem. – A teraz powiedz mi, dlaczego to wszystko robią.

– Oficjalnie twierdzą, że od dawna już nosili się z tym zamiarem. Tego właśnie miało dotyczyć spotkanie z zastępcą komendanta, na które nie dotarłem. Z powodu wysokiego odsetka rozwiązanych spraw, wysoko postawieni ludzie szepnęli o mnie odpowiednie słowo komu trzeba.

– Carmeli. Chciał cię usunąć z drogi.

– Carmeli i wydział – uzupełnił Milo. – A tak naprawdę, chcą mi po prostu zamknąć usta. Bo Carmeli opowiedział im o Bakerze i Nowej Utopii oraz o tym co zamierza z tym zrobić. No a oni nie próbowali go nawet powstrzymać.

– Mieli w tym wspólny interes – rzekłem. – Ostatnią rzeczą, jakiej trzeba policji z Los Angeles, byłby psychopatyczny zabójca w mundurze policjanta.

– Obopólna korzyść, Alex. Ja też jakoś nie wyobrażam sobie Bakera w sądzie.

– A rodziny zamordowanych na pewno pocieszyła trochę bajeczka o Tenneyu, podejrzanym o zabójstwa Raymonda Ortiza i Latvinii, który zginął w policyjnej strzelaninie. Szkoda, że nigdy nie odnajdzie się ciało Raymonda.

– Rodzinie powiedziano, że Tenney poddał je kremacji... wyznał to, nim sięgnął po pistolet.

– Wygodne wytłumaczenie – uznałem.

Milo zmarszczył brwi, wyjął coś z kieszeni i położył na stole.

Dwa starannie wycięte artykuły prasowe.

Z porannego wydania.

Dwie gazety z tą samą datą. „Los Angeles Times” i „The New York Times”. Wiadomość w „Los Angeles Times” była nieco większa. Mieściła się na stronie 12 w prawym dolnym rogu:

PSYCHOLOG GINIE W POŻARZE

SANTA MONICA – Ekipa dochodzeniowa straży pożarnej poinformowała, że poranny pożar, w którym zginął znany psycholog, spowodowało zwarcie instalacji elektrycznej.

Roone M. Lehmann, lat 56, zmarł we własnym łóżku od zezadzenia w czasie pożaru, który wybuchł w odosobnionej okolicy kanionu Santa Monica. Ogień strawił dom Lehmana i niemal pół akra otaczającej go roślinności. Sąsiednie domy ocalały. Dom był wyposażony w instalację przeciwpożarową z czujnikami dymu, ale najwyraźniej system zawiódł.

Lehmann, kawaler, pracował jako doradca wydziału policji w Los Angeles. Był też zatrudniony w kilku fundacjach i instytucjach, między innymi w radzie Śródmiejskiego Ośrodka Doskonalenia Zawodowego. O terminie pogrzebu informuje rodzina.

Na mniejszym skrawku przeczytałem:

DWIE OFIARY WYPADKU NA JACHCIE

Wczoraj utonęły dwie osoby żeglujące przez cieśninę Long Island. Policja określa to jako nieszczęśliwy wypadek.

Farley Sanger, lat 40, i Helia Creanepool, lat 49, wybrali się w nocny rejs. Sześciometrowy jacht zatonął w wyniku powiększenia się nie zauważonej wcześniej dziury w poszyciu.

„Sanger często pływał, ale nigdy w nocy” – mówi pragnący zachować anonimowość sąsiad zmarłego.

Sanger był prawnikiem, udziałowcem kancelarii prawniczej...

Oddałem Milowi wycinki z gazet.

– Tego samego dnia, prawdopodobnie nawet o tej samej godzinie – powiedziałem, przesuając w jego stronę skrawki papieru. – Gińcie, obojętni.

– Hej, to przecież oni ustanawiali zasady – przypomniał Milo.

W końcu opowiedziałem Robin wersję wydarzeń, która wprawiła ją w osłupienie, ale też przyniosła ulgę. W końcu mogła znów spać spokojnie.

Gorzej było ze mną, lecz po dwóch tygodniach zacząłem się powoli uspokajać.

Nigdy tego nie zapomnę, wiedziałem jednak, że muszę wrócić do rutynowych zajęć.

Wypisywałem ekspertyzy, raporty, przyjmowałem dzieci na wizyty. Karmiłem rybki i wyprowadzałem psa.

Od czasu do czasu myślałem o Helenie. O tylu rzeczach nie wiedziała... czasami niewiedza jest błogosławieństwem.

Myślałem też o Danielu. Co się z nim stało?

Wypełniałem sobie czas. Robiłem to co zwykle, bo mogłem.

Swego rodzaju kropką nad „i” była mała biała koperta, którą otrzymałem pewnego słonecznego wtorku.

Nie miała znaczka ani stempla pocztowego. Wsunięto ją w środek codziennego pliku listów.

Przeoczenie poczty? Kto by w to uwierzył.

Na zamknięciu wypukłe logo producenta papeterii Hallmark.

Wewnątrz nie było kartki, lecz fotografia.

Na niej Daniel z ładną szczupłą kobietą mniej więcej w jego wieku. Miał na sobie białą koszulę, ciemne spodnie i sandały, kobieta zaś luźną niebieską sukienkę i również sandały. Była od niego niższa o kilka centymetrów, miała kręcone blond włosy. Trzymała go pod ramię.

Po obu stronach ustawiła się trójka dzieci.

Piękna śniadolica, lecz jasnowłosa dziewczyna w wieku policealnym nosiła brudnooliwkowy wojskowy uniform, a dwóch kilkunastoletnich czarnowłosych chłopców koszulki, krótkie spodnie i jarmułki na głowach. Starszy uśmiechał się łobuzersko, za to młodszy wyglądał poważnie, jakby był kopia Daniela. Daniel, kobieta i młoda dziewczyna uśmiechali się jednakowo. Dziewczyna miała rysy Daniela, a włosy po matce.

Stali na tle kamiennej ściany z wielkich nie ociosanych złocistych głazów.

Poza tym niczego nie było widać.

Z tyłu wypisano adres:

ULICA PINSKERA, JEROZOLIMA, IZRAEL.

A pod spodem:

W PRZYSZŁYM ROKU W JEROZOLIMIE? ZAPRASZAMY SERDECZNIE.

Zadzwoiła moja sekretarka.

– Doktorze Delaware, jakiś pan Brooker do pana.

– Odbiorę.

– Doktorze? Nazywam się Gene Brooker i jestem...

– Wiem, kim pan jest, kapitanie. Spotkaliśmy się... przez chwilę.

– Naprawdę? Zresztą nieważne. Dzwonię, żeby przekazać wiadomość od naszego wspólnego znajomego. Przesłał coś panu i chciałby się upewnić, czy dotarło to do pana.

– Tak. Właśnie w tej chwili. Trafił pan bezbłędnie.

Cisza.

– Świetnie. Kazał przekazać panu, że z nim wszystko w porządku. Sądził, że będzie się pan nad tym zastanawiał.

– Rzeczywiście, zastanawiałem się. To bardzo uprzejme z jego strony, że się odezwał.

– O tak. Zawsze był uprzejmy.